

Łojek Jerzy

WIEK MARKIZA DE SADE

ŚWIAT ROZWIĄZŁOŚCI UMYŚLÓW I OBYCZAJÓW

L'amour, tel qu'il existe dans la société, n'est que l'échange de deux fantasies et le contact de deux épidermes.

Chamfort

^Rozwiązłość czasów Regencji przekształciła galanterię dworu Ludwika XIV w rozpasany liber- tynizm. W początkach panowania Ludwika XV mężczyźni zajęci byli tylko powiększaniem listy swoich kochanek, kobiety zaś zdobywaniem amantów z jak największym rozgłosem... Mężowie skazani na znoszenie tego wszystkiego, czemu nie mogli zapobiec bez okrycia się największą śmiesznością, zdecydowali się najrozsądniej nie żyć po prostu ze swoimi żonami. Małżonkowie razem mieszkając, nigdy prawie nawzajem się nie widywali; nigdy nie spotykano ich w tym samym powozie, w tym samym domu czy w jakimś miejscu publicznym. Jednym słowem, małżeństwo pozostało aktem użytecznym dla fortuny, ale jednocześnie stało się niewygodą, od której nie można było się uwolnić inaczej, jak przez odrzucenie wszystkich wynikających stąd obowiązków. Obyczaje wielce na tym traciły, ale życie towarzyskie nieskończenie zyskiwało. Swoboda dam, uwolnionych od żenującej i mrożącej obecności mężów, przekraczała wszelkie granice; wzajemna kokieteria mężczyzn i kobiet utrzymywała stale towarzyskie ożywienie i co dzień dostarczała okazji do pikantnych przygód. Powab rozkoszy, który leżał u podstaw tych obyczajów, odpędzał precz wszelki przesyt i znużenie; ciągle nowe przykłady niestłuchanej rozwiązłości ośmielały do lekceważenia zasad i porzucenia powściągliwości.

Wiedząc to, łatwo uwierzyć, że wzajemne skłonności nie rodziły się bynajmniej w oparciu o miłość, a jeszcze rzadziej o szacunek. Dla mężczyzny po sięć, dla kobiety uwieść — oto były prawdziwe motywy, które skłaniały jednych do ataku, a drugie do kapitulacji. W rzeczy samej oddawano się z taką łatwością, z jaką i odważano się na atak. Często szło tylko o przygodę na przeciąg jednego dnia czy dni kilku [...] w intencjach mężczyzny po to tylko, by móc następnie się przechwalać, w intencjach kobiety — by zyskać okazję do chwili rozkoszy i zabawy. Czasami (ale rzadko) rozkosz kojarzyła się z głębszym upodobaniem; decydowano się wówczas na dłuższy wspólny związek, przy zachowaniu pewnych wzajemnych obowiązków. Takie uczucia uważano za godne szacunku, ale w towarzystwie obawiano się ich bardzo, jako że dwie osoby zajęte wyłącznie wzajemnymi sentymentami nie mogły w końcu uniknąć znudzenia i popadały nieuchronnie w poczucie przymusu...”¹ Tak wspominał obyczaje wyższych warstw społeczeństwa francuskiego w połowie XVIII stulecia uroczy gawędziarz, hulaka i libertyn, baron Pierre-Victor de Besenval, piół-Polak zresztą, bowiem urodzony z Bielińskiej, dworak z powołania, z zawodu oficer gwardii, pod koniec życia nie cieszący się we Francji dobrą sławą, jako że w początkach Rewolucji był dowódcą zniechęconej przez lud Paryża nadwornej gwardii szwajcarskiej. Besenval przeżył pół wieku w świecie, który w pełnym blasku i w radosnym nastroju zbliżał się do upadku i zagłady, możemy więc mu wierzyć, gdyż był świadkiem naocznym i doskonale z obyczajami swego środowiska obeznanym. Co prawda, moralisci każdej epoki narzekali na zepsucie i demoralizację społeczeństwa swoich czasów, Besenval wszelako moralistą nie był (można by nawet dorzucić: wręcz przeciwnie), a świadectwo jego zgadza się całkowicie z „obrazem obyczajów tamtych czasów”, jaki w dziełach swych przekazali nam inni pamiętni- karze i liczni autorzy śmiałych, libertyńskich opowieści

obyczajowych, w które francuska literatura wieku XVIII nadzwyczaj obfitowała.

Skąd pochodziła ta wyjątkowa swoboda obyczajowa, która opętała wyższe warstwy społeczeństwa francuskiego, a przenikała szybko do stanu trzeciego, która wyciskała charakterystyczne piętno na życiu codzien-

nym i na literaturze, która prowadziła do coraz większego upowszechnienia perwersyjnych i orgiastycznych form życia seksualnego? Ówcześni chrześcijańscy moralści nie mieli żadnych wątpliwości co do przyczyn i źródła tego straszliwego zła, które rozpanoszyło się i pociągało coraz więcej ludzi słabych i o zbawieniu wiecznym nie myślących. To libertynizm, ohydny, wyuzdany libertynizm zarażał serca i umysły, wiódł ku demoralizacji, zepsuciu i rozpuście...

Użyliśmy tu słowa, które w XVIII stuleciu zrobiło we Francji (i w całej Europie) niezwykłą doprawdy karierę. Padało i ambon w czasie kazań i odczytywania listów pasterskich; pojawiało się na łamach czasopism; wymawiane było z pobożną zgrozą przez matki dorastających córek i prostodusznych pobożnych starców, a z przymrużeniem oka i żartobliwym uśmiechem przez wytwornych sceptyków i eleganckie damy; najczęściej zaś występowało na kartach realistycznych powieści obyczajowych, które — jak twierdzili autorzy — ku przestrodze nierozważnej cnoty ukazywały podstępne zakusy występku.

Libertynizm (libertinage), libertyn (le libaertin), libertynka (la libertine) — jako że żeńskie okazy tego gatunku mnożyły się wówczas w zastraszającym tempie — wszystkie te określenia oderwały się w XVIII wieku od swego pierwotnego sensu. W wieku XVII mianem libertynizmu określano nurt myśli i idei dążący do uwolnienia umysłu ludzkiego z więzów tradycji, autorytetów i uprzedzeń, postulujący rozumną i sceptyczną analizę rzeczywistości, poddający wszechstronnej, ale dość łagodnej w końcu krytyce tradycję chrześcijańską i naukę Kościoła. W nurcie tym przejawiały się (choć nie dominowały) tendencje epikurejskie, a zasada rozumnego i swobodnego decydowania człowieka o celu swego istnienia umożliwiała wyznawcom tych idei zwrócenie się przede wszystkim ku naturalnym, zmysłowym przyjemnościom życia doczesnego². Chrześcijańscy apologety atakowali doktryny libertynizmu z niezwykłą gwałtownością, utrzymując, iż ten nurt intelektualny ma na celu zniszczenie wszelkiej moralności i wtrącenie społeczeństwa w piekło nieokiełznanej rozpusty. Propagandowy kontratak

»

przyniósł pewne sukcesy. W XVIII wieku libertynizm był już określeniem potocznym i jak najbardziej pejoratywnym. Piętnowano tym mianem wszelkie występki przeciwko moralności i przejawy rozwiązłości obyczajowej; nikt już oczywiście do libertyńskiej postawy sam się nie przyznawał, chyba że w przystępie skruchy i żalu, jak Klitander ze słynnego dialogu Crébillona Noc i chwila, gdy w rozmowie z uroczą Cydalizą wyznaje, że uległ pokusom, na jakie wystawiła go pewna rozpustna dama, mając na swoje usprawiedliwienie jedynie to, że — jak stwierdza — „wszyscyśmy libertyni...” |

Jeszcze i dzisiaj w potocznej francuszczyźnie le libertin oznacza rozpustnika i hulakę, "bez skrupułów oddającego się zaspokajaniu zmysłowych namiętności. Podobnie rozumiano określenie libertyn w wieku XVIII. Podobnie, ale nie identycznie... Bowiem w ramach potocznych pojęć XVIII stulecia libertyn to rozpustnik szczególnego rodzaju: sceptyczny niedowiarek, który bez żenady zaspokaja swoje wyrafinowane namiętności seksualne, nie mając żadnych moralnych hamulców wskutek utraty wiary w Boga, wskutek odrzucenia nakazów chrześcijańskiej moralności, i dla specyficznego celu: zademonstrowania swojej przekory wobec nakazów Kościoła i okazania pogardy dla „czystości”, wstrzeźliwości i ascezy; co więcej, wzmacniający swoje przeżycia właśnie wskutek perwersyjnego połączenia praktyk seksualnych z jednoczesnym obrażaniem moralności chrześcijańskiej i drwiną z nauki Kościoła.

U podstaw libertyńskiej rozwiązłości obyczajów leżało więc (w pojęciu współczesnych)

wyzwolenie umysłu od wszelkich ograniczeń narzuconych przez doktrynę chrześcijańską. Ponieważ zaś — jak głosili chrześcijańscy moralisci — tylko wiara w życie pozagrobowe i ostateczny wymiar sprawiedliwości w postaci zbawienia lub potępienia wiecznego mogła powstrzymać ludzi od występku, więc libertynscy sceptycy, czy wręcz bezbożnicy, z natury rzeczy nie mający żadnych powodów do powściągnięcia swych niecznych skłonności, gotowi byli na wszystko, byle tylko osiągnąć maksymalne natężenie rozkoszy zmysłowej.

Libertynizm był określeniem wybitnie pejoratywnym, ale — fakt to znamienny — w środowisku racjonalistów i propagatorów ideologii Oświecenia nie spotkał się nigdy z potępieniem. Źródło bardzo autorytatywne, słynna Diderotowska Encyklopedia tak definiowała owo rozpowszechnione zjawisko obyczajowe: „Libertynizm to zwyczaj zdawania się na instynkt, który wiedzie nas do zmysłowych przyjemności; nie zważa na dobre obyczaje, ale nie stawia sobie za cel ich zwalczania. Wiąże się z nim brak drażliwości sumienia [...] gdy jest skutkiem młodości lub wybujalego temperamentu, nie wyklucza ni talentów, ni dobrego charakteru...” * W rzeczy samej każdy z wybitnych myślicieli XVIII stulecia w większym czy mniejszym stopniu był libertynem i łączył twórczość intelektualną ze swobodą obyczajów. W namiętnych oskarżeniach, głoszonych przez apologetów chrześcijańskiej moralności, nie wszystko było więc nonsensem. Możemy się zgodzić z ich rozumieniem źródeł libertynskiej postawy obyczajowej, trudno nam jednak podzielać dzisiaj ich oburzenie i boleć nad rozpowszechnianiem światopoglądu, który siłą rzeczy wyzwalał przecież umysły od więzów fideistycznej doktryny, chociaż czasami był również usprawiedliwieniem dla zwykłej nieobyczajności.

Badając XVIII-wieczny światopogląd libertynski i libertynską obyczajowość stwierdzamy rzeczywiście ścisłą wzajemną zależność obu tych zjawisk. Libertynizm był swobodą (może nawet — zgódźmy się¹ — rozwiązłością) jednocześnie umysłu i obyczajów, wynikał ze sceptycznego, chłodnego, krytycznego poglądu na świat, odrzucającego tradycyjną moralność i obyczajowość, opartą o wiarę i chrześcijańskie koncepcje eschatologiczne. Był gwałtownym protestem przeciwko irracjonalnemu ograniczaniu dążenia do pełnego szczęścia i drwiną z ustalonego od wieków porządku obowiązków człowieka wobec Boga, bliźniego i swej własnej duszy; był przekreśleniem pogardy dla świata doczesnego, ciała ludzkiego i ziemskich rozkoszy, którą usilnie propagowały wszystkie wyznania chrześcijańskie. Nie należy oczywiście dopatrywać się w libertynizmie jakiegoś postępowego programu ideologicznego.

Był on po prostu żywiołową postawą światopoglądowo-obyczajową polegającą na negacji wszystkiego, co krępowało swobodę myśli i czynów jednostki. Nie tworzył jakiegś ogólnej doktryny, normującej stosunek człowieka do zasadniczych zjawisk epoki. Libertynizm kształtował się na płaszczyźnie indywidualnego stosunku człowieka do Natury i jednostki do jednostki, omijał problemy społeczne. Skoro jednak obyczaje libertynskie wiązały się zawsze ze sceptycznym i anty-fideistycznym światopoglądem, libertynizm obyczajowy musiał się wydawać zewnętrznym jego wyrazem i celową manifestacją, miał pozory ideowego programu. W praktyce oczywiście rzadko chodziło o zamierzoną demonstrację stosunku do religii i chrześcijańskiej moralności (choć zdarzały się i takie wypadki). O stylu życia libertyna decydowała najczęściej żądza rozkoszy i nasycenia wyrafinowanych potrzeb zmysłowych; była to również czasem poza i po prostu naśladowictwo obyczajów środowiska, a nie skutek samodzielnej decyzji odrzucenia przesądów i wewnętrznych skrępowań. Obiektywne skutki ideologiczne upowszechnienia tej postawy obyczajowej były jednak bardzo poważne; coraz szerszy zasięg praktyk obyczajowych, zasadniczo sprzecznych z nakazami religii, i moda na kpinę z religijnych dogmatów i zasad moralności chrześcijańskiej, tworzyły stopniowo atmosferę ogólnej negacji doktryny, włączonej przecież integralnie w dotychczasowy porządek społeczny.

Na libertynską postawę światopoglądowo-obyczajową składało się oczywiście wiele

elementów. Fundamentem był tu racjonalistyczny sceptycyzm nakazujący odrzucenie zasad, których rozumowe udowodnienie było niemożliwe. W miejsce „objawionych” norm konwencyjnej moralności libertyn stawał prawo Natury, nakazujące dążenie za wewnętrznym głosem wrodzonych upodobań. Natura nie może działać przeciwko samej sobie, jeżeli więc obdarzyła człowieka potrzebami i skłonnościami choćby nawet najdziwniejszymi, to realizacja tych potrzeb i skłonności jest jej nakazem. Zakazy moralne stojące na przeszkodzie pełnemu zaspokojeniu wszelkich upodobań człowieka są — zdaniem libertynów — tylko przesądami wynikłymi z ludz

kiej niewiedzy, które należy obalić i unicestwić. Celem i sensem istnienia jest maksymalne i najwszechstronniejsze przeżycie rozkoszy zmysłowych (*la jouissance*), a zasada ta określa podstawowe obowiązki człowieka wobec samego siebie. Poszukiwanie rozkoszy było w świecie libertynów głównym motywem działania, a dążenie do jej różnorodności i wszechstronności wyzwalalo inwencję i mobilizowało do czynów czasami zgoła heroicznych. „Rozkosz — powiedział Casanova — jest aktualnym radosnym przeżyciem zmysłów; jest to całkowite zaspokojenie, które zmysły nasze znajdują we wszystkim, co je pociąga. Gdy zaś zmysły nasze, wyczerpane lub przesycone, pragną chwili odpoczynku dla wytchnienia lub odrodzenia swej wrażliwości, rozkosz nasza przenosi się w sferę imaginacji; wystarcza dla jej przywołania wyobrażenie szczęścia, które ta chwila spokoju właśnie przygotowuje. Albowiem prawdziwym filozofem jest ten, kto nie odmawia sobie żadnej rozkoszy, nie powodującej oczywiście niewspółmiernie wielkich przykrości, i kto umie jednocześnie rozkosz tę dla siebie przygotowywać”⁵.

Epikureizm i hedonizm był najistotniejszą cechą libertynskiego światopoglądu. Poza indywidualnym przeżyciem rozkoszy zmysłowej i pogłębionym dzięki wyrafinowaniu zmysłów kontemplowaniem piękna nie znajdował libertyn wartości, które uznałby za godne większego zainteresowania i jakiegokolwiek poświęcenia.

Libertynizm akcentował silnie prawa jednostki; był postawą zdecydowanie indywidualistyczną i elitarystyczną; w skrajnej postaci był programowym, egoizmem postulującym całkowite lekceważenie doznań i przeżyć innych jednostek ludzkich, jeżeli tylko nie szkodziło to wrażeniom przeżywającego podmiotu. Libertyn był moralnym relatywistą, stosującym zupełnie różne wartościowanie tych samych zjawisk, postaw j czynów w zależności od tego, kogo one dotyczyły; najbliższe były mu koncepcje etyczne utylitaryzmu, cenił więc przede wszystkim skutek ludzkiego działania, a nie najlepszą nawet intencję. Pogarda dla obiegowej normy moralnej i zasad etycznych „dobrych dla gminu” skłamała libertyna do przyznawania nielicznym tylko, sobie podobnym jednostkom ludzkim pełnych praw i do traktowania ich jako partnerów; istoty, które nie dorosły umysłowo i moralnie do wyzwolenia się i przesądów i wzniesienia się ponad obyczajowe konwencje, mogły być dlań tylko przedmiotem lub narzędziem działania. Uczucia erotyczne były w ramach tej konwencji czymś bardzo nieużytecznym i niepotrzebnym; jeżeli jednak udawało się wzbudzić je w przedmiocie, który posłużyć miał dla zaspokojenia potrzeby zmysłów, mogły stać się wygodnym narzędziem, służącym do podporządkowania wybranej ofiary swej bezwzględnej władzy...

W praktyce życia codziennego postawa libertynska przejawiała się najczęściej w braku wszelkich skrupułów etycznych i stosowaniu zasady: „nic świętego”. W tym właśnie punkcie spotykała się drwina z dogmatów i zasad moralnych religii z pogardą dla wszelkich konwencji obyczajowych uniemożliwiających pełne zaspokojenie zmysłowych namiętności. W ciągu XVIII stulecia libertynizm zyskiwał coraz gorszą opinię. Stawał się synonimem coraz większego zatwardzenia w występku i gotowości do coraz większych zbrodni przeciwko prawom boskim i ludzkim. Doszło w końcu do tego, że jawną, prostą, pospolitą rozpustę, wynikającą z nadmiernego temperamentu i słabości charakteru, przeciwstawiano jako zjawisko pozytywne libertynizmowi, który uważano za dogłębne zepsucie moralne i

praktykowanie wyuzdania przede wszystkim dla jak największej obrazy Boga. Samo słowo „libertyn” stawało się obelżywym epitetem. Ciekawym przypadkiem tej ewolucji pojęć są rozważania księcia de Ligne (1735—1814), zresztą właśnie wyrafinowanego, eleganckiego libertyna bez skrupułów i zasad moralnych, który wszelako zdecydował się bronić obyczajowości swego środowiska w dość szczególny sposób, byle tylko odrzucić oskarżenie o libertynizm. W swym szkicu czy eseju, zatytułowanym *Rozpustnik a libertyn*, próbował dowodzić wyższości (estetycznej raczej niż moralnej) „zwykłej” rozpusty nad libertynizmem. Nie potrafił oczywiście wykazać, na czym ta wyższość polega, i ograniczył się do rozprawiania o „czystej rozpuście” w tonie pogodnym i pochwalnym, a o libertynizmie z odrazą i pogardą.

„Libertyn rodzi się libertynem — pisał z emfazą — rozpustnik dopiero się nim staje. Libertyn jest często obłudnikiem, rozpustnik chwali się jawnie swą rozpustą. Znajdziecie wielu libertynów wśród mnichów, księży, nauczycieli, ojców rodzin czy szefów urzędów. Kryją się, by nasycić swoje haniebne żądze. Rozpustnik wystawia śmiało na światło dzienne wszystkie swoje rozkosze; opowiada, co zdołał, przesadza nawet; libertyn natomiast, jeżeli nawet do czegokolwiek się przyznaje, wyzna najwyżej połowę. Występek bije z oczu libertyna, gdy wspomni się o nim w jego obecności; rozpustnik, zubożniały na swe wszelkie orgie, słucha o nich z zimną krwią i ożywia się zaledwie wtedy, gdy znowu je podejmuje. (...) Również kobieta swobodna jest w stosunku do libertynki tym samym, czym rozpustnik wobec libertyna. Kobiety swobodne, aczkolwiek łatwe do zdobycia, nie są przecież z tego powodu libertynkami; to kokieteria zbyt daleko posunięta doprowadza je do tego stanu niepojętymi drogami. Natomiast najwierniejsza kobieta może być libertynką w stosunkach ze swoim mężem. (...) Libertynizm przynosi ze sobą wrażenie czegoś strasznego, wizję lochu ciemnego i posępnego; rozpusta ujawnia się w puchu edredonów, na tureckich kobiercach, na wspaniałych dywanach ozdobionych girlandami pereł...”

Książę de Ligne pisał swoje uwagi już w czasie Rewolucji Francuskiej, po „kanonizacji Kapeta”, która na wszystkich dworach Europy wywołała oburzenie — przeciwko ludowi Paryża. Aby więc zożydzić do szczytu potępiony libertynizm, uciekł się biedak do szczególnego porównania: „Tak więc, jednym słowem, wydaje mi się, że rozpusta jest arystokracją występku* natomiast libertynizm tego występku demokracją”⁶.

My oczywiście nie będziemy dzielili interesujących nas obyczajowych i literackich zjawisk epoki na domenę „rozpusty” i domenę „libertynizmu”... Zresztą z tych samych względów, dla których współcześni księcia de Ligne z taką zaciekłością od libertynizmu się odżegnywali, my właśnie uznać musimy to zjawisko, za ciekawsze i godniejsze uwagi od „zwykłej”, „przyzwoitej” rozpusty i rozwiązłości obyczajów.

Libertynizm był postawą moralną rozpowszechnioną przede wszystkim wśród wyższych warstw społeczeństwa francuskiego — arystokracji rodowej [nMesse d'ipee], szlachty urzędniczej (noblesse de robe), przedstawicieli finansjery, najbogatszej burżuazji. Przenikał jednak szybko w głąb stanu trzeciego. Swoboda obyczajowa niższych warstw mieszczaństwa w czasach Oświecenia wiązała się również z powszechnym zubożnieniem religijnym. W latach 1780-tych Louis- -Sébastien Mercier pisał z udaną zgrozą w swoim słynnym *Obrazie Paryża*: „Ateizm! Nie oszukujmy się — jest aż nadto rozpowszechniony w stolicy. I nie tylko wśród nieszczęśliwych, biedaków i cierpiących, wśród ludzi, którzy zapewne mieliby największe prawo skarżyć się na nieznośny ciężar egzystencji, ale — również wśród bogaczy, ludzi dostatnich, którzy korzystają ze wszelkiej wygody życia. Trzeba wszelako zwrócić uwagę, że to godne pożałowania zbłądzenie myśli w większości wypadków nie jest wynikiem rozumowania, lecz najczęściej skutkiem obojętności, bez troski, zapomnienia lub przerażającej namiętności do rozkoszy”⁷.

Jakże zresztą mogło być inaczej, skoro służy boży, powołani do umacniania ludu w wierze i moralności, w czasach tych świecili nie najlepszym przykładem, a nawet — rzecz

szczególna — nieraz przodowali w libertyńskiej obyczajowości. Dziwne to były czasy, gdy wśród wyższego duchowieństwa z trudem można było spotkać kapłana, który zachował szczątki wiary w dogmaty religii.

Hipolit Taine przytacza w swym słynnym dziele o Francji przedrewolucyjnej kapitalną anegdotę. „Pytano jednego z najszanowniejszych proboszczów paryskich: — Czy pan sądzisz, że biskupi, co się zawsze tak popisują religią, mocno w nią wierzą? — Poczciwy pasterz, zawahawszy się przez chwilę, odpowiedział: — Z-SKI

Może jest jakich czterech czy pięcici, co wierzą jeszcze”⁸.

Rozwiąłość obyczajów wśród XVIII-wiecznego episkopatu francuskiego była przysłowiowa. Wśród niższego kleru trafiały się jeszcze przykłady pobożności i powściągliwości, ale i w tym środowisku skandale były zjawiskiem nader częstym. Najgorszą jednak sławą cieszyły się w XVIII-wiecznej Francji klasztory, i to — fakt znamieny — przede wszystkim te, które zajmowały się edukacją młodzieży, zwłaszcza żeńskiej. W powieściach obyczajowych wieku Oświecenia nadzwyczaj częstym motywem były przejawy libertyńskiej atmosfery i perwersyjne praktyki seksualne w klasztorach żeńskich i zakonnych pensjonatach dla dziewcząt, przykłady wyuzdania zakonników i akty rozpusty w klasztorach męskich⁹. Na tematach tych osnute były setki utworów beletrystycznych, drukowanych i upowszechnianych potajemnie, a cieszących się niezwykłą poczytnością, na czele ze słynnym Odźwiernym klasztoru idprtuzów (*Histoire de Dom Bougre, Połrtier des Chartreux, écrite par lui-même*), dziełem, które w roku 1748 opublikował anonimowo młody adwokat Jean- -Charles Gervaise de Latouche. Motyw klasztoru jako potajemnej jaskini rozpusty rozwijany był w literaturze francuskiej przez cały wiek XVIII, dochodząc do szczytu w straszliwej wizji eremu Panny Marii Leśnej (*Sainte-Marie des Bois*) w Justynie markiza de Sade.

Gdyby wszelako ktoś chciał utrzymać, że wszystko to były fantazje i zmyślenia przewrotnych libertynów, moglibyśmy przytoczyć wiele poważnych dokumentów źródłowych, ukazujących obyczajowość duchowieństwa francuskiego XVIII wieku w arcyniekorzystnym świetle. Dla przykładu posłużymy się jednym tylko źródłem, które dostarcza interesujących danych liczbowych.

Dziennikarz i publicysta francuski z okresu Wielkiej Rewolucji, Pierre Manuel, ogłosił w roku 1790 interesującą publikację, odsłaniającą wieie tajemnic policji paryskiej z czasów „ancien régime’u” i podającą sporo cennych dokumentów. Między innymi w dziele tym znalazły się informacje o interwencjach policji paryskiej w sprawach księży i zakonników, zamieszanych w drastyczne afery obyczajowe¹⁰. Otóż w ciągu

dwunastu lat (1760—1772) policja paryska przychwyciła na czynach „nieobyczajnych” 77 zakonników, 25 księży świeckich i kilku biskupów. Manuel opublikował nie tylko nazwiska wszystkich duchownych schwytyanych in flagranti, ale również przedstawił okoliczności, w których nastąpiła interwencja policji, czasami zaś i perwersyjne praktyki, jakim delikwenci się oddawali. Wśród występnych zakonników prym wiedli kordelie- rzy — 12 wypadków w ciągu sześciu lat; najporządniej zaś prowadzili się jezuici, gdyż tylko jeden z nich wpadł w nieprzyjemnej sytuacji w ręce agentów policji w roku 1764. Pamiętać należy, iż liczby te obejmowały jedynie obszar Paryża i te wypadki, które z uwagi na skandal lub specjalnie drastyczny charakter zaalarmowały policję.

Wiek XVIII z wielu powodów, nad którymi trudno się rozwodzić, był epoką szczególnego nasilenia wszelkiego rodzaju perwersyjnych i wyrafinowanych praktyk seksualnych. Nic więc dziwnego, że zarejestrowani przez Manuela libertyni w sutannach często przychwytywani byli w sytuacjach dość niezwykłych. Parokrotnie agenci policji natknęli się na igraszki grupowe, jeszcze częściej byli świadkami praktyk flagellacyjnych. Inspektor policji paryskiej Marais (którego cenne raporty z lat 1757—1777 posłużą nam do

zobrazowania obyczajów erotycznych upowszechnionych w tych latach w Paryżu) był zdania, że najczęstszymi klientami lu-panarów, poddającymi się specjalnym zabiegom dla zaspokojenia masochistycznych upodobań, byli właśnie duchowni wszelkiego stopnia¹¹.

Przytaczamy te fakty nie tylko dla ukazania bez żadnych przemilczeń intymnych obyczajów wieku XVIII, ale przede wszystkim dla udokumentowania, że najbardziej nawet drastyczne obrazy obyczajowe w literaturze francuskiej wieku Oświecenia były jedynie odbiciem rzeczywistości. Warto o tym pamiętać, ponieważ problem stosunku libertyńskiej literatury obyczajowej do społecznej rzeczywistości będzie nieraz jeszcze wracał w toku naszych rozważań.

Dokumenty epoki i obserwacje zanotowane przez naocznych świadków są najlepszym świadectwem obyczajów i mentalności ówczesnego społeczeństwa. Będziemy też posługiwali się nimi jak najczęściej. Skoro jesteśmy przy sprawach indyferentyzmu religijnego, oto relacja o pewnych wydarzeniach w Paryżu w czasie Wielkiego Postu 1776 roku.

„Uroczy libertyni naszego dworu dla dodania pikanterii swoim zabawom umyśleli otworzyć subskrypcję na ręce najslawniejszych kurtyzan Paryża dla zorganizowania wspaniałego pikniku, który ma być poprzedzony przedstawieniem teatralnym, a kontynuowany balem, piekielnymi zabawami i tym wszystkim, co może towarzyszyć podobnej orgii. Książę de Chartres i hrabia d'Artois obiecali swój udział; każdy uczestnik miał wpłacić pięć ludwików. Komedie grać miała panna Guimard, a panna Duthé miała śpiewać, natomiast panna d'Ervioux, nadintendentka bankietu, zamówiła przyjęcie u restauratorów na bulwarach. Rozkoszna zabawa była początkowo planowana na karnawał, ale w końcu, aby uczynić ją bardziej uroczystą i niezwykłą, przeniesiono ją na pierwszy czwartek Wielkiego Postu. Nadszedł dzień wyznaczony, wszystko było gotowe do przedstawienia, które miało się składać z dwóch znanych sztuk, Kolonii i Sabotów, gdy nagle rozkaz królewski wstrzymał całą imprezę z wieczornym przyjęciem włącznie. Nikt nie wątpi, że to gorliwość księdza arcybiskupa wielce przyczyniła się do powstrzymania tak skandalicznego festynu...”¹²

Czyż bardzo mylili się chrześcijańscy apologety utrzymując, że celem libertyńskich wybrków było przede wszystkim okazanie pogardy dla nakazów religii? Ksiądz arcybiskup Paryża odniósł tym razem zwycięstwo nad swawolnymi demonstrantami libertyńskich obyczajów, ale kłopoty bynajmniej na tym się nie skończyły. Nadszedł Wielki Tydzień:

„Ksiądz arcybiskup Paryża, wielce zasmucony faktem, że przedstawienia teatralne trwają normalnie aż do końca, mimo nabożeństw jubileuszowych, miał nadzieję, że uda mu się przynajmniej przerwać promenady w Long-Champs, tak chętnie praktykowane w Wielkim Tygodniu, jako bezbożne i nieprzystojne z uwagi na udział w nich najelegantszych dziewcząt stolicy i uroczych liberynów z dworu i miasta. Proponował nawet ministerium, aby zamknąć w ciągu tych świę-

tych dni bramy Lasku Bulońskiego; nie wydaje się jednak, aby mógł to osiągnąć, więc to występne widowisko będzie trwać nadal | największą pompą i szaleństwem”¹³.

A jak wyglądały w tych czasach paryskie obchody święta Bożego Ciała? Mieszczanie dekorowali chętnie okna, balkony i fasady domów wzdłuż ulic, którymi kroczyć miała procesja. Ale jak dekorowali! Pisz o tym Mercier:

dekoracje wzdłuż ulic, którymi niesiony jest Najświętszy Sakrament, przedstawiają obraz bezwstydnego miłości mitologicznych bogów i bogiń. Jupiter porywa Ganymeda i pieści Junonę; Bacchus upaja się na piersi Erygony; Salmacis ściska w stęsknionych ramionach opierającego się młodego człowieka; Apollo ściga Dafne; Wenus uśmiecha się do Adonisa. Oto wizerunki, które pobożni rozkładają, aby uczcić największą świętość. Metamorfozy Owidiusza prezentują się przed oczyma kapłanów odprawiających ofiarę [...] Fałszywe bóstwa starożytności ścielą się aż do stóp ołtarza [...] Apollo i dziewięć jego muz otrzymują

błogosławieństwo przeznaczone dla wiernych...”

Malarstwo i grafika XVIII wieku wykorzystywały chętnie motywy antyczne, a ówczesne ujęcia tematów mitologicznych były nieraz arcyśmiałe. Aby jednak dekorować tymi dziełami ołtarze w dniu Bożego Ciała, na to trzeba było zupełnego już oderwania społecznej mentalności od istoty religijnego kultu.

I wśród stanu trzeciego, przynajmniej w większych miastach, trudno więc było znaleźć wiernych, którzy by z przejęciem i ku wewnętrznemu zbudowaniu słuchali pouczających kazań o libertynizmie i związanych z nim niebezpieczeństwach dla duszy i ciała. Jeżeli później, w latach dyktatury jakobińskiej i terroru rewolucyjnego 1793—1794, walka z chrześcijańskim kultem religijnym (który zastępowano kultem Rozumu) odnosiła — przynajmniej w Paryżu i innych wielkich ośrodkach miejskich — tak poważne sukcesy, to u podstaw tego zjawiska leżało niewątpliwie powszechne zubożenie religijne i dechrystianizacja postawy moralnej i światopoglądowej znacznej części stanu trzeciego.

20

Jest oczywiste, że ekspansja libertynizmu w dziedzinie świadomości i obyczajowości znacznej części XVIII-wiecznego społeczeństwa francuskiego wiązać się musiała z rozwojem odpowiedniej literatury, zarówno filozoficzno-moralnej i polemicznej, jak i beletrystyki wszelkich rodzajów. Zwłaszcza beletrystyka libertyńska mnożyła się w tempie zgoła gwałtownym; na setki tytułów liczyć trzeba utwory, które corocznie wchodziły potajemnie na francuski (i ogólnoeuropejski) rynek czytelniczy, ciesząc się popytem znacznie większym niż nawet najśłynniejsze dzieła filozoficzne. Z natury rzeczy beletrystyka libertyńska, przeznaczona ku rozrywce, była lekturą łatwiejszą i szerzej dostępną od poważnych dzieł filozoficznych. XVIII-wieczne liber- tyńskie utwory beletrystyczne z reguły zawierały jednak spory ładunek oświeceniowej doktryny filozoficznej, dzięki temu modne powieści, dialogi i komedyjki, ukazujące rozmaite przejawy ówczesnej obyczajowości erotycznej, popularyzowały jednocześnie anty- fideistyczną i sceptyczną postawę światopoglądową i ograniczały wpływy doktryny chrześcijańskiej.

Wiek XVIII nie cofał się przed wprowadzeniem na karty dzieła literackiego zjawisk z zakresu obyczajowości erotycznej w całej ich różnorodności i w pełnym blasku. Trzeba pamiętać, że wyrafinowany erotyzm i „sex” były głównymi tematami najlepszej XVIII-wiecznej beletrystyki, i że problemy te roztrząsano ówczesnie na kartach dzieł literackich bardzo wszechstronnie, dochodząc do tak pełnej analizy i rejestracji wszelkich . praktyk obyczajowo-erotycznych, że nawet wiek XX, z całym swoim bogactwem twórczości literackiej, nie potrafił w zakresie dokumentacji obyczajowej dorównać czasom Ludwika XV i Ludwika XVI. Skądinąd w XVIII-wiecznej beletrystyce libertyńskiej trudno dopatrzeć się pornografii. Stwierdzenie to może wzbudzić wątpliwości u kogoś, kto zetknął się z niektórymi XVIII-wiecznymi utworami beletrystycznymi przedstawiającymi praktyki erotyczne z takim naturalizmem i swobodą, że dzisiaj jeszcze potrafią one przerazić czasem wydawców i cenzorów. Otóż decydującym kryterium oceny jest niezaprzeczalnie wybitna wartość artystyczna tych dzieł. W zakresie wyrafinowanej beletrystyki erotycznej wiek Oświecenia nie tworzył literackiej tandety; każdy utwór tego rodzaju był z reguły dziełem talentu i owocem wysokiej kultury literackiej autora. A przecież — jak powiada wybitny znawca zagadnień pornografii Alec Craig — „książka pornograficzna nie jest w rzeczy samej niczym więcej niż źle napisaną książką o tematyce erotycznej¹⁵. Nie znaczy to, by w beletrystyce francuskiej wieku XVIII w ogóle nie było utworów słabych i nędznie napisanych. Po dziś dzień zalegają we wszystkich większych bibliotekach stopy śmiertelnie nudnych powieści francuskich z epoki Oświecenia, po które z pewnością nikt już sięgać nie będzie. Rzecz w tym, iż utwory słabe i nudne to przede wszystkim poczciwe powieści moralizatorskie nie mające nic wspólnego z libertynizmem i

wyrafinowaną erotyką. Tak się bowiem w XVIII wieku składało, że walory artystyczne dzida były z reguły wprost proporcjonalne do odwagi autora.

Śmiałe momenty obyczajowe wprowadzali wówczas do swoich dzieł najwybitniejsi pisarze. „Oprócz Bouffo- na wszyscy inni do swego sosu dodają papryki, to jest sprośności i rubaszości — gorszy się tym zjawiskiem Hipolit Taine. — Znaleźć je można nawet w Duchu praw; są one w ilości wielkiej, chociaż odmierzone i wyważone, w Listach perskich. Diderot w dwu wielkich ro mansach swoich¹⁶ rzuca je z pełnych garści jakby w dniu jakiej orgii. Na każdej stronicy Woltera trzeszczą w zębach jakby ziarna pieprzu. Znajdziecie je, wprawdzie subtelne, ale ostre i palące, w Nowej Heloizie, w kilkunastu ustępach Emila i w Wyznaniach od początku do końca. Taki był smak czasu; Malesherbes, człowiek tak uczciwy i tak poważny, umiał na pamięć i recytował Dziewicę Orleańską Woltera; Saint-Just, najposępniejszy spomiędzy Górali, napisał poemat równie lubieżny jak utwór Woltera; a pani Roland, najszlachetniejsza przedstawicielka żyrondistów, pozostawiła wyznania nie mniej zuchwałe i szczegółowe jak wyznania Rousseau”¹⁷.

Tytuły wymienione przez zacnego mistrza pozytywizmu budzą już dzisiaj uśmiech pobłażania; zawarte w nich momenty „drastyczne” straciły cały swój szokujący wdzięk. Można by jednak dorzucić do nich listę dzieł, których Taine omawiać nie śmiał, gdyż treść ich wykraczała w ogóle poza XIX-wieczne pojęcia o „obyczajności” słowa drukowanego. O niektórych jeszcze wspomnimy. Warto wszelako dodać do dwóch wypominanych Diderotowi, zbyt śmiałych rzekomo opowieści, dzieło zupełnie odmienne w stylu, ale niemniej doskonałe, a przez historyków literatury skazane na zapomnienie — Niedyskretne klejnoty (Les Bijoux indiscrets). Warto wspomnieć o dzidach słynnego polityka, mówcy i pisarza politycznego, Gabriela de Mirabeau, z których niezwykły rozgłos zyskała przede wszystkim Erotika Biblion, zbiór ciekawych rozważań na temat psychologii i obyczajowości erotycznej, opartych na przykładach zaczerpniętych przeważnie ze Starego Testamentu.

W roku 1776 jeden z dziennikarzy francuskich notował: „Rozwiązłość piór wzmagą się z dnia na dzień; do tego stopnia nadużywa się łagodności nowego rządu, że będzie on, być może, zmuszony do przywrócenia inkwizycji z końca panowania Ludwika XV. Widziano tutaj fw Paryżu] kilka egzemplarzy dzieła, o którym powiadają, że jest bardziej jeszcze obsceniczne niż Odźwierny klasztoru kartuzów; co widać nawet z haniebnego tytułu — La Foutromanie. Jest to poemat w kilku pieśniach wierszem, wymierzony przeciwko księżniczkom

i innym damom, osławionym słusznie czy niesłusznie z powodu swego bezwstydu. Powiadają, że były już dwa wydania tej broszury, za którą czynione są najpilniejsze poszukiwania, zarówno we Francji, jak i w Holandii; jest ona zresztą bardzo droga”¹⁸.

Dopiero po latach okazało się, że autorem tego dzieła był czterdziestoletni wówczas literat i publicysta o du- żym później rozgłosie, Gabriel Sénac de Meilhan (1736— —1803). Nie był to bynajmniej jedyny wypadek, gdy osobistość o ustalonej pozycji literackiej wydawała anonimowo dzieło, którego treść była tak śmiała, iż przyznawać się do tej książki można było tylko poufale w gronie przyjaciół, co zresztą nie przeszkadzało, że bardzo szybko nazwisko autora docierało do szerokiej publiczności. Nikt się takiej twórczości nie wstydził. Przykład szedł z góry — od twórców otoczonych powszechną czcią i uwielbieniem.

Dzieła o śmiałej treści erotycznej (podobnie jak i pisma filozoficzne niezgodne z chrześcijańską doktryną lub ideologicznymi założeniami monarchii) trzeba było oczywiście wydawać potajemnie. We Francji XVIII wieku księgarze sprzedawali książki trzech rodzajów. Do najmniej popularnych, ale przez jurysdykcję duchowną i oficjalne czynniki państwowe popieranych i mile widzianych, należały dzieła bogobojne, utrzymane w duchu wiary i moralności katolickiej, zachęcające do „cnoty” i pobożności, nie wdające się nieroztropnie w ukazywanie „występku” i „ohydy libertynizmu”, jako że zło z natury swojej

było podobno niesłychanie atrakcyjne i ukazane w zbyt realistycznej postaci mogło zbytnio pociągać umysły czytelników. Na takie ostrożne i ku zbudowaniu dusz służące dzieła łatwo można było uzyskać oficjalny „przywilej” (le privilège), zapewniający księgarzowi ochronę praw wydawniczych i bezpieczeństwo rozpowszechniania książki. Kłopot polegał na tym, że książki tego rodzaju nie cieszyły się zainteresowaniem i zakupem.

Znacznie popularniejsze były realistyczne opowieści obyczajowe, których autorzy zapewniali zresztą z całą powagą, że ukazują zło po to tylko, by je bezwzględnie napiętnować, i przestrzegali czytelników, aby nie dali się zwieść rzekomemu wdziękowi „występku” —

co oczywiście przyjmowane było przez wytwornych czytelników i nadobne czytelniczki ze sceptycyzmem i uśmiechem. Powieść realistyczna traktowana była przez oficjalne czynniki bardzo podejrzliwie (skądinąd nie cieszyła się uznaniem nawet ideologów Oświecenia, gdyż podobno nie wpływała na poprawę obyczajów), uzyskanie przywileju było więc dla takiej książki z reguły niemożliwe. Jeżeli jednak było to dzieło w miarę „przystojne”, występku rzeczywiście nie pochwalające, wolne od scen „nieobyczajnych” i z pewnym umiarkowaniem traktujące o sprawach „sexu”, można było uzyskać dlań od władz cenzorskich zapewnienie tolerancji, czyli tzw. permission tacite. Dzięki takiej permission księgarz mógł sprzedawać dzieło bez obawy represji, póki z jakichś względów nie zostało ono uznane za niebezpieczne i godne potępienia.

Poza wszelką tolerancją pozostawały jednak dzieła najbardziej popularne, rozchwytywane, przekazywane z rąk do rąk, namiętnie czytane i wywierające na umysłowość społeczeństwa wielki, czasami decydujący wpływ: wszelkiego rodzaju pisma filozoficzne i publicystyczne, atakujące jawnie aktualną rzeczywistość polityczną, a przede wszystkim zasady wiary chrześcijańskiej, oraz —■ najliczniejsze i najłatwiej się rozchodzące — opowieści, dialogi, utwory dramatyczne i poematy zawierające duży ładunek realistycznej obserwacji obyczajowej, śmiało przedstawiające praktyki erotyczne i seksualne, propagujące etykę hedonistyczną i światopogląd libertyński. Książki takie można było sprzedawać tylko „spod lady” lub z kosza wędrownego kolportera, ostrożnie i klientom zaufanym — co nie ograniczało bynajmniej ich poczytności, gdyż w praktyce dzieła takie były wielokrotnie wznawiane, rozprzedawane w tysiącach egzemplarzy, gromadzone w prywatnych bibliotekach, omawiane w literackich salonach, mimo czujności policji, bacznie śledzącej punkty sprzedaży tej „wszetecznej” literatury.

Dzieła zakazane wydawane były oczywiście anonimowo, z fałszywym adresem wydawniczym, bez znaku drukarni. Ciekawe są te XVIII-wieczne druki nielegalne, które należały przecież do najpowszechniejszej lektury, a uważane były za płody występku i dowody

zbrodni przeciwko religii i państwu. Jako miejsce wydania podają najczęściej Londyn lub któreś z miast holenderskich — Hagę, Amsterdam, Leydę; niekiedy Genewę lub Kolonię. Czasami rzeczywiście tam były tłoczone, w licznych jednak wypadkach wyprodukowano te książki w potajemnych drukarniach prowincjonalnych we Francji lub zgoła w samym Paryżu, pod nosem czujnej a przecież zwykle nieporadnej policji królewskiej. Jeżeli autor lub wydawca chciał podkreślić erotyczny charakter utworu, kładł czasem na karcie tytułowej fantastyczny adres wydawniczy, na przykład dans l'isle de Calypso, aux dépens des nymphes (L'École de la Volupté, 1747), lub à Cythère, à Paphos (liczne publikacje, głównie z drugiej połowy XVIII wieku). Niektórzy autorzy wskazywali wprost „grzeszny” charakter swego utworu, stwierdzając, że został wydany „w piekle” (Aux Enfers, Almanach du Diable, 1738). Diderot, publikując swe Niedyskretne klejnoty (1748), posłużył się nazwą zaczerpniętą z fantastycznej geografii: Au Monomotapa. Mirabeau, wydając swoją Erotika Biblion zapewniał czytelnika, uśmiechając się doń ironicznie z kart książki, iż dzieło to wyszło „w Rzymie, z drukami watykańskiej” (À Rome, de l'imprimerie du Vatican, 1783). Jeżeli książka

utrzymana była w konwencji opowieści orientalnej, podawano czasami jako jej miejsce wydania Konstantynopol czy Pekin.

Skoro dzieło takie weszło na rynek, wystarczyło zazwyczaj kilka tygodni, by władze policyjne i cenzorskie zorientowały się w jego cyrkulacji. Natychmiast też zapadały srogie wyroki; parlamenty skazywały „wszetecz- ne” i „bezbożne” dzieła na spalenie ręką kata;

- kolportowanie takiego utworu stawało się poważnym przestępstwem, które można było boleśnie odpokutować. Podejrzany autor łatwo mógł znaleźć się w więzieniu, niejedyn też cierpiał za swawolę pióra w Ba- stylii czy Vincennes. Płonęły stosy, na których symbolicznie niszczone zakazane dzieła. Symbolizm tej egzekucji był z reguły podwójny; było to bowiem nie tylko wyobrażenie śmierci cywilnej autora i wyrwania jego dzieła ze świadomości społeczeństwa, co z reguły podnosiło jedynie atrakcyjność publikacji — ale również pozorne tylko palenie egzemplarza inkryminowa

nej książki. Zacni radcy parlamentów nie mieli przecież zamiaru pozbawiać się skonfiskowanych egzemplarzy, które lepiej było włączyć do prywatnych bibliotek. Na stosach płonęły więc atrapy potępionych dzieł, pęki makulatury, wrzucane przez kata w płomienie w atmosferze groteskowej powagi¹⁹. Groźni prawnicy zdejmowali potem urzędowe szaty i śpieszyli do swych uroczych „małych domków” za miastem (osławionych *les petit es maisons*), gdzie w towarzystwie pięknych a nie grzeszących zbytnią wstydlivością dziewcząt oddawali się lekturze książek, które przed paru godzinami uroczyście wyklinali...

Nie bez kozery władze duchowne ściśle łączyły erotyczną beletrystykę libertyńską z propagandową literaturą filozoficzną zwalczającą doktrynę chrześcijańską. Nie chodziło tu nawet o wspólnotę ducha racjonalizmu i sceptycyzmu, dominującego w obu tych rodzajach ówczesnego piśmiennictwa. Po prostu krytyka religii i roli duchowieństwa bardzo często wiązała się z obyczajową sensacją, z demaskowaniem elementów sexu w rozmaitych pobożnych praktykach, zwłaszcza pokutniczych, a czasami z parodystyczną drwiną ze świętości, prezentowaną na tle fabuły ściśle erotycznej. Od najsłynniejszego poematu libertyńskiego wieku Oświecenia — *Dziewicy Orleańskiej* Voltaire’a, aż po ostatni głośny pamflet antychrześcijański, zrodzony z ducha XVIII stulecia, *Cytatora* (*Le Citateur*, 1803) Guillaume’a Pigault-Lebrun’a, oba te elementy — krytyka religii i erotyzm — spletały się ściśle w treści dzieł wielu autorów. Toteż wystąpienia episkopatu francuskiego przeciwko „bezbożnej i wszetecznej” literaturze z reguły atakowały łącznie erotyzm i filozoficzną propagandę deizmu czy ateizmu.

Potępiając w roku 1775 całą serię „niebezpiecznych” dzieł episkopat francuski tak uzasadniał sens walki z tego rodzaju literaturą: „Książki te zostały potępione in globo, jako zawierające zasady oczywiście fałszywe, obelżywe dla Boga i jego najwyższych przymiotów, popierające albo propagujące ateizm, pełne trucizny materializmu, unicestwiający zasady dobrych obyczajów, wprowadzający pomieszanie w pojęcie cnoty i występku, zdolne zakłócić spokój rodzin, zetrzeć uczucia,

które je utrzymują, przez popieranie namiętności i rozwiązłości wszelkiego rodzaju, jak również przez budzenie pogardy dla ksiąg świętych, przez obalenie ich autorytetu i usiłowanie wydarcia Kościołowi władzy, którą otrzymał od Jezusa Chrystusa, jak również przez zniesławienie jego kapłanów. [Dzieła te mają również na celu] zbuntowanie poddanych przeciwko władcom, wzniecenie buntów i zamieszek...”²⁰ W ten sposób autor dzieła ukazującego bez zakłamania praktyki obyczajowe swojej epoki i propagującego swobodny, liber- tyński stosunek do spraw moralności, stawał w jednym rzędzie z obwinionymi o niszczenie autorytetu Kościoła i unicestwianie moralności publicznej, skąd był już tylko jeden krok do oskarżenia o podżeganie do buntu przeciwko monarsze i państwu. Duchowni obrońcy „ancien régime” posuwali się więc do szczególnej argumentacji, nie bacząc, że ich własna obyczajowość nie zawsze godziła się z postawą niezłomnych wrogów „występku” i „nieobyczajności”. Argumentacji tej nikt oczywiście zbyt serio brać nie mógł, gdyż inaczej

okazałoby się, że największymi wrogami aktualnej rzeczywistości społecznej i politycznej we Francji XVIII wieku byli wówczas... najbardziej uprzywilejowani. Literatura libertyńska była atakowana nie tylko za zbyt drastyczny obraz obyczajów, które —»w pojęciu moralistów — winne być utajone, a nie wyciągane publicznie na światło dzienne. Szło o rzecz ważniejszą, a mianowicie o wpływ literatury na życie społeczne, o kształtowanie się obyczajów pod wpływem lektury dzieł ukazujących niebezpieczne wzory. Ludzie epoki Oświecenia przepojeni byli wiarą w możliwość i celowość kształtowania natury ludzkiej w pożądany sposób przy pomocy literatury i sztuki. Sądzono, że literatura winna pouczać, wskazywać budujące przykłady, zachęcać do cnoty; moralizatorstwo miało być jej sensem istnienia. Wierzono w olbrzymi wpływ lektury na kształtowanie osobowości i postawy moralnej, dopatrywano się w treści dzieła beletrystycznego elementów inspirujących czytelnika do dobrego lub złego. Otóż cała literatura obyczajowa, ukazująca rozwiązłość obyczajów epoki (nie mówiąc już o tej, która wprost do poszukiwania rozkoszy zmysłowej zachęcała), była z tego punktu widzenia społecznie szkodliwa, bowiem powodowała nieuchronnie wzrost skłonności do „występku” i kompromitację „cnoty”. Zmuszało to autorów dzieł, które miały być kolportowane przynajmniej na zasadach *permission tacite* i które chciano uchronić przed zejściem do podziemi, do stosowania swoistego kamuflażu: rozwiązłość obyczajów, wszelkie przejawy „występku”, praktyki „nieobyczajne” ukazywane były w ich utworach rzekomo po to tylko, aby obnażyć ogrom zła, napiętnować winnych, przestrzec „cnotę” przed czyhającymi w życiu niebezpieczeństwami, ukazać wreszcie nieuchronny żalony koniec każdej występnej istoty i sprawiedliwą karę, jaka ją spotkać musiała. Schemat ten powtarzał się nadzwyczaj często w realistycznej powieści obyczajowej wieku Oświecenia. Autorzy dorabiali sztucznie moralizatorskie zakończenia, nieraz stojące w rażącej sprzeczności z całą fabułą — byle tylko zasłużyć na pobłażanie cenzorów i nie doczekać się oskarżenia o sugerowanie czytelnikom triumfu „występku”. Wiejskie życie XVIII żywił niezwykle kult dla wszelkiego autentyzmu. Jawna fikcja literacka przyjmowana była z dużą rezerwą, autorzy dążyli do nadania swym dziutom pozorów autentycznych dokumentów; stąd tak częsta wówczas konwencja powieści w listach, rzekomo autentycznych, znalezionych gdzieś przez autora (który podawał się tylko za wydawcę), przedstawianych czytelnikowi jako ciekawy obraz życia i doznań bohatera, który istniał naprawdę; stąd również częsta fikcja pozornie autentycznego pamiętnika, w którą ubierano powieściową narrację. Ówczesne zamięłowanie do autentyzmu nie przeszkadzało wszelako w przyjmowaniu bez sprzeciwu sztucznych point, zakończeń i podsumowań, mających nadać zbyt śmiałym opowieściom prawdziwie moralizatorski charakter. Ulegali naciskowi tych wymagań epoki najwybitniejsi ówcześni twórcy. Schemat ten odgrywał olbrzymią rolę w twórczości Rstifa de la Bretonne. Przyjął go Pierre Choderlos de Laclos w swoich znakomitych skądinąd Niebezpiecznych związkach. Jeszcze nawet markiz de Sade w pierwszej wersji swojej Justyny utrzymywać będzie fikcję dzieła moralizatorskiego, napisanego rzekomo w celu skompromitowania libertynizmu i kończącego się triumfem cnoty; dopiero w Nowej Justynie odrzuci śmiało ten sztuczny schemat, przedstawiając bez ogródek dość rozpowszechnioną ówczesnie w opinii publicznej tezę o zbrodni wiodącej z reguły do sukcesu i cnotie skojarzonej zawsze z nieszczęściem.

Niewielu pisarzy czy myślicieli XVIII wieku odważało się otwarcie podać w wątpliwość teorię olbrzymiego wpływu literatury na obyczaje społeczeństwa; niewielu też ośmieliło się bronić jawnie realistycznej literatury obyczajowej. Do tych nielicznych należał Louis-Sébastien Mercier, autor wspomnianego już poprzednio Obrazu Paryża. Ośmieszając podejrzliwą cenzurę francuską zauważał z przekąsem: „cenzorzy królewscy to najużyteczniejsi współpracownicy zagranicznych drukarni; bogacą Holandię, Szwajcarię, Belgię...” A rozprawiając się z poglądami świętoszków, którzy dopatrywali się źródła upadku obyczajów w

zbyt swobodnej literaturze, stwierdzał: „Rudna moralności wywodzi się z dworów, a nie z książek. Zbrodnia pisarzy polega jedynie na tym, że rzucają światło na ów ogrom występków, które chciałyby ukryć się w ciemnościach. Moźni nie mogą ścierpieć, że wszystkie te haniebne tajemnice zostały raz na zawsze ujawnione. Nienawidzą światła i ręki, która je nieci. [...] Powieści, które przez sławnych ludzi pióra, płodzących wzniosłe dzieła, osądzone zostały za zbyt frywolne, aczkolwiek sami oni nie potrafiliby czegoś takiego stworzyć, są w rzeczy samej bardziej użyteczne niż wszystkie poważne prace historyczne. Serce ludzkie odsłonięte, zbadane, ukazane we wszystkich swych drgnieniach, różnorodność charakterów i wydarzeń, wszystko to jest niewyczerpanym źródłem czytelniczej rozkoszy i refleksji. Spójrzcie, co czytają dzisiaj na wsi. Czyż wraca się tam do wiekopomnych tragedii Racine’a? Rzucają się na utwory interesujące i pełne prawdy, na powieści angielskie, na romanse księdza Prevosta, na dzieła znakomitego Rstifa de la Bretonne, wielkiego malarza obyczajów, męża wymownego, któremu chciałbym oddać wreszcie sprawiedliwość, jakiej niesłusznie odmawiają mu koledzy moi po piórze, powiadający się ludźmi wyższych upodobań...”^{s1}

Nic nie było w stanie zatrzymać ekspansji literatury odpowiadającej obyczajom i upodobaniom społeczeństwa. Powieści obyczajowe i libertyńskie opowiastki, dialogi, sui generis erotyczne podręczniki, zbiory epigramów, swawolne poematy — wszystkie te utwory rozchodziły się szybko po całej Francji i docierały do najodleglejszych krajów Europy mimo wyteżonych przeciwdziałań policji i duchownej cenzury. Gdy czasem udawało się nawet oczyścić z nich magazyny księgarni, pozostawały jeszcze tysiące pokątnych sprzedawców, rozprowadzających modną literaturę w najbardziej nawet zapadłe zakątki kraju. „Szpicle prowadzą zaciętą wojnę z wędrownymi kolporterami, tym dziwnym rodzajem ludzi, którzy uczynili sobie profesję z handlu jedynymi dobrymi książkami, jakie można jeszcze poczytać we Francji, oczywiście z tego powodu zakazanymi — pisał Mercier. — Maltretują ich okrutnie. Wszyscy policyjna siepacze uganiają się za tymi nieszczęśnikami, którzy nie wiedzą nawet, co sprzedają, i którzy ukrywaliby nawet Biblię pod kapotą, gdyby panu intendentowi policji spodobało się na przykład zakazać sprzedaży Biblii... Ci biedni domokrażcy, którzy rozprowadzają wszelkie najtrudniej dostępne płody talentu, nie umiejąc nawet czytać, którzy zupełnie nieświadomie służą wolności społeczeństwa po to tylko, aby zarobić na kawałek chleba, ściągają na siebie cały gniew możnych, którzy rzadko występują jawnie przeciwko autorowi, bojąc się wzbudzić oburzenie opinii publicznej i doszczętnie się zohydzić”^{s2}.

Przez ręce takich wędrownych sprzedawców przechodziły w XVIII wieku wszystkie książki, które dziś jeszcze warto czytać. Historia uczyniła tych ledwo sylabizujących biedaków najbardziej nieomylnymi krytykami. Wielkie dzieła obdarzone królewskimi przywilejami i uroczyscie przez moralistów do lektury polecane interesują dzisiaj jedynie badacze historii literatury, wytrwałych w przebijaniu się przez najnudniejsze nawet stronicę. Sprzedawane pokątnie małe książki in-12° lub in-16°, zdobione nieraz uroczymi grawiurami o swawolnej treści, po dziś dzień warto czytać i przekazują prawdę o tamtych czasach, prawdę, której obłudnym moralistom nie udało się ukryć.

Dnia 14 lutego 1707 roku w Paryżu, przy placu Maubert, urodził się pisarz, którego twórczość — aczkolwiek przez wielu lekceważona — jest po dziś dzień wyjątkowo żywa i pełna uroku, bowiem łączy w sobie znakomitą, wyrafinowaną formę artystyczną z dociekliwym, satyrycznym spojrzeniem na obyczaje tamtych czasów, a wśród pozornie błahych treści ukrywa nieraz zadziwiająco głębokie spojrzenie na psychikę bohaterów. Claude-Prospere Jolyot de Crébillon przyszedł na świat od razu ze słynnym nazwiskiem, był bowiem synem dramaturga uznanego wówczas za największego z największych, którego wymieniano zawsze razem z trzema innymi: Corneille — Racine -7- Crébillon — Voltaire. W pojęciu krytyki epoki Oświecenia tych czterech tragediopisarzy wzniosło twórczość dramatyczną na wyżyny, stanowiące absolut doskonałości. W połowie wieku XVIII Crébillon

(père) był chyba z nich najpopularniejszy i za bluźnierstwo uznano by wówczas przepowiednię, że w dwieście lat później na scenach świata pojawiać się ibędą jeszcze dzieła Corneille'a i Racine'a, ale o dziełach dramatycznych Voltaire'a pamiętać się będzie tylko dlatego, że wyszły spod pióra człowieka, który odegrał ówczasnie tak olbrzymią rolę w kształtowaniu świadomości swoich współczesnych, a potężne tragedie Crébillona znane będą jedynie historykom literatury. Stary Crébillon przez całe niemal życie przytłaczał syna ogromem swojej artystycznej pozycji. Był twórcą poważnym, ukazującym w swych dziełach najtragiczniejsze momenty losu ludzkiego, podczas gdy swawolny jego potomek dał się szybko poznać z utworów cynicznych, libertyńskich, przedstawiających w satyrycznym zwierciadle obyczaje współczesnych i nie cofających się przed portretowaniem w lekko tylko zawoalowanej postaci najbardziej osławionych dam i rozpustników Paryża czy Wersalu. Crébillon (fils) był przez całe życie wielkim zmartwieniem swego czcigodnego ojca. Słynny dramaturg obracał się oczywiście w tym samym świecie, co i jego marnotrawny syn, ale obyczaje tego środowiska uważał za niegodne uwieczniania w dziele literackim.

Około roku 1752 sławny już wówczas Crébillon (fils) założył wraz z poetą Pironem i komediopisarzem Collé sui generis klub literacki pod nazwą „Société des diners du Caveau”, w którym pojawiali się wszyscy niemal słynni artyści czasów Ludwika XV. Dwa razy w miesiącu zbierali się w restauracji Landela, gdzie w wesołym nastroju prezentowali najnowsze owoce swej twórczości i poddawali je wzajemnej krytyce. Posiedzenia te zaszczycał niekiedy swą obecnością znakomity dramaturg, ojciec swawolnego pisarza. Otóż w czasie jednego z tych obiadów zapytał ktoś starego Crébillona: „Które ze swych dzieł uważa pan za najlepsze?” — „Pytanie jest bardzo kłopotliwe — odpowiedział dramaturg z uśmiechem — nie mogę sam ich oceniać; ale najgorsze może pan sobie obejrzyć, tam siedzi...” —¹ i wskazał ręką syna²³.

Historia zanotowała tę anegdotę, bowiem mało jest przykładów podobnie nietrafnej oceny; Crébillon (fils) był niewątpliwie najlepszym dziełem swego ojca i tylko dzięki temu dziełu sławny niegdyś dramaturg jest jeszcze dzisiaj wspominany.

Wskutek zainteresowań zawodowych ojca młody Crébillon ndejnal od dzieciństwa związany był z teatrem, co należy rozumieć we właściwy sposób, zgodnie z obyczajami epoki. Przesiadywał po prostu za kulisami Komedii Francuskiej, a przede wszystkim Opery i ku uciesze młodych artystek odczytywał tam pierwsze swoje utwory, zabawne parodie (Arlequin, toujours Arlequin; Sultan poli par l'amour; L'Amour à la mode i inne. Obyczaje za kulisami teatrów paryskich, a zwłaszcza Opery w połowie XVIII wieku, przedstawimy na podstawie kilku interesujących przykładów; w tym miejscu musimy jednak stwierdzić, że ze źródła tego młody pisarz zaczerpnął olbrzymią wiedzę o obyczajach erotycznych epoki i wielki zasób skandalicznych historyjek, które zużytkował potem w kilku swoich najlepszych dziełach.

Twórczość Crébillona nie jest zbyt obszerna i ogranicza się do kilku powieści, paru zbiorów opowiadań satyrycznych w stylu wschodnim, dwóch głośnych dialogów i pewnej liczby rozproszonych parodii. Wydanie zbiorowe pdsu Crébillona, ogłoszone w roku jego śmierci (zmarł 12 kwietnia 1777), zawierało tylko jedenaście dzieł²⁴. Czy była to jednak całość twórczości słynnego pisarza? Już współcześnie sądzono, że nie, i podejrzewano Crébillona o autorstwo wielu innych utworów, do których się nie przyznawał. Niektóre z tych dzieł niepewnego autorstwa możemy dzisiaj z oąą niemal pewnością przypisać Crébillonowi. Gdybyśmy jednak ograniczyli się choćby tylko do wydania zbiorowego z 1777 roku, to spośród pomieszczonych tam jedenastu dzieł przynajmniej pięć musielibyśmy uznać za utwory godne pamięci nawet po dwóch stuleciach. Część to pokaźna, zważywszy że chodzi o pisarza, którego twórczość ze względu na bląhą tematykę nie mogła pretendować do nieśmiertelności.

Pierwszy poważniejszy skandal wywołany twórczością młodego Crébillona nastąpił w

roku 1734 po publikacji jego opowieści w stylu wschodnim pt. Cedzak, czyli dzieje Jesięcia Tanzai i Neadarny, historia japońska (L'Ecumoire ou Tanzai et Néadarné, histoire japonaise). Crébillon posłużył się tu ulubioną konwencją opowieści wschodniej, sugerując czytelnikowi, że jest jedynie tłumaczem autentycznego japońskiego utworu, który po wielu perypetiach został wreszcie przełożony na język francuski.

Stylizacja orientalna była w czasach Oświecenia niesłychanie modna. Od roku 1704, gdy Antoine Galland udostępnił czytelnikom europejskim w swojej dość swobodnej adaptacji francuskiej pierwsze fragmenty Księgi 1001 nocy, mnożyć się zaczęły utwory satyryczne i obyczajowe, stylizowane w duchu baśni czy opowieści wschodniej, korzystające z tej fikcji dla przemycenia śmiałych treści satyrycznych lub realistycznych scen obyczajowych, łatwiej tolerowanych, gdy całą ich „nie-przystojność” można było złożyć na karb oryginalnych zwyczajów odległego i obcego społeczeństwa, nie korzystającego z dobrodziejstw objawionej wiary i moralności chrześcijańskiej. Cedzak nie był dziełem udanym, ściągnął jednakże na autora oburzenie władz duchownych i prześladowania, gdyż dopatrywano się w tej historyjce satyry na bullę „Unigenitus”, kardynała de Rohan i księżnę du Maine. Młody autor rychło zapoznał się z losem zbyt śmiałych pisarzy — przez kilka tygodni przesiedział w więzieniu w Vincennes, póki nie został stamtąd uwolniony dzięki staraniom przyjaciół.

Smutne to doświadczenie nie wpłynęło bynajmniej na jego twórczość. Żył nadal swobodnie i wesoło, obracał się w kręgu salonu pani de Sainte-Maure, zabawiał towarzystwo swoimi śmiałymi i drastycznymi opowiadkami, z których większość przepadła potem bez śladu, nie doczekawszy się druku. Nawiązał stosunki z panią de Margy. Dama ta przez wielo lat była jego kochanką i doczekała się uwiecznienia pod imieniem markizy de Lursay w doskonałej powieści pit. Zbłądzenia serca i uiriysłu, czyli pamiętniki pflnlp. de Meilcour (Égarements du Coeur et de l'Esprit ou Mémoires de Mr de Meildour).

Dzieło to należy do najcelniejszych utworów Crébillona, zarówno dzięki świetnemu, dyskretnie satyrycznemu obrazowi obyczajów arystokratycznych salonów Paryża, jak i doskonałej analizie ewolucji psychicznej bohaterów. Pisarz posłużył się tym razem konwencją autentycznego rzekomo pamiętnika, pozostawionego przez arystokratę z bogatej i znanej rodziny, który spędził młodość w paryskich salonach. Bogata i złożona fabuła powieści dostarczyła autorowi wiele okazji do przedstawienia interesujących rozważań na temat obyczajów epoki. „Wszedłem w świat mając lat siedemnaście — zwierza się bohater opowieści. — {...} Brak zajęć,

zwykły u ludzi mojej kondycji i mego wieku, szkodliwa atmosfera, swoboda, przykład przyjaciół, wszystko wiodło mnie ku przyjemnościom zmysłów”. Wrodzona nieśmiałość hamowała początkowo zapęły młodziana. „Miałem tak mało doświadczenia w stosunkach z kobietami, że wyznanie miłosne wydawało mi się obrazą dla kobiety, do której było zwrócone”. Ale obyczaje środowiska, w którym Meilcour przebywał, szybko wyleczyły go z nieśmiałości. „Trzykrotnie zazwyczaj powtarzano kobiecie, że jest ładna, gdyż nie trzeba było więcej; za pierwszym razem już wierzyła, dziękowała za drugim, a z reguły odwdzięczała się za trzecim. Czasami zdarzało się, że mężczyzna nie potrzebował w ogóle mówić. Co zaś w czasach tak rozsądnych jak nasze bardziej jeszcze może zadziwi, dama niekiedy nie czekała nawet na odpowiedź mężczyzny na jej zaloty. Mężczyzna nie musiał być zakochanym, aby się podobać; w tych pośpiesznych przygodach nie potrzebował być nawet miłym. Pierwsze spojrzenie decydowało

o wspólnym związku, ale rzadko się zdarzało, by nazajutrz związek ten jeszcze trwał. Mimo to, porzucając się nawzajem z taką skwapliwością, nie unikano bynajmniej znudzenia”²⁵. Dzieląc się tymi obserwacjami, poprzez wypowiedzi swego bohatera Crébillon jednocześnie upewniał, że są to wspomnienia z minionej dawno epoki. „Od tamtych czasów obyczaje tak się cudownie zmieniły, że nie zdziwiłbym się, gdyby uznano dziś za bajkę to wszystko, co

napisałem w tej materii” — ironizował./

Główną bohaterką opowieści jest pani de Lursay, piękna markiza, o kilkanaście lat starsza od zanego młodziana, znajoma jego matki. Związek, który wkrótce połączył tę parę, w czasach tych był dość częstym zjawiskiem; uroczą damę wybrała sobie w gronie swych przyjaciół niedoświadczonego kandydata na amanta

I bez trudu schwytała go w swą sieć. „Mówiła mi wiele miłych rzeczy na temat mych zalet duchowych i fizycznych; jej poufałość ze mną i częste z nią rozmowy skłoniły mnie do wielkiej dla niej przyjaźni i swobody obcowania, której nie znałem dotąd w stosunkach z płcią piękną”. Swoboda ta osiągnęła wkrótce punkt krytyczny, Meilcour został kochankiem markizy, oto-

I czonym z początku serdecznością i czułością. Rozwój I wzajemnych stosunków między damą i jej kawalerem I jest głównym wątkiem opowieści. Meilcour okazuje I się marionetką w rękach doświadczonej kobiety. Pani I de Lursay przez dłuższy czas doskonale rozgrywa swą I partię, utrzymuje go perfidnie w roznamiętnieniu i nfe- I pokoju. Dopiero po dłuższym czasie markiza traci I w oczach Meilcoura: okazuje się sprytną i wyrafinowa- I ną uwodzicielką, angażującą się jednocześnie na wielu I polach. Bohater zaczyna dojrzywać psychicznie do po- I stawy cynicznych libertynów, których reprezentantem I w powieści jest świetnie nakreślony de Versac. Na przy- I kładzie doświadczeń Versaca Meilcour dostrzega nowy I problem: dla wyrafinowanego libertyna celem stają się I w końcu zdobycze miłosne nie dla nasycenia zmysłów (gdyż w ich świecie zaspokojenie takie jest zbyt łatwe,

I proste i nudzące), ale przede wszystkim dla nasycenia ambicji, które osiągnąć można tylko przez posiadanie kobiet najtrudniejszych i najcnotliwszych. „Podobać się kobiecie przeciętnej, przejmować ją w swe ramiona z objąć innego mężczyzny, był to triumf zbyt dla Versaca zwyczajny i dzielony ze zbyt wielką liczbą mężczyzn, aby próżność jego mogła w tym znaleźć pełne ukontentowanie. W tym tłumie kobiet, które wszystkimi możliwymi sposobami starały się osiągnąć szczęście przykucia choć na chwilę jego spojrzeń, nie znajdował ni jednej, która mogłaby pochlebić jego dumie. Były tam kobiety o reputacji od dawna utraconej, które chciały z nim zakończyć swą karierę; nierozsądne istoty, w oczach których mężczyzna „modny”, kimkolwiek by nie był, zasługiwał na wszelkie hołdy, i które oddawały się mu nie tyle dla własnych jego uroków, ile dla rozkoszy usłyszenia kiedyś, że do niego należały; bardziej się starały o przygodę, która miała na zawsze je zniesławić, niż o rozkosze tajemnego związku, który nie uczyniłby ich bynajmniej przedmiotem rozmów. To tylko spotykał co dzień”²⁵. Ambicją Versa- ca było więc wyszukiwanie kobiet wyjątkowo do zdobycia trudnych i walka o triumf, który mógł mu przynieść szczególną, a tak drogą sławę.

Kawaler de Versac jest poniekąd pierwowzorem wicehrabiego de Valmont z Niebezpiecznych związków

Choderlos de Laclos’a. Ten typ negatywnego bohatera pojawiać się miał często na kartach XVIII-wiecznych opowieści, jako że wzory jego były w naturze bardzo liczne. Rok życia w wielkim świecie wystarczał zazwyczaj dla kompletnej edukacji libertyna. „Błędem jest sądzić — pisał Crébillon — że w dzisiejszym świecie można zachować tę niewinność obyczajów, którą ma się zazwyczaj doń wchodząc, i że można być tam ciągle cnotliwym i naturalnym nie ryzykując utraty reputacji i fortuny. Serce i umysł muszą się tam deprawować, wszystkim rządzi moda i afekcja. Cnoty, powaby i talenty są w tym świecie często umowne d nikomu się tam nie powiedzie, kto nie potrafi bez przerwy do tej umowności się dostosowywać”²⁷. I Ale obyczaje tego środowiska z całą bezwzględnością satyryka przedstawił Crébillon dopiero w utworze, który zyskał mu sławę europejską i bardzo w opinii moralistów zaszkodził. Dziełem tym była słynna Soja, najgłośniejszy, choć konstrukcyjnie nie najlepszy z utworów swawolnego pisarza.

Sofa, opowieść wschodnia, ukazała się w roku 1741 i natychmiast spowodowała skandal,

trudny dzisiaj do zrozumienia bez studiów nad ówczesnymi obyczajami erotycznymi i głośnymi w Paryżu plotkami na temat konduity rozmaitych sławnych dam. Treść książki była poziornie zupełnie niewinna; mogła się wydawać zbiorem lekko frywolnych, ale wolnych przecież od wszelkiej „wszetczności” opowiadań wschodnich, ukazujących przygody erotyczne młodych dam w jakimś wymyślnym kraju arabskim, przed laty z górą tysiącem. Ta literacka mistyfikacja nikogo wszelako zwieść ówczesnie nie mogła. Orientalne imiona bohaterów, stylizowane na wzór arabski urzędy i tytuły, wreszcie wzmianki o religii mahometańskiej i bramińskiej — wszystkie te „realia” splecione były z treścią całkowicie współczesną. Cechy psychiczne i obyczaje bohaterów pochodziły z Francji roku 1740, stosunki społeczne i towarzyskie, przedstawione w kolejnych historyjkach, były jak najbardziej aktualne, a rysy i dzieje niektórych postaci pozwalały domyślać się rzeczywistych pierwowzorów. Toteż natychmiast po ukazaniu się książki salony paryskie zaczęły kipieć od plotek i dyskusji zmierzających do ustalenia, kogo autor miał na myśli. Osobistości podejrzane o pozowanie do tego szczególnego „tableau” czuły się jak na cenzurowanym. Wzbierało też poczęło oburzenie przeciwko satyrykowi, który ośmielił się boleśnie zakpić z dam, nie ukrywających co piawda swego życia erotycznego, ale bynajmniej nie zachwyconych tak niezwykłym wy-

różnieniem, podczas gdy ich konkurentki i towarzyszkę mogły bezpiecznie kryć się w cieniu.

Akcja Sofy dzieje się w Agrze, stolicy sułtana Szach- -Bahama, potomka jednego z bohaterów Opowieści z 1001 nocy. Nuda panuje na sułtańskim dworze, monarcha z żalem wspomina czasy Szeherazady, która opowieściami potrafiła zabawić i rozerwać nawet swego groźnego męża. Wpada na pomysł: trzeba wskrzesić tę tradycję, przez kilka wieczorów jeden z dworzan opowiadać będzie zebranym • jakieś zabawne a pouczające historyjki. Wybór pada na młodego wyznawcę religii bramińskiej, Amanzei’ego. Doświadczył on kiedyś niezwykłych przygód; jako wyznawca Bramy wierzy w metempsychozę, wędrówkę duszy przez rozmaite wcielenia, którą z woli bóstwa odbyć trzeba dla oczyszczenia się z grzechów poprzedniej egzystencji. Otóż przed laty Brama wcielił jego duszę dla pokuty w sofę, w zwykłą sofę, jakich wiele w salonach i buduarach, zachowując mu ludzką świadomość i pamięć. Pozwolono mu zresztą przenosić się z jednego egzemplarza sofy w inny, gdyby znudził się pobytem w miejscu niezbyt ciekawym. Amanzei opowiada więc, co widział i słyszał w roli tego użytecznego mebla; przenosząc swą osobowość kolejno do rozmaitych sof mógł prowadzić obserwacje w całym mieście Agra (pod kryptonimem tym ukrywa się oczywiście Paryż). Treścią opowiadań Amanzei’ego są dzieje kobiet, do których należały jego sofy, ich przygody, intrygi, zabawy, rozrywki, a nade wszystko stosunki z mężczyznami.

Damy, o których opowiada narrator, należą w większości do sfer dworskich, a konduita ich jest bardzo swobodna. Otwiera tę galerię satyrycznych portretów obyczajowych Eatma, dwudziestoletnia żona jakiegoś dygnitarza, osóbką pełna uroku, ale i zewnętrznej surowości, dystygowana, z nienawiścią i oburzeniem oskarżająca męża o nieczne występki i rozwiązłe, obyczaje, w rzeczy samej do szpiku kości zepsuta, obłudna i przebiegła. „Od wczesnej młodości oddana bez reszty obłudzie, troszczyła się bynajmniej nie o naprawę występnych skłonności swego serca, ale o ukrycie ich pod zasłoną pozorów surowej cnoty”. Wśród swych amantów liczyła między innymi młodego, wytworne

go bramina (w którym wszyscy czytelnicy bez trudu mogli rozpoznać postać młodego l’abbé, księdza bez stałych obowiązków duszpasterskich, włóczącego się po salonach Paryża i zalecającego się do dam pod pozorem troski o ich zbawienie). Oboje giną tragicznie. Naiwny i pokorny mąż Fatmy, długo znoszący cierpliwie jej namiętne wyrzuty i oskarżenia, zastaje pewnego razu swą żonę i „bramina” in flagranti; padają pod ciosami jego sztyletu. Ten tragiczny finał występnej namiętności jest jedynym tego rodzaju motywem w całej opowieści; możemy przypuszczać, że Crébillon wspominał tu o wydarzeniu rzeczywistym, o którym głośno było ówczesnie w Paryżu, aczkolwiek pełne wyjaśnienie źródła pomysłu nie

wyduje się możliwe.

Dzieje następnej bohaterki są o wiele bardziej typowe i charakterystyczne. Jest nią Amina, młoda tancerka, która właśnie „została przyjęta do zespołu sułtańskiego [chodzi naturalnie o paryską Operę], a której los i reputacja nie były jeszcze ustalone”, aczkolwiek знаła ona osobiście wszystkich prawie młodych kawalerów z Agry, darzyła ich swymi łaskami i otrzymywała w zamian zapewnienia protekcji. „Wątpię jednak — powiada Amanzei — by mimo tych obietnic fortuna jej kiedykolwiek się zmieniła, gdyby Amina nie spodobała się pewnemu intendentowi dóbr sułtańskich”. Intendentem tym był niejaki Abdalatif. Pod tym imieniem autor ukazał postać któregoś z generalnych dzierżawców podatkowych, najbogatszych finansistów ówczesnej Francji, ludzi otoczonych powszechną pogardą i nienawiścią, w rzeczy samej niebezpiecznie, choć niejeden z nich był mecenasem sztuk i protektorem utalentowanych artystów. „Abdalatif, tak się nazywał ów intendent, nie mógł liczyć na błyskotliwą karierę z tytułu swego urodzenia lub zasług osobistych. Był oczywiście gburowaty i brutalny, a od chwili, gdy zdobył majątek, do tych wad dołączył jeszcze bezczelność. Nie znaczy to, by nie chciał być grzecznym; przekonany wszelako, że człowiek jego pozycji wyrządza każdemu zaszczyt, skoro tylko poświęci mu nieco uwagi, przyjął ów oziębły i suchy styl grzeczności ludzi wyższego znaczenia, który można zazwyczaj nazwać godnością, ale który u Abdalatifą był po prostu szczytem głupoty i impertynencji. Urodzony w stanie najpodlejszym, nie tylko całkiem o tym zapomniał, ale również czynił wszystko, aby przypisać sobie wspaniałe pochodzenie. Koroną jego głupoty było nieustanne odgrywanie roli pana; próżny i 'bezczelny, potrafił obrażać jednocześnie swą poufałością i swą wyniosłością; w dostojności swojej płaski i bez gustu, przysparzał sobie tą pozą jedynie śmieszności. Niewiele mając uzdolnień, a jeszcze mniej wykształcenia, był przekonany, że zna się na wszystkim i o wszystkim był gotów rozstrzygać”^{ss}. Przedstawiając historię stosunków tancerki z jej możliwym protektorem, Crsbillon nie potrzebował bynajmniej posilkiwać się fantazją; przybierał jedynie w orientalny sztafaż narrację o wypadkach, które znał z codziennej, naocznej obserwacji. Całe dzieje Aminy wydają się być zaczerpnięte z rzeczywistości do najdrobniejszych szczegółów. Gorliwą organizatorką sprzedaży wdzięków Aminy była jej rodzona matka; wiele paryskich piękności, związanych z ówczesnymi scenami, miało właśnie w swych matkach najlepsze stręczycielki. Crsbillon przedstawił więc sytuację jak najbardziej typową. „Matka ta, aczkolwiek dama czcigodna — ironizował autor — była chyba spośród matek najwyrozumialszą; upominała swą córkę, aby rozsądnie korzystała ze szczęścia, które Brama raczył "im zesłać, a porównując ich nową sytuację ze stanem, w którym dawniej się znajdowały, czyniła tysiączne refleksje na temat opatrności bożej, która nigdy nie opuszcza nikogo, kto na nią zasługuje. Wyliczała potem długo kawalerów, z którymi przyjaźniła się jej córka. — Moje dziecko — mówiła — jakże mało ci się przydała ich przyjaźń! To twoja wina, tysiąc razy mówiłam, że jesteś zbyt przystępna. Oddajesz się z czystej lekkomyślności, to duży błąd, albo pozwalasz sobie na fantazje, co jest równie niedobre i nieraz cię ośmieszyło. Nie mówię, broń Boże, że trzeba w ogóle wyrzec się własnego zadowolenia, ale nie wolno aż tyle poświęcać własnym przyjemnościom, z zaniedbaniem fortuny. Trzeba zwłaszcza unikać powodów do gadania, że taka jak ty dziewczyna może sobie pozwalać na miłości; w tej mierze dałaś już niestety ludziom wiele do myślenia.

/

Wszelako jesteś jeszcze młoda i mam nadzieję, że niewiele ci to zaszkodzi. Nic nie jest w stanie łatwiej zgubić dziewczyną twojej kondycji niż te głupie porywy, które zwą dardmodawaniem. Skoro już się dowiedzą, że dziewczyna upadła tak nisko, iż musi się oddawać za darmo, wszyscy będą chcieli mieć ją za tę cenę, albo przynajmniej bardzo tanio. Pojpatrz na Rozanę, Atalidę, Elzire, one nie muszą sobie wyrzucać najmniejszej słabostki, toteż Brama błogosławi ich losowi. Mniej od ciebie ładne, a zauważ, jakie bogate! Korzystaj

z tego przykładu, to bardzo rozsądne dziewczyny...”²⁹

Dobre rady czulej matki nie bardzo jednak trafiały do przekonania młodej tancerki. Nie zerwała związku z umiłowanym amantem, Negrem ohydnej postaci, imieniem Massoud, przed którym żaliła się na swego hojnego, ale budzącego w niej odrazę protektora (takiego „amanta od serca”, którego utrzymanka bogatego magnata czy dygnitarza darzyła łaskami w tajemnicy przed swym oficjalnym protektorem, nazywano wówczas w Paryżu żartobliwie „chochlikiem”, le farja- det. Skuszona hojną propozycją poczęła u siebie przyjmować pewnego młodziana, który ujrzał ją na scenie | zapragnął ją posiąść. Zanim mu uległa, z talentem odegrała przed nim scenę walki ze swymi skrupułami. „...Masz! — powiedział wyciągając sakiewkę — oto co ci obiecałem, jestem człowiekiem honoru. Znajdziesz tam co nieco na uleczenie się ze wszystkich skrupułów i rozwiązanie ze wszystkich ślubów wierności, które mogłaś kiedykolwiek uczynić. Bierz! — Kpiarz z pana — powiedziała chwytając sakiewkę — mało mnie jeszcze pan zna. Przysięgam, że gdyby nie skłonność, którą czuję do pana... — Skończmy z tym — przerwał. — Aby ci dowieść, że jestem szlachetny, dyspensuję cię od wszelkich podziękowań i nawet od tej nadzwyczajnej skłonności, którą do mnie czujesz, na nic mi ona w transakcji, którąśmy zawarli. Płacę ci tyle, jakbym był pierwszy, a wiesz dobrze, że tego nie ma w zwyczajach. — Sądzę — powiedziała Amina — że skoro dopuszczam się dla pana takiej niegodziwości... — Gdybym zapłacił ci tyle¹ — przerwał — ile ta niegodziwość ciebie samą kosztuje, to miałbym cię za nic. Ale skończmy z tym wreszcie, choćbyś nawet miała nie wiem ile rozumu, rozmowa mnie nuży. — Aczkolwiek okazywał wiele zniecierpliwienia, nie mógł jednak przeszkodzić Aminie (która okazała się uosobieniem przezorności) w przeliczeniu świeżo otrzymanych pieniędzy. — To nie dlatego — mówiła >— abym panu nie ufała, ale mógł się pan sam oszukać. — Uczyniła zadość jego żądom dopiero wtedy, gdy się upewniła, że przy liczeniu nie popełnił żadnego błędu”³⁰.

Przygoda ta przykro się skończyła. Abdalatif powiadomiony o niewierności swej utrzymanki wpada we wściekłość, odbiera jej wszystkie swe dary i wypędza z domu. Znalazłaby się zapewne w bardzo przykrym położeniu (zwłaszcza że wskutek tej awantury zyskała w Agrze „reputację osóbkę mało godnej zaufania”), gdyby nie „pewien magnat perski, który w tym czasie przybył do Agry, a bardzo słabo orientując się w plotkach zobaczył Aminę, uznał ją za ładną i zapalił się tym bardziej, że jeden z owych uczynnych ludzi, którzy oddają się szlachetnym trudom organizowania innym przyjemności, zapewnił go, że gdyby zdołał spodobać się Aminie, natychmiast go o tym powiadomi, tym bardziej że byłaby to pierwsza słabostka, jaką ta dziewczyna mogłaby sobie wyrzucać. Ktoś inny uznałby to za niemożliwe, Pers wszelako dopatrywał się w tym jedynie czegoś nadzwyczajnego. Ta nowość bardzo go podnieciła i przy pomocy niepodejrzanego poręczyciela cnoty Aminy kupił za dużą sumę łaski, które w całej Agrze zaczęły już bardzo spadać w cenie, choć nie były jeszcze tak pogardzone, jak w rzeczy samej na to zasługiwały”³¹. Crósbillonowski Pers to oczywiście Anglik, jeden z wielu bogatych Brytyjczyków, którzy szukali w Paryżu atrakcyjnych dziewcząt i łatwo zazwyczaj wpadali w pułapki zastawiane przez przebiegłych stręczycieli.

Przenosząc się z sofy do sof, niezwykle narrator trafia do domu surowej i wyniosłej damy, której czterdziestoletnie wdzięki, aczkolwiek już dogasające, nie były jednak zupełnie pozbawione uroku. Almajda żyła samotnie, rzadko odwiedzana przez mężczyzn; cnotliwa i pobożna, przyjmowała w swym domu przede wszystkim kapłanów, spośród których wyróżniała niejakiego Moklesa, „przełożonego kolegium braminów”. Przedstawione przez Crósbillona dzieje tej pary są najdoskonalszym konstrukcyjnie i psychologicznie fragmentem Sofy. Fragment ten wzbudził ówczesne szczególne oburzenie moralistów, jako że w postaci Almajdy łatwo było dopatrzeć się jednej z obłudnych paryskich dewotek, pod pozorami surowych

obyczajów ukrywających wyrafinowane i perwersyjne upodobania seksualne, a w osobie Moklesa któregoś z jezuitów, chętnie nawiedzających pobożne damy, zapewne zresztą przełożonego jednego z jezuickich kolegów.

Mokles i Almajda często toczyli wieczorami długie rozmowy na poważne tematy. Dotyczyły one zazwyczaj spraw moralności; oboje nie szczędzili sobie nawzajem pochwał i słów uznania dla surowości swoich obyczajów i praktykowanej przez siebie cnoty. „Do swych rozważań moralnych mieszał jednak czasami bardzo szczegółowe obrazy występku... nie obawiali się nawet rozprawiać na temat rozkoszy. Prawda, że po jaskrawym przedstawieniu wszystkich jej uroków, mówili z dużą przesadą o jej hańbie i niebezpieczeństwach. Zgadali się nawet, że prawdziwe szczęście można znaleźć jedynie na łonie cnoty, zgadzali się jednak na to bardzo oschle, jakby na prawdę zbyt powszechnie uznaną, by potrzebna była na jej temat jakakolwiek dyskusja. Inaczej natomiast rozprawiali o rozkoszy; zatrzymywali się długo nad materią tak pociągającą i omawiali najniebezpieczniejsze szczegóły z ufnością, której, jak oczekiwałem, powinni paść ofiarą”³². Każdej następnej wizyty Moklesa Almajda oczekiwała ze wzrastającą niecierpliwością. Rozmowy stawały się coraz bardziej intymne i osobiste; spod poważnego tonu dyskusji wyraźnie przebijać zaczęła seksualna ekscytacja obojga partnerów. Poczęli wzajemnie wyznawać sobie „pokusy”, na które są wystawieni. Pewnego dnia Almajda, pełna zażenowania, ale i wyraźnie podniecona, zwierzać się poczęła czcigodnemu kapłanowi ze strasznej przygody, którą niedawno przeżyła. Pewien bezczelny młodzian ośmielił się nadużyć sytuacji, gdy znalazł się z nią sam na sam w salonie. Dla umartwienia swej próżności dama nie waha się rozwozić nad szczegółami tej sceny. Daremnie Almajda starała się nakazać temu lekkoduchowi — który „mimo odrazy, którą czuję dla mężczyzn, wydał mi się dość przyjemny” — szacunek dla swej czcigodnej i cnocie poświęconej osoby. Młody libertyn obalił ją na sofę. Almajda pionie ze wstydu; musi wyznać najstraszniejsze ze swoich przeżyć — a próżno pod pozorami zażenowania ukryć chce swą gorącą chęć rozprawiania

o tej właśnie chwili. Otóż w momencie dopełnienia swej klęski nie czuła bynajmniej wstrętu; wbrew swej cnotliwej indygnacji doznała prawie rozkoszy! „Co za straszna sytuacja!” — wykrzykuje Mokles, udając współczucie i zgrozę. Widzi ekscytację Almajdy i uświadamia sobie możliwość powtórzenia owej „wszechwładnej” sytuacji; lęka się wszelako odrzucić całkiem maskę świętobliwej obłudy i zaatakować otwarcie, cnotliwą pobożniącą; chce osiągnąć swój cel pod pozorem pobożnych i cnocie służących praktyk. Ubolewa więc, że brak własnego doświadczenia i pełnej wiedzy o wewnętrznych przeżyciach ludzi występnych tak mu utrudnia pracę nad samodoskonaleniem. „Uważamy się oboje za cnotliwych — mówi ze spuszczonej skromnie oczyma — ale, jak już pani przed chwilą mówiłem, w rzeczy samej nie wiemy, na czym to polega. Czym jest właściwie cnota? Całkowitą rezygnacją ze wszystkiego, co najbardziej zadowala zmysły. A któż może wiedzieć, co daje zmysłom największe zadowolenie? Ten jedynie, kto wszystkiego doświadczył. Jeśli przeżycie zmysłowej rozkoszy jest jedynym sposobem jej poznania, ten, kto jej nie przeżył, nie ma o niej żadnego pojęcia i jakżeż może się jej wyrzekać? Poświęca nicość, chimerę [...] jaką zasługę może mieć ktoś, kto poświęca jedynie ideę? Oddać się przeżywaniu rozkoszy, doświadczyć swej wrażliwości i wyrzec się jej, złożyć z niej ofiarę, oto dowód wielkiej i prawdziwej cnoty, umartwienie, na które dotychczas żadne z nas się nie zdobyło [...] trzeba poznać występki, aby być mniej narażonym na wewnętrzną rozterkę przy praktykowaniu cnoty, aby się o niej upewnić... — Sądziś więc — zapytała Almajda drżącym głosem — że dzięki temu stalibyśmy się doskonalsi? — Ależ oczywiście... znużeni naszą niepewnością, przekonani wreszcie, że obowiązkiem naszym jest jej się pozbyć, zamierza my poznać rozkosz i sami ocenić jej urok; czyżby doświadczenie takie było niebezpieczne,

czyż nie potrafimy się od tego wyzwolić, skoro raz tylko chwilę tę przeżyjemy? Przyznaję, że dla charakterów słabszych mogłoby to okazać się ryzykowne; my wszelako, nie pochlebiając własnej cnotie, możemy na sobie polegać. Jeżeli, jak sądzę, rozkosz jest znacznie mniej pociągająca niż zazwyczaj powiadają, doznania takie, do wyrzeczenia się których przywiązują powszechnie tyle chwały, w rzeczy samej nie przyniosą nam żadnej szkody. Jeżeli zaś podobne wrażenia mogą wprowadzić do duszy poruszenie rzeczywiście tak wielkie, jak zapewniają, wyrzekniemy się ich z tym większą radością, że wiedzieć będziemy, iż jest to dowód doprawdy wielkiej cnoty”. Almajda przyznaje w końcu, że doświadczenie takie jest dla obojga konieczne; gdzie i z kim wszelako je przeprowadzić? „Sądzę — odpowiedział — że jeśli chcemy się już odważyć na próbę, powinniśmy dokonać jej między sobą”³⁵.

11

Almajda i Mokles podjęli we wzniosłym i pobożnym nastroju eksperyment tak niezbędny dla praktykowania cnoty. „Jak na człowieka o niepokalanej przeszłości —■ zauważył Amanzei — Mokles wydał mi się mężczyzną bardzo doświadczonego”³¹. Doświadczenie i opanowanie nie opuściło świętobliwego męża ani na chwilę; post factum wybuchnął zgrozą i przerażeniem nad występkiem, którego oboje się dopuścili; pełen cnotliwej odrazy pożegnał zgnębiającą Almajdę, przyrzekając unikać na przyszłość jej niebezpiecznego towarzystwa.

Historia Moklesa i Almajdy jest najdoskonalszą z opowieści przedstawionych w Sofie. Cróbillon dał w niej świetne studium psychologiczne pobożnej obłudy, ukrywającej pod maską dewocji rozhułkane namiętności i żądę użycia. Nie bez racji nowela ta porównywana była czasami z Molierowskim *Tartuffe*’m, nie tylko ze względu na temat.

Nie możemy tu wdawać się w dokładną analizę dalszej treści Sofy. Byłaby to praca bezużyteczna, jako że urok tej książki polega właśnie na szczegółach, których przekazać nie sposób. Warto wszelako wspomnieć, że spośród opowiadań Amanzei’ego do najciekawszych należy historia Zuliki, żywej, hałaśliwej, bezwstydnego kokietki, próżno usiłującej ukryć przed swymi kolejnymi amantami rzeczywistą swą osobowość. W postaci tej Cróbillon zebrał ujemne cechy charakteru wielu słynnych piękności Paryża roku 1740, historię jej życia skonstruował z elementów prawdziwych, pożyczonych | rzeczywistych skandalicznych doświadczeń znanych powszechnie dam. Między? Zuliką a Mazulhimem i Nassesem, jej dwoma amantami, rozwija się złożona gra towarzysko-erotyczna, z której uroczą pani wychodzi doszczętnie przez autora skompromitowana; jest to ciekawe studium obnażania nicości moralnej obłudnej kokietki, która próżno stara się zachować w oczach partnerów możliwie najlepszą reputację, a jednocześnie nie stracić żadnej okazji do powiększenia listy swoich wielbicieli. W postaci Zuliki rozpoznać mogło swój portret przynajmniej kilka modnych piękności Paryża. Trzeba przyznać, że portretem tym nie mogły być zachwycone.

W kwietniu 1742 roku Cróbillon otrzymał od władz oficjalny rozkaz opuszczenia Paryża i udania się o trzydzieści mil od stolicy. Była to kara za ów nierozważny wybryk literacki. Wygnanie trwało kilka miesięcy; w międzyczasie wśród „znieważonych” rozważano akcję, jaką należało podjąć przeciwko autorowi, zbyt już znanemu ze swoich satyrycznych upodobań, a więc i na przyszłość niebezpiecznemu. Trudność polegała na tym, że usilne obstawanie przy żądaniu ukarania „oszczercy” mogło skompromitować każdą zbyt zawziętą nieprzyjaciółkę pisarza, bowiem musiało być oczywiście poczytane za przyznanie się do roli pierwowzoru którejs z postaci Sofy. Toteż obrażone damy milkły szybko, gdy tylko złośliwie czy nierozważnie pytano je o konkretne zarzuty przeciwko autorowi inkryminowanej książki. Cróbillon bronił się zresztą zrećnie. Utrzymywał, że napisał Sofę na życzenie i dla rozrywki młodego króla pruskiego Fryderyka II, a rękopis, bynajmniej do druku nie przeznaczony, ktoś mu wykrał i wbrew woli autora opublikował. Całą treść książki oczywiście zmyślił; akcja dzieje się przecież przed tysiącem lat gdzieś w Syrii czy Indiach i nie ma nic wspólnego z obyczajami panującymi w Pary-

zu, gdzie — jak wszystkim wiadomo — damy prowadzą życie surowe, cnotliwe i pochwały godne...

Afera skończyła się triumfem pisarza. Zarzuty powoli ucichły, inne skandale zajęły uwagę paryskiej opinii publicznej. Książka pozostała — w ukryciu wielokrotnie wznawiana, rozchwytywana i czytana w całej Europie. Crébillon zdobył nieprzemijającą sławę. Stał się literackim symbolem obyczajów epoki.

Sofa spopularyzowała niesłychanie konwencję opowieści obyczajowej w stylu orientalnym. Mnożyli się naśladowcy, niektórzy (jak Diderot) osiągnęli nawet nie mniejsze powodzenie niż Crébillon, który spróbował raz jeszcze powtórzyć swój sukces, wydając *sui generis* kontynuację Sofy pt. *Ach! Cóż to za powieść!* (*Ah! Quel conte!*) Utwór ten nie zyskał jednak większej popularności. Był zresztą artystycznie o wiele słabszy.

Sławny pisarz krążył nadal w Paryżu między salonami literackimi a teatrem. Świat ten był ciągle jego żywiołem. Sam Crébillon nie pisał dzieł dramatycznych (choć ostatnie jego utwory, napisane w przeszło dwadzieścia lat po wydaniu Sofy, przybrały w końcu postać dialogów, niezbyt odległą od czystej formy komediowej), przyjaźnił się natomiast z ludźmi, których cała twórczość zaczynała i kończyła się w teatrze; za kulisami i wokół teatrów nadal obserwował obyczaje, których był najdoskonalszym malarzem. Spróbujmy więc i my przenieść się na chwilę w ten tak ciekawy, a po dziś dzień słabo zbadany świat.

VI. ZA KULISAMI KRÓLEWSKIEJ OPERY

Teatr francuski w połowie XVIII wieku to w powszechnym pojęciu cztery wielkie sceny: l'Académie Royale de Musique, czyli po prostu wielka paryska Opera, Komedia Francuska, Komedia Włoska

i najpóźniej ustabilizowana Opera Komiczna. To, co przedstawiano na scenach tych czterech sławnych teatrów, było sztuką oficjalną, uznaną, cenioną — i daleką od prawdy o życiu i obyczajach ówczesnego społeczeństwa. Prawdy obyczajowej szukać trzeba na ukrytych w cieniu, ale o wiele liczniejszych scenkach prywatnych, a z drugiej strony w trywialnych przedstawieniach ludowych. Trochę dalej pomówimy o tym obszerniej. W tym miejscu natomiast zajmiemy się czterema wielkimi scenami oficjalnymi — od ich strony nieoficjalnej, zazwyczaj nie docenianej. To bowiem, co się działo wokół wielkich teatrów paryskich w XVIII wieku, ma dla badacza historii obyczajów często poważniejsze znaczenie, niż to wszystko, co znajdowało wyraz na ich scenach, w słabym blasku oliwnych kinkietów. Teatry paryskie, a przede wszystkim Opera, były ośrodkami szczególnie przyciągającymi libertynów. Nic w tym dziwnego, jest faktem powszechnie znanym, że w XVIII i XIX wieku teatry były instytucjami nie tylko widowiskowymi, ale i umożliwiającymi łatwe kontakty seksualne bogatym arystokratom i mieszczuchom, pragnącym zaspokojenia swych namiętności w eleganckiej, wyrafinowanej atmosferze, w towarzystwie kobiet kulturalnych i wytwornych. Społeczna ranga zawodu aktorskiego była niewielka. Teatr narzucał kobiecie piętno rozwiązłych obyczajów bez względu na jej osobisty stosunek do spraw życia seksualnego i od chwili scenicznego debiutu stawiał ją w sytuacji kandydatki na utrzymanie czy kurtyzanę. W XVIII wieku nie znamy zresztą wypadków, by kobieta z teatrem związana uchroniła się przed losem ofiary libertyńskiej obyczajowości. Wszystko to prawda. Mylny byłby wszelako wniosek, że teatr XVIII-wieczny był oazą występku w świecie surowych obyczajów. Jeżeli interesują nas skandaliczne dzieje dziewcząt ze świata teatru paryskiego połowy XVIII wieku, jeżeli na paru przykładach, zaczerpniętych z autentycznych dokumentów, spróbujemy ukazać atmosferę obyczajową tego środowiska, to dlatego jedynie, że tam właśnie skupiły się jak w soczewce zjawiska obyczajowe szeroko w całym społeczeństwie wówczas upowszechnione. Świat paryskiego teatru wieku Oświecenia był w zakresie obyczajów niejako oknem wystawowym wyższych warstw francuskiego społeczeństwa. Łatwo tam zauważyć zjawiska, które gdzie indziej były rozproszone i ukryte, ale nie omijały żadnej mieszczańskiej kamienicy, żadnego szlacheckiego pałacu. Znamienny

jest przecież fakt, że przez świat teatru przechodziły wówczas setki młodych dziewcząt należących do stanu trzeciego, często z ustabilizowanych rodzin mieszczańskich, szukających bynajmniej nie artystycznej kariery, ale po prostu wygodnej odskoczni do wejścia w życie swobodne i nie skrępowane. Te li- bertynki z temperamentu i poglądów z reguły na scenie nie zostawały; scena była dla nich jednak jedyną możliwą wystawą wdzięków i miejscem prezentacji — podobnie jak dla arystokratek i najbogatszych mieszczanek ówczesne modne salony. W przeciwieństwie do wielkich dam młode mieszczańeczki szukały w swobodnym życiu nie tyle intensywnych doświadczeń erotycznych, co kariery, korzyści materialnych nietrudnych do osiągnięcia, jeżeli miało się na sprzedaż wdzięki na odpowiednim poziomie. Ale o tym decydowała już różnica położenia społecznego, zresztą dla postawy psychicznej nie zawsze tak istotna, jak czasem wydawać by się mogło, choć naturalnie rozstrzygająca

o ograniczeniu własnego wyboru w nawiązywaniu znajomości z partnerami.

Dla dziewczyny, która samodzielnie lub pod wpływem rad czulej mamy decydowała się na szukanie sposobów łatwego i korzystnego handlu swoimi wdziękami, wpisanie się na listę tancerek czy chórzystek operowych było najkorzystniejszym początkiem kariery.

Dziewczyna oficjalnie należąca do personelu artystycznego l' Académie Royale de Musique bynajmniej nie musiała regularnie na scenie występować; lista „dziewcząt z opery” była bardzo obszerna, ale artystki rzeczywiście uczestniczące we wszystkich przedstawieniach były nieliczne, większość pokazywała się na scenie sporadycznie i łatwo traciła potem kontakt z teatrem. Przy takiej „płynności kadr” zarząd opery zainteresowany był w zastępowaniu rezygnujących z kariery artystek nowymi kandydatkami i nie stawiał bynajmniej wielkich wymagań zgłaszającym się dziewczętom, byle tylko dysponowały one wystarczająco efektowną urodą. Dziewczyna uczestniczyła przez pewien czas w lekcjach tańca i śpiewu, parokrotnie występowała na scenie w gronie statystek czy „figuran- tek”, a potem niedługo już czekać musiała na propozycje ze strony eleganckich libertynów. Jeżeli wyróżniła się wdziękami i talentem, jeżeli była oklaskiwana

i umiała na scenie się utrzymać, to łaski jej rosły w cenę, stawała się modna i rozchwytywana, obsypywano ją darami coraz hojniejszymi; przy odrobinie szczęścia i reklamy mogła stać się obiektem powszechnej adoracji i korzystać przez pewien czas z roznamiętnienia bogatych wielbicieli, którzy prześcigali się w podbijaniu jej ceny, urządzając nieraz między sobą prawie że licytację wdzięków modnej piękności. Po kilku latach dziewczyna zazwyczaj traciła swą popularność; decydowała się wtedy na pozycję stałej utrzymanki za-

S2

możnego mieszczanina czy arystokraty lub powiększała szeregi kurtyzan, nie osłaniających swego rzemiosła żadnymi pozorami artystycznego zawodu.

Wpis na listę opery był z dwóch przede wszystkim powodów bardzo dla dziewczyny korzystny. Uwalniał ją od kłopotów z władzami administracyjnymi i policją. „Skoro kobieta chciała się wyłamać spod władzy męża lub dziewczyna uwolnić od nadzoru rodziców — pisał jeden z XVIII-wiecznych dziennikarzy — starała się po prostu wpisać na listę dziewcząt z opery, bowiem nie mając nawet żadnego talentu ani warunków do pracy w teatrze zyskiwała dzięki temu możliwość swobodnego życia, gdyż policja nie miała prawa jej kontrolować ani odesłać przemocą pod władzę tych, od których uprzednio zależała”³⁸. Artystka podlegała jedynie jurysdykcji władz opery, a wpływowi jej przyjaciele z reguły dbali o to, by nadzór nie był zbyt uciążliwy i surowy. Poza tym tytuł artystki opery był cenny z uwagi na snobizm arystokratycznych wielbicieli. „Ambicją arystokratów francuskich jest utrzymywanie dziewczyny z opery przede wszystkim dlatego, że wszystkie te dziewczęta oficjalnie należą do króla jako przynależne do jego Akademii Muzycznej” Iffij Kochankowi artystki wydawać się więc mogło, że do pewnego stopnia dzieli jej łożę z monarchą, co było

zaszczytem nie lada. Mimo że figurantki i chórzystki nie otrzymywały żadnego wynagrodzenia, wpis na listę opery był dla dziewczyny tak korzystny, dzięki podniesieniu jej atrakcyjności na rynku erotycznym Paryża, że zarząd opery w pewnym okresie serio rozważał projekt pobierania wysokich opłat wpisowych od kandydatek do zespołu Akademii Muzycznej, uważając, że im wyższe będą ceny tych stanowisk, tym bardziej dziewczęta będą poszukiwane i otoczone szacunkiem⁸⁷.

Jeżeli możemy dzisiaj z dużą dokładnością przedstawić obyczaje erotyczne w stolicy Francji za panowania Ludwika XV, to zawdzięczamy to przede wszystkim pewnemu skromnemu inspektorowi policji paryskiej, nazwiskiem Louis Marais. W latach 1757—1778 zadaniem tego funkcjonariusza było śledzenie skandali obyczajowych, nadzorowanie miejsc rozpusty, basa

danie obyczajowości erotycznej w środowiskach artystycznych, notowanie przygód rozmaitych sławnych dam, etc. Marais sporządzał niemal codziennie zwięzłe raporty, które za pośrednictwem szefa policji królewskiej, Antoniego Gabriela de Sartine, przekazywane były do rąk monarchy, bowiem Ludwik XV stale interesował się tymi drobnymi, ale bardzo go podniecającymi szczegółami z życia swoich poddanych. Raporty Marais ukazują nadzwyczaj interesującą panoramę obyczajów libertyńskich w ówczesnym Paryżu, zawierającą dziesiątki historii, które posłużyć by mogły za fabułę wielu sensacyjnych powieści. W czasach Rewolucji Francuskiej co nieco z tych materiałów wykorzystano, fragmenty z lat 1761—1764 wydano w Brukseli w roku 1863, potem jednak poszły one w zapomnienie i leżały przysypane archiwalnym pyłem aż do początków wieku XX. Wtedy dopiero opublikował je ze wstępem i objaśnieniami wybitny historyk francuski Camille Pitón³⁸. Przedstawiając czytelnikom raporty inspektorów Meusnier'a (z lat 1748—1757) i Marais, Pitón wylewnie i z wielkim zażenowaniem tłumaczył się ze swoich zdrożnych zainteresowań, z odgrzebywania dokumentów, które zdaniem rozmaitych moralistów i „poważnych” historyków winny być raz na zawsze skazane na zapomnienie i starannie ukryte, aby „nie kalać pamięci” przodków i nie budzić „niezdrowej sensacji”. Wkrótce jednak okazało się, jak olbrzymią wagę mają te dokumenty dla badaczy historii obyczajów we Francji XVIII wieku. Dzisiaj nie może obyć się bez nich żaden historyk, który chce napisać prawdę o życiu codziennym w Paryżu za Ludwika XV.

Raporty Marais są tak ciekawe, że można by cytować je in extenso na dziesiątkach stron. Poznajemy z nich atmosferę obyczajową wśród tych warstw stanu trzeciego, które żyły z zaspokajania luksusowych potrzeb konsumpcyjnych arystokracji i bogatej burżuazji. Była to oczywiście nieznaczną mniejszość mieszczaństwa Paryża, niemniej jednak charakterystyczna dla tego środowiska postawa moralno-obyczajowa była bardzo agresywna i z wolna czyniła znaczne postępy wśród całego stanu trzeciego. Zdumiewające są drogi, którymi liczne dziewczęta z niezamożnych, ale ustabilizowanych rodzin mieszczańskich, dochodziły ówczesnie do kariery utrzymanki czy kurtyzany. Pomówimy

O tym szerzej, gdy przy okazji jednego z dzieł Rétifa de la Bretonne, trzeba będzie przedstawić garść faktów z dziejów prostytucji w XVIII-wiecznym Paryżu. Wszelako warto od razu stwierdzić, że w połowie wieku XVIII w paryskich, marsyjskich czy lyońskich rodzinach drobnomieszczańskich pozycja utrzymanki bogatego arystokraty czy nawet kariera luksusowej kurtyzany uważana była za doskonałą drogę życiową dla jednej przynajmniej córki. Rodzice, zwłaszcza matki, ale i ojcowie, bez skrupułów załatwiali sami sprawę oddania dziewczyny „pod opiekę” zamożnego protektora. Uroda córki traktowana była jako kapitał, który powinien procentować — przynajmniej przez pewien czas, póki dziewczyna nie zgromadzi posagu i nie wyjdzie za mąż za mężczyznę ze swojej plebejskiej sfery. Dziewczęta ze środowisk plebejskich i drobnomieszczańskich z reguły były „do wynajęcia” przez bogatych finansistów czy arystokratów. Od dzieciństwa wychowywano je

w przeświadczeniu, że dziewictwo trzeba dobrze sprzedać. Lat piętnaście — był to już dla dziewczyny wiek dość późny; należało się spieszyć, aby wprowadzić ją korzystnie na rynek. Nie trzeba było nacisku nędzy czy wręcz głodu, aby dziewczyna ze sfer plebejskich godziła się z myślą o sprzedawaniu swej urody. Jeżeli była ładna, wiedziała po prostu, co ma do sprzedania i jaką cenę może za to uzyskać —

I w jej pojęciu byłoby głupotą z tej możliwości nie korzystać. W społeczeństwie, w którym istniała warstwa uprzywilejowanych gotowych płacić wysoką cenę za wszelkie luksusowe usługi, sex musiał być przedmiotem handlu i źródłem dochodów. Jeżeli młoda dziewczyna niedostatecznie orientowała się w układzie stosunków obyczajowych, uświadamiała ją o nich zazwyczaj troskliwa o los córki i doświadczona matka. Z raportów Marais poznajemy wiele takich czułych matek mieszkających z córkami w apartamentach umeblowanych staraniem możliwych protektorów i pełniących funkcje dam do towarzystwa, czuwających nad „rozsądkiem” córki, pośredniczących w układach z libertynami i bez żenady wprowadzających wielbicieli do dziewczęcych łóżek. Jeżeli zaś dziewczyna wpisana była na listę opery, matka-piekunka tym troskliwiej starała się o dobór „gości” i baczyła, by nie dewaluować łask córki zbytnią jej przystępnością.

Losy niektórych dziewcząt z opery układają się w raportach Marais po prostu w wątek realistycznej powieści obyczajowej. Oto na przykład dzieje młodziutkiej tancerki, panny Louison:

13 lutego 1761: „Pan markiz de Sabran, młody człowiek, lat około osiemnaście, który mieszka teraz w pałacu Luksemburskim, w ostatnią środę złożył w Operze Komicznej ofertę małej Louison, bardzo miłej tance- reczce, siostrzenicy pana Deshays, aktora Komedii Włoskiej, proponując jej sto ludwików na początek gry, dwadzieścia pięć ludwików miesięcznie i wspaniałe umeblowanie, jeżeli tylko zechce z nim żyć... Propozycja ta nie była niemiła tej młodej osobce, odpowiedziała wszelako z wielką powściągliwością: — Panie markizie, nie mogę przyjąć pana oferty; nie jestem panią swego losu, zależę od rodziców, na radach których zawsze polegałam. Ale jestem bardzo zobowiązana. —

I odeszła. Młody markiz, który jest szaleńczo zakochany; zapewne pomówi z jej wujem Deshays'em i można przypuszczać, że wobec korzystnych propozycji, jakie mu przedstawi, zapewne skłoni go do oddania siostrzenicy, o której powiadają, że jest jeszcze dziewicą, chociaż ma już piętnaście lat...”³⁹

Chociaż ma już piętnaście lat!” Ta nuta zdziwienia w chłodnych, beznamiętnych raportach inspektora policji więcej mówi o obyczajach epoki niż setki pamiętników i całe stosy ówczesnych korespondencji!

Warto w tym miejscu pozwolić sobie na małą dygresję i sięgnąć do pamiętników Casanovy. W czasie swego pierwszego pobytu w Paryżu w roku 1750 Casanova odwiedził Lany'ego, słynnego baletmistrza opery paryskiej. „Zobaczyłem cztery czy pięć dziewcząt, które przyszły w towarzystwie matek, a którym dawał on lekcje tańca. Wszystkie miały po trzynaście czy czternaście lat i skromny wygląd przyzwoicie wychowanych panienek. Mówiłem im komplementy, a one odpowiadały mi tylko spuszczeniem oczu. Jedna cierpiała na ból głowy, dałem jej więc do powąchania wodę karmelicką. Przy jaciółka zapytała ją, czy dobrze spała ostatniej nocy. — Nie, to nie to — odpowiedziało dziecinnie — myślę po prostu, że jestem w ciąży. — Na to nieoczekiwane oświadczenie wypaliłem jak idiota: — Nigdy bym nie pomyślał, że pani jest mężatką! — Spojrzała na mnie, potem odwróciła się do drugiej i obie wybuchnęły śmiechem...”⁴⁰

Wracajmy do panny Louison, która (mimo że o rok starsza) ciągle jeszcze uchodziła za cnotliwą. W oczekiwaniu na zgodę wuja-aktora pan de Sabran starał się od czasu do czasu należycie rozerwać:

21 lutego 1761: „Pan markiz de Sabran, młody człowiek, lat osiemnaście, w oczekiwaniu

na powodzenie swoich zabiegów wokół małej Louison z Opery 'Komicznej, w której jest śmiertelnie zakochany, puścił się w tym tygodniu na małą przygodę [une passade] z panną La Croix, figurantką baletu Komedii Włoskiej, która kosztowała go dziesięć ludwików"⁴⁵.

Jednakże pan Deshays okazał się jakoś mało wrażliwy na szczodre propozycje markiza. Wreszcie młoda para doszła do wniosku, że nie ma na co czekać; panna Louison zdecydowała się na nieposłuszeństwo wobec opiekuna i dała się porwać panu de Sabran w niedzielę po mszy, gdy wychodziła z kościoła Saint-Sauveur, w towarzystwie brata wtajemniczonego w całą aferę. Oboje Louison pojechali wraz z panem de Sabran do ładnie urządzonego apartamentu przy rue Mazarine, gdzie wreszcie roznamiętniony markiz uzyskał „satisfakcję spędzenia nocy w ramionach swej młodej kochanki”. Na wiadomość o tym wuj-aktor wpadł we wściekłość, pobiegł ze skargą do ministra policji i zażądał interwencji, odebrania panny z rąk uwodziciela oraz osadzenia jej brata w więzieniu — „co i nastąpiło”⁴².

Zdumiewa nas trochę to oburzenie zacnego wuja Deshays. Czyżby w owej paryskiej Sodomie i Gomorze znalazł się jeden cnotliwy opiekun, który nie mógł ścierpieć, iż niewinna, piętnastoletnia dziewczyna, jego pieczy powierzona, stała się ofiarą libertyna? Niestety, raporty inspektora Marais wyjaśniają motywy pana Deshays znacznie prościej; po prostu czuły wujaszek przed niejakim czasem postarał się osobiście o uwolnienie

siostrzenicy od dziewictwa, no i przez kilka miesięcy tak dbał o wszechstronny rozwój jej talentu, że nie mógł pogodzić się z myślą, iż lekcje te zostały przerwane.

Jakie były dalsze losy markiza i tancerki, inspektor Marais niestety nie notuje. Można jednak przypuszczać,

ii pan Deshays dał się w końcu ułagodzić, a markiz de Sabran mógł wreszcie w spokoju sycić się wdziękami swojej kochanki. Romans trwał dość długo, prawie trzy lata, ale skończyć się oczywiście musiał. Markiz poczuł się na tyle pewny by ubiegać się o łaski najślynniejszej z ówczesnych tancerek, panny Guimard. A Louison?

16 marca 1764: „Mała Louison tonie tymczasem w łzach i znajduje się w niesłychanie przykrew sytuacji. Urodziła w tym tygodniu dziecko, z pewnością splotzone z panem de Sabran, a on, bynajmniej nie wzruszony, mimo że wie, jak wielką miłość ta dziewczyna doń żywi, porzucił ją i zostawił zupełnie bez środków do życia. Dopiero pan de Chateau-Rénard, wzruszony jej stanem, przysłał jej litościwie potrzebne rzeczy i zadbał, żeby miała co do garnka włożyć; a wszystko to bez żadnych propozycji, przynajmniej na' razie, jako że wzdycha ona ciągle tylko za swoim niewiernym kochankiem. Jeśli kobiety są perfidne, to mężczyźni w pełni im dorównują”⁴⁵. |

Nie martwmy się jednak o los biednej panny Louison — dała sobie radę. W kilka lat później, w roku 1772, powodziło się jej znakomicie; była utrzymanką księcia Conti i mieszkała w pięknym apartamencie (wynajmowanym za 1200 liwrów rocznie) przy rue des Bons-Enfants

A oto druga historia, może jeszcze bardziej charakterystyczna — dzieje panny Raye. Urodziła się gdzieś w Prowansji, ale jako dziecko przyjechała z matką do Paryża. Mama Raye troszczyła się bardzo o edukację córki, posyłała ją na lekcje tańca, postarała się w końcu

o jej debiut na scenie Komedii Włoskiej. Młoda tancerka spodobała się publiczności. Matka przeniosła ją więc do opery i natychmiast poczęła wyszukiwać kandydatów na jej protektorów i amanatów. Na barki młodej tancerki spadł obowiązek utrzymania całej rodziny

i to utrzymania na odpowiednim poziomie, bowiem mama Raye nie chciała kontentować się życiem w miernym dostatku, tym bardziej że przygotowywała do takiej samej kariery drugą, o kilka lat młodszą córkę i lękała się, że brak odpowiedniej reprezentacji może znacznie obniżyć cenę jej wdzięków. Panna Raye była przez jakiś czas utrzymanką pana de Courchamps, radcy parlamentu, potem żyła z Anglikiem Trentem, który płacił jej 25

ludwików miesięcznie; znana była jednak z licznych „passad”, na które decydowała się chętnie i z różnymi partnerami, potrzebując najwidoczniej coraz więcej pieniędzy⁴⁵.

Inspektor Marais notował w lutym 1761:

„Pan de Lignerac w ostatnią środę puścił się na małą przygodę z panną Raye, figurantką z opery, za cenę dziesięciu ludwików. Koszty utrzymania całego tego domu odstraszały wszystkich chętnych, którzy mieliby zamiar związać się z tą panną. Aby więc podołać swym wydatkom, jest ona zmuszona do oddawania się za coraz nędzniejsze sumy, co szkodzi jej bardzo, nawet wśród koleżanek. Nie sądzę, aby była z gruntu liber- tynką; musi jednak płacić za mieszkanie, utrzymanie i wszelkie wygody swojej babki, matki, dwóch młodszych siostr, pokojówki, lokaja i kucharki. Ostatniej soboty pan de Blagny [...] skorzystał z chwilowej biedy i za cenę biletu na cztery fury drzewa do otrzymania u jego kupca miał satysfakcję odwiedzenia alkowy z tą samą panną Raye, która przechwalała się odrzuceniem oferty barona de Varseberg, ofiarującego jej na miesiąc 30 ludwików, nie licząc prezentów”¹⁸.

Widocznie jednak pan de Varseberg ponowił swoje propozycje, bowiem w raportach naszego inspektora znalazła się nieco później taka oto notatka:

„Baron de Varseberg, mimo swego przywiązania do panny Le Clerc, utrzymywanej przez siebie tancerki z Komedii Włoskiej [...] zdecydował się na przygodę za 25 ludwików z panną Raye, którą przedtem chciał utrzymywać za 30 ludwików miesięcznie. Dama ta oddała się tym chętniej, że jest w desperacji z powodu odrzucenia jego dawniejszych ofert, i że miała nadzieję, iż skosztowawszy jej wdzięków opuści on pannę Le Clerc, aby żyć z nią. Zawiodła się jednak; zazwyczaj chce bowiem zachować zbyt wiele powściągliwości w rozkoszach, natomiast baron jest libertynem, potrzebuje kochanki bardzo wyuzdanej, a to jest właśnie talent, który posiada w nadmiarze panna Le Clerc...”⁴⁷

Była to ostatnia notatka inspektora Marais o pannie Raye w roku 1761. Na trzy lata ginie nam ona z oczu. Musiała przejść wiele ciężkich chwil, zanim znowu uśmiechnęło się do niej szczęście.

13 lipca 1764: „Pan hrabia de Rochefort wziął na swoje utrzymanie pannę Raye, figurantkę baletu Opeery. Daje jej miesięcznie 40 ludwików, utrzymuje jej garderobę i przysyła codziennie karetę, a jeżeli będzie się dobrze prowadzić, pod koniec roku ma jej zrobić prezent z dwunastu tysięcy liwrow [..] Aby zapewnić sobie tę korzystną pozycję, odprawiła ona pana Léger, tancerza, swojego opiekuna (son guerluchon). Hrabia de Rochefort, który pragnął z jej strony tej ofiary, nie wyrażając jednak jasno swojego żądania, okazał swe zadowolenie przez najróżniejsze podarunki. Matka Raye jest zachwycona i oczekuje nie-, cierpliwie końca roku, aby pomacać te dwanaście tysięcy liwrow”⁴⁸.

Zdawało się zacnej mamie, że założone takim nakładem starań przedsięwzięcie eksploatacji wdzięków córki zacznie wreszcie przynosić wielkie dochody. Zgubiła ją jednak, jak można było oczekiwać, nadmierna chciwość:

24 sierpnia 1764: „Hrabia de Rochefort ostatecznie porzucił pannę Raye, nie mogąc podołać wydatkom tego domu. Przez niespełna sześć tygodni dał jej prawie dziewięć tysięcy liwrow, a mimo to musiał ją oglądać obłożoną przez dłużników. Prawda, że matka Raye, która zna doskonale sztukę handlu, czyniła wielkie starania, aby wprowadzać tych dłużników tylko wtedy, gdy hrabia przebywał z jej córką. Wreszcie przestało mu się to podobać. Uznał, że chodzi tu jedynie o wystrychnięcie go na dudka, w czym się zresztą nie mylił. Ujęty wszelako dobrą wolą panny, która doprawdy zasługiwałaby na uczucie przyzwoitego mężczyzny, gdyby nie mieszkała ze swoją matką, obiecał jej, że da jej wszystko, co może, jeżeli tylko zechce porzucić swoją kochaną mamusię”⁴⁹.

Nie wiemy, czy dziewczyna zdecydowała się na rozstanie ze swoją bezwzględną i cyniczną matką. Można sądzić, że raczej nie; zapewne dalej starała się za wszelką cenę utrzymać całą

rodzinę, sprzedając się coraz częściej i coraz taniej. Jeszcze dziś, po dwustu latach, los tego biedactwa budzi współczucie — była wśród swych koleżanek wyjątkiem, w rozwiązłym życiu szukała chyba nie własnej satysfakcji, ale sposobów zapewnienia bytu najbliższym i zapewne nie rozumiała, że stała się ofiarą ich chciwości. Rzadko się zdarzało, by inspektor Marais pisał o którejkolwiek z obserwowanych przez siebie kobiet z nutą szacunku; znamienne jest, że właśnie o pannie Raye wspominał w swych raportach z akcentem uznania dla jej godności osobistej.

Większość dziewcząt z opery i innych teatrów nie żenowała się jednak swobodą swoich obyczajów, nie ukrywała się ze swymi wielbicielami w zaciszu odosobnionych apartamentów. Zdarzały się więc nieraz głośne skandale. W roku 1772 jeden z dziennikarzy notował:

„Niedługo odbędzie się w operze proces bardzo specjalnego rodzaju. Niejaka panna La Guerre, chórzystka, została w czasie próby przychwycona in flagranti w jednej z łóż. W ogóle próby w operze są bardzo rozkoszne dla amatorów, gdyż wszystko jest tam wówczas w zamieszaniu, wejścia są otwarte i panuje urocza swoboda. Szczęśliwcem, którego zaskoczono z nią razem w miłosnej ekstazie, był prezydent de Meslay z Izby Obrachunkowej. Należy zdecydować, jaki rodzaj kary nałoży się tej aktorce. Dyrektor generalny, pan Rebel, od dawna tak doświadczony w stosowaniu zasad kodeksu lirycznego, ma uczestniczyć w rozprawie razem z dyrektorami poszczególnych działów. Przypuszcza się — ironizował dziennikarz — że wezwane zostaną również najbardziej doświadczone matrony z trupy teatralnej, ale chyba tylko z głosem doradczym. Afera ta przypomina wielce sprawę panny Petit, która przed niejakim czasem narobiła tyle rozgłosu i w której ujawniły się fakty bardzo ucieszne”⁵⁰.

Panna La Guerre miała więc za swój wybryk ponieść przykładową karę. Nie wiemy, na co zdecydowała

się surowa komisja. Jest wszelako bardzo charakterystyczne, że dopiero od momentu tego skandalu i dzięki zyskanemu przezeń rozgłosowi skromna chórzystka rozpoczęła błyskotliwą karierę. W trzy lata później ' była już jedną z gwiazd opery, dublowała główne role, i cieszyła się uznaniem i powodzeniem, a wielbiciele nie opuszczali jej ani za chwilę. Została kochanką księcia de Bouillon, który wydał na nią podobno olbrzymią sumę 800 000 liwrow! Ta rozrzutność ściągnęła nawet 1 na rozhamiętowanego arystokratę królewską naganę, ! tym dlań boleśniejszą, że panna La Guerre w wierność i ci nie wytrzymała i rychło porzuciła swojego hojnego protektora⁶¹.

Oczywiście nie wszystkie artystki mogły liczyć na tak bogatych amantów. Większość kontentowała się skromniejszymi. Gdy mijał okres największej popularności, kiedy to dziewczyna mogła przebierać wśród ofert wielbicieli, trzeba było zdecydować się na trwalszy związek. Niejedna urządziła się w taki sposób, jak panna Favier, którą na koniec przedstawi nam inspektor Marais:

15 lutego 1765: „Panna Favier, była figurantka opery, ma obecnie trzech kochanków, którzy ją nieźle opłacają. Pan Durand, plenipotent zmarłego arcybiskupa z Cambrai, daje jej 15 ludwików miesięcznie; pan Toąiny, który powiada się bankierem, daje jej dokładnie dwadzieścia; a pan de Sully, muszkieter, 10 ludwików, nie licząc prezentów, które otrzymuje zresztą od wszystkich trzech. Co jednak jest w tym najdziwniejsze, to fakt, że żyją wszyscy razem w doskonałej zgodzie. Co wieczór spotykają się w teatrze i ustalają, który z nich zostanie z nią na noc. Panna Favier nie wie o ich porozumieniu i mają wiele uciechy obserwując jej wysiłki, aby kolejno każdego z nich oszukać”⁶².

Obyczaje środowiska, w którym Cróbillon (fils) spędził swą młodość, nie zmieniły się przez lat pięćdziesiąt; Amina i jej czuła, troskliwa matka były postaciami nieśmiertelnymi; aż do czasów Wielkiej Rewolucji wokół opery i innych teatrów Paryża nieustannie pulsowała życiem i ukazywała swój przewrotny wdzięk

strefa wyrafinowanej nieobycajności, przyciągając rzesze libertynów.

W tym miejscu trzeba ujawnić wreszcie powód, dla którego poświęciliśmy tyle uwagi banalnym z pozoru losom XVIII-wiecznych tancerek paryskich. Otóż w tym właśnie środowisku, w latach 1760-tych, obracał się często i prowadził swoje niezwykle obserwacje i eksperymenty osławiony później markiz de Sade.

Lecz domeną zainteresowań ludzi typu de Sade'a był nie tylko teatr publiczny. Cenzura duchowna strzegła pilnie „przyzwoitości” sceny oficjalnej. Artystki teatrów operowych i dramatycznych w życiu codziennym- uznane były za uosobienie niemoralności, ale na scenie przedstawiały postacie, które gorszyć nikogo nie mogły. W lożach teatrów zasiadały wytworne damy, którym pozycja społeczna gwarantowała dobrą sławę bez względu na praktykę ich życia osobistego.. Panie te znały zazwyczaj scenę nie tylko z tej strony rampy. Teatr prywatny, amatorski, théâtre de société, był w XVIII wieku najpospolitszą z rozrywek świata uprzywilejowanych. Tam już cenzura duchowna nie docierała — i tam właśnie pojawiały się na scenie zjawiska obyczajowe, których moralizatorski teatr oficjalny ścierpieć ówczasnie nie mógł.

Księżna pani, hrabina, markiza, prezydentowa z pogardą i lekceważeniem patrzyła na „dziewczynę z opery”, którą mógł kupić każdy z bogatych libertynów. „Dziewczyny z opery” były łatwe i wyuzdane, ale niejedna z nich spłonęłaby ze wstydu, gdyby ujrzała markizę czy prezydentową w takich strojach i sytuacjach, w jakich panie te nie wahały się dla wyrafinowanej zabawy ukazywać na scenach théâtres de société.

Po roku 1750 Crébillon (fils) należał do grona przyjaciół sławnego La Pouplinière'a. Alexandre-Jean- -Joseph Le Riche de La Pouplinière (ur. 1692, zm. 5 grudnia 1762) był jednym z najbogatszych ludzi we Francji XVIII wieku. Fortunę swoją zawdzięczał rozmaitym operacjom finansowym i bezwzględnemu wyzyskowi mas chłopskich, był bowiem jednym z generalnych dzierżawców podatkowych, spekulantów, którzy zbijali ówczasnie olbrzymie majątki, kupując od skarbu królewskiego za zryczałtowaną cenę prawa do podatków w całych prowincjach i następnie ściągając z ludności kilkakrotnie większą sumę przy użyciu nieraz gwałtu i przymusu. Dzierżawcy generalni byli przez lud znienawidzeni, stara arystokracja patrzyła na nich z pogardą i lekceważeniem, ale pozycja ich była bardzo mocna, dysponowali bowiem olbrzymimi dochodami i poparciem dworu królewskiego. Wśród dzierżawców generalnych La Pouplinière był zjawiskiem dość nietypowym; był znawcą i miłośnikiem sztuki, protektorem artystów, mecenasem popierającym twórczość, zresztą hulaką i zdecydowanym libertynem. „Jego dom w Passy — pisał Marmontel — stał się najbardziej uroczym miejscem pobytu; utrzymywał najlepszą orkiestrę, jaką w tych czasach można było usłyszeć. Muzycy mieszkali u niego i co dzień rano przygotowywali z nim razem, w cudownym porozumieniu, symfonie przeznaczone do wykonania wieczorem. Pierwsze talenty teatrów, zwłaszcza zaś śpiewaczki i tancerki opery, przyjeżdżały dla uświetnienia wieczornych przyjęć [...] W teatrze jego, gdyż oczywiście miał taki u siebie, grano komedie w jego stylu, a aktorów wybierano spośród towarzystwa [...] Sukces przedstawień był tym pewniejszy, iż następowały po nich wspaniałe przyjęcia, na które zapraszano elitę widzów, ambasadorów państw europejskich, arystokrację i najpiękniejsze kobiety Paryża”¹³.

A. Fryderyk Melchior Grimm wspominał go w swojej słynnej Korespondencji literackiej: „Był to cdowiek sławny, w Paryżu; dom jego był miejscem spotkań przedstawicieli wszystkich stanów. Doradcy i światow- cy, literaci, artyści, cudzoziemcy, aktorzy i aktorki, kurtyzany — wszyscy się tam zbierali. Zwano ten dom Menażerią, a jego władcę Sułtanem. Sułtan ów był poddanym Nudy, ale skądinąd był to człowiek o błyskotliwym umyśle. Zrobił w życiu wiele dobrego, chociaż sam jeden tylko wiedział, czy było to wynikiem współczucia, czy zamiłowania do szczodrości i przepychu. Napisał sporo komedii, które grano u niego, ale które nigdy nie były drukowane; układał ładne wiersze; znamy wiele bardzo miłych jego

piosenek...”⁵⁴ Nie darmo pałac La Pouplinière’a w Passy nazywano „Świątynią Muz i Rozkoszy”. Upodobania artystyczne i libertyńskie poglądy bogacza dopełniały się znakomicie. W salonach La Pouplinière’a od dyskusji nad sztuką i literaturą łatwo przechodzono do rozwiązłych, wyrafinowanych zabaw. W ówczesnej Francji opowiadano wiele o perwersyjnych orgiach w Passy. Komedyjki, które dla uciechy swych przyjaciół pisał La Pouplinière, nawet na tle libertyńskiej beletrystyki obyczajowej tych czasów wyróżniały się treścią nadzwyczaj śmiałą; utwory te pokazywano jednak na scenie w Passy lub w pałacach La Pouplinière’a w Paryżu, przy rue de Clichy i rue de Richelieu. La Pouplinière przez wiele lat żył w nieślubnym związku z aktorką, panną Deshayes. W roku 1737 po jakimś skandalu musiał się z nią z rozkazu monarchy ożenić; żona zdradzała go zresztą nieustannie i bez umiaru, w końcu się z nią rozszedł. Zanim to jednak nastąpiło, pani Teresa Deshayes-La Pouplinière bardzo przyczyniła się do rozwoju prywatnego teatru w Passy i w pałacu przy rue de Clichy — i do nadania mu wybitnie śmiałego, libertyńskiego charakteru.

La Pouplinière był obdarzony talentem literackim i pisał dość zręcznie. Na krótko przed śmiercią wydał powieść pt. *Daira*, historia orientalna (1760). Niesłusznie chyba przypisywano mu jednak anonimowe dzieło, które niewątpliwie przerastało możliwości jego talentu i które uchodzi dzisiaj za jeden z najciekawszych dokumentów literacko-obyczajowych XVIII wieku — *Obraz obyczajów naszych czasów w rozmaitych okresach życia* (*Tableau des mœurs du temps dans les différentes âges de la vie*). Utwór ten powstał niewątpliwie w środowisku salonu literackiego w Passy, ale napisać go musiał ktoś spośród pisarzy wyższej rangi. Wiele danych wskazuje na to, że autorem *Obrazu obyczajów* był sam Crébillon (fils) — i trudno chyba zakwestionować decyzję wielkiego poety francuskiego i znakomitego znawcy literatury erotyczno-obyczajowej Guillaume’a Apollinaire’a, który zaczął publikować to dzieło pod nazwiskiem autora Sofy⁵⁵.

Obraz obyczajów składa się z 17 dialogów, ukazujących dzieje edukacji klasztornej i wejścia w życie towarzyskie dwóch młodych panien z zamożnych rodzin szlacheckich, Augusty i Teresy. Jest to rzeczywiście wszechstronny obraz obyczajów i psychiki erotycznej wyższych warstw społeczeństwa francuskiego w pierwszej połowie XVIII wieku, w okresie między Regencją a wzrostem wpływów pani Pompadour (lata 1730-te i 1740-te). Forma literacka i konstrukcja utworu zdają się potwierdzać autorstwo Crébillona, który w latach 1750-tych zwrócił się właśnie ku dialogowi i w tej postaci przedstawił swoje dwa najzgrabniejsze utwory. Dzieło ukazało się drukiem około roku 1760, rzekomo w Amsterdamie, i niewątpliwie w bardzo niewielkiej liczbie egzemplarzy; wydrukowano ich zapewne nie więcej niż kilkanaście. Książka wydana została w pięknej szacie graficznej in quarto, ozdobiona była dwudziestoma ilustracjami, które przypisuje się Philippe’owi Carême. Z całego nakładu ocalał tylko jeden egzemplarz. Był on podobno własnością Ludwika XVI, około roku 1820 znalazł się jakimś cudem w bibliotece Golicynów w Moskwie, potem przeszedł w inne ręce, wreszcie nabył go słynny bibliofil angielski Frederic Henkey. Po śmierci Henkeya egzemplarz *Tableau des mœurs* sprzedany został w roku 1891 za 20 200 franków bogatemu amatorowi i — jak się wydaje — gdzieś przepadł. Jednakże w roku 1863 ukazała się w Paryżu (w ograniczonym nakładzie 150 egz.) reedycja tego dzieła i dzięki temu nie zostało ono zupełnie zapomniane.

Obraz obyczajów jest ciekawym i ważnym ogniwem rozwojowym całej serii dzieł erotyczno-obyczajowych, ukazujących w interesującej formie artystycznej i z dużą docieklivością psychologiczną intymne obyczaje erotyczne i praktyki seksualne we Francji, Włoszech i Hiszpanii, od przełomu wieku XV i XVI poczynając. Zapoczątkował tę serię pewien duchowny hiszpański, pisarz i humanista zamieszkały we Włoszech, Francisco Delicado (ur. ok. 1480, zm. po 1534). Jest to postać dzisiaj już zupełnie zapomniana, chociaż warto o nim pamiętać z jednego choćby powodu: on to bowiem opracował według starych opowieści i wydał drukiem sławne romanse rycerskie (m. in. *Amadisa z Galii*), którymi tak

zaczytywał się Don Kichot. W roku 1528 Delicado wydał w Wenecji barwną i realistyczną opowieść pt. *La Lonana Andaluza*, w formie dialogów i stylu dość prostym i rubasznym ukazującą obyczaje ludowe i mieszczańskie w Hiszpanii i Włoszech. Między innymi z renesansową śmiałością przedstawił tam swobodne życie osobiste swojej bohaterki. Właśnie w roku 1528 Delicado poznał w Wenecji Pietra Aretino. Słynne dzieło Aretina *Ragionamenti*, napisane około roku 1534, nosi na sobie wyraźne ślady wpływów Delicada. *La Lozana Andaluza* szybko poszła w zapomnienie, *Ragionamenti* były jednak czytane w całej Europie w wieku XVI i XVII, wywołały sporo naśladownictw i zapłodniły wyobraźnię wielu wybitnych i pomniejszych twórców. Wśród humanistów, którzy zaczytywali się dziełami Aretina i jego naśladowców, był również pewien poważny i bardzo ceniony prawnik i historyk francuski, zamieszkały w Delfinacie, znany poza tym jako wielki miłośnik literatury antycznej, Nicolas Chorier (1612—1693).

Chorier wsławił się przede wszystkim swoją monumentalną *Historią Delfinatu* (1661) i poza Grenoble, miastem, w którym spędził większość życia, nigdzie nie domyślano się nawet, że ma coś wspólnego z dziełem,

które ukazało się potajemnie w roku 1659 pt. *Aloysiae Sigeae Toletanae Satyra Sotadica de Arcanis Amoris et Veneris*. Dzieło to, napisane dobrą klasyczną łaciną, złożone z sześciu (od drugiego wydania z siedmiu) dialogów, w których uczestniczą dwie przede wszystkim bohaterki, młode Włoszki Tułia i Oktawia, jest nadzwyczaj śmiałym i wnikliwym obrazem praktyk seksualnych, upowszechnionych wśród wyższych warstw społecznych Francji i Włoch w wieku XVI i XVII. Wytworne i wyrafinowane w formie mimo całej drastyczności tematu, okazało się jednym z najciekawszych osiągnięć literatury dogasającego Renesansu, a jednocześnie świetnym studium psycho-seksuologicznym i cennym źródłem do historii obyczajów. Ani w wieku XVII, ani nigdy później nie weszło jednak do grupy uznanych utworów „klasycznych”; treść tej książki przerażała zawsze cenzurę obyczajową i spośród dziesiątków wydań, jakie miała ona od końca wieku XVII po czasy nam współczesne, ani jedno nie było wydaniem przeznaczonym do jawnego i nieograniczonego rozpowszechniania.

Ukryty w cieniu autor usiłował przekonać swoich współczesnych, że *Satyra Sotadyczna* (tytuł wywodził się od nazwiska starożytnego poety „kinajdologiczne- go” Sotadesa z Maronei) napisana została przez głośną w XVI wieku humanistkę hiszpańsko-portugalską Aloysię Sigeę (urodzoną w Toledo około roku 1530), a przełożył ją na łacinę Holender Jan Meursius; pod nazwiskiem Meursius’a książka ta była też wydawana w wieku XVIII. Ale już w początkach wieku XVIII krążyły pogłoski, że niezwykle to dzieło napisał właśnie wybitny prawnik i historyk, prokurator królewski w Grenoble, imię pan Chorier. Wątpliwości w tej sprawie ciągnęły się jednak aż do połowy wieku XIX. Historycy literatury nie mogli jakoś pogodzić się z myślą, że nadzwyczaj drastyczne w treści dzieło erotyczne mógł napisać ktoś o tak ustalonej pozycji społecznej i tak poważnej, nieskazitelnej reputacji.

Książka Choriera zyskała w XVIII wieku niezwykłą popularność i z reguły wchodziła w skład biblioteki każdego libertyna. Wydawana i sprzedawana nielegalnie, gwałtownie zwalczana przez kościelną cenzurę, krążyła jednak po całej Europie i wywierała na umysły i obyczaje współczesnych wpływ bardzo znaczny. Przełożył ją na francuski niejaki Nicolas, syn księgarza z Grenoble, który tłoczył pierwszy nakład. Pojawiły się potem liczne adaptacje i naśladowstwa, a w drugiej połowie wieku XVIII wydał jej piękne tłumaczenie francuskie słynny później działacz rewolucyjny Camille Desmoulins.

Satyra Sotadyczna była czytana i komentowana również w salonie *La Pouplinière*’a w Passy. Zbliżamy się więc już do *Obrazu obyczajów*. Trzeba jedynie wskazać ogniwo pośrednie; otóż w roku 1683 ukazała się (rzekomo w Kolonii) książka, która czerpiąc wiele z utworu Choriera wzbogacała jednocześnie temat

O śmiałe akcenty satyryczne, skierowane przeciwko rozwiązłości obyczajów w klasztorach żeńskich i pensjonatach zakonnych dla dziewcząt: Wenus w klasztorze, czyli zakonnica w koszuli (*Vénus dans le cloître ou la Religieuse en chemise*). Jako autor wymieniony był na karcie tytułowej „l'abbé Duprat”, a p'od tym pseudonimem ukrywał się autor, który z racji swego urzędu dość dużo o życiu w klasztorach wiedział, był nim bowiem ksiądz Jean Barrin (1640—1718), wikariusz generalny katedry w Nantes, zresztą zdolny literat i autor kilku głośnych ówczesnie dzieł. Crébillon (bowiem będziemy go odtąd uważać za niewątpliwego autora *Obrazu obyczajów*) pisząc swoich siedemnaście dialogów, składających się na sporą książkę, miał zapewne w pamięci oba te pierwowzory.

Klasztorna edukacja dziewcząt miała we Francji XVIII wieku jak najgorszą opinię; panienki opuszczające zakonne pensjonaty cieszyły się wśród libertynów sławą łatwych zdobyczy; motyw ten pojawia się wielokrotnie w realistycznej literaturze obyczajowej epoki Oświecenia. Damy najbardziej osławione z powodu swego rozwiązłego trybu życia i perwersyjnych praktyk seksualnych miały za sobą z reguły długą edukację klasztorną, a czasem nawet próbę zakonnej profesji. Ciekawym przykładem może być tutaj kariera sławnej pani de Tencin (1682—1749), zresztą autorki kilku powieści, która w młodości złożyła u augustianek w Montfleury śluby zakonne, ale po pięciu latach życia w klasztornym odosobnieniu zrzuciła habit i uciekła do Paryża rozpoczęła życie arcyświatowe; osławione były jej liczne romanse, między innymi stosunki z regentem księciem Filipem Orleańskim, na życzenie którego organizowała głośne widowiska orgiastyczne w ogrodach Saint-Cloud, wśród nich wyuzdane „balety flagellantek”⁵⁶. *Obraz obyczajów* rzuca na klasztorne wychowanie dziewcząt francuskich w XVIII wieku bardzo ciekawe światło.

Bohaterki *Obrazu obyczajów* to siedemnastoletnia Augustyna i szesnastoletnia Teresa — dwie dziewczyny u progu wejścia w świat i małżeństwa, przygotowanego oczywiście bez ich udziału przez rodziców czy opiekunów. Nieśmiała i rozmarzona Teresa pozostaje pod przemożnym wpływem starszej przyjaciółki, bezczelnej i na miarę klasztornej pensjonatki „doświadczonej” Augusty. Małżeństwo jest dla obu panien chwilą wyzwolenia spod nienawistnej władzy zakonnicy, gotowe są więc przyjąć z radością wybór rodziców, choć narzeczonych swoich zupełnie nie znają. Przyszłe małżeńskie doświadczenia rozpalają ich wyobraźnię — w pojęciu swoich klasztornych wychowawczyń dziewczęta mogą uchodzić za zupełnie „niewinne”, nie mają prawie pojęcia o istocie zwykłych stosunków heteroseksualnych...

Wszelako nie przeszkadza to, że od dawna prowadzą właściwie intensywne życie seksualne, tyle tylko, że w wyrafinowanych i zboczonych formach, że do głębi mają w sobie zakorzenione skłonności inwersyjne i perwersyjne. Wszystkie prezentowane w dialogach wychowanki klasztoru przejawiają silne upodobania homoseksualne, które co prawda nie zawsze dochodzą do czynnego trybadyzmu, wyrażają się jednak w nieustannym wzajemnym zainteresowaniu swoim ciałem i zabawach o wybitnie zaakcentowanym „pierwiastku seksualnym”. W gromadzie dziewcząt wykształcają się typy „męskie”, które — jak Augusta — dominują nad swymi słabszymi psychicznie „kobietami” koleżankami. Przede wszystkim jednak szerzą się w klasztornej pensjonacie upodobania i praktyki flagellacyjne, wyrabiające w dziewczętach perwersje o charakterze algolagnii aktywnej i pasywnej, skojarzonej z inwersją homoseksualną⁵⁷.

W pojęciu zakonnych nauczycielek Augusty i Teresy naczelnym środkiem i argumentem wychowawczym jest różga i dyscyplina. Zakonnice stosują te środki chętnie i z upodobaniem; same wychowywane były z reguły w identyczny sposób, są zresztą z rzemieniem doskonale obeznane dzięki własnym praktykom pokutniczym, które dostarczają im nieraz wrażeń nadspodziewanie przyjemnych, przez bardziej naiwne siostrzyczki przypisywanych wzniosłemu duchowemu zadowoleniu ze służby bożej. Dziewczęta

otrzymują chłosty często i z błędnego powodu. Co więcej — wymiar kary cielesnej odbywa się najczęściej publicznie, w obecności koleżanek i celebrowany jest w atmosferze bardzo specyficznej, upokarzającej jedne, a podniecającej inne dziewczęta, przy daleko posuniętym obnażeniu delikwentki. Z dużą dociekliwością seksuologiczną autor ukazuje skutki takiego wychowania; upodobania flagellacyjne stają się ważnym elementem w psychice dziewcząt. Wzajemne wymierzanie sobie „kary” staje się swoistą grą i zabawą; wykształcają się indywidualności agresywne, naciskiem psychofizycznym zmuszające koleżanki do poddawania się takim zabiegom, a z drugiej strony j— indywidualności czerpiące zadowolenie z demonstrowania swego ciała i poddawania się chłości.

Augusta opowiada Teresie: „...przed dwoma laty, zanim do nas przyszedł, była tu nauczycielka, która stała się źródłem upodobań, jakie nabyłam. Była bardzo surowa i często nas chłostała; odbywało się to zawsze publicznie, przed wszystkimi dziewczętami, w czasie zajęć. Nie było dnia, żeby któraś jej nie podpadła. Oglądałyśmy u takiej pośludki, czasem bardzo zgrabne; potem widziało się w tej sytuacji inną, a wreszcie przychodził moment, że trzeba było pokazać własne. Stało się to w końcu tak zwyczajne, że przeszło w upodobanie u wszystkich dziewcząt. Szukają tylko okazji do podkazywania się i wzajemnego smagania... Była tu jedna, która już przed rokiem wyszła za mąż i stała się dzisiaj piękną panią; biłam ją ze trzydzieści razy, bo sama tego chciała; ciało jej tak przywykło, że stało

się to dla niej zwykłą potrzebą; a kiedy waliłam ją mocno, krzychała jeszcze „bis!”, bo miała z tego powodu tylko więcej łaskotania i przyjemności...” Od „wymierzania kary” łatwo było przejść do „zabaw” grupowych w charakterze małych orgii homoseksualnych; altany klasztornego ogrodu widziały wiele takich • scen, których uczestniczki — jeżeli wiadomość o występku dotarła do matki przełożonej — karane były ' oczywiście znowu publiczną chłostą.

W pierwszych sześciu dialogach *Obrazu obyczajów* Crébillon bez wahania przedstawił drastyczne sytuacje, w których znalazły się Augusta i Teresa w czasie swej klasztornej edukacji; w salonach *La Pouplinière*'a lektura tych scen pobudzała zapewne zgromadzone damy do szczerego śmiechu i wyrazów uznania dla talentu autora; każda mogłaby niewątpliwie dorzucić wiele szczegółów ze swoich własnych wspomnień. Sceny klasztorne z *Obrazu obyczajów* nie są oczywiście ' wyjątkiem w francuskiej XVIII-wiecznej liberyńskiej literaturze satyryczno-obyczajowej. O wychowaniu, jakie otrzymywały w klasztorach dziewczęta z najlepszych rodzin, liberyńscy satyrycy rozprawiali często i chętnie. Dla weryfikacji twierdzeń Crébillona i jego „obrazu obyczajów” upowszechnionych w klasztornych pensjonatach powołamy się jednak na świadectwo nie satyryka, ale pewnej młodej dziewczyny, która w roku 1772 znalazła się w żeńskim internacie opactwa *Notre-Dame-aux-Bois* w Paryżu. Była nią Polka, Helena Massalska, późniejsza księżna de Ligne, a wreszcie Wincentowa Potocka. W czasie pobytu w klasztorze spisywała swój naiwny, pensjonarski pamiętnik — i jest doprawdy zdumiewające, jak bardzo atmosfera panująca w opactwie, a przedstawiona przez młodzieńką pamiętnikarkę, przypomina satyryczną wizję Crébillona, zawartą w *Obrazie obyczajów*. Nie rozstrząsając szczegółów warto wspomnieć o jednej tylko przygodzie, zanotowanej w pamiętniku Heleny; pewnego dnia starsza koleżanka, niejaka panna de Sivrac, zwabiła ją w zapadły kąt ogrodu, zdarła z niej ubranie, przytrzymała, „schwyciła pęk różeg i okrutnie mnie wychłostała”. Postawiona później przed obliczem przełożonej nie potrafiła wytłumaczyć powodu tego niezwykłego zachowania, które jednak wcale nie zdziwiło surowej i pobożnej pani de Rochechouart⁵⁸.

Bohaterkom *Obrazu obyczajów* Crébillon przypisał większą świadomość istoty upowszechnionych w klasztorze zabaw. Przygoda z młodym kuzynem, który pośpieszył odwiedzić Augustę i jej koleżankę, zanim zdążą opuścić internat, bardzo przyczyniła się do przedmażeńskej edukacji obu pańien. Wchodzą w życie z dość szczególnym zasobem wiedzy i doświadczeń; szczerza ich spowiedź mogłaby dostarczyć bogatego materiału

badawczego nawet wymagającemu seksuologowi, natomiast o obowiązujących w ich świecie stosunkach obyczajowych, normach etycznych i zasadach postępowania wiedzą bardzo, bardzo mało...

W następnych dialogach odnajdujemy Teresę i Augustę już po ślubie. Mąż Teresy, 38-letni bogaty szlachcic, hrabia de..., nie zamierza bynajmniej likwidować z powodu małżeństwa swego związku z Chonchette, „panną z opery”. Chonchette to już udoskonalona wersja Aminy; łączy drapieżny wdzięk swego pierwowzoru literackiego z Sofy z doświadczeniem i cynizmem jej matki. Choć jeszcze bardzo młoda, ma już u swego boku pojętną uczennicę, Minutte. W rozmowach z nią wyklada całą swoją filozofię życia; tłumaczy, jak ładna i sprytna dziewczyna łatwo może zapewnić sobie wygodną pozycję w świecie, korzystając z hojności mężczyzn, ich naiwności i głupoty.

Pojawiają się na kartach dialogów coraz to nowe postacie, bardzo charakterystyczne dla obyczajów epoki. Augusta, teraz pani de Rastard, za pośrednictwem swojej dostawczym kosmetyków, zręcznej Dodo, która pozorami swej oficjalnej profesji okrywa rzeczywiste rzemiosło stręczycielki, poznaje pewną czterdziestoletnią prawie damę, panią Copen. Ta żona bogatego flamandzkiego bankiera odznacza się specjalnymi upodobaniami: gardzi miłością mężczyzn, poszukuje natomiast perwersyjnych przygód w towarzystwie kobiet. Pani Copen — powiada Dodo — ma zwyczaj „zabawiać się dwa razy w tygodniu, bądź to ze swymi przyjaciółkami tych samych upodobań, bądź to z dziewczynami, które wyszukują jej, skoro tego zażąda, a które są do owych zabaw przyuczone. Pani Copen daje mi swoje rozkazy: raz żąda dziewczyny przebranej za zakonnicę, innym razem za szwaczkę, za wieśniaczkę, za kobietę z Sabaudii, czasem nawet za chłopca”. Bogata Flamandka łączy swoje inwersyjne skłonności z upodobaniami flagellacyjnymi. Dodo wyznaje, w jaki sposób stała się powiemniczką tej damy. Przed rokiem ubiegał się o łaski pani Copen przystojny młodzian, zyskał je, lecz zniechęcony chłodem i dziwnymi skłonnościami kochanki szybko ją porzucił. „Była w rozpacz widząc się opuszczoną jak ladacznica”. Wpadła wtedy na szatański plan zemsty, a do wykonania jej zaangażowała właśnie Dodo i jej dwie koleżanki. Niewierny młodzieniec zwabiony został do podmiejskiej willi w Vaugirard, gdzie rzekomo oczekiwać nań miała jakaś zakochana w nim do szaleństwa kobieta. Po wytwornej kolacji spoczął rozmarzony na sofie, oczekując nadejścia tajemniczej damy, gdy niespodziewanie rzuciła się nań gromada kobiet, które zdarły zeń szaty i przywiązawszy do sofy, poczęły smagać go różgami. W czasie tej egzekucji stanęła przed nieszczęśnikiem wyniosła i triumfująca pani Copen, szydząc niemiłosiernie z niewiernego amanta i osobiście dokładając ręki do przykładnej kary. Lecz sprytny młodzian wziął się na sposób; spytał pomocnice swej nieprzyjaciółki, jakie honorarium otrzymały za udział w tej zabawie, obiecał im podwójną nagrodę — i oto pani Copen znalazła się naga na sofie, pod pękiem różeg dziarskiej Dodo. Zdawać by się mogło, że znieważona Flamandka zaprzysięgnie stręczycielce srogą zemstę. Wszelako trudno było przewidzieć reakcję XVIII-wiecznej damy, której wyrafinowane żądze spletały się z najsprzeczniejszych upodobań. Dodo spotkała przypadkiem panią Copen w kilka dni po awanturze w podmiejskiej willi; została życzliwie zaproszona do jej domu i niespodziewanie łatwo uzyskała przebaczenie. Flamandka zwierzyła się jej z niechęci do mężczyzn, prosiła o pomoc w zawieraniu znajomości z damami, które podzielają tę odrazę. Widząc, że bolesna przygoda, której pani Copen doświadczyła przed kilku dniami, pozostawiła w jej pamięci wspomnienie bynajmniej nie przykre, Dodo zachęciła perwersyjną Flamandkę do kontynuowania takich zabaw, upewniając, że zna w Paryżu setki wytwornych pań, które z rozkoszą praktykują te ćwiczenia. I tak się zaczęło... Dodo jest teraz stałą pośredniczką pani Copen; na najbliższy wieczór też ma zamówienia: szuka „dziewczyny przebranej za chłopca, uroczej w tym stroju, ale bezczelnej w zachowaniu”. Zaciekawiona i podniecona Augusta de Rastard chętnie godzi się odegrać tę rolę. Wszelako nie będzie jej danym doświadczyć tych nowych wrażeń; na schadzce spotyka nie panią

Copen, lecz jej pasierba, przebranego w suknie kobiece, który dowiedziawszy się o planach macochy chciał jej spłatać figła i ubiec ją w tej grze. Augusta godzi się chętnie na zmianę swych planów i rezygnuje ze spotkania z panią Copen, przekonana dowodnie o doświadczeniu i zręczności spotkanego przypadkiem młodziana.

Również i Teresa, nieśmiała, trwożliwa i uległa wychowanka klasztoru, szybko uczy się stylu życia, który przystoi jej z racji urody, młodości i społecznej pozycji. Młody przyjaciel hrabiego de..., pan de Montade, śmiałym atakiem zdobywa łaski hrabiny. Cróbillon nie zmusza bynajmniej czytelnika do zbytniego wysiłku wyobraźni, gdy idzie o sytuacje rozgrywające się w buduarze Teresy, podobnie jak nie oszczędzał jfego pruderii, gdy przedstawiał przygody Augusty czy pani Copen. Dialog jest zręczny, zwiewny i dynamiczny, ale treść dyskusji między partnerami odmiennej płci jest arcyrealistyczna; zapewne tak właśnie rozprawiali między sobą XVIII-wieczni przygodni kochankowie — bez żenady i bez wzajemnego się menażowania, bez żadnych eufemizmów w dyskusjach o doznaniach fizycznych, których nie trzeba było usprawiedliwiać pozorami głębszych przeżyć duchowych. Sytuacje, w których przedstawia autor swoich bohaterów, są — z naszego punktu widzenia — niesłychanie ryzykowne. Ewentualny inscenizator dialogów z *Obrazu obyczajów* musiałby wymagać od aktorów poświęcenia bardzo daleko sięgającego, a od widzów odrzucenia precz nawet szczytków wstydlivości. Na szczęście dla autora XVIII-wieczne wytworne towarzystwo w Passy składało się z amatorów silnych wrażeń, których nie mogła przerazić inscenizacja najbardziej nawet intymnych czy śmiałych sytuacji na scenie amatorskiego teatru.

Dwie bohaterki *Obrazu obyczajów*, rozdzielone po opuszczeniu klasztornej pensjonatu, spotykają się wreszcie po dłuższym pobycie w wielkim świecie. Teresa porzuciła już dawno swoją dziecięcą naiwność, chociaż w stosunki z kochankiem angażuje się jeszcze emocjonalnie; jest właśnie zrozpaczona niewiernością pana de Montade. Augusta pozbawia ją brutalnie wszelkich złudzeń — sama jest już libertynką zaprawioną w bojach toczonych pod sztandarem Afrodyty. „Jakiż jest cel mężczyzny, który atakuje piękną kobietę i otacza ją wszelkimi możliwymi staraniami? Czy myślisz” może, głuptasku, że idzie wtedy o stworzenie czulego i słodkiego związku serc, ożywionego wzajemną skłonnością, utrzymywanego powabem charakteru i urokiem zalet umysłu? Toż to durne ckliwości, śmieszne pomysły, których w rzeczy samej nie sposób spotkać w świecie, które porzucili nawet autorzy modnych romansów! O cóż chodzi mężczyźnie? Chce przespać się z ładną kobietą i zaspokoić swą fantazję. To wszystko; kobieta, która czuje się obiektem czyjegoś zainteresowania, winna powtarzać sobie co chwila: ten czy ów ściga mnie wzrokiem, szuka mnie, wszędzie go spotykam; a więc chce mnie mieć i wpisać na s w o j ą listę...” Lista zwycięstw to trofeum każdego modnego kawalera; im więcej kobiet może na nią wpisać, im wyżej postawione i bardziej niedostępne piękności padły ofiarą jego zakusów, tym większy jest jego triumf i godniejsza zazdrości pozycja w wielkim świecie. Kobiety natomiast chcą zyskać na listach zwycięstw swoich kolejnych kochanków opinię jak najpochlebniejszą; zdobyć jak najwięcej takich świadectw swojej urody, odwagi, temperamentu i miłosego talentu — to prawdziwy sukces w tym świecie, gdzie nasycenie ambicji o tyle jest cenniejsze od zaspokojenia żądzy zmysłowej, o nie jest odeń trudniejsze. Augusta przyznaje się bez żenady, iż widziała niedawno „listę zwycięstw” pewnego modnego w Paryżu kawalera. Nie była zadowolona ze swojej opinii: „Pani de R..., ładne stworzenie, dość urodziwa w negliżu, ale jeszcze niezgrabna i mało ruchliwa [...] Buzia pełna fantazji, ładne ciało, istotka namiętna, ale z dziwactwami...” Niełatwo jest o celujące świadectwo w świecie libertynów, gdzie współzawodniczą ze sobą tysiące dam obdarzonych zaletami ciała, swobodą umysłu i wyrafinowaną a wszechstronną techniką rozkoszy...

Crébillon urwał dzieje swych bohaterów w momencie, gdy osiągnęły niejako pełnię kwalifikacji w profesji libertynki. Poznały i wypróbowały wszelkie formy obcowania seksualnego. Otwiera się przed nimi długa kariera modnych piękności z najwyższych sfer towarzyskich Paryża.

Obraz obyczajów naszych czasów uzupełniony jest niezwykle aneksem. W ostatniej scenie dialogów Augusta wręcza przyjaciółce książkę, która ma właśnie krążyć w Paryżu jako sensacyjna nowość: to *Historia Zairetty*, opowieść o niezwykłych przygodach 16-letniej dziewczyny, która porwana przez mauretańskich korsarzy dostała się do seraju sułtana Moufhack'a, panującego w kraju Karakatay, gdzieś na granicy Azji i Afryki. Aneks zawiera drugą część tej opowieści; Zairetta szykuje się w sułtańskim seraju do oczekujących ją obowiązków monarszej nałożnicy i z ust Ka-libeki, dawnej piękności sułtańskiego harem, dowiaduje się o ceremoniach dworskich i orgiastycznych zabawach, w których uczestniczy zazwyczaj cały dwór i harem Moufhack'a. Pomysłowość autora osiąga tutaj szczyty; orgiastyczne zabawy z udziałem kilkudziesięciu dziewcząt różnych ras, tworzących seraj sułtana, przedstawione są ze szczegółami, których nie sposób przytoczyć w książce przeznaczonej dla czytelników XX wieku. Warto jednak ogólnie o tym wspomnieć, gdyż sceny dziejące się rzekomo na dworze sułtańskim w Karakatay są niewątpliwie obrazem rzeczywistych zabaw orgiastycznych w pałacu La Pouplinière'a w Passy lub w Paryżu, tyle tylko, że ujętym w orientalną konwencję i oczywiście przesadnie wyolbrzymionym przez pomnożenie liczby uczestników. Pięćdziesiąt dziewcząt, otaczających tron sułtana w *Historii Zairetty*, było w rzeczywistości kilkunastoosobową grupą arystokratycznych dam i paryskich tancerek, wdzięczących się do znudzonego „Sułtana” z Passy, ale opisane sceny, stroje, niezwykle tańce i w ogóle cała atmosfera tych ceremonii były w opowieści Crébillona za pewne zaczerpnięte wprost z naocznych obserwacji i tylko ubarwione pomysłowością i wyobraźnią autora.

Obraz obyczajów był dziełem niekoniecznie przeznaczonym do inscenizacji, jednakże w Passy nie uważano za stosowne pozbawiać wytwornego towarzystwa przyjemności oglądania tych dialogów w realistycznych przedstawieniach na miejscowej scenie. Odtwarzano je ze wszystkimi szczegółami, nie cofając się przed inscenizacją sytuacji, których drastyczność zdystansowałyby niewątpliwie najśmielsze przedstawienia w zamkniętych klubach strip-teasowych niektórych krajów XX-wiecznej Europy. Damy i kawalerowie udział w takich inscenizacjach uważali po prostu za świetną zabawę i nikt nie cofał się przed powtarzaniem w obecności nielicznej a dobranej publiczności tego wszystkiego, co dla prywatnej uciechy w zaciszach buduarów na co dzień praktykowano.

Z natury rzeczy ofensywie liberynizmu nie mogła oprzeć się dziedzina rozrywki najbujniej w XVIII-wiecznej Francji rozkwitająca: teatr — przede wszystkim teatr komediowy, nieoficjalny, wolny od zadań moralizatorskich, które ideolodzy wieku Oświecenia natrętnie wmawiali wielkim scenom Paryża. Teatr rozrywkowy odegrał w XVIII-wiecznej Francji rolę olbrzymią. Przypuszcza się dzisiaj, że w ciągu XVIII stulecia (do roku 1789) napisano we Francji ogółem nie mniej niż 12 000 utworów dramatycznych. Trzeba do tego dodać około 2 000 sztuk, które powstały w czasie Rewolucji (1789—1799)⁹. Większość tych utworów nigdy oczywiście nie była drukowana; pojawiały się na scenach teatrów jarmarcznych lub ekskluzywnych *théâtres de société*, po czym szły w zapomnienie, rzadko wznawiane, szybko zastępowane przez dzieła nowe, lepsze lub modniejsze. Na wielkich scenach publicznych grano oczywiście tylko utwory „przystojne” i „obyczajowe”. Od roku 1702, kiedy to sztuka Nicolas'a Boindin, prokuratora królewskiego w biurze finansów generalności paryskiej i znanego miłośnika teatru, pt. *Le bal d'Auteil* (wystawiona w Komedii Francuskiej 22 sierpnia 1702) spowodowała niesłychany skandal obyczajowy, wprowadzona została z rozkazu podstarzałego monarchy, Ludwika XIV, surowa cenzura dzieł dramatycznych, nie dopuszczająca na sceny publiczne dzieł „obyczajowe”

każących”⁶⁰. Prawda o obyczajach erotycznych we Francji nie mogła więc przedostać się na sceny wielkich teatrów Paryża. Z tym większym zapałem wystawiano drastyczne utwory na scenach unikających kontroli państwa i Kościoła: z jednej strony w teatrach jarmarcznych, z drugiej zaś — w amatorskich teatrach „towarzyskich”, w salonach arystokracji i bogatego mieszczaństwa, zwłaszcza zaś w podmiejskich *petites maisons*, gdzie w czasie swobodnych zabaw nie mogło zabraknąć i tego rodzaju rozrywki. Te dwa rodzaje scenek miały ze sobą związki bardzo odległe, niemniej jednak przedstawienia jarmarczne po trosze na *théâtres de société* wpływały, a i same ulegały ewolucji, która w końcu stulecia miała doprowadzić właściwie do ich zaniku i zastąpienia innym rodzajem przedstawień rozrywkowych — teatrami bulwarowymi. W każdym jednak razie scenki jednego i drugiego rodzaju wywierały na mentalność i obyczaje społeczeństwa wpływ bardzo znaczny; w kilku miejscach w Paryżu i kilkudziesięciu na prowincji występowały zawsze trupy teatralne, przedstawiając zwykle ludowe „parady”, a czynnych teatrów amatorskich w środowiskach szlacheckich i arystokracji było w całej Francji (w połowie XVIII wieku) kilkaset — z czego znaczna część miała charakter zamkniętych teatrów prywatnych, wystawiających wyrafinowane utwory li- bertyńskie, jawnie niecenzuralne.

Teatry jarmarczne prezentowały zazwyczaj na poły improwizowane przedstawienia „parad”, utworów dramatycznych blisko spokrewnionych z włoską *comedia dell'arte*, w których te same z reguły postacie (stary Kassander, sługa jego Gilles, córka Zirzabella, Leander, Arlekin, etc.) uwikłane były w coraz to nowe perypetie. Realizm obyczajowy -tych sztuk posunięty był do naturalizmu i trywialności, ale ludowy humor, parodystyczne zacięcie autorów i aktorów, wreszcie treść zaczerpnięta najczęściej wprost z życia nadawały im wartość autentycznego obrazu obyczajów, z lekka tylko ukoloryzowanego satyrycznym ujęciem, co zresztą dopiero dzisiaj możemy w pełni docenić. Drwina z obyczajowej obłudy była częstym motywem parad, a drastyczne sytuacje erotyczne (oczywiście w całej ich ludowej prostocie) przedstawiano w jarmarcznych teatrzykach bez żenady i z pełnym aplauzem publiczności. Rozwój ludowych „parad” szedł zresztą w kierunku coraz większego ich wysublimowania i wyrafinowania oraz podnoszenia rangi społecznej typowych bohaterów, dzięki czemu od połowy stulecia przenikały one często na sceny *théâtres de société*, a także służyły swą formą autorom szukającym pretekstu do wyrafinowanej parodii czy satyry, z góry przeznaczonej dla wybrednej publiczności.

Najsłynniejsze teatry jarmarczne występowały w Paryżu przez kilka miesięcy w roku na „*Foire Saint-Germain*” i „*Foire Saint-Laurent*”. Pierwszy z nich występował zazwyczaj przez cały karnawał w miejscu, gdzie dawano widowiska dla ludu Paryża jeszcze w XV wieku; uzyskawszy potem schronienie pod dachem Hal teatrzyk ten dotrwał prawie do Rewolucji (do roku 1786), chociaż pod koniec istnienia nie mógł już konkurować z teatrami bulwarowymi. Drugi z tych teatrów wywodził swą nazwę od miejsca przedstawień, placu, na którym w dniu święta Wawrzyńca występowały wędrowne trupy komediantów podobno już w XII stuleciu; w latach 1662—1775 mieścił się na placu St. Lazare, dając przedstawienia przez trzy miesiące w roku. Oba te teatry były gwałtownie zwalczane przez wielkie sceny oficjalne — Komedie Francuską, Komedie Włoską i Operę, gdyż oczywiście stanowiły dla nich niebezpieczną konkurencję, a jednocześnie śledzone były podejrzliwie przez władze państwowe i kościelne jako źródło „zarazy moralnej” i „wszeteczeństwa”. Zmuszano więc teatry jarmarczne do opłaty wysokich podatków na rzecz Opery, odmawiano przedsiębiorcom z *Saint-Germain* i *Saint-Laurent* prawa do instalowania stałych urządzeń i wynajmu sal — byle tylko ograniczyć wpływ tych „niebezpiecznych” przedstawień na mentalność ludu miejskiego⁶¹. Wszelako teatry jarmarczne przez wiele lat wychodziły zwycięsko ze wszystkich prześladowań dzięki poparciu widzów i ciągle udostępniały publiczności swobodny, „rozwiązły” repertuar.

Jednym z najpłodniejszych autorów, zasilających swoją twórczością m. in. teatry

jarmarczne, był twórcą parad utrzymanych w duchu libertynizmu, Thomas-Simon Gueullette (1683—1766). Gueullette pochodził z rodziny prawniczej związanej z Châtelet, sam też parał się pisarstwem na marginesie swoich zajęć urzędniczych, ale szybko osiągnął wyżyny artystycznej doskonałości. Pierwsze przedstawienia swoich parad dawał w małym teatrze prywatnym w Auteuil, w latach 1707—1708. Przedstawienia, zaczynające się o godzinie

11 wieczorem, poczęły ściągać modne towarzystwo arystokratyczne; niekiedy spektakle kończono dopiero nad ranem huczną zabawą z tańcami. Potem (od roku 1711) Gueullette wystawiał parady w swoim domu w Choisy-le-Boi, korzystając z usług dużego towarzystwa amatorów i kilku aktorów zawodowych. Utwory jego szybko przeniknęły do teatrów jarmarcznych, gdzie grywano je często i chętnie, a jeszcze częściej naśladowano lub przerabiano. Były one swą treścią bliskie ludowej widowni, jako że bohaterami tych małych komedijek czynił Gueullette przedstawiciele plebsu Paryża — sklepikarzy, rzemieślników, sprytnie kumoszki, włóczęgów chętnych do bitki i wypitki, ulicznice, żołnierzy — umieszczając ich w sytuacjach raczej swawolnych i zabawnych niż drastycznych, ale nie szczędząc satyrycznej drwiny i realistycznie ukazując obyczaje.

Większość parad Gueullette'a przepadła, po dziś dzień zachowało się ich niewiele, ale w wieku XVIII należały do najpopularniejszych utworów dramatycznych. Mimo to Gueullette bynajmniej się nie wzbogacił, gdyż dzieła jego stały się po prostu własnością ludu; dał jednakże początek rodzajowi literackiemu, który kontynuowali liczni pisarze; Pirón, Moncrif, de Fagan, de Sallé, Collé, Grandval, Carmontelle, Laujon i inni, udoskonalając technikę kompozycji dramatycznej i rozwijając ten typ utworu scenicznego w rozmaitych kierunkach. Pod koniec życia Gueullette był zresztą rozczarowany ewolucją tego gatunku, wyrzekł, iż rozmaici naśladowcy wypaczyli jego rodzaj twórczości, że opanowany on został przez rozmaitych pornografów || Parada stała się wkrótce modna w arystokratycznych salonach i pojawiła się na scenkach théâtres de société. Markiz Antoine de Paulmy d'Argenson w swoim sui generis podręczniku dla teatrów amatorskich, zatytułowanym Manuel des sociétés qui font leur amusements de jouer la comédie, twierdził, iż „parada jest rodzajem przedstawienia, które nadaje się całkiem dla zabawy towarzystwa”, ale przestrzegał jednocześnie, że

„prawdą jest, iż farsy te są zazwyczaj zbyt swobodne, aby przedstawiać je w obecności dam”⁶³. Wytworne damy nie lękały się wszelako tej swobody i chętnie oglądały modne przedstawienia; większość z nich nie wahała się również występować osobiście na scenie w swawolnych komedijkach.

W latach 1780-tych Sebastien Mercier z udaną zgrozą pisał o wszelkiego rodzaju „Tajemnych przedstawieniach”:

„Nie będę już tu rozprawiał o tych irreligijnych farsach, w których bezbożna młodzież pozwala sobie na swawole bardzo nieumiarkowane, gdzie można ujrzeć na przykład księdza odprawiającego mszę, który ugania się za hostią, porwaną przez myszy podczas Dominus vobiscum i do połowy już nadgryzioną. Nie będę powtarzał dialogów między spowiadającą się przeoryszą a zakonnikiem — kordelierem. Wszystkie te błazeństwa trzeba zostawić pod osłoną, która je dotąd okrywa.

Chcę jednak napisać o niektórych małych komediach, swobodnych i lubieżnych, które w ukryciu cieszą się wielkim uznaniem, jako nieskończenie przydatne do odzierania kobiet z tych resztek wstydu, które tak bardzo je nużą. Talia nie jest już tam nauczycielką, co tylekroć wypominano poważnym dramaturgom, teatr przestał być szkołą. Wygnano zeń precz wszelką moralność. To już nie ciężki dowcip Dorata, to już nie zubożony żargon nowoczesnej komedii — to już pełny obraz roześmianego i łatwego libertynizmu; te modne postacie, najnowszy gust, nowy ton wyrozumowanej rozpusty, którą nazywają przyzwoitą.

Książd uskarża się na zbytnią łatwość posiadania kobiet i trudności w zdobywaniu

przeorysz. Subretki wyśpiewują kuplety, które pobudzają widzów do niezdrowych poruszeń, w rzeczy samej pełne prawdy. Dwuznaczniki, żarty, najgłębsze zdeprawowanie, występki ozdobiony wszelką możliwą radością — oto co wyróżnia owe monodramy, które świadczą o naszej umysłowości i o szczególnej rozwiązłości naszych obyczajów.

Romanse Crébillona zdają się być czyste i niewinne w porównaniu z tymi komedyjkami, w których urąganie cnocie i odrzucenie wszelkich zasad jest akcentowane do najwyższego stopnia; a mimo to autor, czegokolwiek by nie wymyślił, nie jest w mocy zgorszyć audytorium. Jest ono z reguły bardziej jeszcze zdeprawowane niż komediopisarz.

Te monodramy są dziełem błyskotliwego talentu naszych bufonów. Upadły wszelkie walory starodawnej komedii; okazała się ona zgrzybiała i wychłodła przy tej nowej muzie o oku żywym i śmiałym, głosie zdecydowanym, geście rozpustnym, która na wszystko potrafi odpowiedzieć, która rozgląda się dokoła z uśmiechem dowcipnej złośliwości.

Zauważcie, że wszystkie kobiety, których dowcip i zepsucie w tych komedyjkach ukazują, są hrabinami, markizami, prezydentowymi lub zgoła noszą książęce tytuły; mężczyźni są im równi stanem. Nie ma tam ani jednej mieszczki; nie przystoi zapewne mieszczaństwu kusić się o tak wzniosłe występkę. Liber- tynizm mieszczański to coś, czego nie sposób wyrazić w tym narzeczu tak wykwinnym i delikatnym. Niegodzien jest pędzla, który uwiecznia wytworne obyczaje dam wysoko urodzonych.

Grają także w salonach uprzywilejowanych rozmaite przysłowia⁶⁴, które nawiązują do najnowszych i znanych szeroko awanturek. Aby wyjść z bezruchu, niezbędna jest złośliwość. Zwykła obmowa nie dość mocno uderza w ofiarę, trzeba, by konała pod ukłuciami najostrzejszych szpileczek, a wszystko to oczywiście dla zabawy

Oto więc fabulae atellanae⁶⁵ zyskały u nas prawo obywatelstwa. Nie pojawiają się jednak na scenach publicznych. Jednocześnie występne i bezwstydnne, pozostają w cieniu po to tylko, aby tym żywiej pobudzać ciekawość. Prawo nie może ich zakazać; są one radością dla istot zblazowanych, które wierzą, iż dzięki nim ożywiają swoje spodłone dusze. Ale, mimo wszystko, śmiech libertynizmu, śmiech złośliwości, nie będzie nigdy dobrym śmiechem...”⁶⁶

Swoboda obyczajowa potajemnej komedii liberty- Ńskiej posunięta była w dialogu z reguły bardzo daleko. Wypadki krańcowej rozwiązłości w wizualnych elementach inscenizacji zdarzały się rzadziej, ale jednak rejestrowane są w dokumentach epoki tak często, iż trudno uznać je za zjawiska wyjątkowe.

Nagość na scenie czy estradzie uchodzi powszechnie za wynalazek XX wieku i czasów prawie nam współczesnych. Jest to duszne o tyle jedynie, że mieszczańska pruderia wieku XIX nie tolerowała w publicznych widowiskach jakiegokolwiek odsłonięcia ciała kobiecego; co prawda, wynagradzano sobie wówczas sownie tę powściągliwość, poszukując silnych wrażeń w rozmaitych cabinets noirs i chambres de douleur, połączonych z luksusowymi lupanarami, a dających potajemne widowiska obsceniczne o perwersyjnym najczęściej charakterze. Kompletna nagość kobieca w tańcu i ćwiczeniach akrobatycznych pojawiła się na scenie paryskich musip-halli i estradach kabaretów dopiero około 1907-1908 roku⁶⁷. Prezentacja nagości w przedstawieniach publicznych ma jednak tradycję sięgającą wiele wieków wstecz; pomijając już widowiska starożytności, warto podkreślić, że w rozmaitej formie przedstawiano nagość pod pretekstem inscenizacji motywów mitologicznych w czasach Odrodzenia, nie unikano tego w wieku XVII, a i w- XVIII stuleciu obok hieratycznych i napszonych kostiumów tancerzy i śpiewaków w przedstawieniach operowo-baletowych zdarzały się momenty prezentowania „bogiń” i „nimf” w symbolicznej jeno osłonie z gazy — nie mówiąc już

o przedstawieniach specjalnego charakteru, jak np. widowiskach baletowych w ogrodach Wersalu, Saint- -Cloud i Fontainebleau, gdzie w czasach Ludwika XIV, a zwłaszcza Regencji (1715-1723) wystawiano dla uciechy monarchy i libertynów ze sfer dworskich balety

mitologiczne z udziałem całych rzesz tancerek, prezentujących swe wdzięki bez najmniejszej osłony i z całym realizmem odtwarzających najśmielsze tematy erotyczne z mitologii i literatury antycznej⁶⁵. W ciągu XVIII stulecia nastąpiła jednakże recesja tych zjawisk, jeżeli chodzi o sceny publiczne; natomiast uciekano się czasami do takich efektów w potajemnych teatrzykach prywatnych; libertyńscy autorzy

I organizatorzy widowisk na scenach théâtres de société często posługiwali się nagością dla podniesienia atrak-

cyjności przedstawień, a jednocześnie posuwali chętnie realizm inscenizacji swoich komedii i satyrycznych dialogów aż do brutalnego naturalizmu w odtwarzaniu działania seksualnego (jak np. przy inscenizacji dialogów z Obrazu obyczajów na scenie w Passy); co zaś dziwniejsze — w przedstawieniach tych uczestniczyły bez żenady, na równi z zawodowymi tancerkami i kurtyzanami, najwytworniejsze damy ze środowisk arystokracji i finansjery, ścigając się nieraz o palmę pierwszeństwa w libertyńskiej śmiałości i odrzucaniu wszelkich przesądów.

Głośne i osławione w XVIII wieku były między innymi widowiska libertyńskie na scenie prywatnego teatrzyku księcia d'Hémin, który żył w nieślubnym związku ze znakomitą aktorką Sophie Arnould, znaną z libertyńskiego światopoglądu i swobodnego trybu życia.

Największe nasilenie tych przedstawień miało miejsce około 1770 roku. Ku uciesze gości księcia d'Hémin komediopisarz i publicysta głośny w końcu

XVIII wieku, Delisle de Sales (zresztą eks-zakonnik) układał komedie satyryczne oparte na tematach mitologicznych i historycznych, a także traktujące wprost

o obyczajach współczesności. Zbiór tych utworów, oczywiście rękopiśmienny, posiadał jeszcze w końcu

XIX wieku jeden z francuskich bibliofilów; zawierał on kilkanaście utworów dramatycznych, których tytuły świadczą najlepiej o tematyce i treści: Junona

I Ganymedes, komedia erotyczna; Dziewica babilońska; Cezar i dwie westalki, sztuka erotyczna w jednym akcie; Minette i Finette, Czyli doświadczenia miłosne trzeciej Heloizy, sztuka erotyczna; Sąd Parysa, czyli trzy strzały, etc. etc. W komediach tych — powiada B. de Villeneuve — „sodomia, onanizm, flagellacje, a nawet praktyki miłości fizycznej stawały w całej okazałości przed oczyma widzów”. Delisle de Sales chciał tu podobno naśladować zaginione dialogi antyczne, napisane przez Elephantis (o których wspomina Swetoniusz^M). Na scenie teatrzyku księcia d'Hémin najczęściej wznawiany i darzony największym aplauzem był Dialog erotyczny w szesnastu kupletach, na melodię Murzy, z rozkoszną pantomimą. Każda I szesnastu strof zawierała dwa wiersze włożone w usta mężczyzny i dwa w usta kobiety, o treści oczywiście obsceniczej. Jako „Ona” występowała w tym dialogu najczęściej sama Sophie Arnould, jako „On” — kawaler maltański de Grammont⁷⁰.

Sławne i zasłużone w dziejach teatru francuskiego XVIII-wieczne artystki należały do najgorliwszych organizatorek i uczestniczek libertyńskich przedstawień. Odnaczała się bardzo na tym polu najślawniejsza chyba tancerka francuska XVIII wieku, panna Guimard (1743-1816), od roku 1762 gwiazda paryskiej Opery. Była utrzymanką księcia de Souhise, który finansował jej prywatny teatrzyk w Pantin, ściągający stale widzów żądnych wyrafinowanych i śmiałych widowisk. Dąsy panny Guimard nie zawsze sprzyjały utrzymaniu harmonijnych stosunków ze znakomitym protektorem i kochankiem, toteż teatrzyk od czasu do czasu zawieszał swoją działalność ku wielkiemu ubolewaniu paryskiej publiczności, ale przerwy takie nie trwały długo, bowiem książę de Soubise dawał się ułagodzić i znowu otwierał swą szkatułę dla potrzeb sceny, która dawała mu tyle rozrywki i uciechy.

We wrześniu 1769 roku autor Memoires secrets, kolportowanej potajemnie skandalicznej kroniki dziejów świata artystycznego i literackiego Francji, pisał: „Spektakle panny Guimard,

które zawieszono z powodu usunięcia się pewnego wysoko postawionego amanta, zdecydowanego pono nie ponosić dłużej wielkich kosztów owych festynów, wznowiły się od niejakiemu czasu i trwają ciągle z równym sukcesem jak frekwencją... wpuszczają tam obecnie tylko za płatnymi biletami i jest to zazwyczaj miejsce spotkań najpiękniejszych dziewczyn Paryża i uroczych libertynów. Są tam zakratowane łóżka dla kobiet dbałych o opinię, duchownych i poważnych osobistości, które nie chciałyby się pokazywać w tłumie swawolników

1 trzpiotów⁷¹. Osoby dbałe o reputację rzeczywiście miały się czego lękać, bowiem przedstawienia w Pantin należały do najodważniejszych widowisk libertyńskich w XVIII-wiecznej Francji. Przewinął się przez tę scenę cały prawie repertuar teatrzyku księcia d'Hśnin, wzbogacony o nowe pomysły, nad którymi panna Guimard nieustannie pracowała. Wymagania

publiczności rosły; kameralny styl przedstawień przestał wystarczać, domagano się podobno widowisk na wielką skalę; panna Guimard zaczęła próby wielkich baletów nudystycznych w stylu Regencji, zamierzając wystawić Święto Adama, czyli Raj ziemski, wszelako arcybiskup Paryża, przerażony ekspansją małego początkowo teatrzyku, skłonił władze do wyperswadowania primabalerinie tego zbyt odważnego pomysłu⁷².

„La Guimard” nie dawała się jednak całkiem odstraszyć, a osłonięta możną protekcją wysoko postawionych osobistości, kontynuowała swoje przedstawienia w dotychczasowej przynajmniej formie. W lipcu 1772 roku pisano: „Spektakle panny Guimard trwają ciągle w jej domu w Pantin. Wystawiła tam wczoraj najnowszą paradę, która publiczności wydała się wprost rozkoszna, to jest, oczywiście krańcowo rozwiążą, gładką i plugawą. Vadś, koryfeusz twórczości tego rodzaju, nigdy jeszcze nie spłodził czegoś równie pikantnego. Wiadomo, że widzowie tych przedstawień nie należą z reguły do zbyt wrażliwych; są to najczęściej dziewczyny paryskie i mężczyźni lubujący się w ich towarzystwie. Wszystko się więc zgadza. Wszelako kobiety, które nie chcą pozbyć się całkiem opinii przyzwoitych, a jednak pragną się zabawić, przyjeżdżają tam incognito i zasiadają w zakratowanych łóżkach, co zresztą jest tylko formą, gdyż są prędko rozszyfrowywane. Pod koniec przedstawienia panny Guimard i Dauberval odtańczyły jricassee, taniec pantomimiczny, który był cudowną koroną całego widowiska”⁷³. Fricassee mógł rzeczywiście wzbudzić entuzjazm podekscytowanej publiczności. Był to pierwowzór kankana, tyle że tańczony w stroju o wiele mniej zabezpieczającym wdzięki tancerki przed wystawieniem na widok publiczny, a jednocześnie połączony z „lascywnymi” elementami pantomimicznymiⁿ. W takiej postaci tańczony był wielokrotnie na scenach prywatnych teatrzyków, zwłaszcza zaś w Pantin. Panna Guimard prezentowała się zresztą w tańcu tym również przed Ludwikiem XV, zapewniając sobie w ten sposób łaskawą protekcję monarchy.

Pod koniec roku 1772 teatr panny Guimard przeniósł się do pałacu przy Chaussée-d'Antin, który wznosił słynny architekt Le Doux. Warunki pracy były tu znacznie lepsze, ale i nadzór ze strony jurysdykcji duchownej dużo skuteczniejszy. Trzeba było ograniczyć zbyt śmiałe inscenizacje. Nowy teatr, nazwany „Świątynią Terpsichory” (le Temple de Terpsichore) otwarty został 8 grudnia 1772 roku. Na inaugurację zamierzano dać słynną komedię najpopularniejszego chyba autora lekkiego repertuaru scenicznego w XVIII wieku, Charles'a Collé pt. Prawda w winie (La Vérité dans le Vin ou les Désagrémens de la Galanterie). Ta jednoaktowa komedia napisana w 1747 roku, arcydzieło znakomitej konstrukcji dramatycznej, świetnego dialogu i doskonałego rysu charakterów występujących w niej postaci, biła na scenach prywatnych we Francji XVIII wieku wszelkie rekordy powodzenia, a jednocześnie ścigana była z niesłychaną zawziętością przez duchowną cenzurę. Zaciekłość tych prześladowań budzi zresztą dzisiaj zdziwienie, jako że Prawda w winie daleko ustępowała drastycznością tematu czy ostrością liber-tyńskiej satyry setkom innym utworów, wystawianych potajemnie w théâtres de société,

osławionych, a jednak nie ściągnających na siebie tak bacznej uwagi duchownych cenzorów. Najślynniejszy z utworów Collé'go wolny jest zresztą od jakichkolwiek elementów obscenicznych, utrzymany jest w stylu subtelnego wyrafinowania, spraw seksualnych bezpośrednio nie dotyka, a obraca się jedynie w kręgu problemów obłudy obyczajowej (cała akcja dzieje się w domu prezydenta Nac- quart'a, który dzięki zbiegowi okoliczności poznaje powoli skandaliczną przeszłość swojej żony). Wydaje się, że kamieniem obraży dla duchownej cenzury była znakomicie nakreślona przez Collé'go postać l'abbé Kensingtona, cynika i hulaki, libertyna obdarzonego kościelnym beneficjum i stąd obowiązkami stanu duchownego, jawnego nicponia i kochanka pani Nacquart — postaci bardzo typowej dla Francji XVIII wieku, i dlatego w pojęciu cenzorów zbyt niebezpiecznej w ostrym, satyrycznym ujęciu na scenie. Cokolwiek zresztą było powodem tych prześladowań utworu sławnego komediopisarza, stwierdzić trzeba, że władza duchowna interweniowała zawsze energicznie, gdy dochodziły ją słuchy o zamierzonej gdziekolwiek inscenizacji Prawdy w winie. Wobec ostrego sprzeciwu arcybiskupa Paryża panna Guimard zmuszona była zrezygnować z wystawienia tej komedii. Przygotowano więc na inaugurację „Świątyni Terpsychory” pantomimę Pygmalion, zresztą w swej treści i inscenizacji dużo drastyczniejszą od komedii Collé'go, ale jurysdykcji duchownej jeszcze nie znaną⁷⁵.

Teatr panny Guimard w nowej siedzibie działał jeszcze kilka lat. Przedstawienia ustały chyba dopiero około 1784 roku, kiedy to sławna balerina zakończyła ostatecznie swoją karierę artystyczną na scenie Opery.

Prywatne teatry sławnych aktorek i nadworne théâtres de société, utrzymywane przez arystokratów, miały oczywiście ograniczony zasięg oddziaływania, ale wystawiały repertuar tak agresywny, że w ogólnej ekspansji libertynizmu udział ich był pierwszorzędny, niewiele chyba ustępujący znaczeniem słowu drukowanemu. Inspirację tematyczną scenki te czerpały z codziennych obyczajów, a formę z ducha cynicznej liber- tyńskiej drwiny, ale ze swej strony na dalszy rozwój tych obyczajów i ogólną atmosferę ideową epoki intensywnie wpływały. Razem z salonami i różnymi towarzystwami czy „zakonami” sipod znaku Afrodyty tworzyły klimat ziemskiego rajy uprzywilejowanych i złotych czasów „ancien régime'u”, które wspominali po Rewolucji podstarzali arystokraci powiadając, że „któ nie żył przed rokiem 1789, ten pojąć nie może, czym jest prawdziwe życie”.

Z całej twórczości Crébillona do dzisiaj są popularne i czytane, oprócz Sofy, dwa tylko utwory: słynne dialogi erotyczne Noc i chwila (Le Nuit et le Moment, 1755) i Igraszki kącika przy kominku (Le Ho- sard du coin du feu, 1765)⁷⁶. Potomność uczyniła w ten sposób wybór nie najgorszy, chociaż dla współczesnych byłby on zdumiewający i zaskakujący. Fryderyk Melchior Grimm, omawiając w roku 1771 twórczość Cré- billona — pisarza wtedy nadal popularnego, ale i gorszącego ciągle obrońców „dobrych obyczajów” — bardzo wyrzekał na jego późną twórczość, a oba tak słynne potem dialogi uznał za bezwartościowe płody wyczerpanego już talentu autora⁷⁷. W rzeczy samej zakresie obserwacji obyczajowej i ostrzem wizji satyrycznej dialogi te nie dorównują dawniejszym dziełom Crébillona, ale w nich właśnie ujawnił się w całej pełni talent psychologiczny autora, jego umiejętność docierania w głąb psychiki bohaterów (a zwłaszcza bohaterek), przede wszystkim ukazywania całej gamy subtelnych motywów skłaniających kobiety do ulegania męskiej natarczywości. Bohaterkami obu tych dialogów są kobiety w pełni dojrzałe i dysponujące bogatym doświadczeniem erotycznym. Crébillon obnaża ich psychikę i ukazuje najintymniejsze drgnienia ich świadomości, czasem walkę, a innym razem współdziałanie temperamentu i ambicji, przedstawia historię małych porozumień, których jedynym celem jest doraźne zaspokojenie zmysłowe dwojga partnerów. Problematyka tych dialogów Crébillona jest wąska, chodzi tu tylko

0 sprawy buduaru i sypialni, traktowane z wyrozumiałością i uśmiechem, jest to

psychologiczna mikro- analiza — ale mikroanaliza w swoim rodzaju doskonała, tak zręczna i dogłębna, że trudno znaleźć podobną w literaturze światowej. Bohaterowie obu dialogów Crébillona działają we Francji lat 1750-tych, ale realia epoki grają w analizie ich zachowania tak małą w rzeczy samej rolę, że przedstawione sytuacje przenosić można dowolnie w rozmaite epoki — aż do czasów nam współczesnych. Crébillon ukazał tu bowiem psychologiczny mechanizm zjawisk obyczajowych, nie zmienionych w naszej cywilizacji od trzech tysięcy lat.

W dialogu Noc i chwila bierze udział jedynie dwoje bohaterów, choć ich rozmowa dotyczy właściwie kilkunastu osób. Fabuła jest prosta: w podparyskim wiejskim pałacyku młodej markizy — która w dialogu występuje pod imieniem Cydaliza — bawi towarzystwo złożone z kilku dam i kawalerów, wśród nich Klitander, osławiony zdobywca serc i łask niewieścich. W gronie tym wszyscy niemal znają się wzajemnie od strony najintymniejszej; w ich świecie obowiązują zwyczaje turnieju szachowego — pary nieustannie kojarzą się i rozłączają, a każdy z kawalerów liczyć może na grę z każdą damą, koło obraca się szybko i w końcu się zamyka, nadchodzi czas, by rozpocząć drugą turę spotkań lub poszerzyć skład turnieju o nowych uczestników. Cydaliza jest wyjątkiem; od chwili swego zamąż- pójścia i początku życia światowego miała dotąd dwa tylko romanse. Jest subtelna, wdzięczna, ambitna

I powściągliwa, ale w gruncie rzeczy równie zepsuta, jak i wszystkie bohaterki dialogu, o których noc całą rozprawiać będzie z Klitandrem. Wizyta, którą Klitander składa późnym wieczorem w sypialni markizy, musi go doprowadzić do całkowitego triumfu nad) hardą Cydalizą. Pretekst odwiedzin jest byle jaki, tematem rozmów są miłosne przygody kawalera. Klitander drogo sprzedaje swoje refleksje i wspomnienia, przewrotnie wymusza na Cydalizie coraz to nowe ustępstwa, aż do ostatecznego zwycięstwa nad dumną panią, która w chwili porannego rozstania jest już jego najpokorniejszą niewolnicą. Cydaliza musi ulec zuchwałemu libertynowi, w rzeczy samej bronić się nie potrafi, bowiem opór w niej stawia tylko ambicja, którą podkopuje zresztą z minuty na minutę naturalny sprzymierzeniec Klitandra — temperament pięknej damy. W ostatniej chwili przed kapitulacją idzie już tylko o pretekst, o umowną fikcję, która przeniosłaby uzasadnienie upadku Cydalizy z przyziemnej sfery zmysłów we wzniosłą duchową namiętność. Ulec pokusie zmysłowej rozkoszy — toż to libertynizm, do którego przyznać się nie godzi. „Albo nie kochasz mnie dziś — podsuwa Cydaliza argumenty nacierającemu Klitandrowi — albo kochasz od 'bardzo dawna”. „Tak, pani — woła uradowany Klitander — kocham od chwili, w której miałem szczęście ujrzeć panią pierwszy raz na oczy”. Decorum jest zachowane, zaraz i Cydaliza wyzna swą miłość, skrywaną podobno od dawna. A więc Cydaliza uwielbia Klitandra, Klitander Cydalizę... Czy musimy w to wierzyć? Autor nie dezawuuje układu zawartego przez dwoje jego bohaterów, ale i nie skłania czytelnika, by pozbył się swoich zastrzeżeń i wątpliwości. Klitander — tak namiętnie rozprawiający o miłości do pięknej markizy — sformułował przecież przed godziną swoje wyznanie wiary: „Dwoje osób podoba się sobie, biorą się. Nudzą się sobą? Rozstają się z równie małym nakładem ceregieli. Znowu czują do siebie pociąg? Biorą się na nowo z taką samą skwapliwością, jak gdyby pierwszy raz w życiu wkładały te więzy. I znowu się porzucają, a zawsze bez żadnej sprzeczki. Prawda, miłość nie gra w tym żadnej roli; ale czymże jest miłość, jeżeli nie pożądaniem, które z umysłu starano się wydymać w coś więcej, odruchem zmysłów, z którego próżność ludzka podobała sobie uczynić cnotę? Wiadomo dzisiaj, że istnieje jedynie pociąg; jeżeli mówi ktoś jeszcze, że kocha, to nie tyle aby w'to wierzył, ile raczej, że jest to przyzwoitszy sposób wyrażania pożądań”⁷⁸. Milczący układ między damą a kawalerem zakłada, że aktualna partnerka wyłączona jest z tej ogólnej teorii, że te cyniczne zasady jej nie dotyczą, że jest w całym świecie avis rarissima, wyjątkiem potwierdzającym regułę. Cydaliza iyka gładko wszystkie komplementy i zdaje się brać je za dobrą monetę. Zapomina, że

kobiety są dla Kli- tandra przedmiotem wyrafinowanych eksperymentów psychologicznych, że przed chwilą ukazał jej z rozbijającą szczerością cały arsenał swoich metod uwodzie- cielskich i skutki ich zastosowania. Czy zresztą naprawdę zapomina? Musi przecież udawać, że wierzy w deklarację, którą Klitander złożył tak chętnie, aby kupić za tę cenę wszelkie jej łaski...

O taką właśnie formalną deklarację miłosną rozegra się również walka między bohaterami Igraszek kącika przy kominku, Celią i księciem de Clerval, lecz tym razem pojedynek erotyczny zakończy się zupełną kapitulacją damy. Celia jest pozornie naiwna, ale do głębi duszy przepojona libertynizmem, tyle tylko, że wzdraga się jeszcze przed ujawnieniem swego cynizmu. Płytko uczuciowo, ale namiętnie ambitna, w rzeczy samej łatwa do zdobycia, nie może ścierpieć, że ktokolwiek przewyższy ją może w miłosnych sukcesach. W mroźną zimową noc rozmawia przy kominku z księciem de Cleryal, kochankiem swej przyjaciółki-markizy, którą zbieg okoliczności zmusił niespodziewanie tego wieczoru do opuszczenia gościnnego domu Celi. Książę de Cleryal jest doświadczonym wojownikiem spod sztandarów Afrodyty, ale w rzeczy samej człowiek to poważny i skrupulant, serio traktujący swój stały związek z markizą. Piękna Celia nie może ścierpieć, że znakomity kawaler obojętnie patrzy na jej urodę. Zagina parol na księcia, prowokuje go do zamachu na swą cnotę — i odnosi zwycięstwo — ulega. Ale jest to jedynie sukces taktyczny, daleko jeszcze do pełnego jej triumfu. Celia jest ambitna, wierzy głęboko w sens miłosnej deklaracji; związek skojarzony dla zaspokojenia potrzeby zmysłów musi być okryty pozorami gorącej miłości kochanka. Kto apeluje tylko do temperamentu kobiety, poniża ją i upokarza — Celia nie może zapomnieć brutalności pana de Norsan, który swego czasu zdobył ją uporem, podstępem i zaskoczeniem, który panował nad nią przez pewien czas, nie siląc się bynajmniej na udawanie miłości. To była jej klęska, wielki cios zadany ambicji. Tym razem chce mieć księcia, chce odebrać go markizie i przywiązać do siebie, ale pan de Clerval musi za to zapłacić właściwą cenę: musi wyznać jej swą miłość. Nieważne, że będzie to jedynie czcza deklaracja, bez pokrycia w wewnętrznych przeżyciach księcia. Celi na uczuciach pana de Clerval bynajmniej nie zależy, zależy jej natomiast na swojej względem niego pozycji. Idzie zawzięta walka o deklarację; książę cofa się i naciera, ale uparcie odmawia Celi upragnionej satysfakcji; piękna dama domaga się miłosnego wyznania z coraz większym rozdrażnieniem i uporem. Wszelako — mimo sporego doświadczenia — Celia nie jest w stanie sprostać księciu, który okazuje się mistrzem miłosnej rozgrywki. Próżno Celia każdą próbę ponowienia poufałości uzależnia od moralnych ustępstw de Clerval. Zdradza ją niespodziewanie własna natura, wzburzenie zmysłów bierze górę nad ambicją; książę zmusza Celię do kapitulacji, wbrew protestom doprowadzając ją do miłosnej ekstazy. Sytuacja się odwraca, Celia tuli się do zwycięzcy i w desperacji sarna teraz deklaruje miłość, usiłując choćby w ten sposób usprawiedliwić swój upadek. Lecz książę z całym okrucieństwem odbierze jej tę ostatnią szansę. Nie godzi się na taki układ, nie rozstanie się z markizą, nie przyjmuje miłości Celi. Będzie ją miał, ale tylko dla zaspokojenia potrzeby zmysłów, jako potajemne uzupełnienie jawnego związku z markizą. Celia musi przyjąć tę upokarzającą umowę, którą sama przecież przygotowała. Wdzięczna być musi za troskę pana de Clerval, który przyrzeka chronić przed markizą tajemnicę ich świeżego związku, a tym samym Celię przed gniewem przyjaciółki. Celia godzi się nawet związać pozornie z nowym kochankiem, panem de Bourville, aby pod osłoną tego rzekomego romansu utrzymać bezpiecznie potajemny związek z księciem. Pan de Clerval jest wspaniałomyślny — nie sprzeciwia się, by pan de Bour- ville cieszył się rzeczywistymi łaskami Celi — „prawa kochanka, a względy, które kobieta raczy mieć dla przyjaciela, nie są tak bezwarunkowo nie do pogodzenia”. Celia nie uzyska jednak niczego, co mogłoby nasycić jej ambicję i dumę, książę nie będzie jej wielbicielem, natomiast ona będzie jego niewolnicą —

przynajmniej do czasu, póki nie uwolni się z moralnej pułapki, którą sama na siebie zastawiła.

Gdybyśmy chcieli scharakteryzować problematykę tych dwóch dialogów Crébillona, używając terminologii XX wieku, trzeba by stwierdzić, że autora interesował przede wszystkim problem konfliktu płci na płaszczyźnie obyczajowej i psychologicznej. Wymowa tych utworów jest wybitnie antyfeministyczna: kobieta jest tutaj sprawczynią własnych niepowodzeń i upokorzeń: prowokuje, wszczyna walkę — i przegrywa, nie mogąc z reguły sprostać swemu partnerowi ani siłą woli, ani sprawnością intelektu. Co dziwniejsze, kobieta mimo to czuje się i jest faktycznie obyczajowo równouprawniona — opinia środowiska, w którym obracają się bohaterowie Crébillona, w jednakowy sposób pobbłaża swobodzie erotycznej kobiety i mężczyzny. Wszelako z natury rzeczy wynika — sugeruje Crébillon — że kobieta jest stworzona na niewolnicę mężczyzny; musi być posłusznym narzędziem jego fantazji i w rzeczy samej w roli tej czuje się doskonale, jeżeli tylko trafi na właściwego partnera.

Treść obu dialogów Crébillona jest oczywiście — jak powiadają Francuzi — *un peu vive*, nieco swobodna; autor przedstawia swych bohaterów w sytuacjach nader drastycznych, każe im przeplatać rozmowę działaniem, które zrelacjonowane językiem zwykłego naukowego opisu wzbudziłoby niewątpliwie przerażenie moralistów. Ale Crébillon, który w swoich nie drukowanych lub dla zamkniętego kręgu czytelników przeznaczonych utworach nie cofał się przed analizowaniem rozmaitych form i przejawów działania seksualnego w sposób plastyczny i nie zmuszający czytelnika do nadmiernego wysiłku wyobraźni, dał tutaj prawdziwie arcy mistrzowski popis narracji o sprawach intymnych w formie zawoalowanej, eleganckiej i subtelnej. Przy całej jednoznaczności i precyzji opisu, jego aluzje i metafory erotyczne są wdzięczne, dowcipne i rozbijające najbardziej nawet pruderyjnego czytelnika. Autor nie praekracza zresztą granicy niezbędnej konieczności fabularnej, pozwala swym bohaterom na buduarowe igraszki w takim tylko zakresie, w jakim potrzebuje udziału ich temperamentu i zmysłowości dla rozwikłania skomplikowanych problemów psychologicznych. Albowiem *Noc i chwila* i *Igraszki kącika przy kowiinku* to studia czysto psychologiczne, oparte na zupełnie odmiennych założeniach niż dogłębny, ale i brutalny w swej szczerości *Obraz obyczajów naszych czasów*.

Noc i chwila powstała w roku 1755, *Igraszki kącika przy kominku* w dziesięć lat później. Crébillon nie był pisarzem płodnym, pisał powoli, kończył utwory dopiero przynaglany namowami przyjaciół. Wiele zapewne natrudzić się musiało grono swawolnych uczestników biesiad w Passy, zanim skłoniło go do napisania kolejno aż siedemnastu dialogów składających się na *Obraz obyczajów*, z których ostatni nie zamyka zresztą wątku — akcja mogłaby się toczyć dalej. Ale w roku 1759 Crébillon, wówczas już człowiek 52-letni, musiał się ustatkować i rozpocząć żywot nieco mniej drażniący bigotów i moralistów. W tym bowiem roku zaszło pewne wydarzenie, które — jak stwierdził Boy — „jest najlepszą *pointe*’ą życia pisarza”: dzięki protekcji pani de Pompadour imć pan Claude-Prosper Jolyot de Crébillon został mianowany... cenzorem królewskim badającym obyczajność romansów i poezji. „Osobliwa w istocie i znamienna w danej epoce kariera dla autora książek uznanych nawet wówczas za gorszące” — zauważył słusznie Tadeusz Boy-Żeleński.

Jeżeli uświadomimy sobie, że nominacja przypadła mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Holandii oddawano właśnie potajemnie do druku, na zamówienie La Poupliniere’a, najśmielsze dzieło Crébillona, *Tableau des moeurs du temps* (do którego zresztą nigdy się nie przyznał), to „*pointe*’a życia” naszego autora zostanie doprawdy mocno podkreślona!

Crébillon przyjął upragnioną nominację z wielką wdzięcznością; dosyć już miał prześladowań i uganiania się za groszem, urząd królewski zapewniał mu bezpieczeństwo i stały dochód. Ale jeden z najbardziej osławionych libertynów epoki nie mógł być oczywiście

czujnym stróżem obyczajności słowa drukowanego; przepuszczał łatwo bardzo śmiało nawet utwory, jeżeli tylko godziły się one z jego smakiem artystycznym. Walory stylu i konstrukcji dzieła usprawiedliwiały w oczach Crsbillona śmiałą treść — i nieraz z powodu swych decyzji miał wiele kłopotów i zatargów.

Współczesny autor pisał o nim: „Crsbillon fils został królewskim cenzorem [...] Zatwierdzał wszystkie piosenki i ulotne wiersze. Tworzono wówczas niesamowite ich ilości; podpisywał to wszystko z zimną krwią i uroczą uprzejmością. Nigdy nie pozwolił autorowi czekać, choćby był to wierszokleta z Pont-Neuf; był dlań zawsze uprzedzający, grzeczny i przystępny. Codziennie otwierał swój dom dla tłumów rozmaitych poetów i początkujących autorów; pewnego razu zaproponował mi: — Proszę pozostać ze mną do południa, o tej porze poeci przynoszą mi zazwyczaj swoje manuskrypty, zobaczy pan... — Usiadłem; zadzwoniono do drzwi, Crsbillon otworzył, wszedł autor. Był żywy i ruchliwy, przedstawił się dość zgrabnie, rozmawiał z wdziękiem. Przyciągnął sobie krzesło, wyjął z kieszeni rękopis. Zawiązała się rozmowa i nasz autor począł rozprawiać o rzeczach bardzo wzniosłych. — Skąd pan pochodzi? — zapytał Crsbillon, który musiał co rok zatwierdzać czterdzieści czy pięćdziesiąt tysięcy wierszy. — Spod Tuluzy — odparł autor. — Dobrze, proszę zostawić mi swój rękopis; niech pan wstąpi pojutrze, ocena będzie jak należy. — Kiedy autor wyszedł, Crsbillon rzekł do mnie przerzucając manuskrypt: — Nie wiem, co to jest, słyszał pan tego młodzieńca; mówi gładko, jest bystry, ale chce się pan założyć, że jego dzieło nie ma ni składu, ni sensu?

— Skąd ta pewność? — Zobacz pan; poczytajmy. W rzeczy samej, dzieło przedstawione do cenzury było pozbawione wartości. Znowu dzwonek, nowy autor. Crsbillon otworzył, autor stanął w drzwiach, nie był w stanie ani wejść, ani przemówić, ani usiąść, zachowywał się niezgrabnie, omal nie wywrócił stolika, na którym stało śniadanie cenzora. Posadzić go, było to doprawdy wielkim dziełem; cofał się co chwila, wreszcie jakoś usiadł. Chciał przemówić i zaczął się jąkać, odpowiadał bez sensu na pytania. Po kilku minutach trzymania się za kieszeń wypchaną papierzyskami, wyciągnął w końcu niezgrabnie swój manuskrypt, upuścił przy okazji laskę i kapelusz, spoglądał nerwowo na swój parasol, jakby chciano mu go ukraść, skale

czył się w nogę końcem źle trzymanej szpady, i wreszcie odważył się rzec: — Bardzo pana proszę o załatwienie mojej sprawy, mówiono mi, że jest pan bardzo uczynny... — Crsbillon wziął papiery ze zwykłą swoją uprzejmością, pozwolił autorowi rozgościć się jak tylko było to możliwe i zadał mu zwykłe pytanie: — Skąd pan pochodzi? — Spod Rouen. — To dobrze, w ciągu trzech dni zatwierdzę pański manuskrypt. — Wyprowadził go, pomagając odszukać parasol. Drzwi wydawały się dla tego poety za wąskie, potknął się, spadł z pierwszego stopnia: cztery czy pięć razy odepchnął cenzora ręką, oczywiście przez swoją normandzką grzeczność. Drzwi nareszcie się zamknęły. — Co za niezgrabiasz! — wykrzyknąłem. — A jego dzieło? — Ano — powiedział Crsbillon — widział go pan; chce się pan założyć, że jego utwór jest nie najgorszy? — A więc już to pan zna? — Ależ skądże, nigdy na oczy tego nie widziałem; ale poczytajmy. — Poczytaliśmy. W rękopisie ciężkiego Normandczyka znalazł się dobry styl i wiele pięknych myśli, w ogóle było to dzieło godne szacunku. Gdy ogarnęło mnie zdumienie z powodu daru jasnowidzenia, jaki zdawał się posiadać nasz cenzor, Crsbillon powiedział: — Doświadczenie wielu lat pouczyło mnie, że na dwudziestu autorów z południa Francji, dziewiętnastu płodzi szkaradziejstwa, a wśród tej samej liczby przybyłych z północy przynajmniej połowa okazuje choćby zarodek talentu i zdolność do doskonalenia. Najpotworniejsze wierszydła rodzą się między Bordeaux a Nimes. To jest szerokość geograficzna najgorszych grafomanów. Wszyscy tamtejsi pisarze mają z reguły wietrzyk w głowie, podczas gdy urodzeni w prowincjach północnych okazują wiele rozsądku i wrodzonego talentu”⁷⁹.

Łatwo się przekonać, że Crébillon nie ze wszystkim miał rację; południe Francji wydawało (a w każdym razie wychowywało) również wielkich pisarzy, z których jeden (poświęcimy mu dalej wiele miejsca) zyskał potem sławę posępną, a dzieł jego nikt nie nazwie pustymi czy ulotnymi. Ale ta anegdota świadczy najlepiej, że ludziom utalentowanym Crébillon wiele wybaczal.

Zdarzało się jednak, że po napomnieniach zwierzchników królewski cenzor wpadał czasami w depresję i zaczynał surowo analizować przedstawiane sobie utwory. Na jeden z takich momentów złego humoru trafił Sylvain Maréchal, autor zgrabnych wierszy erotycznych, gdy przyniósł do cenzury swoje nowe ody. „Drogi panie — powiedział Crébillon — muszę niestety usunąć w wielu miejscach słowo buduar, które się u pana tylekroć powtarza”. „Jakżeż to ? — zdumiał się poeta — jeśli mi pan odbierze mój buduar, to gdzie ja wstawię pańską sofę?”

Ostatnie lata życia Crébillona upłynęły bez wielkich wydarzeń. Po Igraszkach kącika przy kominku wydał już tylko powieść pt. Listy pewnej księżnej do pewnego księcia (*Lettres de la duchesse de*** au duc de****, 1768).

12kwietnia 1777 roku zmarł na rękach komediopisarza Collé w domu przy ulicy des Chantres, w mieszkaniu, gdzie spędził ostatnie dwadzieścia lat życia.

Sława Crébillona zgasła wraz z życiem. Wkrótce po śmierci poszedł w zapomnienie, spośród jego dzieł tylko Sofa była wznawiana i potajemnie sprzedawana przez księgarzy aż do końca XVIII wieku, a i później cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród amatorów literatury erotycznej. Ostatnie lata „ancien régime'u” były epoką beletrystyki libertyńskiej ostrej, posępnej i niekiedy brutalnej; na tym tle twórczość Crébillona — pogodna i elegancka, ukrywająca ironię i spojrzenie satyryczne autora pod maską uśmiechu i wyrozumiałej aprobaty dla wszystkich zjawisk obyczajowych epoki

— wydawała się zapewne mdła i zbyt powściągliwa. Z całej jego twórczości tylko śmiały, szczery i brutalny obraz obyczajów naszych czasów pasowałby do ducha lat 1780-tych, ale dzieło to — wydrukowane w kilku jedynie egzemplarzach — strzeżone było pilnie w prywatnych bibliotekach i długo jeszcze czekać miało na odkrycie.

X. „AFRODYTY” I „DIABŁY WCIELONE” CZYLI BADACZE EROTYZMU

Gdy we Francji XVIII wieku w jakimś podmiejskim petite maison — na przykład pałacyku Cyda- lizy, bohaterki dialogu Crébillona Noc i chwila — zbierało się kilkunastoosobowe towarzystwo, gdy zjazdy te powtarzały się periodycznie, a grupa uczestników składała się przynajmniej przez pewien czas z tych samych osób obojga płci — z wielkim prawdopodobieństwem zaryzykować można było twierdzenie, iż działało tam jedno z nadzwyczaj rozpowszechnionych ówczesnie wśród arystokracji i bogatego mieszczaństwa sociétés d'amour⁸⁰.

Istnienie rozmaitych „towarzystw”, „zakonów” czy „akademii” erotycznych jest jednym, z najciekawszych, ale i najmniej znanych rysów obyczajowych epoki Oświecenia. Ekspansja libertynizmu w świadomości sfer uprzywilejowanych, a jednocześnie rozwój salonów literacko-towarzyskich, gdzie zbierały się duże grupy osób obojga płci, chętnie podejmujących dyskusje na najbardziej nawet drastyczne i intymne tematy, sprzyjały oczywiście tworzeniu swoistych zrzeszeń, których celem było teoretyczne i praktyczne badanie erotyzmu i seksualizmu we wszystkich jego przejawach. Grupa uczestników jakiegoś ekskluzywnego salonu łatwo spoufalala się wzajemnie do takich granic, że nic już nie stało na przeszkodzie podejmowaniu eksperymentów seksualnych, które miały doprowadzić do czynnego poznania i zanalizowania najróżniejszych przejawów wyrafinowania i perwersji. Zgodnie z duchem epoki praktyki te obrane były często w formę doświadczeń i obserwacji „naukowych”, a swawolne towarzystwo z udaną powagą narzucało sobie zwyczaje i statut towarzystwa naukowego czy akademii literackiej, której członkowie wyniki swoich eksperymentów i obserwacji przedstawiali zebrany

w formie żartobliwych wykładów. Istota rzeczy polegała na próbowaniu wszelkich form aktywności seksualnej w dobieranych doraźnie parach lub większych grupach spośród członków „towarzystwa”, a otaczająca te praktyki tajemnica i poufne zebrania z wyszukany rytuałem drażniły przyjemnie stępiące nerwy libertynów obu płci. Towarzystwa takie powstawały często jako odłamy rozpowszechnionej szeroko Maçonnerie d'Adoption — masonerii kobiecej, z którą były na przykład ściśle związane takie towarzystwa erotyczno-badawcze, jak l'Ordre de la Felicité, les Chevaliers et Chevalières de l'Ancre, l'Ordre de la Mouche à Miel i inne⁸¹. Czasami towarzystwa erotyczne organizowały się przy ekskluzywnych domach gry w Paryżu — spośród takich sociétés de jeu duży rozgłos zyskały ówczesne salony: pani de Salle przy ulicy Montmartre, pani de Champevion przy ulicy Cléry, pani de la Sarre przy placu des Victoires, pani de Fontenille, hrabiego de Gfencilis, hrabiego de Modène i inne⁸².

Jedną z pierwszych „akademii” tego rodzaju była założona w Paryżu w salonie panny d'Ormilley Academie Galante, która działała podobno już na przełomie XVII/ XVIII wieku. Któryś z bywalców salonu pani d'Ormilley wpadł na pomysł zorganizowania „akademii miłosnej” — na wzór akademii nauk czy sztuk i literatury, która miałaby „rozwickać wzory „galanterii”, propagować prawdziwą swobodę życia miłosnego, doskonalić kunszt erotyczny. Dyskusje i rozprawy wśród członków tej „akademii” przeplatane były doświadczeniami praktycznymi. Podobny charakter miało towarzystwo założone przez hrabiego de Caylus pod nazwą l'Academie de ces Dames et de ces Messieurs, które wszelako przyjęło bardziej parodystyczne i żartobliwe formy organizacyjne. Celem tego związku miała być krytyka, ocena i rozpowszechnianie literatury erotycznej, a także badanie historii obyczajów miłosnych. Dwadzieścia osób obojga płci, tworzących akademię, zbierało się w każdą niedzielę po południu. Układano tam aforyzmy, paradoksy i sentencje, które rozchodziły się szybko po całym Paryżu. Znaczną część tych utworów znaleźć można w dwóch zbiorach: Recueil de ces Messieurs (Amsterdam 1745) i Recueil de ces Dames (Bruxelles 1745), a także w kilkunastotomowych Oeuvres badines complétées du Comte de Caylus (Amsterdam 1787).

Duży rozgłos zyskał Zakon Pszczoły (La Mouche à Miel), który założyła (11 czerwca 1703 roku) Luiza de Bourbon, wnuczka wielkiego Kondeusza, znana powszechnie pod nazwiskiem księżny du Maine (ur. 1676). Po nabyciu zamku w Sceaux zaczęła wydawać huczne przyjęcia, które rychło przekształciły się w orgiastyczne zabawy. Spośród uczestników tych imprez zebrało się 39 osób, które uformowały l'Ordre de la Mouche à Miel. Ułożony statut przewidywał m.in., że kawalerowie zakonu winni są ślepe posłuszeństwo „dyktatorce”, księżnie du Maine, która kierować miała wszelkimi pracami i eksperymentami stowarzyszenia. O zaszczyt członkostwa pilnie się ubiegano, bowiem zakres prac „zakonu” był wielce pociągający, a huczne zabawy na zamku w Sceaux połączone były z przedstawieniami arcyśmiałyymi. Po pewnym czasie „zakon” ten przekształcił się w odgałęzienie kobiecej Maçonnerie d'Adoption.

Ogólna liczba towarzystw erotycznych, praktykujących seksualizm we wszystkich formach, jest trudna do ustalenia. Możemy jednak przypuszczać, że w XVIII wieku istniało we Francji przez czas dłuższy lub krótszy ogółem kilkaset tego rodzaju „zakonów”, „związków” czy „akademii”. Pozostały po nich ślady nieliczne, bowiem papiery podobnych organizacji niszczone były potem skwapliwie w obawie przed dostaniem się w niepowołane ręce lub ukrywane w archiwach rodzinnych, jako dokumenty kompromitujące. Wydaje się, że w posiadaniu prywatnym znajduje się we Francji po dziś dzień wiele archiwów XVIII-wiecznych towarzystw erotycznych, których obecni posiadacze nie udostępniają historykom i nie przekazują do zbiorów publicznych.

Towarzystwa erotyczne działały aż do czasów Rewolucji. Jeszcze w roku 1790 jakieś Société Joyeuse wypuściło oryginalny kalendarz-almanach pt. Almanach des honnêtes

femmes pour l'année 1790. W kalendarzu tym świętych, patronujących kolejnym dniom, zastąpiono nazwiskami kobiet znanych szeroko w elegan-

ckim świecie, między innymi kurtyzan, ale i dam należących do sfer arystokracji i bogatego mieszczaństwa. „Dla uczczenia rozmaitych gustów — powiadali we wstępie autorzy tego szczególnego almanachu — każdy miesiąc nosić będzie odtąd nazwę stosowną do rodzaju rozkoszy, którą nad wszystkie inne przekładają objęte przezeń heroiny. Damy francuskie posunęły swój talent miłosny równie daleko, jak starożytne Greczynki i Rzymianki, ale język nasz nie poczynił postępu równego naszemu libertynizmowi; z języka starożytnych zaczerpnijemy więc proste i jasne określenia rozmaitych rozkoszy...” Każdy z dwunastu miesięcy tego kalendarza poświęcony był damom znanym z upodobania do określonej perwersji lub kurtyzanom posiadającym w zakresie takich czy innych praktyk talent nieprze- ścigniony. Była to więc publikacja niezwykle i doprawdy skandaliczna, która w czasie spokoju mogła skompromitować setki kobiet o nieskazitelnej dotąd reputacji. Przypadła jednak na czasy Rewolucji i utonęła w powodzi pism politycznych, którym poświęcano ówczynie więcej uwagi.

Aczkolwiek autentyczne dokumenty dotyczące działalności towarzystw erotycznych są — jak wspomnieliśmy — nieliczne, to jednak ich organizację i działalność możemy poznać dokładnie dzięki literaturze, bowiem tak charakterystyczne zjawiska obyczajowe epoki nie uchroniły się oczywiście przed zainteresowaniem autorów libertyńskich opowieści, romansów i dialogów, przedstawiających prawdziwe wypadki w lekko jedynie zawoalowanej formie, a pod zmyślonymi imionami bohaterów prezentujących najczęściej postacie w rzeczywiste wydarzenia uwikłane.

Jednym z najpopularniejszych „swawolnych” autorów francuskiego Oświecenia był książę de Voisenon (1708—1775). Claude-Henri de Fuzée de Voisenon w młodości zasłynął jako autor dramatyczny, kilka jego komedii zyskało na scenach wielką popularność, sukcesem była zwłaszcza *Coquette fixée*. Zdarzyło się jednak, że Voisenon w jakimś pojedynku śmiertelnie zranił przeciwnika, a okoliczności tego wydarzenia rzekomo tak nim wstrząsnęły, że zraził się do modnego świata i przyjął sukienkę duchowną. Gdy ukończył seminarium, krewny, biskup z Boulogne-sur-Mer, ofiarował mu kanonikat i wikariat generalny przy swojej katedrze. Libertyn został więc duszpasterzem; wśród miejscowej ludności zyskał wielu prawdziwych przyjaciół, gdyż był z natury człowiekiem szczerym, przystępnym i współczującym. Po śmierci biskupa wierni z diecezji Boulogne chcieli koniecznie wypromować Voisenona na tron biskupi i zacny libertyn w sutannie z trudem się od tego zaszczytu wyprosił, pielgrzymując w tym celu specjalnie do Wersalu. Dostał wtedy opactwo w Le Jard i zwolnienie od obowiązków duszpasterskich — mógł więc znowu poświęcić się przede wszystkim pisarstwu.

Zajęcia tego (i udziału w rozrywkach arcyświato- wych) nie przerwał zresztą przez cały czas swej kariery duchownej. Był bliskim przyjacielem i współpracownikiem Voltaire'a, cenił i popierał ga minister Choi- seul, książę de La Vallière często zapraszał go do swej posiadłości w Montrouge, gdzie zbierało się liczne, a wesołe towarzystwo. Voisenon produkował olbrzymie ilości frywolnych i lekkich wierszy erotycznych, pisywał urocze opowiadania o tematyce par excellence li- bertyńskiej, był więc towarzyszem zabaw mile widzianym. Mimo stanu duchownego żył jawnie w nieślubnym związku z panną Lamaure z Opery, potem z głośną sawantką panią Favart. W roku 1763 wybrany został do Akademii na miejsce starego Crébillona — dramaturga; świadczy to, że jego lekka twórczość w ocenie współczesnych miała poważny ciężar gatunkowy⁸³.

Spośród dzieł Voisenona największy rozgłos zyskał chyba ostatni jego utwór: *Journée de l'Amour ou Heures de Cythère* (A Gnide 1776). Jemu również przypisywana jest jedna z najlepszych opowieści satyrycznych XVIII wieku — urocze w swej przewrotności *Ćwiczenia pobożne pana Henryka Rocha z księżną de Condor*, wydana pośmiertnie w roku 1780 i

kilkakrotnie potem wznawiana (*Exercices de dévotion de M. Henri Roch avec Mme la duchesse de Condor, par jeu M. l'abbé de Voisenon, de joyeuse mémoire, et de son vivant membre de l'Académie Française*). Voisenon napisał jednak książkę, która specjalnie nas zainteresuje, opowieść

los

dotyczącą jednego z najgłośniejszych towarzystw erotycznych — *Histoire de la Felicité* (Amsterdam 1751).

Towarzystwo to nosiło nazwę *L'Ordre hermaphrodite ou les Secrets de la sublime Felicité* lub po prostu *Zakon Szczęśliwości (L'Ordre de la Felicité)* i działało w Paryżu między rokiem 1740 a 1750. Specyfiką tego związku był żartobliwy rytuał, oparty o zwyczaje marynarskie, i umowny język, określający metaforami

i przenośniami zaczerpniętymi ze słownika terminów morskich wszelkie formy działania seksualnego. W czasie swych zebrań towarzystwo posługiwało się specjalnie opracowanym słownikiem, zawierającym kilkadziesiąt nazw i określeń „marynarskich” i tylko w tym języku wolno było członkom i członkiniom zakonu między sobą się porozumiewać lub prowadzić korespondencję. Tak np. okręt (*bâtiment*) oznaczał ciało, wiosła — ramiona, kabestan — lędźwie, wnętrze statku (*cale*) — brzuch, szalupa — młodą dziewczynę, stocznia (*chantier*) — łóżko, port — kobiecy narząd płciowy, tuba sygnalizacyjna (*portevoix*) — usta, statek (*vaisseau*) — mężczyznę itd. Oelem członków zakonu było szczęśliwe żeglowanie, urozmaicone różnymi przygodami, po coraz to innych trasach, aż do wylądowania na upragnionej wyspie szczęśliwości.

Zakon miał swoje urzędy: na jego czele stał wielki mistrz, do pomocy dodani mu byli: komisarz, wielki sondowniczy (*grand sondeur*) i inspektor. Członkowie przechodzili kolejno przez różne stopnie wtajemniczenia: od chłopca okrętowego (*mousse*) aż do kapitana i dowódcy eskadry. Co najmniej pięciu członków tworzyło podstawową jednostkę „zakonu” — eskadrę.

Nowych adeptów przyjmowano uroczyście na specjalnych posiedzeniach, a między innymi wypytywano ich dokładnie o lądowania, których już dokonali, aby przekonać się, jak dalece są doświadczeni w sztuce nawigacji.

Interesujące to towarzystwo, osłaniające pozorami żartobliwego rytuału swoje orgiastyczne praktyki, istniało — jak się wydaje — stosunkowo krótko. Natomiast bardzo długo, bo rzekomo lat kilkadziesiąt, funkcjonowało najbardziej tajemnicze towarzystwo libertyńskie, powołane do praktykowania wszelkich form życia seksualnego, którego działalność przedstawił w swych dziełach jeden z najciekawszych pisarzy XVIII wieku, dziś już zapomniany *Andréa de Nerciat*.

André-Robert Andréa de Nerciat urodził się w Dijon w roku 1739, w rodzinie urzędnika parlamentu. W młodości wiele podróżował, zwiedził Włochy, Niemcy i Skandynawię; po powrocie do Francji służył przez czas jakiś w gwardii królewskiej, póki nie został „abszytowany” w roku 1775. Doświadczenia burzliwej młodości posłużyły mu jako temat powieści pt. *Felicja, czyli moje wybryki (Felicja ou mes Fredaines, 1775)* i *Monrose, liberyn z konieczności (Monrose ou le liberyn par fatalité, 1792)*. Po dymisji wyjechał na kilka lat z Francji, przez dłuższy czas włóczył się po Niemczech i Szwajcarii, szukając jakiegoś stałego oparcia; przyjaźnił się z księciem de Ligne, pisał i komponował lekkie utwory muzyczne, zajmował się prawdopodobnie działalnością wywiadowczą na rzecz dworu wersalskiego. Wreszcie w roku 1780 trafił na dwór landgraфа Hesse-Cassel, Fryderyka II, gdzie powierzono mu nadzór nad pracą dworskiego teatru i opery. Dwa lata spędzone na dworze niemieckiego książątka były w życiu Nerciat'a okresem wybitnie płodnym. Pracował twórczo w zakresie muzyki i literatury, a chociaż kompozycje jego poszły (zdaje się słusznie) w zapomnienie, to jednak napisane wówczas dzieła beletrystyczne należą do najwybitniejszych osiągnięć literatury liberyńskiej francuskiego Oświecenia. W roku 1783

Andréa de Nerciat wrócił do Paryża, ożenił się po raz drugi (pierwsza jego żona zmarła w Niemczech w roku 1782), wstąpił znowu do służby wojskowej. W roku 1787 należał do grupy oficerów wysłanych przez Francję na pomoc patriotom holenderskim, walczącym przeciwko pruskiej interwencji; w tym samym roku odbył jakąś tajemniczą i po dziś dzień nie wyjaśnioną misję do Austrii, przebywał w Czechach.

Co porabiał w czasie Rewolucji — dokładnie nie wiadomo. Prawdopodobnie wyemigrował wraz z pierwszą falą arystokratów, uciekających z kraju ogarniętego społecznym i politycznym wrzeniem. Wstąpił do służby pruskiej, w roku 1792 był pułkownikiem w sztabie księcia Brunświckiego, który powierzył mu specjalną misję ratowania Ludwika XVI, w związku z czym Nerciat pertraktował nawet z rewolucyjnym ministrem spraw zagranicznych, Pierre-Marie Lebrunem.

Ostatni okres jego życia zawiera wiele nie wyjaśnionych tajemnic. Pojawił się niespodziewanie w Neapolu, był zaufanym doradcą królowej Marii Karoliny, z jej polecenia wyjechał do Rzymu w lutym 1798 roku z jakąś poufną misją. Znalazł się w Wiecznym Mieście akurat w momencie wkroczenia tu legionów polskich i wojsk rewolucyjnych francuskich, a jako przedstawiciel nieprzyjaznej monarchii neapolitańsko-sycylijskiej został zaraz internowany i trafił do Zamku Sw. Anioła. Przesiedział tam przeszło rok, postradawszy wszystkie swoje manuskrypty. Był już ciężko chory, gdy uwolniono go wreszcie na przełomie roku 1799/1800. Wrócił do Neapolu, gdzie zmarł w ostatnich dniach stycznia 1800 roku.

Jako najemny agent polityczny, wysługujący się kolejno kilku dworom, Nerciat nie budzi oczywiście najmniejszej sympatii. Był typowym kondotierem bez zasad i idei, poszukującym wszędzie kariery, wiązał się z najbardziej wstecznymi siłami ówczesnej Europy i gotów był zawsze służyć przeciwko swemu krajowi. Surowa ocena jego postawy moralnej nie może jednak przesłonić faktu, że był to człowiek obdarzony sporym talentem pisarskim i umiejętnością przetwarzania w dzieło literackie obserwacji obyczajowych zebranych w czasie wieloletnich wędrówek po Europie.

Nerciat ocierał się w swym życiu o wszystkie ważniejsze środowiska libertyńskie w ówczesnej Francji. „Umiłował miłość — pisze o nim Apollinaire — i studiował namiętnie jej stronę fizyczną, wnikając w tajemnice towarzystw erotycznych i sekrety tej masonerii miłosnej, która nie zdając sobie sprawy, iż rozpowszechnia jednocześnie upodobanie do wszelkiej swobody, szerzyła kult ciała w całej Europie”⁸⁷. W swoich powieściach i dialogach Nerciat okazał się — jak osądził Apollinaire — „psychologiem subtelnym i wyrafinowanym, umysłem wyzwolonym z wszelkich przesądów, pisarzem wybornym, szczęśliwym twórcą wielu udanych neologizmów, jednym słowem indywidualnością równie uwodzicielską jak dwuznaczną; czarujący autor

Felicji tniał odejść z tego świata razem z wiekiem XVIII, który w swych dziełach wyraził z największą chyba subtelnością i zmysłowością, jaką znamy”⁸⁸.

Wśród utworów Nerciata dwa zasługują na szczególną uwagę: Afrodyty i Diabeł rucielony. Tematem obu tych dzieł jest działalność towarzystwa erotycznego, które śmiałością swych „eksperymentów” zdystansowało wszystkie inne, a istniało potajemnie, dobierając coraz do nowych członków, podobno aż siedemdziesiąt lat!

Les Aphrodites ou Fragments thali-priopiques pour servir à l’histoire du Plaisir ukazały się w roku 1793 (z datą: Lampsaque 1793); markiz de Châteaugiron, posyłając nieco później tę książkę swojemu korespondentowi panu de Schonen, pisał: „Załączam Afrodyty, o których już panu mówiłem; to dzieło kawalera de Nerciat jest w Paryżu prawie nieznanne, gdyż ukazało się za granicą w czasach Rewolucji. Jest wszelako godne uwagi jako praca historyczna, gdyż przedstawia — jak powiadają — w pełnych barwach towarzystwo, które zbierało się w okolicach Paryża, w stronie doliny Montmorency, a którego przewodniczącym

był niejaki markiz de Persan. Zrzeszenie to, do utrzymania którego każdy z wprowadzonych przyczyniał się w ustalonej proporcji, miało za jedyny cel praktykowanie liberty- nizmu...”⁸⁶. Te praktyki libertyńskie Nerciat przedstawił w całej okazałości i bez najmniejszego powścią- gania pióra, nic więc dziwnego, że dzieło jego — mimo całej swej wartości literackiej i historyczno-obyczaj- wej — po dziś dzień ścigane jest jako pornograficzne.

Les Aphrodites albo — jak nazywano je inaczej — les Morosophes, utworzyły podobno swe towarzystwo po raz pierwszy w czasach Regencji (1715—1723), a tradycja tego zrzeszenia przechodziła dosłownie z pokolenia na pokolenie, przekazywana poufnie nowym adeptkom przez wycofujące się członkinie, które po latach „eksperymentów” z racji wieku nie czuły się już powołane do uczestniczenia w dalszych pracach. Przez kilkadziesiąt lat tajemnica strzeżona była jednak pilnie, tak że pozostawała w ściśle ograniczonym kręgu wtajemniczonych. Trudno dociec, czy 70-letnia z górą tradycja Afrodyt miała rzeczywiście jakieś uzasadnie-

nie, ale istnienie „zakonu” pod koniec jego działalności (1791) musiało być już znane dość szeroko, skoro towarzystwo obejmowało wówczas około dwustu członków obojga płci, a więc grupę zbyt liczną, aby zdolna była utrzymać tajemnicę ściśle w swoim gronie.

Afrodyty uprawiały swoją działalność w formie sui generis kultu „religijnego”, potraktowanego żartobliwie. Obowiązkiem członkiń było wyzbycie się w sprawach rozkoszy płciowej wszelkich skrupułów, uprzedzeń czy lęków. „Zakon” był oczywiście dostępny za- równo dla dam jak i kawalerów, przy czym starano się utrzymać właściwą proporcję obu płci. Przy inicjacji nowy uczestnik prac „zakonu” składał dar stosowny do swej fortuny; płacił zazwyczaj 10 000 liwów za siebie

i 5 000 za wprowadzoną damę, gdyż panie uwolnione były od wszelkich świadczeń finansowych jako kapłanki rozkoszy, dźwigające główny ciężar „eksperymentów”. W pobliżu Paryża, pod Montmorency, „zakon” posiadał majątek ziemski, którego główną budowlę zwano Schroniskiem (l’Hospice). Było to miejsce zebrań i orgii. Mieszcząca się tam wielka sala wyposażona była w najróżniejsze urządzenia do praktykowania perwer- sji, a dwanaście osobnych buduarów zapewniało w razie potrzeby wszelką wygodę i izolację. Z dala od Schroniska wznosiła się Pustelnia (l’Hermitage), rodzaj kaplicy, w której odprawiano specjalne „nabożeństwa”. „Zakon” utrzymywał dla potrzeb swoich doświadczonych odpowiedni personel, złożony z kilkudziesięciu dziewcząt i chłopców, a na czele posiadłości stała 36-letnia — jak przedstawia ją Nerciat — doświadczona dama, pani Durut. Do stałych jej pomocnic należały dwie dziewczyny: 20-letnia blondynka Celestyna i 19-letnia brunetka znana pod przydomkiem „Fringante”, eks-tan- cerka z Opery.

Członkowie obojga płci, pełnoprawni i stale w zebraniach uczestniczący, nazywali się „zaufanymi” (intimes). Często dopuszczano jednak do udziału w orgiach „pomocników” (auxiliaires). Doraźnych poszukiwaczy przygód wieziono z Paryża w karecie z zasłoniętymi szczelnie oknami, aby żaden z nich nie widział, dokąd przybywa. Za każdy dzień pobytu w Montmorency auxiliaires płacili po 4 ludwiki i mogli brać udział we ■wszystkich ceremoniach, bankietach i zebraniach. Szczegóły wszystkich tych zabaw, które Nerciat bez żadnych skrupułów przedstawił w swojej książce, nie nadają się niestety do cytowania.

Afrodyty skupiały oczywiście towarzystwo arystokratyczne i masowa emigracja „uprzywilejowanych” w czasie Rewolucji położyła kres pracom „zakonu”. W roku 1791 towarzystwo rozpadło się. Majątek „zakonu” oszacowany był w tym roku podobno na 4 558 923 liwry⁸⁷. Większość uczestników zebrań w Montmorency opuściła Francję przed okresem Terroru. Podobno towarzystwo to zostało reaktywowane i podjęło na jakiś czas swoją działalność na emigracji (być może w Rosji), ale w tym zakresie brak jest wiarygodnych świadectw źródłowych.

Nerciat napisał Afrodyty w czasie pobytu na emigracji, przedstawiając prace „zakonu” w

ostatnim okresie istnienia, ale nawiązał tu do swego dawniejszego dzieła, które przeleżało w rękopisie aż do roku 1803 i dopiero po śmierci autora zostało wydane w Mézières staraniem niejakiego Frémonta. Był to Diabeł wcielony (Le Diable au Corps, oeuvre posthume du très recommandable docteur Cazzoné, membre extraordinaire de la joyeuse Faculté phallo-coiropygo-glottonomique), napisany prawdopodobnie w czasach tułaczki po Niemczech i Szwajcarii w latach 1775—1780. W dialogach składających się na Diabła wcielonego uczestniczą postaci, które odnajdujemy później w Afrodytach — jest to bowiem obraz obyczajów tego samego środowiska, tyle tylko, że piętnaście lat wcześniej, w latach 1770-tych.

O stowarzyszeniu Afrodyt rozprawiają szeroko wszyscy bohaterowie Diabła wcielonego, do członkostwa tego „zakonu” przyznaje się szczerze Markiza w rozmowie z pokojówką Filipiną, praktyki i doświadczenia z Montmorency przewijają się we wszystkich rozmowach. Między innymi grupa przyjaciół Markizy wydaje tam bal libertyński pod hasłem: „chaque dame sera toute à tous; chaque homme tout à toutes”. Uczestnicy tej orgii rekrutują się z rozmaitych środowisk: obok Markizy spotkamy tam „hrabinę de Mottenfeu, pikantną brzydulę”, subretkę Filipinę, „księdza Bou jaron” z Neapolu, niemieckiego prałata używającego pseudonimu „le Tréfoncier”, nawet Polaka „wojewodę Morawskiego” i innych.

Towarzystwa erotyczne wspomniane są w dziełach kilkudziesięciu pisarzy francuskich XVIII wieku, ale Nerciat jest wśród nich wyjątkiem: nikt poza nim nie ukazał organizacji i funkcjonowania tych charakterystycznych instytucji z całą szczerością, bez przesuwania uwagi czytelnika z eksperymentów „fizycznych” na dyskusje i rozprawy teoretyczne, które w łonie tych zrzeszeń odgrywały dużą rolę, ale nie były bynajmniej najważniejszymi zajęciami uczestników wszelkich tajemniczych zebrań. Dalej niż Nerciat posunął się tylko pisarz, który doprowadził analizę upowszechnionych ówczesnie praktyk seksualnych i mentalności libertynów aż do brutalnego zanurzenia czytelnika w otchłani wszelkich przejawów perwersji i inwersji: D.A.F. de Sade w Stuleciu dwudziestu dniach Sodomy (bowiem towarzystwo zgrupowane wokół księcia Blangis, które zamyka się na 120 dni w starym zamku w Foret Noire, by tam wypróbować wszelkie formy aktywności seksualnej, jest przecież typowym libertyńskim stowarzyszeniem erotycznym). Ale de Sade’a interesowała nie tyle strona obyczajowa, ile psycho-seksuologiczna rozmaitych ludzkich zachowań, i dlatego w swej surrealistycznej wizji wyizolował swych bohaterów z rzeczywistego świata, w którym z taką swobodą poruszał się w życiu i twórczości Andrea de Nerciat.

I. LIBERTYŃSKA PRAKTYKA PLEBEJUSZA

J eżeli na mapie Francji wykreślimy linię prostą łączącą Paryż z Lyonem, a następnie od stolicy Francji odmierzymy mniej więcej jedną trzecią tej odległości, to ołówek nasz zatrzyma się prawie dokładnie w miejscu gdzie leży miasto Auxerre. Liczy ono dzisiaj około trzydziestu tysięcy mieszkańców, posiada trzynaście hotelików, katedrę gotycką, początkami swymi sięgającą XIII wieku i słynną wieżę zegarową, wzniesioną w roku 1483. W okolicach Auxerre pełno jest winnic, w których rodzi się słynne wino Chablis.

O trzy mile starofrancuskie od Auxerre, w miejscowości Sacy, mieszkała w pierwszej połowie wieku XVIII rodzina bogatych chłopów, właścicieli winnic, Rétifów. Właścicielem fermy był ówczesnie niejaki Edme Rétif¹. Ożenił się w młodości z młodą chłopką Marią Dondeine, z którą spłodził siedmioro dzieci. Żona zmarła mu młodo, ożenił się więc po raz drugi z parnią Barbe Ferle t. Druga żona Edmle’a Rétif a urodziła wkrótce syna.

Dnia 23 października 1734 roku przyszedł na świat w Sacy chłopak, który po latach — najniespodziewaniej dla całej rodziny — miał stać się modnym i popularnym homme de lettres, znakomitym dokumentatorem obyczajów stanu trzeciego, przede wszystkim zaś ■niezrównanym kronikarzem i reporterem życia codziennego w ówczesnym Paryżu².

Chłopiec ochrzczony został potrójnym imieniem Nicolas-Anne-Edme. Z imion tych używać miał przez całe życie pierwszego i trzeciego, dodając do nazwiska przybrany później przydomek: Nicolas-Edme Rétif de la Bretonne. Brzmiało to znakomicie i mogło zdobić nawet arystokratę; wszelako posiadacz tegoż nazwiska z urodzenia swego przeznaczony był do pracy na roli lub w rzemiośle i nic nie zapowiadało, że kiedykolwiek w życiu będzie mógł otrzeć się o inne sfery niż dolne I warstwy stanu trzeciego; był to rok 1734, Bastylia trwać miała jeszcze lat pięćdziesiąt pięć...

Rodzice, Barbe i Edme Rétifowie, dorzucili chłopcu fl w niedługim czasie jeszcze sześcioro rodzeństwa; familia rozrosła się więc pokaźnie i trudno było marzyć 19 o pomieszczeniu wszystkich na roli. Kilku młodych 3 Rétifów musiało opuścić ojcowskie gospodarstwo i szukać zajęcia w mieście. Szczęściem dla literatury znaleźć się miał wśród nich również Nicolas-Edme.

Był podobno dzieckiem wrażliwym i nerwowym, 3 a nawet neurotycznym. Rodzice wcześniej zadbali o początki jego wykształcenia; możemy przypuszczać, że decydował tu wpływ matki — Barbe Ferlet była w młodości pokojówką księżny d' Auvergne, spędziła kilka lat w Paryżu, otarła się o wielki świat, marzyła o jakimś zbliżeniu swoich dzieci do tego wykwintu i elegancji, który oglądała jako młodzianka dziewczyna. Nicolas zaczął chodzić do szkółki mając lat zaledwie pięć; była to nędzna szkółka parafialna w Sacy, kierowana przez niejakiego Jacques'a Bérault, który swoje nauczycielskie obowiązki traktował raczej formalnie — mając lat jedenaście młody Nicolas nie potrafił się nawet podpisać. Trochę nauczyli go później dwaj przyrodni bracia, synowie Edme'a Rétifa z pierwszego małżeństwa, którzy obrali profesję zakonną; przy okazji wbijali zresztą chłopakowi do głowy doktryny janseni- styczne, ówczesne bardzo rozpowszechnione wśród duchowieństwa w Auxerre.

W roku 1745, gdy Nicolas' miał lat jedenaście, wysłany został do szkoły w Vermenton, ppd opiekę przyrodniej siostry Anny, zamężnej za Michelem Linard, swojej matki chrzestnej. Tam właśnie zaprzyjaźnił się z dziewczyną, która wywarła nań wielki wpływ i stała się pierwszym dziecięcym ideałem, 16-letnią Margue- ritte Collet, córką notariusza, którą nazywał „la Col- lete”.

Wydaje się, że pobudliwość seksualna obudziła się w Rétiñe bardzo wcześnie, a nie hamowana bynajmniej wpływami wychowania rozwijała się w nim równomiernie i szybko. O pierwszych swoich przeżyciach pisał potem wiele i szczerze; dzięki tym wyznaniom i relacjom z młodzieńczych kontaktów seksualnych dowiadujemy się dużo o obyczajach erotycznych wśród niższych warstw stanu trzeciego w XVIII-wiecznej Francji. Nie wnikając na razie w szczegóły warto stwierdzić, że są one dowodem bardzo znacznego rozpowszechnienia li- bertynizmu wśród stanu trzeciego, przynajmniej jako praktycznej postawy życiowej; w XVIII-wiecznej Francji swoboda obyczajowa rozpowszechniona była nie tylko w sferach arystokracji, finansjery i bogatego mieszczaństwa...

O najwcześniejszych przeżyciach i doświadczeniach Rétifa wiemy — bardzo dużo — dzięki jego twórczości. Elementy autobiograficzne spotykamy we wszystkich niemal utworach Rétifa, niektóre z jego powieści są po prostu nieznacznie tylko przetworzoną relacją z doświadczeń własnych lub osób najbliższych. Wszelako Rétif zostawił po sobie również pamiętnik, olbrzymie dzieło obejmujące 16 tomów i 4800 stron druku, w którym z niesłychaną szczerością, przechodzącą nieraz w pisarski ekshibicjonizm, ale i z niezwykłym talentem, przedstawił szczegółowy obraz swego życia na tle współczesnych realiów i obyczajów. Pamiętnik ten — Pan Mikołaj, czyli serce ludzkie odsłonięte (*Monsieur Nicolas ou le Coeur humain dévoilé*, 1794—1797) — analizowany był potem drobiazgowo przez historyków literatury i badaczy obyczajów wieku XVIII, weryfikowany, konfrontowany ze źródłami archiwalnymi. Z prób tych wyszedł zwycięsko, Rétif okazał się autorem prawdziwym i w miarę dokładnym, godnym w pełni zaufania. Pan Mikołaj jest

nieocenionej wprost wartości źródłem do historii obyczajów we Francji XVIII wieku; jest szczerą, czasem naiwną spowiedzią człowieka równie utalentowanego jak prostodusznego, który zwierzał się ze wszystkich, najintymniejszych nawet doznań, nie zawsze zresztą troszcząc się o obiektywny sens moralny tych konfesji. Żaden z pisarzy, nawet Jean-Jacques Rousseau, którego Wyznania są przecież dziełem równie genialnym, jak obłudnym i zakłamanym, nie pozwolił współczesnym i potomnym tak dogłębnie wejrzeć w swą psychikę i doświadczenia całego życia, jak Rétif de la Bretonne.

Z Vermenton rodzice zabrali go do Sacy i zatrzymali w gospodarstwie. Przez czas pewien pomagał w winnicy, grzebiąc jednocześnie w starych książkach na strychu fermy. Obudziło się w nim namiętne zainteresowanie słowem drukowanym, które nie opuści go już do końca życia, a z takim powodzeniem zapędzi wkrótce w szeregi czynnych pracowników literatury. Rzecz to znamienita, że w chłopskiej chacie XVIII-wiecznej Francji można było znaleźć sporo do czytania! Rétif o- wie byli co prawda farmerami zamożnymi, ale któryż z czytelników głośnej książki Hipolita Taine'a o Francji przedrewolucyjnej, ukazującej dolę chłopstwa w najczarniejszych barwach, skłonny byłby przypuścić, że jakikolwiek chłop, nawet bardzo bogaty, mógł wówczas posiadać w domu bibliotekę?³ A przecież z ojcowskiego domu wyniósł Nicolas początki swego samouczącego wykształcenia...

W rodzinie Rétifów zdarzali się ówczasie i prawnicy. Jeden z nich, adwokat Jean Rétif, doradził staremu Edme'owi oddanie chłopca do paryskiego chóru chłopięcego w Bicêtre, którym kierował ksiądz Thomas Rétif. W październiku 1746 roku dwunastoletni Nicolas po raz pierwszy zobaczył na własne oczy miasto, które niedługo stać się miało jego „ojczyzną z wyboru” i miejscem akcji większości utworów.

Na razie oczywiście o pisaniu ani marzył. Pożegnał się z ojcem, który odwiózł go do Paryża, zaczął ćwiczenia w chórze chłopców, pod kierownictwem i opieką księdza Fusier. Szczęście mu jednak nie sprzyjało. Chór chłopięcy w Bicêtre był domeną wpływów jansenistów, których tolerował arcybiskup Gigault de Bellefonds. Ale gdy dostojnik ten zmarł w lipcu 1746 roku, a następcą jego został Christophe de Beaumont, zdecydowany molinista, rozpoczęła się generalna rozprawa z jansenistami w Paryżu. Ksiądz Thomas Rétif, a z nim Nicolas, opuścili Paryż w końcu listopada 1747 roku.

Tylko rok trwała ta paryska przygoda, która zresztą nie zostawiła większych śladów w umyśle chłopca.

Z codziennym życiem i obyczajami Paryża nie mógł się ówczasie zetknąć, ujęty w ścisłe karby szkolno-kościelnej dyscypliny. Niewiele jeszcze wiedział o życiu, które miał później przedstawić z tak oszałamiającym bogactwem szczegółów i taką szczerością.

Zaraz po powrocie do Sacy wysłany został do małej miejscowości Courgis, położonej o trzy mile od Auxerre, pod opiekę swego przyrodniego brata, miejscowego proboszcza.

W niedzielę wielkanocną, dnia 14 kwietnia 1748 roku, zaszło wydarzenie, które uznał potem za jedno z najważniejszych w swoim życiu: zobaczył w kościele w Courgis Jeannette Rousseau. Miał zaledwie czternaście lat, ale miłość do tej dziewczyny wstrząsnęła całą jego psychiką. Nawet po pięćdziesięciu latach nie mógł wspominać jej bez wzruszenia. Była to miłość beznadziejna i w pełni platoniczna; minęły całe miesiące, zanim zdołał zamienić z nią kilka słów, a nigdy bliżej z nią się nie zapoznał i chyba nigdy nie wyznał jej swego uczucia. Zapisał wtedy łacińską sentencję: *U nam petii a Domino et Hanc requiram omnibus diebus vitae meae*. Dziewczyna była o trzy lata odeń starsza (wiemy, że urodziła się 19 grudnia 1731 roku i była córką notariusza z Courgis — miłość czternastoletniego chłopca poniekąd unieśmiertelniła ją, czyniąc przedmiotem zainteresowania historyków); zapewne nie dostrzegła nawet wpatzonego w nią wyrostka. Ale Rétif chłonał ją otwartymi szeroko oczyma: „Była skromna, piękna, wysoka, ubierała się gustowniej od swych koleżanek, a przede wszystkim miała ten przemożny wdzięk, któremu nie mogłem się oprzeć, uroczą małą

stopkę”⁴.

„Uroczą małą stopkę”! Warto zwrócić uwagę na to wyznanie, bowiem motyw stopy kobiecej przewijać się będzie przez całą twórczość Rétifa. Podobno od chwili najwcześniejszych wzruszeń seksualnych podniecał go widok małych i zgrabnych stóp kobiecych i eleganckich pantofelków damskich na wysokich obcasach; skłonność ta wykształciła się w nim z czasem w intensywną per wersję, dominującą nad całym jego seksualizmem. (Niektórzy seksuolodzy proponowali nawet dla fetyszyzmu stopy i pantofla specyficzne określenie retifizmu). Wystarczy popatrzeć na grawiury ozdabiające utwory Rétifa, które wykonywał znany ilustrator i grafik Binet ściśle według wskazań autora: wszystkie kobiece postacie prezentują się tutaj w małych pantofelkach, świadczących, że w pojęciu autora winny być wyposażone w mikroskopijne stopki.

Dwa lata życia Rétifa, cały pobyt w Courgis, wypełnione były Jeannettą Rousseau. Ale swoista ta sielanka przerwana została dość brutalnie. Mając lat szesnaście Nicolas napisał pierwsze swoje dzieło — łacińską komedię prozą wzorowaną na utworach Terencjusza, której współczesną akcję umieścił w Sacy, a sam włączył się do liczby działających postaci. Ta satyryczna komedia nie ściągnęłaby może na debiutanta gromów ze strony rodziny, gdyby Nicolas, ośmielony udatnością swojej pierwszej próby, nie porwał się na francuski poemacik — żartobliwy i utrzymany w duchu arcy-libertyńskim. Dzieło to wpadło w ręce proboszcza, brata i opiekuna naszego bohatera, który uniesiony gniewem i zdumiony, że pod dachem jego plebanii wychował się niespodziewanie libertyn, zaalarmował całą rodzinę. Stary Edme Rétif był niepokieszony. Na dobitkę złego Nicolas zgnębiony wyrzutami rodziny i żądny wyzwolenia spod rodzinnej opieki, napisał do Bicêtre list, w którym wyrzekał się jansenizmu, deklarował solidarność z jezuitami i przyrzekał posłuszeństwo władzy duchownej, byle tylko przyjęto go z powrotem do chóru chłopców. Tego już było za wiele dla rodziny kultywującej od lat tradycje jansenistyczne: nie tylko rozpustnik i libertyn, ale jeszcze renegat! Nad głową Nicolasa zbierała się burza. Nagle w Courgis wybuchł pożar, spłonęło całe prawie miasteczko; w obliczu tej tragedii zbladła trochę w oczach rodziny Rétifów groza występku młodego libertyna. Wszelako ojciec postanowił oddać go pod dobrą opiekę, na naukę jakiegoś praktycznego zawodu. W Auxerre, przy ulicy de l’Horloge, w pobliżu klasztoru kordelierów, utrzymywał duży zakład drukarski niejaki Michel-François Fournier, zdecydowany jansenista. Ta ostatnia kwalifikacja zacnego drukarza skłoniła zapewne starego Rétifa do powierzenia mu opieki nad niesfornym synem.

Nicolas bez oporu pośpieszył do Auxerre. Pośpieszył nawet chętnie, gdyż żoną pana Fourniera była — Margueritte Collet, towarzyska jego lat dziecińczych z Vermenton. Fournier, wówczas 35-letni, poślubił ją przed sześciu laty po śmierci swojej pierwszej żony. Pani

Fournier miała teraz lat 22 (urodziła się 22 października 1729 roku) i znajdowała się w pełni rozkwitu kobiecości. Spotkanie po latach było dla Rétifa dużym wstrząsem; w żonie szefa ujrzał swój seksualny ideał. Nic też dziwnego, że Margueritta stanie się odtąd obiektem jego z początku nieśmiały, a potem coraz bezczelniejszych zalotów.

Dzieje swego pobytu w Auxerre i romansu z Marguerittą Rétif przedstawił później z niewielkimi zmianami w swojej pierwszej wielkiej powieści, *Wieśniaku zdeprawowanym* (*Le paysan perversi ou les dangers de la ville*, 1775), gdzie pani Fournier występuje pod imieniem pani Parangon. Uwodzicielskie zabiegi Edmunda wokół pani Parangon to prawie dokładny obraz stosunków Nicolasa z Marguerittą. Tyle tylko, że w powieści swojej Rétif oczyścił wątki od niepotrzebnych komplikacji i dorzucił wyjaśnienie ewolucji psychicznej bohatera w kierunku libertynizmu i rozpusty wpływem demoralizatora, zresztą wzorowanego również na autentycznej postaci.

Praktyka w warsztacie Fourniera (opisana szczegółowo w *Panu Mikołaju*, dzięki czemu

Rétif przekazał nam cenny i unikalny obraz życia robotników drukarskich na prowincji francuskiej w połowie XVIII wieku), a także rozwijająca się stopniowo namiętność do pani Fournier, nie przeszkadzały bynajmniej młodemu rzemieślnikowi (Nicolas miał wtedy lat siedemnaście) w poszukiwaniu rozmaitych miłosnych przygód. Nareszcie wyzwolony spod opieki rodziny, a zwłaszcza surowych księży-jansenistów, swoich przyrodnych braci, Rétif dał w pełni folę bujnemu temperamentowi. Małe miasteczko nie umożliwiło oczywiście tak łatwych znajomości | dziewczętami rozmaitych kondycji socjalnych co ówczesny Paryż, ale jednak panująca tu atmosfera obyczajowa daleka była od surowości. Nicolas korzystał z życia z całą bez troską; podobnie jak wszyscy jego koledzy z drukarskiego zakładu łatwo znajdował dziewczęta skłonne do intymnych kontaktów bez- większych wzajemnych zobowiązań; były wśród nich córki okolicznych farmerów, miejscowych rzemieślników, kupców — dziewczęta ze starych rodzin chłopskich i drobnomieszczańskich, nie drożące się bynajmniej ze swą cnotą. Od tej chwili, aż do późnej starości, kobiety będą odgrywały w życiu Rétifa najważniejszą rolę; będzie ich szukał, sycił się ich fizycznym wdziękiem, będzie je obserwował, studiował — i z dużą wnikliwością psychologiczną przedstawiał na kartach swoich utworów.

Gdy w latach 1794—1797 Rétif ogłosił drukiem swój pamiętnik — spowiedź z całego życia — jako tom 13 tego dzieła pomieścił niezwykły notatnik zatytułowany *Mój kalendarz* (*Mon calendrier*). Były to czasy rewolucyjnego kalendarza świeckiego, wprowadzonego dekretem Konwencji w listopadzie 1793 roku, który ' miał zastąpić dawny kalendarz gregoriański, przypisujący poszczególne dni roku rozmaitym świętym. Natchniony tym wzorem Rétif postanowił wtedy ułożyć swój własny kalendarz: listę kobiet, z którymi kiedykolwiek łączyły go intymne stosunki. Każdej z dawnych kochanek przypisał jeden dzień roku, zwykle ten, w którym związek ich po raz pierwszy został przypieczętowany fizycznym złączeniem; każdej poświęcił notę biograficzną, pełną tkliwych wspomnień. Niestety, niektóre dni w roku musiały otrzymać po dwie patronki, gdyż kobiet swojego życia naliczył Rétif znacznie więcej niż 365...

Dzięki względom pani Margueritty Fournier Nicolas dorwał się do biblioteki szefa. Czytał dużo i bez wyboru, poznawał klasyków i współczesnych autorów literackich; kształtował ostatecznie swój literacki światopogląd. W chwilach wolnych od pracy i rozrywek wymykał się do pobliskiego klasztoru kordelierów, gdzie długie godziny spędzał na dysputach z nowym przyjacielem, ojcem Gaudetem d'Arras.

Ojciec Gaudet (którego Rétif przedstawił później — pod autentycznym nazwiskiem! — w swoim *Wieśniaku zdepraujowanym*, ze względów cenzuralnych pozbawiając go jedynie stanu duchownego) był postacią równie niezwykłą jak charakterystyczną dla czasów francuskiego Oświecenia. Przyjął szatę zakonną pod naciskiem rodziny, wbrew woli, w głębi duszy był zdecydowanym ateistą i libertynem. Jego wyznaniem wiary była doktryna poszukiwania rozkoszy — fizycznego i moralnego zadowolenia jednostki zgodnie z jej wrodzonymi upodobaniami — za wszelką cenę i wszelkimi sposobami. „Kordelier — wspominał potem Nicolas — nie wierzył w Boga ani w nieśmiertelność duszy. Radość — powiadał — rozkosz zmysłowa, szczęście, są ostatecznym celem człowieka”. Gaudet nie krępował się bynajmniej obowiązkami swego stanu, utrzymywał jawnie stosunki seksualne, był niewątpliwie jednym z twórców ponurej opinii, jaką cieszył się w XVIII wieku osławiony zakon kordelierów. Zresztą w niedługim czasie zerwał śluby zakonne, zrzucił habit i znikł z Auxerre.

Zaspokajając potrzeby serca i zmysłów w przygodach z gryzetskami, dziewczętami z gospód, młodymi mieszczankami i córkami okolicznych farmerów, Nicolas nie przestawał wdychać ku pani Fournier. Widywał ją codziennie i blisko, była dlań nadal równie niedostępna jak podniecająca — zwierzał się potem w Panu Mikołaju z ekscytacji, w

które wprawiało go nieraz obcowanie z żoną „patrona”, a zwłaszcza widok jej małych pantofelków. Wreszcie nadszedł moment krytyczny: 24 marca 1754 roku (Rétif, jak zawsze dokładny, zanotował tę datę), będąc z nią sam na sam, skorzystał z okazji i ośmielony łaskawym traktowaniem po prostu Margueritę zgwałcił! Próżno jednak wyznawał swą miłość, żebrząc u jej kolan wzajemności. Wybaczyła mu i zachowała milczenie, ale nie została jego kochanką. W sierpniu tego roku wyjechała do Paryża, wróciła dopiero w styczniu roku następnego. Czyżby zmuszona była pozbyć się gdzieś w ukryciu owocu tej przygody? Stosunki, ich były zresztą dość dziwne; odmawiając Rétifowi swych względów pani Fournier nie ukrywała jednak gniewu i zazdrości, gdy dochodziły ją słuchy o licznych romansach młodego czeladnika. Nicolas przyspieszył swe starania o pełne usamodzielnienie zawodowe; 8 maja 1755 roku został wreszcie wyzwolony w zawodzie drukarza; wyprowadził się wtedy od Foucaierów i zamieszkał w wynajętym pokoju. Stosunki | Margueritą były coraz bardziej naprężone, wreszcie w sierpniu doszło do poważnej awantury i Nicolas postanowił wyjechać z Auxerre; 11 sierpnia 1755 roku opuścił miasto, w którym przeżył cztery lata.

Pani Fournier była już wtedy — jak się wydaje — poważnie chora. Zmarła 28 grudnia 1757 roku, mając lat zaledwie 28. Rétif wystawił jej potem piękny pomnik literacki w dwóch swoich znakomitych powieściach: *Wieśniaku zdeprawowanym* i *Wieśniaczce zdeprawowanej*.

3 września 1755 roku Rétif znalazł się w Paryżu. Dostał pracę w drukarni królewskiej w Luwrze, zarabiał na razie niewiele, wynajął więc pokój wraz z dwoma kolegami — drukarzem Boudard i zegarmistrzem Chambon — w hotelu „Pod Duchem Świętym”, przy ulicy des Poulies. Zarobki robotników drukarskich wystarczały wówczas na przyzwoite utrzymanie, ale potrzeby Nicolasa rosły szybko. Chodził często do teatru (zwłaszcza do Komedii Francuskiej), dużo czytał, zakup książek pochłaniał więc sporą część jego zarobków, przede wszystkim jednak nie mógł obejść się bez towarzystwa kobiet, a to kosztowało w Paryżu znacznie więcej niż w Auxerre.

Inteligencją i kwalifikacjami Rétif przewyższał niewątpliwie swoich kolegów z królewskiej drukarni; uczył się ciągle, znał już dobrze łacinę, po trosze hiszpański, włoski i grecki. W drukarni Claude Hérissant’a zaproponowano mu dwukrotnie wyższą pensję. Porzucił więc bez wahania warsztat w Luwrze, wyprowadził się też ze wspólnego pokoju i wynajął osobne mieszkanie. Nie zatrzymał się zresztą długo ani u nowego pracodawcy, ani na nowej stacji. W następnych latach wielokrotnie zmieniał i warsztat, i mieszkanie, goniąc nieustannie za lepszymi warunkami.

Mimo materialnych kłopotów były to dla Rétifa lata beztrudne i pogodne. Pracował jako robotnik drukarski, nie czuł jeszcze powołania do pracy literackiej, przyjaźnił się z kilku młodymi rzemieślnikami, łatwo znajdował dziewczęta skłonne do intymnej przyjaźni. Wśród tych przelotnych miłostek nie było ani jednej, która przywiązałaby go na dłużej. Wielką namiętność miał dopiero spotkać — w domu publicznym.

Zefira miała lat zaledwie piętnaście, ale należała już do najatrakcyjniejszych pensjonariuszek „zakładu”,

otoczonych specjalną troską matki. Nicolas zapalał do dziewczyny gwałtowną namiętnością, wyprosił u matki zgodę, by mógł zostać stałym „przyjacielem” Zefiry. Tacy oficjalni amis mogli towarzyszyć swym dziewczętom aż do zmierzchu; potem dzwonek oznajmiał początek pracy, trzeba było opuścić dom, pojawiali się klienci. Rétif poznał wtedy dokładnie organizację i funkcjonowanie paryskiego lupanaru i szamotał się w bezsilnej wściekłości, widząc Zefirę uwięzioną w tym środowisku. Dziewczyna była dlań bardzo dobra i otaczała go w miarę możliwości czułością i troskliwą opieką. Nicolas starał się wydobyć ją spod władzy matki; udało mu się w końcu wyzwolić ją z domu publicznego i umieścić jako szwaczkę w pewnym magazynie mód.

Nadeszły teraz dni, które Rétif wspominał po latach jako okres kulminacji swego osobistego szczęścia. Żyli w czwórce: Nicolas, Zefira, przyjaciel obojga drukarz Loiseau i jego dziewczyna Zoé. Bieda czasem doskwierała, ale radości było wiele; wieczorem po pracy bawili się w domu, w święta wędrowali za miasto. Szczęście to trwało jednak tylko piętnaście miesięcy. W kwietniu 1758 roku przyszło na świat dziecko Nicolasa i Zefiry, dziewczynka, którą nazwali Zefirettą. A w parę miesięcy później, w październiku, wątła i wyniszczona Zefira zmarła na zapalenie płuc, nie mając jeszcze skończonych siedemnastu lat.

Po raz pierwszy w życiu Rétifa romans przecięty został śmiercią kochanki. Nicolas pogrążony był w rozpacz. Szukał zapomnienia w towarzystwie koleżanki Zefiry, niejkiej Suadèle Guisland, ale związek ten trwał tylko miesiąc *— dziewczyna zmarła wskutek ukąszenia przez wściekłego psa.

Stanowczo los przestał sprzyjać Rétifowi. Był znowu samotny, dziecko — małą Zefirettę — oddał jeszcze za życia Zefiry na wychowanie jej matce, notorycznej stręczycielce, nie troszcząc się bynajmniej o los swojej pierwszej córki, podobnie jak nie zatroszczy się nigdy o los całego legionu swoich nieślubnych, później splodzonych dzieci. Z niefrasobliwością, przypominającą szczerłość Jana Jakuba, Rétif opowiadał potem w Panu Mikołaju o ponurym losie swoich nieślubnych córek, których listą zamieścił w Moim kalendarzu, stwierdzając ze spokojem, że „wszystkie one zostały nimfami w Palais-Royal”...

Wspomnienia Zefiry towarzyszyły Rétifowi do końca życia. W pamięci jego postaci tej dziewczyny stawała się coraz bardziej treścią swoistego mitu, zwłaszcza gdy w późniejszych latach Nicolas zaczął przejawiać uporczywy kompleks kazirodztwa: wyobrażał sobie, że wszystkie prawie kobiety, z którymi utrzymywał stosunki seksualne, wskutek takiego czy innego niesamowitego zbiegu okoliczności były... jego córkami. Nie wyłączał z tego domniemania nawet Zefiry, chociaż zmarła ona w wieku siedemnastu lat, gdy on miał lat 24...

Ale Rétif nie potrafił długo żyć samotnie. Saudela zmarła 10 listopada 1758 roku, w parę tygodni później Nicolas był już żonaty. Poznał przypadkowo młodą Angielkę Harriet Kircher, przebywającą we Francji z ciotką, Clary Macbell, rzekomo dla załatwiania spadku po matce-Francuzce (obie panie okazały się zresztą Osobami <iość podejranej profesji>), począł się do dziewczyny zalecać, oświadczył się jej — i ożenił, nie troszcząc się bynajmniej o zgodę ojca ani powiadomienie rodziny. Młodzi zamieszkali przy ulicy Pavée. Nicolas był znowu uszczęśliwiony. I znowu złośliwy los zawrócił go z ustalonej pozornie drogi życia: 4 kwietnia 1759 roku po powrocie do domu Rétif zastał mieszkanie puste i list od żony z wiadomością, że ma wszystkiego dosyć i go opuszcza.

Trzecia klęska osobista w ciągu połowy roku wstrząsnęła Rétifem. Pełen skruchy i żalu pośpieszył do Sacy, wyprosił u ojca przebaczenie, na rodzinnej fermie dochodził powoli do psychicznej równowagi. Potem próbował szczęścia i pracy w Dijon, na krótko wrócił do Paryża, gdzie po paru tygodniach zdążył się zaręczyć — z Sofronią Sellier, córką właścicielki domu, gdzie wynajął pokój. Jakiś zły los prześladował jednak kochanki Rétifa; Sofronią została rychło zamordowana w czasie napadu rabunkowego! Nic też dziwnego, że Nicolas z radością powitał list od Fourniera z Auxerre, w którym dawny pryncypał proponował mu pracę na stanowisku „prota” (majstra) w swojej drukarni; 10 listopada 1759 roku Rétif już był w Auxerre.

I tu wreszcie spotkał dziewczynę, która miała zostać a jego „normalną”, wieloletnią żoną — chociaż uznał ją potem za główne nieszczęście swego życia. Agnès Le- 1 bègue była córką miejscowego aptekarza, który służył właśnie w armii francuskiej nad Renem (toczyła się przecież wojna siedmioletnia), gdzie zresztą czekała go i wkrótce śmierć na polu bitwy. Małżeństwo z Harriet Kircher poszło w zapomnienie i nikt o ten drobny fakt z przeszłości

pana młodego bynajmniej się nie trosz- 1 czył; 22 kwietnia 1760 roku w kościele Saint-Loup w Auxerre miejscowy proboszcz pobłogosławił związek małżeński panny Agnieszki Lebégue i pana Mikołaja Rétifa de la Bretonne, z zawodu drukarza.

U Fourniera płacono niewiele, Rétif zarabiał jako „prot” 45 sous dziennie, a więc mniej niż w początkach swej pracy zawodowej w Paryżu. Na osobne mieszkanie nie starczało, młode małżeństwo musiało więc zamieszkać u matki Agnès. Stosunki rodzinne nie układały się dobrze, Nicolas nie cieszył się sympatią teściowej. Burza wybuchła w momencie, gdy pani Lebégue znalazła intymny pamiętnik Rétifa, zawierający szczegóły wielu jego miłości z dziewczętami z Auxerre, a uniesiona gniewem i przerażeniem wrzuciła rękopis w ogień, ku rozpacz i wściekłości autora. Odtąd pobyt pod wspólnym dachem stał się niemożliwy. Agnès wyjechała do Paryża, by starać się o pracę dla męża. Dzięki jej zabiegom Rétif dostał zajęcie w drukarni André Knapena, wyspecjalizowanej w drukach ulotnych, afiszach i broszurkach. Przenieśli się więc do Paryża i zamieszkali przy ulicy Saint-Jacques.

Jeszcze przed wyjazdem do stolicy, 10 marca 1761 roku, Agnès urodziła córkę, najstarsze dziecko Rétifa z prawego łoża, którą ochrzczono imieniem matki. Dziewczynka została u dziadków w Sacy, Nicolas nie był bowiem skłonny obciążać się niemowlęciem w chwili powrotu do Paryża.

Mimo to powrót do Paryża nie był bynajmniej powrotem do szczęśliwego okresu Zefiry; bieda dokuczwała jak dawniej, ale nie łagodziła już jej pogoda ducha tamtej dziewczyny.

Agnès — kobieta wykształcona, inteligentna, ambitna, przerastająca ówczesnie męża swym horyzontem umysłowym — starała się żyć na odpowiednim poziomie, utrzymywać kontakty towarzyskie, bywać w teatrze, czytać... Co więcej, zdradzała ambicje literackie, a jej pierwsze próby były wcale udane. Nicolas irytował się coraz bardziej, jego kompleks niższości — obiektywnie jakżeż nie usprawiedliwiony, ale subiektywnie boleśnie odczuwany — zrywał powoli więź, łączącą go dawniej z żoną. Rétif nadrabiał gorliwie braki w swym wykształceniu, czytał zachłannie; w ukryciu pisał nową wersję swojego pamiętnika, załączek dzieła, które powstanie w przyszłości — Pana Mikołaja.

Sytuacja materialna Rétifów uległa poprawie dopiero w lipcu 1764 roku, gdy Nicolas zaangażowany został jako „prot” do drukarni Quillau. Stabilizacja zawodowa i znacznie lepsze zarobki Rétifa nie wpłynęły jednak na zmianę jego stosunku do żony. Agnès staje się dlań ciężarem, czuje się nieszczęśliwy, przeklina los, który go złączył z tą kobietą (hipochondryczne usposobienie skłaniało zawsze Rétifa do uważania się za ofiarę losu). Starał się więc wyzwolić z małżeńskiej opresji, prowadził znowu życie swobodne, włóczył się z dziewczynami rozmaitej konduity, nie dbał już o dom ani o los dziecka. Nagle wśród swoich przypadkowych znajomości spotkał kobietę, która — jak wyznaje — miała zmienić całe jego życie i pchnąć go na drogę, którą doszedł do sławy wielkiego pisarza.

„Róża Bourgeois uczyniła mnie autorem — napisał później — podobnie jak Jeannette Rousseau spowodowała, że zacząłem się uczyć”⁵.

Była córką bogatego kupca bławatnego i dziewczyną ze sfery zupełnie niedostępnej dla robotnika drukarskiego. Zobaczył ją w październiku 1764 roku i zapłonął namiętnością, która popychała go do czynów najnie- rozważniejszych. Za wszelką cenę usiłował ją poznać, pisał do niej płomienne listy — na próżno! W ostatecznej depresji Rétif — mężczyzna 30-letni, żonaty — wkradł się w nocy do domu ukochanej, gdzie został schwytyany przez służbę, sponiewierany, skompromitowany. Upokorzenie odczuł boleśnie; był zbyt biedny, by zwrócić na siebie uwagę córki bogatego kupca, był e Sade

nieznanym rzemieślnikiem, jakże więc mógł ubiegać się

o względy panny z mieszczkańskiego salonu? Pozostawała mu tylko jedna droga, jeden sposób zwrócenia na siebie uwagi panny Bourgeois: musi zostać pisarzem, sławnym

pisarzem — cenionym, wielbionym, przyjmowanym w najlepszych salonach, nie tylko mieszczaństwa, ale i arystokracji!

Dziwnymi drogami chadza literackie powołanie]

1 z rozmaitych powodów chwytają ludzie za pióro! ^

Pierwszą swoją powieść pisał Rétif prawie dwa lata;

sprzedał ją właścicielce księgarni pani Duchesne po 15 liwrów za arkusz, a że dzieło to liczyło 51 arkuszy (ówczesnych) druku, otrzymał więc niezbyt imponujące honorarium 765 liwrów; gdyby przykładał się do pracy w warsztacie drukarskim, zarobiłby tę sumę w osiem miesięcy. Nicolas starał się do ostatniej chwili przed drukiem doskonalić swoje dzieło; oddał je nawet do I recenzji pisarzowi o ustalonej już sławie, Nougaretowi. Uprosił panią Duchesne, by książkę tę drukowano w za- i kładzie Quillau i osobiście składał tekst (posługując się „ulepszoną” ortografią swojego wynalazku, przez co . wbrew swym intencjom utrudnił znacznie lekturę).

Wreszcie w listopadzie 1767 roku nadeszła przełomowa chwila w życiu Rétif a ûè la Bretonne: pierwsza jego powieść, czterotomowa Cnotliwa rodzina (La Famille vertueuse) ukazała się w sprzedaży.

Na razie nic nie zapowiadało większego sukcesu, ale Rétif z podziwu godną odwagą i wiarą w siebie postanowił skończyć z pracą w drukarni i żyć wyłącznie I z twórczości literackiej. W tej sytuacji utrzymanie rodziny musiało siłą rzeczy spaść na barki Agnès; Rétifowie mieli już trzy córki (oprócz sprowadzonej z Sacy dziewczynki Nicolas zdołał splodzić w Paryżu — mimo ciągłych nieporozumień i sporów z żoną — jeszcze dwoje dzieci w ciągu paru lat). Nieszczęsna pani Rétif, z wielką wyrozumiałością tolerująca nieustanne erotyczne przygody i wybryki męża, zaczęła rozglądać się za władnym źródłem utrzymania. Poznała niejakiego pana Moulins, kupca tkanin wełnianych, który dopomógł jej w założeniu małego sklepu. Nicolas, uniesiony zazdrością i dopatrujący się w panu Moulins (słusznie zresztą) nie tylko współnika, ale i kochanka żony, wy prowadził się z domu i ostatecznie odsunął się od Agnès, unosząc w sercu poczucie krzywdy, żal i płomienną nienawiść do kobiety, która — jak twierdził — była przyczyną wszystkich jego nieszczęść.

Odtąd poświęcił się całkowicie literaturze. Pisał nieustannie, zaciekle, z namiętym zaangażowaniem w proces tworzenia. W książkach jego powstawała wspaniała panorama życia i obyczajów wszystkich warstw stanu trzeciego Francji w drugiej połowie XVIII wieku. Przede wszystkim interesowała go kobieta — mieszcanka, dziewczyna z ludu, córka czy żona rzemieślnika lub kupca, tancerka z opery, prostytutka; pisał więc głównie o kobietach i konstruował na kanwie własnych wspomnień lub zasłyszanych autentycznych historii obyczajowych opowieści będące znakomitymi studiami psychologicznymi i socjologicznymi zarazem. Szczerze i bez przemilczeń ukazywał ówczesne obyczaje erotyczne, a jednocześnie ze znaczną dociekliwością psychologiczną kreślił ewolucję świadomości swoich bohaterów, prezentując zazwyczaj triumf libertynizmu nad cnotą — i oczywiście karę, jaka nieuchronnie spotkać musiała każdego niecnego libertyna. Olbrzymie bogactwo autentycznego materiału obyczajowego czyni z dzieł Rétif a de la Bretonne — niezależnie od ich wartości literackiej — bezcenne źródło historyczne. A autentyzm posunięty jest u Rétifa do granic ostatecznych — niejedna jego opowieść przedstawia rzeczywiste wypadki z użyciem rzeczywistych nazwisk bohaterów, wskutek czego nierozważny pisarz często popadał w zatargi i bywał nawet ścigany sądowo. Rétif nie potrafił jednak pisać inaczej; nie umiał zmyślać wątku czy intrygi, był tylko obserwatorem, genialnym obserwatorem, pakującym pośpiesznie w małe tomiki to wszystko, co dokoła siebie widział. Pisał śpiesznie i nieporządnie, toteż wartość stylistyczna jego dzieł jest bardzo rozmaita — „gdzie Rétif jest dobry — powiedział ktoś — tam przewyższa najlepszych pisarzy swojej epoki; gdzie jest lichy, tam jest poniżej wszystkiego”⁶. Pamiętać jednak trzeba, iż znacznej części swoich dzieł Rétif w ogóle nie na-

pisał; on je po prostu złożył wprost z kaszty drukarskiej, stojąc z wierszownikiem w ręku i przekształ

cając śpiesznie swe myśli w drukarski skład — jedyny to chyba w historii literatury wypadek powstawania dzieła pisarskiego bez najważniejszej fazy — autorskiego rękopisu...

Rétif pisał dużo, może nawet za dużo, nie wszędzie zdołał się utrzymać na odpowiednim poziomie, znaczna część jego utworów z powodu swej objętości utrudniać będzie zawsze reedycję. Dzieła jego obejmują 47 tytułów w 194 tomach — znajdują się w tej liczbie twórcze pomyłki i żenujące słabizny — ale przynajmniej połowa jest po dziś dzień żywa i aktualna nie tylko dla historyka literatury lub badacza obyczajów wieku XVIII.

Latem 1767 roku — zanim jeszcze Cnotliwa rodzina znalazła się w sprzedaży — Nicolas wyjechał do Sacy, aby na rodzinnej fermie pracować nad dalszymi książkami. Wtedy właśnie powstał pierwszy zarys Wieśniaka zdeprawowanego. Wrócił do Paryża wczesną jesienią, w ciągu zimy wykończył kilka książek, między innymi *Confidence nécessaire* i *L'École de la jeunesse*. Niecierpliwie czekał na sukces, wielki sukces, który miał mu przynieść sławę pisarza. Doczekał się rychło. Książką, która stała się tym sukcesem, była *StópTca Fanchetty*.

Stopka Fanchetty, czyli różowy trzewiczek (*Le Pied de Fanchette ou le soulier couleur de rose*, 1768) oparta była na motywie fetyszystycznym, który Rétif od dawna zamierzał wykorzystać w jednej ze swych książek. Napisał ten utwór w błyskawicznym tempie, podekscytowany podobno spotkaniem pięknej nieznanym o wyjątkowo zgrabnych stopach. Z powieścią było trochę kłopotów, cenzorzy przyjęli nieprzychylnie książkę o zbyt śmiałej rzekomo treści (choć Rétif starał się unikać wszelkich zbyt drastycznych opisów czy sytuacji). Zlitował się jednak nad autorem Crébillon fils i dopuścił dzieło do druku. Stopka Fanchetty przyjęta została przez krytykę bardzo życzliwie i rozeszła się szybko; Rétif stał się pisarzem znanym i uznanym, mógł odtąd śmiało liczyć na utrzymanie z pracy literackiej.

Ale książką, która ugruntowała sławę pisarza i ściągnęła nań uwagę literackiej opinii publicznej, był dopiero *Pornograf*, czyli porrwysiy pewnego przyzwoitego człowieka na temat projektu reglamentacji prostytucji, dzieło, które po dwuletniej walce Rétifa z cenzurą ujrzało wreszcie światło księgarskich witryn w lipcu 1769 roku.

Utwór ten zdumiał i zaskoczył zarówno opinię publiczną, jak i krytykę literacką. Nie bardzo rozumiano, czy książka ta jest zawołowaną drwiną i płodem wyuzdanej imagacji libertyna, który jakimś cudem zdołał zmylić cenzurę, czy też poważną propozycją filozofa, rozważającego sposoby zapobieżenia społecznemu złu. Przed księgarnią Delalain'a, gdzie sprzedawano *Pornografa*, zbierały się tłumy, księgarz nie mógł nastarczyć egzemplarzy, spiesznie tłoczonych ze składu, który własnoręcznie przygotował autor. Jeden z dziennikarzy utrzymywał: „Książka ta, która nie jest przecież dziełem rozpustnika, młodzieniaszka, szaleńca, głupca czy cynika, dowodzi, do jakiego stopnia umysłowego obłędu doprowadził nas rzekomy duch filozoficzny, skoro autor poważny, uczony, rozsądny, uczciwy, i głęboki [grave, érudit, sage, honnête et profond] jawnie zajmuje się materią, którą w dawnych czasach wstydzono by się nawet zauważać...”⁷

Rétif był zapewne równie uradowany jak zdumiony faktem, że pięć dotychczas wydanych książek (*Pornograf* był szóstą) zdołało zapewnić mu sławę autora „poważnego, uczonego, rozsądnego, uczciwego i głębokiego”. Ale niewątpliwie irytowała go sensacyjna wrzawa wokół tej książki połączona z brakiem poważnego zainteresowania jej treścią. Oto' w najlepszej wierze skoncipował projekt naprawy zła, które na każdym kroku spotykał w Paryżu, przekonany był, że znalazł sposób na oszczędzenie cierpień nieszczęsnym ofiarom libertynizmu i ugruntowanie zdrowia publicznego, chciał przyczynić się do reformy obyczajów — a świat literacki uznawał to za piekielny żart czy niegodne poważnego pisarza poníženie pióra. A czyż godziło się drwiną lub pogardą zbywać los tych anielskich (a męskiemu sercu Rétifa tak bliskich) istot, które co dzień w Paryżu i całej Francji padały ofiarą podstępnych zakusów zbrodniczych libertynów?

Zanim jednak zapoznamy się dokładniej z pomysłami pana Mikołaja na temat reformy prostytucji, przyjrzyjmy się na razie funkcjonowaniu wielkiego tawerniaka miłości w XVIII-wiecznym Paryżu, które miały być dlań do końca życia nie wyczerpaną „kopalnią” matów. „te~

III. PARYSKIE TARGOWISKO MIŁOŚCI W XVIII WIEKU

Impulsem, który pobudził Rétifa do przedstawienia opinii publicznej swojego projektu reformy prostytucji, był los Zefiry. Obserwując jej życie w tawernie, a potem dyskutując podobno wiele o sytuacji dziewczyn „upadłych” z matką Zefiry, stręczycielką z wieloletnim doświadczeniem, zdobył Nicolas spory zasób wiedzy o problemach płatnej miłości. Piętnastoletnia dziewczyna w domu publicznym — wydać się nam to może zjawiskiem szokującym, wszelako ludzi XVIII wieku jej bynajmniej nie dziwił; inicjacja seksualna dziewcząt odbywała się wtedy z reguły dużo wcześniej niż w czasach nam współczesnych. Skądinąd pamiętać należy, iż dom publiczny nie był ówczesnie najbardziej charakterystycznym zjawiskiem w sferze handlu „sexem”. Prostytucja XVIII wieku różniła się znacznie od analogicznego zjawiska w wieku XIX, gdy powszechna reglamentacja nierządu, w większości zamknięte domy publiczne, a wreszcie obłudna moralność mieszczańska, bezwzględnie separująca kobietę „występną i upadłą” od środowiska „moralnego”, wydzieliły wyraźnie dla rozmaitych form prostytucji świat osobny i zamknięty, którego porzucenie było bardzo trudne. Wiek XVIII wytworzył w tym zakresie — fakt paradoksalny — zjawiska znacznie podobniejsze do występujących współcześnie, w drugiej połowie XX stulecia. Powszechna i obejmująca wszystkie warstwy społeczne swoboda obyczajowa wpływała na łagodną ocenę nawet płatnej rozwiązłości. Różnica między kobietą „przywoitą” a „upadłą” była często trudna do określenia — granicę wyznaczał zazwyczaj status społeczno-majątkowy kobiety; istniały liczne formy przejściowe od libertynizmu i „amatorskiej” rozwiązłości do płatnego świadczenia usług seksualnych. Moralisci boleli nad losem ofiar libertynizmu, strącanych w piekło prostytucji, chrześcijańscy kaznodzieje ukazywali zarówno gorszycielom jak ich ofiarom perspektywę wiecznego potępienia — ale społeczne poczucie moralności (ugruntowane przede wszystkim w sferach, gdzie upowszechniony był światopogląd libertyński) nie negowało bynajmniej potrzeby i sensu istnienia specyficznej kobiecej profesji, mającej na celu zaspokajanie zmysłowych potrzeb mężczyzn ze sfer uprzywilejowanych. Pogląd ten przyjęty był również w niższych warstwach stanu trzeciego, gdzie kariera utrzymanki czy kurtyzany uważana była często za wybitny awans społeczny dla młodej dziewczyny. Było to rozumowanie proste i konsekwentne. Potrzeby zmysłów, potrzeby najbardziej nawet niezwykle i wyrafinowane, były w świadomości ludzi tej epoki zjawiskiem całkowicie pozytywnym. W społeczeństwie stanowym było również oczywiste, że niższe warstwy społeczne powołane są z natury rzeczy do zaspokajania potrzeb warstw wyższych. Skoro więc istniało społeczne zapotrzebowanie na usługi seksualne, zaspokojenie tego popytu było konieczne i naturalne. Dziewczyna ze środowiska plebejskiego z natury rzeczy — jak sądzono — przeznaczona była do zabawy mężczyzny z wyższych sfer społecznych; szło tylko o rekompensatę, o wynagrodzenie za jej starania. Przedwczesne obcowanie seksualne z mężczyzną ze swojej sfery ściągało czasem na dziewczynę społeczne potępienie; ale taki sam kontakt z mężczyzną ze sfery wyższej, wynagrodzony sówitą zapłatą, hojnym prezentem lub stałą pozycją utrzymanki, był już godziwym zajęciem albo swojego rodzaju karierą. Ubolewano co prawda nad „grzechem i potępieniem duszy” takiej ofiary libertynizmu, ale w środowiskach wielkomiejskich, zwłaszcza wśród grup społecznych czerpiących swe dochody głównie z obsługiwania luksusowych potrzeb warstw uprzywilejowanych, tolerancja w tym zakresie była znaczna. Dziewczęta wyrastały w przekonaniu, że uroda i wdzięk fizyczny są kapitałem, który winien procentować, który można drogo sprzedać — trzeba tylko umieć to zrobić, no i spieszyć się,

by z wiekiem nie spadł w cenie.

Raporty inspektora Marais ukazują te zjawiska społeczno-obyczajowe z takim bogactwem drastycznych szczegółów, że trudno o lepszą weryfikację obrazu obyczajów, przedstawionego w dziełach Rétifa de la Bretonne. Skorzystamy więc z tego źródła dla ukazania w skrócie kilku typowych historii dziewcząt ze stanu trzeciego, które co roku tysiącami zasilają paryski rynek erotyczny. W latach 1759—1761 inspektor Marais zanotował w swych raportach 45 życiorysów dziewczyn i młodych kobiet, które z jakichkolwiek względów dostały się pod obserwację policji, a prowadziły swobodny, libertyński tryb życia⁸. Były wśród nich dziewczęta rozmaitego zawodu i konduity — od „przyzwoitych” mieszczanek, poprzez zawodowe tancerki, utrzymanki, aż do kurtyzan i prostytutek zaludniających ogrody Palais Royal. Spośród tych 45 historii 29 obfituje w szczegóły biograficzne pozwalające głębiej wniknąć w obyczajowość epoki. Marais z podziwu godną dociekliwością socjologiczną starał się ustalić nie tylko nazwisko, wiek i sytuację społeczną przesłuchiwanej, ale również pochodzenie społeczne (*condition de ses parents*), wiek utraty dziewictwa i rozpoczęcia życia seksualnego (*débauchée à l'âge...*), wreszcie zawód i kondycję socjalną pierwszego partnera seksualnego dziewczyny. Dzięki temu dostarczył nam szczegółów obyczajowych o znacznej wartości.

Zadziwia nas przede wszystkim zdumiewająco wczesny początek czynnego życia seksualnego u dziewcząt ze stanu trzeciego: spośród 29 młodych kobiet, obserwowanych przez inspektora Marais, siedem odbyło pierwsze stosunki seksualne w wieku 15 lat, sześć — mając 16 lat, pięć — 14 lat, trzy — lat 18, ale były również trzy, które utrzymywały kontakty seksualne mając zaledwie lat 13, dwie dziewczyny — mając lat 11 (!), wreszcie Marais zanotował po jednej historii dziewcząt, które utraciły dziewictwo w wieku 12, 17 i 19 lat. Ciekawe są również okoliczności inicjacji seksualnej dziewcząt. Warto przytoczyć przykłady.

Françoise Brar, córka chirurga w zamku królewskim w Vernet — pierwszym jej kochankiem był ksiądz Meusnier, kanonik katedry z Le Mans, który przysposobił ją do praktyk libertyńskich, gdy miała lat piętnaście;

Marie Viot, córka szewca z Paryża — w wieku 14 lat dostała się w ręce urzędnika administracji miejskiej;

Marie-Anne Chevillon, córka młynarza z Brie-Comte-Robert — gdy miała 13 lat skusił ją do kontaktów seksualnych pewien bogaty kupiec win z okolicy;

Marie Boujard, córka mieszczanek paryskiej nie określonej bliżej profesji — w wieku 14 lat została oddana przez matkę zawodowej stręczycielce, która sprzedała ją markizowi de Baudole, podobno wielkiemu amatorowi od dziewcząt;

Susanne Delille, córka rzeźnika z Metz — gdy miała lat 16 oddana została przez ojca księciu de Montmorency;

Marie-Catherine Guérineau, której ojciec nie żył od lat, a matka zamężna była po raz drugi z pewnym „człowiekiem interesów” — straciła dziewictwo w wieku 15 lat z metrem tańca, który miał uczyć ją elegancji i dobrych manier;

Toinette Vallée, córka mistrza sztukaterii w służbie króla Stanisława Leszczyńskiego w Nancy — w wieku

16 lat oddała się sama księciu de Chimay za 10 ludwików;

Madeleine Quéru, córka siodlarza — mając jedenaście (sic!) lat uciekła i zamieszkała z pewnym oficerem gwardii szwajcarskiej;

Niejaka Sabatiny, nieślubna córka pewnego oficera irlandzkiego w służbie francuskiej i markietanki zamężnej za sierżantem gwardii szwajcarskiej — w wieku 13 lat oddana została „do dyspozycji” pułkownikowi, dowódcy szwajcarskiego regimentu;

Marie Crousol, córka dyrektora manufaktury tabacznicy w Marsylii — po śmierci ojca, gdy miała 15 lat, znana stręczycielka paryska madame La Varenne wymogła na matce, by za

25 ludwików oddała ją w ręce hrabiego de la Tour d'Auvergne;

Rose Pernay, córka perukarza z Dijon — uwiedziona została w wieku 14 lat przez pewnego adwokata z parlamentu Bourgoigne;

Elisabeth Normand, córka paryskiego murarza — mając lat 13 została oddana na edukację libertyńską
pewnemu intendentowi w służbie pani de Pompadour, który za jej dziewictwo dał matce 12 ludwików...

Przykłady takie można by długo jeszcze cytować. W taki sposób mnożyły się szeregi kapłanek Afrodyty, które dzięki urodzie zdobywały znacznie wyższy od przeciętnego standard życiowy. Rzesza ta ulegała nieustannej polaryzacji: jedne dziewczęta robiły swego rodzaju karierę, stabilizując się w roli utrzymanek bogatych mieszczan czy arystokratów, niektóre wstępowały na scenę, zyskując dzięki temu nowe możliwości eksploatacji swoich wdzięków — inne natomiast staczały się powoli w dół, zaludniając poddasza paryskich kamienic, włócząc się w ogrodach Palais Royal w poszukiwaniu doraźnych partnerów, rezygnując wreszcie ze swobody na rzecz smutnej stabilizacji w domu publicznym, gdzie zresztą spotykały się kobiety o bujnej przeszłości z dziewczętami ledwo co zwerbowanymi przez stręczycielki lub po prostu kupionymi od rodziców.

Albowiem rodzice nie objawiali zbyt wielkich skrupułów, gdy szło o pozbycie się z domu córki, którą zainteresował się ktoś jako obiektem seksualnym. Inspektor Marais notował na przykład:

„13 lipca 1764. Pan markiz de Gersay, zamieszkały w małym hoteliku „Pod księciem Kondeuszem”, wziął właśnie do siebie młodą dziewczynkę nazwiskiem Je- anne Testar, lat 13, urodzoną w Paryżu. Matka jej i ojciec żyją i są rzemieślnikami. Będzie już z rok, jak dziewczyna ta została zdeprawowana przez niejakiego Peyre'a, chłopaka z warsztatów ciesielskich w Gros- -Caillou. Jest dość duża na swój wiek i zapowiada się na równie ładną jak jej dwie siostry, które są już w świecie prawie od trzech lat”. Mama Testar zgodziła się chętnie, by pan markiz wziął sobie dziewczynkę „na wychowanie”, co jej nie przeszkodziło jednak po pewnym czasie „iść na ulicę des Cordeliers, gdzie w umeblowanych pokojach markiz de Gersay umieścił jej najmłodszą córkę; podniosła tam straszliwą wrzawę, wykrzykując o* swojej cnocie, oczywiście po to tylko — jak sądził pan Marais — aby wyciągnąć trochę pieniędzy. Markiz uwolnił się od niej dając jej parę talarów i obiecując więcej za jakiś czas. Co do dziewczyny to rozpoczął od wsadzenia jej do kąpieli, aby ją domyć i obejrzyć; kazał jej kupić przyzwoitą •wyprawę i zaangażował dla niej nauczyciela czytania i pisania oraz metra śpiewu i tańca...”⁹ Dla dziewczynki był to rzeczywiście swojego rodzaju awans społeczny — w rodzinnym domu nie otrzymałaby nigdy takiego wykształcenia. Wyspecjalizowana w szantażu madame Testar była charakterystycznym zjawiskiem epoki. Wychodząc z domu w świat dziewczęta musiały przecież przynieść rodzicom rekompensatę za trudy wychowawcze i utrzymanie przez kilkanaście lat; na rynku ceny były ustalone — za kilkunastolatkę w stanie dziewictwa rodzice- plebejusze otrzymywali zazwyczaj od bogatego libertyna dziesięć ludwików, chociaż zdarzały się i znacznie wyższe wy-, nagrodzenia — gdy dziewczyna była wybitnie urodziwa lub doskonale fizycznie rozwinięta. Dochodziła oczywiście do tego miesięczna pensja, płacona rodzicom lub samej dziewczynie. Czasami jednak rodzice pozbywali się córki za grosze:

„7 listopada 1760. Panna Jeanne-Louise Ferrière, lat 18, urodzona w Paryżu, wysoka, dobrze zbudowana, blondynka o bardzo ładnej figurze, jest córką pewnego szewca z ulicy des Blancs-Manteaux. Przed rokiem została wciągnięta w rozpustę przez niejakiego pana de Courvoisier, oficera regimentu saskiego, a to za wiedzą swojego ojca, pijaka, który otrzymał za nią pół ludwika, którą to cenę ów oficer zapłacił za prawo do jej pierwszych względów...”

Panna Ferrière zrobiła zresztą swoistą karierę: już po roku była utrzymanką bogatego

bankiera, pana de La Bastide z ulicy de la Monnaie, który płacił jej 150 liwów miesięcznie¹⁰.

W świecie, gdzie uroda, dziewictwo, temperament, specjalne predyspozycje fizyczne czy wyrafinowane umiejętności seksualne miały swoją rynkową cenę, rozkwitało oczywiście rzemiosło stręczycielskie. Pośrednictwo w oferowaniu zarówno młodych dziewcząt, jak dojrzałych kobiet zamożnym libertynom było zajęciem arcy lukratywnym. Obrót stręczycielką (la maque- relie, jak ówczesznie mówiono) 'była w Paryżu swojego rodzaju agencją i biurem pośrednictwa na wielką skalę; docierała wszędzie, tysiące osób z bardzo różnych sfer

społecznych korzystało z jej usług. Pośredniczenie w zawieraniu znajomości, dostarczanie libertynom kobiet skłonnych do poddawania się wyrafinowanym i perwersyjnym praktykom, utrzymywanie domów schadzek i zwykłych lupanarów — wszystkie te dziedziny działalności były istną kopalnią złota. Stręczy- cielka — postać, która w twórczości Rétifa de la Bretonne zajmie miejsce godne swej rzeczywistej funkcji społecznej — kręciła się po całym mieście i wiedziała

o wszystkich kłopotach czy nieszczęściach; zjawiała się zawsze tam, gdzie okoliczności czy lekkomyślność skłaniały rodziców do łatwego pozbycia się córki z domu.

Do najbardziej osławionych stręczycielek należała w latach 1759—1761 madame La Varenne. Oto kilka przykładów jej działalności, zaczerpniętych z raportów inspektora Marais:

„1 marca 1760. Panna Cassout, lat 15, urodzona w Paryżu, jest córką chirurga i akuszerki; ojciec jej zmarł przed paru laty, a matka wyszła ponownie za mąż za sierżanta gwardii, który również zmarł niedawno i pozostawił je obie w witelkich kłopotach, obciążone długami i pretensjami wierzycieli, do tego stopnia, że w początkach zeszłego miesiąca zaczęto już licytować im meble. W tych wszystkich nieszczęściach dziewczyna zdecydowała się poszukać La Varenne, o której słyszała, iż zna wielu wspaniałomyślnych panów [...] La Varenne, jak zawsze uczynna i zainteresowana, obiecała jej rozejrzeć się i w rzeczy samej dwudziestego ubiegłego miesiąca rozmawiała o tej pannie z kawalerem Du Bec de Lièvre, Bretończykiem z pochodzenia, który przed trzema czy czterema laty wrócił z Indii, a ostatnio wystąpił z armii i mieszka przy ulicy Dauphine, w hotelu Londyńskim; mówią o nim, że jest bardzo bogaty. Opowiadała mu cuda o tej dziewczynie; rzeczywiście jest ona duża na swój wiek, dobrze zbudowana, brunetka o ładniej figurce, miłym i uduchowionym spojrzeniu, dużej powściągliwości w manierach; w ogóle zdaje się być dobrze wychowana. Ten opis do tego stopnia podniecił pana Du Bec de Lièvre, iż zażądał od La Varenne, aby mu ją natychmiast przyprowadziła. La Varenne pobiegła na poszukiwania, dziewczyna przysłała, a kawaler po godzinie rozmowy zapalił się do niej szaleńczą namiętnością. Zaproponował jej dwanaście ludwików na miesiąc, nie licząc prezentów, no i został przyjęty. La Varenne otrzymała sześć ludwików za pośrednictwo [...] Kawaler winien być bardzo zadowolony, że ma tak uroczą kochankę', która obdarzyła go swymi pierwszymi łaskami...”¹¹

„7 marca 1760. Pani Godeau, której córka jest figu- rantką w balecie Opery Komicznej, upraszała w końcu stycznia La Varenne z ulicy de Feydeau, aby wyświadczyła jej wielką przysługę i wyszukała protektora dla tej młodej osoby [...] Panienska ta ma lat piętnaście, jest wysoka, dobrze zbudowana, o nieco smagłej cerze, czarnych włosach, żywym spojrzeniu- i bardzo ładnych zębach...” La Varenne uwinęła się szybko i przekazała dziewczynę w ręce oficera dragonów, markiza de Chail- leux. „Markiz znalazł ją całkiem w swoim guście, tym bardziej że matka zapewniła go, iż dziewczyna jest jeszcze dziewicą, co natychmiast skłoniło pana de Chailleux do zaproponowania dwunastu ludwików miesięcznie, nie- licząc prezentów”. La Varenne otrzymała tym razem za pośrednictwo 4 ludwika¹².

La Varenne była ówczesznie postacią bardzo popularną. Przewyższała ją wszelako rozgłosem i znaczeniem na paryskim rynku erotycznym osławiona madame Gourdan, stręczycielka o rozgłosie sięgającym poza Paryż i nawet Francję. Działalność jej obejmowała wszystkie

formy oferowania i organizowania usług seksualnych; utrzymywała między innymi wielkie lupanary przy ulicy Comtesse d'Artois i przy ulicy des deux Portes-Saint-Sauveur. Aczkolwiek zakłady te nie uchodziły za wytworne i... bezpieczne, były jednak odwiedzane przez licznych cudzoziemców, zwłaszcza Anglików i Polaków. Madame Gourdan — pisała na krótko przed końcem jej działalności dziennikarz znany z wywlekania na światło dzienne drastycznych afer obyczajowych (Pidansat) — „okazała się spadkobierczynią pań Florence i Pâris, które zyskały nieśmiertelną sławę w służbie Cytery. Nie osiągnąwszy może równej im godności, wyróżniła się jednak znakomicie w wykonywaniu funkcji tak niezbędnych w stolicy. Wykonuje je nadal, a zawsze ku zadowoleniu amatorów. Cieszy się zaufaniem ministrów, prałatów, urzędników wyższego stopnia, wielkich finansistów, najbardziej wybrednych i zużytych libertynów. Niewielu jest możnych, którzy nie ubiegaliby się o utrzymanie z jej ręki, tak jest sławna jako mistrzyni kształcenia w sztuce rozkoszy. Zgarnia bez przerwy — można powiedzieć — kwiat gryzetek Paryża; nadaje im ogładę i styl, kształci, wypycha w świat i pomaga do sukcesów w proporcji do ich talentów i wdzięków”¹³. Pani Gourdan nie ograniczała się zresztą do oferowania usług kobiet sprostytuowanych; pośredniczyła chętnie we wszystkich intrygach zmierzających do wciągnięcia w liberytyńską pułapkę kobiet o przyzwoitej reputacji, skoro tylko znalazł się amator ich cnoty. Opowiadano na przykład, że niejaki Dongś, generalny dzierżawca podatków, „stary i bardzo bogaty libertyn”, poznał pewną damę, przybyłą wraz z mężem z prowincji do Paryża, zapłonął żądzą, a nie umiejąc nakłonić owej pani do powolności na zasadzie swobodnej umowy towarzyskiej, obiecał Gourdan sowite wynagrodzenie, jeżeli tylko dopomoże mu ją osiąść. Gourdan zakrzętała się prędko, wkradła się w łaski damy jako rzekoma sprzedawczyni toalet i klejnotów, poznała jej niezwykle upodobanie do pięknej biżuterii, a jednocześnie dowiedziała się o skąpstwie męża i chronicznym braku pieniędzy w szkatułce pięknej pani. Dongś nabył więc śpiesznie wspaniałą garnitur klejnotów i posłał go Gourdan celem zaferowania obiektowi swoich pożądań jako niezwyklej okazji, skarbu, który za byle jaką cenę można zdobyć na własność. Gdy dama zachwycona blaskiem diamentów dopytywała się o ich cenę, do apartamentu pani Gourdan wszedł Dongś. „Oto właściciel tych klejnotów; na pewno świetnie się dogadacie; zostawiam was samych”. Z tymi słowy Gourdan wysłiznęła się za drzwi, przekręcając klucz w zamku. Co było potem, ciekawi plotkarze paryscy nie potrafili ustalić. Pani utrzymywała, że stawiała rozróżnionemu bogaczowi zdecydowany opór i nie dała się skusić pięknem klejnotów. Wszelako zasób jej biżuterii bardzo się podobno w tym czasie powiększył, a i Gourdan z zadowoleniem potrząsała kiesą “.

Madame Gourdan była pierwowzorem wielu literackich portretów stręczycielek w realistycznej powieści obyczajowej drugiej połowy XVIII wieku. Między innymi Rétif uwiecznił ją w kilku swoich dziełach pod różnymi imionami, demaskując jej różnorodne sposoby wabienia dziewcząt i skłaniania ich do powolności wobec niegodziwych usiłowań libertynów. W jednej z mniej znanych, ale ciekawych powieści Rétifa pt. Niewinność w niebezpieczeństwie¹⁵ pani Gourdan występuje pod imieniem La Courton, zacnej matki utrzymującej podejrzany pensjonat w centrum Paryża. Bohaterka powieści, 14-letnia Lucille de Fumeterre, po ucieczce z domu wobec groźby małżeństwa ze zniechęconym, ale popieranym przez ojca kandydatem do jej ręki, błądzi po ulicach Paryża — zaczepiana przez natrętnych mężczyzn, przerażona, zawstydzona. W ogrodach Palais-Royal obserwuje ją jakaś wytworna dama, wszczyna z nią rozmowę, ofiaruje pomoc i schronienie. Naiwna Lucille udaje się ze swą nową opiekunką — czułą matką Courton — do pobliskiego domu, gdzie ze zdumieniem obserwuje przepych, bogactwo zewnętrznego wystroju, atmosferę zabawy i pozornie bez troskie życie domowniczek pani Courton. Nowa opiekunka czuwa pilnie, aby Lucille nie spostrzegła niczego, co mogłoby ją uświadomić o rzeczywistym charakterze domu, w którym się znalazła; dziewczyna jest piękna i doskonale wychowana, będzie więc świetnym towarem do zaferowania bogatemu

libertynowi, nie można jej zbrukać kontaktem z pospolitą rozpustą. Lucille spędza więc czas na ćwiczeniach w tańcu i śpiewie, maman okazuje jej wiele serdeczności, zatrzymuje chętnie w gościnie, zrećźnie podsycy strach przed opuszczeniem domu i dostaniem się w ręce ojca szukającego dziewczyny po całym Paryżu. A jednocześnie madame Courton pracuje systematycznie nad urobieniem psychiki Lucille i przygotowaniem jej do przyjęcia kochanka. Opisuje jej więc, „jakim to szczęściem jest być kochaną, żyć w dobrobycie, wśród zabaw i rozkoszy wszelkiego rodzaju, bez poczucia niewoli, bez żadnych więzów, nawet bez przywiązania do mężczyzny, który cię uwielbia”. Po pewnym czasie złowroga maman zaczyna podsuwać dziewczynie niebezpieczną lekturę, dzieła libertyńskie, pozbawiające ją dzie-

wiczego wstydu i rozzarzające w niej namiętność (Rétif — jak się jeszcze przekonamy — wielokrotnie zwracał uwagę na niebezpieczeństwo złej lektury i korzystny wpływ książek umoralniających, w których rzędzie umieścił oczywiście swoje własne dzieła). „Zmysły Lucylli stanęły w ogniu, wyobraźnia jej pulsowała. Tylko kochanka brakowało jej do zupełnego już upadku. Właśnie na tę chwilę czekała Courton”¹⁶. Miała już chętnego a hojnego kandydata na opiekuna dziewczyny. W przeddzień zapoznania go z Lucyllą wyklada jej zasady trafnego postępowania z kochankiem. „Tyle jeno znaczymy u boku mężczyzn, na ile się same potrafimy cenić; wszelkie dary i prezenty coraz bardziej ich do nas przywiązują. Bogactwo dodaje blasku, a kochanka staje się w oczach mężczyzny obiektem tym godniejszym wszelkich względów i starań, im więcej z rąk jego otrzymała”¹⁷. Pojawia się wreszcie kandydat do łóża Lucylli. Jest to postać bardzo ciekawa i charakterystyczna — młody mieszczanin Durichemont, człowiek bogaty i zepsuty życiowym powodzeniem, oczywiście liberyn, choć nie bez szlachetnych odruchów; gardzi on małżeństwem, szuka powolnej i urodziwej kochanki, dziewczyny niewinnej i naiwnej. Doświadczenia Durichemonta, choć nie mają związku z działalnością pani Courton-Gourdan, są skądinąd godne uwagi jako ciekawy rys obyczajowy epoki. Pewnego razu Durichemont „zobaczył na promenadzie młodą osobę, spodobała mu się, poszedł za nią. Nazajutrz złożył jej wizytę w domu, wyłożył jasno cel swojego przybycia, prosił o decyzję. Odpowiedziała, że oferta jego wydaje się jej korzystna i pociągająca; porozumie się w ;ej sprawie z mężem. — Jak to? Pani jest mężatką?! — Tak, proszę pana, mam męża, nędznego urzędniczynę; jego marne zarobki są całym naszym majątkiem. — Ależ pani mąż chyba nie zrezygnuje z takiej kobiety? — Będzie musiał; to twarda konieczność. Skoro nie potrafi zapewnić mi warunków, z których mnie wziął... Ta suknia, w której mnie pan wczoraj widział, jest jeszcze nie zapłacona! — Zegar wydzwonił południe, wrócił mąż. Dobito targu, choć Durichemont nie mógł pozbyć się wyrzutów sumienia! Tego samego dnia młoda pani Bassan zajęła wdzięczny apartament w domu swojego kochanka”. Idylla trwała dwa miesiące, po czym Durichemont „spozrzegł, iż kobieta, która się sprzedaje, zdradza zazwyczaj i nabywcę”; na horyzoncie pojawił się jakiś dawny kochanek przewrotnej piękności. W końcu Durichemont „pewnego dnia poszedł za niewierną, zaskoczył ją u drzwi dawnego amanta, zdecydował się wejść razem z nią i tam, bez najmniejszego gniewu, dokonał formalnej cesji, wzbraniając pani Bassan, zmieszanej i zrozpaczonej, kiedykolwiek pokazać mu się na oczy”¹⁸. Tak oto przedstawił Rétif ostatnie doświadczenia erotyczne młodziana, który z -rąk stręczycielki chciał wziąć teraz dziewczynę świeżą i naiwną, wolną od zdradzieckich pomysłów i gotową dotrzymać wiary. Lucille przenosi się do domu Durichemonta, a pani Courton załatwia ostatnie formalności: dwa tysiące liwrowej dożywotniej renty dla niej samej, tysiąc talarów dla dziewczyny, pod warunkiem, że będzie posłuszną kochanką co najmniej przez dwa lata. (Dodajmy, że Rétif, skłonny czasami do pisarskiej przesady, wielokrotnie pomnożył cenę, płaconą zazwyczaj stręczycielkom za pośrednictwo przy zawieraniu .znajomości i dziewczętom za posłuszeństwo i uległość; w tej sprawie ufajmy raczej inspektorowi Marais). Lucille zyska zresztą miłość Durichemonta, który uszanuje jej cnotę

tak długo, póki (po wielu perypetiach) nie pojmie jej za żonę za zgodą rodziców. Rétif zrezygnował więc tutaj z prawdy obyczajowej na rzecz efektu moralizatorskiego. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że dzieje Lucylli są zupełnie prawdopodobne, a jej pobyt w lupanarze, w stanie zupełnej nieświadomości co do charakteru domu, gdzie znalazła schronienie, w rzeczy samej był możliwy. Pani Gourdan potrafiła zniżyć się do najpospolitszej trywialności, ale i odgrywać rolę wytwornej damy. Warto w związku z tym przytoczyć zabawną anegdotę. Otóż pewnego wieczoru madame Gourdan wracała z dwoma swymi pannami z Wersalu do Paryża; karetą ich ugrzęzła po drodze, panie wysiadły i poczęły rozglądać się za pomocą. Nadjeżdżał akurat pojazd biskupa z Tarbes, księdza de Lorry. Zaczny kapłan, przybyły do Paryża z odległej diecezji w Pirenejach i nie bardzo zorientowany w opinii rozmaitych pięknych pań, widząc na drodze w rozpaczliwej sytuacji dwie młode a urodziwe dziewczyny elegancko wystrojone, w towarzystwie nieco starszej, ale jeszcze wytworniejszej damy, zaprosił je do swojej karety. Na trakcie był ruch olbrzymi; dziesiątki pojazdów zdążyły w jedną i drugą stronę. Ze wszystkich karek i powozów wychylali się ciekawi pasażerowie, komentując żywo niezwykłą sytuację; biskup w fioletach zabawiający w swej karecie ożywioną rozmową notorycznie kurtyzany! Biedny biskup ucierpiał wiele wskutek powszechnej wesołości, zanim po paru dniach zdołał wyjaśnić sprawę. Kariera pani Gourdan skończyła się ostatecznie we wrześniu 1775 roku, a to wskutek dość ciekawych i charakterystycznych okoliczności. Otóż w roku 1766 przybyła do Paryża niejaka pani d'Oppy, żona pewnego dygnitarza sądowego z Douai. Zabiegał usilnie o jej względy pewien kawaler Sw. Ludwika; po zawarciu znajomości zaprowadził ją któregoś wieczoru na przyjęcie do pewnej — jak powiadał — hrabiny. Dom był wspaniały, przyjęcie wytworne, choć zachowanie gości trochę może za swobodne, ale przecież najświetniejsze towarzystwa pozwalały sobie ówczesznie na daleko posuniętą frywolność — więc pani d'Oppy z całym spokojem wzięła udział w powszechnej zabawie. Zaprzyjaźniła się nawet z „hrabiną” i odtąd bywała w jej domu częstym gościem. Zabawy w domu „hrabiny” okazały się arcy pikantnymi orgiami z udziałem wielu pięknych pań i eleganckich kawalerów; pani d'Oppy uczestniczyła w nich z rozkoszą i satysfakcją, uszczęśliwiona, że trafiła wreszcie do ekskluzywnego salonu, gdzie wytworne towarzystwo beztrąsko się bawiło. Fakt to wielce znamienity, że wyuzdany charakter orgii bynajmniej nie zastanowił zacnej prowincjuszki; były to przecież praktyki tak często spotykane i uprawiane w najwytworniejszych salonach. Trwało to wiele miesięcy. Nagle panią d'Oppy wstrząsnęła wiadomość, że tkwiła w okropnym błędzie: brała udział w pospolitych orgiach w lupanarze, a nie w zabawach dobranego towarzystwa! 15 kwietnia 1768 roku została zatrzymana przypadkiem przez policję i dopiero od stróżów porządku publicznego dowiedziała się, iż nawiedzała systematycznie osławioną madame Gourdan! Zaczęły się teraz nieszczęścia biednej pani d'Oppy. Sprawa stała się głośna, a jej humorystyczny aspekt poruszył paryską opinię publiczną. Szwagier pani d'Oppy, kawaler de Gricourt, kazał uwięzić ją w klasztorze Sainte-Pélagie; tu miała odbyć pokutę i ponieść karę. Wszelako do Paryża przybył z Douai sam pan d'Oppy, zabrał żonę z więzienia i wyrobił dla niej królewski *lettre de cachet*, zawierający polecenie wyjazdu do majątku w La Fleche, gdzie miała mieszkać pod kontrolą męża, bez prawa pokazania się kiedykolwiek w Paryżu. Między małżonkami — i tak zapewne dość skłóconymi — narastał coraz większy konflikt. Pan d'Oppy zaczął starać się o nowy *lettre de cachet*, aby zamknąć żonę dożywotnio w klasztorze d'Eppeville w Pikardii. Pani jakoś się o tym dowiedziała i pewnej nocy zbiegła ze swojego zesłania. Błądziła po Francji, prowadząc podobno życie bardzo rozwiązłe, przez pewien czas przebywała w Anglii, wróciła do kraju w roku 1772. Mąż wniósł przeciw niej skargę o cudzołóstwo i występne życie w Londynie, sprawa trafiła do paryskiego parlamentu. I tu właśnie zaczęły się niedole madame Gourdan: powołana została — wraz z kilku pensjonariuszkami swego zakładu — na świadka oskarżenia, celem dokładnego wyjaśnienia

konduity pani d'Oppy w czasie sławetnych orgii w latach 1766—1768. Na światło dzienne poczęto wywlekać szczegóły, o których i tak wszyscy wiedzieli, ale które nie były jeszcze przetrzāsane i analizowane w całym majestacie prawa na sali sądowej. Los pani Gourdan został przesądzony w momencie, gdy okazało się, iż prowadziła ona — oczywiście z rozkazu policji, między innymi inspektora Marais — bardzo szczegółową dokumentację swojej działalności; posiadała podobno obszerną księęę, gdzie zapisywano nazwiska osób korzystających z usług jej zakładów oraz z najbardziej drastycznymi szczegółami notowano przebieg zabaw, w których brali udział wytworni libertyni obojga płci. Ta osławiona „księęę pani Gourdan” zaczęła budzić powszechne zainteresowanie, ale i niepokój wśród znacznej części osób bezpośrednio zainteresowanych. Wreszcie 6 września 1775 roku parlament paryski nakazał

aresztowanie madame Gourdan; wszystkie jej dokumenty zostały skonfiskowane²⁰.

Był to koniec działalności głośnej stręczycielki. Odzyskała podobno wkrótce potem wolność, ale musiała ustąpić miejsca, mniej skompromitowanym konkurentkom.

Legenda o „czarnej księęędzę” pani Gourdan kursowała jednak przez wiele lat i przyczyniła się do powodzenia jednego z najgłośniejszych dzieł libertyńskich końca XVIII wieku. W roku 1783 pojawiła się mianowicie w sprzedaży książka o drastycznej treści erotycznej pt. *Le Portefeuille de Madame Gourdan*. Zyskała olbrzymią poczytność, dość prędko ukazało się drugie jej wydanie, pod nieco zmienionym tytułem *Correspondance de Madame Gourdan* (1785). Był to oczywiście apokryf, nie mający nic wspólnego z osławioną „księęęgą”.

Rzeczywistym autorem, zręcznie wykorzystującym rozgłos afery z 1775 roku, był Charles Théveneau de Morande, znakomity dziennikarz i publicysta, autor świetnych satyr i paszkwili antykrólewskich, które wydał w czasie pobytu na emigracji w Londynie — jeden z najślawniejszych i najbardziej oryginalnych awanturników literackich XVIII wieku. Théveneau de Morande utrwalił w ten sposób na długie lata ponurą sławę pani Gourdan.

Poświęciliśmy chwilę uwagi działalności tej osławionej stręczycielki jako postaci bardzo typowej i charakterystycznej. Podobnych jej pośredniczek w handlu „sexem” było oczywiście dziesiątki. Głównym zaś ośrodkiem tej działalności był sławny Palais-Royal, centrum prostytucji i wszelkich form lekkiej rozrywki w XVIII-wiecznym Paryżu. Rétif zaglądał tutaj często — i tutaj zbierał najczęściej materiały do swoich studiów literacko-obyczajowych. W czasie jego wędrówek po ogrodach i pawilonach Palais-Royal ukształtowała się prawdopodobnie również ostateczna koncepcja słynnego Pornografa.

Rétif przez całe życie uważał się za moralistę i z uroczą niekonsekwencją zwalczał libertynizm, nie kłopotując się bynajmniej wnioskami, jakie postronny obserwator mógłby wyciągnąć z analizy jego życia prywatnego. Pornograf miał służyć likwidacji libertynizmu jako zjawiska obyczajowego. Pomysły przedstawione w tej książce umożliwiały — zdaniem autora — zasadniczą reformę obyczajów i zmniejszenie do minimum zła wynikającego z powszechnej rozwiązłości seksualnej, której ofiarą padały przede wszystkim kobiety ze stanu trzeciego. Losem „nieszczęsnych ofiar libertynizmu” Rétif interesował się przez całe życie z taką samą gorliwością, z jaką dzięki swemu życiu osobistemu przyczyniał się do pomnożenia ich liczby. Własne doświadczenia nie pobudzały go wszelako do żadnych przykrych refleksji; oburzał się natomiast na libertynów z wyższych sfer społecznych, którzy cynicznie i okrutnie poniewierali duszą i ciałem młodych dziewcząt. Nicolas prowadził bardzo bujne życie seksualne, ale pojmował je poniekąd „ekstensywnie”; uważał za zupełnie naturalne i usprawiedliwione nieustanne mnożenie liczby swoich kochanek, skoro w każdy z tych przelotnych stosunków wkładał nieco erotycznych emocji, a poza tym w praktyce swojej nie grzeszył przeciwko „przystojności”, szanując wstyd i wrażliwość swoich partnerek. Oburzała go natomiast libertyńska intensyfikacja życia seksualnego, polegająca na poszukiwaniu jak najróżnorodniejszych, perwersyjnych form obcowania seksualnego — i to bez najmniejszej erotycznej egzaltacji, jedynie dla

wyrozumowanego, chłodnego rozszerzania skali doznań zmysłowych. Te upowszechnione ówczesnie praktyki uważał za niegodziwe wynaturzenia i ubolewał nad brakiem możliwości radykalnego położenia im kresu.

Aczkolwiek Pornograf zawierał wiele oryginalnych koncepcji Rétifa, a zebrany w tej książce materiał „socjologiczny” był wynikiem osobistych jego obserwacji, to jednak nie jest to dzieło całkowicie oryginalne. W roku 1746 ukazała się bowiem książka niejakiego Jean-Pierre Moët’a pt. Kodeks Cytery (Code de Cyt- hère ou Lit de justice d’amour, à Erotopolis, chez le dieu Harpocrates, à l’enseigne de la Nuit, l’an du monde 1746), który zaproponował powszechną reglamentację prostytucji w myśl tych samych zasad, jakie przyjął i rozwinął w dwadzieścia lat potem Rétif de la Bretonne. Jednakże Pornograf jest dziełem znacznie bogatszym zarówno w pomysły i argumentację, jak i materiał obserwacyjny, powołany przez autora dla poparcia jego twierdzeń i hipotez; dzieło Moët’a było więc dla Rétifa jedynie źródłem pomysłu formalnego.

Pornograf (Le Pomographe ou Idées d’un honnête homme sur un projet de règlement pour les prostituées, propres à prévenir les malheurs qu’occasionne le publicisme des femmes, avec des notes historiques et justificatives, A Londres et La Haye 1769) jest rodzajem powieści epistolarnej. Bohaterem romansu uczynił Rétif niejakiego d’Alzana, który po swawolnej młodości i zgromadzeniu sporego zasobu doświadczeń w kwestiach obyczajowości libertyńskiej zakochał się w pannie Urszuli de Roselle i pragnie wreszcie ustatkować się, a jednocześnie odpokutować w jakiś sposób za grzechy poprzedniego okresu życia. D’Alzan ma dziwną manię: usiłuje oto zreformować „zło konieczne” — prostytucję, a pomysły swoje wyklada w kolejnych listach do przyjaciela, pana Des Tianges.

Te powieściowe ramy narracji były oczywiście chwytem formalnym umożliwiającym autorowi prezentowanie swoich dość ryzykownych pomysłów bez ponoszenia pełnej za nie odpowiedzialności i z pozorami pewnego dystansu. Nie podpisując się formalnie pod koncepcjami swego bohatera, Rétif przedstawił jednak program, w którego poparcie angażował się bez reszty.

Przeprowadził przede wszystkim wyczerpującą i wnikliwą analizę socjologiczną aktualnego stanu prostytucji we Francji. Jego upodobanie do socjologicznej klasyfikacji, które wielokrotnie przejawia jeszcze w późniejszej swojej twórczości, dało tutaj ciekawe wyniki. Opisując rozmaite formy praktykowania sprzedanej miłości Rétif wyróżnił aż dwanaście kategorii kobiet sprostytuowanych, które spotkać można było we Francji drugiej połowy XVIII wieku.

Otwierały tę listę utrzymanki (filies entretenues, w nomenklaturze łacińskiej — którą Rétif stosował zawsze z wielkim upodobaniem — concubinae albo o mi- cae), dziewczęta rozpoczynające swoją karierę od stałego związku z jednym mężczyzną, któremu jednak „rychło dają zawsze współtowarzyszy szczęścia”. Rétif wymieniał dalej dziewczęta publiczne de facto (filies publiques par état, łac. psaltriae albo saltrices): chórzystki, tancerki, aktorki; półutrzymanki (demi-ent- retenues, łac. meretriculae): „są to młode dziewczęta spotykane u właścicielek domów publicznych, które ten czy ów uważa za dość ładne, aby otoczyć je stałą opieką”; półcnotki (filies de moyen vertu, łac. merce- nariae): „które prostytuują się tylko od czasu do czasu, gdy brak jest pracy w ich zawodzie, i po to jedynie, by zaspokoić swoje najpilniejsze potrzeby”; kurtyzany (łac. meretrices): „które utrzymują znaczną liczbę stałych znajomości, a przyjmują wizyty u siebie lub je składają”; damy światowe (femmes du monde, łac. lupae): „którym rozmaite staruchy sprowadzają klientów, a które nigdy nie ujawniają, kim są”; panienki (demoi- selles, łac. juvencae): „mieszkające u mam (łac. laenae): które trzymają je w ukryciu dla starców lub innych drogo płacących amatorów; mamy zabierają je czasem na wieś, do domów zamożnych rozpustników”; nierządnicę ustabilizowaną (raccrochantes, łac. scorti), które unikając swawoli czy zabawy traktują poważnie swój zawód i starają się zgromadzić odpowiedni kapitał, choć często

opłacać się muszą sutenerom; ladacznice z lupa- narów (boucaneuses, łac. scortilli) — „dziewczyny te, podobnie jak panienki, przebywają na utrzymaniu u mam, są jednak dostępne dla każdego, a czasem same muszą werbować klientów; przechodzą zazwyczaj kolejno przez wiele miejsc rozpusty”; ulicznice (roccro- cheuses, łac. palaestricae): „które zamieszkują nędzne pokoje umeblowane, a podlegają często prześladowaniom ze strony policji”. Wreszcie do ostatnich, najpod- lejszych kategorii zaliczył Rétif prostytutki uliczne, włóczące się po zaułkach i przedmieściach, a zamieszkujące nędzne izby na poddaszach (qouines, łac. pnti- dae oraz barboteuses, łac. prostibuli): odrażające wskutek brudu i niebezpieczne z powodu zakażenia wenerycznego.

Wszystkie te kategorie kobiet sprostytuowanych były zdaniem Rétifa wielkim społecznym niebezpieczeństwem — jako propagatorki libertyńskiego wyuzdania, niszczytelki moralności publicznej, | wreszcie rozno- sicielki chorób wenerycznych. Wszelako prostytutka była jego zdaniem złem koniecznym, nie było sposobu na jej całkowite zlikwidowanie. Należało jednak ograniczyć jej zasięg, wyłączyć ją całkowicie z życia codziennego, skoncentrować w środowisku wyizolowanym. Wszystkie wymienione powyżej kategorie kobiet sprostytuowanych winny powoli zniknąć, a na ich miejsce powstałaby nowa kategoria kobiet publicznych, powołanych do zaspokajania przyrodzonych potrzeb rodzaju męskiego w sposób przystojny, umiarkowany, zgodny z Naturą i wolny od jakiegokolwiek wyuzdania...

Reforma obyczajów miała być wprowadzona drogą przymusu prawnego; surowe kary grozić miały występny, którzy ośmieliliby się potem wyłamać z porządku obyczajowego, wymyślonego dla uszczęśliwienia ludzkości. Albowiem Rétif nie wątpił, iż realizacja jego pomysłów przyczyniłaby się wielce do pomnożenia ogólnej sumy szczęścia w społeczeństwie, zapewniając pełne usatysfakcjonowanie nie tylko męskiej części rodzaju ludzkiego, ale i kobietom wszystkich kondycji socjalnych, przede wszystkim zaś — rzecz szczególna ■ — sponiewieranym „ofiaram libertynizmu”, które po wprowadzeniu powszechnej reglamentacji prostytutki znalazłyby się w warunkach jak najbardziej humanitarnych i zapewniających im maksymalne zaspokojenie potrzeb.

Nowy wspaniały świat „ograniczonego zła” zacny myśliciel nasz pojmował następująco:

Wprowadzony miał być raz na zawsze ogólny zakaz uprawiania płatnej miłości poza specjalnymi domami publicznymi, utrzymywanymi i kontrolowanymi przez państwo, które nosić miały (dla uniknięcia trywialnych nazw „lupanar” lub „bordel”) szlachetne miano porte- niemów. W partenionach tych zgromadzono by przymusowo wszystkie kobiety uprawiające nierząd w jakiegokolwiek postaci; wolne od tego przymusu miały być tylko utrzymanki, pozostające w stałym związku z jednym mężczyzną, ale pod warunkiem, że w życiu prywatnym okazywać będą „więcej nawet przystojności niż kobiety uczciwe”. Parteniony miały być „bezpiecznymi azylami”; kobieta, która raz tam się znalazła, nigdy już nie mogła tego schronienia opuścić; nawet rodzice, których córka potajemnie wybrałaby życie w partenionie, nie mieliby prawa jej stamtąd zabrać. Instytucje takie powstawać miały w dzielnicach mało zamieszkałych, w dużych i pięknych domach otoczonych dziedzińcami i wielkimi ogrodami. Wstęp na teren partenionu miał być bezwzględnie zakazany dzieciom i kobietom przyzwoitym, ale wolny dla mężczyzn wszelkiego stanu. Dziewczęta zgłaszające się do partenionów przyjmowane być miały bez żadnej indagacji co do pochodzenia i powodów tego kroku, ale za to po dokładnym badaniu lekarskim, upewniającym kierownictwo zakładu o idealnym stanie zdrowia kandydatki.

Nad funkcjonowaniem każdego partenionu czuwać miała 12-osobowa rada zarządzająca, złożona z obywateli o nieposzlakowanej opinii. Członek takiej rady, pełniący swe funkcje przez lat dziesięć, pod żadnym pozorem nie miał prawa odwiedzać podległego sobie domu, ani urzędowo, ani naturalnie jako klient. Miał natomiast obowiązek interesować się pilnie pracą „guwernantek”, czyli przełożonych personelu. Guwernantki te miały zgłaszać radzie

wszelkie występki swoich podopiecznych i tylko rada mogła wymierzać im karę; przewidziane kary były dość surowe, za najcięższą zbrodnię — „unicestwienie owocu swej pracy noszonego w łonie” — grozić miało dziewczynie roczne zamknięcie w ciemnicy o chlebie i wodzie.

Każdy z partenionów powinien mieć kilka zamaskowanych wejść, przez które klienci mogliby incognito dotrzeć do kasy. W kasie takiej klient miał wnieść odpowiednią opłatę, a po otrzymaniu biletu wskazywano by mu korytarz wiodący do miejsca, gdzie wśród zgromadzonych dziewcząt mógł dokonać wyboru. Aż do kasy można było wędrować w masce na twarzy, tu jednakże wstydlivy klient musiał koniecznie zrzucić zasłonę i ukazać oblicze urzędującej guwernantce.

' Dyżurna kontrolerka wprowadzać miała klienta do specjalnego gabinetu, skąd przez otwór w ścianie mógł, nie zauważony, obejrzeć sobie dziewczęta; po wskazaniu wybranki prowadzono go do jej pokoju, a ofiara nadchodziła w chwilę potem. Wszelako nasz prawodawca, zawsze tak troskliwy o interes kobiet, dawał im pewną szansę; wybrana dziewczyna mogła obejrzeć sobie uprzednio przez otwór w drzwiach swojego doraźnego amanta i ewentualnie odmówić usługi, nie ujawniając powodu; w takiej sytuacji klient mógł dokonać wyboru wśród innych pensjonariuszek, a gdy odmówiło mu kolejno kilka dziewczyn, guwernantka obowiązana była wybrać ofiarę drogą losowania. Na wypadek, gdyby gość zaczął się niecierpliwić lub awanturować, ukryta była straż, k'tôra na wezwanie guwernantki chwytiała niesfornego dżentelmena i bez żadnych względów dla wieku, rangi czy godności wyrzucała go precz z lokalu.

Ceny biletów w tych instytucjach podzielone być miały na sześć klas, zależnie od wieku i urody kobiet, które były w danym partenionie dostępne. Partenion z pełnym asortymentem dysponować miał pensjonariuszkami w wieku od 14 do 36 lat, nie licząc pewnej liczby wysłużonych „nadlatek” (surannées) w wieku od 36 do 45 lat, dostępnych dla amatorów. Sześć klas obejmować miało kobiety i dziewczęta następującego wieku: I — od 30 do 36 lat, II — od 25 do 30 lat, III — od 20 do 25 lat, IV — od 18 do 20 lat, V — od 16 do 18 lat, wreszcie VI klasa grupować miała niewielką liczbę dziewcząt 14—16-letnich, „których wcześniej ujawniony temperament pozwalałby na dopuszczanie do nich mężczyzn”. Rétif nie miał żadnych wątpliwości, iż wiek 14 czy 16 lat jest całkowicie odpowiedni dla inicjacji seksualnej; było to przecież zgodne z obyczajami całego ówczesnego społeczeństwa...

Oczywiście ceny biletów miały się kształtować odwrotnie proporcjonalnie do wieku pensjonariuszek zakładu, a wprost proporcjonalnie do ich urody; ceny winny być stałe, a katalog wywieszony miał być na widok publiczny przy kasie. Za usługi w nocy taksa była podwójna, jednakże dziewczęta YI-tej (najmłodszej) klasy od nocnej pracy były stanowczo wyłączone. Usługi wykonywane były w pokojach dziewcząt, oczywiście? w formie jak najbardziej powściągliwej i przystojnej, z wykluczeniem wszelkich perwersji i jakichkolwiek libertyńskich fanaberii. Nie trzeba dodawać, że strój dziewcząt, aczkolwiek miły, schludny i nawet wytworny, musiał być arcyskromny.

W partenionach dziewczęta skazane były oczywiście na doraźnych i przypadkowych partnerów seksualnych. Ale Rétif przewidział również możliwość zbliżeń duchowych między przypadkowymi kochankami. Jeżeli więc klient którejś z dziewcząt zacznie ją systematycznie nawiedzać i okaże chęć utrzymywania stałych z nią stosunków, to za codzienną opłatą jednego biletu będzie ją miał do swojej wyłącznej dyspozycji; dziewczę zwolnione zostanie z obowiązku udawania się do sali wyboru. Tacy „oficjalni kochankowie” (amants en titre) korzystali ze specjalnych uprawnień, mogli osobnym wejściem dostawać się na teren partenionu i przebywać dłużej w towarzystwie swoich wybranek (Rétif chętnie przyznawał im te przywileje, pamiętając swoje upokorzenia w czasie wizyt składanych Zefirze w domu

publicznym). Gdyby roznamiętniony kochanek zapragnął poślubić dziewczynę z zakładu, będzie mu to dozwolone, pod warunkiem, że udowodni dojrzałość i stanowczość swojego zamiaru, no i wykaże, iż ukończył już lat trzydzieści...

Życie pensjonariuszek partenionu miało być ściśle uregulowane odpowiednimi przepisami. Mogły się wzajemnie odwiedzać w swych pokojach podczas chwil wolnych od pracy i wspólnych zajęć, jednakże osiem godzin dziennie musiały spędzać w salonach i tu oczekiwać ewentualnych klientów. Zabawiać się wtedy miały lekturą lub jakąś robótką, póki nie usłyszają wez-

wania do swego pokoju. W partenionie dzień zaczynać się miał o dziewiątej rano, praca trwać miała od jedenastej do trzynastej, od szesnastej do dziewiętnastej i od dwudziestej do północy. O godzinie pierwszej wszystkie damy powinny spać już błogo w swoich łóżkach.

Codzienny wysiłek miał być ograniczony normą: jeden klient dziennie; tylko kobiety z trzech pierwszych klas miały prawo do nieograniczonej liczby odwiedzin w ciągu dnia, co autor Pornografa uzasadnił w sposób zdumiewający: „jako z powodu wieku [!] niezdolne do zajścia w ciążę...” Życie tych istot, szczęśliwie ocalonych przed libertyńskim zdeprawowaniem, miało — zdaniem Retifa — przebiegać w spokoju i zadowoleniu: jadło przewidziano obfite i smaczne, stroje w dobrym guście i według indywidualnego wyboru pensjonariuszek (każda miała otrzymywać regularnie pewną sumę pieniędzy na zakup szat i drobiazgów osobistych), w wielkie święta parteniony miały być nieczynne, a dziewczęta jeździłyby w zamkniętych wozach do teatrów na przedstawienia. Zdrowie dziewcząt miało być przedmiotem stałej troski zarządu; pomoc lekarską dostarczano by na każde wezwanie, co drugi dzień każda z dziewcząt obowiązana była brać kąpiel, ciepłą i zimną w lecie, gorącą w miesiącach zimowych. Co prawda, użycie pudru, różu i innych barwiczek było bezwzględnie zakazane — „ponieważ daje to jeno sztuczny blask i niszczy urodę naturalną” — jak autorytatywnie stwierdził prawodawca. Do tych wszystkich przywilejów dochodził jeszcze jeden: pewność, że nigdy, przenigdy żadna z nich nie opuści tego zakładu, że nigdy nie wyrwie się z grona towarzyszek, że po osiągnięciu 36, a najwyżej 45 lat życia, resztę dni spędzi w spokoju i sytości, na smętnej zadumie w ogrodowych alejkach, z dala od ohydy wielkiego świata i zawsze aktualnej grozy odrodzenia libertyńskiego zepsucia obyczajów. Świadomość takiego dożywotniego odosobnienia w klasztornej atmosferze powinna — zdaniem Retifa — przepajać dusze pracownic partenionu ciszą, spokojem i błogością... Co prawda, przewidziano wypadki, w których dziewczyna mogła pożegnać koleżanki i wrócić do życia światowego; gdyby na przykład odziedziczyła jakąś fortunę — wtedy miała prawo do

dymisji i powrotu do stanu kobiety uczciwej, ale biada takiej wyzwolonej istocie, gdyby kiedykolwiek splamiła się „złym prowadzeniem”: miała być natychmiast sprowadzona przymusowo z powrotem do partenionu... Wszelako sukcesje czy nawet małżeństwa miały być z natury rzeczy nieczęstymi wypadkami w życiu kobiet tej konduity; dla wszystkich przewidziana więc była dożywotnia emerytura z uwolnieniem od wszelkich obowiązków, oczywiście bez prawa opuszczenia kiedykolwiek murów zakładu.

Aby społeczeństwo i państwo miało z partenionów jakąś dodatkową korzyść, prawodawca przewidział popieranie płodności i rozrodczości wśród pensjonariuszek tych zakładów. Guwernantki winny więc czuwać, aby dziewczyny w żaden sposób nie chroniły się przed ciążą — takie usiłowania należały do poważnych wykroczeń. Płodzenie dzieci miało być drugim po usługach seksualnych głównym zajęciem pensjonariuszek. Skoro tylko dziewczyna zaszła w ciążę, miała być przeniesiona do specjalnego odosobnionego apartamentu, gdzie pod troskliwą opieką mieszkała do chwili porodu i wydawała na świat pilnie oczekiwane przez zarząd dziecię. Sierotki takie zakład miał wychowywać na swój koszt, matki mogły spotykać się ze swymi dziećmi zaledwie raz w tygodniu. Jeżeli jednak dziecko splotzone zostało w związku dziewczyny ze stałym amantem en titre, na życzenie ojca

mogło być mu wydane poza partenion, co wszelako — jak spodziewał się Rétif, trafnie chyba wnioskując z własnego doświadczenia — zapewne zdarzałoby się raczej rzadko. Gromadka dzieci urodzonych w partenionie otrzymywać miała wykształcenie stosowne do uzdolnień okazywanych przez każdego chłopca czy dziewczynkę; chłopcy mieli być szkoleni jak kadeci i kierowani do służby wojskowej, słabszych czy mniej zdolnych uczono by rzemiosł i przygotowywano do pracy w normalnym świecie, do życia rodzinnego — przy czym jak najusilniej zalecane były małżeństwa między wychowankami partenionów.

Tak wyglądać miała organizacja i funkcjonowanie instytucji, które stać się miały piorunochronami życia społecznego, kanalizującymi zło i uwalniającymi społeczeństwo od klęski obyczajów libertyńskich. Parteniony miały powstać stopniowo we wszystkich miastach i okolicach, podlegać miały wspólnemu zarządowi i odsyłać nadwyżki dochodów do wspólnej kasy, dzięki czemu w miarę upływu lat mogły stać się ważnym źródłem dochodów dla skarbu państwa.

Rétif wyłożył wszystkie swoje pomysły w szczegółowej „konstytucji” partenionów, która objęła 45 artykułów, normujących wszystkie dziedziny organizacji i funkcjonowania tych instytucji. Zdawał sobie sprawę, że ten niezwykle i zgoła cudaczny pomysł musi wzbudzić zastrzeżenia wśród czytelników, wąpiących bądź to w możliwość naprawy tą drogą obyczajów społeczeństwa, bądź to w sens i celowość takiej reformy, wreszcie w humanitarny aspekt całego zagadnienia, ponieważ nie wszyscy musieli oczywiście podzielać mniemanie autora, iż reforma uszczęśliwi również i „ofiary liber- tynizmu”. Zawzięcie dyskutował więc w Pornografie ze swoimi przyszłymi antagonistami, dowodząc, że tak czy owak do jego koncepcji należy przyszłość.

Wierzył w to nawet po wielu latach, gdy okazało się, iż koncepcje jego żadnego z prawodawców do powszechnej reformy obyczajów bynajmniej nie natchnęły. W roku 1789, gdy pisał swoje słynne Noce paryskie (*Les Nuits de Paris*), w usta swojego przyjaciela, du Hameauneuf^a włożył dziwne opowiadanie o śnie, w którym ów zobaczył wizję świata za lat sto — w roku 1888. Prostytucja była już wtedy oczywiście zreformowana zgodnie z pomysłami autora Pornografa. „Nie było już tam — opowiadał du Hameauneuf żadnych dziewczyn publicznych opuszczonych i pozostawionych swojemu losowi. Wszystkie były zamknięte w partenionach, przy uznaniu ich użyteczności dla państwa i społeczeństwa. Wpuszczano tam młodych mężczyzn tylko z zaświadczeniami lekarzy dyplomowanych, który to stopień dostępny był jeno ludziom o wielkiej wiedzy i wypróbowanej uczciwości; takie same zaświadczenia otrzymywali wdowcy i mężczyźni żonaci, których małżonki były chore, a zresztą i wszyscy w razie potrzeby. Młodzieńcy bez dochodów nie płacili nic, inni mężczyźni wedle swego stanu i możliwości, a zresztą przyjęte zasady nie różniły się od wyłożonych w Pornografie. Nie spotykałem i utrzymanek, chyba że w partenionach. Aktorki nie były już dziewczynami publicznymi, wręcz przeciwnie, traktowane były jak westalki, podziwiano ich mądrość, były czczone jako kapłanki cnoty [...] zawodowe aktorki poślubiały najgłodniejszych mężczyzn, wywodzących się ze znakomitych rodów...”²¹ Zdziwiłby się zapewne autor Pornografa, gdyby powiedziano mu, że co prawda generalna reforma obyczajów wedle jego pomysłów nigdy nie nastąpiła, ale jednak w roku 1888 niektóre z jego idei miały być już od dawna realizowane, tyle tylko, że w bardzo niepełnej i dość karykaturalnej postaci. Istnieje bowiem domniemanie, iż koncepcje Rétifa wpłynęły na twórców doktryny reglamentacyjnej, która zyskała powszechne uznanie w Austrii za panowania Józefa II i we Francji w czasach Napoleona I, a w XIX wieku kształtowała politykę wszystkich prawie państw europejskich wobec prostytucji. Ze wszystkich pomysłów Rétifa uznanie zyskał więc tylko projekt bezwzględnej walki z prostytucją niekontrolowaną oraz rejestrowania i zamykania nierządnic w domach rozpusty, poddanych w jakiejś formie nadzorowi państwa, przy faktycznym uniemożliwianiu tym kobietom powrotu kiedykolwiek do normalnego życia...

Zastanawiające jest niewątpliwie, jak dalece Nicolas — ukazujący rzeczywistość społeczną i obyczaje swoich czasów z talentem świetnego obserwatora, a mentalność bohaterów z dużą dociekliwością psychologiczną — oddalał się od życia, gdy zaczynał marzyć

o naprawie świata. Był głęboko przekonany, że możliwe jest znalezienie dla każdej dziedziny życia społecznego odpowiedniej formuły czy zasady, która usunęłaby wszelkie zło i wprowadziła zupełnie nowy, idealny porządek rzeczy. Dzielił zresztą to przekonanie z większością myślicieli wieku Oświecenia, kiedy to wielkim powodzeniem cieszyła się naiwna koncepcja ustroju idealnego, zdolnego — jeżeli tylko trafnie określi się jego zasady — uszczęśliwić wszystkich, zapewnić wszystkim jednostkom ludzkim optymalne warunki rozwoju i zaspokojenia subiektywnych potrzeb. Jako reformator społeczny Rétif de la Bretonne okazał się idealistą i utopistą równie niezwykłym, jak niezwykły był jego talent pisarza-reauety. Ale pomysły reformatorskie nie opuszczały go do końca życia...

Albowiem Pornograf był tylko pierwszym ogniwem całej serii dzieł, w których Nicolas proponował przekształcenie powszechnych obyczajów lub instytucji społecznych w sposób, który jego zdaniem gwarantował natychmiastowe uszczęśliwienie ludzkości. W rok po wydaniu Pornografa wystąpił z dziełem o reformie teatru (*Le Mimographe ou Idées d'une honnête femme pour la réformation du théâtre national*, 1770). Zajął się potem ulubionym swoim zagadnieniem, pozycją kobiety w społeczeństwie, i snuł na ten temat długie, niezbyt udane dywagacje (*Les Gynographes ou Idées de deux honnêtes femmes sur un projet de règlement proposé à toute l'Europe pour mettre les femmes à leur place et opérer le bonheur de deux sexes*, 1777). Kontynuował to dzieło wielkim studium o obyczajach epoki (*L'Andrographe ou Idées d'un honnête homme sur un projet de règlement proposé à toutes les nations de l'Europe pour opérer une réforme générale des mœurs, et, par elle, le bonheur du genre humain*, 1782). Wreszcie u progu Wielkiej Rewolucji zajął się zagadnieniami prawa (*Le Thémographe ou Idées d'un honnête homme sur un projet de règlement proposé à toutes les nations de l'Europe pour opérer une réforme générale des lois, avec des notes historiques*, 1789). W każdym z tych dzieł zwracał się do całej Europy, do społeczeństw i prawodawców wszystkich krajów chciał być reformatorem generalnym, nie ograniczającym dobrodziejstw, które miały wyniknąć z jego koncepcji, tylko do ojczystej Francji. Niestety, wszystkie te pomysły przechodziły bez echa. W rzeczy samej Rétif niewiele miał do powiedzenia wszędzie tam, gdzie brakło mu rzeczywistego materiału obserwacyjnego, gdzie chciał wyjść poza teraźniejszość ku przyszłości i przewidywać rozwój społeczny. Może dlatego Pornograf, wypełniony nie tylko dziwnymi pomysłami prawodawczymi, ale również dużą dozą obserwacji obyczajowej i analizy socjologicznej, okazał się z tych wszystkich propozycji reformatorskich dziełem najoryginalniejszym i najcenniejszym.

Od chwili wydania Pornografa sprzedaż własnych dzieł i honoraria literackie zapewniły już Rétifowi minimum skromnego utrzymania. Pisał dalej, mieszkając samotnie, w odosobnieniu, wiążąc się tylko przelotnie z poznawanymi kobietami. Romans z każdą ze swoich kochanek przeżywał głęboko, ale krótko, łatwo porzucał i zapominał swoje partnerki, jego „miłosne szaleństwa” były typowym „słomianym ogniem” — w ciągu całego życia tylko kilkanaście dziewczyn zostawiło w jego pamięci trwałe ślady. Nicolas nie pracował już w drukarni, chyba że podejmował się osobiście składu zecerskiego którejs z swoich nowych książek. Chodził często do teatru, w dzień włóczył się po ulicach i obserwował życie we wszystkich jego społecznych i obyczajowych przejawach.

17 kwietnia 1770 roku Nicolas ciężko zaniemógł. Agnès, mimo jego notorycznej niewdzięczności i złośliwości, pośpieszyła roztoczyć opiekę nad przykutym do łóża pisarzem. Można sądzić, że istniała przez czas jakiś szansa naprawy stosunków między

separowanymi małżonkami. Ale Rétif nie był skłonny do wyzbycia się swoich zakorzenionych głęboko uprzedzeń. Do porozumienia nie doszło i nigdy już Nicolas nie wróci do życia rodzinnego. Co więcej, zyskując coraz większy rozgłos i lepszą pozycję w świecie literackim zaczął korzystać ze swoich pisarskich możliwości dla ośmieszania

Agnès: wprowadził jej postać w lekko jedynie zawołanej formie do wielu swoich utworów, przedstawiając ją umyślnie w bardzo niekorzystnym świetle. Pierwsza z powieści, których bohaterka miała być w zamierzeniu Rétifa karykaturą jego żony, wyszła w roku 1773. Było to Małżeństwo paryskie (*Le Ménage parisien ou Déliée et Sotentout*, La Haye 1773). W powieści tej Agnès ukazana została w postaci głównej bohaterki, Victoire-Déliee du Coeur-Volant (znamiennie było owo nom parlant!). Nicolas wysilił tutaj cały swój talent satyryczny, aby ośmieszyć ambicje literackie i towarzyskie swojej eks-małżonki...

W międzyczasie wydał kilka książek, między innymi ukończoną w czerwcu 1772 roku, sławną później powieść pt. Kobieta w trzech okresach swego życia: jako dziewczyna-żona-matka (*La Femme dans les trois états: de fille, d'épouse et de mère*, 1773). Mimo ciągłej pracy pisarskiej znajdował zawsze czas na poszukiwanie przygód erotycznych. 19 lipca 1772 roku poznał 19-letnią Luizę, sierotę, mieszkającą z młodym chirurgiem Alanem, rzekomo swoim „bratem” i opiekunem, ów Alan chętnie zgodził się na powierzenie dziewczyny opiece Rétifa. Przez parę tygodni Nicolas był wniebowzięty. Zaprzyjaźnił się z przyjaciółką Luizy, 21-letnią Teresą, w trójkę prowadzili gospodarstwo domowe; zdawało się, że wracają urocze czasy Zefiry. Nicolas nie był jednak nigdy należycie usposobiony do stałego i długotrwałego związku z kobietą. Dnia 9 sierpnia 1772 roku — datę tę zanotował jak zawsze w swoim kalendarzu — sprowokował nagle przykrą awanturę; ogarnięty chandrą, przynębieniem, zwątpieniem i odrazą do „niemoralności” (jak się okazało, oczywiście chwilową!) zerwał stosunek z Luizą i opuścił obie dziewczyny. Po niewczasie rozpaczał i gryzł się niesamowicie; krążył często wokół miejsca, gdzie po raz pierwszy zobaczył Luizę, marzył o jej odszukaniu — ale dziewczyna gdzieś przepadła i nigdy w życiu już jej nie odzyskał. Kilkanaście dni tego romansu wspominał potem z wielkim rozrzewnieniem: „Ostatni raz kochała mnie wtedy kobieta! — pisał. — Miałem trzydzieści osiem lat! Ostatni raz w życiu byłem kochany!” p

W tym samym roku Agnès Rétif opuściła Paryż i razem z córkami wyniosła się na prowincję. Nicolas po-] czuł się wyzwolony spod nienawistnej obserwacji byłej żony. Rozpacz po utracie Luizy leczył w sposób wielce charakterystyczny: rozpaczliwym, coraz drapieżniej- -J szym rzucaniem się w przelotne miłości, po prostu \ rozpusztą, którą wszelako uważał za jak najdalszą od liber tynizmu: przecież nie szukał chłodnego i wyrafinowanego drażnienia zmysłów, nie szydził z dobrych obyczajów, nie demonstrował drwiącej pogardy dla cnoty i nakazów moralności —. lecz gnany był potrzebą gorącego serca i w egzaltacji szukał istoty, która byłaby wcielonym ideałem kobiecości, tyle tylko, - że jakoś znaleźć jej nie mógł i przez ponury los skazany był na coraz to nowe erotyczne eksperymenty... Rétif potrafił zawsze całkowicie się usprawiedliwić...

W początkach listopada 1775 roku ukazało się wreszcie dzieło, nad którym Rétif pracował od wielu lat, zamierzając ukazać w nim panoramę obyczajów Paryża, ku przestrodze tych wszystkich, którzy lekceważyli sobie straszliwe niebezpieczeństwo libertynizmu. Wieśniak zdeprawowany (*Le Paysan perverti ou les Dangers de la ville*) odrzucany był kolejno, przez kilku księgarzy, którym nie przypadł do gustu zbyt — ich zdaniem — realizm tego dzieła oraz prostota stylu, dopasowana ściśle do osobowości bohaterów. Nicolas wydał więc tę dużą, bo czterotomową powieść, całkowicie własnym sumptem lokując w tym przedsięwzięciu 1500 liwrow, resztę schedy po ojcu, zmarłym w

roku 1763.

Wieśniak zdeprawowany był powieścią autobiograficzną, a wątek jej oparty został przeważnie na osobistych doświadczeniach Rétifa lub kolejach życia członków jego rodziny, z tą oczywiście różnicą, że dla celów moralizatorskich autor doprowadził swoich bohaterów do nędznego końca żywota, w pełni oczywiście zasłużonego wskutek popełnionych wielokrotnie libertyńskich występków. Powieść ta miała być wielkim ostrzeżeniem i pouczeniem. Mieszkańcom wsi, oddalonym od występku wielkich miast, zamierzał Nicolas ukazać „szczęśliwość ich stanu, aby ośmielić ich do pozostawania w tej doli”.

Postać głównego bohatera — Edmunda — Nicolas skroił dokładnie na swoją miarę. Historię jego życia

ułożył z własnych wspomnień, naturalnie do chwili, w której Edmund za swoje libertyńskie wybryki zaczyna ponosić zasłużoną i sprawiedliwą karę — odtąd bowiem autor musiał coraz bardziej posługiwać się fikcją, jako że sam prosperował całkiem nieźle, a i do libertynizmu nie bardzo się przyznawał. W głównej bohaterce powieści Urszuli — Rétif przedstawił swoją rodzoną siostrę, Gèneviève, zwaną w rodzinie Javotte. Doświadczyła ona w Paryżu ponurych przygód, bowiem uwiódł ją i przyprawił o ciężę kapłan-sповідnik, po czym ta typowa ofiara libertynizmu prędko stoczyła się do życia prostytucyjnego. Rétif starał się odmalować zarówno okres przejściowego powodzenia, jak i żalosnego końca swoich bohaterów na bogatym tle obyczajów mieszczaństwa prowincjonalnego i paryskiego; koleje ich życia miały dowieść tezy, iż moralne zdeprawowanie i pogarda dla cnoty nieuchronnie wiodą ku najstraszliwszym nieszczęściom, że rozkosze libertynizmu są złudne i bardzo nietrwałe, a kończą się bolesnym obudzeniem na dnie nędzy i upadku.

Wieśniak zdeprawowany jest powieścią w listach; autor usunął się skwapliwie w cień, przedstawiając się jedynie jako wydawca, który publikuje dokumenty uzyskane od rodziny swoich nieszczęśliwych bohaterów. Inicjatorem publikacji autentycznych rzekomo listów, wymienianych przez wiele lat między bohaterami powieści, uczynił Rétif narratora, Piotra R., brata Edmunda i Urszuli, pobożnego wieśniaka przerażonego zdeprawowaniem i ponurym końcem swego rodzeństwa, który dla ostrzeżenia i pouczenia nierozważnych chłopców i dziewcząt wiejskich, śmiało puszczających się w mieście na mętne wody libertyńskiej obyczajowości, postanowił opublikować te dokumenty hańby i nieszczęścia dwóch ofiar libertynizmu. Piotr R. ułożył te listy w logiczną całość, usunął oczywiście te, które do akcji niczego nie wносиły, skomentował treść, wyjaśniając czytelnikom momenty zbyt zawile, wreszcie — i tu Rétif zastosował bardzo ciekawy chwyt kompozycyjny — usunął z tekstu listów fragmenty zbyt wszeteczne czy bezbożne, w które obfitowała korespondencja Edmunda i Urszuli w okresie, gdy oboje stoczyli się na dno nieokiełznanej rozpusty i libertynizmu.

Miało to dowodzić zarówno powściągliwości „wydawcy”, jak i ogromu zła moralnego i obyczajowego, przez które przeszła para bohaterów, a którego nie godziło się w pełni odsłaniać dla poszanowania „przystojności” i wstydu czytelników.

Bohater powieści, Edmund R. pochodzi ze starej rodziny wieśniaczej, zamieszkałej w S*** (pod tym inicjałem ukrywa się oczywiście rodzinna miejscowość Rétifa, Sacy). Liczna rodzina żyje w spokoju i dostatku, proste obyczaje wiejskie są dla wszystkich źródłem szczęścia i powodzenia. Nadchodzi jednak moment w życiu Edmunda przełomowy i brzemienny w bolesne skutki: wysłany zostaje przez ojca do miasta Au*** (Auxerre) na naukę w pracowni artysty malarza, pana Parangón. Wyjechał dnia 5 października 1748 roku i odtąd będzie spowiadał się — początkowo szczerze, potem coraz powściągliwiej i obłudniej — ze wszystkich swych doznań i przygód starszemu bratu, zacnemu Piotrowi R.'

Pan Parangón jest oczywiście identyczny z drukarzem Fournierem, a żona jego, uroczą pani Parangón — z Marguerittą Fournier. W początkowych fragmentach książki elementy

autobiograficzne tak dalece górują nad literacką fikcją, że tę część utworu można właściwie uważać za trochę tylko zmistyfikowany pamiętnik. Losy Edmunda układają się w tej części arcypodobnie do losów młodego Nicolasa.

Edmund pochłania więc książki, które znalazł w bibliotece pana Parangona, zachwyca się klasykami — Boileau, Molière'm, Racinem (przeżył głęboko lekturę jego Bereniki), ale i cierpi niesłychanie i powodu pogardliwego traktowania, z jakim spotyka się na każdym kroku. Jest przecież młodym wiejskim chłopakiem bez oglądy, więc w zamożnej mieszczańskiej rodzinie nie ma dlań nikt ani szacunku, ani nawet odrobiny sympatii. Z oburzeniem spostrzega, iż dziewczęta wiejskie, służące w domu mieszczanina, traktowane są lekko

i pogardliwie, że każdy może dopuścić się wobec nich wulgarnej poufałości, którą znoszą cierpliwie i obojętnie. Edmund czuje się przygnieciony i zmęczony atmosferą życia miejskiego, w listach do brata pochwała wiejskie obyczaje, wiejską równość i poszanowanie człowieczeństwa. Rétif przedstawił tutaj znakomite studium psychiki młodego wieśniaka, zdumionego obyczajami miasta i z trudem, choć gorliwie adaptującego się do życia w nowym środowisku.

Naiwny Edmund całym sercem uwielbia po cichu łagodną, zastraszoną Tiennete, pokojówką w domu Parangona. A jednocześnie dowiaduje się coraz straszniejszych faktów z życia i obyczajów ludzi, których uważał dotąd za uosobienie cnoty. Młoda kuzynka pani domu, surowa i piękna Manon, imponuje mu i po trosze go pociąga. Gdzieżby jednak śmiał przystąpić do wyniosłej panienki z mieszczańskiej rodziny... Uczy się zawzięcie, powoli nabiera poloru i towarzyskich umiejętności, staje się inteligentnym chłopcem o zgrabnej postawie. Manon zaczyna go uwodzić, Edmund jest oczarowany i nagle... ogląda przypadkiem miłosną scenę między panem Parangón a wyniosłą i niedostępną Manon; jest zdumiony, wstrząśnięty, uwierzyć nie może, iż ta piękna panna jest od dawna kochanką swego kuzyna. Sprawy wikłają się coraz bardziej. Manon utrzymuje, iż skromna Tiennete to w rzeczy samej przewrotna i obłudna rozpustnica. Edmund jest w rozterce. Gdzie ulokować swoje uczucia? Manon? Tiennete? Na razie wybiera trzecią możliwość, na wiejskiej zabawie pod miastem spotyka 16-letnią Edmée i z nią spędza urocze chwile. A jednocześnie wpada pod wpływ dwóch ciekawych postaci: ojca d'Arras, kordeliera z pobliskiego klasztoru, który początkowo wyda się niedoświadczonemu chłopcu pobożnym i mądrym, pełnym cnót kapłanem — oraz kuzyna Manon, młodego libertyna wychowanego w Paryżu, Gaudeta.

Poglądy Edmunda zmieniają się z tygodnia na tydzień — ta ewolucja psychiczna i światopoglądowa młodego chłopca należy do najświetniejszych momentów powieści Rétifa, nikt przed nim nie zdołał ukazać rozwoju świadomości bohatera z równą dociekliwością i doskonałością. Z Paryża wraca pani Parangón — i nieszczęsny Edmund staje przed nowym problemem, jest olśniony jej wdziękiem i urodą. Ale Manon z niespodziewaną determinacją stara się teraz zdobyć uczucia młodego czeladnika. Prze do małżeństwa, wyznaje Edmundowi swoją gorącą miłość, która ogarnęła ją podobno niespodziewanie i przepotężnie. Edmund decyduje się na ślub; nagle pani Parangón ujawnia mu istotne powody namiętności Manon: otóż ta cnotliwa z pozoru piękność jest w ciąży z jej mężem, jest więc w sytuacji zgoła przymusowej, z której nie może się już wywikłać inaczej jak pośpiesznie wychodząc za mąż za kogokolwiek... Albowiem Parangón jest libertynem bez skrupułów i pod pozorami surowych obyczajów ukrywa swoje rozwiązłe życie; uwiódł Manon, sprowadził na drogę rozpusty nieszczęsną Tiennete, dziewczynę prostą i niewinną.

Następuje dramatyczna rozmowa między Manon a Edmundem. Dziewczyna błaga młodzieńca o przebaczenie, żebrze o małżeństwo, kusi go intercyzą, bogatym posagiem, przysięga dozgonną miłość i ślepe posłuszeństwo, pokorę, deklaruje gotowość na wszystko, czego tylko Edmund od niej zażąda, wreszcie kusi go wyrafinowanymi pieszczotami.

Edmund wstrząśnięty, wzruszony, roznamiętniony — ulega i przebacza. Próżno pani Parangón próbuje odwieść go od decyzji małżeństwa, przywodząc na myśl przewrotność i bezwstyd Manon. Edmund prowadzi ją do ołtarza, uznając, że dziewczyna zasługuje mimo wszystko na zaufanie, ale w głębi duszy przekonany jest, że czyni jej łaskę, że nie musi jej ani szanować, ani poważnie traktować. Kuzyn Manon, 32-letni Gaudet, staje się powoli złym duchem Edmunda; pod wpływem sugestii tego cynicznego, bezwzględego libertyna młody i naiwny dotąd chłopak deprawuje się prędko i przyjmuje łatwo wszystkie formy światopoglądu i obyczajowości liber- tyńskiej, odrzuca precz dawne zasady i wpojony w uczciwej, wieśniaczej rodzinie szacunek dla cnoty.

‘Manon opowiada mężowi historię swego upadku, a jest to opowieść ciekawa i charakterystyczna z uwagi na przedstawione tu poglądy Rétifa na rolę literatury w upadku lub odrodzeniu moralnym kobiety. Manon, kuzynka pani Parangón, prowadziła dom malarza w czasie nieobecności jego żony; wkrótce po wyjeździe tej ostatniej do Paryża Parangón, mężczyzna 36-letni, rozpustnik bez sumienia, wyznający po kryjomu światopogląd libertyński, zaczął ją otwarcie adorować. Gdy zawiodły komplementy i pochlebstwa, Parangón chwy-

cil się wypróbowanego podobno sposobu zdeprawowania duszy młodej dziewczyny.

„Spróbował rozzarzyć ogień, który tlił się w mojej piersi, przez lektury rozpustne i zmysłowe. Dał mi do czytania Grób filozofa (*Le Tombeau philosophique*) i Sofę, powieści pani de Villedieu, w których kobiety zamężne śmiało słuchają komplementów i darzą łaskami kochanków. Tą drogą udało mu się zwieść jednocześnie mój umysł i moje serce. Wszelako nie było to dostatecznym dla zatriumfowania nad moją cnotą i pokonania zasad, wpojonych przez dobre wychowanie. Aby zniszczyć jedno i drugie zaczął podsuwać mi książki bezbożne; pierwszą była *Dziewica Orleańska* pana de Voltaire, która wówczas zaczęła właśnie krążyć z rąk do rąk. Trudno było wymyślić rozkoszniejszą truciznę. Dzieło to, które jest bez wątpienia swojego rodzaju arcydziełem, uwiodło najpierw mój umysł urokiem swych wierszy, a następnie wpoilo mi pogardę dla najświętszych spraw religii. Na pomoc tej niebezpiecznej księdze poszły następne *Chryścianizm zdemaskowany* [*Le Christianisme dévoilé*] *Obiad hrabiego de Boulainvilliers* [*Le Diner du Comte Boulainvilliers*], *Święta zaraza* [*La Contagion sacrée*], *Szkice o przesądach* [*L’Essai sur les préjugés*], *Boling- brocke’a Listy o cudach* [*Lettres sur les miracles*], *Wyznanie wiary deisty* [*La Confession de foi des théistes*] — i inne dzieła tego samego pokroju. Gdy w ten sposób pan Parangon oświecał mnie, jak mówił, miał na celu jeno wprowadzenie do mego serca zepsucia, które winno skłonić mnie do marzeń, aby to wszystko, com czytała w tych przeklętych książkach, stało się wreszcie rzeczywistością. W końcu dawał mi do czytania wszystkie najhaniańskie dzieła spłodzone przez lubieżność. Nigdy przedtem nie słyszałam, aby istniały jakieś złe książki, brałam bez nieufności wszystko to co mi podsuwano, i czytałam, najpierw z ciekawości, potem z upodobania. Wreszcie doszło do tego, że sama ich żądałam...”²³ Tak więc głównym narzędziem zdeprawowania Manon była libertyńska literatura. Dziewczyna przeżywała z powodu tych lektur okropne wyrzuty sumienia, widzi, że zmarnowała sobie doszczętnie życie, że stała się niegodna czystej miłości Edmunda, ulegając tak

łatwo pokusom i dając się zwieść Parangonowi. Ale Edmund nie darzy już jej bynajmniej jakimś namiętnym uczuciem. Wyrzuty z wiary i zasad pod wpływem obyczajów środowiska, w którym się obraca, a przede wszystkim złowrogiego deprawatora, libertyna Gaudeta, stacza się szybko w otchłań występku. W listach swych (które coraz rzadziej pisuje do brata, naiwnego Piotra, a coraz częściej do Gaudeta) przyjmuje ton lekki i nieco cyniczny. Bez skrupułów zaczyna oblegać cnotę Laury, 16-letniej kuzyneczki, świeżo przybyłej ze wsi. Ten frywolny romansik przyczyni się do śmierci Manon; miłości Edmunda dochodzą do wiadomości rodziny, oburzeni wieśniacy powiadają o wszystkim Manon; nawrócona

libertynka przeżywa boleśnie tę zdradę; umiera wyrzucając sobie gorzko swój haniebny upadek, który uczynił ją niegodną czystej miłości i szacunku męża, a wskutek tego pchnął go do libertynizmu i rozpusty. Rétif po raz pierwszy zaakcentował tu zasadniczą tezę swojej powieści: owocem grzechu jest ból i rozpacz, występki obraca się zawsze w nieszczęście, rozkosze libertynizmu są złudne i chwilowe. Sprawcami śmierci Manon są pośrednio dwaj demoralizatorzy: kordelier, ojciec d'Arras, który odsłonił wreszcie swoje prawdziwe oblicze, oraz naturalnie Gau- det.

Ten ostatni szczerze wykląda Edmundowi zasady postępowania. „W życiu można być tylko panem albo tylko niewolnikiem”²¹ — stwierdza po prostu. Libertyn, wyzwolony z przesądów i skrępowań, narzuconych przez nierozsądne doktryny religijne i moralne, przez nonsensowne — jak utrzymuje — teorie o obowiązkach jednostki wobec społeczeństwa, jest panem swego losu. „Źródło wszystkich tych błędów stąd się wywodzi, że wyznajesz zasady — przekonuje Gaudet nie całkiem jeszcze nakłonionego do libertynizmu Edmunda. — Nie potrafisz odróżnić tego wszystkiego, co wywodzi się z Natury, od tego, co jest wytworem społeczeństwa. Człowiek żyjący zgodnie z zasadami Natury nie zna innego dobra niż swoją własną korzyść, niż swoje istnienie, na koszt wszystkiego, co go otacza. To jego przyrodzone prawo, prawo wszystkich istot żyjących; Natura pozwala mu jeń korzystać i nie chce bynajmniej w czymkolwiek go ograniczać. Przeciwnie zaś, człowiek społeczny otoczony jest zakazami, spętany, skrępowany tysiącem praw...” Aczkolwiek respektowanie praw społecznych jest konieczne wobec przymusu, jaki wywiera społeczeństwo, to jednak w sumieniu swoim, w głębi duszy trzeba się czuć wyzwolonym od obowiązków innych nad wynikłe z prawa Natury, trzeba dążyć do zaspokojenia wszystkich namiętności, przez Naturę człowiekowi wpojonych²⁵. Obszerny wykład zasad libertynizmu, przedstawiony piórem Gaudeta, należy do najcelniejszych fragmentów powieści. Rétif wyłożył tu zwięźle, chociaż nie bez satyrycznej przesady, stanowisko swoich ideowych przeciwników; chciał obnażyć potworność doktryn tak ówczesnie rozpowszechnionych, a podcinających — jego zdaniem — fundamenty społeczeństwa. Druga połowa powieści jest obrazem wcielania w życie tych zgubnych teorii — i okropnych skutków, do których praktykowanie takich zasad musi nieuchronnie doprowadzić.

Edmund gardzi cnotą i rozpoczyna życie zupełnie już nie skrępowane. Na czas jakiś wiąże się ze śmiałą libertynką, panną Baron. Daremnie przerażony Piotr w swych listach do brata moralizuje i poucza, nakłaniając go do poszanowania cnoty. Edmund odsuwa się od rodziny, zwierza się bratu ostrożnie i połowicznie, całą prawdę o swoim życiu wykląda w listach do Gau- deta. Rétif popisał się tutaj sporą zręcznością w subtelny cieniowaniu psychologicznego rysunku bohaterów: każdy z nich zamyka się nieźle w swym uwarunkowaniu społeczno-obyczajowym i światopoglądowym, do najdrobniejszych szczegółów zachowany jest realizm rozgrywki moralnej i uczuciowej między uczestniczącymi w akcji postaciami. Autor panuje doskonale nad akcją i mentalnością swych bohaterów; fabuła kształtuje się dramatycznie i konsekwentnie, wyzwolona zupełnie od wpływu okoliczności ubocznych, napędzana tylko energią wewnętrznych konfliktów psychologicznych. A jednocześnie tło obyczajowe powieści rozwija się; na drugim planie ukazują się dziesiątki postaci zaangażowanych w ciekawe konflikty obyczajowe, z których autor zręcznie konstruuje barwną panoramę życia mieszczaństwa w latach 1750-tych i 1760-tych.

Edmund, poduszczony przez Gaudeta, oblega cnotę pani Parangon. Ta słabnie w oporze, ale broni się ze wszystkich sił. Wreszcie nadchodzi moment dramatyczny: wykorzystując okazję Edmund gwałci omdlałą panią Parangon. Ten fragment powieści skonstruował Rétif w oparciu o elementy całkowicie autobiograficzne, wspomnienie Margucritty Fournier opanowało go tutaj niepodzielnie. Pani Parangon — podobnie jak jej realny pierwowzór — szaleje z rozpaczki wskutek wyrzutów sumienia, zaraz po odzyskaniu przytomności zdaje się być ogarnięta gorączką. Edmund dzieli jej rozpacz; oto nadużył zaufania kobiety, która

kochając go błagała tylko o oszczędzenie jej h a n b y...

Duchową rozterkę tej pary przerywa nagle wiadomość o porwaniu siostry Edmunda, Urszuli, przez młodego markiza, oczywiście libertyna bez zasad. Panna Urszula, ulubienica pani Parangon, przebywała właśnie w Paryżu pod opieką niejakiej pani Canon. Stała się obiektem adoracji ze strony pewnego arystokraty, a skoro nie okazała gotowości do obdarzenia go swymi łaskami, została pewnego dnia porwana i uwieziona do podmiejskiego petite maison, gdzie padła ofiarą gwałtu. Ponieważ do literackiego portretu Urszuli pozowała ukochana siostra autora, ów postarał się o przedstawienie okoliczności jej upadku w sposób dla dziewczyny jak najpochlebniejszy. Inspektor Marais uśmiełby się jednak serdecznie, gdyby ktoś usiłował mu wmówić, że trzeba było aż porwania i gwałtu, by młodą dziewczynę wiejską, trochę już ogładzoną w mieście, skłonić do kontaktu seksualnego z bogatym arystokratą...

W ciekawy sposób przedstawia Rétif reakcję swego bohatera na wiadomość o „hańbie” siostry. Ów cyniczny libertyn, z lekkim sercem i czystym sumieniem zabawiający się młodymi dziewczętami z Auxerre, nie może ścierpieć myśli, iż niewinna istota stała się oto ofiarą libertyńskich zakusów arystokraty. Oszałały z gniewu śpieszy do Paryża, ciężko rani w pojedynku gwałciciela Urszuli. Nieszczęsny markiz, który swoją przygodę przypłacił nadspodziewanie boleśnie, reaguje również oryginalnie: po wyzdrowieniu zaprzyjaźnia się ze swym dawnym przeciwnikiem i gotów jest nawet... ppślubić Urszulę, która w wyniku przygody w jego podmiejskiej willi powiła właśnie dorodnego chłopca. Lecz sprzeciw rodziny markiza staje na przeszkodzie tym zamiarom (dowiemy się później, iż sprawcą tego oporu był intrygant Gaudet, który dla własnych ponurych celów postanowił pchnąć Urszulę na drogę zupełnego zdeprawowania). Rozżalony markiz żeni się z młodą panną odpowiedniego stanu, zachowując wszelako przyjaźń i szacunek dla dzielnego Edmunda. Urszula zaś poczyni powoli staczać się w bagno liber- tynizmu i jawnej rozpusty.

Życie paryskie zachwyca Edmunda, korzysta ze wszystkich atrakcji, których może dostarczyć wielkie miasto. Bywa często w teatrze, dzieli się w listach spostrzeżeniami z oglądanych przedstawień (warto dodać, że nadzwyczaj interesujące relacje Edmunda z widowisk w Operze Komicznej, Komedii Francuskiej, teatrów jarmarcznych i innych są cennym źródłem do historii teatrów paryskich lat 1750-tych). Trochę maluje i dzięki temu zarabia na życie — praktyka w atelier pana Parangona dała mu przecież spory zasób zawodowych umiejętności — ale przede wszystkim wesoło się bawi. Poznaje liczne tancerki z opery, obserwuje ich życie i obyczaje — te fragmenty powieści zyskały na pewno uznanie inspektora Marais, bowiem mogłyby uchodzić za literackie opracowanie jego codziennych raportów. Wszelako w świadomość Edmunda wsącza się powoli znudzenie i odraza do towarzystwa kobiet jawnie sprostytuowanych. Odwiedza apartamenty w Palais-Royal razem z przyjacielem Négret'em, ale wynosi stamtąd po chwilach miłosnej ekstazy jeno uczucie przesyty i zniechęcenia. Gaudet gani jego nieroztropność, nie należy narażać zdrowia w stosunkach z kobietami nędznej konduity, są przecież dokoła damy eleganckie i wytworne, trzeba szukać szczęścia u kobiet przyzwoitych, toż to takie proste w tym świecie upowszechnionego libertynizmu!

Gdzież jednak młody malarz ma spotykać owe wy- .tworne damy, skłonne do wyrafinowanej gry miłosnej z każdym przystojnym a eleganckim partnerem? Zna tylko jeden dom autentycznego arystokraty, dom markiza, eks-kochanka Urszuli, który mimo dawnych konfliktów darzy go szczerą przyjaźnią. Edmund odwiedza przyjaciela, poznaje żonę jego, uroczą dziewczynę, która nudzi się wyraźnie w towarzystwie małżonka, choć tak niedawno stawała z nim przed ołtarzem. Rozwój stosunków Edmunda z młodą markizą rzuca ciekawe światło na niektóre zjawiska obyczajowe w połowie XVIII wieku. Oto młody malarz zjawił się w domu markiza z pierwszą wizytą. Jest nieco

zażenowany, ale i podniecony, stara się błysnąć dowcipem, ściągnąć na siebie uwagę pięknej damy...

„Gdy pan markiz mnie prezentował, markiza siedziała przy swojej toalecie. Nie obeznany należycie z przyjętymi zwyczajami, zdumiałem się nieco, skoro wprowadzono mnie do pokoju młodej piękności, półnagiej, ukazującej wdzięku tak doskonale, że zdolne porazić oczy śmiertelnika. Króciutka jej spódniczka obnażała piękną nogę, której wdzięku dopełniała urocza stopka; półrozpięty stanik nie ukrywał bynajmniej piersi, można je było obejrzeć w całym ich rozkwicie. Smukła talia miała urok niewypowiedziany, a oczy upojną słodycz; wszystkie te wdzięki uderzały młodzieńczą świeżością. Byłem oszołomiony, markiza dostrzegła to, markiz — zdaje się — również, był bardzo zadowolony. Aby pozwolić mi jakoś się opanować, zaczął wychwalać moje talenty. Młoda dama spytała mię, czy skłonny byłbym poświęcić kilka poranków, aby namalować ją w stroju nimfy?” — Edmund oczywiście był skłonny i najskwapliwiej ofiarował swoje usługi. Poranne seanse, w czasie których markiza prezentowała się w powiewnym stroju z gazy, przyczyniły się znacznie do szybkiego spoufalenia artysty z modelką. Pewnego razu Edmund pokazał markizie namalowany przez siebie akt Urszuli. Zachwycona urodą byłej kochanki męża piękna pani zauważyła: — „Bardzo to miło mieć obraz, na którym jest się całym w swej istocie, gdzie postać nasza nie jest przesłonięta niepotrzebnymi draperiami, które przecież nie są naszym ciałem i doprawdy są niewarte zachodu, jakiego zwykle potrzeba dla ich wymalowania! — W parę dni' później — opowiada Edmund 5 przyszedłem znowu do niej; oświadczono mi przy wejściu, że markiza dziś nie wyjdzie... wszedł markiz. — Przybywa pan w samą porę — powiedział ze śmiechem — właśnie wychodzę z domu i zostawiam żonę samą. Przed chwilą przychwyciłem ją na kontemplacji wizerunku pańskiej siostry; natchnęło mnie to pewną myślą. Gdyby tak zrobić coś dla porównania? Markiza jest chyba równie tego warta! — Ależ — wykrzyknąłem — zgodziłby się pan, abym oglądał... Cicho — przerwał, kładąc mi palec na ustach — spowiednicy, lekarze i malarze mają obowiązek dyskrecji przywiązany do swego stanu...” Akt markizy okazał się dziełem równie doskonałym jak studium nagiej Urszuli; piękna pani była bardzo zadowolona, na wszelki wypadek nakazywała jednak artystcie, by pamiętał o tym, iż „malował ją tylko z wyobraźni”²⁸. Skutek tych artystycznych poczynań był łatwy do przewidzenia: Edmund mógł wkrótce donieść Gaudetowi, że zastosował się do jego rady obcowania tylko z wytwornymi damami.

Wszelako romans z plebejuszem mógł być tylko przelotnym kaprysem arystokratki; Edmund zauważył, iż pięknej pani nie wystarcza jego adoracja — „dała mi pomocnika, gdyż nie chciałbym powiedzieć: rywala”. Wybuch zazdrości kochanka stał się dla markizy pretekstem do położenia kresu zbytniemu spoufaleniu z młodym artystą. Edmundowi pozostała tylko dość dwuznaczna przyjaźń z markizem, który nie przestał interesować się losem Urszuli. Dziewczyna przeszła ciężkie chwile, zawiodła się na uczuciach do kolejnego swego amanta, osobnika podejrzanej konduity, chętnie przyjęła więc ofertę markiza, który zdecydował się w końcu wziąć ją na utrzymanie, zresztą z wiedzą żony, przekonanej, iż jest to decyzja zupełnie naturalna i usprawiedliwiona. Markiz był zdania, że uroda i wdzięk Urszuli powinny zapewnić jej sukces na scenie; dziewczyna brała więc forsowne lekcje tańca, sposobiła się do kariery typowej „filie de l'Opéra”. Po jakimś czasie z dużym powodzeniem zadebiutowała w balecie Kosior i Polluks.

Była to dla dziewczyny tej konduity kariera doskonała i niewątpliwa społeczna stabilizacja. Urszula okazuje się osobką bardzo pojętną; szybko dystansuje brata w libertynizmie, staje się wyrafinowaną kokotą, śmiało poszukującą korzyści materialnych i zmysłowych w typowym życiu XVIII-wiecznej tancerki. Biedny Edmund nie poznaje siostry, dziewczyny kiedyś tak skromnej i powściągliwej; Urszula traci wszystkie hamulce moralne; odkrywa sposoby wyłudzenia od możnych protektorów jak

najhojniejszych prezentów, a jednocześnie odrzuca wszelkie „przesady”* i bez skrupułów zaspokaja kaprysy zmysłów. Pewnego razu kusi nawet brata! Złowrogi Gaudet z zadowoleniem obserwuje ewolucję psychiczną i styl życia Urszuli; dziewczyna zwierza mu się zresztą ze wszystkich swoich kłopotów i sukcesów; wkrótce jest już znudzona monotonią życia tancerki: „Od czasu twego wyjazdu zabawy nasze nie mają nic z pikanterii. Przyjął amanta, wysłuchać jego wzdychań, pochwalić prezenty, wreszcie jak należy za nie zapłacić i zaraz je przepuścić — oto całe moje życie. Żadnej odmiany! Każdy opowiada i robi to samo! Wczoraj mój balet- mistrz przyprowadził mi pewnego ambasadora, czarnego i wyschniętego starca. Potraktowałam go bardzo ozięble; wieczorem, patrzcie: przynoszą mi od niego klejnotów na dziesięć tysięcy talarów! Ano, trzeba było spędzić noc z tym małpisonem. Nigdy jeszcze nie byłam tak umęczona, i cała historia skończyła się dość nieprzyzwoicie... (w tym miejscu Rétif kazał Piotrowi R. zaznaczyć, iż z oryginalnego tekstu usuwa kilka wierszy zbyt wszetecznych). Nie chcę już więcej tych Włochów”²⁷.

Skoro Urszula osiągnęła już dno moralnego upadku, nadszedł — zdaniem autora — właściwy moment, by ukazać jej zasłużoną, a przykładną karę. Dziewczyna zaczyna staczać się coraz niżej. Wpada w ręce szulera, wyrafinowanego oszusta, który prowadzi ją i Edmunda do całkowitej ruiny majątkowej. Pada ofiarą pewnego Włocha, który mszcząc się za doznaną zniewagę każe ją porwać, zmaltretować, a następnie — o zgrozo! — zmusza ją, by poślubiła najnędzniejszego wyrobnika, nosiwodę. Edmund traci ją z oczu, rodzeństwo odnajdzie się dopiero po latach i to w tragicznych okolicznościach. Nieszczęsna Urszula zostaje w końcu prostytutką w najpodlejszych lupanarach. Zarażona chorobą weneryczną, dostaje się do szpitala. Tam dopiero odnajdzie ją przypadkiem owdowiała pani Paragon i otoczy opieką, pomagając dziewczynie wrócić na uczciwą drogę.

Edmund również przeżywa klęskę po klęsce. Nieszczęśliwie kończy się jego romans z 14-letnią Zefirą. Miłostki nie dają mu satysfakcji, sztuka zawodzi jego nadzieje. Chce zostać aktorem, potem pisarzem. Gaudet odstręcza go od tego zamiaru, wykładając przy okazji swoje poglądy na literaturę i los pisarza. „Jeśli któryś z naszych pisarzy ma rzeczywiście talent — utrzymywał ów liberyn, występując tym razem jako porte-parole autora — i dostrzega prawdę, tę prawdę jakże przeciwną dominującym przesądom, to oczywiście albo ją wypowiada, albo przemilcza. Jeśli ją wypowie, dzieło jego ujrzy światło dzienne tylko w potajemnej drukarni, a wówczas przyniesie mu jeno smutny zaszczyt prześladowania; autor znajdzie się może nawet w upokarzającej konieczności tchórzliwego odżegnywania się od płodu swojego geniuszu, zbioru swoich myśli, twórców swojej wyobraźni; albo też będzie musiał uciekać, błędzić, opuszczony przez wszystkich, lub — co gorsza — zależny w czasie tych wędrówek od łaski protektorów, którzy pomogą mu tylko z próżności, a którym nie będzie mógł nawet wywdzięczyc się szacunkiem. Tak, mój drogi, pisarz w naszym kraju nie może być szczęśliwy...”²⁸

Edmund porzucił więc zamiar zarobkowania pifrem. Los nastroczył mu inną możliwość zabezpieczenia swego bytu: małżeństwo z bogatą, ale starą kobietą. Krótko jednak trwało to małżeństwo. Żona Edmunda umiera nagle z objawami zatrucia, mąż jej i Gaudet stają przed sądem oskarżeni o otrucie nieszczęśliwej. Wyrok jest surowy: Gaudet — jako rzekomy inspirator i główny sprawca zbrodni — zostaje skazany na śmierć; przed egzekucją ginie śmiercią samobójczą. Edmund ma wycierpieć dziewięć lat galery; wyrok ten kończy jego liberyńskie występki; czeka go odtąd już tylko pokuta i cierpienie.

Wszelako dusza człowieka zdolna jest do wewnętrznego odrodzenia — utrzymuje autor. Nieszczęśliwa Urszula odprawia surową pokutę, całym życiem chce zmasać hańbę występku. Gdy Edmund cierpi na galerach, Urszulę odnajduje markiz, wyzwolony już z mał-

żeństwa, gotów wrócić do dawnej kochanki. Rétifa opuszcza nagle poczucie realizmu obyczajowego, każe markizowi ubiegać się o związek małżeński z kobietą, która przeszła przez najgorsze upodlenie. Będzie to prawdziwa ekspiacja za grzechy młodości — markiz

jest oczywiście wyleczony całkowicie z libertyńskiego światopoglądu i uważa Urszulę za swoją ofiarę. Małżeństwo tej pary — jakże niepodobne na gruncie rzeczywistych obyczajów epoki — zostaje szybko zrealizowane. Urszula żyje odtąd z markizem „jak święta”. Rétif przezornie nie wyjaśnia, czy bohaterka jego pozbyła się przed ślubem przykrej choroby, która zmusiła ją do tak długiego pobytu w szpitalu; zresztą markizowi cierpienie jej zapewne nie przeszkadzało, gdyż niewątpliwie nosił w sobie identyczny jad. W XVIII wieku trudno było spotkać człowieka z wyższych warstw społecznych, który nie przechodził choroby wenerycznej, przynajmniej w utajonej postaci; za zdrowego uważał się zresztą każdy, kto nie miał jej zewnętrznych objawów.

Ale dawne występki Urszuli mogą być zmyte tylko jej krwią. Edmund wraca z galer, widzi siostrę w towarzystwie markiza. Ogarnięty gorącą nienawiścią do występku, w przystępie szału morduje Urszulę uderzeniem sztyletu, nie wiedząc, że jest ona legalną żoną markiza. Wpada w rozpacz, gdy post factum o wszystkim się dowiaduje. Tragedia jego dopełnia się. Ucieka z Paryża, w Anglii zaciąga się na statek, podróżuje. Wróci po latach do kraju, wynędzniały, zniszczony, chory. Czeką go koniec nędzny i symboliczny: wałęsając się po ulicach Paryża wpada pod karetę i ginie pod jej kołami, unurzany w pyle ulicy, którą tyle razy przemierzał dumnie w czasach libertyńskich wybryków.

I oto rodzina Edmunda i Urszuli, wstrząśnięta tragicznym losem tej pary, podejmuje ważką decyzję: żadnemu z jej członków nie będzie odtąd ■wolno zamieszkać w mieście — trzeba raz na zawsze oddzielić cnotliwych wieśniaków od haniebnego źródła demoralizacji, obyczajów wielkiego miasta. Powstaje więc z inicjatywy rodziny Edmunda wiejska komuna, gdzie obowiązywać ma wspólnota pracy i konsumpcji. Rétif popuścił tu wodze swojej fantazji i przedstawił utopijną wizję sui generis falansteru, którego ustrój społeczny gwarantuje szczęście wszystkim jego mieszkańcom. Równe być tu miały wszelkie obowiązki, równe udziały w korzyściach ze wspólnej pracy. Własność ograniczać się miała do rzeczy ściśle osobistych, a podstawą powszechnego szczęścia miała być bezwzględna reglamentacja życia codziennego, pracy, rozrywek, dosłownie każdego kroku mieszkańców — w myśl opracowanych drobiazgowo zasad życia społecznego, zapobiegających demoralizacji i występki. W rajy tym zapanowało podobno szczęście niczym nie zmacone; ta oaza cnoty odgradzona była starannie od świata zewnętrznego, aby znikąd nie przeniknęła tutaj zaraza libertynizmu...⁷ Doprawdy Rétif jako reformator społeczny nie mógł się poszczycić oryginalnymi koncepcjami!

Wieśniak zdeprawowany jest dziełem złożonym z trzech warstw: analizy psychologicznej, realistycznej obserwacji obyczajowej i sugestii moralizatorskich. Tym ostatnim podporządkowana jest poniekąd cała koncepcja utworu — wszystko ma tu zmierzać do wykazania, że rozwiązłość umysłu i obyczajów prowadzi wprost ku najgorszym nieszczęściom. Rétif jako moralizator okazał oczywiście ogromną naiwność i prostoduszność. Jednakże zasadniczy cel utworu nie wpłynął bynajmniej ujemnie na jego zwartość artystyczną, na doskonałość zawartej w nim obserwacji obyczajowej i poniekąd analizy psychologicznej. Wnikliwa i wszechstronna obserwacja obyczajowa i olbrzymia ilość realiów dotyczących życia rozmaitych warstw stanu trzeciego góruje zresztą nad walorami psychologicznymi powieści. Te ostatnie są bowiem niezrównane, gdy autor ukazuje proces zmian w świadomości bohaterów zmierzających do całkowitego wyzbycia się wiary i moralności chrześcijańskiej, proces wchłaniania cynicznego światopoglądu libertyńskiego. Natomiast proces odwrotny, odzyskiwanie przez bohaterów wiary w cnotę i kształtowanie się w nich postawy ekspiacyjnej, jest mało przekonujący, bowiem ewidentnie nieprawdziwy i wynikający jedynie z moralizatorskich założeń i celów autora.

Wieśniak zdeprawowany okazał się olbrzymim sukcesem literackim; Rétif bardzo prędko mógł wieszować sobie szczęśliwego przypadku, który zmusił go do wydania tej powieści

własnym nakładem, gdyż dzięki temu miał zapewnione wszystkie zyski. Pierwsze wydanie rozeszło się w sześć tygodni, drugie w dwadzieścia dni. Niezwłocznie pojawiły się rozmaite contre- -façons, nie autoryzowane przedruki korsarskie, które prz/czyniły się co prawda do rozślawienia autora, ale poważnie zmniejszyły jego dochody. Po wydaniu Stopki Fančetty Rétif stał się pisarzem uznanym; Pornograf zapewnił mu sławę, ale dopiero Wieśniak zdeprawowany zmusił świat literacki do uznania go za pisarza wybitnego. Wieśniak oceniony został tak wysoko, że przez dłuższy czas publiczność doszukiwała się „rzeczywistego” autora, sądząc, że Rétif, który położył swe nazwisko na karcie tytułowej, jedynie firmował dzieło jakiegoś sławnego, a ukrytego w cieniu pisarza. Przypisywano tę książkę Diderotowi, potem Beaumarchais i dopiero po kilku latach Rétif mógł cieszyć się powszechnym uznaniem swego autorstwa.

Aczkolwiek Wieśniak zdeprawowany wolny jest od jakichkolwiek elementów obscenicznych, a śmiałość jego fabuły polega tylko na przedstawianiu drastycznych sytuacji obyczajowych i budzących oburzenie postaw moralnych, to jednak powieść ta po dziś dzień uchodzi za utwór zbyt naturalistyczny, aby uznanym być mógł za dzieło klasyczne. Wieśniak zdeprawowany przyczynił się niespodziewanie do upowszechnienia sławy Rétifa jako... pornografa, w nowoczesnym, a nie pierwotnym, antycznym znaczeniu tego słowa. Gdy Louis-Sebastien Mercier (zresztą serdeczny przyjaciel i współpracownik Rétifa) przedstawiał w swym Obrazie Paryża rozmaite drastyczne realia obyczajowe, odwoływał się właśnie do Wieśniaka zdeprawowanego jako najlepszej dokumentacji tych zjawisk, podkreślając wszelako, że książka ta mimo śmiałości tematu musi być uznana za moralną i użyteczną. „Odsyłam tutaj czytelników, w sprawach, o których nie mogę rozprawiać — pisał — do tej powieści tak śmiało nakreślonej, która wyszła z druku przed paru laty. Potęga pióra autora uczyniła z niej żywy obraz wszystkich zakusów występku i strasznych niebezpieczeństw, na które niedoświadczenie i cnota wystawione są zawsze w rozwiązłej stolicy. Dzieło to winno stać się zbawiennym lekarstwem, mimo zawartych w nim scen zbyt dosadnych i wyrazistych, gdyż nie znajdzie się chyba na prowincji ani jeden ojciec, który po jego przeczytaniu nie zatrzymałby swego syna wszelkimi siłami przy sobie. Wielkim bowiem niebezpieczeństwem jest ta współczesna mania wysyłania dzieci do Paryża, dokąd przybywają jeno po zgubę i zdeprawowanie”²⁹.

Nicolas tak był usatysfakcjonowany powodzeniem swego dzieła, że po kilku latach raz jeszcze wrócił do tego tematu, pisząc sui generis pendant do Wieśniaka w postaci Wieśniaczki zdeprawowanej (*La Paysanne pervertie ou les Dangers de la ville; histoire d’Ursule R., soeur d’Edmond, le Paysan, mise au jour d’après les véritables lettres des personnages, La Haye et Paris 1784*). Napisał tę książkę we wrześniu 1780 roku, podobno w ciągu trzydziestu dni, ale z powodu sprzeciwu cenzury musiał wstrzymać się z drukiem przez cztery lata. Odwrócił tutaj rolę wątków, eksponując dzieje Urszuli, a usuwając nieco w cień historię Edmunda. Utrzymał oczywiście tę samą konwencję narracyjną; Piotr R., rzekomy wydawca autentycznych listów swego brata i siostry, raz jeszcze dla ostrzeżenia ludzi nierozważnych przed niebezpieczeństwami libertynizmu wraca do ponurych dziejów swoich bliskich i publikuje listy, które nie weszły swego czasu do Wieśniaka zdeprawowanego, bliżej naświetlając losy Urszuli. Mimo powtórzenia fabuły Nicolas zdołał wprowadzić do Wieśniaczki tyle nowego materiału obyczajowego, że powieść ta nieznacznie tylko ustępuje wartością artystyczno-dokumentacyjną pierwszemu opracowaniu tematu; stała się też nieoddziel- nym jego uzupełnieniem. Wieśniaczka zdeprawowana zawiera zresztą znacznie więcej rozważań filozoficzno- obyczajowych, charakteryzujących mentalność bohaterów lub wykładających poglądy autora na ważne zagadnienia społeczne czy artystyczne. Rétif dopasował zręcznie fabułę i charakterystykę postaci występujących w Wieśniaku i Wieśniaczce, tak że trudno dopatrzeć się w obu tych dziełach jakichkolwiek wzajem nych niekonsekwencji. Gaudet w świetle drugiej powieści okazał się postacią jeszcze bardziej

demoniczną, ale ciekawszą i barwniejszą nawet niż w *Wieśniaku*; jego wypowiedzi stanowią interesujący i wszechstronny wykład światopoglądu libertyńskiego, dorzucający wiele cennego materiału do obserwacji zawartych w *Wieśniaku*.

Uzupełniając dzieje Edmunda równoległym opracowaniem historii jego siostry Rétif zrealizował pomysł, który wykorzysta potem Sade, łącząc z historią Justyny niezależną, ale związaną z nią w wielu punktach historię siostry jej Julietty. Nie jest wykluczone, że pomysł Rétifa był formalną inspiracją dla Sade'a, który zresztą w historii Julietty rozbudował wątki bez porównania szerzej, niż uczynił to Rétif dodając do *Wieśniaka* swoją *Wieśniaczkę*.

Rzadko się zdarza, by głęboka wiara kandydata do stanu pisarskiego w swoje talenty i powołanie literackie doczekała się tak niewątpliwego sprawdzenia w praktyce, jak w wypadku Rétifa de la Bretonne. Eks-robotnik drukarski dostąpił awansu społecznego, o jaki w tej epoce było doprawdy trudno: pod koniec lat 1770-tych był już sławnym pisarzem, dzieła jego rozchodziły się we Francji (i całej Europie) w tysiącach egzemplarzy, stał się autorem poczytnym, zarabiał dobrze, przyjmowany był z uznaniem w salonach literackich. Jego płodność pisarska była zaskakująca. Po latach historycy literatury wysuną z tego powodu hipotezę, iż Nicolas był autorem tylko części przypisywanych sobie lub swym nazwiskiem opatrzonych utworów, że niektóre spośród tych dzieł spłodzili jego współpracownicy i przyjaciele — co w czasach, gdy pojęcie praw autorskich było jeszcze niejasne, rzeczywiście mogło się zdarzyć. Współtwórców dzieł Rétifa dopatrywano się w kilkunastu znanych ówczesnie pisarzach; najczęściej wspomniani byli Nougaret, Linguet, Mercier, Palmézeaux, Pidansat de Mairobert — wszyscy oni należeli do bliskich przyjaciół Rétifa. Jednakże supozycje takie nie wydają się uzasadnione. Jedność stylu i idei dzieł przypisywanych

Rétifowi dowodzi, że wyszły one spod pióra jednego tylko autora, choć oczywiście nie możemy wykluczyć jakiejś zbiorowej dyskusji recenzyjnej nad ostateczną postacią tego czy owego dzieła. Natomiast okazało się po latach, iż niektóre książki wydane pod nazwiskami przyjaciół Rétifa były właśnie dziełami autora Pornografa.

Rétif pozostawał w ścisłych stosunkach przyjacielskich przede wszystkim z trzema znakomitymi pisarzami: Sebastianem Mercierem, autorem słynnego *Obrazu Paryża* (wpłynęli wzajemnie na swoją twórczość w bardzo dużym stopniu — *Obraz Paryża* powstał podobno z inspiracji i rady Rétifa, a z kolei *Noce paryskie* zawdzięczają wiele pomysłom Merciera), ze znakomitym autorem *Wesela Figara*, Beaumarchais, i ze świetnym dziennikarzem Pidansafem de Mairobert. Ten ostatni, w pewnym okresie życia przyjaciel najbliższy sercu Nicolasa, popełnił samobójstwo 27 marca 1779 roku; wypadek ten wstrząsnął Rétifem do głębi i na pewien czas wytrącił go zupełnie z pracy twórczej.

Mimo wielu serdecznych przyjaciół i coraz to nowych przygód erotycznych Nicolas starał się mieszkać w odosobnieniu. Gnębiły go stany ostrej depresji psychicznej, dziwaczył, prowadził ekscentryczny tryb życia, ukrywał przed znajomymi swój adres domowy (a mieszkania zmieniał często), listy odbierał w kantorach swoich wydawców. Żywił się na mieście, odwiedzając przy okazji liczne oberże i szynki paryskie, gdzie powoli stał się postacią znaną i charakterystyczną. Wieczorami zaglądał często do teatru, a potem do późna w nocy włóczył się po ulicach i zaułkach Paryża, gnany jakimś nerwicowym niepokojem, rozdygotany, ale jednocześnie baczny na wszystko, co się dokoła działo. Kładł się oczywiście późno, ale podobno snu potrzebował niewiele; budził się wcześnie, latem o szóstej, potem siedząc w łóżku przez całe przedpołudnie pracował śpiesznie nad rękopisami, notując swoje najnowsze obserwacje i przemyślenia. O jedenastej wychodził na miasto, spotykał się z przyjaciółmi, zjadał obiad, a o drugiej był już znowu w domu i do zmierzchu siedział przy stole zarzuconym papierami, póki nie nadeszła wieczorna godzina, chwila narastającego niepokojem i podniecenia,

wypędzająca go zawsze na ulicę. Ten ustalony porządek dnia burzyło często spotkanie z

kobietą — jedynie kobieta potrafiła oderwać go od manuskryptów...

Taki tryb życia nie sprzyjał oczywiście zdrowiu pisarza, ale Rétif rzadko chorował; był silnej kompleksji i doskonałej kondycji, łatwo znosił trudy nieporządnego życia codziennego. Czasami tylko dokuczało mu utajone cierpienie, które dzielił z wszystkimi niemal swoimi współczesnymi — zemsta zbyt lekko traktowanej Afrodyty, ale dożył z tą chorobą późnych lat i nigdy nie wytrąciła go ona z czynnego i bujnego życia.

Cubières-Palmézeaux, aż do śmierci serdeczny przyjaciel i pierwszy biograf Rétifa³⁰, poznał go w roku 1785 i tak wspominał to pierwsze zetknięcie się ze sławnym pisarzem: „Pewnego wieczoru wyszedłem z Komedii Francuskiej, gdzie grano właśnie jakąś nową sztukę, i chcąc kupić jej egzemplarz pośpieszyłem do księgarni wdowy Duchesne, która w tych czasach trzymała na składzie wszystkie nowości dramatyczne. Wchodzę i widzę na środku sklepu mężczyznę z wielkim kapeluszem na głowie, który zakrywał całą prawie jego twarz, w płaszczu z grubego czarnego sukna, spływającym aż za kolana, przewiązanego w pasie jak juczne zwierzę. Człowiek ów wyciągnął z kieszeni małą świeczkę, zapalił ją od lampy stojącej na kontuarze, wsadził do latarenki, którą miał ze sobą, i powoli zaczął wchodzić po schodach wiodących do pokoju na piętrze, nie rzekłszy ani słowa, bez spojrzenia na kogokolwiek czy jakiegoś ukłonu. Zapytałem, cóż to za dziwna figura. — Jak to? Nie zna go pan? Toż to Rétif de la Bretonne...”³¹

W roku 1776, wkrótce po wydaniu Wieśniaka zdeprawowanego, Nicolas zamieszkał przy rue de Bièvre. W sąsiedztwie ściągnęła jego uwagę 19-letnia dziewczyna, mieszkająca z matką. Nazywano ją Wirginią, chociaż nosiła prozaiczne nazwisko Marie-Jeanne François. Rétif przeżywał właśnie jeden z częstych, choć krótkich okresów głodu uczucia i pustki w sercu. Wirginia znalazła się na jego drodze życia akurat w samą porę — podobnie jak wiele jej poprzedniczek i następczyń, które łaskawy los niezawodnie zsyłał pisarzowi w chwilach rozterki i samotności, choć tak na niełaskę

Fortuny zawsze narzekał... Tym razem Nicolas miał duże trudności z nawiązaniem intymnego kontaktu z młodą dziewczyną, jego sławne już nazwisko nic tej pannicy nie mówiło, była niestety analfaberką! Rétif zaofiarował się uczyć ją czytania i pisania, a matce Wirginii, która udawała naiwną, ale — jak się okazało — świetnie orientowała się w możliwościach przehandlowania wdzięków córki, ofiarował na urządzenie domu! — aż 50 ludwików, sumę gigantyczną jak na jego możliwości, no i parokrotnie wyższą od zwyczajnych cen na rynku erotycznym Paryża. Nic dziwnego, że pani François przyjęła amanta córki z wylewną serdecznością. Nicolas zaczął bywać często w domu urządzonym jego kosztem, adorował Wirginię, z szacunkiem traktował zającą mamę. Zdziwiła go tylko duża liczba znajomych odwiedzających stale obie panie. Bystre oko autora Pornografa wysłuchiło prędko istotne przyczyny tak tłumnych odwiedzin: otóż zacne panie były po prostu kurtyzanami, i to wcale nie najwyższej rangi! Rétif wpadł we wściekłość, nie mogąc przeboleć, że tak łatwo dał się oszukać. Ale gwałtowna namiętność do pięknej Wirginii trzymała go ciągle u jej boku, nie potrafił z nią zerwać. Próbował zmusić madame François do porzucenia umiłowanej profesji, w domu Wirginii dochodziło do gorszących awantur, po których Nicolas opuszczał mieszkanie prostytutek przysięgając sobie, że noga jego więcej w tym domu nie stanie, po czym oczywiście wracał i błagał dziewczynę o przebaczenie. Ta upokarzająca sytuacja trwała kilka lat! Dopiero w roku 1781, gdy Wirginia zrobiła niespodziewaną karierę, zostając metresą księcia de Bouillon, Rétif rozstał się z nią na zawsze.

Pod koniec roku 1778 wróciła do Paryża Agnès Rétif wraz z 14-letnią Marion, drugą z kolei córką pisarza. Najstarsza, nosząca imię matki, od niejakiego czasu pracowała już w magazynie mód przy ulicy Saint-Denis. Nicolas uspokoił się nieco w swoich nienawistnych uczuciach do eks-zony, odwiedzał często rodzinę, ale traktował Agnès nadal zimno i pogardliwie. Dziewczęta z magazynów mód, koleżanki najstarszej córki, bardzo go

interesowały; uciekając od Wirginii zachodził często do sklepów i pracowni krawieckich, przesiadywał tam godzinami, uwodził młode szwaczki i modystki, które łatwo dawały się wpisywać do rejestru, z którego miał potem powstać *Mon kalendrier*. W magazynie pani Monclar poznał młodą Flandryjkę, Amelię; później przez czas jakiś romansował z panną Constance, młodą modystką, której poświęcił opowieść pt. *Ojcowskie przekleństwo* (*La Malédiction paternelle, lettres sincères et véritables de N... à ses parents, ses amis et ses maîtresses*, 1780).

Była to jedna z ostatnich powieści Rétifa, których wątek oparty był na fikcji. Po wykorzystaniu elementów autobiograficznych Nicolas zaczął konstruować powieści obyczajowe, których realia były zaczerpnięte z życia, ale przetworzone tak dalece, iż nie miały żadnego związku z jakimiś rzeczywistymi wypadkami. Wszelako ten rodzaj twórczości nie bardzo mu odpowiadał. Już po *Nowym Abelardzie* (*Le Nouvel Abeillard ou Lettres de deux amants qui ne se jamais vus*, 1778), powieści w listach, którą znowu sam składał i drukował w warsztatach André Caillau, był zdecydowany porzucić fikcję i opierać się wyłącznie na faktach, na wydarzeniach naocznie obserwowanych. W latach 1780-tych znacznie zupełnie nowy okres swojej twórczości.

Ale przedtem raz jeszcze wróci do wspomnień dzieciństwa, pisząc jedno ze swych arcydzieł, utwór zupełnie odbiegający charakterem, treścią i nastrojem od reszty jego pism, pełny pogody, będący hołdem dla prostej, bogobojnej pracy na roli: *Życie mojego ojca* (*La Vie de mon père, par l'auteur du Paysan perversi*, 1779). Książka ta okazała się niespodziewanie wielkim sukcesem, Nicolas zarobił na niej 4800 liwrow. Ten subtelny, wnikliwy, pełen zadumy i sentymentu obraz życia na wsi francuskiej w połowie XVIII wieku stał się zresztą najpopularniejszym dziełem Rétifa. Liczne przedruki tej książki udostępniły ją kilku pokoleniom i po dziś dzień Rétif de la Bretonne jest dla wielu czytelników, a nawet historyków literatury, tylko autorem *Życia mojego ojca*, opowieści znakomitej, ale jakże nietypowej dla całokształtu jego twórczości!

W latach 1780-1785 Rétif miał wiele kłopotów z królewską i duchowną cenzurą. Dzieła jego, aczkolwiek tolerowane na zasadach *permission tacite*, traktowane były jako niebezpiecznie atrakcyjne obrazy występku i niemoralności, godne tym większego potępienia, że cieszące się olbrzymią popularnością i poczytnością. Próżno Nicolas przeładowywał swoje powieści wywodami moralizatorskimi, próżno dorabiał dziejom swych zdeprawowanych bohaterów budujące zakończenia i sztuczne pointy, sugerujące czytelnikowi nieopłacalność libertynizmu i odstępstwa od zasad wiary czy moralności. Niewiele to pomagało, cenzorzy wiedzieli doskonale o rozmaitych formach libertyńskiego kamuflażu, a choć Rétif niekoniecznie musiał moralizować tylko dla przemycenia swoich niebezpiecznych fabuł i opisów, bowiem w głębi duszy wierzył w sens nawoływań do poszanowania cnoty, to jednak spotykał się wśród cenzorów z brakiem zaufania i opiniami bardzo negatywnymi. Były to czasy, kiedy dziesiątki pisarzy wędrowały za więzienne kraty, a chociaż takie represje kończyły się z reguły po kilku miesiącach wypuszczeniem nieszczęsnego literata na wolność, to jednak o- strzegawczy sens internowania w Bastylji, Vincennes czy innej twierdzy pojmowali wszyscy doskonale i przygoda taka łamała niejedno pióro. Spośród przyjaciół Rétifa kilku przesiedziało w więzieniach sporo czasu. We wrześniu 1780 roku dostał się do Bastylji Simon-Nicolas Linguet; rychło los ten spotkać miał innego serdecznego przyjaciela pisarza, sławnego Beaumarchais. Nic więc dziwnego, że Nicolas, z natury neurastenik i hipochondryk, żył teraz w ciągłej obawie aresztowania i z dnia na dzień oczekiwał swojego *lettre de cachet*. Stan ten wpływał niekorzystnie na układ jego życia codziennego, coraz częściej uciekał z domu i coraz więcej włóczył się po ulicach. Miało to jednak swoje strony dodatnie. Rétif zbierał dzięki temu obserwacje obyczajowe w znacznie większych niż dawniej ilościach. Znany był już dobrze w całym Paryżu, wiedziano, że interesuje się wszelkimi ciekawymi historiami erotycznymi, skandalami, przestępstwami,

nieszczęściami, a że — jak zawsze — w wielkim mieście nie brakowało przygodnych obserwatorów i chętnych plotkarzy, więc do uszu Rétifa docierały najróżniejsze opowiadania o aktualnych czy niedawnych wydarzeniach we wszystkich niemal dzielnicach Paryża.

Ten olbrzymi zasób obserwacji obyczajowej stał się dla Hétifa tworzywem literackim, z którego wykroić miał wkrótce setki drobnych opowiadań i relacji, składających się na panoramę zwyczajów i obyczajów ludu paryskiego o wiele bogatszą i doskonalszą nawet od obrazów zawartych w jego dotychczasowej twórczości. Zaczął pisać szkice czy swojego rodzaju studia literacko- -obyczajowe o tym wszystkim, co w czasie swych wędrówek po Paryżu widział i słyszał. Powstać miały w ten sposób dwa znakomite cykle utworów — *Moje współczesne* (*Les Contemporaines*) i *Noce paryskie* (*Les Nuits de Paris*).

W latach 1780—1785 Rétif wydał aż 42 tomy z serii *Moje współczesne*; w każdym pomieścił kilka lub kilkanaście opowieści obyczajowych o kobietach czy dziewczętach ze stanu trzeciego, zamieszanych w skandaliczne stosunki miłosne, przestępcze afery czy jakieś niezwykle przygody. Przedstawiał te wypadki na szerokim tle obyczajów środowiska, wnikliwie studiował każdą sytuację, z socjologiczną dociekliwością wyprzedzającą o z górą sto lat właściwą sobie epokę, starał się wyszukiwać społeczne i materialne uwarunkowania mentalności swoich bohaterów. Czterdzieści dwa tomy *Moich współczesnych* zawierają łącznie 272 duże opowiadania i 444 drobne historyjki.

Sukces literacki i czytelniczy *Les Contemporaines* był oszałamiający; tomiki były rozchwytywane, autor zarobił na tych opowiadaniach w ciągu paru lat aż 27 000 liwrow — ale powodzeniu towarzyszyły skandale, które Rétifa dotykały czasem bardzo boleśnie. Bohaterowie opowieści z *Moich współczesnych* nie byli zachwyceni publikowaniem historii ich życia prywatnego ze wszystkimi, nieraz bardzo szokującymi szczegółami. „Rétif de la Bretonne miał ten nieszczęsny zwyczaj opisywania wieczorem, gdy wrócił do siebie, wszystkiego, co widział i słyszał przez cały dzień — wspominał potem Palmézeaux. — Metoda ta miała swoje zalety, ale ściągała więcej jeszcze wielkich niebezpieczeństw, zwłaszcza że drukował niezwłocznie wyniki swoich obserwacji zebranych w ciągu dnia. Kompromitował często osobistości wpływowe i czcigodne [...] w wielu swoich opowiadaniach z serii *Les Contemporaines* przedstawia! wewnętrzne dzieje małżeństw ze swojej dzielnicy, a szczególnie z ulic de la Harpe i Saint-Jacques; opisywał zdrady mężów, sekretne amory żon, pierwsze poczynania córek. Czasami nawet potrafił zdobyć autentyczne listy miłosne tych pań i panów, oczywiście poufne, a wtedy publikował je bez ubiegania się o czyjekolwiek pozwolenie”^{3a}. Nicolas posuwał swą niedyskrecję tak daleko, że przedstawiał swoich bohaterów często pod autentycznymi i pełnymi nazwiskami! Nic więc dziwnego, że ścigany był procesami sądowymi i nieraz z wielkim trudem wywijał się od karnych konsekwencji.

Seria *Moje współczesne* nie zakończyła się na 42-im tomie, bowiem Rétif kontynuował ten rodzaj, zmieniając jednak co nieco charakter szkiców. Starał się odłączyć o unikanie przypadkowości w doborze tematów składających się na każdy tom, poszczególne utwory układał w cykle. W roku 1786 wydał *Francuzki*, czyli trzydzieści cztery przykłady współczesnych obyczajów (*Les Françaises ou trente-quatre exemples choisis d'après les mœurs actuelles*, 4 tomy). Za tą serią poszły zaraz *Paryżanki* (*Les Parisiennes ou quarante caractères généraux pris dans les mœurs actuelles*, 4 tomy, 1787). Wreszcie zakończeniem serii były *Les Filles du Palais-Royal* (3 tomy, wydrukowane w roku 1789, ale wstrzymane przez cenzurę i wypuszczone na rynek dopiero w roku 1790) oraz *Prowincjuszki* (*Les Provinciales ou VAnnée des dames nationales*, 12 tomów, 1791-1794). Cała ta olbrzymia seria liczy więc 65 tomów; jest to — niezależnie od wartości literackiej tych utworów — arcybogata kopalnia dokumentów obyczajowych, ukazujących życie kobiet francuskich ze wszystkich niemal warstw społecznych, z niezwykle bogactwem szczegółów i realiów.

Rétif — jak już wspomnieliśmy — miał znakomicie rozwinięty instynkt socjologiczny, umiał świetnie osadzić swoich bohaterów w realiach społecznych, co więcej — doskonale zdawał sobie sprawę z zależności psychiki i obyczajów od warunków materialnych i stosunków społecznych, upowszechnionych w danej warstwie czy środowisku. W Paryżankach przedstawił na przykład czterdzieści historii dziewcząt i kobiet, ukazując czterdzieści różnych typów psychicznych, ukształtowanych w rozmaitych warunkach społeczno-materialnych i dysponujących rozmaitym doświadczeniem życiowym. W ramach ówczesnej hierarchii społecznej i podziału stanowego wyróżnił dwanaście kategorii socjalnych, określających pozycję kobiet i ich mentalność zależnie od środowiska i wychowania³³.

1. dziewczęta z najbogatszej arystokracji (les filles de la première qualité),
2. dziewczęta z arystokracji niższych stopni (les filles de qualité),
3. dziewczęta ze środowiska szlachty rodowej (les filles nobles),
4. dziewczęta ze środowiska szlachty urzędniczej (les filles de robe),
5. córki bogatych finansistów (les filles de finance),
6. córki zamożnych, mieszczan (les bourgeois),
7. córki bogatych kupców (les filles du bon marchand),
8. dziewczęta z rodzin drobnych sklepikarzy (les filles de marchand ordinaire),
9. córki artystów (les filles d'artistes),
10. córki rzemieślników (les filles d'artisans),
11. robotnice (les ouvrières),
12. dziewczęta z warstw najniższych, biedota (les filles de la populace).

Każdą z tych kondycji socjalnych Rétif zanalizował szczegółowo, doszukując się cech specyficznych i odróżniających mentalność kobiet tego stanu od psychiki i poglądów innych warstw społecznych. Upodobanie Rétifa do klasyfikacji społecznej nie zawsze dawało interesujące wyniki, ale bardzo często dzięki tej metodzie chwycił on in flagranti zjawiska społeczne, które zginęłyby dla potomności, gdyby nie ślad w jego dziełach. Bez szkiców Rétifa trudno byłoby dzisiaj zrozumieć niejedno z wydarzeń społeczno-obyczajowych we Francji końca XVII wieku — on przede wszystkim daje nam klucz do rozwiązania licznych zagadek i tajemnic, które napotyka często badacz historii społecznej czy historii literatury.

W swoich studiach nad obyczajami i życiem kobiet Rétif rozproszył wiele interesujących zaleceń i postula-

tów wychowawczych, obyczajowych, higienicznych nawet, dużo ciekawych spostrzeżeń psychologicznych

o znaczeniu ogólnym lub nieznanym skądinąd realiów życia codziennego. W Paryżankach sporo miejsca poświęcił na przykład problemom higieny osobistej kobiet paryskich, z uznaniem podkreślając ich upodobanie do częstych kąpeli i rozpowszechnienie praktyk higienicznych, które dzisiaj skłonni jesteśmy uważać za wynalazek XX stulecia — „spotyka się tę aż przesadną czystość nawet u gryzetek...”³⁴ Przesadził może w uogólnieniu, ale jednak zostawił nam świadectwo, które warto przeciwstawić rozpowszechnionym w historiografii negatywnym ocenom ogólnego poziomu higieny w całej Europie wieku Oświecenia...

Chociaż Moje współczesne i kontynuacje tej serii cieszyły się niezwykłym powodzeniem, Nicolas obawiał się utraty czytelników wskutek oskarżeń o nieobyczajność, jakie rzucane były coraz częściej na jego twórczość ze strony zagorzałych moralistów. Bronił się więc, biedak, jak mógł, dowodził przy każdej okazji, że książki jego służą moralnemu zbudowaniu czytelników, dołączał do kolejnych tomów Moich współczesnych obszernie enuncjacje wskazujące na moralizatorski charakter tych opowieści. W usta przewodniczącej oryginalnego „towarzystwa propagandy cnoty” (Lycée des Moeurs), które przedstawił w Paryżankach, włożył również obszerną pochwałę swych dzieł: „Powinniśmy czuć się szczęśliwe, drogie panie — mówiła ta dama — że znalazł się w naszych czasach pisarz

odważny, który dostarcza nam odtrutki na te wszystkie powieści i sztuki teatralne, w których cudzołóstwo traktowane jest jak zabawa. Jego Współczesne w całej swej rozciągłości tchną zdrowym duchem, nawet gdy przedstawia nam wydarzenia zbrodnicze. Czytając tego autora czujemy się lepsi, nabieramy odrazy do występku, umacniamy się w miłości cnoty. Zrazu przerażona byłam złem, o którym opowiadał, i nie ośmielałam się go czytać. Zastanowiło mnie wszelako pewne spostrzeżenie: O tym autorze mówią źle tylko ludzie nieuczciwi i libertyni, zwłaszcza zaś pewien kompilator, człowiek godzien pogardy, którego nazwiska nie wspomnę, a który w pewnej „rapsodii” oskarża go o podrywanie obyczajów. Postawa podobne-

go człowieka, którego nieszczęśliwą żonę i biedne dzieci znam dobrze, skłoniła mnie do przeczytania (aczkolwiek z trwogą) pierwszego tomu Moich współczesnych. Byłam zachwycona; zabrałam się do dalszych książek, a znajdując wszędzie jeno jak najzdrowsze myśli, okazałam śmiało oburzenie i pogardę dla podłych oszczerców. Nikt z równą siłą nie przeciwstawia się obecnemu rozluźnieniu obyczajów, jak właśnie autor Współczesnych, przede wszystkim w tym właśnie dziele, ale i książki, które wcześniej ogłosił, są prawdziwą szkołą dobrych obyczajów”. — W tym. miejscu czcigodna przewodnicząca „towarzystwa propagandy cnoty” rozwiódła się szeroko nad Nowym Abelardem i Filozofią mężów (Philosophie des Maris). — „Inne z jego dzieł, które przedstawiano mi jako występne, Kobieta w trzech okresach swego życia, jest również wynikiem obserwacji głębokich i uczciwych, autor daje w tej książce wyborne przestrogi dziewczętom, żonom i matkom. Wspominam tylko o tym dziele, gdyż należy ono do książek najbardziej znieślawianych...”⁸⁵ W innym miejscu zalecając dla panien na wydaniu lekturę Moich współczesnych, Rétif dowodził: „Podobne opowieści nie tylko nie mogą się okazać zbyt liczne, ale przeciwnie, potrzeba właśnie, aby ich liczba była dostatecznie duża, gdyż wtedy dopiero każdy będzie mógł znaleźć wśród nich właściwy dla siebie przykład. Są tacy, którzy utrzymują, że Współczesne nie ponoszą zazwyczaj należytej kary; byłoby jednak wielką szkodą, gdyby pod piórem • pisarza karane były bardziej niż w rzeczywistości... Czyż nie dość mamy dzieł pełnych fałszu i zmyślenia? Przyjmijmy bez protestu przynajmniej jedno, którego zasadnicza treść jest prawdziwa, i w istocie faktów, których dotyczy, i w sposobie wykładu autora...”⁸⁸ Rétif utrzymywał zawsze, iż dzieła jego zawierają prawdę, tylko prawdę i całą prawdę o życiu, o tym, co dzieje się co dzień na oczach wszystkich, że są historią współczesności ujętą z punktu widzenia szarego człowieka, że ukazując zło w rozmaitych jego przejawach służą dobru i skłaniają do cnoty³⁷. Wzywał czytelników do nadsyłania mu materiałów, które mógłby wykorzystać w historiach kobiet Współczesnych, otrzymywał podobno wiele listów i dużo autentycznych relacji.

„Jestem tylko redaktorem, a publiczność jest prawdziwym autorem tego dzieła” — pisał w Nocach paryskich^M.

Utwory składające się na Moje współczesne można nazwać rozmaicie: szkicami, opowiadaniem, zarysami, anegdotami. Wydaje się jednak, że najlepiej pasuje tu nazwa zgoła nie XVIII-wieczna: reportaż. Albowiem Rétif był właściwym twórcą reportażu obyczajowego, stworzył ten gatunek, wyniósł go do rangi dzieła literackiego, upowszechnił, spopularyzował. Po jego śmierci ten rodzaj literacko-dziennikarski poszedł co prawda w zapomnienie i dopiero po latach zaczął rodzić się od nowa — tym razem na łamach prasy. Nikt z historyków prasy nie pamięta dzisiaj o człowieku, który po raz pierwszy w dziejach literatury tak mocno związał sztukę pisarską z realnym, codziennym życiem, który na gorąco, jakby w redakcji wielkiego dziennika XX wieku, przetwarzał aktualne sensacje obyczajowe w historii przeznaczone dla masowego czytelnika, a czynił to tak zręcznie, że tą ulotną z pozoru twórczością zdołał zapewnić sobie trwałe miejsce w historii literatury. Albowiem Rétif pozostałby w pamięci potomności, gdyby napisał tylko Współczesne, gdyby zostawił jedynie te kilkaset opowiadań o kobietach, które w swych indywidualnych dziejach

reprezentowały typowe losy mieszczanek francuskich z końca XVIII wieku, gdyby nawet nie napisał ani *Wieśniaka* zdeprawowanego, ani Pana Mikołaja. Obraz życia stanu trzeciego, zawarty w *Moich współczesnych* i *Nocach paryskich*, uważany jest dzisiaj za jedno z najcenniejszych źródeł do historii społecznej Francji w XVIII wieku. To jedno stwierdzenie wystarczy chyba dla ukazania wartości dzieła *Rétifa de la Bretonne*.

Mieszkanie przy ulicy de Bièvre wynajmował Nicolas od niejakiej pani Debée-Leemann, Flamandki, od dawna zadomowionej w Paryżu. Miała ona córkę, 14-letnią Sarę. Znając usposobienie *Rétifa* trudno się dziwić, że młoda dziewczyna stała się obiektem jego żywego zainteresowania. Sara zachodziła często do pokoju sławnego pisarza, pożyczała od niego książki, a że pani Debée darzyła również *Rétifa* sympatią i uznaniem, więc Nicolas zaprzyjaźnił się prędko z obiema damami. Oczywiście po jakimś czasie zawrócił sobie głowę piękną Sarą i usilnie starał się zdobyć jej przychyłność. Pani Debée, zacna mieszczanica znająca dobrze życie, jego wymagania i potrzeby, wiedziała doskonale, że 14-letnią, pięknie już rozwiniętą córkę, trzeba jakoś na przyszłość zabezpieczyć. Stary adwokat, pan de Vouges, za oddanie mu Sary pod opiekę proponował pani Debée podobno aż 20 000 liwów (wydaje się, że *Rétif* znacznie tu przesadził, co zdarzało mu się nieraz, gdy opowiadał o cenach wdzięków swoich kochanek). Dziewczyna broniła się rozpaczliwie przed tą transakcją, przerażona perspektywą dzielenia łóża z odrażającym starcem; żaliła się *Rétifowi*, ten ją pocieszał, co było oczywiście zajęciem wcale miłym. Aby ratować Sarę przed panem de Vouges, Nicolas zaczął śpiesznie gromadzić pieniądze (zarabiał teraz dobrze dzięki sprzedaży pierwszych tomów *Les Contemporaines*), zaproponował mamie Debée transakcję może nie tak korzystną finansowo, ale niewątpliwie miłą dla Sary — i wreszcie dopiął swego. W styczniu 1781 roku dziewczyna miała go już • pocieszać po przykrych doświadczeniach, jakie wyniósł z romansu z *Wirginią*.

Zdaje się jednak, że piękna 14-latką okazała się nabytkiem wcale nie tak wdzięcznym, jak można było uprzednio się spodziewać. Nicolas wytrzymał z nią tylko cztery miesiące. W kwietniu 1781 roku odstąpił ją — jak powiedział, „dla jej dobra” — pewnemu urzędnikowi królewskiemu panu Butel-Dumont (transakcja taka należała do normalnych obyczajów epoki i nie musimy z tego powodu przypuszczać, iż Nicolas trudnił się obok pisarstwa również i handlem żywym towarem, chociaż dzisiaj nie obroniłby się chyba przed zarzutem stręczycielstwa). Powoli zaczęły jednak wychodzić na jaw nieprzyjemne cechy charakteru Sary; pan Dumont czuł się zawiedziony, w końcu pożegnał niewdzięczną utrzymankę. *Rétif* wziął Sarę znowu pod swoją opiekę, utrzymywał ją i starał się wyprowadzić 'na jakąś przyzwoitą (wedle swoich pojęć) drogę życia. Ale dziewczyna wpadła już w rytm życia swobodnego, całkowicie się wyemancypowała, stała się zupełnie samodzielna w wyszukiwaniu sobie coraz to nowych amantów. Nicolas wykrywał całe legiony potajemnych jej kochanków i gnębił się tym straszliwie. W końcu musiało dojść do zerwania.

Smutna ta historia miała w życiu *Rétifa* wielkie znaczenie przede wszystkim dlatego, że na jej tle osnuł jedno z najdoskonalszych swoich dzieł (przez niektórych historyków literatury stawiane nawet wyżej od sławnej *Manon Lescaut* księdza *Prévosta*) — Ostatnią przygodą czterdziestopięcioletniego mężczyzny (*La Dernière Aventure d'un homme de quarante-cinq ans, nouvelle utile à plus d'un lecteur*, 1783). Z całą boleścią i goryczą przedstawił w tej książce dzieje swojej miłości do Sary, jej niewdzięczność i zdrady; j?o latach zaczął, zresztą — jak zwykle! — dopatrywać się w tej dziewczynie swojej córki. Opowieść tę po latach przeredagował, zastępując część pseudonimów prawdziwymi imionami bohaterów, i włączył ją do swej autobiografii — Pana Mikołaja.

Nawiasem warto dodać, że Ostatnia przygoda czterdziestopięcioletniego mężczyzny była jedynym dziełem *Rétifa*, które — jak dotąd — miało szanse na ukazanie się w polskim przekładzie. Nad tłumaczeniem tej książki pracował bowiem Tadeusz Boy-Żeleński,

zapowiadał jej publikację jeszcze w roku 1935, uważając (i słusznie) tę opowieść za jedno z najcenniejszych i najbardziej charakterystycznych dzieł wielkiego pisarza³⁹, jedynym przekładem ten nigdy się nie ukazał i do chwili obecnej nie mamy w języku polskim najmniejszej nawet próbki twórczości Rétifa.

Po zerwaniu z Sarą Nicolas (jak już wspomnieliśmy, panicznie w tym okresie lękający się aresztowania) coraz bardziej pograżał się w rozterce psychicznej i zdradzał objawy ostrej neurastenii. Niepokój nocny doskwierał mu coraz bardziej; włóczył się coraz dłużej po ulicach i zaułkach Paryża, wracając do domu zwykle nad ranem. Zachodził w miejsca, które w pamięci jego wiązały się z miłosnymi przygodami, wspominał kobiety, z którymi łączyły go intymne związki, a które tak łatwo od siebie odtrącał. Nasilać się w nim poczęła dziwna mania inskrypcji, która ogarnęła go jeszcze w roku 1776. Jakby naśladując zwyczaj uliczników, którzy z upodobaniem kreślą na ścianach rozmaite napisy, Rétif rył nocami na balustradach bulwarów, murach ogrodów, kamiennych okładzinach budynków — swoim składanym nożem — rozmaite sentencje łacińskie i daty, upamiętniające ważne chwile i wydarzenia jego życia osobistego. Od listopada 1779 roku napisy takie pojawiały się na murach Paryża każdej prawie nocy, głównie na bulwarach i zaułkach wyspy Świętego Ludwika, gdzie Rétif zachodził każdego prawie wieczoru. Wędrował potem śladami swoich inskrypcji, odczytywał daty i napisy, wspominał przeszłość, wiązał z tym swoje własne dziwaczne przesady. Ulicznicy drwili z niego i obrzucali go kamieniami, ale krzywdy nikt mu nie robił, był w tej dzielnicy Paryża postacią znaną i zadomowioną, chociaż niepiśmienni plebejusze widzieli w nim tylko dziwaka i półwariata.

Rétif lękał się bardzo, aby te pamiętki jego przeżyć psychicznych nie zaginęły, nie uległy zatarciu, nie zostały umyślnie usunięte. Spisywał je więc i komentował w swoich notatkach, dzięki czemu rzeczywiście przetrwały. Rétifowskie inskrypcje na murach zachowały się co prawda nadspodziewanie długo, niektóre z nich były czytelne jeszcze w roku 1848, później zniknęły jednak bez śladu. Z rękopisu Rétifa, zachowanego w Bibliotece Arsenалу, wydał jednak te przedziwne dokumenty jego życia i przeżyć Paul Cottin w roku 1889, ratując w ten sposób dla potomności niezwykle materiały biograficzne i ślady rozterki duchowej sławnego pisarza **.

W czasie tych nocnych wędrówek zrodził się także pomysł Nocy paryskich. Miały to być opowieści o ludziach i sprawach zauważonych w czasie nocnych wędrówek po ulicach i zaułkach Paryża. Życie XVIII-wiecznej stolicy Francji w nocy bynajmniej nie zamierało, na oczach uważnego obserwatora działy się wydarzenia często niezwykle i sensacyjne. Rétif opisywał wszystko: nieszczęśliwe wypadki na ulicach, porwania dziewcząt, schadzki miłosne, awantury małżeńskie, dzieje pijaków i ludzi ubogich zmuszonych do żebrania, pożary, zabawy ludowe, egzekucje publiczne — a w związku z tym najzwyklejsze sprawy życia codziennego; przedstawiał utajone zakątki i miejsca powszechnie uczęszczane, opisywał mieszkania prywatne, instytucje publiczne — parki i ogrody, oberże, teatry, domy gry... Powstawała w ten sposób bogata kronika codziennego i nocnego życia ludu Paryża, niezwykle zbiór reportaży, znakomicie uzupełniający serię *Les Contemporaines*.

Noce paryskie (*Les Nuits de Paris ou l'Observateur nocturne*) Nicolas zaczął pisać w grudniu 1786 roku, a swoim zwyczajem pisał je i wydawał bardzo szybko. W kilku pierwszych tomach pomieścił obserwacje i uwagi zebrane w latach 1767-1785, potem publikował już materiały gromadzone z dnia na dzień. Zebrało się tych reportaży aż sześć tomów, a treść ich doprowadzona została aż do 16 października 1793 roku, dnia egzekucji Marii Antoniny.

Do swoich Nocy paryskich Rétif wprowadził postać towarzyszącego mu często w wędrówkach przyjaciela, du Hameauneuf'a. Pod tym pseudonimem ukrywał się niejaki de Villeneuve, oryginał, z którym pisarz zaprzyjaźnił się w kwietniu 1784 roku na przyjęciu u prewota kupców paryskich, Le Pelletier'a de Morfontaine. Albowiem Rétif, mimo swego

dziwnego usposobienia i niezwykłych obyczajów, mimo otaczającej go atmosfery skandalu (a może właśnie dlatego) w salonach bogatego mieszczaństwa, a nawet arystokracji był mile widziany. W latach 1780-tych był pisarzem tak znanym, popularnym i cenionym, że o znajomość z nim ubiegały się na

wet osobistości wysoko postawione. Gdy w ciągu dnia wędrował ulicami Paryża w swoim dziwnym czarnym stroju i wielkim kapeluszu, pozdrawiano go, zaczepiano, zapraszano do salonów i na przyjęcia. Nicolas wymawiał się usilnie, czuł się źle w modnym towarzystwie, ale nie zawsze umiał się wyprosić i często stanowił główną atrakcję zebrzań literackich i towarzyskich w wielkich salonach mieszczańskich czy arystokratycznych. Najchętniej odwiedzał jednak dom niejakiego Aleksandra Laurenta Grimod de La Reynière'a. Był to młody jeszcze człowiek, syn bogatego dzierżawcy generalnego, adwokat paryskiego parlamentu i zresztą zdolny pisarz-amator. Poznali się w listopadzie 1782 roku i Grimod, chociaż młodszy o lat dwadzieścia, zaprzyjaźnił się prędko z głośnym pisarzem. Wydawał często śniadania połączone z zebraniami literackimi w pałacyku przy ulicy Boissy-d'Anglas, i tutaj można było Rétifa zaciągnąć najłatwiej, tutaj najchętniej dyskutował w gronie pisarzy i artystów, nie wstydząc się swojego szorstkiego, niemodnego, na poły wieśniaczego stroju, po którym od lat poznawano go na ulicach.

Rétif budził wielkie zainteresowanie nie tylko jako sławny i modny pisarz, ale również jako człowiek otoczony skandaliczną sławą i nie ukrywający bynajmniej sekretów swego życia osobistego. Trudno się dziwić, że Nicolas nie miał najmniejszego szacunku dla tajemnic cudzego życia prywatnego, skoro swoje własne wystawiał bez żenady na widok publiczny. Był naturą ekshibicjonistyczną, wszystkie swe przeżycia uzewnętrzniał łatwo, co więcej, szukał satysfakcji za klęski i niepowodzenia w publicznym prezentowaniu przeżyć i doznań własnych czy swoich najbliższych, w utworach literackich, gdzie rzeczywiste postacie ukryte były pod przejrzystymi kryptonimami, łatwymi do rozszyfrowania, do którego zresztą autor chętnie i często przykładał ręki.

W roku 1785 Rétif ostatecznie zerwał wszelkie stosunki z eks-żoną, Agnès Lébeque. Przyczyniły się do tego nieszczęścia najstarszej córki Rétifów, Agnès, którą matka nakłoniła podobno — wbrew woli ojca — do małżeństwa z niejakim Augé. Ślub odbył się w marcu 1781 roku; wkrótce potem zięć Rétifów okazał się łajdakiem, cynicznym hochsztaplerem, a jednocześnie psychopatycznym zbrodniarzem, który cały swój wysiłek psychiczny i fizyczny skierował na zadawanie okrutnych, choć ordynarnych i niewymyślnych udręczeń nieszczęsnej żonie. Bita, poniewierana, znieważana, kompromitowana Agnès Augé wytrwała wszelako w małżeństwie parę lat, bojąc się szukać opieki u ojca, a nie znajdując zrozumienia u matki. Wreszcie uciekła od męża i wtedy dopiero Rétif poznał całą prawdę

o losie swej córki. Wzburzony do głębi, zirytowany okazywanym podobno przez matkę brakiem wszelkiego współczucia dla poniewieranej córki, napisał śpiesznie dwie niezwykle opowieści: *Niewierną żoną* (*La Femme infidèle*, 1788) oraz *Ingénue Saxancour*, czyli kobietą rozwiedzioną (*Ingénue Saxancour ou la Femme séparée, histoire propre à démontrer, combien il est dangereux pour les filles de se marier par entêtement, et avec précipitation, malgré leurs parents*, 1789). *Niewierna żona* była bezwzględny i brutalny atakiem na nieszczęsną Agnès Lébeque; Nicolas odsłonił bezwstydnie wszystkie tajniki ich pożycia małżeńskiego, za wszelką cenę starając się eks-żonę zhańbić i poniżyć. *Ingénue Saxancour* to poniekąd kontynuacja tamtej opowieści, ale przede wszystkim samodzielna i osobna historia małżeństwa Agnès Rétif z owym Augé. Nicolas opatrzył córkę imieniem *Ingénue*, sobie nadał nazwisko *Saxancour*, zięcia-psychopate obdarzył nazwiskiem *Moresquin*; zresztą przedstawił wypadki z brutalną szczerością, wkładając narrację w usta córki, która dla przestrogi nierozważnych dziewcząt spisała i opublikowała rzekomo swój pamiętnik.

Trzeba przyznać, że jest to dzieło wstrząsające; jeżeli nawet przypuścimy, iż Rétif

znacznie w szczegółach przesadził, to jednak zasadniczy trzon opowieści musi być uznany za prawdziwy. Studium psychopatycznego okrucieństwa, jakie skonstruował Rétif przedstawiając postępowanie Moresquin'a — Augé z nieszczęsną Agnès, można porównać jedynie z odpowiednimi studiami Sade'a. Historia własnego życia, którą Moresquin cynicznie opowiada żonie, godna jest najbardziej upodlonego z bohaterów Justyny czy Julietty — spotykamy tu ten sam ciąg łajdactw i cynicznych zbrodni, do których bez skrępowań przyznają się bohaterowie powieści Sade'a. Moresquin jest osobnikiem przeżartym do głębi kompleksami niższości, zdaje sobie świetnie sprawę ze swej ohydy fizycznej i nicości intelektualnej, i właśnie dlatego szuka satysfakcji w unicestwianiu fizycznym i moralnym bezbronnej istoty, którą los oddał w jego ręce. Cała jego nienawiść do społeczeństwa wyładowana zostaje w poniewieraniu przerażoną Agnès; dziewczyna zmuszana jest do najpodlejszych posług, żywi się resztkami spadłymi ze stołu, musi dosłownie czołgać się przed swym mężem i panem, musi poddawać się jego wynaturzonym działaniom seksualnym, które podejmuje dla większego jej upokorzenia na oczach swych pijanych kompanów — przy tym wszystkim czuje się zupełnie bezbronna, znikąd nie oczekuje pomocy, nigdzie nie może szukać schronienia. Dzieje małżeństwa Agnès | Augé'm są dowodem zdumiewającego tolerowania przez ówczesną obyczajowość zjawisk nawet bardzo drastycznych, które w warunkach społecznych już choćby XIX wieku spowodowałyby niechybnie interwencję władz policyjnych.

Publikacja *Ingénue Saxancour* rozwścieczyła naturalnie skompromitowanego Augé; osobnik ten nie wahał się oskarżyć Rétifa przed władzami policyjnymi i — fakt charakterystyczny — znalazł tam zrozumienie i poparcie, chociaż jego pozycja społeczna nie powinna była bynajmniej skłonić ich do przyjęcia tej skargi z bezkrytycznym zaufaniem (Augé był nędznym urzędnikiem w podrzędnych biurach, wyrzucanym zresztą z pracy co parę miesięcy). Nakład dzieła Rétifa został zajęty, pisarza wezwano na przesłuchanie, wdrożone zostało przeciw niemu śledztwo policyjne. Chodziło oczywiście nie tyle o „zniesławienie” pana Augé, ile o treść i charakter książki, która okazała się znowu niebezpiecznym obrazem występku i rozwiązłych obyczajów (choć trudno było dopatrzeć się w niej elementów libertynizmu, jako że prymitywny psychopata Moresquin nie miał nic wspólnego z cyniczną, ale wyrafinowaną i podbudowaną ideologicznie mentalnością libertynów). Rétif jakoś z tej afery zdołał się wykaraskać; niedługo zresztą przyszło mu czekać na pełną satysfakcję; w czerwcu 1793 roku Augé wpadł na pomysł zamordowania teściowej, Agnès Lébeque-Hétif; skończyło się na szczęście na usiłowaniu, ale i to wystarczyło, aby Moresquin-Augé zakończył życie na gilotynie na placu Grève.

Zanim to jednak nastąpiło, Augé poświęcił wiele starań na wyszukiwanie, wykupywanie i niszczenie tych nielicznych egzemplarzy *Ingénue*, które Rétif zdołał rozproszyc wśród czytelników. Potem dzieło to prowadziła Agnès Augé (która po haniebnej śmierci męża śpiesznie wyszła za mąż za niejakiego Louis'a Vignon) oraz jej potomkowie z obu małżeństw, panowie Augé i Vignon. Rodzina ta wytoczyła nawet w roku 1855 proces o zniesławienie przeciwko Aleksandrowi Dumas, gdy sławny pisarz w jednej ze swych powieści ośmielił się dotknąć dziejów osobistych Rétifa i jego córki.

Wydawać się to może nieco dziwne, gdyż z całej tej afery Agnès wyszła — w świetle opowieści spisanej zręcznym piórem ojca — czysta jak łza i prezentowała się jedynie w roli nieszczęśliwej ofiary. Był wszelako pewien aspekt zagadnienia, który potomkowie Rétifa chcieli za wszelką cenę utaić, a o którym wspomnieć musimy — dla pełniejszego scharakteryzowania osobowości wielkiego pisarza i uchwycenia jednego z rysów obyczajowych epoki, kiedy to pleniły się jawnie najdrastyczniejsze nawet praktyki seksualne. Otóż — jak z naiwną szczerością zanotował Rétif — Moresquin-Augé między innymi

kalumniami rzucał na Agnès oskarżenie o utrzymywanie stosunków seksualnych z własnym ojcem... Oskarżenie o kazirodztwo zdawać by się mogło ponurym tworem imaginacji Augé, ale biorąc pod uwagę uporczywy i od dawna ujawniony kompleks kazirodztwa Rétifa, skłonni jesteśmy dać jednak wiarę jego zbrodniczemu zięciowi. I nawet uwierzyć mu musimy — albowiem w Moich inskrypcjach Nicolas wprost przyznał się do kontaktów fizycznych ze swoją najstarszą córką; zdarzyło się to, o ile możemy ustalić, po ucieczce Agnès od męża, w końcu 1785 roku... "

Dobiegając pięćdziesiątego roku życia Rétif z coraz większym sentymentem spoglądał na dzieje swojej młodości. Od dawna szykował się do pisania autobiografii, przekonany był, że ma wiele do powiedzenia, że

życie jego było tak ciekawe, iż szczerą spowiedź generalną ze wszystkich jego przeżyć i przemyśleń powinna być lekturą pasjonującą... Dzisiaj przyznajemy mu w pełni rację, ale ówczasie trochę inaczej na te sprawy patrzono. Rétif, zachęcony powodzeniem sławnych Wyznań Jana Jakuba, nie bardzo zdawał sobie sprawę, że powtórzenie tego sukcesu przy ówczesnych nastrojach literackiej opinii publicznej nie było możliwe. A zresztą ze swymi konfesjami spóźnił się o kilka lat. Pan Mikołaj ukazał się w czasach Rewolucji — kogóż wtedy obchodziły wspomnienia człowieka, który nie odegrał żadnej większej roli w wypadkach dziejowych, a dotyczące czasów tkwiących jeszcze w pamięci wszystkich tak mocno, że nie trzeba było pomocy literatury, aby je sobie przypominać...

Dnia 14 listopada 1783 roku Rétif zaczął pisać ostatnie wielkie dzieło swojego życia, opatrzone tytułem będącym kwintesencją całej jego osobowości: Pan Mikołaj, czyli serce ludzkie odsłonięte (*Monsieur Nicolas ou le Coeur humain dévoilé*). W dwunastu tomach zawarł dokładną opowieść o dziejach swego życia, w czterech ostatnich rozważania i komentarze uzupełniające tę spowiedź. Pisał tę autobiografię lat czternaście, niektóre fragmenty składał własnoręcznie wprost z kaszty drukarskiej. Pierwszych osiem tomów ukazało się w roku 1794, reszta w roku 1797. Działo się to już w czasach Rewolucji, gdy Rétif przeżywał najsmutniejsze lata swego życia. Składał i drukował Pana Mikołaja we własnym domu, na małej drukarence, którą kupił specjalnie w tym celu. Stał całymi dniami przy kasztach, dobierał czcionki, starając się wyróżniać graficznie fragmenty dotyczące spraw, które w swoim życiu uważał za najważniejsze. Napracował się wielce, całość Pana Mikołaja liczy 4840 stron in 12°, niełatwo było jednemu człowiekowi, choremu już zresztą, steranemu i postarzałemu, dokonać takiego dzieła.

W czasach Rewolucji brakowało lepszego papieru, Rétif tłoczył więc Pana Mikołaja na marnym papierze bibulastym, martwiąc się, czy po kilku latach książki nie rozpadną się w proch. Nakład był niewielki — bowiem pierwszych osiem tomów wydrukował w 450 egzemplarzach, a ostatnie już tylko w 250 egzemplarzach. A mimo to nie mógł wszystkiego sprzedać, Pan Mikołaj rozchodził się powoli i w chwili śmierci Rétifa w domu jego poniewierały się jeszcze całe stopy zbro- azurowanych tomików. Wszystko to bez litości oddano na makulaturę, nikt nie wierzył w wartość wspomnień pisarza, kiedyś co prawda popularnego, ale w chwili śmierci już zapomnianego...

Dopiero potomność doceniła walory tego dzieła. Pan Mikołaj jest autobiografią doprawdy niezwykłą, bowiem łączącą krańcową, ekshibicjonistyczną szczerą wyznaniem osobistych z nadzwyczajną, nieporównaną panoramą realiów obyczajowych i obrazów życia stanu trzeciego w drugiej połowie XVIII wieku. Pod koniec XIX wieku, kiedy Rétif zaczął powoli wracać do łask oficjalnej historii literatury, poczęto badać wiarygodność jego wspomnień, konfrontowano je ze źródłami archiwalnymi, z pamiętnikami współczesnych. Okazało się, że Rétif pozostał sobą do ostatniej karty swoich wspomnień — był genialnym' obserwatorem i sprawozdawcą, a marnym, bardzo nieporadnym twórcą fikcji czy fabuły nierzeczywistej. Nie potrafił kłamać, obnażał wnętrze swej psychiki z jakimś perwersyjnym upodobaniem, i z równym upodobaniem notował i przekazywał ze wszystkimi szczegółami wydarzenia,

których był świadkiem. Studia porównawcze nad sytuacjami i wypadkami historycznymi lub miejscami opisanymi przez Rétifa dowiodły, że był on zdumiewająco wierny prawdzie; Pan Mikołaj i pod tym względem góruje nieskończenie nad najsławniejszym pamiętnikiem wieku XVIII, Wyznaniami Jana Jakuba Rousseau. Zresztą Rétif wspomnienia swoje spisywał bynajmniej nie z pamięci; przez całe życie ogarnięty był pasją historyka- dokumentatora, notował wydarzenia ze swego życia i swoje refleksje, dokładnie zapisywał daty — zgadzają się one nadspodziewanie we wszystkich prawie wypadkach ze źródłami obiektywnymi! Mało jest dzieł w historii pamiętnikarstwa, które byłyby tak pasjonującą lekturą, a zarazem również cennym i wiernym obrazem obyczajów epoki, jak słynna autobiografia Rétifa de la Bretonne.

Po dziś dzień nie jest to jednakże dzieło ani szeroko znane, ani powszechnie czytane.

Znane jest raczej tylko

z omówień historyków literatury lub prób adaptacji, których przykładem może być pierwsze studium literackie, osnute na materiale zaczerpniętym z autobiografii sławnego pisarza — *Les Confidences de Nicolas*, które opublikował w roku 1850 głośny, choć bynajmniej nie pierwszej rangi pisarz francuski — Gérard de Nerval. Ta swojego rodzaju opowieść biograficzna

o życiu Pana Mikołaja, nie najlepiej skonstruowana

1 bardzo dowolnie traktująca dzieje życia Rétifa, pełna nieścisłości i dowodząca, że Nerval — słabo zorientowany w stosunkach społecznych i realiach obyczajowych wieku XVIII — wyobrażał sobie żywot Rétifa na podobieństwo losów pisarza z epoki Ludwika Filipa, nie byłaby może warta wspomnienia w tym miejscu, gdyby nie fakt, że dzieło to zostało niedawno udostępnione w polskim przekładzie pt. *Zwierzchnia Mikołaja Rétifa* (Warszawa 1970), stając się w ten sposób dla polskiego czytelnika pierwszym, niefortunnym wprowadzeniem w historię życia tego niezwykłego pisarza. Trzeba więc zauważyć, że złudne i nieuzasadnione byłoby mniemanie czytelnika, który przeczytawszy opowieść Nerval'a doszedłby do wniosku, że poznał już dzieje Rétifa de la Bretonne, a choćby tylko treść i idee jego sławnej autobiografii.

Wiosną 1789 roku Rétif wyjechał do Szwajcarii w sprawach wydawniczych: starał się załatwić u tamtejszych księgarzy nowe edycje swoich dzieł, we Francji traktowanych przez cenzurę zawsze bardzo podejrzliwie i wskutek tego publikowanych przez miejscowych wydawców z dużymi wahaniem i oporami — mimo znacznej poczytności, jaką cieszyły się wszystkie prawie książki sygnowane „par l'auteur du Paysan Perversi”. Wrócił do Paryża w końcu czerwca, w czasie wielkiego napięcia politycznego. Od dnia 5 maja obradowały w Wersalu Stany Generalne; 17 czerwca, w obliczu jawnego konfliktu przedstawicieli stanu trzeciego z dworem królewskim, deputowani warstw nieuprzywilejowanych ogłosili się Zgromadzeniem Narodowym; 20 czerwca w słynnej Sali Gry w Piłkę członkowie Zgromadzenia zaprzysięgli uroczyście „nie rozłączać się nigdy i zbierać się wszędzie, gdzie będą tego wymagały okoliczności, dopóki konstytucja nie zostanie przyjęta i oparta na mocnych podstawach” 23 czerwca Zgromadzenie Narodowe czynnie przeciwstawiło się żołnierzom gwardii królewskiej, którzy wtargnęli na salę obrad z rozkazem rozpędzenia deputowanych. Tego właśnie dnia dyliżans wiozący Rétifa de la Bretonne wtoczył się na ulicę Paryża. Słowny pisarz z niepokojem wyglądał przez okno śledząc ogromne poruszenie na ulicach Paryża, zbierające się wszędzie tłumy, maszerujące wojska. Nie poznawał swego miasta; ludzie, których życie przedstawiał w swoich książkach, okazali się czymś więcej niż tylko drobnymi kupcami, rzemieślnikami, artystami, wyrobnikami — zajętymi swoim zawodem, gromadzeniem pieniędzy i skromnymi rozrywkami dostępnymi dla swego stanu. Wychodzili teraz na ulicę, podrażnieni, wzburzeni, niezdolni jeszcze uświadomić sobie, czego właściwie pragną, ale gotowi do walki o obalenie dotychczasowego porządku...

W trzy tygodnie potem padła Bastylia, w kilka tygodni później Deklaracja Praw

Człowieka i Obywatela otworzyła nowe perspektywy dla rozwoju politycznego Francji. Do głosu dochodziły warstwy społeczne, których życie i obyczaje Nicolas ukazywał we wszystkich swoich dziełach...

Zdawać by się mogło, że Rétif — plebejusz, człowiek jak najściślej związany z życiem ludu paryskiego, powinien z entuzjazmem powitać upadek rzeczywistości społecznej i politycznej, w której wszelkie prawa i przywileje zastrzeżone były dla nielicznej mniejszości, w której bezlitosne dławienie swobody myśli boleśnie dotykało wszystkich ludzi pióra, nie w mniejszym stopniu również autora *Noc y paryskich*. Ale emocje polityczne wielu ludzi tej epoki nie były zależne wprost od ich pochodzenia społecznego; niejeden plebejusz — który dzięki swemu talentowi i wielkiemu wysiłkowi pracy twórczej wydobyl się z dołów społecznych i wkroczył wreszcie do świata uprzywilejowanego, został uznany przez modne salony literackie, cieszył się przyjaźnią arystokratów, poparciem finansistów, łaskawym spojrzeniem dworaków — z przerażeniem patrzył teraz na rozpadanie się ładu społecznego, w którym znalazł wreszcie wygodną pozycję, w którym był uznany i ceniony, podczas gdy przyszłość kryła w sobie niedocieczone tajemnice przemian i groziła utratą miejsca choćby tylko w przedpokoju uprzywilejowanych, ale często miłszego i bardziej satysfakcjonującego nawet od wyniesionej wysoko rewolucyjnej trybuny... Rétif był marzycielem i propagatorem reform, ale bynajmniej nie rewolucjonistą, wierzył w sens radykalnych przemian społecznych dokonywanych z rozkazu mądrego, oświeconego prawodawcy, ale nie dopatrywał się bynajmniej twórczej siły w roznamiętnieniu i politycznym zaktywizowaniu mas. Bał się zniszczenia dotychczasowego ładu społecznego, bał się motłochu, chociaż w środowisku tego paryskiego motłochu spędził pół życia i znał go doskonale. Był już człowiekiem starym, w roku 1789 kończył lat 55, w tamtych czasach znaczyło to wiele, zwłaszcza dla hulaki, który nawet na miarę tej epoki żył bujnie i z rozmachem, często' ponad swój stan fizyczny, moralny i materialny...

W październiku 1789 roku (gdy w Paryżu zaczął masom ludowym doskwierać głód, ludzie dobijali się

0 świcie do zamkniętych piekarń, wygrażano publicznie uprzywilejowanym i samemu nawet monarsze, gdy wreszcie wzburzony tłum, na którego czele szły setki paryskich przekupek, wdarł się do pałacu w Wersalu

1 po trupach gwardzistów parł do królewskich komnat, żądając porzucenia przez dwór luksusowego Wersalu i przeniesienia się do Paryża), spotkała Rétifa przygoda, która wzbudziła w nim niechęć i nieufność do nowych zwyczajów politycznych, wbrew oczekiwaniom nie tak bynajmniej różnych od praktyki „ancien régime'u”. Niezmordowany wróg Rétifa, Augé, oskarżył teścia

0 autorstwo kilku pamfletów politycznych i dzieł nie- obyczajnych. Rétifa aresztowano i znowu musiał długo tłumaczyć się w śledztwie. Po przesłuchaniu został co prawda wypuszczony na wolność, ale pozostał w nim uraz i lęk, z tego powodu odsunie się w końcu od życia politycznego, w którym mógł przecież odegrać znaczną rolę z racji talentu, wiedzy i reformatorskich zamiłowań. Zapewne dzięki tej powściągliwości przeżył jednak Rewolucję; wydaje się oczywiste, że ów marzyciel i rozpustnik w jednej osobie, którego twórczość tak łatwo było zaczepić z którejkolwiek ideologicznej strony, niezdolny do politycznego lawirowania

1 kamuflażu, skończyłby na gilotynie w tragicznym roku 1793 lub 1794, gdyby nie zapomnienie, które go ocaliło i umożliwiło mu dotrwanie do spokojniejszych czasów Dyrektoriatu.

W początkach Rewolucji starał się jednak dorzucać swoje idee do wielkiego kotła pomysłów i projektów, z którego wyłonić się miała (jak oczekiwano) nowa, sprawiedliwa Francja. Zaczął od sprawy zawsze go bardzo interesującej, reformy obyczajów erotycznych, opublikował anonimowo niezwyklej memorał pt. *Dom Bougre do Stanów Generalnych*, czyli

Skargi odźwiernego klasztoru kartuzów (Dom Bougre aux États Généraux ou Doléances du Portier des Chartreux, par l'auteur de la Foutromanie, 1789). Przypisawszy, dla niepoznaki, dzieło to Sénacowi de Meilhan, który oczywiście nie miał nic z nim wspólnego, Nicolas przedstawił swoje ubolewania z powodu upadku obyczajów i znowu proponował generalną reformę prostytucji, stwierdzając, iż „lekarstwem na wszystkie te nadużycia byłoby, sędzę, przyjęcie systemu nieżyjącego już [sic!] pana de la Bretonne, wielkiego pisarza-moralisty...” Rozważał w tym memoriale, jakie formy obcowania seksualnego szkodzą populacji (wyraził tu zresztą wiele poglądów w świetle dzisiejszej wiedzy seksuologiem-nej zupełnie błędnych) i poddawał pod rozwagę Zgromadzenia Narodowego projekt ustaw, które miały zapewnić przystojność obyczajów i jak największy przyrost naturalny ludności. Rzecz jasna, iż ten przedziwny memoriał zaciekać mógł jedynie miłośników literatury kuriozalnej i w tej tylko dziedzinie jest po dziś dzień notowany i wspominany.

Ale i poważniejsze problemy zaprzętały ówczasnie uwagę Rétifa. W roku 1789 wydał swojego Thesmo- grafa, czyli myśli pewnego przyzwoitego człowieka w sprawach regulacji proponowanej wszystkim narodom Europy dla przeprowadzenia powszechnej reformy praw. Był to już ostatni tom z serii Idées singulières, którą rozpoczął Pornografem. Proponował dla Francji konstytucję na wzór duńskiej (dlaczego akurat wybrał ten wzór, nie zdołał przekonywająco uzasadnić), a zresztą wepchnął w ten tom tyle różnych materiałów, niewiele wspólnego z zasadniczym tematem mających, że książka jego nie mogła być przez nikogo potraktowana serio i nie wzbudziła żadnego zainteresowania. Nicolas w początkach Rewolucji kręcił się wokół osoby Gabriela de Mirabeau, oddawał na jego usługi swoje wypróbowane pióro, w swojej prywatnej drukarni tłoczył broszury polityczne na zamówienie wielkiego trybuna, podobno sam pisał również jakieś pam- flety i memoriały — zarabiał w ten sposób na życie w tym burzliwym okresie, nie sprzyjającym literatu- rze pięknej, którą przygniotła i wyparła na margines zainteresowania powszechnego literaturą polityczną. Po śmierci Mirabeau stracił oparcie finansowe; upadek handlu księgarskiego ściągnął nań biedę; jego tak popularne niegdyś dzieła znajdowały teraz niewielu nabywców. Żył więc z dnia na dzień, korzystając czasem ze wsparcia przyjaciół, pograżał się w osamotnieniu, dziwaczał coraz bardziej. W roku 1794 przyjął posadę korektora w drukarni „Bulletin des Lois”; na stare lata, po tylu sukcesach w dziedzinie literatury, po latach sławy i uznania, musiał więc wrócić do dawnego zawodu, aby zarobić na kawałek chleba! W domu pisał i drukował Pana Mikołaja, pisywał jeszcze Współczesne i Noce paryskie, znajdował nawet księgarzy, pamiętających powodzenie obu tych serii i skłonnych brać w komis jego utwory, ale nie były to już dawne triumfy, dzieła Rétifa rozchodziły się teraz tak wolno, że nie warto było ryzykować większych nakładów; tłoczył swoje tomiki w kilkuset najwyżej egzemplarzach. Dlatego też dzieła Rétifa napisane i wydane w czasach Rewolucji należą do najrzadszych; wydania oryginalne trudno znaleźć w największych nawet bibliotekach, a w handlu antykwarskim na zachodzie Europy pojawiają się wyjątkowo.

Obserwując rozwój Rewolucji Nicolas począł się skłaniać do oryginalnych poglądów społecznych, które można by nazwać „utopijnym komunizmem”. Propagował „wspólnotę własności obywateli”, utrzymując, że skoro gniew ludu zwraca się przeciwko majątkowemu uprzywilejowaniu, należy zniszczyć wszelką własność indywidualną, aby powstrzymać ekspansję żądań mas i ocalić społeczeństwo przed „panowaniem motłochu”. Teorie te były tak naiwne i nieżyciowe, że nie ściągnęły na ich propagatora nawet zainteresowania ze strony władz rewolucyjnych. Rétif głosił je zresztą bardzo powściągliwie, nie starając się wyjść na forum polityczne; mimo maksymalizmu swoich postulatów społecznych nie nawiązał też stosunków z radykalnymi nurtami politycznymi Rewolucji, nie kontaktował się ani z „hébertystami”, ani — później — ze Sprzysiężeniem Równych. Zdaje się, że uchodził powszechnie za dziwaka, którego nie warto było prześladować, z którym nie

warto było również współpracować. Gorzkniał więc coraz bardziej i w beznadziejnym przygnębieniu wędrował codziennie do drukarni „Biuletynu praw”, aby tam starczymi, zmęczonymi oczyma wyszukiwać błędy drukarskie w korektorskich odbitkach.

Rewolucja niczego mu nie dała, zabrała natomiast wiele: sławę, majątek, przyjaciół, towarzyszy pióra

i dyskusji, kobiety... Najbardziej plebejski z głośnych pisarzy francuskich XVIII wieku został odtrącony, sponiewierany i zepchnięty na dno nędzy właśnie przez mieszczańską, plebejską rewolucję! Takie bywają paradoksy historii...

W jednej tylko sprawie Rewolucja przyczyniła się do usatysfakcjonowania Rétifa: dzięki nowemu prawu małżeńskiemu mógł się wreszcie rozwieść urzędowo z Agnes Lsbeque. Dokonał tego na przełomie 1793/94 roku. Niewiele mu to dało, ale ten akt prawny kończył wreszcie trzydziestoletni konflikt z kobietą, którą uważał za największe nieszczęście swego życia i to mu wystarczało. Agnes przyjęła rozwód spokojnie i z godnością. Nigdy zresztą nie zniżyła się do odpowiedzi na ataki i zarzuty Nicolasa, uważała go zawsze za wielkiego pisarza, a gdy umarł, broniła jego pamięci i rangi artystycznej jego dzieł...

Zamach „termidoriański” w lipcu 1794 roku, kładący kres dyktaturze jakobinów, uwolnił Rétifa od strachu przed uwięzieniem i śmiercią; dotychczas aresztowanie było całkiem prawdopodobne, w każdej chwili pisarz mógł być wskutek politycznej denuncjacji, a nawet prywatnej zemsty któregoś ze swych dawnych, a dziś wpływowych wrogów, uznany za

podległego „prawu o podejrzanych”, a potem powędrować na salę rewolucyjnego trybunału i pod ostrze gilotyny. Nastąpiły teraz czasy niespokojne, ale bezpieczne. Za rządów Dyrektoriatu literatura zaczęła wracać do łask społeczeństwa; w sferze światopoglądu i obyczajów libertynizm odżył z niespodziewaną siłą, wkroczył do życia codziennego, do piśmiennictwa, do sztuki. Oschły, ascetyczny moralista Robespierre walczył przedtem uparcie ze wszelkimi przejawami rozluźnienia obyczajów, jako manierą arystokratyczną dowodzącą związków ideowych z epoką „ancien régime”u”, ale była to determi-

nacja oderwanego od życia idealisty, który nie zdawał sobie sprawy, iż można przytłumić na czas jakiś zewnętrzne przejawy obyczajowości, która przyjęła się wśród znacznej części społeczeństwa dawno przed Rewolucją, ale nie uda się zlikwidować tego zjawiska nawet długotrwałym stosowaniem przemocy. Toteż po jego śmierci, gdy ustał terror polityczny, Francja rozszalała obyczajową swobodą, za którą poszła zaraz swoboda literatury, wiernie i realistycznie odbijającej wszelkie przejawy życia codziennego i reagującej szybko na swoiste społeczne zamówienie. Nigdy jeszcze we Francji realistyczna literatura obyczajowa, rejestrująca wszystkie zjawiska z zakresu praktyk erotycznych, nie korzystała z takiej swobody i nie rozwijała się w tak gwałtownym tempie, jak właśnie w latach 1795—1799. Francja przedrewolucyjna przesycona była obyczajową beletrystyką libertyńską, ale była to twórczość ścigana, nielegalna, kolportowana potajemnie; autorzy zbyt swobodnego pióra narażeni byli na prześladowania i kary. W czasach Rewolucji, aż do zamachu 9 Thermido- ra, natężenie problemów politycznych, gwałtowne walki wewnętrzne, lęk o życie, który przytłaczał zarówno mieszkańców Paryża, jak i prowincji, wreszcie zewnętrzne zagrożenie i hasło „Ojczyzna w niebezpieczeństwie” usunęły literaturę obyczajową z pola widzenia całego społeczeństwa. Ale teraz nadchodziły czasy odprężenia i względnego spokoju.

Rewolucja namnożyła nowobogackich, majątek arystokratów przepłynął w ręce mieszcuchów, spekulantów, fabrykantów, urzędników, pojawiły się tysiące mieszczańskiej „złotej młodzieży”, żadnej użycia bardziej jeszcze niż arystokracji „ancien régime”u”, chętnie przejmującej wszystkie formy wyrafinowania i luksusu, którymi cieszyli się tamci uprzywilejowani. Świat, którego obyczaje Rétif de la Bretonne tak wszechstronnie i wnikliwie przedstawił w swoich dziełach, wstrząśnięty został do głębi, rozmyty falą Rewolucji i przeorganizowany, ale odżył nagle w nowym układzie stosunków i znowu począł

funkcjonować z całym bogactwem zjawisk stanowiących dla pisarza od wielu lat znakomite tworzywo literackie. A teraz można już było pisać o tym wszystkim z całą swobodą; żaden cenzor królewski nie był w stanie zakazać druku; żaden *lettre de cachet* nie mógł wtrącić pisarza do Bastylli czy Vincennes; nie trzeba było wozić rękopisów zbyt śmiałych dzieł potajemnie do podparyskich drukarni i kłaść na tytułowych kartach fałszywe daty i miejsca publikacji; panowała we Francji zupełna wolność druku, pisarze i publicyści mieli przed sobą kilka lat swobody, póki nie położył jej kresu Pierwszy Konsul, przekonany o potrzebie utrzymania ładu społecznego i porządku obyczajowego za wszelką cenę, póki Cesarz nie uznał za konieczne skierowanie wszystkich sił i całej świadomości społeczeństwa ku krwawej chwale Francji.

...A przecież nikt z pisarzy francuskich końca XVIII wieku nie był bardziej powołany przez swój talent

i doświadczenia do ukazania całej złożoności i barwności obyczajów roku IV, V, VI, VII, VIII, niż *Rétif de la Bretonne*... Powinni o nim pamiętać drukarze i wydawcy, on sam powinien był chyba zrozumieć swoje powołanie... Ale *Nicolas* był już człowiekiem o psychice zdruzgotanej. Pamiętał o swym powodzeniu w przeszłości i tym bardziej cierpiał z powodu aktualnego niedoceny, nie umiał walczyć o nową pozycję w społeczeństwie, chciał uznania w oparciu o dawną chwałę. Wspomnienie olbrzymiej popularności *Rétifa* przed rokiem 1789 nie sprzyjało jednak wysokiej ocenie jego dzieła wśród twórców, którzy wyznawali teraz sztywne, uroczyste doktryny klasycyzmu. Gdy w roku 1795 powstał Instytut Francuski, w skład którego wchodziła Akademia Literatury, stary, wypróbowany przyjaciel, *Louis-Sébastien Mercier* zaproponował między innymi kandydaturę *Rétifa* na członka „klasy literatury i sztuk pięknych”. „Ależ, panowie, czyż to się godzi? — zaproponował przewodniczący. — Przyznaję, że pan de la Bretonne zdradza cechy geniuszu, ale przecież nie ma wcale gustu...” „— A to nie wystarczy? — zareplikował *Mercier*. — Kto z nas, panowie, mógłby z czystym sumieniem oświadczyć, że ma w sobie cechy geniuszu?” Ale nie przemówiło to do przekonania głoszącemu zgromadzeniu. *Rétif* otrzymał jedynie dwa głosy; za godnego członkostwa Instytutu uznali go tylko dwaj pisarze: *Mercier* i *Bernardin de Saint-Pierre*, autor *Pawła i Wirginii*⁴².

Nicolas przeżył ten zawód bardzo boleśnie. Trzeba pamiętać, że *Rétif* przez całe życie cierpiał na kompleks parweniusza, że nawet po osiągnięciu olbrzymiej popularności i powszechnego uznania w latach 1780-tych lękał się zawsze, iż nie jest autorem dostatecznie cenionym, że jego pozycja artystyczna jest kwestionowana, a pozycja społeczna wątpliwa, chwiejna i tymczasowa. Potrzebował ciągłego sprawdzania tych swoich kwalifikacji, przed Rewolucją cieszył się jak dziecko każdym słowem uznania, każdym przejawem szacunku czy przyjaźni ze strony osób o poważnej pozycji w społeczeństwie. Wypadki rewolucyjne odebrały mu popularność, strąciły go na dno nędzy, ale przecież nie były w stanie przekreślić obiektywnej wartości jego dzieł — jeżeli te dzieła naprawdę były coś warte... I oto najwyższy areopag ludzi pióra, wyrokujący o artyzmie, użyteczności i dobrym smaku dzieł literackich, odsądził go od rangi pisarza wybitnego... Był więc tylko pisarzem przez pewien czas popularnym, nie stworzył niczego, co godne byłoby uznania potomności, miał tylko talent, tylko przebliski geniuszu, ale nie miał gustu.

Bieda dokuczała, *Rétif* począł myśleć o wyniesieniu się z Paryża, co trzeba poczytać za decyzję zgoła rozpaczliwą, zważywszy, jak liczne związki od kilkadziesiąt lat łączyły go z tym miastem. W początkach roku 1798 wziął udział w otwartym konkursie na stanowisko profesora historii w szkole centralnej w Moulins, stolicy departamentu de l'Allier, obejmującego teraz część obszarów Bourbonnais i Owernii. Jego plan wykładów został uznany za najlepszy i dnia 3 maja 1798 roku otrzymał nominację na profesora historii w miejscowym liceum. *Rétif* profesorem historii i wychowawcą młodzieży! Do tego ostatniego powołania od dawna się przyznawał, ale kwalifikacji historyka chyba nie miał, jeżeli nie brać

pod uwagę jego niezwykłego odczytania. Jednakże do objęcia profesury nie doszło. Rétif z kariery nauczycielskiej w końcu zrezygnował. Po półtorarocznym oczekiwaniu na przyjazd pisarza zgromadzenie departamentu de l'Allier uznało nominację za cofniętą i zerwało umowę z panem Réti- fem de la Bretonne.

Dobrze się chyba stało, że Nicolas nie otrzymał funkcji wychowawcy i nauczyciela młodzieży, bowiem w wypadku realizacji tego projektu wyszedłby potem na jaw zbieg okoliczności dopisujący do całej tej historii pointę niezwykłą, a stawiającą historyków szkolnictwa francuskiego w trochę śmiesznej sytuacji. Albowiem Rétif właśnie w roku 1798 wydał pewną książkę, której autorstwo nie powinno być raczej uznane za kwalifikację do zawodu nauczycielskiego.

W roku 1797 ukazało się drukiem i rozeszło się w Paryżu nowe, poszerzone wydanie Justyny markiza de Sade (*La Nouvelle Justine ou les Malheurs de la Vertu, en Hollande* 1797, 4 tomy). Sade, który pierwszą wersję Justyny wydał w roku 1791, rozbudował teraz fabułę powieści, wzbogacając utwór o dodatkową argumentację filozoficzną oraz opisy seksuologiczne nowych niezwykłych sytuacji, przez co znacznie zaostrzył i tak już drastyczną treść swego dzieła. Nicolas przeczytał tę książkę z wielkim oburzeniem i zgorzaniem, dochodząc do wniosku, że jest to plód umysłu zbrodniarza, który postanowił zdeprawować społeczeństwo, ukazując mu najstraszliwsze wynaturzenia miłości. Rétif, którego wielki żywiołowy talent pisarski oparty był na genialnej umiejętności obserwowania różnorodnych, ale zewnętrznych zjawisk obyczajowych, był w rzeczy samej człowiekiem prostodusznym, był optymistą wierzącym w prawość natury człowieka i możliwość właściwego wychowania społeczeństwa przez ukazywanie mu odpowiednio skomentowanej prawdy o życiu. Obca

i niezrozumiała była dla Rétifa brutalna introspekcja Sade'a w głąb natury ludzkiej. Bezwzględne obnażanie całej świadomości i podświadomości człowieka, ukazywanie wszystkich elementów świadomości w stanie pełnej i nie okiełznanej realizacji, zdawało się Rétifowi (jak i wielu jego współczesnym) po prostu jakimś wynaturzeniem imaginacji autora, sztucznym fabrykowaniem zjawisk, które w rzeczywistości nigdy nie występowały. Rétif postanowił Sade'owi odpowiedzieć dziełem znacznie — w jego zamierzeniu — doskonalszym, które miało dowieść absolutnej fałszywości tej wizji praktyk i obyczajów seksualnych, którą przedstawił autor Justyny. W początkach roku 1798 wydał pod nazwiskiem słynnego adwokata i publicysty, a swego dłu

goletniego przyjaciela Lingueta dzieło zatytułowane *Anty-Justyna, czyli rozkosze miłości* (*L'Anti-Justine ou les Délices de VAmour, par M. Linguet, avocat au et en Parlement*, 1798, 2 tomy). Występując pod imieniem Lingueta Nicolas tak stwierdzał na wstępie swojej opowieści: „Nikogo chyba nie przepoiły równym niż mnie wstrętem brudne plody niesławnego markiza de Sade, jego Justyny, Aliny, Buduary, Teorie libertynizmu, które czytałem w więzieniu³. Ten zbrodniarz [ce scélérat] przedstawia męskie przeżycia miłosne zawsze skojarzone z torturami, a nawet śmiercią kobiet. Moim zamiarem jest stworzyć opowieść doskonalszą i wdzięczniejszą, opowieść, którą żony mogłyby dawać do czytania swoim mężom, w której zmysły przemawiałyby do serca, a libertynizm nie wiązałby się z okrucieństwem w stosunku do płci pięknej”⁴⁴. Niektórzy badacze są zdania, że Rétif nie traktował poważnie swojego zadania, że zamierzał przedstawić swego rodzaju parodię twórczości Sade'a, dowodząc, iż możliwe jest napisanie opowieści równie drastycznej, co Nowa Justyna bez przedstawiania okrucieństwa i algolagnii. Hipoteza ta wydaje się wątpliwa. Rétif swoją koncepcję seksualizmu traktował chyba całkiem serio; władował w tę opowieść (aczkolwiek nie wolną od elementów groteski) zbyt wiele materiału autobiograficznego, aby skłonny był szydzić jawnie i bezwzględnie ze swojego boha- tera-narratora, Cupidonnetta, który spowiada się czytelnikom ze swych przygód miłosnych od wczesnej młodości po wiek dojrzały. Jeżeli Nicolas sądził, że *Anty-Justyna* będzie druzgoczącą repliką na powieść Sade'a, to

wielce się pomylił. Książka ta jest dziełem równie oryginalnym i ciekawym z racji swej dziwacznej treści, jak słabym kompozycyjnie i ubogim w obserwacje ściśle obyczajowe, które stanowiły zawsze o wartości dzieł Rétifa. Nie była to godna odpowiedź na Nową Justyną ani nawet dzieło mogące stanąć obok powieści Sade'a z racji bogactwa analizy psychoseksuologicznej i koncepcji filozoficznych. W jednej tylko konkurencji Rétif odniósł rzekomo zwycięstwo nad książką markiza; znakomity znawca zagadnienia, de Villeneuve, stwierdził po latach, iż Anty-Justyna jest „najsłynniejszą liberynską powieścią w naszej literaturze” (la production la plus outranciè- rement libertine de notre littérature)⁴⁵. A więc nie' Sade, lecz zawzięty moralista Rétif pobił, jego zdaniem, rekord śmiałości w traktowaniu spraw erotyki na całej przestrzeni dziejów literatury francuskiej aż do końca XIX wieku! Książka jego wolna była w zasadzie od opisów algolagnii i okrucieństwa, obfitowała za to w elementy kazirodztwa; Rétif dał pełną folgę swojemu kompleksowi... Anty-Justyna rozeszła się w niewielu egzemplarzach, po upadku Dyrektoriatu ścigana była bezwzględnie przez policję obyczajową i aż do dnia dzisiejszego nie wyszła z literackich podziemi, wydawana była tylko potajemnie przez spekulantów zbijających majątek na dziełach osławionych jako pornograficzne. Pierwszy nakład został zacytowany (i wyniszczony) do tego stopnia, że w początkach XX wieku paryska Biblioteka Narodowa miała tylko jeden kompletny egzemplarz Anty- - Justyny i trzy poważnie okaleczone. (Wszystkie przechowywane były oczywiście w dziale prohibitów obyczajowych, osławionym Piekło (Enfer) Bibliothèque Nationale). Ale i ten kompletny egzemplarz pozbawiony był ilustracji; Anty-Justyna wyszła mianowicie z 38 grawiurami o niezwykle śmiałej oczywiście tematyce; z egzemplarza paryskiej Biblioteki Narodowej znane są tylko dwie ilustracje i na tym przykładzie wnioskować możemy o jakości całego materiału ikonograficznego książki. Gdy Anty-Justyna wchodziła na rynek księgarski, a w odległym liceum w Moulins oczekiwano niecierpliwie nowego wykładowcy historii, Nicolas zdobył wreszcie pracę w Paryżu. Ratusz przyszedł w ostatniej chwili. Ktoś zainteresował się jednak tragicznym losem Rétifa i wyjednał mu posadę w ministerstwie policji. Od dnia 1 floréala VI roku Republiki (20 kwietnia 1798) Nicolas objął tam stanowisko pod szefa jednego z biur, z pensją 4000 franków rocznie, czyli 333 franków miesięcznie. Była to prawdziwa fortuna dla człowieka, który żył teraz z pożyczek i datków przyjaciół. Podszef biura w ministerium — była to posada i intratna, i wpływowa. Powierzono Rétifowi część zadań tzw. Czarnego

Gabinetu (Cabinet Noir), który był czymś w rodzaju biura kontrwywiadowczego; zajmował się tutaj perłową korespondencją hiszpańską — dość dziwne zadanie dla człowieka, który język hiszpański znał podobno dość dobrze, ale tylko z samouctwa, a całym swym doświadczeniem życiowym predestynowany był chyba do zadań miejscowych, jako świetny znawca stosunków wśród niższych warstw społecznych Paryża.

Ta praca w biurze policji ściągnęła potem na Rétifa daleko idące podejrzenia historyków. W jaki sposób zapomniany i w nędzy pogrążony pisarz mógł nagle dochrapać się takiego stanowiska? Dlaczego właśnie ministerstwo policji? A czemu właściwie przez tyle lat Rétif włóczył się nocami po ulicach Paryża, zaglądał do szynków, knajp, domów gry, lupanarów, teatrów, hoteli, mieszkań prywatnych, sklepów... Czy naprawdę interesowały go po prostu obyczaje nędznego plebsu? Czy raczej nie pozostawał od lat — w największym sekrecie — na służbie tajnej policji królewskiej, z którą może i zerwał po upadku monarchii, ale odszukany po latach jako specjalista, wrócił zaraz do dawnego zawodu, tym razem do centrali, na stanowisko szefa jednego z działów?... W ten sposób połowę jego dzieł — Moje współczesne, Noce paryskie — można by uznać za literackie opracowanie urzędowych raportów, które składał swoim przełożonym i mocodawcom w ciągu wielu lat policyjnej służby...

Tylko gdzie się podziały oryginały tych raportów?

I czy subordynowany agent policji mógł tak dowolnie operować materiałem zebrany dla celów służbowych? Czy miałaby takie kłopoty z władzami, gdyby pozostawał na policyjnej służbie? I czy zięć-przestępca, pan Augé, zdołałby parę razy wdrożyć przeciw pisarzowi śledztwo i spowodować jego uwięzienie — gdyby Rétif rzeczywiście przez całe lata pozostawał na służbie tajnej policji?

Dotychczas sprawy tej nie wyjaśniono. Rétif jest ciągle postacią tajemniczą; mnożą się wokół niego zagadki i wątpliwości. Znamy go z dzieł i autobiografii; znamy ze wspomnień współczesnych, ale czy jest jakaś nieznana strona jego działalności? Czy naprawdę istnieje Rétif, cet inconnu?

W ministerstwie policji Rétif pracował zresztą tylko cztery lata; w czerwcu 1802 roku, w czasie reorganizacji centralnych urzędów państwowych, został zwolniony z pracy i odtąd jedynym źródłem jego dochodów stały się znowu drobne wpływy ze sprzedaży dzieł literackich. Stołował się teraz u swojej młodszej córki Marion, wdowy obciążonej trojgiem dzieci, prześladował tę nieszczęsną kobietę, oddaną mu całym sercem, nieustannymi wyrzutami i podejrzeniami, ogarnięty był manią prześladowczą, dziwaczał już ostatecznie. Trochę pisał, roił sobie wielkie plany dalszej twórczości, ciągle marzył o odzyskaniu dawnej sławy.

Ostatnie lata jego życia opromieniała mu tylko znajomość z niezwykłą kobietą — ni to platoniczny romans, ni przyjaźń. Hrabina Fanny de Beauharnais była swego czasu, na długo przed Rewolucją, głośną poetką i pisarką; utwory jej przyjmowane były bardzo różnie, nie brakło wśród najwybitniejszych ludzi pióra tej epoki kpiarzy wyszydzających jej literackie ambi- eje — ale jej sławny salon literacki w Paryżu gromadził zawsze dziesiątki znakomitych twórców, myślicie

li, artystów. W latach 1780-tych była kochanką pisarza Cubières-Palmézeaux, późniejszego biografą Rétifa. Nicolas poznał ją w roku 1787 i bywał w jej salonie mile widzianym gościem. W czasach Dyrektoriatu

i Konsulatu (notabene, Fanny była ciotką żony Pierwszego Konsula, Józefiny) znalazł tam pomoc i oparcie. Fanny de Beauharnais była od niego tylko cztery lata młodsza, ale okazywała mu tyle sympatii i uznania, iż mógł chwilami sądzić, że znowu jest kochany. Odwiedzał ją co piątek w hotelu przy ulicy de Toumon, przynosił i czytał fragmenty swoich nowych utworów, Fanny zachęcała go do pracy, wierzyła jeszcze w jego talent, chociaż dobiegał już siedemdziesiątki i był już tylko schorowanym starcem, niepodobnym do dawnego, pełnego wigoru mężczyzny, kochanka tylu zwykłych i niezwykłych kobiet.

Śmierć powoli zaglądała mu w oczy, wiedział, że nie ma już przed sobą długiego życia. Ogarniał go niepokój, że nie zdąży napisać lub utrwalić drukiem wszystkich zaplanowanych dzieł, pisał więc śpiesznie, ostatnie grosze wydawał na publikacje swoich książek — których już nikt prawie nie kupował i nie czytał. Stało się to jego manią — wydrukować jak najwięcej, nie pozwolić, by którakolwiek z jego myśli przepadła z nim razem w mogile...

W takim nastroju powstał pomysł ostatniej książki, którą zdołał ogłosić za życia, utworu niezwykłego i godnego uwagi, dorównującego walorami artystycznymi dawnym jego dziełom z najlepszych lat twórczości. Były to Listy pośmiertne (*Les Posthumes, lettres reçues après la mort du mari par sa femme qui le croit à Florence*, 1802, 4 tomy). Założenie tego utworu było niesamowite i godne pisarza stojącego nad grobem: pewien mężczyzna, który z powodu nieuleczalnej choroby skazany jest na śmierć, pisze serię listów do swojej żony, opatruje je datami wybiegającymi daleko w przyszłość. Po jego śmierci żona otrzymywać będzie te listy przez długi czas, przekonana, iż mąż jej bawi za granicą i śle jej dowody swej pamięci; ma w ten sposób oswoić się powoli z rozstaniem i wreszcie z myślą o jego śmierci...

Czytywał ten utwór fragmentami w salonie hrabiny de Beauharnais, ale powieść nie przyniosła mu oczekiwanego sukcesu. Listy pośmiertne skonfiskowane zostały przez cenzurę

jako rzekomo niemoralne — pod rządami Pierwszego Konsula wróciły zwyczaje i praktyki z czasów „ancien régime’u”. I to był już koniec Rétifa — pisarza. Zostawił on po sobie sporo rękopisów, niektóre z nich wydali przyjaciele w kilka lat po jego śmierci, ale za życia nie zobaczył już żadnego swojego utworu w druku.

Z ministerstwa odmówiono mu emerytury, a nawet i doraźnego wsparcia. Nędza przygniotła go znowu, chorował coraz częściej, nie miał już sił włóczyć się jak dawniej po ulicach Paryża, Paryża w jego oczach zmielonego i niepodobnego do dawnej stolicy, którą znał ak dobrze i tak wspaniale rysował na kartach swoich powieści, szkiców i reportaży. Fanny de Beauharnais czuwała, by miał w tych ostatnich chwilach ogień na kominku, trochę wina i jedzenia...

Nadeszła jesień roku 1805, potem zima... Paryż czekał na wiadomości wojenne, trzecia koalicja próbowała zdruzgotać potęgę „Uzurpatora”. 21 października 1805 roku Nelson rozbił flotę francusko-hiszpańską pod Trafalgarem; 2 grudnia, na wzgórzach koło wsi Pratze, na zachód od wioski Austerlitz, Napoleon odpowiedział koalicji druzgoczącym ciosem; huraganowym ogniem francuskiej artylerii, bagnietami grenadierów, świetną szarżą konnej gwardii rozbita została do szczętu połączona armia rosyjsko-austriacka... Na Boże Narodzenie 1805 roku podpisano w Bratysławie traktat pokojowy, najświetniejszy w dziejach wojennych triumfów Napoleona. 26 stycznia 1806 roku cesarz opuścił Wiedeń

i w triumfalnym pochodzie zmierzał ku Paryżowi; w kilka dni potem przybył do pałacu Tuileryjskiego, witany owacyjnie przez olbrzymie tłumy ludności...

W tym właśnie dniu, w mieszkaniu przy ulicy de la Bûcherie nr 27 (później przemianowano ten numer na 16), załadowanym tysiącami egzemplarzy nie sprzedanych książek — tych samych, które dwadzieścia lat temu rozchwytywano spod pras drukarskich — umierał człowiek, który kiedyś wierzył, że jest wielkim pisarzem, i któremu tą wiarę skutecznie wyperswadowano. Przy łożu Rétifa de la Bretonne czuwały tylko dwie córki, Agnès i Marion...

Zmarł 3 lutego 1806 roku. Dopiero zgon poruszył wszystkich, którzy kiedyś uważali się za jego przyjaciół, a potem zupełnie o nim zapomnieli. Pogrzeb miał uroczysty, pochowano go na cmentarzu Montparnasse...

Mieszkanie po zmarłym wysprzątano i uporządkowano; stosy makulatury zakupili papiernicy, nabycie niektórych dzieł zaryzykowali księgarze, pamiętający jeszcze dawne powodzenie jego powieści i reportaży. A potem przez wiele lat nikt już nie wspominał dziwnego pisarza z epoki „ancien régime’u” i Rewolucji; Rétif począł uchodzić za typowego pisarza „drugiego rejonu”, płodnego dostarczyciela niewiele wartej i ulotnej literatury rozrywkowej, która nigdy nie jest wznawiana... W kilkanaście lat po jego śmierci na wspomnienie twórczości Rétifa de la Bretonne reagowano zgorszeniem, „ach, ten pornograf...” Pisarz, którzy przez całe życie uważał się za moralistę, zapewne w grobie by się przewrócił, gdyby mógł usłyszeć tę opinię!

Z pism Rétifa wydawano wielokrotnie tylko *Zycie mojego ojca*, inne utwory stawały się coraz większą rzadkością. W XIX wieku wznowienie Rétifa nie mogło już być przedsięwzięciem zyskownym; przecież w dwadzieścia lat po śmierci pisarza wyprzedawano jeszcze resztki nakładów jego dzieł z lat 1780-tych! W roku 1827 znany księgarz paryski J. N. Barba donosił publiczności, że między innymi ma ciągle na składzie „*Les Contemporaines, par Rétif de la Bretonne, 42 volumes in 12°, avec 300 figures environ*” — za przystępną cenę 60 franków komplet⁴⁶. Amatorów było niewielu; gdyby wiedzieli, jakie ceny płacić się będzie w sto lat później za wszelkie wydania oryginalne dzieł Rétifa! Cokolwiek uratowali dla potomności spekulanci wydawniczy, żerujący na pornografii. Skoro Rétif wciągnięty został na listę pisarzy (pozał się Boże!) obscenicznych, można było i na tym robić interesy. Wszelako skompletowanie pism Rétifa już w połowie XIX wieku było

zadaniem arcytrudnym. Pewnemu amatorowi udało się zebrać wszystkie, nawet najrzadsze, pierwsze wydania utworów tego pisarza, 212 części w 194 tomach. Antykwariusz paryski, Auguste Fontaine sprzedał ten zbiór w roku 1875 za niesłychaną cenę 20 000 ówczesnych franków⁴⁷.

Dopiero w XX wieku wzgardzony twórca zaczął odzyskiwać należne sobie uznanie, a stało się to w dużej mierze za przyczyną historyków, którzy pierwsi dostrzegli w pismach Rétifa niewyczerpaną kopalnię źródeł do historii obyczajów i życia codziennego w XVIII wieku; za tym zaś poszło odwrócenie pojęć oficjalnej historii literatury na wartość artystyczną dzieł autora Nocy paryskich. Rétif nie doczekał się dotąd wydania kompletnego, największym zbiorem jego utworów jest 9-tomowe wydanie pism wybranych, które opracował i opublikował w latach 1930—1932 Henri Bachelin. Dopiero niedawno, około roku 1960, paryskie wydawnictwo Jean-Jacques Pauvert'a opublikowało pełne, naukowe wydanie Pana Mikołaja, w sześciu tomach, które zarówno przyciągały wzrok piękną szatą graficzną, jak i odstraszały ceną; 240 franków. Większość jego dzieł czytać można tylko w wydaniach XVIII-wiecznych. Zdaje się jednak, że akcje Rétifa na giełdzie historyczno-literackiej nieustannie zwyżkują, można mieć więc nadzieję, że i ten pisarz doczeka się swoich pism wszystkich, na które chyba zasługuje. Nazywano go kiedyś „Voltaire'm pokojówek i szwaczek”, „Janem Jakubem paryskich hal”, „Rousseau des ruisseaux” — „Rousseau rynsztoków”... Te pełne pogardy epitety stały się po dwustu latach tytułem do chwały pisarza. Czyż mogli przewidzieć taki obrót rzeczy wytworni wielbiciele „dobrego smaku, gustu i moralności”?

Ujrzałem po raz pierwszy Laurę, sławną ze swych cnót i po tylekroć w mych strofach opiewaną, w czasach mej pierwszej młodości, w kościele Sw. Klary w Awinionie, wczesnym rankiem dnia Zmartwychwstania Pańskiego, 6 kwietnia 1327 roku...” Słowa te zapisał Petrarca na marginesie rękopisu z wierszami Wergiliusza. Nigdy zapewne nie byłibyśmy wiedzieli, kim była jego ukochana, którą unieśmiertnił w sonetach, gdyby nie dopis, iż utracił ją dokładnie w dwadzieścia jeden lat później, 6 kwietnia 1348 roku, roku wielkiej zarazy, szalejącej nad całą Europą. Dnia tego zmarła — jak świadczą kroniki — Laura de Noves, córka syndyka z Awinionu, pana Audeberta de Noves, żona pewnego magnata z Prowansji...

Miała z nim — choć trudno w to uwierzyć, pamiętając o miłości Francesco Petrarki — aż jedenaścioro dzieci, w tym siedmiu synów. Jeden z nich był założycielem magnackiej dynastii, z której — w czterysta lat później — wywodził się pisarz niezwykły i przez całe stulecie budzący u potomnych zgrozę, a potem niespodziewanie uznany przez znaczną część światowej krytyki za jedno z najciekawszych zjawisk w dziejach literatury światowej. Mężem Laury de Noves był Hugues de Sade. Sławną Laurą była więc w trzynastym pokoleniu, w prostej linii, prababką markiza de Sade*.

Trzeba by sięgnąć chyba do przykładu Toulouse-Lautrec'a, którego pradziad na czele prowansalskich rycerzy zdobywał Jerozolimę w roku 1099, aby w dziejach kultury światowej znaleźć przykład twórcy, pochodzącego z równie starej i historycznej rodziny, jak autor Justyny i Julietty. Rodzina de Sade wywodziła się z okolic Awinionu, gdzie notowana była w kronikach i dokumentach już w XII wieku; nazwisko rodowe jest podobno zniekształceniem nazwy małej osady Sa ze w Langwedocji. W wieku XIV był to już ród możny i sławiony; przez następne stulecia odgrywał znaczną rolę w dziejach Prowansji: wydawał żołnierzy i duchownych, prawników i dyplomatów. W czasach Ludwika XIV główną siedzibą tej rodziny był zamek w Mazan. Tam właśnie urodził się około roku 1670 dziad pisarza, który w rodzinie Sade'ów pierwszy przybrał tytuł markiza, Gaspard François de Sade.

Podpisywał się czasami „markiz de Sade”, ale o wiele częściej „markiz de Mazan”. Jemu i jego potomkom przysługiwał właściwie ten ostatni tytuł i tylko przypadek zrzucił, iż w rodzinie utrzymało się nazwisko Sade; wnuk Gasparda, osławiony pisarz, wróci zresztą na

krótko do tytułu markiza de Mazan, gdy uciekając przed prześladowaniami będzie usiłował zatrzeć za sobą ślady w czasie wędrowki po Italii.

Gaspard de Sade miał dziesięcioro dzieci; najstarszy syn nosił aż cztery imiona: Jean-Baptiste-Joseph-Fran-çois; urodzony w roku 1702, służył przez czas jakiś w armii papieskiej, a potem w pułku dragonii francuskiej; w roku 1730 mianowany został ambasadorem Francji na dworze w Petersburgu. W trzy lata później powierzono mu tajną misję polityczną w Londynie. Po powrocie z tej ekspedycji znalazł wreszcie czas, aby się ożenić. W listopadzie 1733 roku pojął za żonę Marię- -Eleonorę de Maillé de Carman, pannę 21-letnią, blisko spokrewnioną z rodziną książąt de Condé. Ślub odbył się w Paryżu w kaplicy pałacu Kondeuszów.- W tym samym pałacu, położonym w zbiegu ulic de Condé i de Vaugirard, gdzie pani de Sade miała swoje apartamenty jako dama dworu księżnej de Condé, w siedem lat później przyszedł na świat chłopiec, który miał przysporzyć rodzinie bardzo wiele kłopotów, ale przed litera turą otworzyć cały nowy świat nie znanych dotąd wizji.

Urodził się 2 czerwca 1740 roku². Nazajutrz ochrzczono go w kościele parafialnym Sw. Sulpicjusza. Ojca nie było wówczas w Paryżu, bawił w misji dyplomatycznej w Kolonii, gdzie ważyły się właśnie sprawy elekcji nowego cesarza Rzeszy Niemieckiej po śmierci Karola VI. Załatwieniem chrztu zajęło się więc dwoje służących występujących w imieniu dziadków chłopca, którzy przyjęli na siebie obowiązki rodziców chrzestnych. Ten pośpiech i brak rodzinnego nadzoru odbił się fatalnie na ostatecznym wyniku ceremonii. Pani de Sade żądała, aby nadano dziecku trzy imiona: Louis, Aldonse (tak właśnie brzmiało stare imię prowansalskie, nadawane tradycyjnie chłopcom w rodzinach szlacheckich na południu Francji), na koniec Donatien. Jednakże para służących najwidoczniej niezbyt dokładnie zapamiętała wskazówki markizy, gdyż w księgach parafialnych opuszczono Ludwika, Aldonse zmienił się w zwyczajnego Alfonsa, a w końcu dorzucono popularnego- Franciszka. Wskutek pośpiechu i nieporozumienia przyszedł markiz ochrzczony został jako Donatien-Alphonse-François...

Pomyłka ta nieprędko wyszła na jaw, bowiem cała rodzina była przekonana, iż życzenie pani de Sade zostało spełnione. Chłopiec chował się pod imieniem Louis, jako dorosły człowiek podpisywał się w ten sposób przez kilkadziesiąt lat, aż do czasów Rewolucji, kiedy to starając się o skreślenie z listy emigrantów wydobył (po raz pierwszy) swoją metrykę z parafii Sw. Sulpicjusza i stwierdził wreszcie, jak naprawdę się nazywa. Miał później wiele kłopotów z przekonaniem władz o tożsamości swojej osoby. Pomyłka ta w znacznym stopniu przyczyniła się do jego uwięzienia w czasach Terroru w roku 1793/94.

Przez kilka lat Donatien chował się pod opieką matki, ale około roku 1746 zabrał go do Prowansji stryj, opat z Ebreuil, Jacques-François-Paul-Aldonse de Sade, znany historykom po prostu jako l'abbé de Sade. Prałat ten odznaczał się w równej mierze libertyńskimi poglądami i obyczajami, jak i wielką kulturą literacką; był zamiłowanym badaczem literatury Renesansu, a wślawił się wielkim trzytomowym dziełem o życiu i twórczości Franciszka Petrarci^s. Później, gdy Donatien stanie się „czarną owcą” całej rodziny i piętnowany będzie zawzięcie przez wszystkich prawie krewnych, również i l'abbé de Sade zostanie jego wrogiem, ale we wczesnym dzieciństwie człowiek ten wyrzeć musiał znaczny wpływ na umysłowość chłopca, który widział w nim nie tylko preceptora, ale i swojego rodzaju ideał; z nim właśnie wiązały się najważniejsze wspomnienia dziecięce Sade'a z czasów pobytu w zamku Saumane, gdzie najczęściej przebywał opat, skoro udało mu się tylko wyrwać od nudnych obowiązków z klasztoru w Ebreuil.

A więc stryj-kapłan jako pierwszy wychowawca; troskliwa opieka całej rodziny ojca, a przede wszystkim ciotek, z których aż cztery były zakonnice... Całe to grono zabiegało usilnie o edukację chłopca, który był jedyną nadzieją na utrzymanie ciągłości rodu (stryj opat z natury rzeczy legalnego potomstwa mieć nie mógł. drugi z braci ojca, Richard-Jean-Louis,

również złożył śluby zakonne jako kawaler maltański, dwaj inni synowie Gasparda de Sade zmarli w młodym wieku bezpotomnie). Nie powinniśmy się jednak dziwić, że dziecię to nie wyrosło w końcu na bigota; w XVIII wieku opieka stryja-prałała niekoniecznie musiała wieść młodą duszyczkę ku cnocie i wierze...

W roku 1750 Donatien ukończył dziesięć lat. Zdecydowano wysłać go z powrotem do Paryża; opuścił słoneczną Prowansję, aby wejść w ścisłe karby jezuickiej dyscypliny w kolegium Ludwika Wielkiego przy ulicy Saint-Jacques. Rodzice oddali go pod opiekę wybranego starannie guwernera; został nim ksiądz Jacques-François Amblet, wówczas 34-letni, człowiek bogobojny i świątły, który z całą gorliwością zaczął przykładać się do swego zadania i szczerze Donatiena polubił. Ubolewał potem, że starania jego nie przyniosły należytego efektu wychowawczego, że młody człowiek tak prędko stoczył się w otchłań libertynizmu. Ale to już nie było winą księdza Amblet, jak i nie będzie jego dziełem ostateczne ukształtowanie przekornej, buntowniczej umysłowości Sade'a.

Ojcowie jezuitów przez cztery lata formowali charakter i duszę chłopca; w dziedzinie edukacji moralnej niewiele zdziałali, Sade wyniósł z kolegium jedynie pogardę i obrzydzenie dla doktryny krępującej — jak później twierdził — myśl ludzką nierozumnymi więzami. Ale poziom nauk humanistycznych był w tym jezuickim liceum wcale nie najgorszy. Sade zdobył tam podstawy swojej znacznej erudycji w dziedzinie historii i literatury; tam również zetknął się po raz pierwszy z teatrem i grywał zapewne wraz z kolegami w amatorskich przedstawieniach, które ojcowie jezuitów chętnie dla rozrywki i nauki swoich uczniów organizowali. Bez względu na ustalone od dawna negatywne opinie o wychowaniu jezuickim w XVIII wieku trzeba przyznać, że kolegium Ludwika Wielkiego było niezłą szkołą. Na paradoks zakrawa więc fakt, że jednym z najsławniejszych wychowanków tego zakładu z lat 1750—1760 miał się okazać wielki wróg religii i Kościoła — pisarz, którego najważniejsze dzieła z żelazną konsekwencją godzą w podstawy wiary i moralności chrześcijańskiej. Gdybyż to mogli przewidzieć zacni ojcowie, z uznaniem obserwujący postępy małego blondynka, noszącego stare, pięknie brzmiące nazwisko, spokrewnionego z najświetniejszymi rodami Francji.

Nie wiemy, z jakiego powodu Donatien opuścił kolegium w wieku zaledwie czternastu lat. Wkrótce potem widzimy go w Wersalu, w szkole oficerskiej przy pułku lekkokonnym gwardii królewskiej. Była to elitarna formacja wojskowa, konkurująca ze sławnym pułkiem muszkietierów, dostępna jedynie dla młodych ludzi z najstarszych rodów szlacheckich Francji. Uznano bez zastrzeżeń, iż młody markiz może ubiegać się o przyjęcie do tego pułku. Ale w grudniu 1755 roku niespełna 16-letni kadet opuszcza szeregi kawaleryjskie

i zostaje mianowany podporucznikiem w królewskim pułku piechoty. Nadchodzi wiosna roku 1757; toczy się wojna, którą historycy nazwą później „siedmioletnią”; wraz z pułkiem karabinierów hrabiego Prowansji porucznik de Sade wyrusza na front, aby walczyć przeciwko armii Fryderyka II.

Kim był właściwie ów 18-letni oficer, który w roku bitwy pod Sondershausen (1758) omal nie podpalił podobno jakiegoś miasteczka, gdy usiłował wystrzelić ogień sztuczny dla uczczenia wiktorii księcia de Broghe? Nierozważnym hulaką, zabawiającym się wraz z kolegami kosztem wystraszonych mieszkańców okupowanego kraju? Półmężczyzną, któremu nie przychodziły jeszcze do głowy żadne poważniejsze problemy, który nie szukał jeszcze zabaw właściwszych dla swego wieku? Czy 18-letni markiz de Sade przypominał już w czymkolwiek osławionego później libertyna, nawet na tle nie okiełzanych obyczajów epoki wyróżniającego się wyrafinowaniem i śmiałością w zakresie praktyk seksualnych? Pewne światło na jego życie osobiste i ówczesne zainteresowania rzuca list skierowany do księdza

Amblet wiosną roku 1759, kiedy to Donatien po spędzeniu dłuższego urlopu w Paryżu miał właśnie wracać do swego pułku, stacjonującego w Niemczech:

„Błędy, które popełniłem w czasie swojego pobytu w Paryżu i sposób postępowania wobec najlepszego z ojców, skłaniają go, drogi księżę, do wyrzucania sobie, iż kazał mi tu przyjechać. O ileż bardziej karzą mnie jednak obawy, że mógłbym na zawsze utracić jego przyjaźń i wyrzuty sumienia, że miałem nieszczęście go urazić! Po tych wszystkich przyjemnościach, które uważałem za tak cenne, została mi teraz tylko przykra gorycz z powodu rozniewania najczulszego z ojców i najlepszego z przyjaciół. Codziennie zrywałem się rano, aby szukać rozkoszy; myśl ta kazała mi o wszystkim zapominać. Skoro ją znalazłem, uważałem się za szczęśliwego, ale to rzekome szczęście -ulatniało się równie prędko jak moje żądze, zostawiając po sobie tylko żal. Wieczorem bywałem w rozpaczy, wiedziałem, że błędzę, ale uświadamiałem to sobie zawsze pod koniec dnia, a nazajutrz pragnienia moje znowu się odradzały, znowu gnały mnie w poszukiwaniu przyjemności; zapominałem o wieczornych refleksjach. Proponowano mi zabawę, godziłem się, wierzyłem, że się nieźle zabawię, a potem dopiero dostrzegałem, że robiłem głupstwa, a przy tym wcale się nie rozerwałem. Teraz, gdy zastanawiam się nad swoją konduity, wydaje mi się ona coraz dziwniejsza. Ojciec ma rację powiadając, że trzy czwarte rzeczy robię bez zastanowienia. Ach! gdybym zawsze robił tylko to, co naprawdę zdolne jest sprawić mi przyjemność, ileż cierpień oszczędziłbym sobie, o ileż mniej obraziłbym ojca! Jakże mogłem sądzić, że dziewczyny, które spotykałem, zdolne są naprawdę dać mi rozkosz? Niestety! Czyż można cieszyć się kupowanym szczęściem, czy miłość bez subtelności może być dość tkliwa? Moja miłość własna cierpi teraz boleśnie, gdy wspomnę, że kochany byłem zapewne tylko dlatego, iż płaciłem lepiej niż kto inny...”⁴.⁹

List ten, pełen skruchy zapewne nieszczerzej i obliczonej na ułagodzenie rozniewanego ojca, świadczy, że Donatien wcześniej wchłonął w siebie mentalność libertyńską i nie odróżniał się obyczajami od większości swoich rówieśników z tej samej sfery. Stary hrabia Jean-Baptiste de Sade zirytował się zapewne słysząc o hulankach syna, zbyt kosztownych jak na młodziana 19-letniego. Ale nie było jeszcze powodów do niepokoju. Donatien wyjechał z Paryża awansowany do stopnia kapitana kawalerii w pułku, jazdy burgundzkiej, można więc było mieć nadzieję, iż wyszumiawszy się w kraju nieprzyjacielskim zacznie bardziej oszczędzać własne zdrowie i finanse rodziny. A z finansami rodziny de Sade zaczynało być coraz gorzej; wydaje się, że rozległe dobra prowansalskie dawały coraz mniejsze dochody — i ta właśnie sytuacja skłoni wkrótce hrabiego de Sade do szukania bogatego ożenku dla młodego kapitana.

Donatien wrócił do pułku. Niewiele wiadomo o jego losach w czasie kampanii roku 1759, 1760, 1761... Ze wzmianek autobiograficznych, które pomieścił potem w słynnej powieści Alina i Valcour, możemy wnioskować, że przeżył jakiś romans, po którym zostało mu wiele wspomnień i gorzkich refleksji Służba wojskowa nie sprawiała mu specjalnej satysfakcji, niemniej jednak zyskał uznanie przełożonych i odbył całą kampanię z powodzeniem; nie był jednak usposobiony do nawiązania bliższych stosunków z kolegami i zwierzchnikami.

„Żądasz opisu moich codziennych czynności, rozkładu zajęć — pisał do ojca 12 sierpnia 1760 roku z obozu pod Obertistein. — A więc przedstawię ci szczerze wszystkie szczegóły. Wyrzucają mi, że lubię spać; w rzeczy samej mam po trosze tę wadę: kładę się wcześniej, a wstaję późno. Często wyjeżdżam konno, aby rozejrzeć się w pozycji nieprzyjaciela i naszej własnej; po trzech dniach pobytu w obozie znam teren, do najmniejszego rowu, równie dobrze jak pan marszałek. Potem snuję rozmaite refleksje, dobre czy złe, dzielę się nimi, jestem chwalony albo gromiony, zależnie od tego, o ile zbliżone są do zdrowego chłopskiego rozsądku. Czasami składam wizyty, ale tylko u pana de Poyanne albo swoich dawnych towarzyszy z pułku karabinierów czy gwardii królewskiej;

nie robię przy tym żadnych ceremonii, bo ich nie lubię. Gdyby nie pan de Poyanne, przez całą kampanię noga moje nie postąpiłaby w głównej kwaterze; wiem, że postępuję nie najzręczniejszy, trzeba się zalecać, aby cokolwiek osiągnąć, ale tego nie znoszę. Skręcam się, kiedy słyszę, jak ktoś dla pochlebiaenia drugiemu opowiada tysiące rzeczy, w które zupełnie nie wierzy; odgrywać taką idiotyczną rolę to już ponad moje siły. Być grzecznym, poważnym, dumnym bez wyniosłości, ujmującym bez mizdrzenia się, pozwalać sobie na drobne zachcianki, skoro nie szkodzą one nikomu, żyć przyzwoicie, bawić się, nie niszczyć ani się nie rujnując, mieć niewielu przyjaciół, a może nawet żadnego) gdyż nie sposób znaleźć nikogo prawdziwie szczerego, kto by cię nie poświęcił dwadzieścia tysięcy razy, jeśli tylko wymagać tego będzie najbliższy jego interes, mieć charakter stały, który pozwala współżyć ze wszystkimi nie zdając się na nikogo, gdyż takiej zależności zawsze rychło pożałujesz... oto moje zasady, oto cnoty, które chciałbym posiadać...”⁵ Dwudziestoletni oficer był już zdecydowanym mizantropem; po ludziach nie spodziewał się niczego dobrego, nie wierzył w dobrą stronę natury ludzkiej, umacniał się coraz bardziej w swoim moralnym pesymizmie. Rychło zaczął tworzyć podstawy swojej ogólnej filozoficznej koncepcji natury ludzkiej — jako z istoty swej okrutnej i egoistycznej, okiełznanej pozornie przez prawa i zwyczaje społeczne, ale szarpiającej narzucone więzy i przy lada okazji ujawniającej całą ukrytą głębię zła i tendencji niszczycielskich.

10 lutego 1763 roku podpisano w Wersalu traktat kończący wojnę siedmioletnią. W miesiąc później kapitan Donatien de Sade z pułku kawalerii burgundzkiej (przebywający już zresztą od kilku miesięcy w Paryżu) przeniesiony został w stan spoczynku i otrzymał pochlebne świadectwo swojej kilkuletniej służby frontowej.

Miał lat 23 i był już powodem wielkiego niepokoju całej rodziny, z przerażeniem obserwującej styl życia niesforne go oficera. Albowiem w ciągu kilku lat, które upłynęły od urlopu w Paryżu wiosną 1759 roku, Sade bynajmniej nie poprawił swojej marnej reputacji. Wystarczyło kilka miesięcy pobytu w Paryżu na przełomie 1762/63 roku, aby stał się sławny jako hulaka, gracz, rozrzutnik, bywalec domów rozpusty; przesiadywał za kulisami teatrów, głośne były jego „passady” z aktorkami i tancerkami. Możemy sądzić, że Sade rzeczywiście zachowywał się skandalicznie, skoro w krótkim czasie zdołał tak się odznaczyć na tle obyczajów bynajmniej nie surowych, w środowisku, gdzie libertynów jawnie szydzących z cnoty, moralności i nakazów wiary chrześcijańskiej liczyć można było na setki. Stary markiz de Sade irytował się wielce, nie tyle rozpustną konduktą syna, ile jego bez troską i lekceważeniem przyszłości: kapitan nie przedstawił się na dworze królewskim, nie starał się o żadną z posażnych panien. Jean-Baptiste de Sade doszedł do wniosku, że w tak ciężkiej sytuacji materialnej, w jakiej znalazła się cała rodzina wobec wybitnego zmniejszenia świadczeń dzierżawnych, napływających od chłopów z Prowansji, nie można dłużej zwlekać i z założeniami rękami oczekiwać chwili, kiedy to skandaliczna sława młodego oficera uniemożliwi mu w ogóle jakikolwiek korzystny związek małżeński. Nie bacząc na niechęć Donatiena, który pomysłami ojca nie był wcale zachwycony, markiz de Sade rozpoczął pertraktację z rodziną prezydenta de Montreuil.

Nie była to rodzina błyszcząca rodową świetnością, ale za to bardzo bogata. Nazywali się dawniej całkiem po mieszczańsku — po prostu Cordier, a majątek swój zawdzięczali staraniom dziada, zręcznego spekulanta z czasów Ludwika XIV. Wraz z majątkiem przyszły jednak tytuły i godności. Do nazwiska Cordier dodano wkrótce „de Launay” (Launayów było w ówczesnej Francji tyle gałęzi, że trudno osądzić, z którego gniazda rodzina świeżo nobilitowanych mieszcuchów chciała się wywodzić). Pan Claude-René Cordier de Launay poślubił w roku 1740 pannę Marię-Magdalенę Masson de Plissay, która mimo tak wspaniale brzmiącego nazwiska pochodziła również z niedawno uszlachconej rodziny. Z okazji ślubu ojciec pana młodego, Jacques-René Cordier de Launay, nabył dlań skromny upominek: dobra Echauffour w Normandii oraz dobra senioralne Montreuil-

Largillé. Claude-René skwapliwie dołączył do swego nazwiska również „de Montreuil” i mógł odtąd posługiwać się godnym iście hiszpańskiego granda tytułem; Cordier de Launay de Montreuil. Skoro jednak w roku 1743 został prezydentem jednej z izb sądowych paryskiego parlamentu (Cour des Aides), skromnie przykroił nieco swoje wspaniałe nazwisko i odtąd występował po prostu jako prezydent de Montreuil.

Występował o tyle, o ile pozwalała mu na to żona, bowiem w tym nie bardzo dobranym stadle szyją i głową była pani prezydentowa. Była to dama wyniosła i surowa, bardzo zawsze zatroskana o dobrą sławę swojej rodziny, niesłuchanie energiczna, uparta i bezwzględna, zdolna intrygantka umiejająca we własnej sprawie dotrzeć wszędzie, nawet do gabinetu monarchy. W rzeczywistości nie była pozbawiona szlachetniejszych odruchów, ale przede wszystkim żywiła głębokie przekonanie, iż nic nie może usprawiedliwić czyjegoś niesforne go zachowania, ściągającego nań nieprzychylnie zainteresowanie opinii publicznej, groźne w skutkach dla pozycji społecznej i towarzyskiej całej rodziny. Pani prezydentowa de Montreuil odnosiła się zresztą do pracy pisarskiej i zainteresowań filozoficznych z głęboką pogardą. Taką to nieprzychylną istotą złośliwe fatum przeznaczało Sade’owi na teściową. Łatwo można przewidzieć, jakie musiały być skutki rodzinnego współżycia tak zupełnie odmiennych indywidualności.

Państwo de Montreuil mieli czworo dzieci, trzy córki i jednego syna. Najstarsza z pańien de Montreuil, Renée-Pélagie, przyszła na świat w grudniu 1741 roku, była więc od Donatiena półtora roku młodsza. O jej właśnie rękę zwrócił się w imieniu syna stary markiz de Sade.

Prezydentowa była zachwycona; rodzina eks-miesz-czuchów Cordierów związać się miała z rodem Sade’ów, rodziną spokrewnioną z domem królewskim, wstawioną od dziesięciu przynajmniej pokoleń! Konduita przyszłego zięcia była, co prawda, nieszczerólna, a rozgłos jego paryskich hulanków bardzo skandaliczny (parę nawiązanych uprzednio przez hrabiego de Sade negocjacji małżeńskich rozwiązało się z tego powodu dość szybko), ale splendor rodu prowansalskich magnatów przeważał w przekonaniu państwa de Montreuil złą opinię kapitana, tym bardziej że jego młodość i niedoświadczenie pozwalały żywić nadzieję, iż w przyszłości prędko się ustatkuje, zwłaszcza gdy uzależniony zostanie majątkowo od żony i teściów. Jean-Baptiste de Sade starał się zresztą taić, ile możliwości, przed panią prezydentową wybryki syna i upewniał, iż plotki na ten temat są znacznie przesadzone.

Jednakże Donatien nie zamierzał bynajmniej pomagać ojcu w staraniach o korzystny dla siebie ożenek i wcale nie krył się ze swoją konduita, a nawet — rzecz ciekawa — starał się jak najbardziej skompromitować w oczach pani de Montreuil i podobno opowiadał jej szczerze o swoich niedawnych przygodach. Albowiem Donatien pragnął się ożenić, ale wcale nie z panną Renat ą-Pelagią; nawiązał właśnie romans z pewną młodą dziewczyną, był śmiertelnie w niej zakochany; w marcu 1763 roku wyjechał do Prowansji i czekał na jej przyjazd z Paryża do Awinionu.

Nazywała się Laura-Wiktoria-Adelina de Lauris, ojcem jej był Louis-Joseph-François markiz de Lauris, syndyk szlachty z komtatu Venaissin, a miała lat 22. Rodzina de Lauris należała do najstarszych w Prowansji i tradycją rodzinną niewiele ustępowała Sade’om; powinno to skłaniać starego hrabiego do patrzenia miłym okiem na zabiegi syna wokół Laury, niestety jednak państwo de Lauris nie należeli do rodziny zamożnych i nie byli w stanie obdarzyć córki odpowiednim posagiem. Donatien nie zastanawiał się jednak nad sytuacją majątkową swojej ukochanej; w tym samym czasie, gdy ojciec swatał i zaręczał go zaocznie z panną de Montreuil, zaręczył się sam w tajemnicy przed markizem de Lauris z córką jego Laurą-Wiktoria. Łączyły ich związki nie tylko sentymentu i wspólnych planów na przyszłość; panna de Lauris nie wahała się połączyć z kapitanem więzami jak najbardziej fizycznymi; przekonał się zresztą, że nie był bynajmniej jej pierwszym amantem.

Idylla trwała krótko. Z niewiadomych powodów markiz de Lauris stanowczo zaprotestował przeciwko małżeństwu córki z panem de Sade, Laura ugięła się prędko pod naciskiem ojca i wycofała z narzeczeńskich zobowiązań. Donatien był w rozpacz. 6 kwietnia 1763 roku napisał do niej z Awinionu list pełen gniewu, wyrzutów i zazdrości:

„O wiarołomna i niewdzięczna! Gdzież się podziały twoje zakłęcia, że kochać mnie będziesz przez Całe życie? Kto cię skłania do tej niestałości? Kto cię zmusza do zerwania własną ręką więzów, które połączyć miały nas na zawsze? Czyżbyś wyjazd mój wzięła za ucieczkę? Uwierzyłaś, że mógłbym uciec od ciebie i nadal istnieć? Sądzisz moje uczucia najpewniej wedle swoich! Uzyskałem już zgodę rodziców, ojciec mój, choć ze łzami w oczach błagał mnie tylko, abym zawarł w Awinionie małżeństwo; wyjeżdżam, zapewniam cię, że trzeba tylko skłonić twego ojca, aby cię tu przywiózł. Bóg jeden wie jak niecierpliwie śpieszę w miejsce, które stać się miało świadkiem mego szczęścia, szczęścia trwałego, szczęścia, którego nic nie było w stanie zakłócić. [...] Co się ze mną dzieje, wielki Boże?! Czyż zdołam znieść ten ból? Co się ze mną dzieje, gdy dowiaduję się, że w szlachetnym uniesieniu rzuciłaś się do nóg swego ojca z błaganiami, aby nie myślał o tym małżeństwie, ponieważ ty nie chcesz przemocą wdzierać się do obcej rodziny... Co za próżny argument, o kłamliwa i niewdzięczna! Boisz się połączyć z kimś, kto cię uwielbia? Zaczynają cię już wiązać, które miały być wieczne, a serce twe, które pociąga jeno niestałość i lekkość, nie jest dość czułe, aby pojąć ich urok! Przeraza cię myśl o porzuceniu Paryża, moja miłość ci nie wystarcza, nie jestem zdolny ci go zastąpić! Zostań, nie opuszczaj Paryża, potworze zrodzony na nieszczęście mego życia! Niechaj szalbierstwa perfidnego człowieka, który zastąpi mnie w twoim sercu, zożydzą ci to miasto równie skutecznie, jak twoje niegodziwości zożydziły je w moich oczach”. Zaklinając kochankę, aby się zreflektowała, Donatien pisał dalej: „Oszczędzaj swoje zdrowie; ja pracuję nad odzyskaniem mego. W jakimkolwiek jednakże będziesz stanie, nic mi nie przeszkodzi w składaniu ci dowodów mojej najczulszej miłości. Mam nadzieję, że w całej tej sprawie miałaś już i będziesz nadal miała powody do zadowolenia z mojej dyskrecji. To mój obowiązek, nie czynię sobie z tego zasługi... Ale strzeż się niestałości; zapewniam cię, że byłbym zdolny do każdego szaleństwa i nie będzie wówczas niegodziwości, do której bym się nie posunął. Historyjka z tr.... powinna cię skłonić do należytego ze mną postępowania. Oświadczam, że nie ukryję jej przed swoim rywalem, a nie będzie to ostatnia konfidencja, którą mu poczynię. Przysięgam ci, że nie będzie takiej niegodziwości, do której bym się nie uciekł! Wstydzę się myśleć o użyciu takich środków, aby cię przy sobie zatrzymać, nie powinienem i nie chcę przypominać ci czegokolwiek poza twoją miłością. Twoje obietnice i przysięgi, twoje listy, które co dzień nieustannie odczytuję, winny same cię do mnie przywiązać; do nich się jeno odwołuję. Błagam cię gorąco, abyś nie widywała więcej pana..., niegodzien jest pojawiać się w twych oczach. A więc, moja najdroższa, czy mogę liczyć na twą stałość?...^{*8} Nie pomogły jednak zakłęcia ani nieudolne próby szantażu; panna de Lauris nie została żoną markiza. Donatien zrezygnował w końcu z oczekiwania w Awinionie na Laurę, wsiadł do dylizansu i w końcu kwietnia 1763 roku wrócił do Paryża. Już 1 maja zaprezentował się uroczysto w Wersalu królewskiej rodzinie i uzyskał — jak było w zwyczaju — łaskawą zgodę monarchy na zawarcie małżeństwa z panną de Montreuil. Dnia 15 maja podpisano w pałacu państwa de Montreuil przy ulicy Neuve-du Luxembourg kontrakt ślubny, a 17 maja 1763 roku w kościele Sw. Rocha w Paryżu odbyły się zaślubiny panny Renaty-Pelagii de Montreuil z panem markizem de Sade, oficerem kawalerii królewskiej, synem hrabiego de Sade, pana na La Coste, Mazan, Saumane i innych ziemiach, których dzwiczne nazwy przypominały dawną chwałę, ale nie obiecywały już wielkich dostatków.

Rodziny państwa młodych asystowały uroczysto przy obu ceremoniach. Hurmem podpisywano kontrakt ślubny; wtedy też zapewne dostrzegł Donatien po raz pierwszy urodziwą szwagierkę, młodszą o parę lat siostrę Renaty-Pelagii, pannę Annę-Prosperę de

Launay, która wielkim gęsim piórem, starannie i z uwagą, nakreśliła swój podpis na intercyzie siostry. Nie przyszło mu chyba do głowy, że osoba ta odegra za kilka lat wielką rolę w jego życiu.

W całej tej uroczystości podpisanie intercyzy było oczywiście momentem najważniejszym i najbardziej istotnym; państwo de Sade starannie studiowali dokument, zanim opatrzyli go swoimi podpisami. Sami mogli dać synowi niewiele: hrabia zrzekł się na jego korzyść swojej rangi namiestnika prowincji Bresse i Bugey, która dawała podobno 10 000 liwrów rocznej renty, oraz tytułu własności dóbr La Coste, Mazan, Saumane i Mas de Cabanes, położonych w Prowansji, a przynoszących 18 do 20 000 liwrów rocznego dochodu w postaci czynszów dzierżawnych i opłat chłopskich z tytułu feudalnych powinności; dorzucono do tego 10 000 liwrów, które markiz otrzymać miał po odebraniu od dłużników sum rozpozyczonych przez starego hrabiego. Państwo de Montreuil hojnie powinni zapłacić za tytuł i chwałę rodową swojego zięcia, ale woleli zastrzec sobie płatność dopiero po swojej śmierci: prezydent zapisał młodym ze swojego majątku 80 000 liwrów kapitału, który wypłacony miał być po jego zgonie, a na razie przynosić miał dochód w postaci stałej renty; pani de Montreuil obiecała — również po swojej śmierci — kapitał 50 000 liwrów. Ciotki i babki panny młodej zapisały jej sumy o łącznej wartości 170 000 liwrów, z których na razie pobierać miała procenty w wysokości 6 000 liwrów rocznie. Na koniec państwo de Montreuil zobowiązali się zapewnić młodym mieszkanie i utrzymanie przez pierwszych pięć lat małżeństwa, które to świadczenie obliczono na 2 000 liwrów rocznie; tyle mieli dopłacać, gdyby markiz de Sade i jego żona nie korzystali z tego dobrodziejstwa. Po upływie pięciu lat prezydent i jego małżonka przyrzekli wręczyć państwu młodym dodatkowo 10 000 liwrów na koszty umeblowania własnego domu.

Sperandy były więc znaczne, ale realnych sum niewiele i Donatien poczuł się zapewne bardzo zawiedziony. Ostatni kwartał życia przyniósł mu same niepowodzenia: utracił dziewczynę, którą kochał, ożenił się z inną, której prawie nie znał, swobodę swoją sprzedał za tanie pieniądze, a wreszcie — co było najfatalniejsze — dorobił się teściowej, czujnym okiem śledzącej jego zachowanie i gotowej na wszystko, byle tylko ocalić dobrą sławę pnącego się w górę rodu Launayów de Montreuil. Wkrótce okazać się miało, że dla pani prezydentowej niesforne usposobienie, libertyńskie poglądy, a co najgorsza — niezwykle ambicje literackie młodego pana de Sade są głównym zagrożeniem społecznej stabilizacji tej zacnej rodziny.

Małżeństwo, które zawarł Donatien de Sade, mieściło się w końcu doskonale w obyczajach i pojęciach epoki, kiedy to związek dwojga młodych ludzi ze środowiska arystokracji rodowej czy bogatej szlachty urzędniczej był najczęściej kontraktem dwóch rodzin, zawierany bez uczuciowego zaangażowania osób najbardziej zainteresowanych i przy milczącym założeniu, że po splodzeniu potomstwa, zabezpieczającego ciągłość rodu, obie strony prowadzić będą życie swobodne i niezależne. Obyczajów takich otwarcie nie pochwalano, ale się z nimi całkowicie godzono, należały do modnego stylu życia warstw uprzywilejowanych. Liber tyńskie wyczyny Sade'a nie stałyby się więc zapewne źródłem coraz gorszej jego sławy, która doprowadzi wreszcie do publicznego piętnowania markiza jako wyjątkowo niebezpiecznego gwałciciela praw boskich i ludzkich, gdyby nie jego ostentacyjny, programowy nonkonformizm wobec obyczajów, norm moralnych i oficjalnej ideologii chrześcijańskiej. Sade był naturą wyjątkowo buntowniczą i nieokiełznaną; nie wystarczała mu faktyczna swoboda i niezależność, swoimi ertyńskimi poglądami prowokował otoczenie, wydał się wszystkim istotą do głębi zdeprawowaną. | jego środowisku libertynizm powszechnie wyznawano, ale się doń nie przyznawano, ktoś jawnie odwracający na opak tradycyjne pojęcia moralne musiał się narazić na prześladowania; po latach historycy nazwą Sade'a umysłem najbardziej wyzwolonym w dziejach ludzkości — taka postawa nie sprzyjała we Francji „ancien régime'u” życiu spokojnemu i bezpiecznemu.

W ciągu pierwszych pięciu lat małżeństwa Sade spędził razem z żoną najwyżej kilka miesięcy. Już w czerwcu 1763 roku wynajął sobie pod Paryżem ustronną willę, la petite maison, dokąd zaczął sprowadzać tancerki, aktorki, kurtyzany i dziewczyny wprost wynajmowane od stręczycielek w rodzaju La Gourdan, La Varenne czy La Brissault. Wkrótce miał w Paryżu podobno aż pięć czy sześć utajonych mieszkań, gdzie spędzał noce częściej niż u boku niedawno poślubionej małżonki. Wyjeżdżał też często na prowincję, do rodzinnej Prowansji, zwoził z tych podróży rozmaite kobiety dwuznacznej konduity. Dziwić się należy, w jaki sposób markiz przy swoich niewielkich i ściśle przez rodzinę kontrolowanych dochodach mógł sobie pozwolić na taki styl życia. Wszystkie te wybryki kosztowały wiele, co było dodatkowym powodem oburzenia arcyoszczędnej pani de Montreuil.

- Prezydentowa drżała przed skutkami plotek, jakie krążyły wokół osoby jej niesfornego zięcia. Za wszelką cenę starała się wyrwać markiza z Paryża, zapraszała go usilnie do zamku Échauffour w Normandii; Sade spędził tam rzeczywiście kilka tygodni latem i jesienią 1763 roku. Skoro jednak wrócił do Paryża, oddał się zaraz ulubionym zajęciom i tym razem musiał spowodować jakiś większy skandal, gdyż sprawa doszła do wiadomości szefa policji, pana de Sartine, i ministra dworu królewskiego, pana de Saint-Florentin, którzy (niewątpliwie zachęceni poufnie przez panią de Montreuil, przekonaną, iż warto dać libertynowi małą nauczkę) podsunęli Ludwikowi XV do podpisu rozkaz uwięzienia markiza de Sade w zamku Vincennes. 29 października 1763 roku zjawił się w mieszkaniu Dona-tiena inspektor Marais; młody człowiek wsadzony został do karety i w parę godzin później po raz pierwszy w życiu znalazł się w celi.

Więzienne odosobnienie będzie dlań potem czymś zupełnie zwyczajnym, ale za pierwszym razem wystraszył się na dobre. W liście do pana de Sartine, pisanym z twierdzy w parę dni po aresztowaniu, deklarywał żal, skruchę i postanowienie poprawy, domagał się czym prędzej spowiednika, aby oczyścić duszę skalaną grzechem rozpusty. W przekonaniu, że ostrzeżenie podzia-
lalo, sprawcy uwięzienia zdecydowali się uwolnić markiza; po dwóch tygodniach pobytu w Vincennes Sade wyszedł na wolność, ale otrzymał rozkaz opuszczenia Paryża i udania się na dłuższy pobyt do Échauffour.

Zakaz pobytu w stolicy cofnięto dopiero na wiosnę 1764 roku. Donatien wrócił latem do Paryża. Znowu poczęły krążyć plotki o niesamowitych scenach w jego podmiejskich siedzibach. Sade, jak każdy ówczesny libertyn, znajdował satysfakcję przede wszystkim w praktykach seksualnych budzących wyjątkową zgrozę i oburzenie opinii publicznej, potępionych i zagrożonych surowymi karami. Z dążeniem do najpełniejszego zaspokojenia swoich gwałtownych popędów łączył jednak postawę badacza i filozofa: usiłował wypróbować wszystkie możliwe formy seksualnego obcowania, obserwował reakcje psychoseksualne uczestniczących w orgiach kobiet i mężczyzn, zaczynał gromadzić swoją „piekielną dokumentację” (son dossier lud-• ferien — według określenia Gilberta Lely), olbrzymi zbiór doświadczeń i obserwacji seksuologicznych, którym posłuży się po latach konstruując 120 dni Sodomy i wiele fragmentów Justyny i Julietty. Nie wiemy, czy notował swoje obserwacje, chociaż niektóre fakty zdają się świadczyć na korzyść tego przypuszczenia. W latach 1763—1768 zaczynał co nieo pisać, ale pierwsze jego utwory były zupełnie tuzinkowe i przeciętne, dalekie od niezwykłych wizji w pełni rozpętanych, najokrutniejszych instynktów natury ludzkiej, dzięki którym Sade wejdzie kiedyś do literatury światowej jako twórca jedyny i niepowtarzalny. Trzeba będzie dopiero wieloletniego więziennego oderwania od czynnego życia, aby zgromadzić w świadomości markiza namiętność twórczą, która stanie się dlań w pewnym sensie rekompensatą za utratę przeżyć zmysłowych i subiektywnym wyzwoleniem.

Nasilenie i różnorodność rozwiązłych praktyk obyczajowych w mieszkaniach markiza

zwróciły wkrótce uwagę policji. 7 grudnia 1764 roku inspektor Marais zanotował:

„Pan hrabia de Sade, którego przed rokiem z królewskiego rozkazu zawiozłem do Vincennes [...] latem tego roku otrzymał pozwolenie powrotu do Paryża, gdzie teraz stale przebywa, aby zająć trochę wolny czas, zabawia się za 25 ludwików miesięcznie z panną Colette, aktorką Komedii Włoskiej, która żyje z panem markizem de Lignerai, człowiekiem tak uprzejmym, że zgodził się usunąć na drugie miejsce, skoro tylko znajdzie ona dobrą okazję. Nieobce mu są jej konszachty z panem de Sade, ale z kolei ten ostatni poczyną rozumieć, że oszukiwany jest przez tę pannę, więc w tym tygodniu pobiegł wyładować swój temperament u La Bris-sault, której usilnie się dopytywał, czy przypadkiem mnie nie zna; odpowiedziała, że nie. Nie wdając się w szczegółowe wyjaśnienia, surowo przykazałem tej kobiecie, aby nie dostarczała mu żadnych dziewczyn na wyjazdy do podmiejskich willi”⁷.

Ostatnie słowa raportu są bardzo znamienne. Cóż takiego działo się w czasie zabaw w domu Sade'a, że nawet otrząskany z najbardziej wyuzdanymi obyczajami inspektor Marais uważał za konieczne zapobiec dręczeniu dziewczyn publicznych przez osławionego markiza?

W Paryżu opowiadano, że Sade urządza u siebie orgie, w czasie których nieszczęsne, zwabione doń dziewczyny, przechodzą istne tortury. Wiemy, że odbywały się tam często seanse flagellacyjne, że sprowadzane do domu Sade'a dziewczyny poddawane były wyrafinowanym chłostom. Jednakże fakty tego rodzaju nie powinny być — wydaje się — zaalarmować policji obyczajowej, która doskonale wiedziała o upowszechnieniu podobnych praktyk w lupanarach i rozmaitych podmiejskich willach prywatnych.

Upodobania do algolagnii Sade dzielił ze znaczną częścią swoich współczesnych. Wszelkie formy łączenia praktyk seksualnych z zadawaniem lub wytrzymywaniem cierpienia fizycznego były wśród wyższych warstw społecznych zachodniej Europy zjawiskiem prawie powszechnym co najmniej od czasów Renesansu. Flagellacje zalecano zresztą i stosowano nie tylko jako aphrodisiacum externum lub zabieg wybitnie zaostrzający wzajemne przeżycia partnerów erotycznych, ale również jako środek leczniczy, wzmagający przekrwienie i tonizujący system nerwowy. Poza tym praktykowano masowo chłostę jako formę pokuty za grzechy

przeciwko szóstemu i dziewiątemu przykazaniu. Okazji było więc co niemiara i można bez przesady stwierdzić, że w sferach arystokracji, szlachty i bogatego mieszczaństwa we Francji czy Włoszech z różgą i dyscypli*. ną stykała się ówczesnie nie tylko większość młodych dziewcząt (gdyż był to powszechnie stosowany środek wychowawczy), ale i znaczna część dojrzałych kobiet, prowadzących czynne życie seksualne. Realistyczna literatura obyczajowa wieku XVI, XVII i XVIII pełna jest wzmianek o flagellacjach, stosowanych przez mężczyzn i kobiety dla pokuty, dla celów leczniczych lub wprost i jawnie dla celów seksualnych⁸.

Zadziwia zwłaszcza częstość zjawiska flagellacji jako religijnej pokuty, wcale nierzadko wymierzanej penitentkom własną ręką przez spowiedników lub „kierowników duchownych”. Pod pozorami pobożnych praktyk penitencjarnych ukrywały się tu oczywiście najróżniejsze perwersje seksualne, chociaż ofiary tych zabiegów, poddające się posłusznie rozkazom „ojców duchownych”, rzadko zdawały sobie sprawę z istoty przeżyć swoich własitych lub swoich karcicieli. Obnażona penitentka otrzymywała bolesną chłostę czasami w własnym domu, innym razem w klasztorze czy przykościelnym odosobnieniu, a im była młodsza i urodziwsza, tym oczywiście „kierownik duchowny” przykładal się do tego zbrojnego dzieła z większą gorliwością. „Wytrzymaj, moja córko, dla chwały bożej, dla uwolnienia twego ciała i duszy od zmazy grzechu nieczystego, któregoś się dopuściła...” W takiej atmosferze perwersje, które dzisiaj określilibyśmy jako sado-masochistyczne, rozwijały się łatwo i prędko.

Pojawiali się zresztą w tych czasach również sprytni szarlatani, świeccy konkurenci spowiedników i kierowników duchownych, którzy stosowali praktyki flagellacyjne na

szeroką skalę wśród kobiet szukających specyficznej formy „oczyszczenia” dla celów mistyczno- magicznych. W czasach Ludwika XIV głośna była we Francji sprawa niejakiego Brizardiere’a, sierżanta wojsk królewskich z Nantes. Otóż ów Brizardiere zdołał rozsnuć wokół siebie aurę mistycznej tajemnicy; wśród pań z arystokracji i bogatego mieszczaństwa krążyła pogłoska, że zna on niezawodny sposób na spełnienie wszelkich pragnień i zamiarów życiowych, trzeba jedynie przyjąć z ręki jego surową pokutę. Jak opowiada Tallemant des Réaux, „kazał się im rozbierać całkiem do naga i pękiem różeg smagał je aż do krwi”. Mimo okrucieństwa tych zabiegów kobiety prześcigały się wprost w usiłowaniach dostania się na seanse do Brizardiere’a; sława jego rozeszła się po całej Bretanii, a zwłaszcza w Rennes; odwiedzały go najwytworniejsze damy. „Prezydentowa de Magnan, kobieta bardzo piękna, była tam również chłostana. Oprócz tego, co wycierpiała na równi z innymi, kazała sobie wymierzać specjalnie piętnaście uderzeń co tydzień na intencję otrzymania sukcesji, dla której potrzeba było śmierci aż trzech osób. Niestety, dotąd nie zdobyła tego majątku [...] Niejaka pani de Kerollin kazała się smagać na intencję znalezienia właściwego stopu (należała do fałszerzy pieniędzy). Ale najzabawniejsza była panna de Taloet, która przyjmowała chłostę w nadziei zdobycia bogatego męża; gdy była potężnie ćwiczona, wołała: — Ej, panie de la Brizardifere, nie tak mocno! Wolę już, żeby nie był aż tak bogaty!” Wykrył tę potajemną „pokutnię” woźny miejscowego parlamentu, niejaki Bohamont, który zauważył, że jego córki bardzo jakoś gorliwie nawiedzają owego Brizardiere’a; szarlatan stanął przed izbą sądową parlamentu, powołano wielu świadków; wówczas okazało się, iż do klientek Brizardiere’a należała między innymi większość żon dygnitarzy sądowych z Nantes i liczne arystokratki. Panie te nie chciały wcale zeznawać | w uporczywym milczeniu chroniły tajemnicę pokutniczych seansów. Brizardiere, któremu groziła szubienica, dzięki wstawiennictwu swoich „ofiar” uratował życie; został jedynie zesłany na galery.® Nicolas Chorier, który swoją Satyrą Sotadyczną pisał mniej więcej w tym samym czasie (1659), przedstawił w tym dziele również ciekawy obraz takich praktyk pokutniczych. Jedna z bohaterek jego dialogów, Semprojia, w przeddzień małżeństwa swej 15- letniej córki Oktawii, otrzymuje od pobożnego starca, zakonnika Theodorusa, swojego spowiednika i kierownika duchownego, zalecenie poddania się razem z dziewczyną „oczyszczeniu” przez bolesną pokutę.

Theodorus osobiście wymierza tą karę obu penitent- kom. Naiwna Oktawia zdumiewa się pokorą, z jaką matka jej przyjmuje od czcigodnego starca rozkaz całkowitego obnażenia się do pokuty. Theodorus wyjaśnia: „te tylko wstydzić się powinny, które ukazują się nagie oczom mężczyzn gwoili rozkoszy i lubieżności. ale bynajmniej nie te, które czynią to dla celów pobożności i pokuty...”¹⁰ Możemy sądzić, że argumentację taką słyszało ówczesnie wiele pięknych penitenteń. Oktawia i Sempronia kilka razy przyjmują srogie chłosty z rąk pobożnego Theodorusa, który zresztą nie kryje swoich głębokich wzruszeń, jakich dostarcza mu to zbożne, a z całym zapalem i gorliwością wykonywane zajęcie.

Perwersyjne upodobanie w bólu i upokorzeniu musiało być nieuchronnym skutkiem częstego praktykowania takiej formy pozbywania się wyrzutów sumienia za grzechy „nieczystości”. Chorier z dużą dociekliwością psychologiczną ukazuje ewolucję subiektywnych przeżyć młodej Oktawii: początkowo przerażona i obolała, wkrótce znajduje upodobanie w tych wszystkich karach i upokorzeniach, zaczyna kojarzyć ból chłosty z seksualną ekscytacją. Doświadczona przyjaciółka Tu- lia wykłada jej całą teorię tych przeżyć. „Pod wpływem uderzeń różgi pobudzają się we wszystkich częściach naszego ciała, związanych z naszą Wenus, niezliczone ilości elementów subtelných, niespokojnych, bardziej rozjarzonych niż fale iskier; dążą one w kierunku naszych okolic płciowych. -Stąd łaskotanie i lubieżność w rozpalonej naszej Wenerze”^u. Ta szczególna teoria miała zresztą pokrycie w opinii ówczesnych autorytetów medycznych, które podkreślały znaczenie sztucznego wywoływania przekrwień w rozmaitych narządach ciała dla ich szybszego i

sprawniejszego funkcjonowania. Znakomity lekarz niemiecki Johann Heinrich Meibom (1590—1655), znany zresztą przede wszystkim pod łacińską transkrypcją swego nazwiska Joann es Hennricus Meibomius, wydał w Leydzie w roku 1639 uczoną rozprawę pt. *Epistola de Flagrorum U su in Re Verteria et Lumborum Renumque Officto*, w której na podstawie licznych autorów starożytnych i nowożytnych dowodził użyteczności flagellacji jako środka po

budzącego szybkość reakcji organizmu i żywość przeżyć seksualnych. Rozprawa ta miała w XVII i XVIII wieku dziesiątki wydań, tłumaczona była na wiele języków; między innymi na język francuski przełożył ją w roku 1792 pewien znany ówczesnie i ciekawy skądinąd autor licznych utworów libertyńskich Claude Mercier de Compiègne. W końcu wieku XVIII rozprawa Meibomiusa zastąpiona została przez podręczniki sławnego lekarza francuskiego (a zresztą również pisarza, potem jakobińskiego polityka i generała wojsk rewolucyjnych) François Doppet'a. Było ich kilka, na przykład: *Le Médecin de l'Amour* (1787), *Aphrodisiaque externe ou Traité du Fouet et de ses effets sur le physique de l'amour* (1786), lub *Dissertation théorique et pratique sur tous les moyens capables d'exciter aux plaisirs de Venus...* (1788). W dziełach tych stosowanie flagellacji było z całą powagą zalecane jako środek sprzyjający właściwemu i zgodnemu z Naturą intensyfikowaniu przeżyć seksualnych. Prace Meibomiusa i Doppeta były nadzwyczaj rozpowszechnione; po dziś dzień w bibliotekach francuskich zachowała się wyjątkowo duża liczba egzemplarzy, co dowodzi, że w XVIII stuleciu należały do powszechnej lektury.

Nie należy się więc dziwić, że w takich warunkach mnożyły się rozmaite formy obcowania seksualnego z użyciem zabiegów szokujących, bolesnych, czasem okrutnych; wiedza medyczna traktowała te zjawiska z całym pobłażaniem, a nawet wręcz do praktyk takich zachęcała. Stępiełe nerwy niektórych wytwornych dam potrzebowały wrażeń mocnych i podnieć gwałtownych; mężczyzna poddający ciało kobiety bezwzględny i bolesny zabiegom, kobieta praktyki te znosząca z cierpliwością, a czasem nawet z upodobaniem — były to zjawiska oczywiście nie dominujące, ale na tyle częste, by mogły zmieścić się w granicach społecznej tolerancji i nawet aprobaty.

Wraz ze zmianą obyczajowości w wieku XIX i stonowaniem perwersyjnych przejawów życia seksualnego, które teraz tolerowano jedynie w sferze prostytucji, zatarła się i pamięć o praktykach, które były kiedyś dość powszechne. Gdy w roku 1880 bohaterowie powieści di Lampedusy, Tancredi i Angelica, błądzą po starych, opuszczonych komnatach sycylijskiego pałacu w Donnafugata i trafiają przypadkiem do nie używanych od kilkudziesięciu lat rokokowych buduarów, niezwykle i wymyślne urządzenia tego apartamentu budzą w nich niepokój i lęk.

„Tancredi, zaniepokojony, nie pozwolił Angelice dotknąć wmurowanej szafy, otworzył ją sam. Była bardzo głęboka, ale pusta, tylko w kącie stało podłużne zawiniątko z brudnego materiału. Znaleźli w nim pęk cieniutkich różeg i bykoców: niektóre z nich zakończone były srebrnymi rączkami, inne obszyte prawie do połowy ślicznym starym jedwabiem w biało-niebieskie paski, na którym odcinały się trzy rzędy czarniawych plamek. Poza tym były tam jeszcze metalowe narzędzia niewiadomego przeznaczenia. Tancreda ogarnęło przerażenie, lękał się nawet samego siebie.

<— Chodźmy, kochanie, tu nie ma nic ciekawego!”¹²

W połowie XVIII wieku fakt praktykowania flagellacji dla celów erotycznych nie budził bynajmniej takiego oburzenia, jak skłonni bylibyśmy sądzić dzisiaj na podstawie własnej oceny moralnej tych zjawisk. Prowadzi to do wniosku, że w czasie niesamowitych eksperymentów Sade'a bynajmniej nie ból fizyczny był źródłem przerażenia ofiar markiza, które po wydostaniu się z mieszkania swego dręczyciela biegły cz^to na skargę do inspektora Marais...

Musimy się tutaj (powołać na ogólną teorię seksualizmu Sade'a. Markiz przedstawi ją w

swoich dziełach oczywiście znacznie później, ale nie ulega wątpliwości, że wyznawcą tych koncepcji był już w latach 1760- tych. Podkreślamy tutaj: wyznawcą — a nie twórcą, gdyż wbrew poglądom niektórych publicystów, krytyków, a nawet badaczy zajmujących się postacią i twórczością Sade'a, niesamowity markiz był — zarówno w dziedzinie wizji psychoseksualnych, przedstawionych we wszystkich niemal swoich utworach, jak i w dziedzinie ogólnych poglądów moralno-filozoficznych — raczej kodyfikatorem i rejestratorem doktryn upowszechnionych wśród znacznej części swoich współczesnych, zwłaszcza w niektórych środowiskach intelektualnych, niż rzeczywistym twórcą idei, które zapewniły mu długotrwałą, a tak dwuznaczną sławę.

Niemal wszystkie elementy jego systemu filozoficznego lub wizji natury ludzkiej można odnaleźć, w większym lub mniejszym stopniu, u wielu pisarzy starszych lub jemu współczesnych; a okrutne wizje praktyk erotycznych o psychopatycznym lub perwersyjnym podłożu, które zdaniem niektórych badaczy, słabo obeznanych z realiami obyczajowymi i mentalnością wieku XVIII, są oryginalnym i niezwykłym tworem umysłu tego pisarza, były w rzeczy samej jedynie rozwinięciem i przetworzeniem elementów, występujących często i w sporym (nasileniu w „czarnej literaturze erotycznej” wieku XVII i XVIII).

Oczywiście Sade nie budował swojego światopoglądu jedynie w oparciu o idee zaczerpnięte z dawnej literatury lub zapożyczone od współczesnych. Charakterystyczną cechą jego mentalności było doprowadzenie do ostatecznych, skrajnych konsekwencji wszystkich poglądów, które przyjął za własne. To, co dla niektórych libertynów było swojego rodzaju zabawą intelektualną lub przekorną prowokacją obyczajową bez większych konsekwencji, stawało się dla Sade'a problemem wymagającym poważnej dyskusji i doświadczalnego sprawdzenia. Uczestniczki libertyńskich orgii w domu markiza były zaskoczone bynajmniej nie perwersyjnymi wymaganiami młodego oficera, które na tle obyczajów epoki tak bardzo w końcu nie raziły — lecz niesamowitą atmosferą tych imprez, kiedy z partnerek zabawy stawały się obiektami [niezwykłych eksperymentów i obserwacji. Opierając się na tych ponurych doświadczeniach Sade konstruował swój system światopoglądowy, którym porządkował i wzbogacał o nowe, skrajnie pesymistyczne i okrutne elementy, zbiór doktryn i ocen moralnych, składających się na mentalność libertyńską tej epoki.

Kodyfikacja tego systemu nigdy nie zostanie zakończona; Sade prowadził ją przez całe życie, ale już w latach 1760-tych ogólne założenia były w umyśle markiza mocno utwierdzone. Introspekcja w głąb własnej psychiki oraz studia nad psychiką innych prowadziły Sade'a do wykrycia utajonego — jego zdaniem — w świadomości każdego indywiduum (dzisiaj powiedzielibyśmy raczej: zepchniętego do podświadomości-

ci) czynnika okrucieństwa jako źródła najgłębszych przeżyć, wzruszeń i satysfakcji człowieka w sferze doznań seksualnych. Sade dojdzie wkrótce do wniosku (i rozszerzy ten pogląd na całą swoją doktrynę filozoficzną), że Natura stworzyła człowieka okrutnym, bowiem zmusza go do nieustannej walki o byt i supremację w świecie, w której istoty niższe muszą padać ofiarą istot wyżej rozwiniętych. Człowiek spełnia swoje powołanie bynajmniej nie wtedy, kiedy przejęty poczuciem społecznego obowiązku troszczy się o los i przeżycia innych lub też stara się pogodzić osobiste zadowolenie i zaspokojenie namiętności z dobrem ogólnym, unikając przede wszystkim krzywdy i cierpienia bliźnich; tego rodzaju postawa jest wynikiem okiełznania popędów wskutek porozumienia społecznego — porozumienia niezgodnego z prawami Natury i właśnie dlatego w praktyce tak mało owocnego. Albowiem — zdaniem Sade'a — Natura każe człowiekowi szukać wokół siebie nie partnera, ale ofiary; musi on egzystować fizycznie i psychicznie kosztem innych albo sam zostanie unicestwiony. Wypełniając niszczycielskie i okrutne wezwanie Natury człowiek wyzwala się i osiąga pełnię jestestwa. Możemy się oburzać na Naturę, która z niezrozumiałych powodów tak właśnie

ukszałtowała prawa istnienia i rozwoju, wszelako nasz protest i nasz bunt do niczego nie doprowadzą, jesteśmy bowiem jej częścią i musimy stosować się do jej praw, nawet w pojęciu naszym najstraszliwszych i najbardziej odrażających. Przez wychowanie i nacisk społeczny człowiek odrywa się od Natury, usiłuje nie stosować się do jej wskazań, ale bunt przeciw Naturze jest bezskuteczny, a co więcej, musi unieszczęśliwić człowieka. Człowiek jest istotą dziwną, niepojętą, w świetle praw boskich i ludzkich złą i występłą; osiąga pełnię satysfakcji dopiero wyzwalając całkowicie swoje okrucieństwo i uświadamiając sobie, że to właśnie jest zgodne z prawami Natury...

Dlatego też — według koncepcji Sade'a — źródłem najgłębszych przeżyć seksualnych jest okrucieństwo. Przeżycia te osiągają swoje apogeum w momencie wprowadzenia do świadomości istot ludzkich, połączonych jakimkolwiek kontaktem o charakterze seksualnym, pierwiastka okrucieństwa, terroru, grozy, lęku przed unicestwieniem, przymusu, gwałtu. Zjawiska te są źródłem najgłębszych wzruszeń przede wszystkim dla ich sprawcy, który osiągając pełnię władzy karzącej czy niszczycielskiej nad drugą istotą wyzwala się całkowicie i realizuje najważniejsze nakazy swojej natury. Ale mogą być również źródłem ekscytacji i rozkoszy dla istoty zagrożonej bólem, męką czy unicestwieniem, która w ten sposób zdolna jest ze swej strony wypełnić nakaz Natury, oddającej zawsze istotę słabą na pastwę istoty silnej, doskonalszej...

Czy markiz uważał się za moralnie uprawnionego do zadawania cierpień, do psychicznego i fizycznego znęcania się nad innymi istotami ludzkimi — bądź to dla własnej intymnej satysfakcji, bądź też dla niezwykłych, czasami zgoła dziwacznych celów poznawczo- -naukowych? Wszystko, co o nim wiemy, prowadzi do wniosku, że nie był człowiekiem krwiożerczym, nie był zdolny do zbrodni; świadectwa osób, które znały go dobrze, nie pozostawiają w tej mierze żadnych wątpliwości. Ale pamiętać jednak należy o specyficznej teorii antymoralizmu Sade'a, którą — przez usta swych bohaterów, czasami zresztą ukazywanych w jak najgorszym świetle — wyłoży potem w najważniejszych dziełach. Umowa społeczna — utrzymują zbrodniarze pojawiający się na kartach 120 dni Sodomy, Justyny i Historii Julietty — to spisek słabych przeciwko silnym, zamach na prawa istot wyższych, moralnie, intelektualnie i fizycznie doskonalszych. Istota silna to „Jedyny”, który sam dla siebie tworzy system norm moralnych, który ma prawo i obowiązek kierowania się zasadami absolutnego egoizmu. Satysfakcja „Jedynego” to wartość przewyższająca sumę wszystkich innych dóbr moralnych we Wszechświecie; nie musi on i nie powinien liczyć się z normami współżycia społecznego; z jego punktu widzenia żaden czyn nie jest zbrodnią — przeciwnie nawet: to, co społeczeństwo nazywa zbrodnią, jest dlań sensem istnienia... Ta złożona, skomplikowana teoria moralna jest zresztą bardzo niejednoznaczna i niełatwa do interpretacji. Trudno nawet dociec, w jakim stopniu Sade solidaryzował się z poglądami swoich bohaterów i czy osobiście uważał się za „Jedynego”,

któremu wszystko wolno. Programowy antymoralizm, wykładany przez usta bohaterów dzieł Sade'a, i koncepcja okrucieństwa jako istoty przeżycia seksualnego staną się potem powodem totalnego potępienia całej twórczości markiza. Jeżeli głosił jawnie podobne teorie już w latach 1760-tych, to trudno się dziwić powszech- * nemu oburzeniu.

W każdym razie możemy przypuszczać, iż perwersyjne orgie w podmiejskiej willi Sade'a nie były po prostu wyuzdanymi zabawami, obliczonymi tylko na nasycenie zmysłowych żądz grupy libertynów; były również swojego rodzaju eksperymentami, w czasie których markiz — dając folę swojej niezwyklej i obiektywnie graniczącej czasem ze zbrodnią pasji badawczej — namiętnie obserwował reakcje psychoseksualne swoich „ofiar” w warunkach przymusu, grozy, lęku... I ta właśnie atmosfera okrucieństwa przerażała uczestniczki tych imprez, skądinąd przyzwyczajone do surowego, często bolesnego traktowania przez wyrafinowanych libertynów. ■

Latem 1765 roku Donatien wyjechał do Prowansji, uwożąc ze sobą nową zdobycz:

sławną kurtyzanę paryską, pannę de Beauvoisin. Pani de Sade została przy matce, dławiącej w sobie bezsilną na razie rozpacz. Markiz i jego towarzyszką skierowali się ku La Coste, staremu majątkowi rodzinnemu, leżącemu o 47 kilometrów od Awinionu, w pobliżu miasteczek Bonnieux i Apt.

Pałac w La Coste pochodził z XVI wieku i był siedzibą magnacką zamożną i nieźle urządzoną. Z inwentarza sporządzonego w roku 1778 dowiadujemy się, że główny budynek pałacowy obejmował czterdzieści dwa pokoje i rozmaite pomieszczenia, dobrze umeblowane i pełne dzieł sztuki, między innymi piękną i znacznym nakładem kosztów urządzoną salę teatralną. Panna de Beauvoisin, osóbką — jak skądinąd wiemy — bardzo wymagająca, była zachwycona; miejscowe warunki znakomicie sprzyjały zabawom. Przez całe lato 1765 roku trwały w La Coste festyny i zjazdy, przekształcające się często w libertyńskie orgie. Kilka dni bawił w gościnie u bratanka l'abbé de Sade, ale wyjechał zgorszony panującymi tam obyczajami, w szczególności zaś faktem — jak twierdził — iż Donatien ośmielał się przedstawiać w La Coste notoryczną kurtyzanę pod imieniem swojej żony. Uwiadomione o skandalu ciotki markiza postanowiły działać; jedna z nich, przeorysza klasztoru z Cavaillon, wysłała do La Coste list pełen wyrzutów i upomnień. Zirytowany markiz zapłonął gniewem przeciwko „niecnemu denuncjatorowi”, księdzu de Sade. W odpowiedzi napisał:

„Niedelikatne są twoje wyrzuty, droga ciotciu. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tak dosadnych wyrażen pod piórem świętobliwej mniszki. Ani nie zezwalałem, ani nie ścierpiałbym, aby ktokolwiek brał za moją żonę osobę, która jest ze mną, wszystkim naokoło mówię coś wręcz przeciwnego. Nie przedstawiaj jej w ten sposób — powiadał mi stryj — ale pozwól innym gadać, co zechcą, bylebyś im stanowczo oświadczył, o co chodzi. Poszedłem za jego radą. Kiedy jedna z waszych sióstr, związana małżeństwem podobnie jak

I ja, żyła tu sobie publicznie ze swoim gachem, czy patrzyłyście wtedy na La Coste jak na miejsce przekłete? Nie czynię nic gorszego niż ona, a oboje robimy zresztą w tej materii niewiele. A co do tego pana, który cię o wszystkim powiadomił, to wiedz, że chociaż jest kapłanem, ma u siebie całą zgraję ladacznic i — wybaczone, że posłużę się tym samym terminem, którego użyłaś w liście — jego zamek to nawet nie harem, to po prostu burdel. Przebaczone więc moje wybryki, idę tylko za natchnieniem ducha rodzinnego, a jeśli mogę cz^oś żałować, to tego jedynie, że się w takiej rodzinie urodziłem. Niech mnie Bóg strzeże przed wszystkimi występkami i wariactwami, w które rodzina nasza obfituje; jeśli Bóg w łaskawości swojej dopuści, abym przyswoił sobie tylko niektóre z nich, będę się uważał niemal za wcielenie cnoty”¹⁵.

Złośliwa aluzja odnosiła się do Henrietty de Ville-neuve, jedynej ciotki Donatiena, która nie przywdziała zakonnego habitu. Rodzina zamilkła. Sade i panna de Beauvoisin spokojnie zakończyli wakacje na południu i wrócili do Paryża, zostawiwszy w Prowansji 4500 liwrów nowych długów.

Donatien nie usatkwował się bynajmniej ani po śmierci ojca (24 stycznia 1767), kiedy to został wreszcie głową rodziny, ani po urodzeniu syna, Louis-Marie de Sade'a (27 sierpnia 1767). Pani de Montreuil skarżyła się w listach do księdza de Sade na niepokohamowaną rozwiązłość markiza i błagała o jakąś pomoc czy radę. Trudno nie współczuć tej nieszczęsnej kobiecie, której wszystkie ambicje życiowe były zagrożone wskutek skandalicznej opinii zięcia, która bolała nad upokarzającą sytuacją córki, odwiedzanej przez męża raz na parę miesięcy, w chwilach znudzenia libertyńskimi rozrywkami — ale trudno również oprzeć się refleksji, że jeżeli dzisiaj wiemy w ogóle o istnieniu jakiejś pani prezydentowej de Montreuil, to tylko dlatego, że jej niesforny zięć zdobył w końcu sławę pisarską, a jego skandaliczny tryb życia stał się źródłem niezwyklej wizji artystycznej, którą zamknie kiedyś w swoich dziełach...

Markiz de Sade mieszkał w tym czasie w Wersalu, przy ulicy Satory, w apartamencie wynajmowanym za 150 liwów miesięcznie; najwidoczniej nie korzystał już z gościny w pałacu państwa de Montreuil, gdzie nadal mieszkała Renata-Pelagia. W początkach listopada 1766 roku Sade wynajął sobie jednak pod Paryżem, w Arcueil przy ulicy de Lardenay, małą ustronną willę z ogrodem. Miał za nią płacić właścicielowi, niejakiemu panu Gallier, 800 liwów rocznie. Zamierzał najwidoczniej przenieść tutaj na dłuższy czas swoje rozrywki i eksperymenty...

Sąsiedzi powzięli wkrótce jak najgorszą opinię o młodym człowieku, który — jak zeznawał potem jeden z mieszczan, zamieszkujących w pobliżu — „od piętnastu miesięcy, od chwili, gdy wynajął dom w Arcueil, jest powodem licznych skandali, gdyż sprowadza sobie w dzień i w nocy osoby obojga płci, z którymi uprawia rozpustę, a skądinąd jest znany ze swej gwałtowności, gdyż zelżył i pobił wiele osób...”¹⁴ To gwałtowne usposobienie i niepoczytalne wybryki markiza przyczyniły się potem znacznie do jego klęski; gdy w roku 1768 wybuchnie skandal w związku ze sprawą kobiety rzekomo poranionej śmiertelnie przez markiza w willi w Arcueil, podrażnieni sąsiedzi będą ochoczo zeznawać na jego niekorzyść...

16 października 1767 roku inspektor Marais rapor tował: „Zewsząd słyszy się teraz o okropnych wybrykach [des horreurs] pana hrabiego de Sade. Nie udało mu się skłonić panny Rivière z Opery, aby żyła z nim za 25 ludwików miesięcznie, pod warunkiem, że dni wolne od przedstawień będzie spędzała z nim w willi w Arcueil. Panna ta odmówiła, gdyż cieszy się łaskami pana Hocquart’a de Coubron, ale pan de Sade ciągle ją nachodzi. Czekaając na jej kapitulację nalegał zresztą usilnie w tym tygodniu na La Brissault, aby dostarczyła mu dziewczyn na przyjęcie, które chce wydać w willi w Arcueil. Kobieta ta stanowczo odmówiła, wiedząc, do czego jest zdolny, ale zwróci się on na pewno do innej mniej skrupulatnej albo takiej, która go nie zna, i z pewnością niezadługo o tym usłyszymy”¹⁵.

Usłyszano rzeczywiście; w początkach lutego 1768 roku policja otrzymała informację, że markiz de Sade zaprosił do Arcueil cztery młode dziewczyny, które wychłostał, potem ugościł obiadem i odprawił, wręczając każdej po ludwiku. Brał w tym podobno udział zaufany lokaj markiza, który jeździł po panny na przedmieście świętego Antoniego, gdzie łatwo można było znaleźć prostytutki wszelkich kategorii. I przedtem, i potem willa w Arcueil nie stała oczywiście pustką. Sąsiedzi obserwowali często niezwykle zabawy, odbywające się w dzień i w nocy w ogrodzie lub wewnątrz domu przy szczelnie zamkniętych okiennicach.

Nagle zdarzył się wypadek, który ściągnął na Sade’a gromy oburzenia i prześladowanie. Jedna z jego ofiar niespodziewanie się zbuntowała i wywołała skandal, którego echa rozeszły się po całej Francji. Donatien zdumiałby się zapewne, gdyby mu powiedziano, że może zakończyć swoje libertyńskie wybryki w Arcueil z tak błahego — w jego przekonaniu — powodu...

W słoneczny poranek -niedzieli wielkanocnej dnia 3 kwietnia 1768 roku, o godzinie dziewiątej, gdy tłumy wiernych opuszczały właśnie kościoły, pewien młody człowiek średniego wzrostu¹⁶, ubrany w szary frak i białą koszulę, z krótką szpadą u boku i laską w ręku, stał na placu des Victoires w Paryżu, oparty o kratę pomnika Ludwika XIV. W tłumie kręciła się młoda jeszcze (miała — jak później ustalono — 36 lat), ubogo ubrana kobieta, już na pierwszy rzut oka kształtnej i bardzo silnej budowy ciała. Ta ostatnia zapewne cecha zwróciła na nią uwagę młodego mężczyzny. Kobieta zaczęła przechodniów i zdawała się o coś prosić. Człowiek w szarym fraku obserwował ją przez chwilę, a potem skinął ręką; kiedy podeszła, młody człowiek zaczął z nią rozmawiać. Mówiła po francusku źle i z wyraźnym akcentem niemieckim, była bowiem Alzatką; niemniej jednak propozycję pana we fraku zrozumiała doskonale...

Tak właśnie wyglądało pierwsze zetknięcie się markiza de Sade z Różą Keller, tkaczką z zawodu, wdową po jakimś Karolu Valentin, czeladniku cukierniczym, kobietą niejasnej konduity, podobno od niejakiego czasu żyjącą w biedzie i poszukującą wsparcia. Skutki tego spotkania miały się okazać dla obu stron zupełnie nieoczekiwane. Oboje nie przypuszczali, że krótka rozmowa pod pomnikiem Ludwika XIV tak bardzo zaciąży na ich losach.

Co się właściwie stało tej wielkanocnej niedzieli, wiemy jedynie z relacji osoby poszkodowanej, to jest pani Keller-Valentin. 21 kwietnia (gdy niedzielne wydarzenia w Arcueil były już od kilkunastu dni przedmiotem drobiazgowego śledztwa policyjnego) złożyła ona przed panem Jacques de Chavannes, radcą parlamentu paryskiego, pełniącym obowiązki prokuratora, takie oto zeznanie:

„... Pewien człowiek stojący koło kraty pomnika, ubrany w szary surdut, ze szpadą u boku i laską w ręku, w koszuli o barwie białej raczej niż szarej, zawołał ją i zaproponował zarobienie talara, jeżeli zgodzi się z nim pójść. Odpowiedziała, że nie jest taką, za jaką ją bierze, ale oświadczył wtedy, że chodzi o posprzątanie jego mieszkania i że powinna z nim iść. Poszła więc w jego towarzystwie aż do Nowych Hal, gdzie kazał jej wejść do pokoju na drugim piętrze (o ile zdołała się zorientować), wyłożonego żółtym adamaszkiem, z wielką kanapą wykończoną tym samym materiałem, ale zakrytą, podobnie jak fotele, płóciennym pokrowcem. Kazał jej usiąść i zapytał, czy zgodzi się pojechać na wieś; na co odrzekła, że jest jej obojętne, gdzie będzie zarabiać na życie. Wtedy opuścił ją mówiąc, że musi jeszcze coś załatwić i że wróci za godzinę. W rzeczy samej wrócił w tym terminie sprowadziwszy fiakra, do którego kazał jej wsiąść i zasunął drewniane osłony szyb. Podczas jazdy nie odezwał się ani słowem, wyjąwszy pytanie, czy zdaje sobie sprawę, dokąd ją wiezie, na co odrzekła, że nie, bowiem nic nie widzi. Kazał zatrzymać fiakra w osadzie Arcueil, polecił woźnicy mieć bacność na coś, co zostawił w pojeździe, i kazał zeznającej iść za sobą. Przeszli obok bramy wjazdowej do małej zielonej furtki. Kazał jej tu zaczekać, wszedł przez bramę, otworzył małe wejście i przez ogród doprowadził ją do wysokiego pokoju, z oknem wychodzącym na większy park, w którym to pokoju stały dwa łóżka i parę krzeseł wyplatanych trzcina. Powiedział, żeby tu chwilę poczekała, bowiem pójdzie poszukać jej coś do zjedzenia i wypicia, i że chyba nie będzie się nudzić; potem wyszedł zamknawszy ją na dwa zamki. Mniej więcej po godzinie wrócił, otworzył drzwi i rzekł: — Chodź na dół! — Co i uczyniła. Przeprowadził ją przez mniejszy ogród, ten sam, przez który dostali się do domu, aż do małego gabinetu; zamknął drzwi i kazał się jej rozbierać. Kiedy zapytała, dlaczego, odpowiedział, że po to, aby się zabawić. Przedstawiała mu, że nie po to tutaj przyjechała, ale wtedy oświadczył, że jeżeli się nie rozbierze, zabije ją i własnoręcznie pochowa; potem wyszedł i zostawił ją samą. Rozebrała się więc, ale jeszcze nie całkiem, gdy wrócił i zastawszy ją w koszuli stwierdził, że to trzeba również zdjąć. Gdy zawołała, że raczej umrze, sam zdarł z niej rzeczoną koszulę, ściągając ją przez głowę zeznającej. Potem zaprowadził ją do drugiego pokoju tuż obok, na środku którego stało łóżko pokryte czerwoną materią indyjską w białe wzory; rzucił ją na to łóżko tak, aby legła na brzuchu, przywiązał za cztery członki i przez środek ciała konopnym sznurem, przygniół jej szyję poduszką. Zauważyła, że gdy wrócił po nią do gabinetu, aby zaprowadzić ją do tego pokoju, zdjął uprzednio ubranie i koszulę, a włożył szlafrok bez rękawów i związał na głowie białą chustkę; w pokoju zasłony były zaciągnięte. Po przywiązaniu jej do łóżka wziął pęk różeg i wychłostał ją; robił jej także różne nacięcia scyzorykiem czy małym nożem, na rany wylewał w dużych ilościach roztopiony wosk biały i czerwony. Potem znowu podejmował chłostę, znowu nacinał jej ciało i polewał woskiem, a wszystkie te maltretowania powtarzały się siedem czy osiem razy. Gdy zaś zeznająca krzyczała z powodu owych maltretacji, pokazał jej nóż i zagroził, że jeśli będzie wrzeszczeć, zabije ją i własnoręcznie pochowa, jak to już zapowiedział. Wówczas przestała

krzyczeć. Dodaje, że za każdym razem, gdy wymierzał jej uderzenia różgami, zadawał jej także ciosy kijem. Podczas tych tortur zeznająca w najrozmaitszy sposób doń przemawiała, prosiła, aby jej nie zabijał, albowiem nie odprawiła wielkanocnej spowiedzi; na co odrzekł, że może ją sam wyspowiadać. Nagle, gdy tłumaczyła mu, że przecież nie może się przed nim spowiadać i przedkładała mu jeszcze inne rzeczy, wydał kilka głośnych i przerażających okrzyków, potem zaraz poprzecinał sznury, którymi była związana i zaprowadził ją do małego gabinetu, aby się ubrała. Przyniósł jej dzbanek z wodą i wielką miednicę, aby się umyła; wtedy już zresztą miała na sobie koszulę i spódnicę. Ale się umyła i osuszyła serwetą, którą również jej wręczył; gdy zaś stwierdził, że serweta jest zakrwawiona, kazał jej się umyć po raz drugi, potem przyniósł małą flaszkę z płynem koloru jakiejś wódki i kazał jej się tym natrzeć, mówiąc, że za godzinę śladu nie będzie. Nasmarowała wtedy wszystkie okaleczone części ciała, co sprawiło jej bardzo ostry ból. Gdy była już całkowicie ubrana, przyniósł jej chleb, zimną wołowinę i około pół kwarty wina w butelce, a potem zaprowadził ją do pokoju na górze; zeznająca niosła chleb, talerz, butelkę i kielich. Zamknął ją w tym pokoju powiedziawszy, żeby nie zbliżała się do okna, nie pokazywała się i nie hałasowała, a wypuścił ją wieczorem. Prosiła, aby uwolnił ją wcześniej, bo nie wie, gdzie się znajduje, nie ma pieniędzy i nie chce spać na ulicy; na co odrzekł, że nie musi się tym martwić. Potem wyszedł i zamknął ją w tymże pokoju. Zeznająca ze swej strony zamknęła drzwi na haczyk, umieszczony w środku; potem zdjęła prześcieradła z dwóch łóżek, stojących w pokoju, oderwała przy pomocy swego noża jedną stronę okiennicy z okna wychodzącego na ogród, przymocowała wielkimi szpilkami sznur z dwóch prześcieradeł do dębowej poprzeczki umieszczonej w oknie, i spuściła się do ogrodu. Dostała się do muru, przez który przeszła używając kraty stojącej przy ogrodowej altanie. Z muru spadła do wielkiej zagrody, spadając skaleczyła się w ramię i lewą rękę; z zagrody wydostała się na ulicę. Jakiś służący biegł za nią wołając, aby wróciła, bo jego pan chce się z nią ułożyć, lecz odmówiła; wtedy ów służący wyciągnął sakiewkę i wołał, że chce dać jej pieniędzy, ale na to odpowiedziała również odmownie...”¹⁷ Lokaj markiza, Jacques André Langlois, wrócił więc do willi, a pani Keller pobiegła ulicą de la Fontaine wzywając pomocy; wpadła na niejaką Margueritę Sixdeniers, 43-letnią mieszkankę z Arcueil; szlochając poczęła opowiadać jej swoją przygodę. Zaraz też zebra

ła się wokół gromadka gapiów; panie Pontier i Bajou dołączyły się do pani Sixdeniers i razem zaprowadziły nieszczęśliwą ofiarę do swego domu, złorzecząc głośno libertynowi, który tak okropnie zmaltretował niewinną kobietę. Róża Keller tego samego dnia znalazła się w pałacyku pana Karola Lambert, notariusza z Arcueil, gdzie otoczona troskliwą opieką przez jego żonę, Marię- -Luizę, ułożyła się wygodnie w łóżku i otoczona tłumem ciekawskich poczęła odgrywać rolę umierającej.

Tego samego dnia wieczorem Sade wrócił do Paryża, nie spodziewając się bynajmniej, jaka burza zbiera się nad jego głową. W parę dni później o wypadku w Arcueil opowiadano już wszędzie; plotka obiegała cały Paryż, obrastając z godziny na godzinę w grozę i mrozące krew w żyłach szczegóły. W tydzień później pisano już o „zbrodni w Arcueil” w cyrkulujących szeroko rękopiśmiennych gazetkach, wiadomości wydostały się na prowincję i budziły sensację w całej niemal Francji.

Nazajutrz po wypadku, 4 kwietnia, sędzia w Arcueil przyjął pierwsze zeznanie Róży Keller. W parę dni później zaczęły się przesłuchania świadków, którzy tłumnie pośpieszyli oskarżać „ohydnego libertyna”. Po czterech dniach sprawą zajął się minister dworu królewskiego, a 15 kwietnia całą aferę zaczęła skrupulatnie badać izba kama parlamentu paryskiego.

Trudno pojąć, dlaczego ta przeciętna i w ramach pojęć XVIII wieku zwyczajna afera stała się tak wielką sensacją i do tego stopnia wzburzyła umysły przeciwko dręczycielowi kobiety o dość dwuznacznej — jak się okazało — reputacji. Markiz był przedstawicielem stanu najbardziej uprzywilejowanego, Róża Keller była ubogą mieszkanką; już ta różnica pozycji

społecznych powinna była powstrzymać wszelkie represje. W sferach dworskich nikt ówczas nie brał sobie do serca krzywdy kobiet ze stanu trzeciego, gdy padały ofiarą liberyńskich zakusów ze strony arystokratów czy bogatych finansistów, a przecież w tym wypadku krzywda madame Keller była dość iluzoryczna i nieszczęsna ofiara Sade'a wyszła z całej przygody raczej wystraszona niż okaleczona. Pewne światło na przyczyny powszechnego oburzenia w środowiskach wyznających gorliwie doktryny chrześcijańskie rzuca jednak fakt, że

bezpośrednio po ujawnieniu całej afery zaczęły krążyć uporczywe pogłoski, iż Sade, od dawna cieszący się przecież opinią zdecydowanego ateisty, wybrał na swoje perwersyjne eksperymenty niedzielę wielkanocną specjalnie w tym celu, aby wykpić i sparodiować Mękę Pańską. Pogląd ten był oczywiście zupełnie bezpodstawny, gdyż markiz — mimo całej swojej negatywnej postawy wobec religii katolickiej — nie ujawnił w tym wypadku najmniejszego zamiaru atakowania wierzeń czy praktyk chrześcijańskich, a poza tym podobne (i znacznie drastyczniejsze) praktyki uprawiał w Arcueil od wielu miesięcy w najróżniejszych porach roku. Jednakże oskarżenie takie, gdy powtarzane było wielokrotnie i z uporem, mogło w skutkach okazać się groźne. Przecież ledwo trzy lata wcześniej, w roku 1765, głośna była sprawa dwóch młodych oficerów, Le Fèvre de La Barre'a i d'Etallonde'a; gdy dnia 9 sierpnia

1765 roku jakiś nieznanymi sprawca uszkodził krzyż na moście w Abbeville, a jednocześnie niemal obu młodych oficerów, znanych libertynów, zauważono w czasie procesji, gdy nie oddawali czci Najświętszemu Sakramentowi i zachowali na głowach kapelusze, zainscenizowany został natychmiast wielki proces o świętokradztwo i obrazę religii. Osobisty wróg La Barre'a, sędzia Duval de Saucourt, który przewodniczył trybunałowi, doprowadził do skazania obu nieszczęśników na obcięcie języków, odrąbanie prawych rąk i spalenie żywcem na stosie. D'Etallonde zdołał zbiec z więzienia i ukryć się na terytorium Prus, dzięki czemu ocalał; natomiast La Barre uzyskał jedynie „złagodzenie” kary przez zamianę spalania na ścięcie i po torturach został w roku 1766 stracony. Próżno Voltaire walczył o jego rehabilitację. Sprawa tych dwóch ofiar fanatyzmu szybko przycichła¹⁵. W każdym razie było to jednak dowodem, że przy zbiegu niepomysłnych okoliczności publiczna demonstracja pogardy dla zasad wiary chrześcijańskiej mogła się dla libertyna źle skończyć

1 taka interpretacja sensu wydarzeń w Arcueil w dniu

3 kwietnia mogła wywołać bardzo niebezpieczne dla Sade'a skutki.

Róża Keller leżała w Arcueil w domu państwa Lambert i opowiadała wszystkim odwiedzającym swoje

przygody, ubarwiając historię coraz to nowymi „szczegółami”. Gdy zeznania jej odczytano później Sade'owi potwierdził on w zasadzie całą tę relację, ale z paru istotnymi zastrzeżeniami. Róża Keller — według wersji markiza — była z góry uprzedzona, że jedzie do podmiejskiej willi, aby wziąć udział w perwersyjnych praktykach seksualnych, i dobrowolnie na to się zgodziła. Przed chłostą kazał się jej położyć na łóżku, ale bynajmniej jej nie wiązał, leżała cały czas swobodnie i dobrowolnie. Smagana była dyscypliną ze sznurów z węzłami, a nie pękiem różeg czy kijem; bynajmniej nie kaleczył jej skóry nożem czy innym ostrzem, nie zalewał ran woskiem, lecz namaścił ją tylko pomadą, w skład której wosk rzeczywiście wchodził. W końcu smaganie odbyło się nie w siedmiu czy ośmiu seriach, ale najwyżej w trzech lub czterech...

Trzeba dodać, że zeznania Sade'a zgodne są z relacją chirurga z Arcueil, Pierre'a Paul'a Le Comte, który badał okaleczoną na polecenie miejscowej policji. Znalazł on na jej ciele jedynie otarcia naskórka i ślady uderzeń dyscypliną, natomiast nie wykrył żadnych śladów nacinania skóry ostrymi narzędziami, ani dowodów pętania rąk i nóg sznurem konopnym.¹⁹

Zasadniczym problemem była oczywiście rozbieżność zeznań Sade'a i Róży Keller co do

powiadomienia jej

o celu, w jakim miała udać się do Arcueil. W tej sprawie wszyscy historycy obyczajów XVIII wieku skłonni są Hg jak dotąd M wierzyć raczej markizowi. Jest bowiem niemożliwe, aby kobieta 36-letnia, -należycie rozbudowana, wychowana w mieście i stykająca się z upowszechnionymi w stolicy obyczajami, mogła nie rozumieć, w jakim celu jest zaczepiona i zwerbowana przez młodego arystokratę. W świetle własnych zeznań Róży Keller całe jej zachowanie w Arcueil dowodzi zresztą, że nie była do niczego zmuszona gwałtem fizycznym, a co więcej — przez cały czas pobytu w towarzystwie Sade'a zachowała nadspodziewanie zimną krew i, jak się wydaje, nie była bynajmniej swoją sytuacją przerażona. Zapamiętała przecież doskonale wszystkie szczegóły urzędzenia wnętrz mieszkalnych, do których Sade ją zaprowadził, potrafiła nawet określić z precyzją kupca bławatnego rodzaj każdej materii obciowej.

Rzekome groźby markiza, że „ją zabije i własnoręcznie pochowa” trudno uznać za rzeczywiście skuteczny przymus moralny, skoro Róża przez cały czas znajdowała się sam na sam z człowiekiem bynajmniej nie atletycznej postawy, żadnych domowników nie widziała, sama zaś była kobietą wyjątkowo silną i dobrze zbudowaną. Kobiety o takiej budowie dość wątły w końcu mężczyzna nie mógł oczywiście obalić przemocą na łożu i związać sznurem, gdyby stawiała mu jakikolwiek realny opór. Możemy więc sądzić, że pani Keller dobrowolnie zgodziła się poddać — w zamian za odpowiednie wynagrodzenie — perwersyjnym zabiegom Sade'a, przeceniła jednak swoją wytrzymałość i w czasie chłosty przerażała się na tyle, że postanowiła za wszelką cenę z tego piekielnego domu uciekać, co zresztą udało się jej nadspodziewanie łatwo. Podziwiać należy sprawność, z jaką ta rzekomo poraniona śmiertelnie kobieta, wyłamała okiennicę i dokonała trudnego wyczynu akrobatycznego, spuszczając się z wysokości pięciu metrów po zaimprovizowanym sznurze i pokonując wysoki mur. „Ta panna Keller musiała być doprawdy solidną dziewczuchą” — zauważył lekarz francuski, dr André Javelier, który problemom seksuologicznym w życiu i twórczości markiza de Sade poświęcił interesującą książkę²⁰. Madame Keller miała zresztą trudności w udowodnieniu swych ran, mimo że obrażenia pokazywała wszystkim chętnie i bez zażenowania. Warto tu przytoczyć kapitalną uwagę markizy du Deffand z jej listu do Horacego Walpole'a: opisując wypadek w Arcueil markiza donosiła przyjacielowi, iż zdaniem niektórych pan de Sade poddał Różę Keller straszliwym torturom w celu wypróbowania wynalezionej przez siebie cudownego środka leczniczego na okaleczenia i oparzenia; środek nie zawiódł oczekiwań, okazał się istną rewelacją — rzeczywiście uleczył nieszczęśliwą, na której ciele nie znać już śladów potwornych ran, jakie przecież parę dni temu na pewno miała zadane...²¹

O tych „potwornych ranach” Róży Keller opowiadano szeroko we Francji i legenda przeszła potem nawet do opracowań o ambicjach naukowo-historycznych. Nie wszyscy brali, co prawda, serio późniejszą „relację”

Rétif a de La Bretonne, który w swoich Nocach paryskich (noc 155 i 194) przedstawił wizję zniechęconego markiza, przeprowadzającego na ciele kobiety okrutną wiwisekcję i niewrażliwego na jej straszliwe cierpienia. Nawet jednak i łagodniejsze wersje były urabiane pod wpływem przekonania, że osobiste doświadczenia Sade'a w Arcueil posłużyły mu potem jako materiał do opracowania najokrutniejszych fragmentów Historii Julietty. Dopiero znakomity badacz życia i twórczości Sade'a, lekarz i historyk francuski, Maurice Heine, wyjaśnił całą sprawę w roku 1933, publikując na łamach „Annales de médecine légale, de criminologie et de police scientifique” pełną dokumentację źródłową śledztwa w sprawie afery z Arcueil.

Śledztwo to postępowało szybko i pod koniec po- wielkanocnego tygodnia nie ulegało już wątpliwości, że cała sprawa skończy się dla Sade'a bardzo niefortunnie. 8 kwietnia 1768 roku szef policji królewskiej, pan de Sartine otrzymał od monarchy polecenie na-

tychmiastowego uwięzienia markiza de Sade i osadzenia go pod ścisłym nadzorem w zamku Saumur.

Donatien był już tym razem znacznie spokojniejszy niż przy swoim więziennym debiucie w 1763 roku. Nie sądził zresztą, że tak „błaha” sprawa będzie miała jakieś poważniejsze następstwa; miał nadzieję, że więzienne odosobnienie skończy się jeszcze prędzej niż jego pobyt w Vincennes przed pięciu laty. Wyprosił tylko u władz uwolnienie od policyjnej eskorty i przyrzekł stawić się w Saumur dobrowolnie. 12 kwietnia wyruszył w drogę, eskortowany przez dawnego guwernera, zatroskanego i przerażonego księdza Amblet.

Tymczasem w Paryżu w pałacu państwa de Mon-treuil panowało przerażenie. Prezydentowa była w rozpacz; nie żałowała oczywiście zięcia, który — jej zdaniem — dawno już zasłużył na najstraszliwsze kary, ale trzęsła się ze strachu słysząc o skandalu, jaki wywołały skargi Róży Keller, odwiedzanej przez ciekawych w Arcueil. Już 7 kwietnia postanowiła działać i za wszelką cenę zatuszować sprawę; na wezwanie markizy de Sade ksiądz Amblet sprowadził do pałacu przy ulicy Neuve-du-Luxembourg prokuratora królewskiego, pana Claude-Antoine Sohier’a; po naradzie z żoną i teściową markiza wyjechali obaj do Arcueil, aby oszalałą rzekomo z bólu i rozpacz panią Keller doprowadzić jakoś do równowagi psychicznej i fizycznej sowitym wynagrodzeniem w brzęczącej monecie.

Wysłannicy pani prezydentowej znaleźli „umierającą” w nadspodziewanie dobrej kondycji: w domu państwa Lambert siedziała sobie wygodnie w łożu, otoczona gronem kobiet, z wielkim zainteresowaniem słuchających opowieści o strasznych jej przygodach. Nie zmieszana bynajmniej sarkastyczną uwagą prokuratora Sohier’a, że pozycja w łożu wyraźnie wskazuje, iż stan jej zdrowia uległ już znacznej poprawie, pani Keller przystąpiła do targów. W zamian za wycofanie skargi zażądała tysiąca talarów, to znaczy aż pięciu tysięcy liwrow odszkodowania! Wysłannicy zerwali się z miejsc oburzeni tak wysoką ceną skóry dzielnej Alzatki; proponowali ze swej strony tysiąc osiemset liwrow; targ w targ — stanęło na dwóch tysiącach czterystu liwrach, z tym, że pani Keller otrzymać miała dodatkowo siedem ludwików w złocie na koszty kuracji, maści i medykamentów. Ugodzona suma została niezwłocznie przekazana ofierze markiza, która z kolei podpisała oświadczenie o zaspokojeniu wszelkich jej pretensji.

Mimo to jeszcze przez parę tygodni pani Keller była obiektem zainteresowania władz śledczych, które starannie spisywały jej zeznania. Potem, gdy sprawa ucichła, bohaterka tych zdarzeń zniknęła z Arcueil. Dalsze jej losy są nieznane. Niektórzy autorzy twierdzą, iż dzięki otrzymanemu odszkodowaniu (w przeliczeniu na dzisiejszą siłę nabywczą 2400 liwrow warte jest więcej niż 2400 dolarów) Róża Keller w miesiąc po opisanych wypadkach wyszła korzystnie za mąż.

Wszelako zaspokojenie pretensji tej ofiary libertyńskich ekscesów markiza de Sade nie wpłynęło bynajmniej na poprawę jego sytuacji. Uwięziony w Saumur, próżno czekał na uwolnienie. W końcu kwietnia przeniesiono go do zamku Pierre-Encise pod Lyonem. Starania rodziny na dworze królewskim doprowadziły o tyle do zatuszowania całej sprawy, że Ludwik XV zgodził się podpisać dla osławionego libertyna listy

abolicyjne (była to specjalna forma ingerencji monarszej w proces wymiaru sprawiedliwości, polegająca na zawieszeniu śledztwa w sprawie oskarżonego o jakieś zbrodnie i uwolnieniu go od kary w drodze aktu łaski). Na podstawie listów abolicyjnych dnia 10 czerwca 1768 roku wielkie zgromadzenie parlamentu paryskiego zakończyło sprawę Sade’a, skazując go jedynie na sto liwrow grzywny, którą winien zapłacić na rzecz funduszu wyżywienia więziennego.

Ale Donatien miał się przekonać, iż prawne uwolnienie od winy nie oznaczało bynajmniej w ówczesnej Francji uwolnienia od kary. Dla przesłuchania i zakomunikowania wyroku sprowadzono go z Pierre-Encise na parę dni do Paryża, ale 12 czerwca został z powrotem tam odesłany i miał pozostawać w ścisłym odosobnieniu aż do chwili królewskiego

zmiłowania.

Było to pierwsze ostrzeżenie losu, pierwszy dowód, że nawet opinia publiczna środowisk najbardziej uprzywilejowanych, zazwyczaj bardzo pobłażliwa wobec wybryków obyczajowych członków pierwszego i drugiego stanu, nie może tolerować jawnego cynizmu i ostentacyjnego lekceważenia zasad współżycia społecznego. Gdyby ostrzeżenie to podziałało, losy markiza ułożyłyby się zapewne inaczej. Sade nie potrafi się jednak zmienić i odtąd życie jego będzie składać się głównie z policyjnego prześladowania i więzienia, z rzadka tylko przerywanego okresami swobody.

W Pierre-Encise markiz de Sade przesiedział prawie pół roku. 16 listopada 1768 roku Ludwik XV zdecydował się podpisać rozkaz jego uwolnienia — wszelako z uwagą, że niegodziwy poddany winien udać się do swych dóbr La Coste i tam na zawsze zamieszkać...

IV. MARSYLSKA AFERA CUKIERKÓW KANTARYDOWYCH

A więc znowu La Coste... W swoim prowan- salskim majątku, położonym wśród wzgórz i dębowych lasów, Donatien czuł się zawsze najswobodniej; mógł tutaj pędzić życie wolne od policyjnego i towarzyskiego nadzoru, mógł oddawać się libertyńskim uciechom i prowadzić swoje oryginalne eksperymenty bez konieczności szczelnego zasłaniania okien pałacu grubymi kotarami... Od południa i zachodu wiał często prowan- salski mistral, rozpalający w żyłach krew, podniecający, niepokojący... La Coste było dla markiza miejscem wytchnienia i odpoczynku po przykrych doświadczeniach roku 1768; w niewielkim gronie swych przyjaciół i dobranego „fraczycymeru” Sade wynagradzał sobie ponure miesiące odosobnienia w królewskim więzieniu. Paryż był daleko; miało to swoje dobre strony, ale i drażniło markiza — zagorzały libertyn z trudem znosił myśl, iż na długo odseparowany został od środowiska, które przez lata było jego właściwym żywiołem. Natomiast niedaleko było z La Coste do Marsylii, miasta pełnego dziewcząt gotowych za godziwą opłatą zostać „ofiarami libertynizmu”. Ta bliskość Marsylii za parę lat przyczyni się do nowej klęski Sade’a...

W początkach roku 1769 markiz zaczął się starać o uchylenie zakazu przebywania w Paryżu, który uniemożliwiał mu powrót do stolicy choćby na krótki okres; matka, stara hrabina de Sade, przedłożyła ministrowi domu królewskiego odpowiednie podanie Donatiena, umotywowane obszernie koniecznością leczenia w Paryżu zdrowia nadszarpniętego w królewskich więzieniach. 2 kwietnia 1769 roku Ludwik XV zgodził się uchylić czasowo wydany pół roku wcześniej zakaz. W maju Sade pośpieszył do Paryża i połączył się z żoną, -która oczekiwała znowu dziecka, owocem krótkiego wspólnego pobytu w Lyonie jesienią 1768 roku. Dnia 27 czerwca 1769 roku przyszedł na świat Donatien- -Claude-Armande de Sade, drugi syn markiza, a w przyszłości — po bezpotomnej śmierci brata swego Ludwika — kontynuator rodu, od którego wywodzi się egzystująca po dziś dzień gałąź rodziny de Sade.

W trzy miesiące później markiz de Sade opuścił Paryż, udając się tym razem na północ, do Flandrii i Niderlandów. W końcu września i początkach października zwiedził Brukselę, Antwerpię, Rotterdam, Hagę, Amsterdam. Nie wiemy, w jakim właściwie celu odbył tę podróż. Gdy w XVIII wieku francuski pisarz jechał do któregoś z miast niderlandzkich, celem takiej ekspedycji było z reguły złożenie w zaufane ręce holenderskiego drukarza jakiegoś tajnego rękopisu. Jednakże w latach 1760-tych Sade nie zamierzał jeszcze niczego drukować i chyba nie wiozł ze sobą do Hagi czy Amsterdamu żadnego dzieła. Wrócił zresztą rychło do Francji, niedługo zabawił w Paryżu, pośpieszył znowu do La Coste.

Losy jego w ciągu następujących lat są niejasne. W połowie roku 1770 próbował wstąpić znowu do czynnej służby wojskowej jako kapitan w pułku kawalerii bur- gundzkiej. Czyżby zmuszony był do tego coraz gorszym stanem rodzinnych finansów? A może chciał się uchronić przed skutkami jakiejś nowej afery, o której nie dotarły do nas żadne informacje? Próba ta zresztą nie powiodła się; Sade spotkał się w pułku z afrontem i obelgami — jako osobnik tak

zniesławiony niegodzien był służyć w wojsku królewskim; próżno odwoływał się z oburzeniem do komendanta pułku, hrabiego de Saignes. Podróżował potem parokrotnie między La Coste a Paryżem, starając się ratować jakoś swoją sytuację majątkową; długi rosły — we wrześniu 1771 roku markiz przesiedział z tego powodu kilka dni w twierdzy Fort-l'Eveque, gdzie wsadzano upartych albo, niewypłacalnych dłużników. Z opresji tych zdołał się jednak wydostać; zaraz potem zabrał żonę i dzieci (dwóch synów i urodzoną 17 kwietnia 1771 roku córkę Magdalenę-Laure) i pośpieszył do La Coste.

Zimą i wiosną roku 1771/1772 rozegrać się miały

^w La Coste wypadki, które panią de Montreuil doprowadziły w końcu do ostatecznej depresji. W listopadzie

1771 roku widzimy bowiem w Prowansji, u boku siostry i szwagra, również pannę Annę-Prospere de Launay, 27-letnią urodziwą dziewczynę, która — jak się wydaje — od dawna darzyła markiza namiętym, w głębi serca skrywanym uczuciem. Pani de Sade skarżyła się potem (w roku 1774), że w czasie, gdy „bawiła ze swoim mężem, markizem de Sade, w majątku La Coste w Prowansji, przyjechała do niej siostra panna de Launay, pod pretekstem zabawiania jej swoim towarzystwem i odetchnięcia tutaj świeżym powietrzem; oddana mężowi i dzieciom przez czas dłuższy cieszyła się spokojem, którego nic nie powinno zakłócić, a czułość męża nie pozwalała jej nawet podejrzewać tej fatalnej namiętności, która wkrótce miała być źródłem całej lawiny nieszczęść i niedoli”.²² Mimo obecności w La Coste Renaty-Pelagii de Sade panna de Launay została kochanką jej męża.

Dziwnie więc musiały wyglądać stosunki w La Coste na przełomie 1771/1772. Sade żył jednocześnie z dwiema kobietami,¹ co bynajmniej nie zaważyło na ich siostrzanych uczuciach. Donatien zabawiał je zresztą arcy-umiejtnie, w La Coste odbywały się często przyjęcia i festyny, na scenie pałacowego teatryku wystawiano komedie, życie toczyło się prędko i beztrosko. Obie siostry zapomniały prawie o matce, przebywającej w Paryżu i rozdrażnionej brakiem wiadomości. W maju 1772 roku pani prezydentowa błaga księdza de Sade o jakieś wiadomości z La Coste, albowiem córki zupełnie do niej nie piszą; najwidoczniej „bale i komedie całkowicie je zajmują...”. Nic je nie obchodzi — ubolewała pani de Montreuil — że długi rosną z dnia na dzień; markiz ma już 30 000 liwrów długu w Prowansji i tyleż samo w Paryżu. I cóż za hańba! Nie dość, że zabawia się dziwacznymi spektaklami teatralnymi, to jeszcze daje z siebie widowisko dla całej prowincji! To niegodziwość kompromitować tak żonę i szwagierkę!²³ Pani de Montreuil była rzeczywiście w rozpacz; z Prowansji dochodziły takie wieści, że czcigodnej matronie włosy stawały na głowie. A co najgorsza, obie zdeprawowane przez markiza jej córki, wyzwolone spod rodzicielskiego nadzoru, prowadziły życie wyuzdane i beztroskie, nie reagując bynajmniej na matczyne upomnienia...

Ścigające markiza fatum miało jednak niedługo ciężko go ukarać i włożyć w ręce prezydentowej narzędzie zemsty.

W połowie czerwca 1772 roku pilne sprawy majątkowe wezwały markiza do Marsylii. Pożegnał Renatę

i Annę i wyjechał z La Coste w towarzystwie lokaja, Armanda Latour. W Marsylii zatrzymali się w hotelu „Pod Trzynastoma Kantonami”. Nie wiadomo, czy markiz rzeczywiście zdołał załatwić swoje sprawy finansowe. Możemy przypuszczać, że tak, albowiem w czwartek 25 czerwca był już zupełnie swobodny i spokojny, wydał wieczorem w hotelu małe przyjęcie dla paru znajomych aktorów z marsyjskiego teatru

i wysłał na miasto lokaja Latoura, aby poszukał jakichś dziewczyn, z którymi można by się zabawić.

Latour zaczął na ulicy niejaką Mariannę Láveme, 18-letnią prostytutkę, i umówił ją na dzień następnny; wszelako dziewczynie stanęło coś na przeszkodzie

i spotkanie trzeba było przełożyć na sobotę 27 czerwca, godzinę dziesiątą rano. Latour zwerbował w międzyczasie jeszcze trzy inne dziewczyny: 20-letnią Mariannę Laugier, również 20-letnią Różę Coste oraz 23-letnią Mariettę Borelly; w mieszkaniu tej ostatniej, na trzecim piętrze domu przy ulicy d'Aubagne 15 bis miało się odbyć spotkanie, które zasłynęło później jako straszliwa zbrodnia marsylska osławionego libertyna, wiwisektora i mordercy kobiet, markiza de Sade... Legenda o tym wydarzeniu krążyła sto kilkadziesiąt lat; dopiero w roku 1933 Maurice Heine wyjaśnił na podstawie dokumentów policyjnych i zeznań przesłuchiwanymi ówczesnymi marsylskimi prostytutkami, czym naprawdę była osławiona „afera cukierków kan tary do- wych” z 1772 roku.

O umówionej godzinie markiz de Sade, mężczyzna — jak opisały go potem przesłuchiwane dziewczyny — średniego wzrostu, ładnej figury, o włosach blond i pełnej twarzy, ubrany w szary frak podbity niebieską podszewką, kamizelkę i jedwabne spodnie szarego koloru, kapelusz z piórem, ze szpadą u boku i trzymając w ręku laskę ze złotą gałką — zjawił się w mieszkaniu panny Borelly w towarzystwie wysokiego lokaja

o długich włosach i twarzy pociętej ospą (był to Latour). Panny otoczyły ich kołem, markiz wyciągnął z kieszeni sakiewkę z pieniędzmi i kazał dziewczynom zgadywać, ile talarów w niej się znajduje. Grę tę wygrała Marianna Laverne, Sade kazał jej więc rozpocząć zabawę, odsyłając na razie trzy inne dziewczyny do sąsiedniego pokoju.

Orgia w mieszkaniu przy ulicy d'Aubagne 15 bis trwała kilka godzin, a o jej przebiegu wiemy tylko z zeznań czterech dziewczyn. Pierwszą z nich (Mariannę Laverne) markiz poczęstował cukierkami anyżkowymi, które zawierały — jak domyślamy się dzisiaj — proszek kantarydowy, silne aphrodisiacum, powszechnie w XVIII wieku używane. Razem z Latourem poddawał bolesnej chłoscie dyscypliną i różgami wszystkie uczestniczące w orgii dziewczyny, ale również żądał od nich, aby chłostały go tymi samymi narzędziami. Zabiegi te przerywane były kontaktami seksualnymi, które Sade i Latour podejmowali parokrotnie z kolejnymi partnerkami...

Jest bardzo charakterystyczne, że bynajmniej nie zabiegi „sadyistyczne”, ale właśnie sam rodzaj tych kontaktów — opisany następnie dokładnie w zeznaniach prostitutek — miał ściągnąć na markiza długotrwałe prześladowania policyjne i sądowe. Sade domagał się bowiem od dziewczyn tzw. paedicatio, czyli stosunku analnego określanego w wieku XVII i XVIII mianem „sodomii” i ściganego przez prawo i Kościół z niezrozumiałą zaciekłością. Pamiętać należy, że upowszechnione szeroko rozmaite perwersje seksualne i niezwykle formy obcowania płciowego były. ówczesnie zazwyczaj tolerowane lub uznawane najwyżej za ciężki grzech przeciwko przykazaniom 'bożym, ale oczywiście nie za zbrodnię. Wyjątkiem było właśnie paedicatio — „grzech sodomski”, który w świetle obowiązującego w wielu krajach (między innymi we Francji) prawa państwowego winien ulegać najsurowszej karze, z reguły karze śmierci! Powodów tej niezwyklej surowości prawodawców nie można już dzisiaj dociec, żadne bowiem racjonalne względy nie uzasadniają (nawet

w świetle pojęć i wiedzy XVII i XVIII wieku) wyłączenia tej jedynej formy obcowania seksualnego spośród wszystkich perwersji płciowych; trzeba zresztą dodać, że paedicatio uznawano za zbrodnię niezależnie od rodzaju kontaktu—heteroseksualnego czy homoseksualnego. Prawo było surowe i winni tej oryginalnej zbrodni padali często ofiarą nienawiści swoich najbliższych — jest bowiem oczywiste, że w takich wypadkach denuncjacja pochodzić mogła tylko od osób najbliższych z „występnymi” związanymi. Wedle prawa francuskiego winni grzechu i zbrodni „sodomii” karani byli spalaniem na stosie! „Grzech” ten otoczony był więc szczególną grozą — i zapewne dlatego pociągał zawsze libertynów, którzy praktykowali go z upodobaniem, znajdując za hojnym wynagrodzeniem zawsze gotowe do współuczestniczenia partnerki wśród kurtyzan i prostitutek.

W świetle zwyczaju i prawa najsurowszej karze podlegać winno dwoje uczestniczących w „grzechu so- domskim” partnerów, ale — rzecz szczególna — sprostytuowanym kobietom, udostępniającym swe ciało do tego rodzaju praktyk, uchodziło to najczęściej na sucho. One to bowiem były zazwyczaj denuncjatorkami, a twierdziły zawsze stanowczo, że proponowano im jedynie tego rodzaju praktyki, ale oparły się pokusom wysokiego wynagrodzenia...

Jeżeli zaś przyznawały się nawet do „grzechu so- domskiego”, to utrzymywały, że zmuszono je do tego fizyczną przemocą... W ten sposób urażone czy niedostatecznie opłacone prostytutki mściły się czasami na swoich klientach, ściągając na nich surowe kary sądowe. Uczestniczki orgii marsylskiej w dniu 27 czerwca postąpią właśnie w ten sposób: oskarżając potem Sa- de’a i Latour’a opowiadać będą, że zwycięsko obroniły resztki swojej cnoty przed zakusami tych libertynów i zbrodniarzy...

Spotkanie przy ulicy d’Aubagne 15 bis zakończyło się wczesnym popołudniem. Markiz zapłacił dziewczynom i wraz z lokajem wrócił do hotelu. Wieczorem tego samego dnia przyjmował u siebie aktora teatru marsyl- skiego, pana Sebastiana Des Rosières, podczas gdy La- tour włóczył się po ulicach w poszukiwaniu dalszych przygód. Przed bramą jednego z domów przy ulicy Saint-Ferréol-le-Vieux zaczął 25-letnią dziewczynę, Marguerittę Coste, i zaproponował jej spotkanie ze swoim panem. Dziewczyna poszła przygotować mieszkanie na przyjęcie klienta, a Latour popędził do hotelu „Pod Trzynastoma Kantonami”. Sade siedział właśnie przy stole ze swoim gościem, ale usłyszawszy od służącego o nowej zdobyczy, śpiesznie pożegnał aktora, schwycił kapelusz, laskę i szpadę, i popędził do panny Coste.

Latour nie brał udziału w tym ostatnim spotkaniu. Markiz — według późniejszych zeznań pannicy — częstował ją anyżkowymi cukierkami i również domagał się od niej „sodomii”, ale — jak przysięgała — zdecydowanie się oparła pokusom i dopuściła do obcowania jedynie w sposób dozwolony przez Kościół i prawo. Markiz zostawił jej na stole sześć liwrow i wyszedł od niej późnym wieczorem.

Nazajutrz o świcie, w niedzielę 28 czerwca, Sade i Latour opuścili Marsylię małym dwukołowym powo- zikiem zaprzęgniętym w trzy konie. Wracali do La Coste, nie przypuszczając, że nad ich głowami zbiera się straszliwa burza...

Nieszczęście chciało, że Margueritta Coste i Marianna Laverne, które zjadły otrzymane od markiza anyżkowe cukierki, w nocy z soboty na niedzielę poważnie zachorowały. Nie wiadomo, czy zaszкодziła im nadmierna dawka zawartego w cukierkach proszku kantarydo- wegq, czy też niehigieniczne warunki, w których sporządzano tego rodzaju preparaty, spowodowały u obu dziewcząt jakieś zakażenie bakteryjne, dość że przez kilkanaście godzin cierpiały obie na bóle brzucha i torsje. Z niezrozumiałych powodów nieszczęśnice te doszły do wniosku, że zostały otrute przez swojego okrutnego klienta. Skoro tylko zwłokły się z łóżek, we wtorek 30 czerwca pośpieszyły do prokuratora królewskiego, pana de Mende, i przedstawiły mu szczegółowo sobotnie wypadki.

No i zaczęło się... Marsylscy urzędnicy sądowi słyszeli oczywiście o aferze w Arcueil w roku 1768, a znali bynajmniej nie wersję urzędową, ustaloną w śledztwie przez paryski parlament, ale plotkę o zbrodniarzu- -wiwisektorze, który jakimś cudem, wskutek protekcji na dworze królewskim, zdołał ująć karze śmierci... Obijały się im o uszy skargi pani de Montreuil na liberty- nizm i a teizm markiza, gdyż prezydentowa zasypywała listami pełnymi żalu i rozpaczony wszystkie wyżej postawione osobistości w Prowansji. Wreszcie z La Coste dochodziły również pogłoski o niezbyt budujących scenach w czasie przyjęć i przedstawień teatralnych w pałacu de Sade... Urzędnicy sądowi we Francji „ancien régime’u” byli z reguły ludźmi do głębi zdeprawowa-

nymi i wyznającymi światopogląd libertyński, a obyczaje niejednego z nich mogły zażenować nawet Donatiena de Sade. Jednak byli również ludźmi przezornymi i zręcznymi, ze swymi poglądami i życiem prywatnym starannie się ukrywali, na zewnątrz demonstrowa

li swoje przywiązanie do zasad moralności katolickiej

i głęboką wiarę, często przybierającą pozory dewocji. Powszechnie oskarżano ich o obłudę, tym bardziej więc starali się surowością wyroków w procesach o przestępstwa ideologiczne i obyczajowe przeciwstawić nieszczególnej opinii, jaką cieszyło się ich środowisko * w ówczesnym społeczeństwie francuskim. Sprawa markiza de Sade następczo wyborną okazję...

Urzędnik sądowy, pełniący obowiązki sędziego śledczego, Jean-Pierre Chomel, z polecenia prokuratora zaczął natychmiast zbierać zeznania świadków; zaangażował aptekarzy do zbadania zawartości cukierków anyżkowych, które znaleziono w mieszkaniu panny Bo-relly — a jednocześnie wszem i wobec głosił o nowej zbrodni osławionego markiza, wskutek czego plotka rozrastała się i rozchodziła po całej Prowansji, a wkrótce dotarła i do Paryża.

Relację ubarwiano z dnia na dzień; już 25 lipca pan de Bachaumont, redaktor słynnych *Mémoires secrets*, opisywał sugestywnie wydarzenia w Marsylii, donosząc, że pan de Sade, znany ze swoich ekscesów w roku 1768, wydał teraz w tym mieście wielki bal, na który zaprosił dziesiątki gości, a powodowany okrutną złośliwością i libertyńskim wyuzdaniem podał na deser pastylki czekoladowe, obficie zaprawione proszkiem kantarydowym; całe towarzystwo wpadło w szał i ekstazę, bal zmienił się w straszliwą orgię, w czasie której wyróżnił się przede wszystkim

kim gospodarz, szalejący razem ze swoją szwagierką, panną de Launay; wiele kobiet uczestniczących w tym balu zmarło z zatrucia i wyczerpania, a liczni mężczyźni, dotknięci potwornym „priapizmem”, konali w czasie wyuzdanych ekscesów...²⁴

4 lipca 1772 roku prokurator królewski w Marsylii wydał nakaz ścigania i ujęcia pana de Sade i lokaja Latour'a, oskarżonych o sodomie i trucicielstwo. Oskarżenie było mocno naciągnięte, jako że zeznające prostytutki ze zrozumiałych względów donosiły tylko o usiłowaniu „sodomii”, a zarzut trucicielstwa był śmieszny, skoro ustalono, iż w całej tej aferze nie było ani jednej śmiertelnej ofiary, a dwie cierpiące na rozstrój żołądka dziewczyny po trzech dniach wyzdrowiały już całkowicie. Niemniej jednak władze sądowe z gorliwym uporem prowadziły dalej śledztwo.

Ktoś zdołał jednak ostrzec markiza de Sade. W pierwszych dniach lipca przyszła do La Coste wiadomość

o oburzeniu w Marsylii i wszczętym postępowaniu sądowym. Donatien był już człowiekiem zbyt doświadczonego i obytym z królewskim wymiarem sprawiedliwości, aby miał czekać w La Coste na dalszy rozwój wypadków. Szybko spakował niewielki, podręczny bagaż, zabrał najważniejsze papiery i wsiadł do powozu. Towarzyszyli mu lokaj Latour i panna Anna-Prospiera de Launay. Cała trójka śpiesznym klusem skierowała się ku granicy sabaudzkiej.

Tu szybka decyzja prawdopodobnie ocaliła markizowi życie. W tydzień później, 11 lipca, urzędnik sądowy z Apt zjawił się w La Coste w towarzystwie żandarmów, aby ująć „zbrodniarzy”; wrócił jednak zawiedziony i cała procedura postępowała dalej w trybie zaocznym.

Władze marsylskie i parlament prowansalski w Aix-en-Provence szybko się dogadały; 11 września 1772 roku zapadł ostateczny wyrok; markiza de Sade i Armanda Latour skazano na karę śmierci...

Dekret głosił: „...uznaje się pana markiza de Sade

1 służącego jego Latour'a, zbiegłych i nieobecnych, winnymi i przekonanymi o zbrodni trucicielstwa i sodomii {..J skazuje się ich na oddanie w ręce mistrza sprawiedliwości, który zaprowadzi ich na odbycie godziwej po

kuty przed głównym wejściem kościoła katedralnego; tam na kolanach, z odkrytą głową i bosy, w koszuli

i ze sznurem na szyi, trzymając w rękach gorejące świece z żółtego wosku o wadze jednego funta każda, błagać będą o przebaczenie Boga, króla i sprawiedliwość; potem zaprowadzeni zostaną na koniec placu św. Ludwika, gdzie wzniesiony zostanie dla nich specjalny szafot; zetnie się tam głowę panu de Sade, a na wzniesionej w tym samym miejscu szubienicy zawieszony zostanie wspomniany Latour i zadławiony sznurem aż do chwili naturalnej śmierci. Potem ciała pana de Sade i rzezonego Latour'a zostaną spalone, a popioły ich rozrzucone jna wietrze. Poza tym skazuje się pana de Sade na trzydzieści liwrów grzywny, a Latour'a na dziesięć liwrów, płatnych na rzecz króla..."²⁵

„Zbrodniarze” byli na razie nieuchwytni, władze prowansalskie nie mogły więc zorganizować dla tłumu podniecającego widowiska, ale postarały się chociaż o spektakl zastępczy: 12 września Sade i Latour zostali straceni i spaleni in effigie na placu des Prêcheurs w Aix-en-Provence. Natychmiast po ich ujęciu egzekucja miała być oczywiście powtórzona już całkowicie realnie...

Gdy w ten sposób kończono prowizorycznie marsylską aferę, pani de Montreuil przejęta była dwojakimi uczuciami: z jednej strony radowała się wielce przykłądną (choć nie dopełnioną) karą, jaka spotkała jej zięcia, z drugiej zaś bolała niesłychanie nad hańbą, jaka spadła na całą rodzinę. Ucieczka markiza rodziła groźbę dalszych nieprzyjemnych konsekwencji. Gdyby Donatien położył głowę na szafocie, skandal prędko by ucichł, dobra prowansalskie przejęło by się pod własny nadzór, a wdowę po libertynie i troje jego osieroconych dzieci pod ścisłą kuratelę... Tymczasem Sade siedział sobie bezpiecznie w Sabaudii — i to w towarzystwie tej wyrodnej Army-Prospery! — wcale się nie starał ukryć i najwidoczniej przypuszczał, że z czasem zdoła doprowadzić do rewizji wyroku i wrócić do Francji... Pani de Montreuil postanowiła więc działać i zwróciła się do księcia d'Aiguillon, ministra spraw zagranicznych dworu wersalskiego.

Tymczasem markiz de Sade po przekroczeniu sa baudzkiej granicy zostawił w Nicei swoje bagaże i udał się do małego miasteczka Chambéry, gdzie 27 października zatrzymał się w oberży „Pod Żłotym Jabłkiem”. Przedstawił się tam jako markiz de Mazan (nazwiska tego używać będzie przez cały czas pobytu we Włoszech) i wynajął skromne pokoje dla siebie, towarzyszącej mu damy i dwóch lokajów (Armanda Latour i niejakiego Carterona, zwanego La Jeunesse). Po paru dniach całe towarzystwo przeniosło się jednak do domu za miastem, który Donatien wydzierżawił na sześć miesięcy. Markiz starał się jak najmniej pokazywać w mieście, nie utrzymywał prawie z nikim kontaktów towarzyskich, zachowywał się spokojnie — ale mimo to zwrócił na siebie uwagę; już po paru dniach wiadomość

o jego pobycie w Chambéry dotarła do Prowansji, skąd przesłano ją pośpiesznie do Paryża.

Sade nie zamierzał najwidoczniej uciekać dalej od Francji, ale zapewne liczył się z możliwością prześladowań, gdyż w początkach listopada pożegnał swoją wierną towarzyszkę, Annę-Prosperę, i wyprawił ją potajemnie do Francji. Panna de Launay wróciła do La Coste i przyjęta została przez siostrę najzupełniej spokojnie. Obie zaczęły szukać sposobów ocalenia markiza przed gniewem prezydentowej de Montreuil.

Albowiem zawzięta teściowa zaczęła działać natychmiast po otrzymaniu wiadomości o pobycie Sade'a w nadgranicznej miejscowości sabaudzkiej. 17 listopada 1772 roku książę d'Aiguillon przesłał na ręce hrabiego Ferrero de la Marmora, ambasadora królestwa Sabaudii i Sardynii na dworze wersalskim, uprzejmą prośbę o natychmiastowe przytrzymanie i osadzenie w twierdzy pana de Mazan, w rzeczywistości noszącego nazwisko Sade, którego „umysł jest tak rozwiązły, że obawiać się należy jego próby powrotu do Francji

albo jakichś nowych szaleństw, których może się dopuścić w Sabaudii”²⁶. Żądanie to zostało natychmiast zakomunikowane ministrowi spraw zagranicznych w Turynie, hrabiemu Lascaris, i samemu monarsze Karolowi Emanuelowi III. Zaraz też pan de Mouroux, pełniący obowiązki sardyńskiego ministra spraw wewnętrznych, wyekspediował z rozkazu króla polecenie dla gubernatora Sabaudii, hrabiego Sallier’a de La Tour, aby niezwłocznie aresztował i osadził w twierdzy niebezpiecznego zbiega z Francji, pana de Mazan, vel markiza de Sade. Dwór sardyński reagował zawsze skwapliwie na prośby i życzenia dworu wersalskiego, | Karol Emanuel III marzył, aby pokorą i posłuszeństwem zyskać względy swego „najjaśniejszego kuzyna”, starego Ludwika XV...

8 grudnia, o godzinie dziewiątej rano, oddział żandarmerii sabaudzkiej otoczył domek w Chambéry, a dowódca tej ekspedycji, major Joseph de Chavanne, wdarł się do wnętrza wraz z dwoma podoficerami. Poszukiwany przestępca — raportował później ministrowi gubernator Sabaudii — „był sam ze swoim służącym; złożył zaraz posiadaną broń, to jest parę pistoletów

i szpadę; co do bagaży, które również przeszukano, to takowe okazały się bardzo nieliczne, jeden kuferek zawierał wszystko; nie znaleziono nigdzie ani listów, ani papierów o jakimkolwiek znaczeniu...”²⁷ Major de Chavanne przypuszczał zapewne, że niebezpieczny zbrodniarz będzie się bronił do ostatniej kropli krwi

i dlatego otoczył domek silnym oddziałem wojska; był też mile zdziwiony spokojem i przyzwoitym wyglądem przestępcy, którego udało mu się ująć bez żadnych kłopotów. Nazajutrz, 9 grudnia, markiz de Sade pod silną eskortą odstawiony został do nadgranicznej twierdzy alpejskiej, Miolans, i oddany w ręce komendanta, który dziwnym zbiegiem okoliczności jnosił to samo nazwisko, co Anna-Prospera — de Launay — chociaż nie miał z nią oczywiście nic wspólnego. Komendant de Launay otrzymał już wcześniej zalecenie pilnego czuwania nad ujętym markizem: „można mu pozwalać na przechadzki w obrębie wewnętrznych murów więzienia, ale zachowując wszelką ostrożność i pod nadzorem jednego z podoficerów-inwalidów, który winien stale nad nim czuwać...”²⁸ Równocześnie zalecono jednak łagodne traktowanie więźnia, który pochodził ze znakomitej rodziny francuskiej, i zezwolono, aby Sade korzystał na własny koszt z miejscowej kantyny oficerskiej. Markiz mógł również zatrzymać przy sobie lokaja, wiernego Latour’a, który — choć nie objęty nakazem aresztowania — pośpieszył dobrowolnie za swym panem do twierdzy w Miolans.

Na wiadomość o pojmaniu i uwięzieniu Donatiena zebrała się 18 gijudnia w Awinionie rada familijna pod przewodnictwem niezmordowanej pani de Montreuil; zdecydowano, że wychowaniem dzieci i zarządem dóbr markiza zajmować się będzie tera/ jego żona, Renata-Pelagia; jednocześnie wyekspediowano do hrabiego Ferrero de la Marmora obszerny memoriał, ułożony przez panią prezydentową. Pani de Montreuil prosiła w imieniu całej familii o wydanie rozkazów, aby „szlachcic ten był traktowany z niejakimi względami i aby zapewniono mu wszystko, czego człowiek jego stanu i w takiej sytuacji może potrzebować, wszelako o tyle, o ile nie przyniesie to najmniejszej szkody zabezpieczeniu jego osoby ani nie przyczyni się do ułatwienia mu ucieczki, gdyby chciał jej spróbować”. Zapewniła też, że jeżeli pan de Sade będzie trzymany w Miolans w należyтым odosobnieniu i w zupełnej tajemnicy, tak aby nikt nie znał jego prawdziwego, zbyt już niestety osławionego nazwiska, to rodzina gotowa jest płacić na jego utrzymanie stałą pensję za pośrednictwem jednego z lyońskich bankierów. Najciekawszy był jednak następujący fragment memoriału: „Uprasza się, aby zwrócono mu te rzeczy, które może mieć u siebie, tak dla codziennego użytku, jak i zajęcia niezbędnego dla tak żywego umysłu, wszelako z wyłączeniem wszystkich papierów, manuskryptów, listów jakiegokolwiek rodzaju, które powinny być natychmiast odesłane rodzinie razem z małą skrzynką czy drewnianym kuferekiem czerwonego koloru, obitym miedzią, który zawiera również papiery. Jeżeli zabrał tę skrzynkę ze sobą do twierdzy, uprasza się, aby ją wykraść w

ten sposób, aby nie zdołał tego przewidzieć ani też nie usunął z niej żadnego z rękopisów. Co do klucza, jeżeli się go nie znajdzie, to trzeba się będzie bez niego obejść. Ponieważ wspomniane papiery mają znaczenie tylko dla więźnia i jego rodziny, byłoby pożądane odesłanie ich bez żadnego przeglądania do pana ambasadora Sardynii w Paryżu, który z kolei będzie łaskaw przekazać je rodzinie...”²⁹ Pani de Montreuil drżała z lęku, że szatańskie notaty i szkice Donatiena mogą dostać się w obce ręce i zdradzić jego haniebne zainteresowania!

Okazało się jednak, że czerwonego • kufierka z „piekielną dokumentacją” Sade w chwili aresztowania nie miał przy sobie; zapewne zostawił go w Nicei z resztą bagaży.. Ścisły nadzór straży więziennej uniemożliwiał mu zresztą pracę literacką. Zapewniono mu w Miolans niezłe warunki egzystencji; miał pokój ciepły, dobrze umeblowany, mógł przechadzać się po dziedzińcu twierdzy — ale przez cały czas pozostawał pod ścisłą obserwacją i nie mógł uczynić samotnie ani jednego kroku; żołnierze twierdzy otrzymali surowy rozkaz unikania kontaktów z uwięzionym Francuzem. Nic dziwnego, że Donatien pograżył się w nerwowym nastroju; pojmował, że uwięzienie jego miało być bezterminowe, że groziło mu spędzenie w Miolans całej reszty życia. Na szykany ze strony straży więziennej reagował gwałtownie, wybuchał gniewem, komendant de Launay usiłował go poskromić, odbierając mu prawo do spacerów, co doprowadzało więźnia do. jeszcze większego rozdrażnienia. Memoriały składane władzom sardyńskim, w których markiz protestował przeciwko bezprawnemu uwięzieniu, nie odnosiły żadnego skutku; jedyną nadzieją mogła być ewentualna ucieczka — ale jakże trudno było uciec z górskiej twierdzy, której załoga od lat strzegła z powodzeniem wszystkich osadzonych tu więźniów...

Mimo czujności komendanta zamku Sade zdołał jednak w jakiś sposób nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. Pan de Launay trapił się niesłychanie, gdy dochodziły go wieści, że niebezpieczny więzień wysyła i otrzymuje potajemnie listy, których straż nie potrafią przychwycić. W początkach marca otrzymał informację, która jeszcze bardziej go zaniepokoiła: pani de Sade przybyła potajemnie w okolice Miolans i usiłowała się skontaktować z mężem...

Przyznać trzeba, że zachowanie markizy de Sade było w tym okresie godne uznania. Nie ugięła się pod bezwzględną presją matki, starała się w jakiś sposób dopomóc uwięzionemu mężowi. W końcu lutego 1773 roku wyjechała z Paryża w towarzystwie zaufanego sługi, niejakiego Albarta; przebrana za mężczyznę przekroczyła w jego towarzystwie granicę sabaudzką (oboje podawali się w drodze za braci Dumont, jadących do Piemontu w sprawach handlowych); wreszcie 7 marca

dotarła w pobliże Miolans. Usiłowała uprosić komendanta twierdzy o widzenie z Sade’em, ale Launay, przekonany, że podróż markizy ma na celu zorganizowanie ucieczki jej męża (zdaje się zresztą, że miał rację), stanowczo odmówił. Po tygodniu oczekiwania pani de Sade wróciła do Francji i stamtąd przesała na ręce króla Sabaudii i Sardynii, młodego Wiktora Amadeusza III, panującego dopiero od kilku tygodni, pełną godności prośbę o uwolnienie markiza, który — pisała — nie popełnił żadnego przestępstwa na terytorium Królestwa Sardynii, więziony jest na prywatne żądanie ministra dworu wersalskiego, a tylko „za młodzieńcze uniesienia, nie godzące bynajmniej w życie, honor czy reputację żadnego z obywateli, po to jedynie, aby zgasić płomień zbyt żywej imaginacji, zamknięty został w twierdzy Miolans. Najlepszy to sposób — ostrzegła pani de Sade, przekonana zapewne, iż celem tych wszystkich prześladowań była moralna reedukacja jej męża — aby rozniecić w nim zło, które chce się stłumić...”³⁰

Prośba została bez odpowiedzi; dwór turyński nie śmiał decydować w tej sprawie bez zgody Wersalu, a tam nie można było oczekiwać żadnej przychylniej dla Sade’a zmiany stanowiska.

Nadeszła wiosna. Zbocza Alp pokryły się zielenią

i kwieciami, dni były słoneczne, a i noce cieplejsze; coraz ciężej było godzić się z myślą o bezterminowym więzieniu w Miolans...

Nagle w nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1773 roku zbudzono komendanta de Launay. Wystraszony stróż nocny przybiegł z wiadomością, że mimo tak późnej pory palą się ciągle świece w celi pana de Sade. Komendant pośpieszył do więzienia, wywalono zamknięte drzwi celi. Była pusta; na stole dogasały dwie świece i leżały dwa listy, jeden podpisany przez markiza de Sade, drugi przez barona François d'Allée de Songy, francuskiego awanturnika, który od roku więziony był również w twierdzy Miolans, a w czasie tej nocy przepadł razem z markizem.

„Jeżeli cokolwiek może zakłócić moją radość ze zrzucenia kajdan — pisał Donatien cokolwiek ironicznie do komendanta de Launay — to jedynie obawa, aby nie czyniono pana odpowiedzialnym za moją ucieczkę. Nie ukrywam, że -biorąc pod uwagę całą pana szlachetność i uprzejme ze mną postępowanie, jestem tą myślą wielce zaniepokojony. Jeśli jednak świadectwo moje może w czymkolwiek dopomóc panu u jego zwierzchników, zaręczam im tutaj uroczystym słowem honoru, że nie tylko nie przyczynił się pan w niczym do tej ucieczki, ale nawet pańska wybitna czujność spowodowała kilkudniowe jej opóźnienie... Wyjaśniam panu, że korzystam w tej chwili z pomocy, którą żona moja wysłała z moich dóbr. Ta pomoc to oddział piętnastu ludzi na dobrych koniach i doskonale uzbrojonych, którzy czekają na mnie u podnóża zamku, a gotowi są oddać raczej swe życie, niż opuścić mnie w potrzebie. Widzi pan więc, że byłoby bezcelowe kompromitowanie pańskich żołnierzy... Jeżeli nawet po zmasakrowaniu i wycięciu mojego oddziału udałoby się panu mnie schwytać, to może być pan pewny, że zdołają mnie pojmać jedynie martwego albo śmiertelnie rannego, gdyż bronić będę swojej wolności do ostatniej kropli krwi...”⁸¹ Czytając ten list pan de Launay nie wiedział jeszcze, że był to jedynie zręczny bluff markiza. O tej właśnie godzinie Sade, baron d'Allée i Latour przedzierali się piechotą przez okoliczne lasy w kierunku francuskiej granicy, prowadzeni po prostu przez młodego wieśniaka sabaudzkiego i przez nikogo bynajmniej nie eskortowani.

W parę dni potem okoliczności ucieczki markiza de Sade z twierdzy w Miolans zostały całkowicie wyjaśnione. Zdesperowany więzień ułożył razem z towarzyszem niedoli, panem d'Allée, prosty plan ucieczki. Obaj mieli prawo do korzystania z oficerskiej kantyny; posiłki przynoszono im z kuchni do celi, poskarżyli się więc komendantowi twierdzy, że dania stygną, gdy niesie się talerze długimi korytarzami, i wyprosili pozwolenie na spożywanie posiłków w izbie obok kantyny. Z izby tej było wejście do skromnego pomieszczenia, w którym urządzona była prowizoryczna latryna, o-świetlona przez wychodzące na zbocze góry okno — jedyne w całej twierdzy nie opatrzone kratami, a co więcej, dość szerokie i wzniesione tylko o trzystaście

stóp nad poziomem gruntu. Markiz porozumiał się z młodym wieśniakiem, Józefem Violon, który od pewnego czasu w tajemnicy pośredniczył w jego korespondencji. Chłopak ten zaczął się pod oknem latryny w nocy z 30 kwietnia na 1 maja. Obaj panowie udali się wieczorem na kolację, poczekali na moment, gdy kucharze i kelnerzy kantyny zasiedli do posiłku i zostawili ich samych, wśliznęli się do ubikacji (Latour zapalił uprzednio świece w celi i złożył na stole przygotowane rano listy), przedostali się przez okienko przy pomocy młodego Sabaudczyka — po czym zaczęli śpiesznie uchodzić na południowy zachód.

Pan de Launay wyrwał sobie włosy z głowy, przekonaawszy się, jak łatwo podeszli go dwaj francuscy więźniowie. Nie bacząc na ostrzeżenia markiza pchnął zaraz w pościg oddział kawalerii. Żołnierze dotarli o świcie do francuskiej granicy. Ale o tej porze uciekinierzy znajdowali się już na terytorium króla Ludwika XV i w wynajętym powozie jechali spokojnie w kierunku Grenoble.

14 maja 1773 roku hrabia Ferrero de la Marmora powiadomił panią de Montreuil, że mimo wszelkich starań rządu sardyńskiego pan de Sade zdołał ująć z twierdzy Miolans.

„Wasza Ekscelencja łatwo może sobie imaginować — donosił tego dnia hrabiemu de La Tour — z jak wielkim żalem i bólem pani de Montreuil przyjęła tę nieoczekiwaną nowinę...”³²

Markiz de Sade był człowiekiem ściganym przez prawo i władze po obu stronach granicy. Ale nie miał gdzie się ukryć, musiał wracać do tego samego pałacu, z którego przed ośmioma miesiącami chciano go zabrać wprost na szafot. 10 maja pani de Sade powiadomiła hrabiego de La Tour, że lada dzień wyśle do Miolans umyślnego posłańca, który ma spakować i zabrać wszystkie rzeczy zbiegłego markiza z powrotem do La Coste...

Łatwo pojąć, jak wyglądało życie człowieka, nad którym wisiała kara śmierci. Zaraz po powrocie do Prowansji Donatien zaczął starać się o rewizję wyroku i zniesienie skutków śmierci cywilnej, wynikającej z dekretu parlamentu w Aix, a Renata-Pelagia usiłowała jednocześnie ułagodzić panią prezydentową, ale starania te pozostawały bezskuteczne. Zawzięta pani de Montreuil nie dawała się przebłagać i usilnie zabiegała u władz, aby „zbrodniarza” natychmiast osadzić w jakiejś twierdzy. W La Coste panował więc stan pogotowia. Sade gotów był każdej nocy zerwać się z łóżka i uchodzić w dzikie okolice z dala od zamku. Wszyscy domownicy z pełnym oddaniem czuwali nad jego bezpieczeństwem. Rzecz ciekawa, ten oskarżony

o okrucieństwo i egoizm człowiek cieszył się zdumiewającą miłością swojego najbliższego otoczenia; lokaje byli mu wierni w czasie największych prześladowań; dziewczęta ze służby pałacowej gotowe były do wszelkich poświęceń, aby ukryć pana markiza przed królewską policją. Dzięki temu Sade zdołał uchronić się przed nowymi prześladowaniami, które spadły nań w parę miesięcy po powrocie do La Coste.

16 grudnia 1773 roku pani de Montreuil zdołała wreszcie wybłagać u króla dwa rozkazy dla ministra policji, pana de Sartine. Jeden dotyczył natychmiastowej konfiskaty wszystkich papierów markiza (szczególna była ta troska o przeszkodzenie Sade’owi w pracy literackiej), drugi zaś — uwięzienia i osadzenia go w zamku Pierre-Encise. Pod koniec grudnia pani prezydentowa konferowała wielokrotnie z pewnym inspektorem policji paryskiej, nazwiskiem Goupil — z rachunków za fiakra, którym ów urzędnik policji dojeżdżał do pałacu państwa de Montreuil, pokrywanych skrupulatnie przez panią prezydentową, możemy wnioskować, że zawzięta nieprzyjaciółka markiza odbyła z Goupilem aż dziesięć specjalnych narad. 6 stycznia 1774 roku Goupil wdarł się do zamku w La Coste na czele oddziału żandarmerii sprowadzonego z Marsylii. Jednakże markiza w zamku nie znaleziono; uprzedzony zawczasu zdołał zbiec i ukryć się w nie znanym miejscu.

Ciekawe szczegóły styczniowego plądrowania zamku La Coste przez królewską policję zawiera skarga złożona w imieniu pani de Sade przeciwko prezydentowej, jako głównej denuncjatorce i sprawczynie nieszczęść jej męża. „Mieli przygotowane drabiny i przedostali się przez mury zamku; wdarli się z pistoletami i szpadami w rękach. W takiej postawie urzędnik policji zjawił się przed powódką. Z wściekłością widoczną na twarzy zaczął dopytywać się, używając najstraszliwszych przekleństw i najbardziej nieprzystojnych wyrażeń, gdzie znajduje się jej mąż, pan de Sade, bowiem musi go dostać w swe ręce żywego lub martwego [...] Odpowiedziała, że mąż wyjechał. Stwierdzenie to było powodem najokropniejszych ekscesów. Cały oddział roproszył się; jedni pilnowali alei w parku, inni podzielili się i przetrząsali wszystkie zakątki i zakamarki, uzbrojeni i gotowi przebić każdego przy jakimkolwiek oporze. Mieli przygotowane specjalne narzędzia, widziano nawet w rękach jednego z żołnierzy łom żelazny specjalnie wykuty w Bónnieux w celu wyłamywania drzwi i rozbijania mebli. Bezskuteczność poszukiwań wzmogła ich wściekłość. Najgorsze sceny działy się w gabinecie markiza de Sade; zrywano ze ścian i rozbijano portrety rodzinne. Wyróżnił się tutaj sam urzędnik policji [Goupil], rozwalając biurka i szafy stojące w gabinecie. Pozbierali wszystkie papiery i listy jakie tylko mogli znaleźć; na mocy rozkazu inspektora część z nich stała się od

razu pastwą płomieni; wyłą. czyli z nich niektóre, które uznał za ważne, nie dając powódce najmniejszej możliwości stwierdzenia, co takiego zawierają [...] Człowiek ten posunął swą brutalność do tego stopnia, że wyrwał z rąk powódki zupełnie obojętny papier i odebrał jej tabakierkę z masy perłowej ozdobioną złotem, na której znajdował się portrecik w miniaturze [...] Nie ma przekleństw, których by nie miotali na głowę markiza de Sade. W ten sposób ów urzędnik podniecał wściekłość własną i całego oddziału; jeżeli zaś nawet chwilami zdawał sobie sprawę | okropności tego postępowania, wszelkie wyrzuty sumienia tłumił w sobie powołując się na moc rozkazów pani de Montreuil. Robili tylko to — powiadał — co trzeba było dla ich wykonania. Ponadto — co aż trudne jest do uwierzenia — niektórzy z oddziału posuwali swe barbarzyństwo do tego stopnia, że bluzgając przekleństwami mówili, iż mają rozkaz wystrzelenia po trzy razy z pistoletów do markiza de Sade i zawleczenia jego zwłok do pani de Montreuil. Byli również tacy, którzy słusznie lękając się, że wszystkie te okropności mogą spowodować rozruchy wśród mieszkańców La Cos- te, bowiem przywiązanie ich do swego pana było im dobrze znane, zaczęli krzyczeć na cały głos z górnych pięter zamku — Jest tutaj! Mamy go, sk...syna!...”³³ Donatien ukrywał się przez kilka tygodni i dopiero po jakimś czasie wrócił ultratikiem do spustoszonego zamku. Pani de Montreuil była wielce zawiedziona niepowodzeniem styczniowej operacji i zabiegała o dalsze rozkazy dla królewskiej policji. W marcu minister królewski, książę de La Vrilli&re, wydał więc nowe polecenie uwięzienia markiza — próba ujęcia Sade’a znowu się jednak nie powiodła, gdyż pisarz zdołał na czas wyjechać „w nieznanym kierunku” (zdaje się, że w kwietniu i maju przebywał w Bordeaux i Grenoble). Ta niebezpieczna zabawa w chowanego trwała przez cały rok 1774. Markiz nie ustawał w staraniach o rewizję procesu, zaufany adwokat państwa de Sade, Gas- pard-François Gaufridy z Apt, składał w ich imieniu I skargi na prezydentową de Montreuil, latem pani mar- I jdzia odbyła nawet specjalną podróż do Paryża, aby I popierać tę sprawę w odpowiednich instancjach sądowych (zatrzymała się wówczas w hotelu i ani razu nie odwiedziła matki, demonstrując swoje oburzenie na postępowanie pani de Montreuil). W końcu sprawy zaczęły powoli przybierać lepszy obrót. Być może markiz doczekałby się wkrótce kasacji wyroku wydanego w Aix, gdyby nie rozgłos nowej afery.

Pod koniec roku 1774 Donatien zaczął widocznie tęsknić za dawnym swobodnym trybem życia i swoimi libertyńskimi eksperymentami, bowiem udał się do Lyonu i Vienne i stamtąd sprowadził do La Coste pięć młodych dziewcząt, zwerbowanych za pośrednictwem pewnej stręczycielki rzekomo bez wiedzy rodziców. Oddał je w ręce swojej zaufanej i wielce mu oddanej pokojówki, młodej Szwajcarki zwanej Gothon Duffé (naprawdę nazywała się Anna-Margueritta Maillefer), jednej z głównych uczestniczek wszystkich libertyń- skich ekscesów odbywających się w tych latach w La Coste, dziewczyny bardzo urodziwej, którą Sade nazwał w jednym ze swych listów „istną Venus Callipy- gos”. Zaraz też rozeszły się w okolicy pełne grozy opowieści o nowych orgiach w zamku markiza; niewątpliwie Donatien znowu począł oddawać się z upodobaniem praktykom flagellacyjnym i okrutnym eksperymentom psychoseksuologicznym. W zbiorowych zabawach brała zresztą udział również pani de Sade — gdy jedna z dziewcząt wkrótce potem zbiegła, markiza napisała w przerażeniu do księdza de Sade: „Ileż to okropności ta kreatura może o mnie naopowiadać!” Ta właśnie ucieczka jednej z pięciu ofiar, najwidoczniej zbyt zmaltretowanej w czasie perwersyjnych zabaw markiza, spowodowała skandal. Rodzice dziewczyny wnieśli skargę do władz w Lyonie. Pani de Montreuil miała znakomity temat do nowych utyskiwań, skarg i donosów, tym bardziej że zaraz po ucieczce z La Coste ofiara markiza dostała się pod opiekę księdza de Sade, który nie omieszkał powiadomić natychmiast teściowej swego synowca o wszystkim, czego dowiedział się od przerażonej dziewczyny. Prezydent parlamentu Prowansji, pan Bruny d’Entrecastaux, nakazał otoczenie La Coste policyjnym nadzorem. Sade zrozumiał, że znowu ściągnął na siebie niebezpieczne

zainteresowanie opinii publicznej. W lipcu 1775 roku opuścił pośpiesznie Francję i udał się do Włoch; towarzyszył mu w tej podróży jedynie zaufany kamerdyner Carteron, zwany powszechnie La Jeunesse.

W burzliwych dziejach markiza ta włoska podróż w latach 1775—1776 była jednym z nielicznych okresów pełnej satysfakcji z życia. Wędrował z miasta do miasta, cieszył się swobodą i możliwością pracy literackiej, notował, pisał... W sierpniu był we Florencji, we wrześniu w Rzymie. Podróżował pod nazwiskiem hrabiego de Mazan i starał się zachować incognito, póki nie spotkała go w Neapolu przygoda zmuszająca do przyznania się do własnego osławionego nazwiska. Urzędujący tam chargé d'affaires dworu wersalskiego wziął go za zbiegłego z Lyonu aferzystę, a gdy sprawdził, że rodzina Mazan jest we Francji nieznana, podejrzania jego nabrały mocy i markiz, mógł w każdej chwili znaleźć się znowu w więzieniu — tym razem pokutując za cudze winy. Trzeba więc było się wylegitymować, a co więcej, sprowadzić z Prowansji odpowiednie dokumenty, wskutek czego całe misterne zacieranie za sobą śladów poszło na marne. Sade musiał przesiedzieć w Neapolu znacznie dłużej niż pierwotnie zamierzał, zanim udało mu się wyjaśnić nieporozumienie i uwolnić od nadzoru miejscowej policji.

Włoska podróż w latach 1775—1776 dostarczyła Sade'owi wielu ciekawych obserwacji, które po latach zużytkuje w swojej *Historii Julietty*; bohaterka tej powieści dążyć będzie śladem autora i odkrywać miejsca, które zbadał on przed dwudziestu laty. Właśnie w Neapolu i okolicach tego miasta umieści Sade akcję jednego z najokrutniejszych fragmentów swojej słynnej powieści, a nienawiść do przegniłego absolutystycznego reżimu królestwa Sycylii i Neapolu będzie dlań inspiracją do nakreślenia odrażających portretów okrutnej i zdeprawowanej pary monarszej, zasiadającej na tronie tego państwa...

W czasie pobytu we Włoszech Sade zajmował się między innymi gromadzeniem materiałów do historii wszelkiego typu perwersji i inwersji seksualnych. Współpracował z pisarzem i historykiem włoskim Giuseppe'm Oberti, którego obarczył zadaniem wyszukiwania w literaturze łacińskiej i włoskiej — od starożytności aż po czasy im współczesne — fragmentów dotyczących seksualizmu i wszelkich wynaturzeń obyczajowych. Oberti starał się jak najlepiej wywiązać z tego zlecenia, ale... zamieszkiwał na terytorium Państwa Kościelnego i był już od dawna podejrzany o herezję, ateizm, libertynizm i wszelkie inne postacie szatańskiego opętania; gdy jakiś donosiciel rzymskiej policji dowiedział się

o nowym kierunku zainteresowań pisarza, Oberti wkrótce po wyjeździe markiza został aresztowany i spędził cztery miesiące w więzieniach Świętego Officium. Wyszedł stamtąd złamany i zmaltretowany, straciwszy zapal do niezwyklej, a tak niemile przez Kościół widzianej pracy naukowej.

Sade wrócił do Francji w czerwcu 1776 roku. Ostrożnie pchnął przed sobą lokaja Carterona, który udał się do La Coste, aby zbadać sytuację na miejscu, a dopiero po otrzymaniu stamtąd uspokajających wiadomości przybył osobiście do rodzinnego majątku. W La Coste panowała atmosfera nadspodziewanie sprzyjająca, w okolicy rozchodziły się pogłoski o nagłym nawróceniu markiza, który wyjechał do Włoch, aby pokutować za grzechy całego życia; pani markiza skwapliwie potwierdzała te wieści, upewniając wszystkich, że mąż jej przyjęty był nawet przez papieża i otrzymał z jego rąk specjalne rozgrzeszenie. Teraz zaś — utrzymywała wieść gminna — były liberyn pogrążony jest w dewocji i przykładowym życiem stara się zadośćuczynić za grzechy kilkunastu ostatnich lat...

Trudno pojąć, skąd brały się te pogłoski, ale były one dla markiza szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zabezpieczyły go bowiem przed policyjnymi prześladowaniami. Gdyby Sade umiał skorzystać z sytuacji i zdobyć się na trochę obłudy, zapobiegłby niewątpliwie swoim dalszym nieszczęściom. Wszelako Donatien skłonny był opowiadać wszystkim o swej determinacji prowadzenia życia cnotliwego jedynie wtedy, gdy wisiała mu nad głową groźba

więzienia albo gdy już w więzieniu siedział; w innych sytuacjach okazywał zdumiewającą beztroskę i zuchwałość, nie dbając by najmniej o urabianie właściwej opinii na temat swojej konduity, chociaż bolał bardzo, że w całej Prowansji przypisują mu wszelkie możliwe zbrodnie, że wystarczy — jak powiadał — aby jakiś łobuz obdarł kota ze skóry, by vox populi głosił: to markiz de Sade...

Nie wiadomo, czy właśnie z powodu tych pogłosek o dewocyjnym nastawieniu Sade'a zjawił się w La Coste jesienią roku 1776 i począł służyć markizowi za pośrednika w załatwianiu rozmaitych zleceń pewien, zakonnik, franciszkanin reformowany, ojciec Durand. Sade zlecił mu zaangażowanie do służby w La Coste jakiejś zdolnej dziewczyny, ojciec Durand wyszukał więc pewną 22-letnią pannę, córkę tkacza z Montpellier, nazwiskiem Katarzyna Trillet. Sprezentowano ją markizowi w hotelu „Pod Czerwonym Kapeluszem” w Montpellier, a skoro się spodobała, została przyjęta do pracy z obietnicą pięćdziesięciu talarów rocznie, a nawet więcej, jeżeli pan będzie zadowolony z jej starań. Ojciec Durand osobiście zaręczył Trilletowi słowem kapłana, że w La Coste cnota jego córki nie będzie narażona na żadne niebezpieczeństwo, bowiem zamek ten — jeżeli chodzi o panujące w nim obyczaje to prawdziwy klasztor... Zacny franciszkanin zapewne nie zdawał sobie sprawy, jak dwuznacznie mogły być zrozumiane jego słowa wobec nie najlepszej opinii, którą cieszyły się w ówczesnej Francji przybytki życia zakonnego; jednakże stary Trillet przyjął zapewnienia mnicha w najlepszej wierze i Katarzyna Trillet wyjechała do La Coste.

Minęło parę tygodni. W połowie grudnia ojciec Durand na prośbę markiza znowu zaangażował do La Cote czworo służby: sekretarza, fryzjera, pokojówkę i pomoc kuchenną. Jednakże panujące w zamku obyczaje tak podobno przerażyły cnotliwych plebejuszy, że po spędzeniu w La Coste jednej tylko nocy natychmiast zrezygnowali ze służby i wyjechali, z wyjątkiem dziewczyny kuchennej, która doszła do wniosku, iż warunki pracy u pana de Sade całkowicie jej odpowiadają. Skoro tylko protegowani ojca Durand wrócili do Montpellier, pobiegli zaraz zawiadomić Trilleta, w jakiej to jaskini rozpusty znajduje się jego niewinna córka.

Dziewczyna czuła się co prawda w La Coste zupełnie dobrze i prędko oswoiła się z panu jącymi tam zwyczajami; markiz darzył ją sympatią i nazywał Justyną — miało to swój ukryty sens, wystarczy przypomnieć, że to właśnie imię nosić będzie bohaterka największej powieści Sade'a. Ale poczciwy mieszczanin Trillet nie mógł ścierpieć myśli, że dziecię jego wydane zostało na pastwę libertyna. 17 stycznia 1777 roku wybrał się do La Coste uzbrojony w dwa nabite pistolety. Sade przyjął go uprzejmie w swoim gabinecie, ale zmienił ton, skoro plebejusz obrzucił wyzwiskami, a potem schwycił córkę za ramię i gwałtem usiłował wyciągnąć ją z zamku; poderwał się i wyprowadził Trilleta do drzwi pałacu. Wtedy krewki włókniarz wyszarpnął z kieszeni pistolet i strzelił, przystawiając lufę do piersi markiza...

Zapewne Opatrzność czuwała jednak nad bezbożnikiem i libertynem... 17 stycznia 1777 roku Sade zakończyłby życie, nie zostawiwszy po sobie ani jednego z tak słynnych później dzieł, gdyby pistolet Trilleta nie spalił na panewce. W zamku powstało zamieszanie. Trillet uciekł do miasta i tam począł opowiadać o swojej krzywdzie i hańbie córki, nieszczęsna Katarzyna-Justyna biegła za ojcem, usiłując za wszelką cenę go uspokoić... Trillet wykrzykiwał na rynku, że zabije markiza i nie poniesie za to żadnej kary, gdyż jest to zbrodniarz wyjęty spod prawa. Sade posłał paru ludzi, aby uspokoić szaleńca.. Trillet podszedł z nimi wieczorem pod zamek — i dostrzegłszy na podwórzu markiza, po raz drugi wypalił doń z pistoletu, znowu bezskutecznie! Nie zatrzymany przez nikogo uszedł z La Coste. Sade złożył skargę do miejscowych władz policyjnych, donosząc o zamachu na swoje życie i zwracając uwagę, że zgodnie z dekretem parlamentu prowansalskiego z 1764 roku mieszczanom nie wolno nosić broni palnej bez specjalnego pozwolenia władz miejskich, W

czasie przesłuchania u sędziego Katarzyna Trillet zeznała zresztą, że z pobytu w La Coste jest całkowicie kon- tenta i nie ma powodu się skarżyć...”

Na skutki swojej interwencji Sade nie mógł czekać, gdyż otrzymał z Paryża wiadomość o ciężkiej chorobie matki, Marii-Eleonory de Sade. Nie bacząc na grożące mu w stolicy niebezpieczeństwo, w ostatnich dniach stycznia opuścił wraz z żoną Prowansję, śpiesząc do Pa~ryża. Oboje nie wiedzieli, że stara hrabina de Sade już nie żyła: zmarła 14 stycznia 1777 roku, nie doczekawszy się przyjazdu jedyne go syna.

Donatien dowiedział się o tym dopiero 8 lutego, gdy straszliwie zmęczeni jazdą po rozmiękłych drogach dowlekli się do Paryża w uszkodzonej karecie. Zdruzgotany otrzymaną wiadomością, spędził cały dzień u księdza Amblet. Potem wyszedł na miasto i zaczął rozglądać się za towarzystwem kobiet...

Ale o niespodziewanym przyjeździe osławionego libertyna poinformowana została natychmiast pani de Montreuil. Na skutki nie trzeba było długo czekać. 13 lutego 1777 roku, gdy Donatien znajdował się wraz z żoną w hotelu „Duńskim” przy ulicy Jacob, do drzwi ich pokoju zastukał inspektor Marais. Sprezentował markizowi królewski lettre de qachet. Sade sprowadzony został do policyjnej karety i w dwa dni później siedział już w celi nr 11 w twierdzy Vincennes.

Aresztowanie było tak nagłe, że Sade nie zdołał polecić żonie, aby zabrała z hotelu i ukryła teczkę z jego notatkami; obawiał się potem, że papiery te wpadną w ręce zawziętej prezydentowej. Policja nie zawiadomiła zresztą markizy, dokąd zabrano jej męża, tak że nie wiedziała nawet, gdzie zabiegać o widzenie z uwięzionym; przekonana była początkowo, że Donatien siedzi w Bastylii. Dopiero po paru tygodniach otrzymała od niego pierwsze listy.

Dwie osoby miały teraz troszczyć się o los i przyszłość markiza: z jednej strony Renata-Pelagia zabiegała

o uwolnienie męża, a przede wszystkim o rewizję nieszczęsnego procesu z roku 1772; z drugiej pani prezydentowa dokładała wszelkich starań, aby więzienie było surowe i bezterminowe, aby starania córki pozostały bezskuteczne. Jednocześnie pani de Montreuil pilnie dowiadywała się czy „zbrodniarz” nie próbuje przypadkiem czegokolwiek w więzieniu pisać. W marcu 1778 roku powiadomiła doktora Mesny, korespondenta Sa- de’a zamieszkałego we Florencji, iż dalsze nadsyłanie jej zięciowi jakichkolwiek materiałów literackich jest całkowicie bezużyteczne, jako że przestępca ten nigdy już nie będzie w stanie z nich skorzystać. W sprawie rewizji wyroku dotyczącego afery marsylskiej pani de Montreuil nie wyrażała jednak sprzeciwu: nad osobistą nienawiścią do markiza dominowało w niej pragnienie oczyszczenia rodziny od niesławy, spowodowanej hańbiącym dekretem parlamentu w Aix. Dzięki temu starania pani de Sade uwieńczone zostały w końcu powodzeniem: 27 maja 1778 roku król Ludwik XVI zgodził się na rewizję procesu i wyjazd w tym celu Sade’a do Prowansji, oczywiście pod eskortą policji. W połowie czerwca markiz po raz pierwszy od kilkunastu miesięcy przekroczył bramę więzienia, strzeżony pilnie przez inspektora Marais. Wieczorem 20 czerwca przybyli do Aix-en-Provence. Donatien spędził jedną noc w oberży pod czujną strażą policji, a następnie osadzony został w więzieniu miejskim, skąd doprowadzono go na posiedzenie izby sądowej parlamentu. Trybunał rozpoczął postępowanie rewizyjne, kasując przede wszystkim wyrok sprzed sześciu lat i badając całą sprawę od podstaw. Tym razem nastawienie sędziów było znacznie dla Sade’a przychylniejsze — wiadomo było, że korzysta on ze specjalnego pozwolenia królewskiego na osobiste stawienie się przed parlamentem i dopatrywano się w tym monarszej intencji zatarcia śladów niesławnej afery.

Wiadomość o pobycie markiza w Aix po paru dniach dotarła do La Coste; wierna Gothon, płacząc podobno ze szczęścia, wysłała natychmiast do więzienia kosz kwiatów, owoców i konfitur, razem ze wzruszającym, choć nieudolnie i nieortograficznie napisanym

listem. Spakowała też dwa komplety ubrań markiza, prosząc adwokata Gaufridy, aby niezwłocznie doręczył je więźniowi razem z zapewnieniem, że bardzo chciałaby go odwiedzić. Nie było to jednak możliwe, inspektor Marais strzegł pilnie powierzonego sobie królewskiego więźnia i nikogo doń nie dopuszczał.

Przed gmachem parlamentu w Aix gromadziły się tłumy ludzi pragnących obejrzeć osławionego markiza. Sade przyjeżdżał z więzienia powozem z zakrytymi oknami, wprowadzany był na salę pod eskortą policji. Proces trwał dwa tygodnie. 14 lipca 1778 roku zapadł nowy wyrok; trybunał doszedł do wniosku, że oskarżenie o trucicielstwo i sodomie było całkowicie bezpodstawne i uwolnił pana Ludwika-Aldonsa-Donatiena [sic/] de Sade od winy i kary. Ustaliwszy wszelako, że oskarżony prowadził przez wiele lat życie rozwiązłe i z upodobaniem oddawał się libertyńskiej rozpuście, skazał go na publiczne wysłuchanie upomnienia, aby w przyszłości lepiej się prowadził; zabronił mu pobytu na terenie miasta Marsylii w ciągu trzech lat, wreszcie polecił markizowi wpłacić tytułem grzywny pięćdziesiąt liwrów — po złożeniu których miał być natychmiast z więzienia uwolniony...

Przed sześciu laty kara śmierci, potem za tę samą „zbrodnię” tylko pięćdziesiąt liwrów grzywny — dziwnie funkcjonowała francuska sprawiedliwość w czasach „ancien régime”! Markiz był więc oczyszczony od infamii, nie ciążył już na nim żaden wyrok, powinien być niezwłocznie wypuszczony na wolność i odesłany do La Coste — tak przecież bliskiego i wytęsknionego! Wszelako w XVIII-wiecznej Francji prawomocny wyrok uniewinniający nie zawsze musiał oznaczać uwolnienie więźnia. Sade został oczyszczony od wszystkich zarzutów, ale na losach jego ciążył przecież lettre de cachet, był więźniem królewskim, z woli monarchy miał być tak długo trzymany w ścisłym odosobnieniu, póki klika dworska nie dojdzie do wniosku, że przestał być niebezpieczny. Natychmiast po wyroku inspektor Marais wsadził więźnia do policyjnej karety i ruszył z nim z powrotem do Vincennes. '

Łatwo możemy wyobrazić sobie, w jakim stanie umysłu Donatien odbywał tę podróż. Rozgoryczenie jego osiągnęło punkt kulminacyjny; resztki złudzeń co do królewskiego wymiaru sprawiedliwości ostatecznie się rozwiały. Został oficjalnie uznany za niewinnego i był znowu transportowany do więzienia! Jego przyszłość była całkowicie w rękach pani de Montreuil; można się było spodziewać, że spędzi w celi resztę życia — tylko dlatego, że tak podołało się pani prezydentowej, która dzięki zbiegowi okoliczności dysponowała znacznymi wpływami na dworze w Wersalu...

Wieczorem 16 lipca więzień i jego strażnicy stanęli w oberży na przedmieściach miasta Valence. Markiza eskortowało czterech funkcjonariuszy królewskiej policji: znany nam doskonale inspektor Louis Marais, brat jego Antoine-Thomas Marais i dwóch podoficerów. Zbliżała się pora kolacji, szef konwoju zaprosił więc Sade'a do stołu. Markiz odmówił, tłumacząc się brakiem apetytu. Policjanci zasiedli do biesiady, w oberży było ciemno, gdzieś tam palily się świece. Około godziny dziesiątej Donatien poprosił, aby pozwolono mu udać się na stronę. Antoine Marais zaprowadził go korytarzem do ustronnej komórki, poczekał przed drzwiami. Więzień wyszedł, chwilę się zawahał — i rzucił się nagle ku schodom. Marais próbował go schwytać, markiz zręcznie stoczył się po stopniach, przewrócił goniącego go policjanta i wypadł na dziedziniec. Krzyk Antoine'a ściągnął trzech pozostałych funkcjonariuszy: inspektor Marais, przeklinając nieuwagę brata, popędził na podwórze; zaczęli przeszukiwać wszystkie zakamarki — na próżno! Markiz przepadł bez śladu. Marais zażądał od oberżysty, aby natychmiast sprowadził straż z miasta, jednakże człowiek ten, z nie ukrywaną radością obserwujący kłopoty królewskiej policji, oświadczył, że po zamknięciu bram nikt się do miasta dostać nie może, i poradził, aby panowie przestali się denerwować i spokojnie poczekali do rana. Trzeba było zastosować się do tej rady; nazajutrz Marais otrzymał pomoc od władz policyjnych z Valence i zaczął przeszukiwać okolice. Nigdzie jednak Sade'a nie znaleziono. Pomstując w nie- bogłoso

inspektor Marais ruszył w drogę do Paryża.

Tymczasem markiz przesiedział całą noc w pobliskiej stodole, a rano przeprowadzony został przez dwóch wieśniaków nad brzeg Rodanu, gdzie wsiadł na rzeczną barkę. Miał na szczęście przy sobie parę dukatów, za jednego ludwika prowansalscy wodniacy zgodzili się zawieźć go do Awinjonu. 18 lipca, o godzinie dziewiątej rano, Sade zjawił się niespodziewanie w La Coste.

Zachowanie markiza w ciągu tych trzydziestu dziewięciu dni wolności (tyle mu było przeznaczone) budzi doprawdy zdziwienie. Nie próbował się ukrywać, jawnie cieszył się swobodą, odwiedzał sąsiadów. Możemy sądzić, że był przekonany, iż po uniewinniającym wyroku wydanym w Aix pani de Montreuil zrezygnuje z dalszych prześladowań i pozwoli mu mieszkać spokoj-

nie z dala od Paryża. Mylił się jednak całkowicie. Prezydentowa powiadomiła córkę o wyroku uniewinniającym wydanym 14 lipca, ale i o swojej decyzji pozostawienia markiza w więzieniu na czas nieokreślony. Między matką i córką doszło wtedy do skandalicznej awantury; nieszczęsna Renata-Pelagia nie wiedziała zresztą, że jej mąż uciekł w czasie transportu i chciała pośpieszyć na spotkanie konwoju, aby choć na chwilę zobaczyć Donatiena. Zbyt późno otrzymała wiadomość o jego pobycie w La Coste. Prezydentowa dowiedziała się o tym dużo wcześniej i natychmiast przekazała tę informację inspektorowi Marais.

W środę 26 sierpnia 1778 roku, o godzinie czwartej rano, do sypialni markiza wpadła Gothon — „naga

1 wzburzona” — wołając: „Przyszli! Niech pan ucieka!” Markiz wybiegł w 'bieliźnie, pośpieszył do gabinetu, usiłując zapewne ukryć jakieś ważne papiery. Tam właśnie zastali go policjanci. Dziesięciu ludzi schwyciło Sade'a, wykręcali mu ręce, przytykali do twarzy lufy pistoletów. Dowodzący oddziałem inspektor Marais popisał się najgorszymi cechami swego zawodu. Przykładając markizowi do twarzy zaciśniętą pięść obrzucał go ordynarnymi obelgami, nie bacząc na obecność zarządzającej pałacem panny Marii-Doroty de Rousset oraz miejscowego proboszcza i konsula gminy La Coste, którzy przybiegli na wieść o plądrowaniu pałacu. Związanego i obdartego pisarza wyprowadzono z domu, wsadzono do karety. Gdy wóz ruszył, Donatien wyrывая się policjantom usiłował raz jeszcze popatrzeć na swój park i zamek. Czy przeczuwał, że zobaczy znowu La Coste dopiero za lat dwanaście?

Była to dla Sade'a prawdziwa droga przez mękę. Policjanci traktowali go nadzwyczaj brutalnie, obrzucali inwektywami, głosili wszem i wobec, że wiozą strasznego Zbrodniarza — osławionego markiza de Sade, wskutek czego na ulicach gromadziły się tłumy gapiów. W Lyonie udało się markizowi uprosić inspektora, aby pozwolił mu chociaż napisać najpilniejsze listy. Zlecił wtedy adwokatowi Gaufridy zarząd swoich prowansalskich majątków, nakazał Gothon, aby czuwała nad zamkiem w La Coste. Wreszcie 7 września dotarli do Vincennes. Marais z zadowoleniem przekazał więź-

nia w ręce miejscowej straży. Spisano jego rzeczy: miał na sobie zielony surdut, białą kamizelkę, serżowe spodnie, czarne pończochy, parę pantofli; ze sobą dwie koszule, dwie chustki do nosa i dwie serwetki — nie posiadał zaś „ani złota, ani pieniędzy, ani klejnotów”.

Zamknięto go w celi nr 6. Miał pewnie nadzieję, że wkrótce ją opuści. Mylił się tym razem. Czekало go dwanaście lat odosobnienia w więzieniach Ludwika XVI. Dwanaście lat — które zawdzięczał tak samo zaciekłości prezydentowej de Montreuil, jak i swojej własnej nierozwadze, chociaż w świetle prawa był niewinny, nie ciążył już na nim żaden wyrok, nie ściagały go żadne władze sądowe ani policyjne.

Sade powinien właściwie czuć się szczęśliwy, że pani de Montreuil posiadała na dworze wersalskim dostateczne wpływy, aby wyrobić dlań lettre de cachet, na mocy którego osadzony został jako osobnik wybitnie dla państwa i religii niebezpieczny — w królewskiej twierdzy Vincennes. Los jego byłby o wiele gorszy, gdyby trafił do jednego z osławionych „domów zdrowia”, gdzie trzymano ofiary rodzinnej nienawiści pod pozorem szaleństwa czy

obląkania. Zakładów takich było w ówczesnej Francji kilkadziesiąt, przebywało w nich parę tysięcy nieszczęśników — w większości mężczyzn, ale również i kobiet — którzy zawinili niezależnym sposobem myślenia, niesfornym trybem życia, rozwiązłymi obyczajami i wskutek tego popadli w konflikt ze swoimi rodzinami. Dla kogoś dostatecznie ustosunkowanego wyrobienie nakazu aresztowania dla najbliższego członka rodziny było ówczynie bardzo łatwe; jeżeli zaś przy nazwisku takiego biedaka dopisano na liście więziennej: imbecile, fou, insensé, démence, violent czy fou furieux — to było pewne, że do końca życia nie opuści już on murów zakładu^{3*}. Dopiero Rewolucja Francuska wyzwoliła z więzień tych rzekomych szaleńców, którzy zresztą w roku 1790 opuszczali „domy zdrowia” w niejednym wypadku rzeczywiście doprowadzeni do stanu choroby umysłowej z powodu wieloletniego odosobnienia i okrutnego traktowania.

W świetle naszych, XX-wiecznych pojęć warunki, w których przebywali więźniowie Vincennes czy Bas-tylii, trzeba uznać za wyjątkowo łagodne, jeżeli nie wprost luksusowe. Więzienia w twierdzach królewskich (zwłaszcza w Bastylji) otoczone były w ówczesnej Francji legendą i grozą; opowiadano o straszliwych mękach, jakie cierpią tam setki niewinnie uwięzionych. Do umocnienia legendy Bastylji przyczyniła się zwłaszcza słynna książka Simona Linguet’a *Mémoires sur la Bastille*. Linguet przesiedział w Bastylji dwadzieścia miesięcy, a po uwolnieniu w roku 1782 natychmiast wyjechał do Anglii i tam ogłosił swoje wspomnienia pełne ponurych wizji więziennej katorgi i udręczenia, jakie ofiary rozmaitych *lettres de cachet* znosiły rzekomo w murach tej słynnej fortecy. Książka była przemycana do Francji w tysiącach egzemplarzy i czytana we wszystkich oświeconych środowiskach, przyczyniła się wielce do rozślawienia Bastylji jako symbolu bezprawia i okrucieństwa absolutyzmu. Jednakże rzeczywistość do tej legendy bynajmniej nie dorastała. W Vincennes czy Bastylji liczba więźniów nigdy w XVIII wieku nie przekraczała kilkunastu osób. Siedzieli oni w dużych, pojedynczych celach, dobrze umeblowanych, mogli mieć przy sobie wszystkie rzeczy osobiste, sporo ubrań, książki, przybory do pisania; żywieni byli obficie i smacznie, czasami nawet wykwintnie. Na utrzymanie więźniów przeznaczano ze skarbu królewskiego znaczne sumy: od 3 liwrow dziennie dla osób najniższego stanu, do 36 liwrow dla najwyższych dygnitarzy państwowych; dla prawników, literatów, naukowców stawka dzienna wynosiła przeciętnie 10 liwrow³⁵. Były to sumy znaczne i jeżeli nawet komendanci twierdz sprzeniewierzali część tych pieniędzy, to dla więźniów pozostawało w każdym razie dosyć, aby nie musieli narzekać na braki w wyżywieniu. Uwięzieni na skutek starań rodziny musieli być utrzymywani kosztem rodziny — w czasie pobytu Sade’a w Bastylji utrzymanie jego kosztowało rodzinę 800 liwrow kwartalnie, nie licząc oczywiście wszystkich wydatków na książki, papiery, ubrania i przybory osobiste, o które troszczyli się jego najbliżsi ku oburzeniu i zgorszeniu pani prezydenta we j.

Nawet w takim więzieniu pobyt nie był jednak przyjemnością; źródłem największego udręczenia człowieka, trzymanego w królewskiej twierdzy na mocy *lettre de cachet*, była niepewność przyszłości: mógł opuścić te mury po kilku dniach czy tygodniach, ale mógł również spędzić w nich całe życie. Twórcy i intelektualiści, ludzie umysłu żywego, niespokojnego, ceniący swobodę osobistą wyżej nad wszelkie inne dobra, z reguły przeżywali aresztowanie wyjątkowo boleśnie. Jeżeli zaś pobyt w więzieniu był w ich własnym przekonaniu i sumieniu niczym nie zawiniony, jeżeli wynikał jedynie z nienawiści i intrygi innych, to rozgoryczenie takiej ofiary czyjejs zemsty, czekającej niekiedy i kilkanaście lat na zmiłowanie sprawcy aresztowania, doprowadzało ją do rozstroju nerwowego, a czasami nawet oblędu.

Sade otoczony był w Vincennes, a potem w Bastylji stosunkowo dobrą opieką ze strony swych najbliższych.

O zaspokojenie jego potrzeb dbali dawni lokaje, zarządzający majątkiem markiza adwokat

Gaufrijdy również nie zaniedbywał potrzebnych starań, wreszcie i Renata- -Pelagia usiłowała ulżyć w jakikolwiek sposób jego więziennej doli. Przez cały prawie czas pobytu męża w Vincennes i Bastylii markiza de Sade zachowywała się bardzo przyzwoicie, chociaż rozdrażniony i rozgoryczony mąż właściwie tego nie dostrzegał, a nawet czynił jej stałe wyrzuty, że zaniedbuje się w swoich obowiązkach i nie zabiega wcale o jego uwolnienie. Zacznie też rozwijać się w nim uporczywy kompleks zazdrości; człowiek, który dotychczas prowadził niesłychanie bujne życie osobiste i przyznawał zresztą żonie w tym zakresie pełne równouprawnienie, nie potrafił ścierpieć myśli, że pozostała ona na wolności, swobodna, nie ograniczona, podczas gdy on sam odcięty został na długo, może na zawsze, od wszelkich kontaktów towarzyskich, erotycznych, seksualnych...

Dopiero po sześciu tygodniach pobytu w Vincennes otrzymał Sade walizę ze swoimi rzeczami osobistymi, książkami i papierami. Miał teraz celę dużo gorszą, niż w czasie pierwszego tutaj pobytu, co wielce go drażniło. „Nie tylko nie będę mógł mieć ognia na kominku

302

ftifl

przez całą zimę — pisał do żony — ale nawet prześladowany jestem ciągle przez szczury i myszy, które w nocy nie dają mi nawet chwili spokoju... Kiedy poprosiłem, aby dano mi chociaż kota dla ich wyniszczenia, otrzymałem odpowiedź, że „zwierzęta są zabronione”. Powiedziałem wtedy: — Ależ do diabła, jeżeli zwierzęta są zabronione, to szczury i myszy powinny do nich również należeć...”³⁶.

Do małych codziennych udręczeń więzienia dochodziły i poważniejsze rozterki moralne; Sade dowiedział się, że obaj jego synowie zabrani zostali przez panią de Montreuil, która miała odtąd zajmować się ich edukacją. Nie protestował, nie miał sposobu, aby temu zapobiec, ale rozumiał, że będzie miał odtąd we własnych dzieciach największych wrogów. Tak się też stało; obaj synowie markiza będą odnosić się do ojca ze strachem, nienawiścią i pogardą, będą usiłowali nawet utrzymać go dożywotnio w więzieniu, aby nie kompromitował ich swoimi niezwyklejmi pracami literackimi.

Minęła pierwsza zima; nie było nadziei na uwolnienie. Sade starał się za wszelką cenę oderwać od myśli

o swojej sytuacji, dużo czytał... Miał w swojej podręcznej biblioteczce kilkanaście książek, słynne powieści współczesne, dramaty, poezje, podróże. Wracał do Życia Petrarcki, wielkiego dzieła swojego stryja, księdza de Sade, który zmarł zresztą przed rokiem (31 XII 1777). Przerzucał ciągle Sonety do Laury, krążył myślą wokół dziejów słynnej prababki. To napięcie umysłowe zakłócało mu sen. W nocy z 16 na 17 lutego 1779 roku miał niezwyklej wizję:

„Całą moją pocięchą jest tutaj Petrarcka — pisał potem do żony. ■— Czytam go z rozkoszą, tak chciwie, że wyrazić tego nie można. Czytam go tak jak pani de Sévigné czytała listy swojej córki: po odrobinie, z obawy, że zbyt prędko się skończy. Jakże doskonale jest jego dzieło! Laura zawróciła mi głowę, zakochany w niej jestem jak chłopiec. Czytam o niej codziennie, a w nocy marzę. Opowiem ci sen, jaki miałem ubiegłej nocy, kiedy cały świat bawił się i szalał.

Zbliżała się północ. Zasnąłem, trzymając w ręce Życie Petrarcki. I nagle—stanęła przede mną!... Widziałem ją i Grób nie pozbawił jej blasku urody, oczy jej miały tyle ognia, jak w czasach, gdy wielbił je Petrarcka. Spowijał ją kir nocy, a piękne jasne włosy spływały swobodnie wzdłuż jej postaci. Zdawało się, że miłość, chcąc uczynić ją jeszcze piękniejszą, złagodziła posepną scenerię, w której jawiła się moim oczom. Rzekła: — Czemu cierpisz na ziemi? Chodź do mnie... W niezmierzonej przestrzeni, którą zamieszkuję, nie ma ni zła, ni żalu, ni troski. Zdobądź się na odwagę i pójdz za mną. — Słyszac te słowa rzuciłem się do jej stóp, Wołając: — O matko! — Ale szloch schwycił mnie za gardło. Wyciągnęła do

mnie rękę, którą oblałem łzami; a ona też płakała. — Gdy mieszkałam w świecie, którego tak nienawidzisz — powiedziała — lubiłam zwracać się ku przyszłości; i mnożyłam swe potomstwo aż do ciebie, i nie sądziłam, że będziesz tak nieszczęśliwy. — Wtedy ogarnięty rozpaczą i namiętnością zarzuciłem jej na szyję ramiona, aby wstrzymać ją lub iść za nią; ale zjawą zniknęła. Pozostał tylko mój ból...”³⁷ Ten niezwykle sen pozwala przypuszczać, że w świadomości Sade’a pojawiła się wtedy myśl o samobójstwie jako wyzwoleniu od wszelkich nieszczęść i beznadziejności życia. Wracał często wspomnieniami do stron, gdzie przeżył najlepsze swoje lata. Wiosna roku

1779 przyniosła mu wieści z dalekiego La Coste. W parku pełno zieleni i kwiecica — pisał do markiza miejscowy proboszcz, kanonik Vidal. — „Zakwitły młode czereśnie i wzywają pana, aby złożyć mu ofiarę swego płodu [...] Dwie dębowe aleje chronią swym cieniem przed palącą ciekawością słońca. Panna Gothon kazała naprawić pawilonik i doprowadziła go do uroczego stanu. Właśnie malarz pokrywa go farbą. Zasadzono wokół chmiel i wino, powstanie tutaj zielona altana...”³⁸ Słońce Prowansji wzywało i kusilo, ale La Coste było daleko, a mury Vincennes tłumiły wszelką nadzieję na powrót kiedykolwiek w tamte, najbliższe sercu Do- natiena strony...

Mijały miesiące. Sade chorował, pomoc lekarza więziennego niewiele mu pomagała, kaszlał często i gorączkował. Prosił o książki, markiza starała się mu nadsyłać najciekawsze nowości, ale były z tym kłopoty, niektórych dzieł do więzienia nie dopuszczano. Zdarzało się również, iż na dłuższy czas odbierano mu w ogóle wszystkie posiadane w celi dzieła, jako rzekomo zbyt „rozpalające głowę” więźnia. Sade irytował się, wymyślał strażnikom. Był w ogóle więźniem niesfornym i komendant twierdzy skarżył się nań często ministrowi policji, który polecał karać markiza w sposób najbardziej dotkliwy — odebraniem prawa do codziennego spaceru po więziennym dziedzińcu. Kiedy 28 czerwca 1780 roku dowódca straży więziennej zakomunikował Sade’owi o takim właśnie rozkazie pana Le Noir, więzień wybuchnął wściekłością, rzucił się na oficera, obrzucając go wyzwiskami i awanturował się tak straszliwie, że cała forteca została zaalarmowana. Nieszczęście chciało, że właśnie w tej chwili któryś z więźniów odbywał w ogrodzie swoją codzienną przechadzkę. Sade podbiegł od okna i zobaczył szczęśliwca korzystającego z przywileju, którego sam został właśnie pozbawiony. Na głowę tego rzekomego „ulubieńca komendanta” posypały się okropne przekleństwa. „Powiedz no, sk...synie, jeśli się ośmielisz — wołał roznamiętniony markiz — swoje plugawe nazwisko, abym mógł poobcinać ci uszy, skoro tylko stąd wyjdę!” Zwymyślanym współtowarzyszem niedoli okazał się słynny potem Gabriel de Mirabeau. „Moje nazwisko — odkrzykiwał przyszły autor Erotika Biblion — jest nazwiskiem człowieka honoru, który nigdy nie rozrzynał ani nie truł kobiet i który wypisze ci je chętnie płazem na plecach, jeśli wcześniej nie połamię cię kołem...”⁸⁹ Mirabeau był widać przekonany o prawdzie wszystkich plotek, które opowiadano o markizie de Sade i był oburzony że „taki zbrodniarz” (zresztą daleki kuzyn) ośmiela się go zaczepiać. Ta tragicomiczna anegdota o spotkaniu dwóch sławnych osobistości XVIII wieku w królewskim więzieniu w Vincennes świadczy jednak doskonale o stanie psychicznym markiza: był doprowadzony do ostateczności i wybuchał gniewem przy każdej szykaniu straży, nie bacząc na konsekwencje, które bywały czasem bardzo przykre.

W roku 1780 Donatien kończył czterdzieści lat życia... Ile to jeszcze urodzin — rozmyślał — miał spędzić w murach twierdzy tylko dlatego, że pani de Montreuil nie mogła mu darować poglądów i obyczajów, które wydawały się jej kompromitujące dla całej rodziny? Wszystkie jego obyczajowe ekscesy nie były w tym świecie niczym wyjątkowym, wybryków podobnych, jak on w Arcueil czy Marsylii, dopuszczali się na każdym kroku młodzi libertyni ze sfer arystokracji czy finansjery — a przecież inni nie byli tak prześladowani... Stan psychiczny i poglądy Sade’a przedstawia doskonale kapitalny, pełen ironii i sarkazmu list do lokaja Carterona, wysłany w początkach stycznia

1780 roku. Wierny sługa, towarzysz włoskiej podróży, którego markiz nazywał żartobliwie „Don Quiros”, pisywał często do swojego pana, w początkach jego pracy literackiej przepisywał na czysto otrzymywane z Vincennes manuskrypty; na Nowy Rok 1780 wysłał markizowi życzenia, jak zwykle utrzymane w charakterystycznym dlań półżartobliwym, a półpretensjonalnym stylu Figara. Sade odpisał mu wtedy:

„Skwapliwie korzystam z okazji nowego roku, aby życzyć ci, panie Quiros, by okazał się dla ciebie najszczęśliwszy we wszystkim, czego zapragniesz. Może kłopoty moje dobiegną końca, i dzięki łasce i protekcji pani prezydentowej de Montreuil będę mógł złożyć ci wreszcie życzenia osobiście, in natura... Niech żyje nadzieja, panie Quiros! Gdyby moja nieszczęsna gwiazda związała mój los z inną rodziną, starczyłoby mi jej na całe życie, ale niestety, jak ci wiadomo, we Francji nie wolno bezkarnie uwłaczać ladacnikom. Można wygadywać na rząd, na króla, nawet na religię, to nic nie znaczy. Ale ladacznica, panie Quiros, do diabła! kurwa! to co innego, trzeba się strzec, aby w niczym jej nie ukrzywdzić, bo inaczej panowie de Sar tine, kanclerze de Maupeou, panie de Montreuil i wszyscy inni protektorzy burdelu okrzykną cię, żeś po żołdacku potraktował dziewczynę i za jedną ladacnicę zamkną natychmiast szlachcica na dwanaście czy piętnaście lat. Nie ma nic tak uroczego na świecie jak policja francuska. Jeżeli masz pan, panie Quiros, siostrę, synowicę czy córkę, to poradź jej, żeby została dziwką. Założę się, że nie sposób znaleźć lepszej profesji. Pomyśl: gdzie może być lepiej dziewczynie niż w zawodzie, dzięki któremu korzystając z luksusu i ciągłego upojenia rozpustą znajduje jednocześnie tyleż poparcia, zaufania i protekcji co najcnotliwsza mieszcza? Oto co nazywa się troską o obyczaj, mój drogi! Oto jak usiłuje się odstręczyć dziewczęta od rozwiązłości! [...]

...A przyj emnostki, panie Quiros, jakże się panu układają?
Czy Bachus, czy Wenera Dziś święci swe triumfy?
A może swe ofiary Obojgu składasz razem?

Wiem dobrze, żeś do tego zdolny, bowiem wina z Meursault, Chablis, z Paphos, Xeresu, z Węgier, z Fa- lerno łaskoczą lubieżnie twe organy i popychają cię ku wdziękom pańien Pamfali, Aurory, Adelajdy, Rosetty, Zelmiry, Flory, Fatimy, Hiacynthy, Angeliki czy Augustyny. Cudownie, panie Quiros! wierzaj mi, że tak właśnie trzeba pędzić życie! Skoro stwórca kazał wzrastać obok nas i krzewom winorośli, i pewnym wdzięcznym zakątkom kobiecym, bądź pewien, że chciał, abyśmy po równi z nich korzystali. Co do mnie, panie Quiros, to mam również swoje małe przyj emnostki, a jeśli nie są one równie żywe jak twoje, są mimo to nie mniej subtelne. Zdzieram obuwie wędrując wzdłuż i wszerz celi. Mam do towarzystwa, aby nie nudzić się przy stole (a wielka i specjalna to łaska), pewnego człeka, który z całym spokojem i regularnością zażywa za każdym razem dziesięć niuchów tabaki, kicha sześć razy, dwanaście razy wyciera nos i pluje co najmniej trzy czternaście, a wszystko w ciągu pół godziny [...] Doprawdy, panie Quiros, wierz mi, że moje rozkosze warte są twoich! Twoje wciągają cię w bagno występku, moje prowadzą ku wszelkiego rodzaju cnotom. Koniecznie zapytaj pani de Montreuil, czy jest na świecie cokolwiek sposobniejszego, by doprowadzić człowieka do cnoty, niż więzienna krata. Zdaję sobie sprawę, że są takie osły — jak na przykład ty, panie Quiros (mam nadzieję, że się nie obrazisz), które utrzymują, że można na kimś raz jeden spróbować więzienia, a skoro to nie skutkuje, niebezpiecznie jest ponawiać takie doświadczenie. Ale takie poglądy to przecież mazgajstwo i humanitarne bzdury. Oto jak należy rozumować: więzienie jest jedynym narzędziem społecznym, jakie znamy

we Francji; a więc więzienie musi być z istoty swojej dobre. Skoro zaś więzienie jest dobre, trzeba się nim posługiwać możliwie jak najczęściej. No, ale zdarza się, że nie skutkuje ani za pierwszym, ani za drugim, ani za trzecim razem... Cóż z tego? — odpowiedzą ci zaraz — trzeba je zastosować po raz czwarty. To nie więzienie zawodzi, bo

przecież postanowiliśmy (choć nie dowiedliśmy), że jest dobre; zawodzi poddany, a więc trzeba go tam znowu wsadzić. Puszczanie krwi jest najlepszym lekarstwem na gorączkę, nie znamy we Francji lepszego, a więc puszczamy krew za każdym razem. A jeśli zdarzy się na przykład taki pan Quiros, który ma nerwy delikatne i rzadką krew, więc nie nadaje się do wykrwawiania? Trzeba może znaleźć inny środek? Ależ bynajmniej — zakrzyknie twój lekarz — puszczanie krwi jest najdoskonalszym lekarstwem na gorączkę, przecież tak postanowiliśmy! Pan Quiros ma febrę, puścimy mu krew. Oto co się zowie „przekonywające rozumowanie”! Ludzie rozumniejsi od ciebie, panie Quiros, który — jak wiadomo — jesteś bałwan (znowu przepraszam), powiedzą na to:

O poganiu! ateusze! bezbożnicy! jakżeż można tak mieszać choroby ciała i duszy? Czyż nie wiecie, że między ciałem i duszą nie ma żadnego związku? Sam jesteś najlepszym tego dowodem, dziwkarzu i pijanico: dusza twoja należy do szatana, a ciało do lochu świętego Eustachego. Wielka jest więc różnica między ciałem a duszą i nie masz podobieństwa między sposobem leczenia chorób cielesnych a kurowaniem niedomagań duszy! Skądinąd ja, lekarz, żyję z puszczania krwi, płacą mi za krojenie lancetem; trzeba więc, abys oddał krew. A ja, minister de Sartine, żyję z wsadzania do więzień, trzeba więc, abys poszedł za kraty. Cóż odpowiesz na to logiczne rozumowanie, mój panie Quiros? Zamilknij i uznaj, że wszelkie twe wątpliwości zostały doszczętnie rozproszone: więzienie jest najpiękniejszą instytucją monarchii!...^{*40} Adresat listu, Carteron-La Jeunesse, starał się w miarę możliwości nieść pociechę swemu panu, ale nie miał już przed sobą długiego życia: zmarł w maju 1785 roku. Powoli odchodzili również inni bliscy sercu markiza. Gothon, która w roku 1780 wyszła w La Coste za męża,

zmarła w gorączce połogowej w październiku roku następnego (Pani prezydentowa uznała, że śmierć ta jest dla wszystkich doprawdy szczęśliwym wydarzeniem”). A wcześniej jeszcze, 13 maja 1781 roku, zmarła Anna-Prospera de Launay, dziewczyna, z którą wiązały się najlepsze wspomnienia Donatiena z lat 1771—1772...

Renata-Pelagia starała się podnosić męża na duchu zapewnieniami, iż sprawa jego uwolnienia jest na najlepszej drodze, że wkrótce odzyska swobodę — ale te złudne nadzieje doprowadzały Sade’a do coraz większego rozdrażnienia. Markiza wypominała mu, że sam jest sprawcą swoich nieszczęść. Sade wybuchnął wreszcie w jednym z listów (w lutym 1781 roku):

„Tak, przyznaję, jestem libertynem! wiem wszystko co tylko w tej dziedzinie wiedzieć można, ale z pewnością nie czyniłem tego wszystkiego, co wiem, i na pewno nigdy bym nie czynił. Jestem libertynem, ale nie jestem zbrodniarzem ani mordercą; a skoro zmusza się mnie, abym wygłaszał swoją apologię dla usprawiedliwienia swych czynów, dodam, że dobrze by było, gdyby ci wszyscy, którzy mnie tak niesprawiedliwie oskarżają, umieli wynagrodzić swoje haniebne postęпки równie dobrymi uczynkami, jakie ja mogę przeciwstawić swoim błędom. Jestem libertynem, ale trzy rodziny zamieszkałe w waszej dzielnicy przez pięć lat żyły z mojego wsparcia i uchroniłem je przed najgorszymi skutkami ubóstwa. Jestem libertynem, ale ocaliłem od śmierci dezertera, opuszczonego już przez cały regiment i pułkownika. Jestem libertynem, ale na oczach całej twojej rodziny w Łwry uratowałem z narażeniem własnego życia dziecko, zagrożone zmiżdżeniem przez koła wozu, który konie poniosły. Jestem libertynem, ale nigdy nie narażałem zdrowia swojej żony. Nigdy nie dopuściłem się rozmaitych innych rodzajów występku, tak fatalnych dla szczęścia dzieci: czy rujnowałem je przez hazard albo przez rozrzutne wydatki, które mogłyby je pozbawić kiedyś dziedzictwa? Czy źle zarządzałem swoim majątkiem, jeśli tylko był w mojej dyspozycji?”

A w innym liście, pisanym w listopadzie 1783 roku, markiz tak odpowiedział na zarzuty dotyczące jego „sposobu myślenia”: „Mój sposób myślenia — powiadasz — musi budzić sprzeciw! A cóż mnie to obchodzi? Szalony byłby ten, kto by dobierał sobie sposób myślenia mając na uwadze innych. Mój sposób myślenia jest wynikiem moich

rozważań; wiąże się z całą moją egzystencją, wynika z mej struktury. Nie jestem w mocy go zmienić [...] Ten potępiany przez ciebie sposób myślenia jest jedyną pociechą w moim życiu, przynosi mi ulgę w więziennych cierpieniach, jest źródłem wszystkich moich rozkoszy, droższy jest mi nad życie. Bynajmniej nie mój sposób myślenia stał się przyczyną moich nieszczęść, lecz sposób myślenia innych. Człowiek rozumny, który gardzi przesądami głupców, musi stać się ich wrogiem; powinien to przewidzieć i z tego drwić. Wyobraź sobie, że podróżnik dąży jakąś drogą; zastawiają tam pułapkę, podróżnik w nią wpada. Czyja to wina? Podróżnika czy zbrodniarza, który wykopał dół? Jeżeli więc, jak twierdzisz, gotowi są zwrócić mi wolność tylko za cenę rezygnacji z mych zasad i upodobań, to musimy pożegnać się na zawsze, gdyż poświęciłbym raczej po tysiackroć swą wolność i swoje życie! Doprowadziłem swą wiarę w te zasady i upodobania niemal do fanatyzmu, a fanatyzm ten jest skutkiem prześladowań ze strony moich tyranów. Im bardziej nasilają oni swoje okrucieństwa, tym mocniej zasady te wkorzeniają się w me serce. Stanowczo oświadczam, że bezużyteczne byłoby ofiarowanie mi wolności, jeśli miałbym ją kupić za cenę zniszczenia w sobie tych właśnie zasad i upodobań!”⁴¹ Ten upór markiza nie ulegnie zmianie do końca uwięzienia. Tęsknił za wolnością, ale domagał się dla siebie sprawiedliwości, a nie łaski. Renata-Pelagia, która chciała wyciągnąć go z więzienia za jakąkolwiek bądź cenę i pogodzić się wreszcie z matką, była rozdrażniona i zgorzozona taką postawą. Kontakty ich były zresztą trudne, dopiero w roku 1781 markiza uzyskała pozwolenie na odwiedzanie męża, które zresztą po paru miesiącach zostało cofnięte. Pomiedzy małżonkami zaczął narastać kryzys; Renata-Pelagia doszła — zdaje się — do wniosku, że Sade jest dla świata ostatecznie już stracony, że nie ma nadziei na jego powrót do społeczeństwa, a więc i dalsze wiązanie swoich z nim losów jest bezużyteczne...

Tymczasem 29 lutego 1784 roku stawił się w Vincennes inspektor policji królewskiej Surbois z nowym rozkazem dotyczącym pana de Sade. Kazano markizowi zejść do policyjnej karety. Wieczorem tego samego dnia przekroczył bramę Bastylli. Tutaj miał spędzić — jak zdecydowano w Wersalu — resztę swojego życia.

Jeszcze przed paru tygodniami wierzył, że uwolnienie jest blisko. Łudził się nawet, że Ludwik XVI obdarzy go funkcją dyplomatyczną i wyśle gdzieś daleko od Francji. Teraz nadzieje te się rozwiały. Znowu cela — i jako jedyna pociecha książki i papiery... Na szczęście mógł pisać. W Bastylli kontynuować będzie prace literackie, rozpoczęte w Vincennes. Został pisarzem, aby światem imaginacji zastąpić sobie świat realny, od którego oddzielono go — zdawałoby się — na zawsze...

Sade rozpoczął swoją twórczość literacką około roku 1780. Nie znaczy to, by wcześniej niczego nie I pisał; z dawniejszych jego prób ocalały jednak tylko I szczątki, z których wnioskować możemy, iż nie były I to dzieła wybitne. W młodości swojej markiz był przede wszystkim praktykiem, a nie teoretykiem liberty- I nizmu; był indywidualnością nadzwyczaj aktywną i dopóki nie utracił na wiele lat wolności osobistej, znajdował pełną satysfakcję w nieokiełznanym życiu prywatnym; refleksje i kontemplacje filozoficzne odsunięte były wówczas na drugi plan jego świadomości. Próbował pisać, bowiem w XVIII wieku pisali właściwie wszyscy ludzie jego sfery, ale twórczości literackiej nie uważał jeszcze ani za swoje powołanie, ani też za istotny cel życia. Dopiero oderwanie od społeczeństwa wyzwoliło w nim energię twórczą, dzięki której w ciągu niewielu lat stworzył kilkanaście dzieł, stanowiących, jako całość, najbardziej wstrząsającą i pesymistyczną wizję natury i psychiki ludzkiej, jaką zna literatura światowa. Podejmując pracę pisarską Sade stawiał przed sobą podwójne zadania: z jednej strony chciał odzyskać prestiż społeczny, objawiając się światu jako pisarz mający wiele do powiedzenia i zdolny zaciekawić publiczność swoimi dziełami dramatycznymi i powieściowymi; z drugiej zaś strony chciał utrwalić we własnej, oryginalnej koncepcji artystycznej cały dorobek swoich obserwacji i przemyśleń psychologicznych, obyczajowych, seksuologicznych i filozoficznych. Oba te cele

były ze sobą wzajemnie sprzeczne, z czego Sade świetnie zdawał sobie sprawę. Aby przedstawić się społeczeństwu jako oryginalny pisarz czy dramaturg, musiał stworzyć dzieła wartościowe i zawierające jakieś nowe koncepcje artystyczne czy światopoglądowe, ale na tyle ostrożne, „przystojne” w treści i nie drażniące opinii publicznej, aby mogły być wydawane pod nazwiskiem autora lub jawnie wystawiane na scenach publicznych. Zmuszało to Sade’a do nieustannego stosowania surowej autocenzury i rezygnacji z większości przyjętych przez siebie koncepcji filozoficznych, moralnych i psychoseksuologicznych, które stanowiły istotę jego artystycznej wizji. Natomiast dzieła, w których wypowiadał się w pełni i bez ograniczeń, były z góry skazane na utajenie; nawet w czasach Dyrektoriatu (1795—1799), kiedy zapanowała we Francji całkowita wolność druku, nie mogły być wydawane inaczej jak anonimowo. Dlatego też przez całe życie Sade dzielić będzie swoją twórczość na dwie domeny: na utwory, do których się przyznawał i które podpisywał nazwiskiem, starając się zyskać dzięki nim sławę i uznanie, oraz na dzieła „wyklęte” od których skwapliwie się odzęgnywał, utrzymując publicznie, że nie ma z nimi nic wspólnego. Jednakże wśród utworów należących do kategorii „uznanych” oficjalnie przez autora, jedynie powieść *Alina i Valcour*, oraz kilka nowel i opowiadań ma godne uwagi walory artystyczne. Wszystkie dzieła Sade’a, dzięki którym zyskał on sławę i budzi dzisiaj tak znaczne zainteresowanie krytyki i nauki, należą do kategorii „wyklętych”, jeszcze obecnie konfiskowanych niekiedy przez cenzurę obyczajową.

Mniej więcej połowę swoich dzieł, które zachowały się do naszych czasów, Sade napisał w więzieniach Vincennes i Bastylli. Tam właśnie powstał pierwszy, surowy jeszcze zarys słynnej *Justyny*, zbiór kilkudziesięciu opowiadań (z których część ogłosił Sade w roku 1800 pt. *Les Crimes de l'Amour*, a ocalałą resztę opublikował dopiero w roku 1926 słynny „sadolog” Maurice Heine); tam również napisał markiz wspomnianą powieść filozoficzno-awanturniczą *Alina i Valcour*. Dorobek piśmienniczy Sade’a powstały w ciągu dwunastu lat więzienia jest doprawdy imponujący. Do wszystkich dzieł beletrystycznych i filozoficznych, napisanych

w Vincennes i Bastylli, trzeba dorzucić jeszcze olbrzymią korespondencję; 179 listów markiza z lat 1777—1790, które odkrył, zebrał i wydał Gilbert Lely przy współpracy Georges’a Daumas⁴², stanowi zbiór, którego wartość artystyczna dopiero w ostatnich latach została w pełni doceniona. Wreszcie w tych samych latach pisał Sade swój *Dziennik*, którego losy budziły potem w świecie literackim olbrzymie zaciekawienie.

Dziennik ten, obejmujący okres od lutego 1777 do kwietnia 1790 roku, składał się z trzynastu zeszytów, z których do roku 1939 zachowało się podobno jedenaście. Było to pierwszorzędnej wartości źródło do dziejów myśli i twórczości Sade’a w czasie dwunastoletniego pobytu w królewskich więzieniach. *Journal* pozostawał przez sto kilkadziesiąt lat w posiadaniu potomków markiza, którzy — dzieląc przez wiele lat negatywny sąd opinii publicznej o postaci i twórczości Donatiena de Sade — trzymali rękopisy w ukryciu, w prywatnym swoim archiwum. W roku 1942 zamek Condś-en-Brie, własność młodzieńczego wówczas markiza Xaviera de Sade (praprawnuka pisarza, który pierwszy docenił wartość jego pism i wybitnie przyczynił się potem do przygotowania naukowej edycji *Dzieł wszystkich*), był schronieniem i punktem przerzutowym dla ofiar prześladowania hitlerowskiego, uchodzących na południe Francji. Gestapo i żandarmeria niemiecka przeprowadziły wówczas w Condś-en-Brie rewizję połączoną z rabunkiem; archiwum rodzinne zostało zdewastowane i wyrzucone do parku, gdzie znaczna część papierów zbutwiała wskutek wielotygodniowego leżenia na słońcu i deszczu. Wtedy zapewne zniszczone zostały również *Dzienniki* Donatiena de Sade.

Największe nadzieje na zdobycie pozycji w ówczesnym świecie literackim wiązał jednak markiz — rzecz szczególna — ze swoją twórczością dramatyczną. Był w ogóle wielbicielem teatru, inscenizacje dramatyczne stanowiły w La Coste najważniejszą z jego rozrywek, a pod

koniec życia, w czasie pobytu w zakładzie specjalnym w Charenton, teatr amatorski będzie ostatnią jego radością i źródłem zapomnienia o ponurej rzeczywistości. Markiz napisał w ciągu całego życia — jak udało się dotychczas ustalić — siedemnaście utworów dramatycznych, z czego większość powstała w czasie pobytu autora w Vincennes i Bastylli. Wszystkie te sztuki przeznaczone były dla scen publicznych, musiały być więc w pełni cenzuralne i jako tako dostosowane do gustu przeciętnego widza. Nie wiadomo, czy ta konieczność dopasowywania tragedii i komedii do Prokrustowego łoża cenzury i gustu publiczności hamowała rozmach twórczy Sade'a, czy też brakowało mu w ogóle talentu dramaturgicznego, dość że wszystkie jego dzieła sceniczne są bardzo słabe i nie wytrzymują żadnego porównania z jego powieściami, nowelami i pismami filozoficznymi. Wśród dramatów Sade'a znajduje się na przykład utwór oparty na temacie, który pisarz wykorzystał nieco wcześniej w jednej ze swych nowel: *Oxtiern*, czyli nieszczęścia libertynizmu (*Oxtiem ou les 'Malheurs du libertinage*) — wystawiony po raz pierwszy w teatrze Molierowskim 22 października 1791 roku. Wystarczy porównać tę tragedię z analogiczną nowelą pt. *Ernestyna* ze zbioru *Les Crimes de VAmour*, aby stwierdzić, o ile doskonalszy psychologicznie, lepiej skonstruowany, zręczniejszy w fabule i logiczniej zakończony jest ten ostatni utwór.

Dzieła dramatyczne Sade'a wystawiano parokrotnie na scenach publicznych w czasie Rewolucji Francuskiej, *Oxtiern* miał nawet niezłe recenzje, ale najczęściej spotykały markiza na tym polu rozczarowania i porażki. Tragedia w pięciu aktach pt. *Jeanne Laisne* została w roku 1791 odrzucona przez Teatr Francuski (pod koniec życia, w roku 1813, Sade, nie zrażony tym niepowodzeniem, po raz drugi zaproponował to dzieło Komedii Francuskiej — znowu bezskutecznie). Komedia *Mizantrop z miłości*, czyli *Zofia i Desfrancs* (*Le Misanthrope par amour ou Sophie et Desfrancs*) doczekała się nawet w roku 1790 włączenia do repertuaru Komedii Francuskiej, ale nie była ani raz wystawiona. Inna komedia, *Koruptor* (*Le Suborneur*), miała premierę dnia 5 marca 1792 roku w Teatrze Włoskim w Paryżu, ale została wygwizdana przez publiczność i zdjęta z afisza, podobno wskutek intrygi jakobinów, oburzonych popieraniem twórczości arystokraty. Mimo to Sade do końca życia nie pozbył się swojej nieodwzajemnionej miłości do teatru. W więzieniach królewskich, zanim spotkały go te wszystkie rozczarowania, mocno wierzył w przyszły sukces swojej dramaturgii. Przykładał się tak gorliwie do pracy nad utworami dramatycznymi, że pani de Montreuil, do której doszły o tym wiadomości, przekonana była, iż zięć jej ma na celu złośliwy odwet i zapewne chce wprowadzić ją na scenę w jakiejś skarykaturowanej postaci. „Niech się uspokoi — odpisał wtedy markiz — Kalibanów trzeba zostawić Szekspirowi; nie powiodłoby się im w naszych teatrach”⁴⁸.

W Vincennes powstał również słynny *Dialog między księdzem a umierającym* (*Dialogue entre Un prêtre et un moribond*). Sade ukończył ten utwór 12 lipca 1782 roku, ale nigdy nie ujrzał go w druku; rękopis przeleżał w ukryciu 144 lata i dopiero w roku 1926 wydał go w naukowym opracowaniu Maurice Heine. To niewielkie rozmiarami dzieło jest chronologicznie pierwszym wykładem poglądów filozoficznych Sade'a na sprawy religii i sens egzystencji człowieka. Markiz był zdecydowanym ateistą — i to ateistą bojowym, atakującym gwałtownie dogmaty religii, podstawy moralności opartej o wiarę objawioną i ziemską władzę Kościoła. Niektóre z pism Sade'a zawierają wypowiedzi o religii chrześcijańskiej tak gwałtowne, że cenzura wielu krajów po dziś dzień nie dopuszcza ich do druku z obawy przed urażeniem uczuć ludzi wierzących (do takich utworów należy między innymi poemat *La Vérité*). Wnikając jednak w całość doktryny Sade'a trudno nazwać go po prostu materialistą odrzucającym wszystkie nie uzasadnione racjonalnie poglądy na pochodzenie i przeznaczenie człowieka. Rolę Boga we wszechświecie Sade przyznawał bowiem Naturze pojętej niemal panteistycznie — jako wszechbyty, którego częścią jest człowiek na równi ze wszystkimi innymi istotami biologicznymi — Naturze przeznaczającej istoty ludzkie do zadań, których w pełni pojąć nie mogą, a które wynikają z jej odwiecznych

praw i niepoznawalnych zamierzeń. W pojęciu Sade'a człowiek zależny jest od Natury tak samo totalnie, jak od Boga w koncepcji religii chrześcijańskich. Natura jest wszechbytem, któremu Sade zdaje się przypisywać niemalże świadomość i własne cele, do realizacji których człowiek musi się przyczyniać, chociaż najczęściej zrozumieć ich nie może. Natura przemawia przez instynkt i wrodzone skłonności człowieka. Idąc za tymi wskazaniem istota ludzka spełnia swoje powołanie. Najczęściej spełnia je dopuszczając się występku i łamiąc prawa społeczne — ponieważ Natura jest siłą niszczycielską, okrutną, negatywną. „Im bardziej starałem się odkryć jej tajemnice — powiada jeden z bohaterów Nowej Justyny — tym bardziej dostrzegałem, że zajęta jest jedynie szkodzeniem ludzkości. Spróbuj iść śladem wszelkich jej działań; znajdziesz ją zachłanną, niszczycielską, złośliwą, zawsze niekonsekwentną, dokuczliwą i pustoszącą ziemię [...] Czyż nie jest oczywiste, że wysiliła się po to jedynie, aby swą morderczą sztuką tworzyć wokół ofiary, że zło jest wyłącznie jej celem, że obdarzyła się twórczą siłą dlatego tylko, aby spowić ziemię krwią, łzami i żałobą? Że mocy swej używa jedynie dla smagania nas swymi biczami? Jeden z ważnych Kształtów nowoczesnych filozofów nazywał się kochankiem E Natury. Ja natomiast, mój drogi, uznaję się za wykonawcę jej wyroków. Studiuj i śledź tę okrutną Naturę, zobaczysz wtedy, że tworzy po to tylko, aby niszczyć, że cele swoje osiąga jeno przez mord i zniszczenie, a tuczy się jak Minotaur tylko nieszczęściem i unicestwieniem człowieka...”⁴⁴ Ta okrutna Natura musi być jednak jedynym bóstwem każdej istoty myślącej, albowiem innego Boga nie ma... Sade atakuje gwałtownie Boga stworzonego przez doktrynę chrześcijańską, ponieważ wiara w Boga przeszkadza człowiekowi w wykonywaniu zadań Natury. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że ateizm Sade'a nie jest właściwie doktryną metafizyczną; pisarz nie przywiązuje większej wagi do filozoficznego udowodnienia istnienia czy nieistnienia Boga. Zasadniczym problemem są dlań społeczne skutki wiary w Boga i dominacji religii chrześcijańskiej nad całym życiem umysłowym i moralnym człowieka. Człowiek żyjący w świecie chrześcijańskim jest — zdaniem markiza — spętany i zwrócony przeciwko samemu sobie; umysł ludzki jest przez religię sponiewierany i ograniczony; wolność jednostki ludzkiej raz na zawsze zniweczona. Moralność chrześcijańska jest narzędziem zniszczenia człowieka, zmusza go do postępowania wprost samobójczego, ponieważ nakazy Natury są wręcz przeciwne — a nie można bezkarnie uwłaczać woli Natury... Istotą ateistycznego światopoglądu Sade'a jest walka o pełne wyzwolenie umysłu ludzkiego z wszelkich ograniczeń, albowiem jedynie wolność jednostki ludzkiej jest dlań najwyższym dobrem. „Sade przeciwko Bogu — stwierdza Gilbert Lely — to Sade atakujący monarchię absolutną, tyranie Robespierre'a, Napoleona; to Sade przeciwstawiony wszystkiemu, co w mniejszym lub większym stopniu i w jakikolwiek sposób ogranicza wartość podmiotową i świadomość człowieka”⁴⁵

Niektóre z utworów napisanych w Vincennes i Bastylii markiz wydał drukiem po swoim uwolnieniu w czasie Rewolucji Francuskiej. Ale jedno z najgłośniejszych jego dzieł, które powstało w więzieniu, musiało czekać na publikację aż 120 lat. Co więcej, autor zszedł z tego świata w przekonaniu, że dzieło to — będące wynikiem kilkunastu lat eksperymentów i obserwacji — zostało zniszczone w rękopisie i raz na zawsze dla potomności stracone. Chodzi tu o słynne już dzisiaj Sto dwadzieścia dni Sodomy, czyli szkołą libertynizmu (*Les 120 Journées de Sodome ou l'École de libertinage*).

Sade rozpoczął pisanie *120 dni Sodomy* w Bastylii dnia 22 października 1785 roku. Dzieło to uważał za swoje ogromne osiągnięcie pisarskie, a rozumiał jednocześnie, że treść tej książki skazuje ją na trzymanie w tajemnicy i zagraża manuskryptowi zniszczeniem w wypadku jakiegś rewizji czy nowej zmiany miejsca uwięzienia autora. Aby więc ułatwić przenoszenie rękopisu w kieszeni surduta, Sade przez cały miesiąc pracował nad przepisanie książki na długi rulon papieru, sklejony z kartek 11-centymetrowej szerokości,

długości 12 metrów 10 centymetrów, który należało czytać na wzór papirusu — stopniowo go rozwijając. Niestety, w parę lat potem miało się okazać, że cała ta praca i przezorność na nic się nie zdały...

120 dni Sodomy jest dziełem nie tyle beletrystycznym, ile raczej quasi—naukowym ujętym w nieco zbeletryzowaną formę. Sade przedstawił w nim wyniki swoich obserwacji i badań seksuologicznych, starając się ukazać panoramę najrozmaitszych perwersji, inwersji, zbroceń i wynaturzeń, jakie występować mogą w sferze seksualnej życia człowieka. To wszystko, co zachodzi między ludźmi odmiennej lub tej samej płci w czasie najbardziej wyuzdanych działań jłciowych — lub co zachodzić by mogło, gdyby nastąpiło pełne wyzwolenie podświadomości człowieka i realizacja najbardziej nawet utajonych jego pragnień i namiętności — miało być w 120 dniach Sodomy z bezprzykładnym bogactwem szczegółów i odwagą posuniętą do granic ostatecznych. „Teraz więc, drogi czytelniku — pisał Sade kończąc prezentację bohaterów — musisz przygotować swe serce i umysł na przyjęcie najbardziej nieczystej opowieści, jaka powstała od początku świata; podobnej książki nie spotkasz ani w starożytności, ani w czasach nowożytnych. Wyobraź sobie, że wszystkie rozkosze godziwe lub wskazane przez tego potwora, którego nie znasz, a zowiesz Naturą, będą w tym zbiorze bezwzględnie wykluczone, a jeśli spotkasz je przypadkiem, to jedynie wtedy, gdy skojarzone będą z ją—kąs zbrodnią albo ubarwione czymś haniebnym”⁴⁸.

Szkoła libertynizmu miała być więc wszechstronnym i wyczerpującym studium wszelkiego rodzaju psychopatii i parestezji seksualnej oraz analizą reakcji seksualnej człowieka w czasie aktów zbrodni i okrucieństwa.

Fabula 120 dni Sodomy jest prosta. Akcja dzieje się w początkach wieku XVIII, pod koniec panowania Ludwika XIV. Czterej psychopaci — książę de Blangis, brat jego biskup, prezydent de Curval i bogaty bankier Durcet — postanawiają wzbogacić swoje libertyńskie doświadczenia przez wypróbowanie wszystkich możliwych zbroceń i wynaturzeń seksualnych. Łączą ich więzy nie tylko przyjaźni i współuczestniczenia w dawnych zbrodniach, ale i swoistego powinowactwa: książę de Blangis jest żonaty (po raz czwarty w życiu) z Konstancją, córką Durceta; Julia de Blangis, córka księcia z pierwszego małżeństwa, jest żoną Cúrvala; córka prezydenta, Adelajda, jest znowu żoną Durceta... Są to już ludzie stojący u progu starości, w wieku od 45 do 60 lat, do głębi zdeprawowani, zdolni do wszelkiej niegodziwości. Książę de Blangis, który zamordował swoje poprzednie żony, wyznaje: jedynie występek wzbudza w nim ekscytację wiodącą ku rozkoszy. „Wcześniej porzuciłem wszelkie chimery religii, do głębi przekonany, że istnienie stwórcy to pomysł rażąco absurdalny [...] nie czuję żadnej potrzeby powściągnięcia swych skłonności po to, aby mu się przypodobać. Skłonności te otrzymałem od Natury i rozgniewałbym ją, gdybym się im przeciwstawił. Jeżeli wpoila mi popędy występne, widocznie było to konieczne dla jej celów. Jestem w jej rękach jeno maszyną, którą posługuje się zgodnie ze swym upodobaniem, i nie masz takiej wśród moich zbrodni, która by jej nie służyła. Im więcej mi ich każe popełniać, tym więcej ich widać potrzebuje...”⁴⁷

Przyjaciele zabierają ze sobą żony, służbę, „seraj” złożony z ośmiu dziewcząt i ośmiu chłopców nadzwyczajnej urody, porwanych rodzicom, ośmiu pomocników wyspecjalizowanych w „sodomii”, wreszcie cztery doświadczone stręczycielki: panie Duclos, Champville, Martaine i Desgranges. Całe towarzystwo zamyka się dnia 1 listopada w odległym i niedostępnym zamku gdzieś w Czarnym Lesie. Tutaj, przez cztery miesiące, aż do 28 lutego, trwają niesamowite eksperymenty: każda ze stręczycielek opowiada przez miesiąc o wszelkich znanych sobie perwersjach i okrucieństwach, które książę de Blangis i jego towarzysze natychmiast inscenizują. Codziennie odbywa się pięć eksperymentów, z reguły okrutnych, często odrażających, zawsze zbrodniczych; w ciągu czterech miesięcy trzydzieści

kobiet i mężczyzn ponosi śmierć w czasie tych potwornych doświadczeń; do Paryża wraca jedynie kilkunastu uczestników niesamowitych wydarzeń w zamku księcia de Blangis.

Sade okazał w 120 dniach Sodomy imponującą erudycję seksuologiczną, wyprzedzając o sto kilkadziesiąt lat stan wiedzy medycznej, psychologicznej i historycznej swojej epoki. Dość powiedzieć, że dopiero wieloletnie i wnikliwe studia Krafft-Ebinga i Havelocka Ellisa, prowadzone pod koniec XIX i na początku XX wieku dowiodły, że markiz niczego nie zmyślił, że znał i opisał z doskonałą precyzją naukową wynaturzenia seksualne wszelkich typów, nawet najrzadziej spotykane. Wszelako konstrukcja 120 dni Sodomy jest bardzo niejednolita. Markiz rozwinął w pełni tylko wstęp i pierwszą część swego dzieła (tam właśnie znajdują się fragmenty prozy o sporej wartości, przede wszystkim portrety psychologiczne bohaterów, które uchodzą dzisiaj za jedne z najciekawszych osiągnięć XVIII-wiecznej literatury francuskiej w tym zakresie); trzy pozostałe części zarysował tylko w postaci *sui generis* obszernego konspektu, przedstawiając kolejne przypadki okrutnych praktyk bez silenia się na doskonałość formy. ■

Jest to oczywiście dzieło w swoim rodzaju jedyne w całym piśmiennictwie światowym i z żadnym innym nieporównywalne; trudno też stwierdzić, czy dominuje w nim walor dokumentacyjno-seksuologiczny, czy też zamiar literacki autora. Książka jest oczywiście rażąco obsceniczna i dla nieprzygotowanego należącego do czytelnika bynajmniej się nie nadaje. Dzisiaj, kiedy została już udostępniona w kilku kolejnych wydaniach nawet ogólnie dostępnych oraz w kilku edycjach dzieł zebranych Sade'a, budzi duże zainteresowanie, ale sprawia zawód czytelnikom nie uprzedzonym z góry, co właściwie biorą do ręki. Jak słusznie zauważył Zbigniew Irzyk, autor pierwszego w języku polskim eseju o życiu i twórczości Sade'a, „tych, którzy w 120 dniach Sodomy oczekiwali frywolnych, ale estetycznych opisów erotyzmu, trzeba przestrzec, że nie jest to lektura zbyt przyjemna; podobne rozkosze daje na przykład czytanie podręcznika medycyny sądowej” Sade pisał przecież we wstępie, że przedstawi to wszystko, co w praktykach seksualnych człowieka jest najbardziej przerażające, niezwykle, odrażające nawet... Markiz padł zresztą w tym wypadku ofiarą swojej własnej koncepcji artystycznej. Przyjąwszy układ dzieła na wzór Dekameronu Boccaccia czy Heptameronu Małgorzaty z Nawarry musiał trzymać się podziału treści na 120 dni i 600 eksperymentów. Jednakże wyszukanie 600 perwersji i zbrodni seksualnych okazało się — mimo całej wiedzy autora — zadaniem bardzo trudnym. Sade musiał dzielić poszczególne zjawiska na swojego rodzaju „odmiany” i „warianty” zachowania seksualnego, a w końcu poświęcić nieproporcjonalnie wiele miejsca wynaturzeniom wyjątkowo rzadko spotykanym. Mniej więcej połowa przypadków, opowiedzianych w zamku księcia de Blangis przez weteranki Afrodyty, zawiera w sobie elementy koprolagnii, a nawet koprofagii. Otóż są to wynaturzenia spotykane tak rzadko, że poświęcenie im głównej uwagi zamiast np. rozmaitym przejawom fetysyzmu/ homoseksualizmu, algolagnii czy ekshibicjonizmu, zwichnęło proporcje dzieła. Dlatego też jest ono cenniejsze we fragmentach niż w całości i wydaje się, że warto jest czytania raczej w dobrze opracowanym wyborze.

Streszczenie 120 dni Sodomy jest niemożliwe; każdy przypadek jest zamkniętą całością i wymagałby dla scharakteryzowania obszernych cytatów *in extenso*. W każdym razie warto dodać, że „rozwój” przedstawianych perwersji polega na przechodzeniu w opowieściach kolejnych „opowiadaczek” (Duelos, Chamville, Martaine, Desgranges) od przypadków „prostych”, pozbawionych jeszcze okrucieństwa, chociaż budzących przede wszystkim odrazę z powodu ogromnego nasilenia opisów koprofagii — poprzez historie algolagnii pasywnej, aż do sytuacji związanych z zadawaniem coraz wymyślniejszych cierpień ofiarom libertyńskich praktyk. Ponieważ (jak wspomniano) w części drugiej, trzeciej i czwartej Sade nie zdążył rozwinąć swoich pomysłów w pełne opisy zachowania seksualnego prezentowanych zbrodniów, pozostały z tego tylko krótkie, jedno- lub parozdaniowe

charakterystyki sytuacji — rodzaju udręczeń zadawanych ofierze lub nawet sposobu jej uśmiercenia, bez analizy przeżyć i zachowania się „kata”, istoty, która przede wszystkim interesowała autora. Sytuacje wymyślnych tortur w końcowych 300 przypadkach powtarzają się z upiorną monotonią — i trzeba stwierdzić, że pod koniec dzieła fantazja poczęła Sade’a opuszczać. Różnice między poszczególnymi przypadkami polegają w końcu już tylko na rozmaitych rodzajach tortur, które autor zamierzał przedstawić w pełnej wersji swego dzieła. Kończy się to wszystko skrótowym opisem straszliwej masakry ofiar przeznaczonych na unicestwienie, które giną w „piekle”, w męczarniach specjalnie dobranych przez niesamowitą Desgranges.

Losy rękopisu 120 dni Sodomy były doprawdy nie zwykle. Gdy w lipcu 1789 roku, na kilka dni przed szturmem Bastylji, Sade został przeniesiony do innego więzienia, musiał zostawić w celi wszystkie swoje książki i rękopisy. W dniu 14 lipca Bastylja została po zdobyciu doszczętnie splądrowana przez zwycięski tłum paryżan; rozkradziono wtedy również rękopisy markiza do Sade. Pisarz zdołał później odzyskać niektóre notaty i manuskrypty, ale rulon zawierający tekst najważniejszego dzieła przepadł bez śladu. Markiz był zrozpaczony, przez długi czas starał się odszukać utracony rękopis, potem doszedł do wniosku, że został on zniszczony. Była to dlań strata niepowetowana. Sade nie potrafił już odtworzyć 120 dni Sodomy, starał się jednak ocalić cokolwiek z treści tego dzieła, wprowadzając odpowiednie elementy do Nowej Justyny, a zwłaszcza Historii Julietty. Do końca życia był przekonany, że studium, któremu poświęcił wiele lat pracy, już nie istnieje.

Tymczasem rulon ze 120 dniami Sodomy znalazł w Bastylji i zabrał ze sobą niejaki Arnoux de Saint- -Maximin. Rękopis przeszedł potem na własność rodziny Villeneuve-Trans, która trzymała go w ukryciu prawie przez sto lat. Wreszcie na przełomie XIX i XX wieku nabył go pewien bibliofil niemiecki i przekazał w ręce znanego psychiatry i seksuologa berlińskiego Iwana Blocha, który pod pseudonimem Eugen Diihren ogłosił w roku 1900 obszernie studium o życiu i twórczości markiza de Sade. Bloch-Duhren wydał 120 dni Sodomy w Berlinie w roku 1904, w nakładce 18 egzemplarzy, które rozprowadzono wśród wąskiego kręgu naukowców i bibliofilów. Ta pierwsza edycja była jednak skażona tyloma błędami i pomyłkami wydawcy, że jej wartość naukowa zmniejszona została do minimum. Po śmierci Blocha rulon znajdował się w Niemczech aż do stycznia 1929 roku, kiedy to Maurice Heine zakupił go z upoważnienia pewnego bogatego francuskiego amatora. Wówczas dopiero (w latach 1931—1935) ukazała się w Paryżu pierwsza w pełni naukowa edycja słynnego dzieła. Nakład był również znikomy: 396 egzemplarzy! Wystarczyło to jednak, aby ocalić jedno z najoryginalniejszych dzieł Sade’a od zapomnienia i zagłady. W półtora wieku po utraceniu rękopisu przez autora, pełny tekst Szkoły libertynizmu dotarł wreszcie do czytelników, dla których był przeznaczony: seksuologów, historyków i badaczy obyczajów. Raz jeden zbieg okoliczności okazał się przyjazny dla prześladowanego pisarza — chociaż Sade nigdy się o tym nie dowiedział i takiego obrotu wypadków nie przewidywał... >

120 dni Sodomy wymieniane jest zazwyczaj w grupie czterech najważniejszych dzieł Sade’a: łącznie z Nową Justyną, Historią Julietty i Filozofią w buduarze. Nie dorównuje im jednak bogactwem myśli filozoficznej ani walorami ściśle artystycznymi. Wydaje się, że książka ta należy raczej do historii literatury kuriozalnej i w tej przede wszystkim dziedzinie będzie zawsze wysoko notowana.

W roku 1975 120 dni Sodomy zyskały niespodziewanie wielką popularność w całym niemal świecie wskutek realizacji — przez słynnego reżysera włoskiego Pier Paolo Pasoliniego — filmu opartego na tym temacie. Pasolini wyzyskał sporą część okrutnych wizji Sade’a, przeniósł jednak akcję niemal we współczesność, osadzając ją w roku 1944, w tzw. Republice Salò w północnych Włoszech. Na wzór czterech zbrodniarzy Sade’a Pasolini

stworzył postacie czterech zdegenerowanych faszystów, w przerażający sposób znęcających się nad swymi ofiarami, używających seksu jako narzędzia ich poniżenia i unicestwienia. Film był zamierzony jako wielki protest przeciwko przemocy, gwałtowi i okrucieństwu, rozbudził niezwykle zainteresowanie pisarstwem Sade'a, m. in. we Włoszech, gdzie twórczość Markiza długo była tępiąca przez cenzurę obyczajową. Popularność filmu *Salo* czyli 120 dni Sodomy została wzmożona przez tragiczną śmierć Pasoliniego niemal nazajutrz po ukończeniu tego dzieła (2 XI 1975). Można jednak wątpić czy Pasolini wyrządził Sade'owi przysługę. Swoim niewątpliwie wybitnym filmem skrzywił perspektywę widzenia całej literackiej spuścizny Markiza, zwracając uwagę opinii publicznej w stronę dzieła ciekawego, lecz nie najważniejszego i siłą rzeczy usuwając w cień najbogatsze intelektualnie pisma Sade'a.

Markiz de Sade miał dziwne szczęście do Launayów: komendantem Bastylii był również oficer o tym nazwisku, Bernard-Rens de Launay, służbista brutalny i nieokrzesany. Więzień tak niesforny jak Donatien de Sade musiał oczywiście ściągać na siebie baczną uwagę komendanta, który starał się okiełznać go bezwzględными represjami. Wkrótce po przeniesieniu markiza do Bastylii Renata-Pelagia otrzymała pozwolenie na odwiedzanie męża w więzieniu raz w tygodniu. Stosunki między małżonkami nie były już wówczas najlepsze, wybuchały między nimi spory i kłótnie; rozdrażniony pisarz wymyślał potem strażnikom lub ubliżał oficerom. Pan de Launay karał go pozbawieniem na pewien czas prawa do odwiedzin, co markiza bynajmniej nie uspokajało. W dodatku Sade począł chorować poważnie na oczy i tylko z wielkim wysiłkiem mógł pisać lub czytać. Zdawało się, że jego stan fizyczny i psychiczny jest już bardzo marny, i że niewiele pozostało mu życia.

Minął rok 1787, 1788... We Francji narastało wrzenie polityczne, kryzys finansowy monarchii zmuszał dwór do reform, a jednocześnie opozycja arystokracji przeradzała się w jawny bunt przeciwko naruszaniu status quo, parlamenty zdecydowanie sprzeciwiały się rejestracji królewskich edyktów... Do Wersalu zwołano Stany Generalne... W Paryżu rosło napięcie polityczne, tłumy gromadziły się na ulicach, wybuchały demonstracje przeciwko absolutystycznej władzy monarchy. Więźniowie Bastylii (było ich zresztą niewielu, zaledwie siedmiu) nie całkiem zdawali sobie sprawę, że są w oczach ludu największymi ofiarami bezprawia i tyranii, że los ich budzi we Francji powszechne zainteresowanie; jednakże wzburzenie opinii publicznej musiało do nich docierać i budziło nowe nadzieje. Nadszedł koniec czerwca 1789 roku; trudno było ukryć przed więźniami to wszystko, co działo się w Wersalu i na ulicach Paryża. Sade był jak w gorączce — rzucał się po celi, czepiał się krat okiennych i usiłował dojrzeć tłumy na ulicach. Komendant de Launay w ostatnich dniach czerwca pozbawił więźniów codziennych przechadzek po murach twierdzy, uważając, iż w tak napiętej sytuacji byłoby to zbyt niebezpieczne. Markiz doprowadzony został do rozpacz i wściekłości. Dnia 2 lipca oderwał od ściany swojej celi kawał rynny zakończonej lejkiem, służącej jako swego rodzaju urządzenie kanalizacyjne do spuszczenia wody wprost do fosy, wysadził ją przez kraty okienka, wychodzącego na ulicę Saint-Antoine — i zaczął wielkim głosem wołać przez tak zaimprovizowaną tubę do zgromadzonego pod murami tłumu: „Na pomoc! Mordują więźniów Bastylii!” — przy czym wymyślał straszliwie zniechęconemu komendantowi de Launay⁴⁹.

Ten krzyk Sade'a z Bastylii przyczynił się podobno poważnie do wzburzenia opinii publicznej, które wyładowało się wreszcie 14 lipca 1789 roku, ale samemu więźniowi poważnie zaszkodził. Donatien nie przypuszczał, że spowoduje w ten sposób przedłużenie prawie o rok swojego pobytu w królewskich więzieniach. Tego samego dnia Bernard de Launay skierował do ministra de Villedeuil prośbę o niezwłoczne zabranie z twierdzy niebezpiecznego więźnia, który stara się wzburzyć współtowarzyszy, demoralizuje załogę i podnieca okrzykami tłumy na ulicach. Ludwik XVI podpisał nazajutrz rozkaz przeniesienia

pana de Sade do zakładu specjalnego w Charenton.

W nocy z 3 na 4 lipca, o godzinie pierwszej, inspektor policji Quidor i komisarz Chsnon wdarli się do celi markiza de Sade. Wyciągnięto pisarza z łóżka; pod nabitymi pistoletami sprowadzony został przez sześciu ludzi na dziedziniec twierdzy i wsadzony do policyjnej karety. Nie pozwolono mu zabrać ani osobistych rzeczy, ani ubrań, ani książek czy rękopisów. Rankiem znalazł się w Charenton — obdarty, zmizerowany, zmalretowany i pełen niepokoju o pozostawione w Bastylii swoje manuskrypty...

W dziesięć dni później Bastylia była już w rękach ludu Paryża. Gdyby Sade doczekał tej chwili, wyszedłby na wolność w chwale i sławie, nie utraciwszy ani jednej karty ze swoich rękopisów i książek. Przypadek zrzucił inaczej. Zresztą pani de Sade, którą Donatien na próżno błagał o zabezpieczenie pozostawionych w więzieniu ruchomości, przyczyniła się przez swoją lekkomyślność do zaprzepaszczenia znacznej części dorobku pisarskiego markiza; tylko część rękopisów Sa- de'a ocalała po szturmie Bastylii, niektóre przepadły na zawsze lub wpadły w obce ręce, jak na przykład 120 dni Sodomy, i do końca życia były już dla autora niedostępne.

Minęła jesień i zima; Sade tkwił w Charenton i oczekiwał końca swoich niedoli. Ale dopiero 13 marca 1790 roku Zgromadzenie Narodowe uchwaliło dekret o uwolnieniu z wszystkich więzień i zakładów specjalnych we Francji osób trzymany tam na podstawie lettres de cachet lub rozkazów policji, a nie skazanych prawomocnymi wyrokami sądów. W pięć dni później zjawili się w Charenton dwaj młodzi ludzie i zażądali widzenia. z panem de Sade. Byli to synowie markiza, Louis-Ma- rie i Donatien-Claude-Armand; przywieźli ojcu nowinę, na którą czekał od dawna: był wolny, po dwunastu latach pobytu w królewskich więzieniach mógł wreszcie wrócić do normalnego życia!

W Wielki Piątek, dnia 2 kwietnia 1790 roku, markiz de Sade'— zmizerowany, obdarty i chory — opuścił więzienie w Charenton i powłókł się w kierunku Paryża. Tego samego dnia zastukał do drzwi domu swojego plenipotenty, pana de Milly, przy ulicy du Bouloir. Nie miał w kieszeni ani solda, za to na karku pięćdziesiąt lat życia, z których wiele liczyć się winno podwójnie...

Życie na wolności zaczynało się pod złym znakiem. Od dawna Donatien marzył o chwili, gdy wolny i zrehabilitowany wróci do domu swej żony, by u jej boku odpocząć po udręczeniach i prześladowaniach. Ale pani de Sade zmieniła się już zupełnie; 3 kwietnia powiadomiła męża, iż nie życzy sobie wspólnego zamieszkania i stanowczo domaga się separacji...

Był więc wolny — zupełnie wolny! Nie miał już żony, nie miał pieniędzy, nie miał gdzie się schronić. Pani de Montreuil pożyczyła mu kSka ludwików (nie życząc sobie, aby zięć jej włóczył się w nędzy po uli, cach Paryża), pod warunkiem, że napisze natychmiast do mecenasa Gaufridy z żądaniem pieniężnego zasiłku, aby miał z czego zwrócić tę pożyczkę i żyć dalej na przyzwoitej, nie kompromitującej rodziny stopie. Radziła mu jednak, aby raz na zawsze wyrzekł się myśli o pracy literackiej. A co do rękopisów, które znajdowały się w posiadaniu rodziny...

„Wiele pracowałem podczas swego uwięzienia — pisał Sade do adwokata Gaufridy w maju 1790 roku. — Wyobraź sobie, drogi mecenasie, że miałem w rękopisach piętnaście tomów gotowych do druku. Po wyjściu z więzienia została mi z tego zaledwie jedna czwarta. Jedne przepadły wskutek niewybaczalnej lekkomyślności pani de Sade, inne żona moja po prostu zabrała —

i oto trzynastę lat pracy zostało zniweczone! Trzy czwarte moich pism zostało w celi w Bastylii; czwartego lipca przeniesiono mnie do Charenton, czternastego Bastylia padła, a moje rękopisy, biblioteka złożona z sześciuset tomów, meble i rzeczy za dwa tysiące liw- rów, cenne portrety — wszystko zostało poszarpane, spalone, zrabowane, tak że najmniejszego nawet. drobiazgu nie zdołałem odszukać. Stało się tak przez zaniedbanie ze

strony pani de Sade; miała dziesięć dni czasu na zabranie moich rzeczy, a trudno było wątpić, że Bastylia, którą przez te dziesięć dni ładowano bronią, prochem i żołnierzami, gotuje się do ataku czy obrony. Czemu więc nie starała się wydobyć stamtąd moich rzeczy? moich rękopisów? rękopisów, nad utratą których wylewam dotąd łzy! Można odkupić łóżka, stoły, komody, ale nie sposób odkupić idei! Tak, drogi przyjacielu, nie potrafię opisać ci swojej rozpacz z powodu tych strat; są one nie do naprawienia. Od tego czasu czuła i wrażliwa pani de Sade nie życzy sobie mnie widywać [...] Odnalazłem co prawda niektóre drobiazgi w urzędach, gdzie złożono papiery zabrane z Bastylii, ale nic ważnego, same głupstwa, ani jednego dzieła o zasadniczym znaczeniu [...] Czy wiesz, na jaki sposób wzięła się szlachetna i czuła pani de Sade, aby ukoić ten mój ból? Ma u siebie wiele moich dzieł, rękopisy, które dawałem jej potajemnie w czasie wizyt w więzieniu. Odmówiła oddania mi ich! Powiada, że lękając się, aby dzieła te (zbyt śmiałe w treści) w czasach rewolucji nie wpędziły mnie w kłopoty, złożyła je u różnych osób, które już część z nich spaliły! Krew zawrzała mi w żyłach, gdy usłyszałem tę odpowiedź! Skoro jednak nie mam ani sił, ani środków, trzeba i z tym się pogodzić, i zamilknąć...”^M.

Bezdomny i pozbawiony środków do życia pisarz miał jednak szczęście; udzieliła mu gościny pewna bogata sawantka, prezydentowa de Fleurieu. „... mieszkam u pewnej uroczej damy — donosił w tym samym czasie panu Gaufridy. — Sama przeżyła wiele nieszczęść i umie uzalić się nad nieszczęśliwymi. Jest to kobieta pełna zalet ducha i umysłu, separowana ze swym mężem, podobnie jak ja ze swoją żoną. Obsypuje mnie honorami; jeżdżę czasem rozerwać się na wieś, a chociaż nie łączy nas żadne uczucie poza szczerą przyjaźnią, w jej towarzystwie zapominam zawsze o swoich nieszczęściach [...] Poznałem wiele osób, znalazłem kilku przyjaciół [...] Żadnych nieczystych rozkoszy, żadnego urozmaicenia; wszystko to, drogi mecenasie, odstręcza mnie teraz równie mocno, jak rozpalało przed laty. Stwierdzam, że temperament ma w tych sprawach wiele do powiedzenia. Moje siły fizyczne ledwie wystarczają do zniesienia wszystkich chorób, które mnie przygniotły. Cierpię na kaszel, na bóle oczu, głowy, żołądka; wszystko to wyczerpuje mnie do tego stopnia, że nie mam siły, Bogu dzięki, myśleć o czymś innym i czuję się w tym stanie cztery razy szczęśliwszy...”⁵¹ Sade zabiegał w tym czasie o wystawienie swoich dramatów na scenach Paryża, ale nie potrafił zainteresować tymi dziełami żadnego z teatrów. Dostawał niewielkie sumy od Gaufridy’ego, zarządzającego majątkami w Prowansji, były to jednak kwoty tak minimalne, że bez pomocy osób życzliwych musiałby po prostu biedować. Tymczasem pani de Sade wysłała mu pozew rozwodowy i zażądała zwrotu posagu, obliczając swoje pretensje dokładnie na 160 842 liwry; jako argumentacji uzasadniającej porzucenie męża użyła wszystkich plotek, które krążyły we Francji w związku z aferami w Arcueil i w Marsylii; nic dziwnego, że Donatien był wzburzony i rozgoryczony; pretensje finansowe eks- -małżonki przewyższały wielokrotnie jego możliwości płatnicze, a zdawał sobie jednocześnie sprawę, że pogodzona z matką Renata-Pelagia może zatruć mu resztę życia pozwami sądowymi i osobistymi szykanami.

Pod koniec września 1790 roku ułożył się jednak z żoną na zasadach kompromisu; pani de Sade zgodziła się zrezygnować z dochodzenia należnej sobie sumy aż do śmierci eks-męża, a markiz zobowiązał się wypłacać jej corocznie 4 000 liwrow z dochodów, które przynosiły dobra prowansalskie. I tak rozeszło się to stadło, skojarzone przed dwudziestu laty przez rodzinny układ, wiążące dwoje ludzi właściwie najzupełniej sobie obcych, a przecież i tak nadszpiekanie trwałe...

Późnym latem 1790 roku stosunki markiza z panią de Fleurieu bardzo się zadrażniły. Aczkolwiek czterdziestoletnia dama żywiła podobno dla osławionego libertyna tylko platoniczną przyjaźń, nie mogła utaić swojego zdenerwowania z powodu wiadomości, że pan de Sade zaczął odwiedzać pewną trzydziestoletnią aktorkę, pannę Marię-Konstancję Renelle.

Była ona dawniej żoną niejakiego Baltazara Quesnet, który opuścił ją przed laty,

pozostawiając samą z dzieckiem, małym chłopczykiem. Sade poznał panią Renelle- -Quesnet w czasie wędrówek po teatrach, gdy starał się o wystawienie swoich dramatów. Trudno pojąć, co złączyło tę spokojną, zrównoważoną i wrażliwą kobietę ze zdeklasowanym artystokratą o ponurej sławie, człowiekiem pięćdziesięcioletnim, wymizerowanym, zgębionym życiem, ale pełnym wiary w swoje pisarskie powołanie. Los chciał widocznie wynagrodzić Sa- de'owi lata prześladowań i udręki, postawił bowiem na jego drodze kobietę, która miała zostać nareszcie jego najprawdziwszą (choć do końca życia nieślubną) żoną, która swą miłością, wiarą i oddaniem miała wspierać go i zachęcać do pracy — aż do ostatnich chwil życia w zakładzie w Charenton...

25 sierpnia 1790 roku (Sade zapisał potem tę datę w swoim testamencie) połączyły się na zawsze dwie niedole: pani Renelle-Quesnet i pana de Sade. Prezydentowa de Fleurieu oziębła pożegnała swojego gościa

i przyjęła odeń 225 liwrów jako 9-miesięczne komorne za pokój, który markiz zajmował w jej domu. Sade wynajął małe mieszkanie przy ulicy Neuve-des-Mathurins nr 20 i zamieszkał tam z Marią-Konstancją i jej synkiem.

Potrzeba było teraz pieniędzy, dużo pieniędzy... Donatien pragnął urządzić dom w miarę wygodny i zasobny, aby mogli żyć na poziomie zamożnej, mieszczańskiej rodziny. Chciał zatrudnić guwernantkę, kucharkę

i lokaja — „czy to za wiele?” — pytał adwokata Gouffridy, domagając się znowu pieniędzy z kurczących się stale prowansalskich dochodów. 15 000 liwrów pożyczył markizowi niejaki Audibert, farmer-dzierżawca z La Coste — widocznie chłopci markiza żywili przyjazne uczucia dla swego dawnego pana. Sade sprowadził z La Coste trochę mebli dla wyposażenia nowego apartamentu. Doszedł do wniosku, że nie zdoła utrzymać rodziny za mniej niż 10 000 liwrów rocznie, a więc zdecydowany był wypłacać Renacie-Pelagii tylko nadwyżkę dochodów, przekraczającą tę minimalną sumę. Pani de Sade oburzała się na niedotrzymanie umowy — znowu groziły spory i procesy z rodziną de Montreuil...

Ale markiz de Sade odzyskał już spokój wewnętrzny i zapał do pracy. Znowu pisał — i teraz mógł już marzyć o wydaniu swoich dzieł drukiem. Szykował powieść Alina i Valcour, którą zamierzał ogłosić jawnie pod swoim nazwiskiem. Przerabiał komedie i tragedie, pisał nowele. Ale najwięcej pracy włożył w niewielką stosunkowo powieść, która miała przedstawić światu jego niezwykłą wizję natury ludzkiej i podstawowe zasady jego filozofii. Tego dzieła nie mógł jednak podpisać — musiało ukazać się anonimowo, rzekomo poza granicami Francji, gdzieś w Holandii, chociaż tłoczył je drukarz Girouard, w Paryżu przy ulicy du Bout-du-Monde.

12 czerwca 1791 roku Sade pisał do pana Reinaud: „Drukują właśnie moją powieść, ale zbyt niemoralną, by mogła być posłana człowiekowi równie mądrymu, równie pobożnemu i równie przyzwoitemu jak pan. Potrzebuję pieniędzy, drukarz domaga się ich z pijackim uporem, potrafiłby nawet diabłu życie zatruć. Będzie nosiła tytuł Justyna, czyli Nieszczęścia cnoty. Jeśli przypadkiem wpadnie panu w ręce, proszę ją spalić i nie czytać. Oficjalnie muszę się jej wyrzekać...”⁵².

Kurs asygnat w Paryżu obniżał się z tygodnia na tydzień. Brakowało żywności, szalała spekulacja. Sade

i pani Quesnet kładli się czasem spać bez obiadu i bez kolacji, oszukując głód jednym posiłkiem dziennie. Ale markiz czuł się szczęśliwy: po raz pierwszy w życiu trzymał w rękach swoją książkę, swoje dzieło wydrukowane i oprawione, a co najważniejsze — sprzedawane w licznych księgarniach i kupowane przez liczne rzesze czytelników...

IX. NIEZWYKŁE DZIEJE JUSTYNY CZYLI ŚWIAT OKRUCIEŃSTWEM OPĘTANY

Justyna czyli Nieszczęścia cnoty (Justine ou les Malheurs de la Vertu) opublikowana została w chwili, gdy sytuacja polityczna nie sprzyjała bynajmniej popularności dzieł beletrystycznych i filozoficznych, ale mimo to okazała się poważnym sukcesem

wydawniczym. W ciągu dziesięciu lat wyszło kolejno aż sześć edycji tej powieści — wszystkie anonimowe. Justyna była także recenzowana na łamach prasy, zresztą bardzo negatywnie — sprawozdawcy boleli nad „rozwiązłością imaginacji” autora, który ukazywał czytelnikom „ohydę libertynizmu” w zbyt jaskrawych barwach i nie wahał się rozprawiać o praktykach obyczajowych, które winny być przecież utajone i na światło dzienne nie wywlekane. Nie rozumiano oczywiście ani sensu moralno-filozoficznego Justyny, ani też istoty specyficznej wizji autora — Sade za życia nie doczeka się nigdy uznania, zawsze uważany będzie za deprawatora o wynaturzonej imaginacji, którego dzieła są społecznie szkodliwe; taka ocena jego twórczości utrzymała się zresztą w niektórych środowiskach aż do naszych czasów.

Pierwszą wersję Justyny napisał Sade jeszcze w Bas-tylii; była to opowieść filozoficzna pt. *Niedole cnoty* (*Les Infortunes de la Vertu*), nigdy za życia autora nie opublikowana; wydał ją dopiero z autografu Maurice Heine w roku 1930. *Niedole cnoty* Sade ukończył w lipcu 1787 roku, zamierzając włączyć tę opowieść do przygotowanego zbioru nowel i opowiadań. Po wznowieniu pracy literackiej w roku 1790 nie był jednak zadowolony z pierwszego szkicu na ten temat i całkowicie opowieść przerobił, znacznie powiększając jej rozmiary. Nie ulega wątpliwości, że Justyna z roku 1791 należy do najstarszych opracowanych utworów Sade’a, a cho-

ciaż autor raz jeszcze podjął ten sam wątek i ponownie rozszerzył go w *Nowej Justynie*, to wersja z roku 1791 po dziś dzień uważana jest za jedno z najcenniejszych dzieł markiza.

Akcja powieści dzieje się współcześnie i osadzona jest ściśle w realiach społecznych i obyczajowych Francji końca XVIII wieku. Znakomity badacz życia i twórczości Sade’a, Maurice Heine, ustalił nawet dokładne ramy chronologiczne utworu: akcja rozpoczyna się między rokiem 1773 a 1775 — kończy zaś śmiercią Justyny w czasie wielkiej burzy, która przeszła nad Francją dnia 13 lipca 1788 roku⁵⁸. W ciągu tych kilkunastu lat rozwijają się dzieje bohaterki, nieszczęśliwej dziewczyny, która nie rozumiejąc praw rządzących stosunkami społecznymi i naturą człowieka usiłuje za wszelką cenę realizować w życiu wskazania wiary i moralności chrześcijańskiej, przez co ściąga na swoją głowę coraz to większe nieszczęścia i staje się ofiarą przewrotnych zbrodniarzy, którzy nie potrafiąc jej zdeprawować, poniewierają przecież w najokrutniejszy sposób jej ciałem i duszą. Najlepsze intencje Justyny obracają się na jej niekorzyść; dziewczyna nie jest zdolna do zbrodni i niegodziwości, przez całe życie musi więc być ofiarą... Ale mimo wszystkich swoich nieszczęść Justyna nie słabnie w wierze i determinacji ocalenia cnoty; naiwna i prostoduszna, z przerażeniem obserwuje praktyki libertynów, zdumiewa się i gorszy ich poglądami filozoficznymi i cynicznymi zasadami moralnymi. Powieść Sade’a miała być rzekomo dziełem kompromitującym libertynizm — autor starał się przynajmniej stworzyć takie wrażenie, przekonać czytelnika, że jedynym jego celem jest ukazanie całej niegodziwości libertyńskich zasad i praktyk, obnażenie zła pleniącego się powszechnie mimo pozornej dominacji moralności chrześcijańskiej. Justyna z roku 1791 kończyła się jeszcze *pointe’ą* moralizatorską — pośmiertnym triumfem bohaterki, która dzięki swojej niezłomnej wierze w cnotę nawraca w końcu na drogę pokuty niegodziwą siostrę, Juliettę de Lorsange.

Cofnijmy się więc do roku 1773... W Paryżu zmarł właśnie pewien bogaty niegdyś, ale kompletnie już zbankrutowany finansista, osierocając dwie córki: 12-letnią Justynę i 15-letnią Juliettę. Matka obu dziewcząt umiera w miesiąc po zgonie męża; obie panny, wychowywane dotąd w klasztorze, otoczone dostatkiem i najstaranniejszą opieką, popadają w nędzę. Skoro zabrakło rodziców, hojnie opłacających edukację w klasztorze, zakonnice nie mają zamiaru troszczyć się dalej o wychowanie dwóch sierot. Julietta i Justyna wygnane zostają z klasztoru i pozostawione własnemu losowi.

Różnią się zasadniczo temperamentem i usposobieniem: Julietta jest żywa, inteligentna,

przewrotna, namiętna, wolna od wszelkich skrupułów; Justyna za to cicha, spokojna, wrażliwa i trwożliwa, pełna bojaźni bożej i wiary w cnotę jako największe dobro moralne i zasadniczy obowiązek kobiety. Toteż drogi obu sióstr szybko się rozchodzą; Julietta obiera karierę luksusowej kurtyzany, gotowa na wszystko, byle tylko osiągnąć bogactwo i powodzenie w życiu, byle nasycić zmysły i przeżyć wszelkie rodzaje rozkoszy; Justyna postanawia prowadzić życie pobożne i skromne, ufna w opiekę Opatrzności nad każdą sierotą, w życzliwość ludzką i pomoc wszystkich, do których zwróci się z prośbą w swojej ciężkiej doli... Julietta oddała się więc w ręce ustosunkowanej stręczycielki, pani Duvergier, Justyna wynajęła zaś za resztę pieniędzy mały pokój na piątym piętrze i oczekiwać poczęła zmiłowania losu.

Siostry rozstały się i utraciły wszelki kontakt. Minęły lata. Julietta — prowadząca życie rozpustne i zbrodnicze — zdobyła najwyższą pozycję społeczną, fortunę i uznanie. Mając 20 lat poślubiła hrabiego de Lorange — i prędko postarała się o usunięcie go z tego świata. Nie wzdragając się przed żadną zbrodnią doszła w wieku trzydziestu lat do szczytu powodzenia; związała się nieco wcześniej z panem de Corville, 50-letnim libertynem z bogatą przeszłością, i odtąd razem z nim realizowała swoje występne pomysły. Dzieje Julietty przedstawił Sade skrótowo i pobieżnie, mieszcząc zaledwie na paru stronicach całą historię jej niezwykłego żywota; po kilku latach podejmie znowu ten temat — i stworzy wtedy wielką i okrutną opowieść o jej losach — Historię Julietty.

W czasie jednej ze wspólnych podróży pani de Lorange i pan de Corville zatrzymali się w oberży pod Lyonem. Właśnie przybył tam konwój policyjny, prowadzący jakąś zbrodniarkę — dziewczynę w wieku 26 czy 27 lat, piękną, ale nadzwyczaj zmizerowaną. Dzieje tej nieszczęśliwej zaciekały Juliettę i jej towarzysza. Uprosilili dowódcę konwoju, aby pozwolił uwięzionej posilić się przy ich stole, a potem zachęcili biedactwo do opowiedzenia swoich przygód. Dziewczyna zgodziła się zwierzyć im ze swoich strasznych doświadczeń, pod warunkiem, że zatai swe imię i nazwisko, aby nie hańbić rodziny, kiedyś cieszącej się w Paryżu zaszczytną sławą...

Uwięzioną dziewczyną jest oczywiście Justyna, ale Julietta rozpozna siostrę dopiero pod koniec opowieści. Przez całą noc słuchać będzie historii życia nieszczęśliwej więźniarki, która przedstawiła się słuchaczom pod imieniem Teresy...

Dwa lata przeżyła Justyna w Paryżu na piątym piętrze nędznej komienicy, żyjąc z kapitału stu talarów, otrzymanego po zmarłych rodzicach. Potem przyszła nędza — i początek prawdziwych niedoli. Próżno starała się o jakąkolwiek uczciwą pracę; bogaty mieszczanin Dubourg w zamian za nędzne wynagrodzenie nakłonił ją do poddania się bolesnym i upokarzającym praktykom libertyńskim, które uświadomiły ją o „wszecznościach”, z jakimi dziewczyna jej stanu i urody stykać się musiała na każdym kroku. Dostała się potem na służbę do lichwiarza paryskiego, du Harpin'a; ten postanowił wyzyskać naiwność dziewczyny i użyć jej do kradzieży u sąsiada kolekcji cennych klejnotów. Skoro jednak Justyna nie uległa kuszeniom lichwiarza, spotkała ją perfidna zemsta: du Harpin podrzucił jej brylant i oskarżył o kradzież! Musiała więc zapoznać się z nowym nieszczęściem: królewskim wymiarem sprawiedliwości.

„Proces nieszczęśliwej, która nie ma ani poparcia, ani protekcji, szybko odbywa się w kraju, gdzie według powszechnego mniemania cnota nie idzie w parze z nędzą, gdzie niedola jest wystarczającym dowodem przeciwko oskarżonemu. niesprawiedliwe uprzedzenia każą tu wierzyć, iż ten jest winien zbrodni, kto wydaje się zdolny do jej popełnienia. Stan oskarżonego decyduje o powszechnych wobec niego uczuciach; a skoro za niewinnością jego nie przemawiają ani pieniądze, ani tytuły, udowodnione jest tym samym, iż nie może być niewinny”. — Taką refleksję włożył Sade w usta swojej bohaterki, dodając w przypisie: — „Czasy, które

nadejdą, z pewnością nie będą już oglądały tego bezmiaru okropności i niesławy!”⁶⁴

Sprawiedliwość epoki „ancien régime’u” była bezlitosna dla nędzarzy; skazana na śmierć Justyna oczekiwała wyprowadzenia na szafot w więzieniu La Conciergerie. Z pomocą przychodzi jej przypadek; doświadczona zbrodniarka Dubois organizuje wśród więźniów spisek, wzniesia w La Conciergerie pożar i korzystając z zamieszania ucieka razem z Justyną.

40-letnia przestępczyni Dubois jest charakterystycznym płodem epoki, która wymierzała sprawiedliwość tylko uprzywilejowanym. Szydzi z naiwnej wiary Justyny w Opatrzność i boską sprawiedliwość. „Oto absurdalne poglądy, które zaprowadzą cię wkrótce do przytułku — tłumaczy dziewczynie. — Radzę ci porzucić wiarę w sprawiedliwość Boga, w kary i nagrody niebios. Wszystkie te nonsensy nie są warte, aby skazywać się dla nich na śmierć głodową. Tereso! nieczu-łość bogaczy usprawiedliwia złą konduktę ubogich! Gdyby sakiewki ich otwierały się dla naszych potrzeb, gdyby ludzkość panowała w ich sercach, wówczas moglibyśmy przekonać się do cnoty; skoro jednak nasza cierpliwość w znoszeniu niedoli, nasza wiara i pokora przyczyniają się tylko do podwojenia ciężaru naszych kajdan, wszystkie nasze zbrodnie są dziełem bogaczy, a bylibyśmy głupcami wyrzekając się ich, kiedy one jedynie mogą umniejszyć wagę jarzma, które wkłada nam na szyję okrucieństwo uprzywilejowanych. Natura stworzyła nas wszystkich równymi. Jeżeli zaś podobało się losowi zburzyć ten pierwotny układ praw społecznych, jest naszym zadaniem ukrócić jego kaprysy i naprawić skutki uzurpacji silniejszych [...] Dlaczego więc, Tereso, my, skazani przez tę ponurą Opatrzność, z której uczyniłaś sobie, szalona, swe bóstwo, na czołganie się w upokorzeniu jak wąż w trawie, my, na których patrzy się z pogardą, ponieważ jesteśmy słabi, których wargi zwilża się żółcią a drogi wyściela

cierniami, mielibyśmy wystrzegać się zbrodni, skoro ona tylko otwiera nam bramę życia, chroni nas, umacnia, broni przed zagładą? Chcesz, abyśmy na zawsze złamani i poniżeni zachowali dla siebie jeno troski, bóle

i udręczenia, tylko głód i łzy, tylko męczarnie i szafoty, podczas gdy klasa, która nad nami panuje, cieszy się wszelkimi łaskami fortuny? O nie, Tereso! albo ta Opatrzność, o której marzysz, zasługuje tylko na naszą pogardę, albo stan taki nie może być zgodny z jej wolą!”

„Jeżeli kiedykolwiek byłam u progu porzucenia swych zasad — wyznaje Justyna — to skutek uwodzicielskich perswazji tej sprytniej kobiety. Ale w sercu moim głos silniejszy od niej zwalczył te sofizmaty; uległam mu i oświadczyłam pani Dubois, że postanowiłam nie dać się nigdy zdeprawować...” Ten irracjonalny głos serca przez całe życie Justyny będzie jedynym jej oparciem; Sade doprowadzi do absurdu i obiektywnie ośmieszy postawę swojej bohaterki: wszystkie racje i argumenty zwróci przeciwko niej — jako jedyny oręż da jej tylko „głos sumienia”, „natchnienie niebios” — którym Justyna wierzyć będzie naiwnie i bezkrytycznie aż do ostatniej chwili życia...

Razem z Dubois Justyna dostaje się do bandy grasującej na traktach, a dowodzonej przez herszta zwanego „Żelazne Serce” (Coeur-de-Fer). Młoda i urodziwa dziewczyna staje się Obiektem pożądania rozbójników; ratuje co prawda swoje dziewictwo, zastąpiona przez chętną Dubois, ale musi podniecać chucie czterech drabów widokiem i dotykiem swego nagiego ciała. Towarzystwo zdegenerowanych bandytów jest dla Justyny źródłem stałego udręczenia moralnego i fizycznego. Pewnego dnia jest świadkiem napadu na podróżnych i trzech morderstw. Łup jest niewielki, nie więcej niż dwieście ludwików, nawet bandyci zastanawiają się, czy tak nędzna zdobycz warta jest życia trzech ofiar. Dubois odpowiada im interesującym wywodem o nieuchronności morderstw w świecie, gdzie prawa karzą kradzież i rabunek na równi z zabójstwem — wyłącznie śmiercią... Czyż warto zresztą porównywać łup z rozmiarami zbrodni, którą został okupiony? Najmniejsza nasza korzyść jest — zdaniem Dubois — bez porów

nania więcej warta niż największe nawet cierpienie czy krzywda innych. „Nie ma żadnej proporcji między tym, co dotyka nas, a tym, co dotyka innych. Pierwsze poznamy

fizycznie, drugie odnosi się do nas tylko moralnie, a doznania moralne są zawsze zwodnicze; nie ma prawdy poza wrażeniami fizycznymi...” 1 Teoria absolutnego egoizmu przeraża Justynę; usiłuje przekonać zbrodniarkę, iż społeczeństwo nie może tolerować takiej postawy, że solidarność międzyludzka jest konieczna, bez uczciwości, bez cnoty społeczeństwo nie mogłoby egzystować ani przez chwilę... A przecież bynajmniej nie cnota utrzymuje w jedności ten na przykład przestępczy związek — odpowiada Justynie |Żelazne Serce”. — Jedyne egoizm, konieczność zabezpieczenia w grupie własnych interesów osobistych skłania ludzi do współdziałania z innymi. „To, co nazywa się interesem społecznym, jest tylko połączeniem interesów indywidualnych”. Kto zaś nie ma żadnych praw, nie ma i obowiązków wobec społeczeństwa. W takich wypadkach obowiązuje człowieka zasada indywidualizmu aspołecznego. „Ależ powstanie w ten sposób, odpowiesz mi, stan wiecznej wojny! Dobrze, niech tak będzie, to jest przecież stan naturalny, jedyny, który w pełni nam dogadza. Ludzie rodzą się osamotnieni, zawistni, okrutni i despotyczni; wszystko chcą mieć i z niczego nie zrezygnować; walczą nieustannie o realizację swoich ambicji czy swoich praw. Przychodzi w końcu prawodawca i mówi: zaprzestańcie tej walki; jeżeli wzajemnie poprosze sobie ustąpić, zapanuje wreszcie spokój. Nie kwestionuję w zasadzie sensu takiej umowy, ale utrzymuję, że są dwa rodzaje istot, które nie mogą się jej poddać. Ci, którzy czują się najsilniejsi, nie potrzebują dla swego szczęścia z niczego ustępować; ci zaś, którzy czują się najsłabsi, straciliby na takiej ugodzie nieskończenie więcej niż w zamian zyskali. Wszelako społeczeństwo składa się wyłącznie z istot słabych i istot silnych; jeżeli więc umowa społeczna nie dogadza i silnym, i słabym, trzeba uznać, że nie dogadza społeczeństwu; stan wojny, który przedtem istniał, jest nieskończenie użyteczniejszy, gdyż pozwala każdemu na swobodne korzystanie ze swoich sił i swojej przemyślności, czego pozbawiła nas niesprawiedliwa umowa społeczna, jednym zbyt wiele odbierająca, a innym niczego w rzeczy samej nie przyznająca. Istotą rozsądną jest więc jedynie ta, która decydując się na wznowienie stanu powszechnej wojny, jaki istniał przed umową społeczną, zwraca się nieodwołalnie przeciwko tej umowie, gwałci ją, ile tylko zdoła, w przekonaniu, że cokolwiek osiągnie dzięki tym aktom zbrodni, przeważy to zawsze nad ewentualnymi jej stratami. Należałem do słabych, gdy respektowałem umowę społeczną; gwałcąc ją mogę stać się silnym. A jeśli prawa zmuszą mnie do powrotu do stanu, który chciałem porzucić, najgorszą ewentualnością będzie utrata życia, co jest nieszczęściem nieskończenie mniejszym niż dalsza egzystencja w nędzy i uciemieniu. Mamy więc przed sobą dwie tylko możliwości: powodzenie w zbrodni, które uczyni nas szczęśliwymi, albo szafot, który położy kres naszym nieszczęściom. Czyż można się wahać?...” 57

Zdruzgotana Justyna przywołuje ostatni swój argument: wiarę w Boga, która istotom skrzywdzonym pozwala ufać, iż uciśnieni otrzymają kiedyś nagrodę, a występni poniosą karę. „Któż nas pomści, jeśli nie Bóg?” „Któż, Tereso? — odpowiada „Żelazne Serce”. — Nikt, z pewnością nikt! Nie jest wcale konieczne, aby niedola była pomszczona i wynagrodzona. Człowiek uciemiony wierzy w to, ponieważ chce, aby tak się stało, nadzieja ta pociesza go, ale nie jest przez to mniej bezzasadna. Co więcej, potrzebne jest, aby nieszczęśliwy cierpiał; jego ból i upokorzenie należą do praw Natury; byt jego jest równie konieczny dla realizacji jej celów, jak egzystencja istoty szczęśliwej, która go unicestwia. Ta właśnie prawda winna stłumić wyrzuty sumienia w duszy tyrana czy złoicy. Nie musi się powściągać, winien dopuszczać się śmiało wszystkich czynów, których idee w nim się rodzą, gdyż podsuwa mu je wyłącznie głos Natury; w ten jeno sposób czyni nas ona wykonawcami swoich praw. Jeżeli te tajemne inspiracje wiodą nas do zła, widocznie zło jest Naturze niezbędne, widocznie pragnie ona zła i od nas go wymaga...” „Żelazne Serce” wyklada Justynie swój światopogląd: religie zrodziły się w zamierzonych czasach,

gdy ludzie nie potrafili wytłumaczyć sobie zjawisk świata w kategoriach przyrodzonych i naturalnych. „Nie ma Boga, gdyż Natura wystarcza sobie samej: nie potrzebuje ona żadnego stwórcy; ten domniemany stwórca jest tylko pojęciem złożonym z jej własnych przyrodzonych sił, jest czymś w rodzaju szkolnego *petitio principis*. Pojęcie Boga zakłada moment stworzenia, czyli chwilę, w której niczego jeszcze nie było albo wszystko było w stanie chaosu. Jeżeli jeden z przeciwstawnych stanów egzystencji był złem, czemu twój Bóg pozwolił mu trwać? Jeżeli był dobrem, czemuż go zmienił? Jeśli wszystko jest teraz dobrem, twój Bóg nie ma nic do czynienia; jeśli jest bezużyteczny, czyż może być wszechmocny? a jeśli nie jest wszechmocny? czyż może być Bogiem? Jeżeli Natura porusza się sama, czemu ma służyć pierwszy motor? Jeżeli ten motor działa przez materię, jakżeż może sam nie być materią? Czy możesz pojąć działanie ducha na materię i materię poruszaną siłą ducha, który sam nie ma w sobie żadnej fizycznej energii?...”⁵⁸

Podobne argumenty usłyszy Justyna wiele jeszcze razy w czasie swoich niefortunnych przygód, ale nie osłabiają one bynajmniej jej gorącej wiary. Dziewczyna uchodzi potajemnie z obozu bandytów w towarzystwie młodego kupca z Lyonu, Saint-Florent*a, któremu ocalała życie, gdy schwytywany przez bandę na trakcie miał już ponieść śmierć z rozkazu herszta. Po raz pierwszy doświadcza tutaj kolei losu, które będą odtąd stałym jej udziałem: człowiek, który zawdzięczał jej ocalenie, okazał się niewdzięcznikiem i łotrem; w lesie ogłuszył dziewczynę, obrabował i zgwałcił, po czym zbiegł, zostawiając swoją ofiarę skrwawioną i nieprzytomną.

Justyna znalazła jednak schronienie w zamku pewnej markizy, dokąd zaprowadził ją młody hrabia de Bressac, homoseksualista o masochistycznych upodobaniach, zresztą cyniczny łotr zdolny do wszelkich zbrodni, po pierwszych wybrykach ukrywający jednak przed dziewczyną swoje prawdziwe zamiary. Justyna spędziła w zamku markizy aż cztery lata, otoczona serdeczną opieką tej damy i gnębiona jedynie dysputami z Bressac’iem, który nie krył się bynajmniej ze swoimi inwersyjnymi upodobaniami, otwarcie i entuzjastycznie pochwalał homoseksualizm, a jednocześnie dowodził Justynie, że jej wiara jest po prostu nonsensownym przesądem.

Jeżeli „Żelazne Serce” był ateistą-racjonalistą, to Bressac jest typem bezbożnika-bluzniercy; z niesłychanym napięciem emocjonalnym atakuje w czasie rozmów z Justyną wiarę chrześcijańską, z nienawiścią obrzuca obelgami postać Chrystusa, szydzi z wiary w przeistoczenie i komunię. Trywializuje do ostatecznych granic genezę chrześcijaństwa, demonstruje nie tylko zupełne wyzwolenie od religijnych „przesądów”, ale i pragnienie oderwania się od całej tradycji chrześcijańskiej. Justyna usiłuje przeciwstawić gwałtownym wypowiedziom hrabiego swoje niezdarne argumenty, ale nie jest oczywiście równorzędnym dla niego partnerem. Boleje niesłuchanie nad zdeprawowaniem Bressac’a, przekonana zresztą, iż jego wynaturzenie seksualne i upodobanie do Zbrodni wywodzi się bezpośrednio z przerażającego światopoglądu.

Dopiero po czterech latach Bressac ujawnił powód, dla którego umieścił dziewczynę w domu swojej ciotki. Postanowił mianowicie zgładzić markizę i żądał pomocy w tym zbrodniczym przedsięwzięciu. Usiłując uspokoić przerażoną Justynę dowodził jej, że lęk przed zabójstwem, przed zniszczeniem życia, jest w rzeczy samej bezzasadny. Człowiek nie może zniszczyć jakiegoś bytu, może tylko przekształcić formę jego egzystencji. Dla Natury nie ma zaś żadnego znaczenia organizacja jakiejś drobnej i niewiele znaczącej ilości materii. Cóż znaczy dla Natury, że jakaś dwunoga istota zniknie, a potem odrodzi się w postaci tysiąca drobnych organizmów? Materia pozostanie nie zniszczona. Wobec Natury człowiek nie jest bytem szczególnie ważnym; zniszczenie go nie ma więc żadnego znaczenia, nie zmienia przecież biegu życia w przyrodzie. Gdyby mord był przeciwny Naturze, byłby po prostu obiektywnie niemożliwy, fizycznie nieosiągalny...

Próżno Justyna starała się zmienić postanowienie Bressac’a, apelując do jego serca i

uczuciu, dowodząc, że po udanej nawet zbrodni nie będzie mógł cieszyć się jej owocami z powodu wyrzutów sumienia. Nic nie było w stanie zachwiać determinacją zbrodniarza. Aby zyskać możliwość działania Justyna udała więc zgodę na współdziałanie w truicielstwie, ale ujawniła spisek markizie, ta zaś zażądała od ministra lettre de cechet dla swego niepoczytalnego siostrzeńca. Cnotliwa zdrayczydni nie uniknęła jednak zemsty. Bressac wyprowadził ją do lasu, poddał okrutnej torturze (przywiązana nago do drzewa atakowana była kilkanaście minut przez rozszalałe psy), potem wygnał ją ostrzegając, aby nie ważyła się wracać do zamku markizy...

Zmaltretowana i poraniona dziewczyna powlokła się przed siebie. Dotarła wreszcie do miasteczka Saint-Mar- cel, leżącego o pięć mil od Paryża. Tutaj opatrzył ją miejscowy chirurg, Rodin; znalazła w jego domu opiekę i schronienie. Musiała się ukrywać: z zamku markizy otrzymała wiadomość, że ciotka Bressac'a zmarła w konwulsjach w dniu jej ucieczki, a wszyscy domownicy właśnie w zbiegłej pokojówce dopatrywali się morderczyni!

Rodin, mężczyzna 40-letni, postawny i bogaty, miał uroczą 14-letnią córkę Rozalię. Był wdowcem, dom prowadziły mu dwie służące, ładne wiejskie dziewczyny. Lekarz utrzymywał w miasteczku pensjonat dla młodzieży, w którym przebywało około trzydziestu chłopców i dziewcząt w wieku od 12 do 16 lat, z reguły wybitnej urody. W szkole Rodina uczniowie otrzymywali bardzo staranną edukację, wszystkie przedmioty wykładał zresztą sam „dyrektor”. Dzięki przyjaźni | Rozalię Justyna odkryła prędko tajemnicę szkoły: Rodin lubuje się w wymierzaniu uczennicom kar cielesnych, za najmniejsze uchybienia czy zaniedbania karze je osobiście bolesną chłostą. Dziewczyna wielokrotnie przygląda się z ukrycia scenom flagellacji, widzi przerażenie, upokorzenie i cierpienie uczniów i uczennic Rodina, niesamowitą ekscytację pedagoga. Lekarz nie oszczędza również własnej córki, Rozalia wyznaje Justynie, że była wiele razy ofiarą ojca, podobnie jak dwie wiejskie służące, które dobrowolnie zresztą poddają się częstym biczowaniom.

Rodin okazuje się libertynem i materialistą, cnotę i uczciwość uważa za czcze chimery. „W społeczeństwie kompletnie występny — powiada — cnota nie przydaje się na nic”. Pojęcie cnoty jest zresztą całkowicie relatywne, moralność jest wytworem konkretnych warunków społecznych, nie ma w rzeczywistości dwóch społeczeństw, które wyznawałyby tę samą moralność. Ze względów czysto praktycznych wypada przyjąć moralność i obyczaje społeczeństwa, w którym się żyje, ale nie należy otaczać cnoty jakimś kultem. Natomiast nie cnota, ale występki muszą być uznane za obowiązującą w całym świecie zasadę życia; cnota wypierana jest przez występki (jak dobra moneta przez złą), więc ktoś upierający się przy zasadach cnoty i uczciwości z góry nastawia się na klęskę i unieszczęśliwienie. Pojęcie dobra i zła jest zresztą zupełnie względne. „Założmy — powiada Rodin — że istnieje społeczeństwo, w którym postanowiono, że kazirodztwo (traktując ten występki na równi z jakimkolwiek innym) uznawane będzie za zbrodnię. Ktokolwiek się więc go dopuści, ściąga na swoją głowę nieszczęście, gdyż opinia publiczna, prawo, religia, wszystko razem zdławi jego rozkosze. A więc i ci, którzy staną się winnymi owego występku, i ci, którzy powstrzymani przeszkodami cofną się przed nim, będą równie nieszczęśliwi. W ten sposób prawa zakazujące kazirodztwa płodzą same nieszczęścia. Natomiast w sąsiednim kraju kazirodztwo nie uchodzi za zbrodnię — a więc i ci, którzy doń nie dążą, nie stają się tam nieszczęśliwymi, i ci, którzy doń się skłaniają, zyskać mogą szczęście”. Rodin przekonuje Justynę, że im mniej jest norm i zakazów regulujących życie, tym większa jest suma społecznego szczęścia. A co do cnoty i moralności, to zawsze pamiętać należy, że „jest to sprawa wyłącznie okoliczności i umowy”⁶⁹.

Justyna, przerażona „piekielną logiką” lekarza, stara się chociaż ocalić cnotę i duszę Rozalii; dowiaduje się jednak, że Rodin postanowił razem ze swym przyjacielem, panem Rombeau, poddać córkę wiwisekcji dla przeprowadzenia specjalnych badań anatomicznych. Próbuje razem z nią uciekać, zostają jednak schwytane; Justyna zdoła wyblagać życie, ale

odejdzie z domu straszego chirurga napiętnowana rozpalonym żelazem.

Znowu wędruje traktem, tym razem na pcdudnie, pocieszając się w duchu: „pozostała mi przynajmniej niewinność” (bowiem gwałtu sprzed pięciu lat, którego do puścił się na niej Saint-Florent, właściwie nie powinno się liczyć). W pobliżu Auxerre dostrzeżga wieże i dachy klasztoru ojców benedyktynów — jest to słynny w całej okolicy z pobożności i ascezy zakonników monaster pod wezwaniem Panny Marii Leśnej (Sainte-Marie des Bois). Postanawia szukać tam schronienia, odbyć spowiedź i pokutę... Było to dnia 7 sierpnia 1783 roku — Justyna nie przeczuwała, że dzieó ten stanie się początkiem nowej serii jeszcze straszniejszych jej nieszczęść!

Wizja klasztoru Panny Marii Leśnej należy do najbardziej dramatycznych kart w całej twórczości Sade’a. Pustelnia, zamieszкана przez czterech benedyktynów (przeora Dom Severino i ojców Antonina, Clémenta i Jerome’a), którzy codziennie demonstrują ludowi swoją gorliwą pobożność, pokorę i ubóstwo, okazuje się w rzeczywistości potworną jaskinią rozpusty, wynaturzenia i zbrodni. W głębi klasztoru kryją się sale i apartamenty, w których czterej zakonnicy — libertyni, bezbożnicy! i cyniczni oszuści — pędzą życie wygodne i luksusowe, korzystając z hojnych darów, jakimi obsypują klasztor wierni z całej okolicy. Do wnętrza klasztoru nie ma dostępu żaden ze zwykłych śmiertelników; ukrytych apartamentów nie widzieli również nigdy zakonni przełożeni — ojciec Severino korzysta ze specjalnych praw, jest bowiem kuzynem i protegowanym papieża. Mnisi oddają się przede wszystkim rozpuście, praktykują wszelkie perwersje seksualne, pociągą ich zwłaszcza algolagnia. W głębi klasztornych budynków trzymają pod ścisłą strażą swój niezwykły harem: gromadę kilkunastu dziewcząt i młodych kobiet, porwanych lub zwabionych do klasztoru i przemocą tutaj zatrzymanych, których zadaniem jest zaspokajanie wyrafinowanych potrzeb zmysłowych czterech libertynów w habitach. Prawie wszystkie te dziewczyny pochodzą ze znakomitych rodzin francuskich, sprowadzone zostały gwałtem lub podstępem w taki sposób, aby nikt spośród najbliższych nie domyślał się nawet ich losu, aby uchodziły za zaginione lub zmarłe. Rekrutacja do klasztoru musi być połączona z gwałtem lub łamaniem oporu, w oczach czterech libertynów nadaje to każdej ofierze specyficzny urok, dobrowolne zgłoszenia są bezwzględnie odrzucane. Dziewczęta poddane są surowej dyscyplinie, nigdy nie opuszczają klasztoru, okazywać muszą swoim władcom najwyższy szacunek i uległość, za każde uchybienie otrzymują surowe kary, najczęściej bolesną chłostę dyscypliną. Korzystają za to z wszelkich możliwych wygód, otoczone są przepychem, karmione obficie i wytwornie. Od czasu do czasu klasztor zwalnia jedną ze swoich niewolnic; taka „zreformowana” ofiara przepada jednak bez śladu i towarzyszki nie dowiadują się nigdy o jej losie. Ceremoniał orgii seksualnych, który Justyna (zwabiona do klasztoru wskutek swej naiwności

1 nieostrożności) poznaje z własnego doświadczenia i z opowiadań towarzyszek niedoli, jest niesłychanie wyrafinowany i wyuzdany. Codziennie niemal odbywają się w ukrytych apartamentach potworne zabawy czterech benedyktynów, połączone z kaźnią kobiet. Sa- de przedstawia praktyki i obyczaje mnichów z brutalnym realizmem szczegółów, jest to swoista panorama najrozmaitszych przejawów psychopatii seksualnej i perwersyjnych reakcji psycho-seksualnych. Okrucieństwo i rozwiążłość zakonników przechodzą wszelkie granice, czasami to już nie rozpusta, ale zgoła obłąkanie i stan permanentnej parestezji. Realizm szczegółów miesza się tutaj z fantastyką ogólnej koncepcji, wizja klasztoru wkracza w domenę swoistego surrealizmu, wydaje się zaczerpnięta z koszmarnego, nękającego snu. Zdegenerowani pustelnicy lubują się w-cier- pieniach swoich ofiar, w bluźnierstwach, w poniewieraniu tym wszystkim, co muszą czcić i otaczać kultem w czasie swoich sakralnych obowiązków i publicznych wystąpień na kościelnej ambonie.

„Widzisz tutaj, Tereso — mówił Dom Severino do przerażonej Justyny — twoje towarzyszki, które również chciały się z początku opierać i które skończyły na zupełnym

poddaniu się naszej woli, rozumiejąc, iż wszelki sprzeciw spowoduje tylko coraz gorsze ich traktowanie. Tereso, mówił przeor, ukazując mi dyscypliny, różgi, pęki trzciny, sznury i tysiące innych narzędzi kary, powinnaś to obejrzyć; oto czym traktujemy zbyt harde dziewczyny. Zastanów się, czy chciałabyś dopiero w ten sposób zostać przekonaną? Na co się zre

szta możesz tutaj powołać? Na sprawiedliwość? Nie znamy jej. Na ludzkość? Jedyńą naszą rozkoszą jest gwałcenie praw społeczeństwa. Na religię? Niczym jest dla nas, gardzimy nią tym bardziej, im lepiej ją znamy. Na krewnych, przyjaciół, sędziów? Nie masz ich tutaj, droga córko. Spotykasz tu jeno egoizm, okrucieństwo, rozpustę i najdoskonalszą bezbożność! Przeznaczeniem twoim jest więc całkowite posłuszeństwo i oddanie...”[∞].

Justyna staje się ofiarą wynaturzonych żądz czterech zakonników, poddawana jest razem z innymi kobietami bolesnym zabiegom. Pewnej nocy razem z 26-letnią Armandą, dziewczyną znacznie dłużej uwięzioną już w klasztorze, stara się zadowolić rozszalałego Clémenta. Przechodzi niesłychane udręczenia i upokorzenia; gdy jednak nasycony Clément nieco się uspokaja, Justyna ośmiela się wyrzucać mu tak przewrotne upodobania. Słyszy wtedy charakterystyczny wykład psychologii rozkoszy;

„Ludzie nie pojmują zazwyczaj — mówił występny mnich — że nie ma takich upodobań, choćby najdziwaczniejszych, choćby nawet zbrodniczych, które nie zależałyby od kompleksji, jaką obdarzyła nas Natura”.

— Upodobania seksualne — powiada Clément — są w pełni wrodzone i nie można przeciwstawiać się im w oparciu o konwenanse społeczne lub obyczajowe. — „Dziwne jest, powiadasz, że czyny odrażające i okrutne mogą wywoływać w naszych zmysłach pobudzenie niezbędne dla dopełnienia rozkoszy. Zamiast się zdumiewać, powinnaś jednak pojąć, droga Tereso, iż zjawiska nie mają w naszych oczach innej wartości, jak tylko tę, którą nadaje im nasza imaginacja. Zgodnie z tą zasadą jest więc całkiem możliwe, że mogą nas niezwykle pobudzać praktyki nie tylko bardzo dziwaczne, ale nawet najniegodziwsze i najbardziej przerażające. Wyobraźnia jest tą władzą umysłu ludzkiego, dzięki której zarysowują się i kształtują uchwycone przez zmysły zjawiska i formują się myśli w oparciu o ich pierwotne spostrzeżenia. Skoro jednak wyobraźnia ta jest sama zależna od całokształtu organizacji istoty ludzkiej, ujmuje ona przedmioty i tworzy myśli jedynie według właściwych sobie reakcji, wywołanych naciskiem zjawisk.

Może przykład ułatwi ci zrozumienie tego, co chcę wyrazić. Czyż nie widziałaś, Tereso, lusterek rozmaitych kształtów, z których jedne pomniejszają przedmioty, inne je powiększają, jeszcze inne czynią je obrzydliwymi lub dodają im wdzięku? Czy nie sądzisz, że gdyby każde z tych lusterek posiadało świadomość, to tworzyłyby one z twarzy przeglądającego się człowieka za każdym razem odmienny obraz, a portret taki byłby zawsze ukształtowany zgodnie ze sposobem postrzegania podmiotu? Gdyby zaś do zdolności, którą przypisaliśmy owym lustrom, dołączyć jeszcze wrażliwość, to czyż dla człowieka postrzeganego w ten lub inny sposób nie żywiłyby one sentymentu zgodnego ze sposobem widzenia? Lustro, które widziałyby go pięknym, kochałyby go; to, które ujrzałyby człowieka ohydny, nienawidziłyby — a przecież byłyby to zawsze ten sam człowiek”. — Przyjemność zmysłowa zależy od świadomości; wrażenie tego samego zjawiska może być zupełnie różne u różnych indywidualności, zależnie od wrodzonych cech ich organizmu. A jeżeli chodzi o problemy seksu, to przecież „nie ma powodu sądzić, że fantazje łoża są bardziej dziwaczne niż, na przykład, fantazje kulinarne”. „Jeżeli więc istnieją na świecie ludzie, których gusty wstrząsają upowszechnionymi przesądami, nie tylko nie należy im się dziwić ani ich karać, ale trzeba im pomóc, trzeba ich zadowolić, unicestwić przeszkody, które ich dręczą i dać im, w imię sprawiedliwości, możliwość pełnej satysfakcji bez ryzyka”.

— Upodobanie seksualne jest niezależnie od woli człowieka — dowodzi mnich — jest w pełni wrodzone. — „Wychowanie to daremny trud, niczego nie zmieni; człowiek, który ma

zostać zbrodniarzem, stanie się nim na pewno, jakkolwiek doskonale byłoby wychowanie, które otrzymuje, podobnie jak dojdzie do cnoty każdy, kogo organizm skłania do dobra, choćby nie wiem jak był zaniedbany przez swego wychowawcę”. — Clément namiętnie potępia społeczeństwo, które prześladuje i unieszczęśliwia ludzi o specyficznych upodobaniach seksualnych. — „Jest to najgłupsza i najbardziej barbarzyńska nietolerancja, z jaką może spotkać się taki człowiek. Nie jest on występny, jakiegokolwiek bądź byłyby jego zblądzenia, podobnie jak nie jest przestępcą ktoś, kto urodził się ślepy albo chromy!”. — Człowiek obdarzony szczególnymi gustami jest właściwie człowiekiem chorym (ciekawa to koncepcja, świadcząca, iż Sade chciał uwolnić ludzi o perwersyjnych upodobaniach przynajmniej od kryminalnych prześladowań, chroniąc ich statusem choroby) — a więc nie może być moralnie potępiony. Gdy wiedza medyczna poczyni większe postępy, stanie się możliwe wykazanie bezpośredniej zależności upodobań seksualnych od wrodzonej struktury organizmu. „Pedanci, kaci, dozorczy więzień, prawodawcy, łotry w tonsurach! Co wówczas poczniecie? W co się obrócą wasze prawa, wasza moralność, wasza religia, wasze szubienice, wasz raj, wasz Bóg, wasze piekło — gdy dowiedzione zostanie, iż taki czy inny obieg płynów, dany rodzaj tkanki, odpowiedni stopień zanieczyszczenia krwi wystarcza, aby uczynić człowieka obiektem waszych kar lub waszych pochwał!”

Clément wyznaje doktrynę egoizmu jako zasadę satysfakcji seksualnej. „Sofizmatem nie do obrony jest twierdzenie niektórych — powiada — że dla kulminacji rozkoszy konieczne jest, aby podzielała ją również kobieta. Jest oczywiste, że kobieta nie może dzielić z nami tych wrażeń, nie odzierając nas z przeżyć; że wszystko, czego w tym zakresie doświadcza, dzieje się naszym kosztem. A zresztą, pytam, z jakiego powodu miałyby być niezbędne, aby kobieta dzieliła z nami rozkosz? [...] Kochać, to zupełnie co innego, niż przeżywać rozkosz. Dowodem tego jest fakt, że kochać można długo nie osiągając rozkoszy, a jeszcze częściej zdarza się rozkosz bez miłości. Gdy w czasie rozkoszy przyplącze się mazgajstwo, zaspokojenie kobiety rodzi się na koszt mężczyzny, a skoro ów stara się przysporzyć jej przyjemności, z pewnością sam jej nie dozna lub radość jego będzie czysto intelektualna, a więc chimeryczna i o tyleż niższa od zmysłowej! Nie, Tereso, nie przestanę powtarzać, że rozkosz nie musi być bynajmniej przez nikogo podzielana, aby była realna. A ponadto (aby nadać tym przeżyciom tyle pikanterii, ile tylko może się w nich zamknąć) pamiętać należy, iż mężczyzna może doznawać rozkoszy tylko kosztem kobiety, że czerpie z niej (bez względu na jej doznania) to wszystko, co przyczynić się może do wzmożenia jego rozkoszy, nie bacząc na skutki, jakie może to mieć dla niej, gdyż względy takie niechybnie by mu przeszkadzały... Jeśli egoizm jest pierwszym prawem Natury, to owa boska Matka nasza żąda, abyśmy stosowali tę zasadę przede wszystkim w uciechach lubieżny eh”.

W usta Clémenta włożył Sade znamiennej wypowiedź na temat okrucieństwa jako najistotniejszej zasady seksualizmu. „Więcej powiem, poszukiwanie rozkoszy może prowadzić do zadawania bólu, do dręczenia, do karania, a skutkiem tego będzie jedynie wzmożenie przyjemności despoty, który zadaje cierpienie. Spróbujmy to udowodnić. Wrażenie rozkoszy powstaje w naszej duszy albo wskutek wibracji wprowadzonej do naszych zmysłów przez wyobraźnię, rozpaloną wspomnieniem rozkosznego przedmiotu, albo też przez podrażnienie zmysłów najbardziej nam odpowiadającym zachowaniem tegoż obiektu. Tak więc nasza żądza, owe nieokreślone podrażnienie, które nas ogarnia i wznosi do kulminacji szczęścia, najwyższej, jaką może osiągnąć człowiek, rozpala się z dwóch tylko powodów: albo wtedy, gdy dostrzegamy, realnie lub imaginacyjnie, w przedmiocie, który nam służy, najbardziej dla nas pożądany rodzaj piękna — albo wówczas, gdy widzimy, że obiekt ów przeżywa możliwie najsilniejsze wrażenia. Nie ma wrażenia mocniejszego nad ból; doznania bólu są głębokie, nie łudzą tak jak wrażenia przyjemności, zazwyczaj doznawane,

ale najczęściej nie przeżywane przez kobiety. Ani miłość własna, ani młodość, siła, zdrowie nie wystarczają, aby wywołać u kobiety owo wątliwe i ulotne wrażenie przyjemności. Natomiast wrażenie bólu nie wymaga specjalnych starań; im więcej braków cielesnych przedstawia sobą mężczyzna, im jest starszy, im mniej zdolny się podobać, tym łatwiej osiąga ten cel. Co do celu, to istotę jego zrozumiemy najlepiej uświadamiając sobie, że to właśnie najbardziej podnieca i podrażnia nasze zmysły, co daje narzędziu naszej rozkoszy możliwie najsilniejsze wrażenie, jakiegokolwiek bądź rodzaju. Kto więc wywoła u kobiety wrażenie najbardziej wstrząsające, bulwersujące całe jej jestestwo, niewątpliwie zapewni sobie największą dozę rozkoszy. Albowiem wstrząs, jaki doznamy obserwując przeżycia kobiety, będzie niewątpliwie żywszy, jeżeli przeżycia jej będą okrutne, niż gdyby były łagodne lub miłe. Tak więc egoistyczny rozpustnik, który wie, że rozkosze jego będą dopiero wówczas głębokie, gdy obejmą całą gamę przeżyć, zadaje służącemu sobie obiektowi (skoro tylko stanie się jego panem) możliwie najsilniejszą dozę bólu, w przekonaniu, że rozkosz swoją czerpać będzie w proporcji do spowodowanych przez siebie wrażeń ofiary...” \

Justyna jest przerażona straszliwymi teoriami zakonnika. Przecież prowadzić to musi „do okrutnych upodobań, do strasznych gustów!” — I cóż z tego — odpowiada spokojnie mnich. — „Gdyby upodobania nasze obrażały Naturę, Natura nigdy by ich nam nie wszczepiła. Niepodobna, byśmy otrzymali od niej instynkt zdolny się jej przeciwstawić; w tym przekonaniu możemy oddawać się namiętnościom wszelkiego rodzaju, wszelkim gwałtom, pewni, że cokolwiek niedogodnego czy wstrząsającego można w tym znaleźć, wszystko są to jeno działania Natury, której jesteśmy bezwolnymi narzędziami”. — Człowiek — dowodzi Clément — jest częścią Natury i jest przez Naturę całkowicie zdeterminowany. Cokolwiek więc czyni, jest moralnie niewinny i nie może być oskarżany. System miłości bliźniego wywodzi się z chimerycznej doktryny chrześcijaństwa, a nie z prawa Natury. Filozof widzi w świecie przede wszystkim siebie i do siebie wszystko odnosi. Jeżeli komuś innemu sprawia swym postępowaniem jakąś przyjemność, to w zamiarze wyciągnięcia stąd własnej korzyści. Jeżeli może osiągnąć swą rozkosz kosztem innych, czyni to bez wahania.

„Ależ człowiek, o którym mówisz — woła Justyna — to monstrum!”

„Człowiek, o którym mówię, jest człowiekiem Natury!”

„Och! Bez względu na twe argumenty, mój ojczy, nigdy nie pogodzę się z tą niszczycielską lubieżnością!” „Ponieważ sama obawiasz się zostać jej ofiarą, na tym polega twój egoizm...”

A dalej niesamowity zakonnik przedstawia dzieviczynie wizję Natury: „Wilki pożerające jagnięta, owce rozdierane przez dzikie zwierzęta; silny, który poświęca słabego, słaby, który staje się ofiarą przemocy — oto Natura, oto jej postać, oto jej zasady! Odwieczna akcja i reakcja, zmieszanie cnót i występków, słowem doskonała równowaga wywodząca się z równowartości .dobra i zła na tej ziemi; równowaga niezbędna dla utrzymania świata, dla wegetacji życia, bez której wszystko zostałoby unicestwione w jednej chwili. Tereso, jakże zdumioną byłaby Natura, gdyby nagle mogła wdać się z nami w dysputę *i dowiedziała się, że czyny, których wymaga i do których nas pobudza, karane są przez prawa, o których znowu powiada się, że są właśnie odbiciem jej zasad! Głupcze — odpowiedziałaby Natura — śpij, jedz, pij i spełniaj bez lęku wszystkie te zbrodnie, skoro uznasz je za dobro; wszystkie te rzekome występki cieszą mnie i pragnę ich, skoro dążenie do nich w tobie wzbudzam. Do ciebie jedyne należy określenie, co jest ze mną sprzeczne lub co mnie zadowala; dowiedz się, że nie masz w sobie niczego, co by moim nie było, niczego, co bym sama w tobie nie pomieściła — z powodów, których znać nie musisz. Najstraszliwsze z twych działań różni się od najnotliwszego postępowania kogoś innego jeno sposobem, w jaki mi służy. Nie powściągać się więc w niczym, drwij z waszych praw, z waszych konwencji społecznych, z waszych bogów. Mnie jednej słuchaj i bądź

pewny, że jeśli z mego punktu widzenia jest coś zbrodnią, to jest nią tylko twoje nieposłuszeństwo wobec mojej inspiracji, które przejawia się w twym oporze czy w twych sofizmatach!”

„O Boże — wykrzyknęłam. — Przerażasz mnie! Jeśli więc nie może być zbrodni przeciwnej Naturze, skąd bierze się w nas ta nieprzewyciężona odraza, którą odczuwamy na widok niektórych występków?” „Odraza ta nie pochodzi od Natury — odpowiedział żywo ów zbrodniarz — źródłem jej jest brak odpowiedniego przyzwyczajenia. Czyż nie dzieje się podobnie z niektórymi potrawami? Aczkolwiek znakomite, odpychają nas tylko z powodu naszego nieprzyzwyczajenia; czyż z tego względu można twierdzić, że są naprawdę niedobre? Spróbujmy się przewyciężyć, a rychli,.. 352

jo polubimy ich smak [...] Im bardziej jakieś działanie wydaje się nam przerażające, im bardziej jest sprzeczne z naszymi przyzwyczajeniami i obyczajami, im więcej zrywa hamulców, im mocniej wstrząsa społecznymi konwencjami, im głębiej rani to wszystko, co wydaje się nam niesłusznie prawem Natury, tym bardziej jest właśnie dla tej Natury użyteczne”⁶¹. Dzieje się tak dlatego (to już wyklada Sade w innym miejscu i przez usta innych bohaterów), że podstawowym prawem i dążeniem Natury jest utrzymanie w przyrodzie nieustannego ruchu i zmienności. Był już istniejący staje się niepotrzebny właśnie dlatego, że już został powołany do istnienia; Natura dąży teraz do jego unicestwienia, aby ze składającej się nań materii tworzyć byty nowe, które z kolei przeznacza na zagładę. Niszczenie jest więc działaniem najbardziej zgodnym z prawami Natury. Ponieważ zaś prawa społeczne starają się uniemożliwić dzieło zniszczenia, więc są sprzeczne z prawami Natury; wynika stąd, że gwałcenie praw społecznych, praw ludzkich jest spełnianiem natchnienia Natury.

Teorie głoszone przez zbrodniczego mnicha (które wielokrotnie i w rozmaitych wariantach powtarzają inni libertyni ukazani w powieściach Sade'a) ściągnęły potem na autora Justyny oburzenie i potępienie — jako rzekomy program zbrodni... Pamiętać w-ięc należy, że Sade niczego nie postulował, a przedstawiał jedynie swoją tragiczną wizję niszczyielskiej i okrutnej Natury, która inspiruje człowieka przez instynkty wszczepione w jego psychikę. Natura człowieka jest w tej koncepcji zgodna z naturą wszechbytu: jest okrutna, egoistyczna, zbrodnicza... Bohaterowie Sade'a to istoty, które — zdaniem autora Justyny — pojęły i zrealizowały całkowicie wskazania Natury i zdecydowały się uwolnić od niezgodnych z nią konwencji społecznych. Była to niezwykła odpowiedź na całą Oświeceniową doktrynę człowieka Natury — jako istoty doskonałej, bo nie skażonej negatywnymi wpływami cywilizacji. Człowiek w koncepcji Sade'ą jest uwikłany w tragiczny dylemat: ma do wyboru albo posłuszeństwo nakazom solidarności międzyludzkiej, prawom i konwencjom społecznym, co musi pociągnąć za sobą jego kompletne unieszczęśliwienie, bowiem nie można osiągnąć satysfakcji stając w sprzeczności z zasadami przyrodzonymi — albo dążenie za głosem Natury i zerwanie umowy społecznej, co przynieść może czasami pełnię wyzwolenia, ale w większości wypadków kończy się klęską i unicestwieniem zbuntowanych przez społeczeństwo. Bohaterowie Justyny, a potem Nowej Justyny i Historii Julietty działają w warunkach niejako laboratoryjnych, w świecie właściwie nadrealnym, gdzie najbardziej niezwykle czyny ludzkie nie pociągają za sobą zwyczajnych społecznych skutków; wyzwoleni są od lęku przed społeczną represją, a więc mogą swobodnie i bezpiecznie realizować to wszystko, co uważają za wskazania Natury, i ujawniać całą otchłań zbrodni, kryjącą się — zdaniem Sade'a — w ludzkiej świadomości...

Sześć miesięcy spędziła Justyna w klasztorze pod wezwaniem Panny Marii Leśnej. Przeżyła tu wszelkie możliwe udęczenia, łącznie z moralnymi — zmuszono ją nawet do uczestnictwa w bluźnierczej „czarnej mszy”, odprawionej przez niesamowitych zakonników dla sprofanowania najświętszych tajemnic wiary chrześcijańskiej. Zbieg okoliczności dopomógł wreszcie Justynie do ucieczki. Wtedy dopiero zrozumiała, jaki los czekał ją w

klasztorze: błędząc nocą w zaroślach otaczających klasztor natknęła się na zbiorową mogiłę; ledwo przysypane ziemią spoczywały tam zwłoki kobiet „zreformowanych” przez zakonne zgromadzenie...

Ucieczka powiodła się, ale Justyna cieszyła się wolnością zaledwie kilkanaście godzin. W czasie wędrówki została porwana i sprowadzona do zamku hrabiego de Gernande, odrażającego zbrodnicą o postaci i żarłoczności Gargantui; Gernande podniecał się widokiem krwi, miłosnego upojenia doznawał dopiero oglądając swoją ofiarę broczącą krwią z otwartych żył i ran; żona jego była już prawie konająca wskutek anemii i wyczerpania spowodowanego tymi praktykami. Znowu przypadek ratuje Justynę od niechybnej — zdawałoby się — śmierci. Dociera do Lyonu, spotyka tutaj niespodziewanie swojego krzywdziciela sprzed lat, Saint-Florenta, który osiągnął wysoki urząd miejski. Libertyn proponuje Justynie porozumienie i stałą współpracę; potrzebuje zaufanej znawczynie, która wybierałaby dlań wśród dziewcząt wiejskich w okolicach Lyonu niewinne kilkunastoletki; Saint-Florent lubuje się bowiem w pozbawianiu dziewictwa; korzystając ze swego bogactwa i znacznego zakresu władzy, pohańbił już setki młodych dziewcząt, porwanych lub kupionych od rodziców. W godzinę po obcowaniu z Saint-Florent'em ofiary jego żądź ładowane są na statki i wysyłane z Lyonu; agenci tego zbrodniarza sprzedają dziewczyny rajfurkom w Nimes, Montpellier, Tuluzie, Aix, Marsylii i innych miastach. Saint-Florent otrzymuje dwie trzecie zysków czerpanych z tego handlu żywym towarem i w ten sposób łączy niejako przyjemne z pożytecznym, nasycając jednocześnie swą żądź rozkoszy i żądź zysku...

Sade dodał w przypisie: „Nie należy uważać tego za zmyślenie. Ten nędznik żyje po dzień [tzn. 1791] w Lyonie. To co powiedziano wyżej o jego praktykach, wiernie odpowiada prawdzie. Pozbawił honoru piętnaście do dwudziestu tysięcy [!] nieszczęsnych dziewczynek. Po dokonanej operacji wsadzano je na statki na Rodanie. W okolicznych miastach od trzydziestu lat narzędzia rozpusty rekrutują się tylko z ofiar tego zbrodniarza. W przytoczonym epizodzie zmyślone zostało tylko jego nazwisko”⁶².

Cnotliwa dziewczyna odrzuca z oburzeniem propozycję złoczyńcy. Uchodzi z Lyonu na południe, zmierza w kierunku Delfinatu. Pod Vienne ratuje na drodze pewnego człowieka stratowanego przez nieznaną jeźdźców. Ocalony nazywa się Roland, ma podobno w górach zamek, gdzie mieszka wraz z siostrą, zaprasza tam Justynę. Naiwna dziewczyna godzi się towarzyszyć nieznanemu mężczyźnie, przybywa z nim do górskiego obozowiska — i tutaj dowiaduje się straszliwej prawdy: ocalony przez nią człowiek jest szefem bandy fałszerzy, fabrykujących w górach monety. Justyna włączona zostaje do grupy kobiet, które wykonują w obozie najcięższe prace fizyczne i spełniają wszystkie zachcianki członków bandy; sponiewierana, upokorzona, zastraszaona ma przed sobą perspektywę dożywotniej niewoli...

Znowu wysłuchuje wykładów o prawie silniejszego do całkowitej dominacji nad słabszym. Cywilizacja — powiada Roland — różni się cokolwiek od stanu natury. Od jej upowszechnienia „już nie siła fizyczna określa pozycję człowieka, ale siła złota. Człowiek najbogatszy stał się najsilniejszym, najbiedniejszy najslabszym”. Herszt fałszerzy praktykuje oczywiście wyszukane perwersje seksualne, podnieca się zwłaszcza „et-ranglizmem” — dławieniem lub wieszaniem swych ofiar w czasie kontaktu płciowego. Nieszczęsna Justyna przechodzi męczarnie tak straszliwe, że nawet klasztor Panny Marii Leśnej wydaje jej się teraz spokojnym azylem. Roland wyklada jej swoje teorie erotyzmu: „...miłość to sentyment błędnych rycerzy, którym do głębi gardzę i którego nigdy nie doświadczyłem. Posługuję się kobietą z konieczności, podobnie jak okrągłym i pojemnym naczyniem w innej potrzebie; nie żywię wobec indywiduum, które dzięki mojemu bogactwu i mojej władzy służy moim żądom, ani tkliwości, ani szacunku...” I wyznaje: „Nie ma na świecie występku, którego bym nie popełnił, a jednak nie uczyniłem

niczego, co nie byłoby usprawiedliwione lub wytłumaczone w świetle moich zasad. Zawsze czułem do zła pociąg, który przyczyniał się do mej rozkoszy; zbrodnia rozpała we mnie żądze; im jest straszniejsza, tym bardziej mnie podnieca; dopuszczając się zbrodni czuję tę samą przyjemność, jaką ludzie zwyczajni znajdują w rozwiązłości; setki razy stwierdziłem, że myśląc

o zbrodni, podejmując ją lub dopełniając, czuję się dokładnie tak, jakbym leżał obok pięknej i nagiej kobiety. Zbrodnia działa na me zmysły, popełniam ją dla podniecenia się, podobnie jak inni zbliżają się do ślicznej istoty z bezwstydnymi zamiarami [...] Błędem byłoby sądzić, że to uroda kobiety pobudza najbardziej świadomość libertyna. Działa tu raczej rodzaj występku, który w świetle praw wiąże się z jej posiadaniem. Dowodem na to jest fakt, że im bardziej posiadanie jakiejś kobiety staje się występne, tym bardziej jest rozpalające.

Mężczyzna sycący się kobietą odebraną mężowi czy dziewczyną porwaną rodzicom jest bez wątpienia bardziej upojony niż mąż korzystający z łask swojej żony; a im czcigodniejsze są zrywane więzy, tym rozkosz jest większa...”⁶³

Prawie trzy lata przeżyła Justyna pod nieustanną groźbą śmierci, maltretowana fizycznie i moralnie przez zbrodniczego herszta fałszerzy. Roland zdobywa olbrzymi majątek w papierach wartościowych Republiki Weneckiej, dzięki udanemu wysprzedaniu fałszywych monet. Dwa miliony liwrów rocznej renty! „Ta- kiż to nowy przykład zgotowała mi Opatrzność — stwierdza Justyna. — W taki to nowy sposób zechciała ona raz jeszcze mi dowieść, że powodzenie idzie zawsze w parze ze zbrodnią, a nieszczęście z cnotą”^M.

Roland opuścił obóz i zniknął; w dwa miesiące później banda fałszerzy wpadła w ręce sprawiedliwości, Justyna została uwolniona. Niestety, wkrótce potem natknęła się niespodziewanie na panią Dubois, tę samą, która wprowadziła ją kiedyś do bandy „Żelaznego Serca”. Doświadczona zbrodniarka próbuje wytłumaczyć dziewczynie, iż jej uparty kult cnoty jest bezro- zumny i nonsensowny — ale nie zdoła zachwiać szlachetną determinacją Justyny. Dubois staje się jednak przyczyną dalszych jej nieszczęść; dziewczyna nie umie od niej się uwolnić, jest bezwolnym narzędziem w jej rękach; zawodzą wszelkie próby buntu czy ucieczki. Dubois wprowadza Justynę do pałacu pewnego arcybiskupa, zboczeńca obciążonego „kompleksem kata”. „Monseigneur” lubuje się w egzekucjach, w ścinaniu głów młodym dziewczętom. Justyna uchodzi z życiem ze straszliwej rezydencji księcia Kościoła, ale nie zdoła ukryć się przed panią Dubois. Mściwa zbrodniarka, rozwścieczona siłą duchową niezwyklej dziewczyny, doprowadza do aresztowania nieszczęśliwej pod zarzutem podpalenia oberży w Villefranche, co było jej własnym dziełem. Justyna na próżno błaga Saint-Florenta

o pomoc i protekcję: zbrodniarz ten razem z sędzią Cardoville’em wykorzysta okrutnie beznadziejne położenie Justyny, nie wywiązując się ze swoich obietnic

i przyrzeczeń. A potem zapada wyrok skazujący — Justyna ma ponieść śmierć na stosie czy szafocie... Teraz właśnie prowadzona jest do Paryża dla confirmacji i wykonania wyroku...

Uwięziona skończyła opowieść; pani de Lorsange i pan de Corville patrzą na nią ze wzruszeniem. Nie

szczęśliwa wyjawia wreszcie swoje prawdziwe imię siostry poznają się i rzucają sobie w ramiona...

Los Justyny zmienia się oczywiście w mgnieniu oka. Odebrana zostaje strażnikom, zaprowadzona do zamku Corville’a, otoczona będzie odtąd czułą opieką Julietty i jej kochanka. Pan de Conrille wyrabia dla Justyny dekret królewski, kasujący wszystkie wyroki, przywracający ją do czci i praw swego stanu; monarcha przyznaje jej nawet specjalną rentę w wysokości tysiąca talarów rocznie. Ofiara trzynastoletnich nieszczęść odzyskuje siły, zdrowie i urodę, ma spędzić resztę życia pod troskliwą opieką siostry...

Ale Justyna nigdy już nie odzyska spokoju. Zgnębiona straszliwymi przeżyciami nie ufa swemu szczęściu, obawia się, że w każdej chwili może znowu stać się ofiarą prześladowań.

Czeka ją zresztą rychła i nagła śmierć: w czasie letniej burzy przez otwarte okno zamkowej komnaty uderza piorun — Justyna umiera wskutek porażenia.

Śmierć jej wstrząsnęła sumieniem pani de Lorsange — Sade starał się uratować swoją powieść przed oburzeniem moralistów, dorabiając charakterystyczną *pointe* — Julietta dochodzi do wniosku, że całym swoim życiem, pełnym rozwiązłości i zbrodni, zasłużyła na surową karę niebios. „Powodzenie zbrodni jest jeno próbą, na którą Opatrzność chce wystawić cnotę — dowodzi Corville’owi. — Jest ono jak piorun, którego fałszywe blaski rozjaśniają na chwilę atmosferę po to tylko, aby wtrącić w otchłań śmierci oślepionych nieszczęśników”. Wstępuje więc do klasztoru karmelitanek w Paryżu, aby tutaj pokutować za swoje grzechy. Corville osiąga wysoki urząd państwowy, ale służy odtąd jedynie dobru powszechnemu.

Autor kończy zaś swą opowieść wzniosłą apostrofą do czytelników, w której nie sposób nie dopatrzeć się ironii i szyderstwa: „O wy wszyscy, którzy ronicie łyż nad nieszczęściami cnoty; wy, którzy litujecie się nad biedną Justyną! Wybaczając nam obrazy być może nieco za mocne, którymi wszelako trzeba było się posłużyć, obyście mogli przynajmniej wyciągnąć z tej historii korzyść taką, jak pani de Lorsange! Obyście zdołali wraz z nią przekonać się, że prawdziwe szczę-

ście znaleźć można tylko na łonie cnoty; a jeśli w celach, których nie przystoi nam zgłębiać, Bóg dopuszcza, by cnota prześladowana była na ziemi, to tylko po to, aby nieskończoną szczodroliwością nagrodzić ją w nie- biesiach”⁶⁵.

Przedstawione powyżej streszczenie fabuły i treści filozoficznej *Justyny* obejmuje jedynie część — i to nieznaczną — całego bogactwa myśli, refleksji i obserwacji, zawartego w tej powieści. Sade dokonał dzieła niezwykłego: skonstruował fabułę awanturczo-oby- czajową tak nośną, iż udźwignęła ciężar wykładu skomplikowanej doktryny filozoficznej i wszechstronnej analizy psycho-seksuologicznej, nie tracąc bynajmniej walorów artystycznych. Justyną badać można z rozmaitych punktów widzenia. Pomijając problematykę psy- cho-seksuologiczną i filozoficzną warto na przykład zwrócić uwagę na nie docenianą zwykle u Sade’a przez historyków literatury problematykę społeczno-oby- czajową; powieść ta, aczkolwiek wkracza w niektórych swoich fragmentach w domenę surrealizmu, jest przecież skonstruowana w oparciu o wnikliwą i staranną obserwację życia codziennego we Francji drugiej połowy XVIII wieku. Wszystkie działające postacie osadzone są doskonale w realiach właściwych dla swojej sytuacji społecznej; typy bohaterów wywodzą się wprost z rzeczywistości, tyle tylko, że oglądanej przez powiększające szkło świadomości artystycznej autora, a przedstawiane w toku dziejów Justyny rozmaite zbrodnicze afery zdają się być zaczerpnięte wprost z policyjnych kronik epoki. Specjalnego wyeksponowania wartą są przede wszystkim ponure doświadczenia Justyny w stosunkach z francuskim wymiarem sprawiedliwości. Jakże charakterystyczny dla tej epoki jest porządek zdarzeń powieści: niewinna i nieszczęśliwa dziewczyna szarpana jest długa i bezlitośnie przez prawo, gdyż nikt nie chce za nią się ująć, a sytuacja społeczna z góry skazuje ją na potępienie; skoro jednak pojawia się można protekcja i wstawiennictwo osób wysoko postawionych, wystarcza to, aby uwolnić natychmiast „zbrodniarkę” od policyjnych prześladowań — bez merytorycznego badania sprawy...

Jeżeli trafna i wnikliwa obserwacja obyczajowa czy ni tę powieść doskonałym dokumentem artystycznym epoki, to jednak wartość ogólniejszą nadaje jej przede wszystkim zdumiewająca wizja psychoanalityczna: wydobyć na jaw całej głębi ludzkiej świadomości i podświadomości — otwarcie tej ponurej beczki Pandory, kryjącej w sobie — zdaniem Sade’a — tylko absolutny egoizm, instynkty niszczycielskie, okrucieństwo i zbrodnicze popędy. Ale ta arcypesymistyczna, okrutna i beznadziejna koncepcja natury ludzkiej bardziej wpłynęła na negatywną ocenę twórczości markiza de Sade przez współczesnych i potomnych niż osławione elementy obsceniczne, zawarte w jego

dzielach — niewątpliwie drastyczne, ale przecież na tle gustów i obyczajów epoki zrozumiałe i wybaczalne.

Justyna była już chyba w rakach czytelników, gdy opinią publiczną Francji wstrząsnęła słynna ucieczka Ludwika XVI, zakończona pojmaniem w Varennes. Markiz de Sade stał niewątpliwie w tłumie paryżan obserwujących w ponurym milczeniu niesławny powrót monarchy pod eskortą do stolicy. Z okazji tego wydarzenia napisał broszurę polityczną pt. Adres obywatela paryskiego do króla Francuzów. Czy rzeczywiście wrzucił ją własnoręcznie do królewskiej karety, jak utrzymywał potem w śledztwie broniąc się przed zarzutami rewolucyjnego prokuratora? Jest to raczej mało prawdopodobne, chociaż broszura utrzymana była w tonie surowego upomnienia i czyniła monarchę odpowiedzialnym za wszystkie nieszczęścia domu Bourbo- nów. Nie była to zresztą jedyna broszura polityczna, opublikowana przez markiza w czasach Rewolucji. W latach 1791—1793 wydał ich kilka, prawdopodobnie osiem — jak ustalono do chwili obecnej.

Ta rewolucyjna publicystyka Sade'a jest zjawiskiem ciekawym i złożonym. Libertyn- arystokrata w roli rewolucyjnego publicysty — nie jest to łatwe do wytłumaczenia. Sade nie mógł oczywiście żywić najmniejszego sentymentu do „ancien régime'u” jako ustroju po- litycznego, nie uwielbiał też naturalnie Ludwika XVI i jego rodziny, zbyt wiele przecierpiał w królewskich więzieniach. Ale nie miał również wielkiego przekonania do rewolucji burzącej dotychczasową strukturę społeczną Francji. W końcu grudnia 1791 roku pisał do Gaufridy'ego: „Jestem antyjakobitą [sic/], jakobinów śmiertelnie nienawidzę; uwielbiam króla, ale żywię odrazę do dawnych nadużyć; cenię niektóre artykuły konstytucji, inne mnie odstręczają. Chciałbym, aby przywrócono szlachcie całą jej świetność, gdyż pozbawienie jej blasku na nic się przydaje. Chciałbym, aby monarcha był przywódcą narodu. Nie życzę sobie za to zgromadzenia narodowego, wolałbym dwie izby jak w Anglii [...] Oto moje wyznanie wiary. Kim jestem, arystokratą czy demokratą...?”⁶⁶

Był oczywiście z przekonania arystokratą, ale świadomością i przeszłością swoją tak różnił się od większości członków swojego stanu, że nie mógł znaleźć z nimi wspólnego języka. Skazany był na koegzystencję z rewolucją, na pozostanie we Francji — nawet wtedy, gdy rozpoczął się masowy exodus arystokratów za granicę. W połowie września 1791 roku wyemigrował natomiast syn markiza, Louis de Sade. Nazwisko jego znajdzie się potem na liście arystokratów i pomyłone zostanie z nazwiskiem ojca, co przyczyni się znacznie do politycznych prześladowań pisarza.

Na razie Sade starał się udawać gorliwego rewolucjonistę. Jeszcze 1 lipca 1790 roku odebrał swoją kartę „obywatela aktywnego” w piątej sekcji miejskiej przy placu Vendôme, którą przemianowano później na Sekcję Pik (Section des Piques). W tej właśnie sekcji pra- cować będzie społecznie i politycznie aż do chwili swojego aresztowania, dochodząc nawet do godności przewodniczącego.

Nie zaniedbywał pracy literackiej, marzył o sukcesie teatralnym. Tragedia Oxtiern zyskała nawet pewne uznanie, ale komedyjka La Suborneur została wkrótce potem (1792) bezlitośnie wygwizdana i zesła z afisza po jednym przedstawieniu. Z Prowansji dochodziły niedobre wieści, plenipotent zarządzający majątkiem markiza, adwokat Gaufridy, zmuszony był opuścić Apt i ukrywać się, dopływ pieniędzy uległ znacznemu zakłóceniu. Na dobitkę złego gmina miejska w La Coste, uniesiona rewolucyjnym i antyfeudalnym zapałem, postanowiła zburzyć zameczek Sade'a jako widomy symbol „ancien régime'u”... Zrozpaczony pisarz w kwietniu 1792 roku skierował do notabli tej gminy obszerny memoriał, w którym powoływał się na swoje cierpienia w królewskich więzieniach, zwłaszcza w osławionej Bastylji, upewniał o swojej rewolucyjnej postawie politycznej i zaklinał, aby szanowano jego własność. Gmina przyrzekła otoczyć zamek w La Coste opieką i nie dopuścić do żadnych ekscesów ze strony

miejscowej ludności. Ucieszony markiz począł rozważać projekt przeniesienia się do Prowansji razem z panią Quesnet; chciał zamieszkać początkowo w Awinionie i tutaj kontynuować prace literackie z dala od napiętej atmosfery i politycznych niebezpieczeństw Paryża...

Niestety, gwarancje gminy La Coste nie na wiele się przydały. Po wypadkach paryskich z dnia 10 sierpnia 1792 roku przeszła przez całą Francję fala rewolucyjnego wzburzenia. 17 września tłumy mieszkańców La Coste rzuciły się na zamek markiza; opustoszały zresztą od dawna pałac był w ciągu czterech dni łupiony, demolowany i burzony. Część mebli i dzieł sztuki, w przeważnej części uszkodzonych, zdołali ocalić urzędnicy gminy, ale na miejscu starej siedziby Sade'ów pozostały tylko nagie, uszkodzone mury, otoczone wydeptanym i wyrąbanym doszczętnie parkiem...

„Nie ma już La Coste!” — Sade po otrzymaniu z Prowansji tej druzgocącej wiadomości był u progu psychicznego załamania. Wyznał potem Gaufridy'emu, że dwa lub trzy razy brał do ręki pistolet, aby popełnić samobójstwo. Przepadły wszelkie nadzieje na porzucenie Paryża, na powrót w rodzinne okolice, do pałacu, który był świadkiem jedynych chwil szczęścia w życiu markiza!

W dodatku wisiała nad głową groźba politycznych represji. Po 10 sierpnia wszyscy ci-devant — eks-ary- stokraci — byli podejrzani -o zdradę. Sade próbował się zabezpieczyć przed skutkami przesadnej czujności rewolucyjnej swoich współtowarzyszy z Sekcji Pik. Napisał do prezydenta de Montreuil, swojej dawnej żony i obu synów uroczyste listy, w których wzywał rodzinę do spełnienia z honorem patriotycznego obowiązku, przestrzegał przed emigracją, groził nawet, iż nie zawaha się zadenuncjować występnych. Kopie tych listów uwierzytelnił uroczyście podpisami dwóch obywateli, stojących poza jakimkolwiek podejrzeniem, i zachował na wszelki wypadek.

Na razie nie był jeszcze niepokojony. W Paryżu zaczynał się dwuletni okres terroru; rewolucja zaczęła wypalać się wewnątrz w intrygach, denuncjacjach, prześladowaniach i egzekucjach; najbardziej zasłużeni rewolucjoniści padali ofiarą złośliwych oskarżeń, spisku karierowiczów, doktrynerskiego zacietrzewienia fanatyków... W takiej sytuacji łatwo można było powędrować do więzienia i pod gilotynę, zwłaszcza jeśli się było człowiekiem o' tak niedwuznacznym pochodzeniu społecznym i znanym z libertynizmu — postawy światopoglądowej i obyczajowej, której bardzo nie lubił zagorzały miłośnik cnoty, obywatel Robespierre. Sade pracował więc gorliwie na rzecz rewolucji. Był przez pewien czas komisarzem do zbadania zarządu i funkcjonowania szpitali publicznych. Miał chyba nadzieję, że uniknie losu większości pozostałych we Francji arystokratów. Niestety, 13 grudnia 1792 roku przez „czyjąś nadgorliwość i pomyłkę zarazem został wpisany na listę emigrantów — jako Louis-Alphonse-Dona- tien Sade. Dwa imiona się zgadzały; biedak długo i bezskutecznie tłumaczył będzie, że nigdy nie emigrował, że przez cały czas rewolucji mieszka i pracuje w Paryżu...

Latem 1793 roku Sade został wybrany prezydentem Sekcji Pik. Był to urząd dość znaczny i wpływowy, dający poważne możliwości zarówno prześladowania politycznych i osobistych nieprzyjaciół, jak i chronienia osób podejrzanych lub zagrożonych uwięzieniem i procesem. Sade używał wpływów wyłącznie w tym drugim celu — i to go zgubiło. Oskarżony został o najgorsze odchylenie polityczne, jakie piętnowali ówczesnie gorliwi rewolucjoniści: o „moderantyzm”, zbytnią łagodność i pobłażliwość wobec wrogów ludu.

Nie bardzo się chyba przejmując tymi zarzutami, Sade zabiegał nieustannie o opinię nieposzlakowanego rewolucjonisty. We wrześniu 1793 roku wygłosił w czasie uroczystego posiedzenia Sekcji Pik słynną swoją Mowę do cieniów Marata i Le Pelletier'a (Discours prononcé par la Section des Piques aux mânes de Marat et de Le Pelletier, par Sade, citoyen de cette section et membre de la Société Populaitie).

„Scevolò, Brutusie — mówi wówczas — jedyną wa

szą zasługą było ujęcie broni dla położenia kresu egzystencji dwóch despotów: patriotyzm waz zabłysnął ledwo na godzinę. Lecz ty, Maracie, o ileż trudniejszą wybrałeś drogę, spełniając powołanie człowieka wolnego! Ciernie na twej ścieżce nie pozwoliły dotrzeć ci do celu. Ale otoczony zewsząd tyranami mówiłeś

o wolności; wielbiłeś ją, zanim my, nie całkiem jeszcze przekonani do świętego imienia tego bóstwa, zdołaliśmy ją poznać. Nad głową twoją wisiały machiavel-
skie sztylety, lecz wspaniały twój wzrok nie okazywał trwogi. Scevola i Brutus godzili na życie tych jeno tyranów, którzy ich uciskali; twoja wspaniała dusza pragnęła uwolnić ziemię od wszystkich despotów, którzy ją przygnietli — dlatego nędzni niewolnicy oskarżyli cię o umiłowanie rozlewu krwi! Wielki mężu, rozlewałeś jeno krew tyranów, a pożydałeś jej dlatego tylko, aby oszczędzić krwi ludu. Gdy tylu wrogów godziło na twe życie, jakże mogłeś nie paść ofiarą? Wskazywałeś zdrajców i oto zemsta ich cię ugodziła...”⁶⁷ Jak się wydaje, Sade nie znał osobiście Marata; natomiast słynny rewolucjonista zwrócił nań uwagę na krótko przed śmiercią i bardzo się oburzył, iż tak skompromitowany arystokrata pozostaje jeszcze na wolności; pisarza ocaliło wtedy przypadkowe podobieństwo nazwisk (o czym zresztą nigdy się nie dowiedział): zamiast markiza de Sade aresztowano markiza de La Salle. Ale łączyło go z Maratem wiele wspólnych poglądów — i sądzić można, że w spokojnych czasach w niejedynej kwestii porozumieliby się nadspodziewanie łatwo. W latach 1780-tych, gdy Sade przebywał w więzieniach Vincennes i Bastylli, Marat był lekarzem pułkowym gwardii hrabiego d’Artois. Również pisał i również nie drukował ówczasnie swoich utworów. Powstało wtedy jedno z najważniejszych jego dzieł filozoficznych, niezwykle Listy polskie, zbiór rzekomych korespondencji z podróży po Europie, pisanych przez młodego Polaka, Kamię do niejakiego Shavy, przyjaciela zamieszkałego w Krakowie. Kamia w czasie swoich wędrówek snuł rozmaite rozważania filozoficzne; w Szwajcarii poznał niezwyklego eremity, filozofa-racjonalistę, który przez wiele dni wykladał mu niezwykle doktrynę, budzącą w słuchaczu przerażenie

i instynktowny sprzeciw. Jest wprost zaskakujące, do jakiego stopnia doktryna moralna owego fikcyjnego eremity szwajcarskiego, którego uczynił Marat rzecznikiem swoich poglądów, przypomina filozofię liberalizmu, włożoną przez Sade’a w usta bohaterów Justyny i Historii Julietty. Kamia — podobnie jak Justyna słuchająca wypowiedzi Bressac’a, Clémenta czy Rolanda — oburza się, gdy słyszy, iż wszystkie normy etyczne i prawa moralne są względne i umowne, że nie ma czynów ludzkich, które z istoty swojej godne byłyby potępienia, że jedynie konwencja społeczna nadaje im wartość pozytywną lub negatywną. „Tak więc — powiada eremita — nie ma w sercu ludzkim żadnej wrodzonej moralności, a stwórca wszechświata nie nałożył na człowieka żadnego obowiązku; gdyby było inaczej, czyż Bóg nie uświadomiłby nam tych nakazów przez jakieś widoczne znaki, aby mogły być łatwo zrozumiane przez wszystkich ludzi? [...] Zło i dobro moralne są dlatego czysto relatywne i bynajmniej nie absolutne. Pojęcia te różnią się zasadniczo u rozmaitych ludów, narodów i jednostek. Fakty pozostają te same, ale różne są nasze sądy spraw tych dotyczące. U Cnota zaś, aczkolwiek piękna, nie jest głosem niebios, ale jest nawet przeciwna prawom Natury; człowiek cnotliwy jest więc istotą nienaturalną...”⁴⁸ Wiele fragmentów Listów polskich Sade mógłby bez żadnych zmian włączyć do swoich dzieł...

8 grudnia 1793 roku (według kalendarza Rewolucji 18 frimaire’a II roku Republiki) Donatien został aresztowany w swoim mieszkaniu przy ulicy Neuve-des-
Mathurins. Komisarze departamentu policji Komuny Paryskiej przeprowadzili dokładną rewizję wszystkich papierów markiza (teraz po prostu „obywatela” Sade), nie znaleźli jednak niczego podejrzanego. Tego samego dnia Sade znalazł się w zamienionym na więzienie polityczne klasztorze magdalenek. Było to miejsce, które mogło pobudzić wyobraźnię pisarza: przed rewolucją więziono tutaj kobiety oskarżone o życie rozwiązłe i przestępstwa obyczajowe — od pospolitych prostytutek poczynając, a kończąc na dziewczętach z bogatych rodzin

mieszczańskich i nawet szlacheckich, które z powodu nadmiernego temperamentu czy różnorodnej wyobraźni popadły w konflikt ze swoimi rodzicami lub opiekunami.

Więzienia rewolucji różniły się cokolwiek od dawnych twierdz królewskich, w których przebywał Sade w latach 1763—1790: warunki bytowania więźniów były w nich o wiele gorsze. Przeniesiony z „magdalenek” do więzienia u karmelitów Sade przez osiem dni zamknięty był w niedużej celi w towarzystwie sześciu ciężko chorych na malarię, z których dwóch w tym czasie umarło. Potem, w końcu stycznia 1794 roku, znalazł się w więzieniu św. Łazarza, a w końcu marca przeniesiono go do więzienia Picpus.

Oskarżenia przeciwko markizowi opierały się na bardzo wątplych podstawach, ale były to czasy, gdy samo podejrzenie o niechęć do rewolucji wystarczało do skazania więźnia na śmierć. Sade pisał skargi i odwołania do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, ale władze rewolucyjne nie były skłonne uwierzyć w jego gorące zapewnienia o lojalności. W dodatku Sekcja Pik, jedyna organizacja zdolna zaświadczyć o jego właściwym nastawieniu ideowo-politycznym, wyparła się tchórzliwie swojego prezydenta. Jak zwykle bywa w takich sytuacjach, dawni towarzysze, wystraszeni o własną skórę i bardzo radzi zasłużyć się w oczach najwyższych władz rewolucji, dołożyli jeszcze co nieco do aktu oskarżenia. W swoim „Raportie w sprawie konduity politycznej obywatela Sade” z 18 ventôse’a roku XI (8 marca 1794) oświadczyli, że ów „były hrabia” starał się co prawda udawać patriotę, ale że jego obłudne zachowanie nikogo spośród prawdziwych rewolucjonistów w błąd nie wprowadziło...

24 lipca 1794 roku akta sprawy „Aldonze’a Sade, eks-szlachcica i hrabiego, literata i byłego oficera kawalerii, podejrzanego o spisek przeciwko Republice” przekazane zostały rewolucyjnemu trybunałowi. Markiz sądzony był w grupie 28 osób, oficerów, księży, naukowców i rzemieślników, którzy wszyscy sprzysięgli się rzekomo na zgubę rewolucji i Republiki Francuskiej. Oskarżał Antoine-Quentin Fouquier-Tinville, słynny prokurator jakobiński, zawzięty prześladowca „wrogów ludu”. Fouquier pracował szybko, zadanie miał przed sobą trudne i mozolne: w lipcu 1794 roku w więzieniach paryskich przebywało aż 7800 podejrzanych, a przecież w ciągu ostatniego miesiąca trybunały zdołały osądzić i posłać na gilotynę zaledwie 1285 oskarżonych⁶⁹. Nie było czasu na długą procedurę i drobiazgowy roztrząsanie dowodów przeciwko oskarżonym; jeżeli podejrzenie zdawało się sędziom prawdopodobne, wyrok śmierci zapadał natychmiast, a skazańcy wsadzani byli niezwłocznie na wozy i prosto z sali sądowej wiezieni pod ostrze gilotyny...

Zatłoczenie więzień paryskich miało jednak czasami skutki zbawienne. Dnia 27 lipca woźni rewolucyjnego trybunału szukali spieszenie wszystkich dwudziestu ośmiu podejrzanych, którzy mieli tego dnia stanąć przed sądem. Udało się wyszukać tylko dwudziestu trzech — i ci jedynie postawieni zostali tego dnia przed sądem drugiej sekcji, a następnie (z wyjątkiem dwóch osób) straceni na gilotynie. Pięciu więźniów gdzieś się zapodziało, być może woźni poszukiwali ich w niewłaściwych celach, odłożono więc te sprawy do następnego posiedzenia sądu. Wśród tych „zagubionych” znajdował się markiz de Sade...

Rewolucyjna sprawiedliwość dopadłaby go na pewno nazajutrz lub w parę dni potem. Ale 27 lipca 1794 roku — to w kalendarzu republikańskim 9 thermidor’a roku II — dzień słynnego spisku i zamachu na dyktaturę Robespierre’a i ostatni dzień masowego funkcjonowania gilotyny...

Przypadek ocalał markiza; nie od razu uwolniono go z więzienia, ale teraz nie groziła mu przynajmniej śmierć na szafocie. W nowej sytuacji politycznej znaleźli się i przyjaciele: 25 sierpnia 1794 roku (8 fructi-’ dor’a II) Sekcja Pik wydała mu nowe zaświadczenie; tym razem obywatel Sade uznany został za patriotę znanego ze swojej obywatelskiej postawy. Sprawa uwolnienia postępowała naprzód, popierana zresztą usilnymi staraniami pani Quesnet.

Decyzją Komitetu Bezpieczeństwa z dnia 13 października 1794 roku Sade został wreszcie oczyszczony od wszelkich zarzutów. W dwa dni później wrócił do mieszkania przy ulicy Neuve-des-Mathurins.

Sytuacja finansowa markiza była fatalna. Dawno przestały już napływać dochody z Prowansji, praca literacka nie przynosiła właściwie nic. W lutym 1795 roku Sade zwrócił się więc do rządu z prośbą o zatrudnienie na jakimś posadzie państwowej; gotów był wstąpić do służby dyplomatycznej, zająć się redakcją dziennika, kierować biblioteką czy muzeum — byle tylko dostawać jakieś stałe wynagrodzenie... Posady jednak nie otrzymał, Dyrektoriat nie ufał mu na równi z jakobińską dyktaturą. Trzeba było w końcu posunąć się do ostateczności; 13 października 1796 roku Sade podpisał kontrakt, którym wyrzekł się właściwie całej rodowej tradycji; sprzedał mianowicie dobra La Coste, wszystko, co pozostało z pięknego niegdyś pałacu, pewnemu politykowi i spekulantowi z Prowansji, Józefowi-Stanisławowi Rovère. Otrzymał za to prawie 75 000 liwrów, które wkrótce potem ulokował korzystnie, kupując dwa małe majątki ziemskie: Granvilliers w departamencie Eure-et-Loire oraz Malmaison w Seine-et-Oise.

Na szczęście sytuacja polityczna sprzyjała teraz pracy literackiej. Pięcioletnia epoka Dyrektoriatu 1795—

—1799) nie cieszy się dobrą opinią wśród historyków Rewolucji Francuskiej — były to czasy spekulacji, wyrastania nowej warstwy uprzywilejowanych — „arystokracji pieniądza” — zamętu, rozwiązości obyczajowej, nędzy i ucisku społecznego mas ludowych... Ale była to również epoka prawdziwej wolności myśli, słowa i druku; nigdy przedtem (i niewiele razy potem) Francuzi nie korzystali z tak nieograniczonej swobody wypowiedzania się na łamach prasy, na scenie, na mównicy, w książce... I dla markiza de Sade nadeszła chwila autorskiej satysfakcji.

W roku 1795 ukazała się wreszcie jego wielka, czterotomowa powieść *Alina i Valcour* (*Aline et Valcourou le Roman philosophique, écrit en Bastille un an avant la Revolution de France, Paris, chez Girouard, 1793— —1795*), którą Sade napisał jeszcze w Bastylji, potem przerobił i zaktualizował, a próbował wydać jeszcze w roku 1793. Część arkuszy była już wówczas wytłoczona; gdy jednak autor dostał się do jakobińskiego więzienia, nakład opieczętowano i dopiero teraz Sade zdołał doprowadzić publikację do szczęśliwego końca.

Alina i Valcour zajmuje w całym dorobku Sade'a

miejsce dość szczególne. Jest to bowiem powieść filozoficzna, w której wątek awanturkowo-obyczajowy spleciony został z bogatą problematyką społeczno-polityczną i z wizją społeczeństwa doskonałego, stanowiącą rodzaj „utopii” — wzór zalecony do naśladowania dla Francji i całej Europy. Konstrukcyjnie nie jest to dzieło udane, gdyż pierwotna fabuła rozsadzona jest olbrzymim wtrętem, *sui generis* dygresją, obejmującą połowę tekstu i stanowiącą właściwie osobną powieść, w której mieści się cały prawie ładunek filozoficzny. Natomiast strona intelektualna utworu jest nieporównana; *Alina i Valcour* należy niewątpliwie do najznakomitszych powieści filozoficznych XVIII wieku i zdumienie budzi fakt, że była tak długo nie doceniana i właściwie zapomniana. Jest to tym bardziej zaskakujące, że powieść ta wolna jest od jakichkolwiek elementów obscenicznych i nie zawiera żadnych opisów okrucieństwa (wyjąwszy może krótką i bladą w rzeczy samej scenę tortur dwóch bohaterów, Leonory i Casteliney, w hiszpańskiej inkwizycji).

Alina i Valcour jest powieścią w listach, której akcja umieszczona jest między 3 czerwca 1778 a 17 maja 1779, wraca jednak we wspomnieniach i refleksjach bohaterów aż do roku 1762. Podzielona jest na 72 listy, bardzo jednak nierównomiernie, gdyż listy 35-38 obejmują połowę tekstu (tom II i III) i przedstawiają *Historię Sainville'a* i Leonory, luźno tylko wiążącą się z zasadniczym wątkiem — *historią Valcoura i Aliny de Blamont*. *Historia Sainville'a i Leonory* była też parokrotnie (zresztą wbrew wyraźnym zastrzeżeniom autora)

wyłączana z powieści i wydawana osobno jako rzekomo samodzielne dzieło markiza.

Akcja powieści jest w obu wątkach złożona i zawiła. Valcour, młody szlachcic, zubożały, ale pochodzący ze znakomitej rodziny (we wspomnieniach Valcour'a Sa- de zawarł wiele elementów autobiograficznych) zabiega o rękę Aliny, córki prezydenta de Blamont, okrutnego i zdeprawowanego libertyna, który wiąże z tą dziewczyną zupełnie inne nadzieje. Przeznacza ją bowiem na żonę dla bogatego finansisty Dolbourg'a, z którym od lat wspólnie oddaje się nie okiełznanym i zbrodniczym uciechom libertyńskim. Alina miała kiedyś siostrę, Klarę de Blamont, wszelako ojciec pozbył się tego dziecka, oddając je na wychowanie do chłopskiej rodziny w Pré-Saint-Gervais, gdzie rzekomo zmarła. Pan de Blamont nie wie zresztą o śmierci Klary, gdyż odebrał od wieśniaków jakąś dziewczynę, rzekomo córkę, którą pod imieniem Zofii zawiózł potajemnie do Paryża i tam uczynił z niej ofiarę żądz swoich i Dolbourg'a, ekscytując się popełnianym rzekomo kazirodztwem. Zofia okaże się jednak córką wieśniaków, u których przebywała na wychowaniu Klara de Blamont; z kolei Klara — jak ustali później przyjaciel Valcour'a — Deterville, badający całą sprawę z zacięciem detektywa — oddana została hrabinie de Ker- neuil, w zamian za córeczkę, która zmarła w chacie mam- ki parającej się wychowaniem niepożądanych latorośli znakomitych arystokratycznych rodów. Panna de Blamont wychowana więc została w Bretanii pod nazwiskiem Elżbiety de Kemeuil... Dzieje tych pomyłek i zamian oraz życia i przygód młodych dziewcząt zamieszanych w te wypadki przedstawione są ciekawie i na bogato zarysowanym tle obyczajów epoki, a stanowią znakomitą powieść awanturkowo-kryminalną, po dziś dzień w wielu momentach doprawdy niezrównaną. Nad losem Valcour'a i Aliny ciąży złowroga postać prezydenta de Blamont, filozofa-zbrodniarza, który własną satysfakcję gotów jest osiągnąć nawet za cenę największych zbrodni. Prezydentowa de Blamont, kobieta najwyższych zalet moralnych, którą tylko wiara w nierozzerwalność małżeństwa utrzymuje u boku niegodziwego męża, próżno wspiera starania Valcour'a i miłość Aliny. Blamont pozbywa się tej przeszkody, rozkazując zdeprawowanej swojej pokojówce, Augustynie, otruć zancą prezydentową. Raniony Valcour nie zdoła pośpieszyć na pomoc osamotnionej Alinie. Dziewczyna — wydana na łaskę i niełaskę znenawidzonego ojca — ginie samobójczą śmiercią; zrozpaczony Val- cour szuka schronienia w klasztorze, ale umiera tam po niespełna dwóch latach żalu i tęsknoty za ukochaną.

Fabula ta przerwana jest w połowie Historią Sain- ville*a i Leonory. Pewnego dnia do zamku Blamontów w Vertefeuille przybywa młody oficer pułku Nawarry z żoną Leonorą.

Dziewczyna okaże się potem rzekomą

Elżbietą de Kerneuil, w rzeczywistości rodzoną siostrą Aliny, Klarą — ale sprawa ta ma już drugorzędne znaczenie. Sainville i Leonora opowiadają swe dzieje, historię dramatycznej podróży młodego oficera dookoła świata w poszukiwaniu porwanej małżonki. W czasie swoich wędrówek Sainville trafił do państwa murzyńskiego Butua, na dwór króla Ben Máaeoro. Spotyka tam pewnego Portugalczyka imieniem Sarmiento, który opowiada mu o okrutnych obyczajach panujących w tym kraju, wygłaszając zresztą apologię zła i występku. Wizja państwa Butua jest czymś w rodzaju utopii á rebours — Sade przedstawił czytelnikom kraj ludzi dzikich i prymitywnych, jak najbardziej zbliżonych do stanu Natury — i dlatego właśnie okrutnych, bezwzględnych, brutalnych. Dzikus z powieści Sade'a nie ma nic wspólnego z naiwnym, uroczym bon sauvage, który zrobił taką karierę w opowieściach filozoficznych epoki Oświecenia; jest to istota działająca bez skrępowania obyczajami wypracowanymi przez cywilizację

—a więc posłuszna instynktom i realizująca bez oporu potworne wskazania Natury...

Ale po ucieczce z kraju Butua Sainville trafia na wyspy Oceanu Spokojnego, gdzie leży niezwykle kraj ludzi szczęśliwych. Wizja tej „utopii” jest w całej twórczości Sade'a unikalna — i zaskakuje czytelnika, który w dziełach markiza przywykł spotykać tylko negatywne koncepcje natury ludzkiej. Na tych „szczęśliwych wyspach” panuje mądry i szlachetny

władca, imieniem Zamé, człowiek, który posiadał tajemnicę szczęścia i udoskonalenia człowieka. Zamé opowiada młodemu Europejczykowi o ustroju panującym w państwie wyspiarzy. Jest to ustrój *sui generis* socjalistyczny — „państwo jest wyłącznym właścicielem wszelkich dóbr, poddani są tylko ich użytkownikami”⁷⁹. Dzięki właściwym stosunkom społecznym i odpowiedniemu oddziaływaniu praw kraj ten osiągnął wysoki stopień cywilizacji i kultury; obywatele nie są bynajmniej przygniecieni przemocą religii, korzystają z wolności, mają prawo do rozwodu, który zresztą — zdaniem Zamé — jest uniwersalnym remedium na kłopoty rodzinne i obyczajowo-społeczne. Bardzo interesujące są włożone przez Sade’a w ust szlachetnego władcy

■wysp rozważania o obyczajach, przestępstwach i karach, ujawniające śmiałe i nowoczesne poglądy autora na te zagadnienia. Na tle podobnych fantastycznych wizji ustroju idealnego, w które obfitowała literatura Oświecenia, „utopia” Sade’a wyróżnia się zresztą realizmem koncepcji i właściwą oceną społecznego uwarunkowania mentalności ludzkiej: Sade akcentował również konieczność poszanowania indywidualnych cech psychicznych każdej jednostki — w przeciwieństwie do wszystkich niemal XVIII-wiecznych pisarzy- utopistów nie wierzył w możliwość znalezienia idealnej formuły ustrojowej, która byłaby w stanie zadowolić i w pełni zaspokoić wszystkie istoty ludzkie...

Z wysp Tamoś Sainville wrócił prosto do Europy, wylądował w Kadyksie; w Hiszpanii popadł w ciężkie tarapaty, dostał się w ręce inkwizycji, z trudem ocalał życie i zbiegł. Dotarł wreszcie do Bordeaux i tam odnalazł utraconą Leonorę. Tom III powieści (list 38) przedstawia z kolei historię Leonory, porwanej w Wenecji przez nieznaną sprawców, włóczęnej po całym niemal basenie Morza Śródziemnego, prześladowanej natręctwem rozpustników. Jeżeli historia Sainville’a jest właściwie wielkim wykładem filozofii społecznej i politycznej, to historia Leonory zawiera ciekawą i bogatą panoramę obyczajów w rozmaitych krajach północnej Afryki i południowej JSuropy, niewolną zresztą również od dygresji i refleksji filozoficznych.

Obie fabuły Aliny i Valcoura spletają się wzajemnie w niewiele tylko punktach; rozerwanie narracji jednego wątku przez drugi nie ułatwia bynajmniej czytelnikowi zrozumienia całości. Ale bogactwo treści jest w tym dziele zaskakujące, a niektóre koncepcje społeczne wyprzedzają o wiele lat epokę Oświecenia.

Właśnie te koncepcje społeczne przyczyniły się przede wszystkim do dwukrotnego (1815 i 1825) potępienia tej powieści Sade’a przez trybunały francuskie, które dopatrzyły się w Alinie i Valcourze — „niemoralności”... Co prawda żadnych „nieprzyzwoitości” w dziele tym nie ma, ale dla większości czytelników ponura sława Sade’a jako „zdegenerowanego deprawatora” wystarczała ówczas, aby decyzję sądów uznać za uzasadnioną, nawet jeżeli danego utworu nie widziało się na oczy.

Toteż po pierwszym wydaniu z roku 1795 Alina i Valcour wznowiona była tylko jeden raz (ed. J. J. Gay, Bruxelles 1883). Dopiero wydawnictwo J. J. Pauverta opublikowało w latach 1950-tych trzecią z kolei edycję tego dzieła — i wtedy dopiero okazało się, jak ciekawy utwór był dotąd skazany na zapomnienie.

Rok 1795 był szczęśliwy dla twórczości Sade’a. W tym właśnie roku ukazało się również drugie słynne dzieło markiza — Filozofia w buduarze.

Filozofia w buduarze nosiła mistyfikacyjny podtytuł: Dzieło pośmiertne autora „Justyny” (La Philosophie dans le boudoir, ouvrage posthume de l’auteur de „Justine”). Z uwagi na swoją śmiałą treść utwór ten musiał być wydany anonimowo, ale Sade pragnął nie tylko ukryć w cieniu swoje autorstwo, ale również zaznaczyć jego łączność ze swoją powieścią z roku 1791. Jest to jedyny (oczywiście poza dramatami i Dialogiem między księdzem a umierającym) utwór markiza utrzymany w formie dialogu i znakomicie zresztą wyzyskujący wszystkie możliwości tego rodzaju literackiego. Filozofia w buduarze jest poniekąd dalszym etapem rozwoju serii utworów, którą zapoczątkowali Delicado i Aretino, a kontynuowali

Chorier i Crébillon. Jest to więc swoista l'école de l'amour, studium edukacji światopoglądowej i seksualnej młodej dziewczyny, od stanu zupełnej niewinności i naiwności, aż do poznania i wypraktykowania wszelkich zjawisk z zakresu erotyki, pojmowanej fizycznie i hedonistycznie. Warto zresztą dodać, że na słynnym dziele Sade'a ten szczególny typ literatury nie zakończy bynajmniej swojego rozwoju; kontynuacją dialogów Choriera i Sade'a będzie na przykład skandaliczna Szkoła kokot (L'École de biches ou Moeurs des petites dames de ces temps, Paris 1863, w rzeczywistości: Bruxelles 1868), przypisywana Baroche'owi lub Henkey'owi.

Filozofia w buduarze obejmuje siedem dialogów, z-których tylko pięć zawiera właściwą treść, dwa pozostałe służą za kompozycyjne łączniki. W dyskusjach prowadzonych między panią de Saint-Ange, młodą libertynką bez skrupułów, bratem jej kawalerem de Mirvel, panem Dolmance, wreszcie ofiarą edukacji, piętnastoletnią Eugenią de Mistival i jej matką, roztrząsane

są (językiem wytwornym, a zarazem rozwiązłym i swobodnym) problemy filozoficzne, psychologiczne, moralne i historyczne, dotyczące obyczajów i praktyk seksualnych. W pierwszym dialogu pani de Saint-Ange zwierza się kawalerowi de Mirvel, iż postanowiła wraz z Dolmance'm dokonać pewnego eksperymentu: wyedukować młodą i całkiem niewinną dziewczynę na kompletną libertynkę. Uczennicą ma być Eugenia de Mistival. „...włożymy w tę małą śliczną główkę — powiada pani de Saint-Ange — wszystkie najrozwiąźlejsze zasady libertynizmu, rozpalimy ją naszym ogniem, wykarmimy naszą filozofią, wszczepimy jej nasze żądze; a ponieważ chciałabym dołączyć do teorii również trochę praktyki, przeznaczam cię, drogi braciszku, do roli żniwiarza na polach Cytery, Dolmance otrzyma zaś zadanie zerwania wszystkich róż Sodomy. Będę miała jednocześnie aż dwie przyjemności: radość z własnego uczestniczenia w tych występnych rozkoszach i radość ich nauczania, wszczepiania odpowiednich upodobań rozkoszemu niewiniątku, które złapiemy w nasze sidła”⁷¹. Edukacja rozpoczyna się tego samego dnia i jest przedstawiona w dialogu trzecim i następnych. Trójka libertynów dobiera sobie do pomocy młodego ogrodniczka, Augustyna, i zaczyna słowem i przykładem wdrażać nieszczęsną Eugenię do rozpustnych praktyk. W międzyczasie pani de Saint-Ange i Dolmance pracują usilnie nad pozbawieniem dziewczyny wszelkich zasad moralnych i wiary, którą wpoila jej czcigodna matka. Eugenia słyszy obelgi rzucane na religię chrześcijańską, nie potrafi oprzeć się miażdżącej sile ateistycznych argumentów, przekonywana jest o obowiązku posłuszeństwa wobec inspiracji Natury, która pobudza człowieka do czynów stanowiących w świetle praw społecznych grzechy i zbrodnie: do okrucieństwa, gwałtu, kazirodztwa, cudzołóstwa, sodomii... Edukacja erotyczna nie może odbyć się bez praktycznych demonstracji — Eugenia służyć musi swoim ciałem wszelkim perwersyjnym czy wynaturzonym praktykom libertynów. Trzeba jednak podkreślić, że Filozofia w buduarze zawiera bardzo mało elementów „sadyzmu”, opisów algolagnii czy dręczących lub okrutnych sytuacji — jest to raczej wizja roz-

hukanego seksualizmu w typowo XVIII-wiecznej, hedonistycznej postaci. Dopiero pod koniec dialogów Eugenia, nadspodziewanie prędko nakłoniona do teorii i praktyki libertynizmu, wciąga do zabawy własną matkę, prawie czterdziestoletnią panią de Mistival, kobietę wspaniałej budowy i urody — i ona to właśnie zostaje poddana bolesnym, „sadystycznym” zabiegom i praktykom.

Filozofia to buduarze zręcznie operuje „literackim kontrapunktem” — dwa, a właściwie trzy wątki dyskusji (seksuologiczny, filozoficzno-metafizyczny i filozoficzno-polityczny) splatają się w tym utworze w zwartą całość i służą wzajemnie swojemu wyeksponowaniu. Jeden tylko fragment rozsada ramy dzieła: dialog piąty, w którym jeden z bohaterów (Dolmance) odczytuje głośno swoją rozprawę polityczną, zatytułowaną „Francuzi, jeszcze jeden wysiłek, jeżeli chcecie stać się republikanami...” Przedstawiony w niej program

zupelnej anarchizacji zycia spolecznego, jako logicznej konsekwencji usunienia wplywu religii chrześcijańskich na zycie narodu francuskiego, po dziś dzień budzi znaczne nieporozumienia wśród niektórych interpretatorów twórczości Sade'a; nie bacząc na miejsce tego fragmentu w konstrukcji utworu, do którego należy, ani na jego stosunek do treści wszystkich innych dzieł Sade'a, próbuje się czasami bezzasadnie widzieć w nim główny i właściwie jedyny wykład filozofii politycznej autora. Pomijając jednakże ten wtęt, Filozofia w buduarze odznacza się niewątpliwymi zaletami dramatycznymi, a niewielkie zabiegi adaptacyjne wystarczają, jak już udowodniono, do nieszkodliwego dla całości usunięcia z dialogów elementów zbyt drastycznych, tak aby utwór ten mógł być prezentowany na scenie. Nawet w takiej postaci dialogi te nie nadają się oczywiście dla żadnego współczesnego teatru publicznego, ale na scenach prywatnych we Francji były już parokrotnie wystawiane.

Filozofia w buduarze jest dziełem Sade'a chyba najczęściej wznawianym. Wszystkie edycje do roku mniej więcej 1968 ukazywały się potajemnie albo w postaci druków prywatnych, a najwyżej jako część pism zebranych o ograniczonym zasięgu, niemniej jednak były

H

na tyle liczne, iż utwór ten należy do stosunkowo dobrze znanych. Przesądziła o tym zapewne niewielka objętość książki. Filozofia w buduarze była znacznie łatwiejsza do wydania i przeczytania niż największe i najślynniejsze dzieło markiza, 10-tomowa Nowa Justyna, uzupełniona Historią Julietty, która miała się ukazać w roku 1797.

Temat Justyny i Julietty zaprzętał nadal uwagę Sade'a, chociaż pierwsza wersja opowieści o ich losach z roku 1791 okazała się udana i zyskała sporą po- czytność. Uważał zapewne, iż utracił okazję jeszcze pełniejszego przedstawienia filozofii i praktyki libertynizmu oraz panoramy psychopatii seksualnych, wskutek zbyt pośpiesznego opublikowania powieści, zawierającej tylko część przemyślanego materiału. Po opuszczeniu więzienia w roku 1794 zaczął więc pracować nad nową wersją historii Justyny i Julietty. Powstała w ten sposób wielka, 10-tomowa powieść, obejmująca dwie serie: opowieść Justyny oraz niezależną, ale połączoną wspólnym początkiem i zakończeniem opowieść Julietty.

Nowa Justyna, czyli Nieszczęścia cnoty, kontynuowana przez Historią Julietty, jej siostry (La Nouvelle Justine ou les Malheurs de la Vertu, suivie de l'His- toire de Juliette, sa soeur) ukazała się w roku 1797, rzekomo w Holandii, w rzeczywistości zaś w Paryżu, u drukarza Massé. Powieść wydana została oczywiście anonimowo, a Sade w dalszym ciągu (i do końca życia) konsekwentnie utrzymywał, iż z powieścią o losach Justyny i Julietty nie ma nic wspólnego. Powieść zyskała od razu olbrzymią poczytność, a w ciągu następnych paru lat wyszły dodatkowe jej nakłady. W księgarniach Palais Royal, gdzie w czasach Dyrektoriatu można było nabyć najbardziej skandaliczną beletrystykę obyczajową, powieść Sade'a sprzedawana była przez

najbardziej renomowanych księgarzy — i to zupełnie otwarcie.

W życiorysie markiza de Sade, napisanym już w czasach Ludwika Filipa przez wydawcę Biografii uniwersalnej, znanego historyka Louis-Gabriela Michaud, czytamy:

„...Sade żył spokojnie pod rządami Dyrektoriatu, a ten rząd korupcji i podłości zdawał się nawet chronić go swoją protekcją. Wówczas to ogłosił nową edycję swojej Justyny wzbogaconej o nowe i jeszcze bardziej odrażające epizody, z grawiurami i przepychem typograficznym, którego żalowano ówczesnie nawet dla dzieł najbardziej użytecznych. Autor doprowadził skandal do szczytu, wysyłając osobiście piękne egzemplarze tej haniebnej książki, wydrukowane na welinowym papierze, każdemu z pięciu dyrektorów, którzy przyjęli je bez najmniejszego zażenowania. Nieco później, w 1798 roku⁷² opublikował z tym samym luksusem typograficznym powieść jeszcze okropniejszą — jeżeli w ogóle mogło być coś jeszcze okropniejszego. Była to Julietta, sześć tomów in 18°. W pierwszej książce ukazał dla zastraszania ludzi uczciwych cnotę nieszczęśliwą i prześladowaną; w drugiej przedstawił dla

ośmielenia zbrodniarzy występki triumfujący. Oba te dzieła były publicznie sprzedawane; znalazł się drukarz i dwóch księgarzy upodlonych w swoim rzemiośle, którzy bezwstydnie wpisali je do swoich katalogów; a kapitalista, którego nazwiska nie wspomniemy, gdyż jeszcze żyje, wyłożył odpowiednie sumy na druk i zbierał zyski z tej odrażającej spekulacji...⁷³

Michaud nie mógł w tych latach oczywiście przewidzieć, że obrzucił obelgami dzieło, które miało zyskać olbrzymią sławę i kandydować — co prawda dopiero w wieku XX — do rangi jednego z najoryginalniejszych osiągnięć literatury światowej. Nowa Justyna i Historia Julietty jest nie tylko największym, ale i najciekawszym dziełem markiza, najpełniej przedstawiającym całą jego, niezwykłą i wstrząsającą, wizję człowieka wyzwolonego z więzów moralnych i społecznych, realizującego bez najmniejszych zahamowań wszystkie ukryte dotąd głęboko w świadomości i podświadomości okrutne wskazania Natury. W powieści tej Sade zawarł

wszystkie elementy swojej koncepcji artystycznej, posługując się zarówno opisem ściśle realistycznym, jak i techniką pre-surrealistyczną, przechodząc często od napięcia i grozy do swoistego „czarnego humoru”, który tak wysoko cenić będą potem nadrealiści, z wielkim wyznawcą Sade’a, André Bretonem, na czele. Ale wszystkie te walory miały doczekać się uznania znacznie później; w końcu XVIII i przez cały wiek XIX w wielkiej powieści markiza widziano jedynie drastyczne ob- scenum...

Noia Justyna obejmuje cztery, a Historia Julietty sześć tomów, co prawda niewielkich, które mieszczą się dzisiaj doskonale w czterech normalnych woluminach. Podejmując po raz drugi temat, znany już publiczności z wydania 1791 roku, Sade musiał posłużyć się szczególnym wybiegiem; we wstępie przypisanym wydawcy, który wykonywał rzekomo wolę nieżyjącego już od dawna autora, wyjaśnił czytelnikom, iż przed kilku laty autor ów pożyczył swój manuskrypt przyjacielowi, który nadużył zaufania, wykroił z tekstu i wydał „nędzne wyjątki znacznie ustępujące oryginałowi”; teraz dopiero udało się opublikować cały, autentyczny tekst opowieści...

Sade rozszerzył dzieje Justyny mniej więcej dwukrotnie, nie tyle przez wprowadzenie dodatkowych elementów fabuły, ale raczej przez rozbudowanie poszczególnych fragmentów pierwszej wersji drukowanej. Z zachowanych notatek Sade’a wiadomo, że wprowadził do tekstu Justyny 111 zmian i uzupełnień, które spisał uprzednio starannie na pojedynczych „fiszkach”. Wszelako zmiany w tekście powieści nie są w końcu bardzo istotne. W tym nowym opracowaniu tematu Justyna nie jest już narratorką swoich przygód, których obiektywną relację podjął wprost sam autor. Zniknął z powieści lichwiarz du Harpin, a zastąpiła go — jako sprawczyni uwięzienia Justyny — libertynka Delmon- se. Po opuszczeniu Rodina, a przed dostaniem się do klasztoru Panny Marii Leśnej, Justyna przeżywa przygody w zamku niejakiego Bandole’a, oszalałego mordercy niemowląt. W pustelni niesamowitych bendyk- tynów spotykamy nie czterech, ale sześciu zbrodniczych mnichów; wypowiedzi ojca Severino przypomi- na ją tutaj zwierzenia księcia de Blangis ze 120 dni Sodomy, a niezwykle eksperymenty prowadzone w klasztorze Panny Marii Leśnej są w dużym stopniu powtórzeniem sytuacji opisanych w rękopisie, którego utratę markiz tak boleśnie przeżył. Wreszcie po wielu przygodach (w sumie bardziej nieprawdopodobnych niż w pierwszej wersji) Justyna spotyka swoją siostrę Juliettę nie jako więźniarka prowadzona pod eskortą do Paryża, ale włączając się po traktach w nędzy i opuszczeniu.

Julietta zabiera siostrę do swego zamku i tutaj opowiada jej (i zgromadzonym gościom) historię swojego zbrodniczego żywota, nie bez racji zatytułowanego przez Sade’a Historia Julietty, czyli Powodzenie występku (*Histoire de Juliette ou Les Prospérités du vice*).

Jeszcze w klasztorze Panthémont poznała Julietta występki, rozwiązłość i libertynizm; przełożona uczennic, matka Delbène, urządziła potajemnie wyrafinowane i okrutne orgie,

które niezwykle pociągały młodą dziewczynę. Po bankructwie i śmierci rodziców Julietta dostała się w ręce stręczycielki pani Duvergier. Doświadczona ta dama potrafiła wielokrotnie sprzedać amatorom niewinność i dziewictwo Julietty, która doskonalać się przez doświadczenie, z tym większym talentem umiała udawać istotę cnotliwą, im mniejsze miała prawo do tego miana. Julietta deprawuje się doszczętnie i poznaje wszelkie formy libertyńskiej rozwiązłości; między innymi jest świadkiem wyuzdanych praktyk w potajemnym domu schadzek pani Duvergier, która prowadziła specjalny hotel dla dam najwyższej pozycji społecznej, dotkniętych nimfomanią; istoty te udawały się do pani Duvergier po niedzielnej mszy, aby prostytuować się w perwersyjnej atmosferze świętokradztwa. Julietta poznaje w końcu ministra Saint-Fond'a, człowieka, który rządzi wszechwładnie całym państwem. Aczkolwiek ten bohater powieści Sa-de'a nie był wzorowany na żadnej realnej postaci, to jednak markiz uczynił go niejako syntezą wszystkich negatywnych i zbrodniczych cech, którymi odznaczał się zdemoralizowani dygnitarze „ancien régime'a”. Okrutny, pyszny, fałszywy, rozwiązły, niewrażliwy na ludzkie cierpienie — a' nawet przeciwnie, czerpiący stąd rozkosz i upojenie — Saint-Fond zwraca uwagę na zdolną dziewczynę bez zasad, obdarzoną' wyraźnymi Skłonnościami do zbrodni, i czyni ją swoją „intendent- ką rozkoszy”. Zadaniem Julietty będzie odtąd organizowanie orgii i wyszukiwanie ofiar, które mogłyby zadowolić ministra — ofiar w najdosłowniejszym znaczeniu tego słowa, gdyż wiele z nich ponosi straszliwą śmierć w czasie potwornych uciech ministra. Saint-Fond truje przy pomocy Julietty swego ojca, a przy łożu umierającego urządza orgię połączoną z zadławieniem konającego starca. Julietta otrzymuje do pomocy młodą Angielkę, lady Clairwil, która wyzuta jest doszczętnie z resztek sumienia, a także Delcour'a, potwornego kata z Nantes. Wszyscy ci zbrodniarze prześcigają się w usiłowaniach wyszukania dla Saint-Fond'a coraz to niezwyklej szych rozrywek. Pewien kuzyn ministra zwabiony zostaje w pułapkę razem żoną i córką; zbrodniarze zmuszają ich do publicznego praktykowania w czasie orgii najbardziej niesamowitych 'kazi-rodnych kontaktów seksualnych, a potem mordują wszystkich w odrażający sposób. Julietta i lady Clairwil rozkoszują się zbrodnią; pewnego razu w czasie największego upojenia miłosnego zabijają swoich partnerów, co doprowadza obie do niezwyklej ekstazy. Wszelkie zbrodnie połączone z wynaturzonymi praktykami seksualnymi uprawia w tym czasie, pewne tajne towarzystwo erotyczne — „Zrzeszenie przyjaciół zbrodni” (Société des Amis du Crime), do którego Julietta wprowadzona zostaje przez lady Clairwil; odtąd będzie już mogła bez żadnych ograniczeń realizować swoje potworne skłonności. Ale mimo wszystko w duszy Julietty tli się jeszcze iskierka cnoty; gdy Saint-Fond, którego obłąkańcze upodobanie do zbrodni nasila się z tygodnia na tydzień, ujawnia jej swój straszliwy plan wygubienia przez śmierć głodową dwóch trzecich ludności Francji, Julietta nie może ukryć przerażenia i odrazy. Minister traci do niej zaufanie, dziewczyna musi w końcu uciekać. W Angers zdoła jednak poślubić bogatego hrabiego de Lorsange i pod imieniem jego żony ukrywa się przed prześladowaniami Saint-Fond'a. Rodzi wreszcie córeczkę, co zapewnia jej dziedzictwo całego majątku męża; truje więc hrabiego de Lorsange, a sama wyjeżdża do Włoch. Tutaj dopiero może prowadzić życie w pełni swobodne i niezależne. Zostaje luksusową kurtyzaną, prostytuuje się na prawo i lewo, szukając możliwych protektorów wśród arystokratów i dostojników Kościoła, nie lęka się żadnej zbrodni. Związała się w końcu z przedsiębiorczym awanturnikiem jakimś Sbriganim, i razem prowadzili dalej życie występne, a jednak zawsze pełne sukcesów. Widzimy następnie Juliettę w zamku pewnego Rosjanina zamieszkałego we Włoszech, niejakiego Mińskiego, alkoholika i niesamowitego psychopaty, który swoje wynaturzone praktyki posuwa nawet do antropofagii; Miński jest wynalazcą specjalnej maszyny do mordowania ludzi, która za jednym razem jest w stanie uśmiercić szesnaście ofiar. Pani de Lorsange wyjeżdża potem do Rzymu, przyjmuje ją z wielkimi względami papież Pius VI (Giovanni Angelo Braschi, 1775— —1798). Ten najwyższy

dostojnik Kościoła (żyjący jeszcze w chwili ukazania się dzieła Sade'a) przedstawiony został jako obłudny libertyn, zdolny do każdej zbrodni dla nasycenia swoich wyrafinowanych żądz. Julietta wykorzystuje cynicznie jego namiętność i zmusza go — w zamian za swoje łaski — do odprawienia bluźnierczych czarnych mszy w katedrze Sw. Piotra! W drodze do Neapolu pani de Lorsange trafia niespodziewanie na bandę rozbójników — i na lady Clairwil! Jest ona siostrą herszta, z którym utrzymuje zresztą kazirodcze stosunki płciowe. Ów brat panny Clairwil okazuje się zbrodniarzem bardzo doświadczoneym — zna właściwie całą Europę, działał w Anglii i Szwecji, w Turcji, w Rosji na dworze Katarzyny II i na Syberii. Julietta znowu łączy się z dawną współtowarzyszką zbrodni, poznaną u Saint-Fond'a. Trafiają do Neapolu, na dwór króla Ferdynanda i królowej Marii Karoliny. W tym miejscu Sade zemścił się okrutnie za swoje przykre doświadczenia neapolitańskie w czasie podróży włoskiej w roku 1776. Mistrzowsko nakreślone portrety królewskiej pary ukazały czytelnikom Historii Julietty dwoje zregenerowanych zbrodniarzy, wyżywających się w zbrodni, dotkniętych najrozmaitszymi zбочzeniami płciowymi.¹ Julietta zdobywa zaufanie królewskiej pary i jest świadkiem wszystkich wynaturzonych jej zabaw. Ferdynand i Karolina inscenizują rozmaite wyuzdane praktyki starożytności, zabawiając się rozkoszami cesarów, przedstawionymi u Swetoniusza, Tacyty i innych historyków cesarstwa rzymskiego; udoskonalili jednak te dawne wynalazki własną pomysłowością. Na ruinach Herculanaeum i Pompei odbywają się orgie, swoją rozwiązłością i niesamowitym przepychem przewyższające najśmielsze nawet wizje pisarzy tworzących przed Sade'm. Para królewska zorganizowała sobie również inną „rozrywkę” — teatr egzekucji... W głębi pałacu kryje się sala teatralna, na ścianach której wiszą portrety pięćdziesięciu ofiar, urodziwych kobiet, mężczyzn i dzieci; natomiast na scenie przygotowane są narzędzia do siedmiu rodzajów męczeńskiej egzekucji: spalania na stosie, smagania biczami, duszenia sznurem, łamania kołem, wbijania na pal, ścinania głowy i ćwiartowania. Każdy z okrutnych widzów przez pociągnięcie odpowiedniego sznura wskazuje ofiarę i rodzaj egzekucji, która zostaje natychmiast zrealizowana przez czterech katów „nagich i pięknych na kształt Marsa”, przy ekstatycznej rozkoszy spektatorów!⁷⁴ Spowiednik monarszej pary, ksiądz Vespoli, ceni sobie najwyżej inną rozkosz: lubi przebierać się w skórę tygrysa i „sodomizować” obłąkanych obojga płci, zwłaszcza jeżeli jakiś chory wyobraża sobie, że jest Chrystusem lub Dziewicą Marią itd. itd. Julietta i lady Clairwil korzystają w tym raj z wszelkich możliwych okazji występku. W czasie przechadzki na stokach Wezuwiusza wrzucają do wnętrza krateru pewną trybadę-piromankę, Olimpię Borghese. Tymczasem królowa Karolina zwierza się Julietcie ze swojego planu ograbienia skarbu dworskiego i ucieczki za granicę. Pani de Lorsange godzi się pozornie na współuczestnictwo w tej operacji, ale denuncjuje królową, a sama korzysta z okazji i ucieka z królewskimi skarbami...

Niesamowite obłąkanie i opętanie zbrodnią coraz bardziej nasila się w świadomości Julietty. Popełnia dalej przestępstwa i niegodziwości, nie czując wyrzutów sumienia, upojona szczęściem, w pełni usatysfakcjonowana. Morduje w końcu w potworny sposób (przez wrzucenie w ogień) własne dziecko, córeczkę Mariannę. Żaden z tych występnych czynów nie ściąga na zbrodniarkę ani kary, ani nawet utraty uznania czy społecznej pozycji. Umie działać tak zręcznie, że cieszy się nienaganną opinią; jest panią wielkiego majątku — dowiodła w pełni triumfu i powodzenia występku...

„Tak, przyznaję — woła Julietta pod koniec swojej opowieści — miłuję zbrodnię! Ona jedynie pobudza me zmysły; zasady jej wyznawać będę aż do ostatniej chwili życia! Jakaż moc, boska czy ludzka, jest w stanie przeciwstawić się moim pragnieniom, skoro wolna jestem od jakichkolwiek religijnych bojaźni, skoro dzięki swoim wpływom i bogactwu stoję ponad prawem? Przeszłość dodaje mi odwagi, teraźniejszość mnie pobudza, nie lękam się bynajmniej przyszłości; ufam więc, że reszta mego życia znacznie przewyższy te pierwsze zbłądzenia mojej młodości. Natura stworzyła ludzi po to jedynie, aby radowali się na ziemi;

to jej najświętsze prawo — i ono właśnie panować będzie zawsze w mym sercu! Tym gorzej dla ofiar, że są potrzebne; bez zachowania równowagi wszystko niszczałoby we wszechświecie. Natura umacnia się przez zbrodnie, tylko w ten sposób odzyskuje swoje prawa, których pozbawia ją cnota. Realizując zło posłuszni jesteśmy nakazom Natury, a nasz opór byłby jedyną zbrodnią, jakiej nie byłaby w stanie nam wybaczyć. Przyjaciele, umocnijmy się w wierze we wszystkie te zasady, które są jedynym źródłem szczęścia człowieka!”⁷⁵.

Słuchając opowieści swojej występnej siostry Justyna drży z trwogi i odrazy, płacze... Pani de Lorsange patrzy na nią z pogardą, dochodzi do wniosku, że trzeba ukarać tę niepoprawną wyznawczynię cnoty. Nad zamkiem zbiera się groźna burza. Wypędzają na drogę nieszczęsną Justynę, która na oczach gości pani de Lorsange ginie od uderzenia pioruna. „Chodźcie! chodźcie! — wołają zbrodniarze — zobaczcie wyrok niebios! Oto jak niebo nagradza cnotę! I wartoż to ją cenić, skoro najwierniejsi jej wyznawcy stają się w tak okrutny sposób ofiarami losu?”⁷⁸

Prawa i szlachetna istota została unicestwiona, zbrodniarze triumfują... Zakończenie Nowej Justyny i Historii Julietty jest oczywiście o wiele bardziej konsekwentne i doskonalsze artystycznie niż moralizatorska pointe'a z roku 1791, ale budzi po dziś dzień moralny sprzeciw i skłania niektórych do globalnego potępienia twórczości Sade'a jako szkodliwej i niebezpiecznej. Sto kilkadziesiąt lat minęło od ukazania się najważniejszego dzieła Sade'a, ale krytyce i historii literatury trudno oswoić się z jego wymową. Utwór ten jest bowiem zupełnie odosobniony w świecie literatury i sztuki. Trudno co prawda oskarżać autora o aprobatę tych wszystkich zjawisk, które przedstawił w swojej słynnej powieści, pozostaje jednak faktem, że poza Sade'm nikt dotychczas nie zdecydował się na artystyczną wizję zbrodni zwycięskiej i moralnie triumfującej.

Noux Justyna i Historia Julietty naładowane są oczywiście rozważaniami filozoficznymi przedstawiającymi wszystkie aspekty uskrajnionej do ostateczności i doprowadzonej do absurdu (choć wewnątrz logicznej i konsekwentnej) filozofii libertynizmu. Powieści te zawierają również olbrzymi ładunek obserwacji seksuologicznych — Sade chciał po części chociaż odrobić tutaj stratę rękopisu 120 dni Sodomy. Toteż tych dziesięć niewielkich stosunkowo tomów zawiera całą myśl i koncepcję artystyczną markiza; gdyby nie ocalało ani jedno spośród innych dzieł Sade'a, dla przyznania mu właściwego miejsca w historii literatury i myśli ludzkiej wystarczyłoby w zupełności właśnie Nowa Justyna i Historia Julietty.

Mimo olbrzymiego powodzenia tych dzieł Sade bynajmniej się nie wzbogacił; żył bardzo skromnie, niejednokrotnie na progu nędzy. Cały majątek nieruchomy markiza obłożony był sekwestrem — gdyż Sade ciągle jeszcze figurował na liście emigrantów. W maju i czerwcu 1797 roku Donatien odbył podróż do Prowansji, odwiedził La Coste, Mazan, Apt — po raz ostatni oglądał wtedy rodzinne strony... Nastąpiły potem znowu długie miesiące biedy w ogarniętym spekulacją Paryżu... W styczniu 1799 roku markiz i pani Quesnet przenieśli się do Wersalu. „Tutaj, na strychu — pisał markiz do Gaufridy'ego — mieszkam razem z synem mojej przyjaciółki i służącą; żywimy się marchwią i bobem, a ogrzewamy (nie codziennie, ale zawsze, gdy tylko nam się uda) szczapami drzewa, które bierzemy na kredyt. Nędza nasza doszła do tego stopnia, że pani Quesnet, przychodząc do nas w odwiedzin, przynosi nam od przyjaciół w kieszeni cokolwiek do jedzenia...”⁷⁷ Tymczasem synowie markiza bynajmniej nie interesowali się losem ojca, chociaż ich sytuacja materialna była doskonała. W lutym 1799 roku Sade zdołał wyprosić jakieś zajęcie przy miejscowym teatrze; zarabiał dwa franki dziennie i cieszył się, że może wreszcie nakarmić synka swojej przyjaciółki, która tymczasem tułała się po mieszkaniach przyjaciół, bowiem mizerne zarobki Donatiena nie pozwalały im na dalsze utrzymanie wspólnego gospodarstwa domowego.

Sława, którą otoczona była już w tych latach twórczość Sade'a, bynajmniej nie ułatwiała pisarzowi egzystencji. Co pewien czas na łamach prasy pojawiały się brutalne napaści na autora Justyny i Julietty, z reguły odsadzające go od czci i wiary. „Zapewniają, że Sade nie żyje — pisał 29 sierpnia 1799 roku niejaki Paul-thier na łamach dziennika „Ami des Lois”. — Samo nazwisko tego niesławnego pisarza wydziela trupi odór, który zabija cnotę i budzi grozę; jest on autorem Justyny, czyli Nieszczęść cnoty. Serce najbardziej zdeprawowane, umysł najbardziej upodlony, imaginacja niesamowicie wszeteczna zdołały wynaleźć wszystko, co zdolne jest obrazić rozsądek, wstydlivość i humanitaryzm...” W miesiąc* później, 24 września, Sade odpowiedział na tych samych łamach swojemu antagoniście — a styl tej odpowiedzi wydaje ciekawe świadectwo o obyczajach polemicznych w czasach Dyrektoriatu: „Bynajmniej nie umarłem, a niedwuznaczny dowód swojej egzystencji powinienem wypisać ci na plecach przy użyciu mocnego kija! Zrobiłbym to, zapewniam, nie lękając się zarażenia przez cuchnącego trupa, ale po głębokim namyśle dochodzę do wniosku, że pogarda jest jedyną bronią, którą człowiek uczciwy winien odeprzeć nędzne napaści takiego łajdaka! Nieprawdą jest, jakobym był autorem Justyny. Komu innemu niż takiemu głupcowi starałbym się to udowodnić, ale zarzuty ciekące z twojej śmierdzącej gęby są tak idiotyczne, że zbijanie ich przyniosłoby mi większą ujmę niż całe twoje oskarżenie” itd. itd.⁷⁸ W namiętne za- przeczenia markiza nikt oczywiście nie wierzył; Sade musiał dźwigać całe odium spadające na autora Justyny i Julietty, nie mając z tego tytułu żadnej moralnej satysfakcji i najmniejszej nawet korzyści materialnej.

Kok 1799 kończył się dla Sade'a pod złą gwiazdą. 18 i 19 brumaire'a VIII roku Republiki (czyli 9 i 10 listopada 1799) runął we Francji Dyrektoriat, władza przeszła w ręce trzech konsulów, z których jeden, młody generał wstawiony kampanią włoską i wyprawą do Egiptu, miał wkrótce zostać konsulem pierwszym i jedynym, a potem przywdziać cesarską koronę. Kończyła się we Francji epoka swobody myśli i pióra; reżim napoleoński przywracał w znacznej mierze obyczaje polityczne i praktyki „ancien régime'u”, a dla przeciwni* ków politycznych i libertynów o nieokiełznanej ima- ginacji otwierał znowu szeroko bramy więzień i domów zdrowia...

W styczniu 1800 roku pani Quesnet wyprzedzała swoje ostatnie suknie, próbowała pracować fizycznie, aby zarobić jakoś na życie. Markiz de Sade, głodny i zziębnięty, szukał schronienia w wersalskim szpitalu; bez tej pomocy — jak wyznał — groziłaby mu po prostu śmierć na ulicy. Gaufridy, który winien był markizowi znaczne sumy z racji zarządu resztkami jego rodzinnego majątku, milczał lub obiecywał zasiłek w nieokreślonej przyszłości. W lutym restaurator Brunei z Wersalu, u którego Sade stołował się przez parę miesięcy, wyrobił nakaz aresztowania markiza jako niewypłacalnego dłużnika — Sade nie zapłacił mu rachunków za ileś tam obiadów... Na szczęście komisarz Cazade, który z urzędu nadzorował konduite markiza (jako rzekomy eks-emigrant Sade podlegał nadzorowi policji), zapobiegł aresztowaniu i umożliwił pisarzowi kontynuowanie pracy.

Sade starał się bowiem nadal pisać. W tym właśnie okresie ukończył kilkanaście nowel i opowiadań oraz powieść pt. Wczasy libertyna, czyli Nowenna Cytery (Délassements du libertin ou la Neuvaîne de Cythéré)

— ten ostatni utwór znany jest zresztą tylko z tytułu, gdyż nie został opublikowany, a rękopis padł ofiarą wandalizmu wyrodnego syna pisarza, Donatien-Clau- de'a, który w roku 1832 wypożyczył go z Biblioteki Królewskiej w Paryżu i po prostu spalił. Z dawnych opowiadań, które powstały w Vincennes i Bastylji, Sade ułożył zbiór zatytułowany Zbrodnie miłości (Les Crimes de V Amour); cztery niewielkie tomy, obejmujące razem jedenaście nowel, ukazały się w roku 1800 nakładem drukarza Massé, który od dawna żerował na popularności dzieł Sade'a, bynajmniej nie starając się o zapewnienie pisarzowi przyzwoitego honorarium (markiz tak bardzo cieszył się z druku swoich utworów, że ten prozaiczny aspekt współpracy z wydawcą najczęściej lekceważył). Tym

razem na karcie tytułowej umieszczone zostało nazwisko autora; nowele były w stylu i treści bardzo powściągliwe i wolne od elementów obscenicznych, a więc pozornie nie groziły ściągnięciem nowej burzy na głowę pisarza.

Nowele ze zbioru Zbrodnie miłości są studiami psychologicznymi ukazującymi tragizm losów człowieka szarpanego własnymi nieokiełznanymi namiętnościami albo uwikłanego w niezwykle zbieg okoliczności, prowadzący ku nieszczęściu lub krzywdzie. Utwory te są bardzo nierównej wartości, a ogólnie stwierdzić można, iż opowiadania osnute na tle anegdot historycznych (jest ich w tym zbiorze cztery) znacznie ustępują nowelom o tematyce współczesnej, XVIII-wiecznej, wśród których przynajmniej dwie należą bez wątpienia do najciekawszych dzieł nowelistyki światowej.

Za najdoskonalszą uchodzi powszechnie opowieść pt. Eugenia de Franval. Temat tej noweli musiał zaskakiwać i gorszyć czytelników, przyzwyczajonych do poszanowania przyjętych w społeczeństwie europejskim rozmaitych obyczajowych „tabu”. Bogaty libertyn Franval, człowiek obdarzony szaleńczą imaginacją, niespokojny, pełen pogardy dla tradycyjnych zasad moralnych i przesądów obyczajowych, w rzeczy samej mizantrop i samotnik, żeni się z pewną cnotliwą panną, ma z nią córkę Eugenię. Dziewczynka wychowuje się pod wyłącznym wpływem ojca, od siódmego roku życia otrzymuje staranną i intensywną edukację w myśl filozoficznych zasad Franvala, który postanowił wychować ją na dziewczynę nowoczesny gardzącą przesądami, umiejacą wzniesić się ponad pospolitą moralność dobrą dla gminu... Celem tego wychowania jest przysposobienie dziewczyny na kochankę własnego ojca. Franval kształtuje umiejętnie charakter i poglądy Eugenii; przedstawia jej obyczaje, normy i zasady obowiązujące w społeczeństwie, uczy ją nimi gardzić i wznosić się ponad „nierozumne” — jego zdaniem — „przesady”. Ojciec staje się dla dziewczyny jedynym wzorem i ideałem — a potem i jedynym mężczyzną, który pobudza jej serce i zmysły. Mając lat czternaście zostaje kochanką Franvala, w pełni świadoma swego czynu, szczęśliwa, że ojciec zechciał tak dalece się z nią zbliżyć. Matka Eugenii, traktowana przez męża i córkę z niechęcią i pogardą, dopiero po kilku latach odkrywa tajemnicę ich wzajemnych stosunków. Próżno jednak błaga oboje o zmiłowanie, zaklina, aby się opamiętali — córka odrzuca z pogardą wszystkie jej upomnienia, Franval natomiast stara się wplątać żonę w romans z pewnym młodym hulaką (Valmontem), aby odebrać szlachetnej niewieście moralne prawo do upominania występnych. Usiłowania owego Valmonta nie odnoszą skutku, a wkrótce potem sprzeniewierza się on Franvalowi i ogarnięty namiętnością do Eugenii bierze udział w spisku zorganizowanym przez panią de Farneille — teściową Franvala (warto dodać, że zawzięta pani de Farneille, ścigająca zięcia swoją nieubłaganą nienawiścią, wielce przypomina znaną nam dobrze prezydentową de Montreuil). Porywają Eugenię, aby ocalić ją przed ojcem, Franval dogania jednak orszak siepaczy pani de Farneille, zabija Valmonta, odbiera dziewczynę... Nieszczęsna pani de Franval za wszelką cenę chce odzyskać miłość i zaufanie męża i córki; na nic nie zdają się wszelako jej próby wznowienia współżycia rodzinnego z dala od Paryża. Eugenia i jej ojciec zdecydowani są pozbyć się upartej moralizatorki, a z drugiej strony zawzięta pani de Farneille przyspiesza tragiczny koniec, ścigając zięcia na drodze sądowej i policyjnej. Finał jest rzeczywiście niesamowity: Franval musi uchodzić za granicę, zapada przeciw niemu wyrok śmierci i konfiskaty majątku, pani de Farneille wzywa córkę i wnuczkę do powrotu do Paryża. Wtedy zrozpaczona Eugenia truje własną matkę, a sama umiera wskutek gwałtownego szoku nerwowego...

Nowela ta nie raziłaby niczym w zakresie konstrukcji i rysu psychologicznego postaci, gdyby nie jej zakończenie. Sade musiał się ugiąć przed wymogami przyjętej ówczesnie konwencji literacko-obyczajowej, w myśl której nowela czy powieść powinna kończyć się *pointe'a* moralizatorską; nie była to Justyna czy Ju- Zietta, wydana anonimowo, której autora czytelnicy mogli najwyżej się domyślać. Zbrodnie miłości były podpisane pełnym

nazwiskiem pisarza — musiały więc godzić się z normami literackimi i moralnymi, uznany-
mi w ówczesnym społeczeństwie. Wynik kompromisu między cenzurą obyczajową a wizją
artystyczną pisarza był dla tej ostatniej rzeczywiście zabójczy; na ostatnich stronicach
opowieści Franval ginie z własnej reki, rozdarty okropnymi wyrzutami sumienia, głośno
złorzecząc swoim zbrodniom; umiera zresztą na rekach księdza de Clervil, arcyszlachetnego
kapłana, którego przesłodka do ostateczności postać pojawia się wielokrotnie w toku
opowiadania o losach Eugenie, dowodząc natrętnie czytelnikom, że autor potrafi dostrzec
wśród duchowieństwa! postaci naprawdę idealne i doskonałe...

Od efektów moralizatorskich wolna jest natomiast druga znakomita nowela Sade*a
umieszczona w tym zbiorze — Florvilla i Courval, czyli fatalizm. Akcja dzieje się również w
Paryżu na krótko przed wybuchem rewolucji. Prawie 60-letni pan Courval, zamożny mie-
szczanin, samotny, bowiem opuszczony od dawna przez żonę i syna, żeni się po raz drugi z
36-letnią panną Florvillą. Dziewczyna nie zna swojego pochodzenia, jest podrzutkiem,
wychowała się w domu szlachetnego opiekuna, pana de Saint-PrSt. Doznała w życiu wiele
nieszczęść; w wieku piętnastu lat dostała się pod wpływ siostry swojego opiekuna, bezbożnej
libertynki, pani de Verquin, miała romans z SennevaPem, oficerem miejscowego pułku, a
porzucona przez amanta utraciła również spółdzone z nim dziecko, które oddane zostało na
wychowanie na wieś. Przez wiele lat Florvilla mieszkała potem u czcigodnej i pobożnej
damy, pani de Lórince, ale na krótko przed ślubem przeżyła w jej do-
mu przygodę: pewien młody, bo ledwo 17-letni kawaler de Saint-Ange, bawiący od niedawna
w tym samym mieście, zapalał namiętnością do dojrzałej piękności zyskał nawet skrytą
wzajemność; gdy jednak pewnej nocy pokusił się o gwałt i posiadał Florvillę przemocą,
zdesperowana dziewczyna przebiła go nożycami. Nieszczęśnik zmarł, a wypadek ten z
trudem jedynie utajony został przed władzami dzięki pomocy przyjaciół... Wkrótce potem
Florvilla była w oberży w Nancy świadkiem morderstwa pewnej kobiety; zeznawała w czasie
procesu i przyczyniła się do skazania na śmierć zabójczym, jakiegoś z górą już 50-letniej
awanturnicy, która następnie stracona została na szafocie...

Courval nie zraża się wyznaniem Florvilli; przez kilka miesięcy żyją pogodnie i
szczęśliwie. I teraz dopiero nadchodzi katastrofa, wyjaśniają się wszystkie tajemnice
przeszłości dziewczyny... Wraca syn pana Courval, opowiada o swoich losach. Florvilla
poznaje w nim Sennevala! Jak lawina zwała się na nią prawda
o wydarzeniach sprzed lat. Prześladował ją przez całe życie niesamowity zbieg
okoliczności... Jest bowiem nie tylko żoną, ale i córką Courvala, porzuconą w niemowlęctwie
przez własną matkę; matkę tę spotkała raz w życiu — właśnie w oberży w Nancy — i
przyczyniła się do skazania jej na śmierć! A młody Saint-Ange, którego sama zabiła, był jej
własnym synem spółdzonym w związku z rodzonym bratem, Sennevałem, synem Courvala!

Z niezwykle logiką i konsekwencją autor odsłania powoli przeszłość, ukazując
niesamowite związki między bohaterami, w które całkowicie nieświadomie wpędzeni zostali
przez niezwykle zbieg okoliczności; tragedia dopełnia się ostatecznie; oszalała z rozpacz
Florvilla zabija się strzałem z pistoletu; obaj Courvalo- wie uchodzą z Paryża i dożywają
swych dni gdzieś na odludziu...

Zarzucono tej noweli brak realizmu, po prostu matematyczne nieprawdopodobieństwo
takiego spiętrzenia zbiegów okoliczności i tragicznych przypadków- Jednakże krytyka
Florvilli i Courvala z tego właśnie punktu widzenia jest chyba równie bezsensowna, jak była-
by nią analiza twórczości Sofoklesa przez badacza,
który zapragnąłby przede wszystkim ustalić matematyczne prawdopodobieństwo
zamordowania na drogach starożytnej Beocji, w zupełnej nieświadomości, swojego własnego
ojca i poślubienia potem rodzonej matki... Nie o to przecież chodzi. Jest to opowieść sta-
wiająca z niesłychaną siłą problem umowności wszelkich systemów moralnych. „Czemu
nieszczęsna Flor- villa — pyta autor — istota najnotliwsza i godna prawdziwego szczęścia,

przez niepojęty zbieg fatalnych okoliczności musi okazać się najpotworniejszym monstrem, jakie kiedykolwiek stworzyła Natura?” To retoryczne pytanie nie znajduje w noweli odpowiedzi i — jak wyraźnie sugeruje autor — znaleźć jej w ogóle nie może. Jest bowiem tragicznym paradoksem obowiązującego w świecie systemu moralnego, że bohaterka opowieści, dziewczyna dotknięta w życiu wieloma nieszczęściami, ale przecież szlachetna, godna szacunku i współczucia, okazuje się nagle w oczach własnych i w pojęciu najbliższych potworną zbrodniarką, która nie może już dalej udźwignąć ciężaru egzystencji — dlatego jedynie, że wyszły na jaw utajone dotychczas związki rodzinne, łączące ją z innymi postaciami noweli, chociaż jej czyny i przeżycia w istocie swojej pozostały nie zmienione.

Obie omówione opowieści Sade’a są warte bacznego zainteresowania z jednego jeszcze powodu: autor przedstawił w nich, przemawiając przez usta bohaterów, złagodzony i zminiaturyzowany co prawda, ale dość pełny i wszechstronny wykład filozofii libertynizmu i doktryny materialistycznej. Libertyni — rzecz jasna — nie mogli mieć racji, musieli ściągnąć na siebie bolesne skutki swoich błędnych i niegodziwych poglądów — ale okazywali nadspodziewanie wiele moralnej siły... Pani de Verquin, cyniczna libertynka z Florvilli i Cour- vala, umiera w wieku 52 lat w spokoju, dostojnej powadze i pogodnej wierze w sens zjednoczenia z Naturą. „Moje dziecko — mówiła do przerażonej Florvilli — tylko wierzący lękają się śmierci; zawieszani stale między piekłem a niebem, niepewni swojego ostatecznego przeznaczenia, są nieustannie przygnieceni trwogą i niepokojem. Ja nie spodziewam się niczego, pewna jestem, że po śmierci nie będę bardziej nieszczęśliwa niż przed urodzeniem, więc zasnę cicho na łonie Natury, bez żalu i bez bólu, bez wyrzutów sumienia i bez niepokoju. Kazałam się pochować pod krzakiem jaśminu, przygotowano już tam dla mnie miejsce, tam spocznę, Florvillo, a częstkami mego rozpadłego ciała pożywią się kwiaty, które najbardziej ukochałam. Widzisz — uśmiechnęła się pieszcząc moje policzki gałązką jaśminu — gdy w przyszłym roku poczujesz zapach tego krzewu, oddychać będziesz duszą swojej starej przyjaciółki. Częsteczki kwiatów przenikną do tkanek twego mózgu, natchną cię pięknymi ideami i skłonią, byś znowu pomyślała o mnie.»”

Florvilla usiłuje nawrócić panią de Verquin: „... zaledwie jednak ujawniłam to pragnienie, gdy pani de Verquin odtrąciła mnie ze zgrozą. — Florvillo! — zawołała — błagam cię, nie zatruwaj swoimi przesadami ostatnich chwil mego życia, pozwól mi umrzeć w spokoju! Nie po to gardziłam nimi przez całe życie, aby ulec im w chwili śmierci! — Zamilkłam. Cóż by pomogły moje słabe argumenty w obliczu takiej stałości?.”⁷⁹ Wkrótce potem Florvilla jest świadkiem innej śmierci: pobożna i cnotliwa pani de Lsrince umiera w rozpaczy, niepokoju i rozterce, jakże inaczej niż rozpustna pani de Verquin!

Czterotomowy zbiór nowel Sade poprzedził krótką rozprawą teoretyczno-historyczną zatytułowaną *Myśli*

o powieści (*Idee sur les romans*). Przedstawił tam interesujące poglądy estetyczne na temat fikcji literackiej; pod koniec zaś pisał: „Winienem wreszcie odpowiedzieć na zarzuty, które spotkały mnie po wydaniu *Aliny*

1 Valcoura. Pióro me — powiadają — jest zbyt nieoględne; ubieram występki w rysy zbyt odrażające. Chcecie wiedzieć, dlaczego? Nie chcę po prostu nakłaniać do miłowania występku! Nie mam bynajmniej zamiaru przekonywać kobiet, wzorem Crsbillona czy Dorata, że winny kochać tych, którzy je zwodzą; przeciwnie, pragnę, aby czuły do nich wstręt, jedyny to sposób, by uchronić je przed losem ofiary. Aby osiągnąć ten cel, uczyniłem tych spośród bohaterów mojej powieści, którzy wybrali drogę występku, tak odrażającymi, że z pewnością nie wzbudką w nikim ani współczucia, ani miłości. Właśnie dlatego, śmiem twierdzić,

■jestem bardziej budujący od pisarzy, którzy uznają za dopuszczalne upiększenie występku. Niebezpieczne dzieła tych autorów przypominają amerykańskie owoce, które pod

wspaniałymi kształtami kryją truciznę [...] zawsze, powtarzam, ukazując zbrodnię w piekielnych barwach, chcę, aby oglądano ją w całej okazałości, aby budziła lęk i odrazę, i nie znam doprawdy lepszego sposobu dla osiągnięcia tego celu, niż ukazywanie występku z całą właściwą mu okropnością...⁷⁸⁰ ■ Na nic nie zdały się jednak owe tłumaczenia, jak również zapewnienia, iż Sade nie ma nic wspólnego z przypisywaną mu powszechnie powieścią o dziejach Justyny i Julietty. 22 października 1800 roku ukazał się na łamach czasopisma „Journal des Arts, des Sciences et de Littérature” artykuł niejakiego Villetterque’a; ów skądinąd nie znany dziennikarz napadł brutalnie na świeżo wydane Zbrodnie miłości, wspominał Justynę, odsądzał markiza od miana pisarza, uznawał go za deprawatora o wynaturzonych upodobaniach. Sade odpowiedział mu wtedy 20-stronicową broszurką polemiczną pt. Autor „Zbrodni miłości” do Villetterque’a gazeciarza. Na zarzuty swojego przeciwnika odpowiedział z niesłychaną gwałtownością i pogardą; znowu bronił się przed posądzeniem, iż jest autorem Justyny i Julietty (ten upór w zaprzeczaniu faktów oczywistych i powszechnie znanych budzi doprawdy zdumienie). Pisał między innymi: „Stwierdziłem, że dla utrzymania napięcia dramatycznego potrzeba czasami, aby występki znieważały cnotę. Stwierdziłem, że jest to najpewniejszy sposób zainteresowania czytelnika, a Villetterque w oparciu o ten aksjomat kwestionuje moją moralność. Doprawdy, powtarzam ci, Villetterque, trzeba być głupcem, aby sądzić ludzi czytając ich dzieła! To, co napisałem, jest zapewne najwspanialszą pochwałą cnoty, jaką można wygłosić, a jeśli cnota nie byłaby tak piękna, któż w rzeczy samej opłakiwałby jej niedole? [...] w dziełach swoich nigdy nie ukazywałem występku inaczej, niż w barwach zdolnych wzbudzić wieczyste doń obrzydzenie, a jeśli czasami pozwoliłem mu odnieść jakieś zwycięstwo nad cnotą, to po to jedynie, aby uczynić ją piękniejszą i bardziej pociągającą [...] — Byłbym sam z sobą w zasadniczej sprzeczności — powiada pedagog Villetterque i — gdybym któremuś ze swych bohaterów kazał przemawiać w sposób wcale przeciwny zasadom, jakie wyłożyłem we wstępie. — Ależ dowiedz się, nędzny ignorancie, że każdy autor dzieła dramatycznego przemawia językiem stosownym do charakteru postaci, którą tworzy; w dziele takim mówi więc bohater, a nie autor, i w tym wypadku jest jak najbardziej oczywiste, że dana postać inspirowana przez rolę, daną jej do odegrania, może wypowiadać poglądy całkowicie przeciwne tym, które głosiłby autor, gdyby przemawiał wprost od siebie. Za kogo musielibyśmy uważać starożytnego Crébillona, gdyby przemawiał zawsze jak Artea? Cóż za typem byłby Racine, gdyby myślał podobnie jak jego Neron! Co za nędznikiem okazałby się Richardson, skoro by podzielał w pełni zasady Lovelace’a!”⁷⁸¹

List otwarty do Villetterque’a niewiele markizowi dopomógł, a może i trochę zaszkodził. Wynędzniały, sterany człowiek był stale pod baczłą obserwacją policji; księgarze, którzy przed paru laty jawnie sprzedawali Justynę i Juliettę, ukrywali teraz starannie egzemplarze tych dzieł; funkcjonariusze policji pilnie przeszukiwali magazyny księgarskie i konfiskowali „niemoralną” literaturę... Skończyła się swoboda czasów Dyrektoriatu...

6 marca 1801 roku Sade znajdował się właśnie w biurze swojego wydawcy, drukarza i księgarza Nicolas’a Massé, gdy do kantoru wtargnęli funkcjonariusze policji. Pan Massé skwapliwie wskazał policjantom osławionego autora Justyny. Sprowadzono nieszczęsnego pisarza do więziennej karetki; w godzinę później znalazł się w areszcie prefektury policji. Tymczasem agenci policji przeszukali kantor pana Massé (który bynajmniej nie protestował, jako że podobno sam za denuncjował swojego autora), skonfiskowali kilka rękopisów Sade’a i resztki nakładu jego powieści. W tym samym czasie inna grupa funkcjonariuszy szalała w Saint-Ouen, w mieszkaniu pani Quesnet, która niedawno zdołała wynająć mały apartament dzięki honorariom uzyskanym przez Sade’a; w pokoju Dona-tiana policjanci zdarli starannie ze ścian tapetę i obicia, które zawieziono natychmiast do prefektury; tapeta pokryta była podobno niesłychanie rozwiązanymi grawiurami, którymi ilustrowano uprzednio Nową Justynę i Historię Julietty.

Sade nie miał pojęcia, za co właściwie został aresztowany; przez dwa dni trzymano go w ścisłym odosobnieniu, zanim w ogóle doczekał się pierwszego przesłuchania. Biedak nie przypuszczał, że sążone mu było spędzenie w więzieniu całej — dość długiej jeszcze — reszty życia.

XII. W PONURYCH MURACH CHARENTONU

Jeszcze przed dwudziestu kilku laty utrzymywało się mniemanie, iż przyczyną uwięzienia Sa- de'a w roku 1801 był pewien drastyczny pamflet saty- ryczno-obyczajowy, wymierzony przeciwko Józefinie Beauharnais, a opublikowany nierozważnie przez autora Justyny w lipcu 1800 roku.

Ukazała się wtedy w Paryżu nieduża (142 strony) i oczywiście anonimowa książeczka, zatytułowana *Zoloé* i jej dwie akolity, czyli niektóre epizody z życia trzech pięknych kobiet (*Zoloé et ses deux acolythes ou quel- gues decades de la vie de trois jolies femmes, histoire veritable du siècle dernier, par un contemporain, à Turin, de l'imprimerie de l'auteur*). Była to złośliwa i drastyczna satyra wymierzona przeciwko żonie generała Bonapartego (*Zoloé*), pani Tallien (występującej pod imieniem *Laureda*) i pani Visconti (*Volsange*), w której nie oszczędzono również sławy Pierwszego Konsula oraz dwóch wybitnych polityków epoki Dyrektoriatu — Tallien'a i Barras'a. Kto był autorem tej złośliwej satyry — przez dłuższy czas nie wiadano. Dopiero po wielu latach, właściwie w drugiej połowie XIX wieku, przypisano ją bez żadnego uzasadnienia markizowi de Sade. Hipoteza ta przyjęła się prędko, umocnili ją swoim autorytetem naukowym dwaj wybitni bibliografowie, Brunet i Quérard⁸²; była bardzo użyteczna, tłumaczyła bowiem doskonale powody aresztowania markiza, który — jak się wydawało — padł ofiarą własnej nieostrożności i osobistej zemsty Napoleona Bonapartego.

Po dokładnym zbadaniu okoliczności uwięzienia Sa- de'a w roku 1801 (przede wszystkim przez Gilberta Lely) okazało się jednak, iż przypisywanie markizowi autorstwa *Zoloé* jest całkowicie bezpodstawne. Pomijając już zupełne niepodobieństwo stylu i kompozycji *Zoloé* do wszystkich innych dzieł Sade'a, okazało się, że w aktach policyjnych dotyczących uwięzienia pisarza pamflet ten w ogóle nie był wzmiankowany, że ówczas nikt nie podejrzewał go o napisanie tej książeczki, a Bonaparte nie interesował się bynajmniej losem rzekomego paszkwilanta. Sade został więc uwolniony od odpowiedzialności za *Zoloé*, przez co zresztą jego dorobek literacki bynajmniej nie ucierpiał.

Uwięzienie markiza wynikało prawdopodobnie z ogólnej polityki rządu Bonapartego, zmierzającej do unieszkodliwienia wszystkich realnych i potencjalnych wrogów nowego reżimu w świecie literackim i dziennikarskim, a jednocześnie do wciągnięcia rozluźnionych obyczajów społeczeństwa w karby dyscypliny niezbędnej dla skierowania wszystkich sił Francji ku realizacji świątoburczych planów politycznych i militarnych Pierwszego Konsula. „Demoralizatorzy” byli niebezpieczni, niebezpieczny był przede wszystkim osławiony autor *Justyny* — został więc niejako profilaktycznie ze społeczeństwa usunięty.

Sade trzymany był przez kilkanaście miesięcy w więzieniu *Sainte-Pélagie*, potem przeniesiono go do *Bi- c&tre*. Próżno domagał się uwolnienia, daremnie składał podania do ministra sprawiedliwości i ministra policji — dygnitarze ci doszli do wniosku, że autor *No- wej Justyny* i *Historii Julietty* (dzieł, których — jak możemy wnioskować z ich korespondencji — bynajmniej nie czytali, ale o których mieli jak najgorszą opinię) na uwolnienie nie zasługuje. Pani Quesnet zabiegała u władz przynajmniej o złagodzenie losu pisarza. Po dwóch latach udało się jej wyprosić przeniesienie Donatiena do „domu zdrowia” w *Charenton* pod Paryżem, gdzie regulamin był znacznie łagodniejszy, kontakty ze światem zewnętrznym łatwiejsze, a i członkowie rodziny mogli częściej odwiedzać więźniów.

Zakład w *Charenton* (znany już Sade'owi z pobytu w roku 1789/90) zreorganizowany został za Dyrektoriatu i przeznaczony dla osób uznanych za umysłowo chore, które zdaniem władz policyjnychMiie powinny pozostawać na wolności. Trafiali tutaj chorzy z rze-

czywistymi zaburzeniami psychicznymi, ale częściej jeszcze rozmaici opozycjoniści i wrogowie nowego reżimu, izolowani od społeczeństwa pod pozorem obłąkania i skazani na bezterminowe odosobnienie. Personel zakładu leczniczego w Charenton składał się przeważnie z lekarzy i pielęgniarzy, ale nie brakowało tutaj również funkcjonariuszy policji, a dyrektor tej instytucji podlegał ministrowi policji i składał mu systematycznie sprawozdania o zachowaniu „chorych”. Ten szczególny szpital był więc raczej specjalnym obozem dla więźniów politycznych niż rzeczywistym zakładem leczniczym dla obłąkanych.

Jednakże warunki życia w Charenton były nieskończenie lepsze od jakichkolwiek więziennych. Sade miał tutaj względną swobodę, mógł poruszać się po całym terenie zakładu, mieszkał w dużym i osobnym pokoju, niezle umeblowanym. Pokój markiza mieścił się na drugim piętrze prawego skrzydła zabudowań szpitalnych, okna wychodziły na ogród i nadbrzeża rzeki Marne. Gdy po śmierci Sade’a spisywano inwentarz jego ruchomości, okazało się że w pokoju swoim miał

— poza starym, ale wygodnym umeblowaniem — również sporo ubrań, bibliotekę z dwustu pięćdziesięciu tomów, przybory do pisania, papiery... Na biurku stały trzy miniatury: matki, syna (Louis-Marie de Sade’a)

i panny Anny-Prospéry de Launay, zmarłej przed laty towarzyszki szczęśliwych dni spędzonych w La Coste.

W czasie pobytu w Charenton Sade mógł liczyć tylko na pomoc Marii-Konstancji Quesnet; synowie nie dbali bynajmniej o potrzeby ojca, usiłowali nawet ukrywać swoje z nim pokrewieństwo. Pani Quesnet przeniosła się do Charenton wkrótce po przewiezieniu tutaj Donatiena i zamieszkała na terenie szpitala, opiekując się w miarę możliwości swoim starym przyjacielem. Sade usiłował pisać — przeżywał znowu okres przyływu sił twórczych. Przygotował nowe wydanie *Zbrodni miłości*, powiększone o kilka nowych opowiadań, opracował nowy zbiór nowel, zatytułowany *Boccaccio francuski*, pisał parę powieści. W kwietniu 1807 roku ukończył wreszcie dzieło, które zatytułował *Dni w zamku Florbelle*, czyli *Natura zdemaskowana*, oraz *Pamiętniki księdza de Modose* i *przygody Emilii de Volnange*... (*Les Journées de Florbelle ou la Nature dévoilée, suites des Memoires de Vdbbé de Modose et des Aventures d*Emilie de Volnange servant de preuves aux assertions*).

Był to wielki, 10-tomowy zbiór dialogów, rozważań filozoficznych i opowiadań, coś w rodzaju połączenia *Historii Julietty* z *Filozofią* w buduarze, utwór jednakże zupełnie oryginalny, wprowadzający nowe wątki

i nowe postacie, a wreszcie nową, rozwiniętą wersję materialistycznej filozofii markiza. O treści tego dzieła niewiele niestety można dzisiaj powiedzieć. Wszystko, co wiemy o *Dniach* w zamku Florbelle, ustalone zostało na podstawie zwięzłego konspektu Sade’a, który zresztą dochował się do naszych czasów jedynie w postaci fotokopii sporządzonej przed II wojną światową przez Maurice’a Heine. Oryginalny rękopis został bowiem po śmierci Sade’a natychmiast spalony — przypadło w ten sposób dzieło, stanowiące — jak możemy sądzić — osiągnięcie nie mniejsze niż *Nowa Justyna*

i *Historia Julietty*. Nie był to zresztą jedyny utwór Sade’a, napisany w Charenton, a zniszczony po zgonie pisarza przez pruderyjnych spadkobierców; kilka mniejszych powieści spotkał ten sam los.

Sade miał w Charenton — poza twórczością literacką — jedną tylko dziedzinę zainteresowań, która pochłaniała go całkowicie: teatr. W tym małym światku ludzi oderwanych od rzeczywistości i społeczeństwa iluzja zastępowała życie realne; pensjonariusze zakładu w Charenton (przebywało tam kilkadziesiąt osób obojga płci) chętnie współpracowali z markizem przy organizacji przedstawień amatorskich, które stopniowo

stały się swojego rodzaju tradycją zakładu. Markiz wkładał wiele wysiłku w przygotowanie widowisk, zapraszał na premiery gości z zewnątrz (spośród stu kilkudziesięciu widzów, obserwujących zawsze przedstawienia reżyserowane przez Sade'a, kilkanaście czy kilkadziesiąt osób przybywało zazwyczaj z Paryża), cieszył się każdym sukcesem... Jego niezwykła namiętność teatralna, miłość do sceny i fikcji dramatycznej, znajdowała tutaj zastosowanie pozwalające mu uchronić się przed psychicznymi skutkami bezterminowego uwięzienia. Wizja markiza organizującego widowiska dla pensjonariuszy zakładu w Charenton po stu kilkudziesięciu

latach rozpała wyobraźnię znanego pisarza niemieckiego — Petera Weissa i stała się tematem jego słynnego dramatu o Męczeństwie i śmierci Jean-Paula Marata, przedstawionej przez zespół teatralny szpitala w Charenton pod kierunkiem pana de Sade (1964).

Aktywność Sade'a nie podobała się jednak władzom szpitalnym. W styczniu 1806 roku naczelnym lekarzem zakładu w Charenton został słynny później uczony francuski, dr Antoni Royer-Collard. Znakomity ów praktyk śledził z niepokojem zachowanie osławionego autora Justyny... Dnia 2 sierpnia 1808 roku skierował do ministra policji ciekawy list w tej sprawie:

„Jest w Charenton pewien człowiek — pisał — którego zuchwała niemoralność zyskała na nieszczęście zbyt wielką sławę, a którego obecność w tym szpitalu grozi najpoważniejszymi konsekwencjami; mówię o autorze haniebnej powieści o „Justynie”. Człowiek ten nie jest bynajmniej chory umysłowo. Jedyń jego manią jest występek, a wybuchy tego rodzaju delirium powinny być tłumione bynajmniej nie w zakładzie poświęconym leczeniu chorób umysłowych zgodnie z zasadami medycyny. Dotknięty nim osobnik winien być poddany surowszemu regulaminowi, aby zarówno uchronić innych przed jego szaleństwami, jak i odseparować jego samego od zjawisk, które mogą wzbudzać lub choćby utrzymywać w nim tę ohydłą namiętność. W zakładzie w Charenton nie ma sposobu spełnienia żadnego z tych warunków; pan de Sade korzysta tutaj ze zbyt wielkiej swobody. Może komunikować się ze znaczną liczbą osób obojga płci, przyjmuje je u siebie albo odwiedza w ich pokojach. Może przechadzać się po parku, gdzie spotyka często chorych, korzystających z tego samego przywileju. Wykłada niektórym swoją straszliwą doktrynę, pożycza innym książki. Co więcej, opowiadają powszechnie w zakładzie, że żyje z kobietą, którą podaje za swoją córkę [dr Royer-Collard, miał na myśli panią Quesnet — J.Ł.]. To zresztą nie wszystko. Wskutek nieostrożności dopuszczono do utworzenia w zakładzie teatru, pod pretekstem umożliwienia chorym wystawiania komedii, nie zastanawiając się wcale nad niebezpiecznym wpływem, jaki hałaśliwe przygotowania muszą mieć na ich imaginację.

Pan de Sade jest dyrektorem tego teatru, wybiera sztuki, rozdaje role i prowadzi próby, uczy deklamacji aktorów i aktorki, przysposabia ich do występów na scenie. W dniach publicznych przedstawień ma do swojej dyspozycji pewną liczbę zaproszeń i w otoczeniu swoich pomocników czyni na sali honory domu. Jest nawet autorem niektórych przedstawień, na przykład na imieniny dyrektora stara się zawsze ułożyć odpowiednią sztukę alegoryczną albo przynajmniej jakieś kuplety na jego cześć.

Nie potrzebuję, jak sądzę, przekonywać Waszej Ekscelencji o skandalu, który wywołują podobne wydarzenia, i przedstawiać związanych z tym wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw. Gdyby szczegóły te przeniknęły do wiadomości powszechnej, jakież pojęcie miano by o zakładzie, w którym toleruje się podobne nadużycia? Jakżeż można pogodzić z nimi stronę moralną leczenia chorób umysłowych? Chorzy, którzy codziennie kontaktują się z tym odrażającym człowiekiem, są bez przerwy pod wrażeniem jego głębokiego zdemoralizowania; sama zresztą świadomość jego obecności w tym domu wstrząsa wyobraźnią nawet tych, którzy go nie widują.

Mam nadzieję, że Wasza Ekscelencja uzna te motywy za wystarczające, aby nakazać przeniesienie pana de Sade do innego miejsca odosobnienia niż zakład w Charenton. Na

próżno usiłowano by tutaj nie pozwolić mu na komunikowanie się w jakikolwiek sposób z innymi pensjonariuszami, byłoby to równie bezskuteczne jak w przeszłości, a podobne nadużycia miałyby zawsze miejsce. Nie domagam się bynajmniej, aby odesłano go do Bicetre, gdzie był dawniej umieszczony, ale chciałbym przekonać Waszą Ekszelencję, że więzienie albo twierdza nadawałaby się dlań znacznie bardziej niż instytucja przeznaczona dla leczenia chorych..."⁸³

List ten dowodzi, że zacny dr Royer-Collard czuł się bardziej policjantem niż lekarzem; bardzo się troszczył o realizację zadań powierzonych sobie przez ministerstwo policji... Na szczęście markiz de Sade miał sprzymierzeńca w osobie dyrektora zakładu, pana de Coulmier, który odrzucił oskarżenia naczelnego lekarza i ze swojej strony dowodził, iż udział w przedstawi-

niach pana de Sade ma zbawienny wpływ na stan umysłowy chorych. Jednakże donosy Royer-Collarda zaalarmowały ministerstwo; we wrześniu 1808 roku postanowiono, iż niebezpieczny więzień przeniesiony zostanie do twierdzy o surowym regulaminie; wybrano w tym celu fort Ham. Coulmier zdołał jednak nie dopuścić do wykonania tego rozkazu, przekonując władze o złym stanie zdrowia pisarza. Groźba przeniesienia z Charenton do ciężkiego więzienia wisieć będzie jednak nad Sade'm aż do ostatniej chwili życia; nie-szczęśliwy człowiek doprowadzony został do takiego stanu, że pobyt w zakładzie zamkniętym w Charenton uważać musiał za łaskę losu...

Echa wielkich wydarzeń dziejowych rzadko przedostawały się za mury szpitala. Austerlitz, potem Jena, Auerstadt, Frydland, Iława, Wagram wstrząsały opinią publiczną Europy; Paryż błyszczał chwałą cesarstwa — ale cesarstwo znaczyło dla Sade'a jedynie więzienie, a Napoleon był dlań po prostu despotą, który odrzucał kolejno prośby o uwolnienie. Kapitan Louis de Sade brał udział w kampanii w roku 1806/7 i ranny został pod Frydlandem; w dwa lata później (9 czerwca 1809) zginął w południowych Włoszech w walce z partyzantami neapolitańskimi. Młodszy z dwóch synów pisarza, Donatien-Claude-Armand, ożenił się w roku 1808 z kuzynką, Luizą-Gabriellą de Sade d'Eyguieres — próżno stary markiz protestował przeciwko temu małżeństwu, dochodząc do wniosku, że syn nie tylko nie dba o jego uwolnienie, ale z okazji ślubu chciałby również zagarnąć cały majątek rodowy. 7 lipca 1810 roku zmarła w zamku fitchauffour Renata-Pelagia de Sade, separowana żona markiza; nie było już wtedy na świecie państwa de Montreuil i kobietę noszącą tak znakomite i tak osławione jednocześnie nazwisko odprowadziła na wieczny spoczynek tylko córka, Laura-Magdalena de Sade... Po 34 latach (18 stycznia 1844) miała ona spocząć na tym samym wiejskim cmentarzu, przeżywszy 73 lata w stanie panieńskim...

W roku 1810 markiz ukończył siedemdziesiąt lat. Był już starcem stojącym nad grobem, schorowanym i znie- dołęźniałym; zachował jednak niezwykłą sprawność umysłu — i to zapewne drażniło i niepokoiło cesarskie ministerstwo policji. W październiku 1810 roku minister Montalivet polecił, aby pana de Sade — „dotkniętego najniebezpieczniejszym ze wszystkich szaleństw” — umieścić w celi zupełnie odseparowanej od reszty zakładu i strzec pilnie przed jakimkolwiek kontaktem z innymi pensjonariuszami. „Należy również z jak największym staraniem zapobiegać jakiemukolwiek używaniu przezeń ołówków, atramentu, piór i papieru”.⁸⁴ Dyrektor Coulmier musiał zastosować się do tych poleceń, chociaż patrzył przez palce na pracę pisarską więźnia. Przedstawienia teatralne zostały przerwane, Sade utracił jedyne zajęcie, które pozwalało mu zapomnieć o beznadziejnej rzeczywistości.

Od czasu do czasu składał jeszcze u stóp tronu prośby o łaskę, ale Napoleon z uporem obstawał przy dalszym więzieniu starego pisarza. 10 lipca 1811 Rada Tajna Cesarstwa postanowiła odrzucić podania markiza (być może zaważył na tej decyzji fakt wykrycia przed kilku miesiącami u księgarzy paryskich i prowincjonalnych nowego nakładu Nowej Justyny i Historii Juliette/ sprzedawanych pokątnie, ale cieszących się nadal wielkim powodzeniem). 9

maja 1812 roku Napoleon opuścił Paryż — rozpoczęła się wielka wyprawa na Rosję. Ale jednym z ostatnich jego rozkazów było polecenie dalszego trzymania pana de Sade pod ścisłym nadzorem w zakładzie Charenton...

W tym samym czasie, gdy na polach Borodino toczyła się bitwa między dwiema stutysięcznymi armiami, gdy Napoleon wkraczał do Moskwy, a potem uchodził z Rosji na czele niedobitków Wielkiej Armii — markiz de Sade pisał w Charenton ostatnią swoją powieść: *Histoię Izabelli Bawarskiej* (*Histoire secrète d' Isabelle de Bavière*). Zimą roku 1812/13 udało mu się przemycić do Paryża rękopis innej powieści: *Markizy de Gange*. Powieść ta (osnuta na tle rzeczywistych wydarzeń z czasów Ludwika XIV) ukazała się anonimowo w roku 1814 u księgarza paryskiego Bechet'a. Było to ostatnie z dzieł markiza de Sade, które zobaczył on w druku...

Minęła zima roku 1813/14; na ziemiach francuskich toczyły się boje, wojska koalicji antynapoleońskiej stanęły u wrót Paryża. 6 kwietnia 1814 roku Napoleon podpisał w Fontainebleau abdykację; w pięć dni później był już w drodze na Elbę. W Paryżu pojawił się w roli monarchy żaloszny protegowany Petersburga, Wiednia i Londynu, Ludwik XVIII, dawny hrabia Prowansji...

Restauracja Bourbonów była nieszczęściem całej Francji, ale dla jednego z więźniów zakładu w Charenton oznaczała zupełną klęskę. Jeżeli za czasów reżimu napoleońskiego Sade nie mógł doczekać się zmiłowania, to reakcyjny, klerykalny reżim Restauracji mógł jedynie pogorszyć jego położenie. Coulmier został usunięty ze stanowiska dyrektora zakładu w Charenton, funkcję tę objął niejaki Roulhac du Maupas, przyjaciel doktora Royer-Collarda. We wrześniu 1814 roku nowy dyrektor szpitala zażądał, aby ministerstwo policji nakazało przeniesienie Sade'a z Gharenton do innego miejsca odosobnienia. Zwracał uwagę, że jest to człowiek stary i chory, że cierpi na uporczywe bóle żołądka, potrzebuje niewątpliwie trochę świeżego powietrza i spacerów — ale z powodu żywego umysłu i buntowniczych poglądów nie powinien mieć żadnych kontaktów z innymi chorymi i więźniami, jest bowiem w Charenton rozsądkiem idei, które budzą zgrozę ludzi dobrze myślących...

Nad markizem de Sade zawisła nowa, tym razem najbardziej realna groźba opuszczenia Charenton.

O wolności nie mógł marzyć, nie miał zresztą dokąd się udać, od kilkunastu lat jedynym jego domem był szpital-więzienie, przywiązał się do tego miejsca, tu jedynie miał jeszcze paru bliskich przyjaciół... Ale stan jego zdrowia uniemożliwił translokację. Jesienią roku 1814 już coraz rzadziej zwlekał się z łóżka i zachodził do sąsiednich pokojów, gdzie mieszkali pensjonariusze, z którymi najbardziej się przyjaźnił: pani Blotfière, pan de Savines, pan de Léon. W listopadzie 1814 roku pojawił się w Charenton młody student — stażysta, 19-letni L. J. Ramon; oddano mu pod opiekę starego więźnia. Po wielu latach (w roku 1867) Ramon spisał swoje wspomnienia o ostatnich chwilach markiza de Sade: „Spotykałem go często na samotnych przechadzkach; niedbale ubrany, chodził ciężkim krokiem, ciągnąc za sobą nogi, po korytarzu sąsiadującym z poko-

jem, w którym zamieszkiwał. Nigdy nie zauważyłem, aby' z kimkolwiek rozmawiał. Pozdrowiałem go przechodząc obok, odpowiadał na mój ukłon z zimną uprzejmością, która odstręczała od rozmowy... W żaden sposób nie podejrzewałbym w nim autora *Justyny i Julietty*. Wydawał się po prostu starym, wyniosłym i ponurym arystokratą...”⁸⁵ W piątek 1 grudnia Sade nagle zasłabł. Przeniesiono go do większego pomieszczenia, przy łóżku usiadł pielęgniarz. Pani Quesnet nie było wówczas w Charenton, Sade nie zobaczył już więcej swojej przyjaciółki. Dyrektor szpitala posłał do Paryża gońca z wiadomością, że markiz de Sade kona; Donatien-Claude de Sade pośpieszył do szpitala, posłał chwilę przy łożu ojca, potem poprosił Ramona, aby czuwał przy chorym w ciągu nocy i spiesznie opuścił Charenton...

Wieczorem dnia 2 grudnia 1814 roku stan zdrowia markiza de Sade był już beznadziejny.

Oddychał ciężko i chrapliwie. Ramon podał mu parokrotnie jakieś lekarstwo, niewiele to pomogło. Około godziny dwudziestej drugiej młody student zaniepokoił się nagłą ciszą w kącie, gdzie stało łóżko markiza. Nachylił się nad Sade'm i stwierdził, że starzec już nie żyje.

W parę dni później otwarto testament markiza. Spisał go 30 stycznia 1806 roku i złożył u notariusza Finot w Charenton, spodziewając się wówczas rychłej śmierci. W ostatniej swojej woli pomyślał przede wszystkim

o wiernej towarzyszce życia, Marii-Konstancji Quesnet: zapisał jej sumę 24 000 liwrów; miała pobierać dożywotnio rentę od tego kapitału, który następnie odziedziczyć miał jej syn, przybrany pasierb markiza, Charles Quesnet. Dla Marii-Konstancji przeznaczył również wszystkie swoje ruchomości, książki i rękopisy, wyjąwszy papiery rodzinne, które polecił przekazać synom i córce.

Pod koniec swojego testamentu markiz de Sade pisał: „Nie zgadzam się stanowczo, aby ciało moje było otwierane pod jakimkolwiek pretekstem. Żądam jak najbardziej kategorycznie, aby pozostawiono je pod nadzorem przez czterdzieści osiem godzin w pokoju, w którym umrę, złożone w drewnianej trumnie, którą zamknie się dopiero po upływie przepisane go wyżej czasu. W cią-

gu tych czterdziestu ośmiu godzin należy wysłać gońca do pana Le Normand, kupfca drzewnego zamieszkałego w Wersalu przy bulwarze de l'Égalité pod numerem 101, z prośbą aby przybył tutaj osobiście z wozem i przewiózł w nim moje ciało pod swoją eskortą do lasku koło majątku w Malmaison, gmina d'Imance koło Jpernon. Chcę, aby zostało tam pochowane bez żadnej ceremonii, w pierwszym zagajniku na prawo od wejścia do lasu, gdy idzie się doń wielką aleją od strony starego zamku. Dzierżawca z Malmaison wykopie w tym zagajniku stosowny dół pod nadzorem pana Le Normand, który nie odejdzie od mojej trumny, póki nie zostanie ona zakopana w tym dole. Jeżeli zechce, mogą mu towarzyszyć w tej ceremonii ci spośród moich krewnych lub przyjaciół, którzy bez żadnej ostentacji zechcą mi okazać ten ostatni dowód swojego przywiązania. Po zasypaniu dołu należy posadzić na grobie żołądź, aby po wyrównaniu gruntu, kiedy zagajnik rozkrzewi się jak dawniej, ślady mojej mogiły zniknęły z powierzchni ziemi, podobnie jak wspomnienie o mnie' zniknie — mam nadzieję — z pamięci ludzi, z wyjątkiem może tych nielicznych, którzy zechcieli miłować mnie aż do ostatniej chwili i o których najsłodsze wspomnienie zabiorę ze sobą do grobu”.⁸⁶

Testament markiza wykonany został tylko w pierwszej części. Pani Quesnet otrzymała — jak można sądzić — zapisany sobie legat; rodzina pisarza odebrała jednak jego książki i śpiesznie zabezpieczyła wszystkie rękopisy, z których znaczna część powędrowała natychmiast w płomienie. Hrabia Donatien-Claude de Sade („ów chciwy bigot” — jak nazwał go Gilbert Lely) nie uważał natomiast za konieczne spłacenie długu, jaki ciążył na rodzinie Sade'ów z tytułu należności za utrzymanie markiza w Charenton przez kilkanaście lat. Próżno dyrekcja szpitala przez wiele lat po śmierci pisarza dopominała się o zapłatę kilku tysięcy franków...

Ostatnia wola markiza de Sade nie została również spełniona w części dotyczącej pogrzebu. Donatien-Claude uzyskał co prawda zgodę dyrektora zakładu na rezygnację z sekcji zwłok, ale o pogrzebie w Malmaison nie było mowy. Sade pochowany został z zachowaniem

ceremonii religijnych na cmentarzu przyszpitalnym w Charenton; na grobie postawiono prosty kamienny krzyż bez żadnego napisu...

Jednakże nie był mu sądzone spokojny wieczny odpoczynek. W kilka lat później — jak wspomną L. J. Ramon — na terenie cmentarza w Charenton przeprowadzono jakieś poważne roboty ziemne, wskutek czego wiele grobów (między innymi mogiłę markiza) trzeba było rozkopać, a zwłoki ekshumować. Ramon odszukał śmiertelne szczątki pisarza i wydobył z ziemi jego charakterystyczną czaszkę, którą postanowił wypreparować i zachować. Zjawił się

wtedy u niego znakomity ówczesny „frenolog” Spurzheim i wyprosił pożyczanie tej relikwii w celu sporządzenia odlewów gipsowych. Ramon dał się namówić; niestety Spurzheim wkrótce potem zmarł, a czaszka markiza de Sade przepadła bez śladu. Pewne ślady wskazywały jedynie, że Spurzheim pozostawił tę niezwykłą relikwię w Stanach Zjednoczonych, gdzie — być może — pozostaje w czyimś posiadaniu do dnia dzisiejszego.

Cóż zostało po markizie de Sade, gdy zwłoki jego spoczęły na przyszpitalnym cmentarzu w Charenton? Sława pisarza, który ukazał najhaniebniejsze przejawy wynaturzonego seksualizmu, który pochwalał zbrodnię i zachęcał do praktykowania występku, sława awanturnika i rozpustnika, lubującego się w wiwisekcjach i z rozkoszą obserwującego ciała poćwiartowanych przez siebie kobiet... O życiu markiza wiadano niewiele, krążyły za to nadal wszystkie skandaliczne plotki z XVIII wieku. Cała twórczość Sade’a uznana została za haniebną pornografię i dowód zbrodniczego wynaturzenia autora, którego ponosiła zdeprawowana imagina- cja, podsycana okropnymi wspomnieniami z własnych praktyk seksualnych. Nie pojmowano ani zainteresowań filozoficznych czy seksuologicznych Sade’a, ani specyfiki jego widzenia rzeczywistości; materialistyczne i naturalistyczne elementy jego filozofii uważane były za dowód umysłowego wyuzdania, a może nawet psychicznej aberacji pisarza. Po roku 1815, w okresie rozkwitu idealistycznej filozofii niemieckiej, triumfu romantyzmu i dominacji moralności burżuazyjnej, Oświecenie cieszyło się powszechnie opinią jak najgorszą; uchodziło za epokę schyłkową, która nie stworzyła niczego wartościowego w dziedzinie literatury, sztuki czy myśli filozoficznej, za okres rozkładu moralnego i upadku intelektualnego, kiedy demoralizacja obyczajowa łączyła się z płycizną umysłową i znajdowała efek- ciarski ujście w materialistycznych i ateistycznych wystąpieniach „bluźnierców”. Myśl filozoficzna Sade’a pozostawała zresztą w wyraźnej opozycji do tej części dziedzictwa ideowego epoki .Oświecenia, którą ceniono najbardziej w ciągu całego wieku XIX. To wszystko, co znalazło się na kartach pism markiza, pojmowano bardzo dosłownie. Jego programowy antyegalitaryzm kłócił się z ideałami demokracji i „praw człowieka i obywatela”. Głoszona przez bohaterów Justyny i Ju- lietty antymoralność, doktryna „Jedynego”, który może gwałcić wszystkie normy społecznego współżycia, wydawała się najważniejszym elementem myśli filozoficznej Sade’a i autorskim programem zbrodni. Bojowy ateizm i wystąpienia antyreligijne przerażały mieszczaństwo, w pełni już wyleczone z laickich ideałów epoki Rewolucji, pogodzone z wiarą i Kościołem. A elementy seksuologiczne jego dzieł wydawały się czymś tak potwornym i niesamowitym, że samo imię twórcy. Justyny nabrało jakiegoś odrażającego brzmienia! Dopiero pod koniec XIX wieku Freud, Krafft-Ebing i Havelock Ellis zapoczątkują naukowe badania nad seksualizmem ludzkim i problemami psycho-seksuolo- gicznymi, i wtedy dopiero doczekają się społecznego uznania studia nad różnorodnością skłonności i zachowań seksualnych, nad odchyleniami w tej dziedzinie od pewnej teoretycznej „normy”. Natomiast w początkach XIX wieku pisarz przedstawiający złożoną wizję niezwykłych praktyk seksualnych wydawał się degeneratem, zboczeńcem, obłąkańcem, zwłaszcza że panorama tych zjawisk była tak bogata i intensywnie utkana, iż wydawała się już przez to samo fantazją, fikcją, opętańczym wyobrażeniem autora. Zresztą Sade nie całkiem słusznie był przekonany, że jego wizja ar- tystyczna nie odbiega od czystego realizmu; nie pojmował zapewne, że ukazywana w jego dziełach rzeczywistość uporządkowana jest często w myśl własnych subiektywnych założeń. W sto lat później w podobny nieco sposób patrzeć będą na rzeczywistość zewnętrzną i wewnętrzną człowieka nadrealiści. Ważny jest jeszcze inny aspekt tego zagadnienia. Aczkolwiek cała strona psycho-seksuologiczna twórczości Sade’a oparta jest na obserwacji zachowań ludzkich i rejestracji fak- tów znanych z autopsji, chociaż w niektórych fragmentach swych dzieł pisarz ukazuje zjawiska ówczesnie wcale nierzadko spotykane, nawet gdy były to praktyki bardzo

niezwykle, to jednak wizja psychoseksualnej strony natury ludzkiej jest u Sade'a czymś więcej, niż tylko próbą ukazania rzeczywistości w jej najbardziej drastycznych przejawach. Sade — możemy sądzić — zdawał sobie sprawę z istnienia podświadomości, owego dziwnego fenomenu psychicznego, o którym jego współcześni nie mieli jeszcze pojęcia, który ujawnić miał dopiero Freud — i usiłował w tę podświadomość jak najgłębiej wniknąć. Skrajnie pesymistyczne założenia filozofii Sade'a prowadziły go do wykrycia w głębi psychicznej człowieka tylko zła i skłonności do występku. Zdaniem Sade'a, najistotniejsze popędy, pragnienia, pożądania, instynkty¹ człowieka zostały stłumione przez nacisk konwencji społecznych, norm prawnych, nakazów religijnych. Sade starał się więc przedstawić w swoich dziełach naturę ludzką w pełni zdemaskowaną, uwolnioną spod nacisku wszystkich konwencji społecznych i obyczajowych. Prezentując istoty ludzkie osiągające pełnię satysfakcji dzięki zbrodniom, okrucieństwu, przemocy, dręczeniu bliźnich, Sade chciał ukazać w stanie całkowitej realizacji to wszystko, co zazwyczaj — jego zdaniem ukryte jest w podświadomości człowieka, stłumione, nie dopuszczone do ujawnienia. Był to w jego zamierzeniach swoisty eksperyment psychologiczny (a właściwie, moglibyśmy dzisiaj powiedzieć, psychoanalityczny): ukazanie, jak wyglądałaby działalność ludzka w rozmaitych dziedzinach, przede wszystkim w sferze seksualnej, gdyby ujawniła się bez przeszkód i zahamowań cała zawartość podświadomości człowieka; co więcej — czym byłby w ogóle człowiek, gdyby doszło do realizacji wszystkich jego naturalnych, wrodzonych instynktów, potrzeb i skłonności, gdyby można było odrzucić wszystkie obowiązki, nakazy i zakazy, stworzone przez społeczeństwo. Sade w swoim przekonaniu zrywał zasłonę z obłudnej natury ludzkiej. Ukazywał okrucieństwo, bowiem przekonany był, że okrucieństwo jest wrodzoną potrzebą człowieka; ukazywał absolutny egoizm, bowiem człowiek musi być egoistą

^w świecie niezależnych, wzajemnie niepoznawalnych i osamotnionych indywidualiów. Studia Sade'a są jedynie w części obrazami opartymi na rzeczywistej obyczajowości; ich realizm obyczajowy przechodzi często w sui generis „nadrealizm”. Sade gromadzi elementy realne, zaczerpnięte z rzeczywistości, ale koncentruje je w takim nasileniu i wiąże wzajemnie w takie zależności, które w świecie realnym występować nie mogły. Wizje Sade'a podobne są niekiedy do koszmarnego snu, który ma być właśnie inscenizacją głębi ludzkiej świadomości. Takim staje się człowiek — stwierdza pisarz — gdy wyzwoli się od autocenzury i w pełni podda się inspiracji wszechmocnej Natury...

Po roku 1815 wszystkie dzieła Sade'a ścigane były przez trybunały francuskie tak zdecydowanie, że zeszyły do literackich podziemi i podzieliły los literatury pornograficznej, wydawanej pokątnie przez belgijskich czy angielskich księgarzy, ukrywanej pod ładą i sprzedawanej tylko zaufanym klientom. W czasach Restauracji Sade oficjalnie nie istniał, nikt go nie wspominał, jego dzieła zostały niejako „wyjęte” ze świadomości społeczeństwa; nawet nazwisko pisarza starano się skazać na zapomnienie. Rzecz ciekawa, wszystkie te usiłowania były bezskuteczne — *Justyna*, *Julietta* czy *Filozofia w buduarze* krążyły pokątnie i były czytane tym powszechniej, im większą zgrozę budziło nazwisko ich autora. „Oto nazwisko, które znają wszyscy, a którego nikt nie wymawia; ręka drży, gdy musi je napisać...” — takimi oto patetycznymi słowami rozpoczął swój obszerny artykuł o markizie de Sade pierwszy publicysta, który zdecydował się w roku 1834 przerwać wreszcie zмовę milczenia wokół niezwykłego pisarza — Jules Janin. Obrzucając twórczość Sade'a zdumiewająco gwałtownymi wymysłami i przeprasząc czytelników, iż zajmuje ich uwagę tak niegodziwym przedmiotem, Janin utrzymywał, że zmusił go do napisania artykułu społeczny obowiązek: dzieła Sade'a czytane są powszechnie i ciągle podkopują wiarę, moralność, dobre obyczaje... „Nie oszukujcie się, markiz de Sade jest wszędzie! Znaleźć go można we wszystkich bibliotekach, w ukryciu na półkach pełnych tajemnic; to jedna z tych książek, które stawia się za-

zwyczaj za świętym Janem Chryzostosem, Nicole'a Traktatem o moralności albo Myśłami Pascala. Zapytajcie któregoś z notariuszy, w ilu to inwentarzach, sporządzanych po śmierci testatorów, umieszczali dzieła markiza de Sade! Ponieważ są to książki, których prawo nie chroni jako własności prywatnej, zdarza się codziennie, iż urzędnicy adwokacy albo nawet sam ich przełożony przywłaszczają je sobie, i w ten sposób dzieła te stają się znowu publiczną lekturą..." Janin zaklinał swoich czytelników, aby oparli się pokusie czytania strasznych pism markiza; ku przestrodze przedstawił obszernie historię swojego przyjaciela z lat młodości, który znalazł dzieła Sade'a W bibliotece wuja-bibliofila, proboszcza w jakiejś osadzie nad Rodanem (zaczny kapłan nie wiedział podobno, có w domu trzyma), przez dwa dni i dwie noce pochłaniał te książki, o świecie bożym zapomniawszy — a trzeciego dnia zwariował... „Widzi wszędzie jeno otwarte pułapki, narzędzia tortur, katów, męczarnie, trucizny* Dwanaście już lat żyje w ten sposób..."⁸⁷ Jest właściwie niewytłumaczalne, dlaczego twórczość Sade'a okazała się rychło takim fenomenem literackim. Nic dziwnego, że dzieła jego budziły zainteresowanie — drastyczna ich treść mogła pociągać szeroki ogół jako swojego rodzaju sensacja. Zastanawiający jest wszelako wyraźny wpływ tych dzieł na mentalność wielu twórców wcale nie miernej kategorii, poczynając już od lat 1830-tych. W świetle badań nad twórczością takich autorów jak Lamartine, Villiers de risle-Adam, Gérard de Nerval, Barbey d'Aureville, Baudelaire, Rimbaud, Lautréamont (I.L. Ducasse), Prosper Merimée, Flaubert, Nietzsche, Alfred Jarry — okazuje się, że znali oni dobrze przynajmniej niektóre dzieła Sade'a i że wizje markiza inspirowały ich w niemałym stopniu. Była to oczywiście inspiracja „tajemna”, gdyż w XIX wieku przyznanie się do lektury dzieł osławionego pisarza uchodziło za wyznanie kompromitujące. Gdy jednak z początkiem wieku XX zmieniły się nieco poglądy na twórczość markiza, co miało zresztą istotny związek z ogólną zmianą gustów i poglądów literackich i artystycznych, coraz więcej pisarzy poczęło przyznawać się otwarcie do wpływu, jaki wywarł na nich niesamowity świat okrutnych wizji Sade'a — żeby wspomnieć choćby takie nazwiska jak Pierre Louys, Octave Mirbeau, Apollinaire, André Breton, Jean Cocteau, Camus, Roger Vailland...

Zanim jednak literatura zaczęła przyznawać się do markiza de Sade, zajmowali się nim przez wiele lat przede wszystkim psychiatrzy i seksuolodzy. W końcu XIX wieku twórczość Sade'a była już przez lekarzy nieźle zbadana (już w połowie tego stulecia używano terminu „sadyzm”, zarówno w znaczeniu ściśle seksuologicznym, jak i niezbyt szczęśliwie upowszechnionym znaczeniu potocznym), co jednak dla naukowego poznania tego wyjątkowego zjawiska miało skutki dosyć niefortunne. Naukowcy-lekarze z natury rzeczy starali się wykryć w życiu i twórczości Sade'a przejawy odchyień od normy w zakresie zjawisk umysłowych i seksualnych; znaleźli ich oczywiście co niemiara i na tej podstawie doszli do wniosku, że i dzieła, i życie osobiste markiza były przejawem wybitnie nasilonych tendencji psychopatycznych. Było to podstawą do traktowania wszystkich idei i wizji, zawartych w twórczości Sade'a, jako czegoś wyjątkowego i chorobliwego, jako zjawiska zupełnie niepojętego i wytłumaczalnego jedynie w kategoriach patologii jednostkowej — tym bardziej że genezą światopoglądu i tłem społeczno-obyczajowym jego dzieł mało się interesowano. W ten sposób cały dorobek literacki markiza de Sade sprowadzony został do rangi curiosum, interesującego wyłącznie badaczy patologii psychicznej i seksualnej.

Z tego właśnie nurtu wywodziło się pierwsze duże dzieło naukowe, poświęcone życiu i twórczości markiza de Sade, które wydał psychiatra berliński Iwan Bloch pod pseudonimem Dr Eugen Dühren (1900). Bloch-Dühren popełnił wiele błędów faktograficznych, a przede wszystkim przepoił swoją książkę specyficzną tendencją antyfrancuską, dowodząc, że całe dzieło Sade'a, jak i wszystkie przejawy Oświeceniowej „demoralizacji” we Francji wywodzą się ze specyficznych skłonności narodu francuskiego do rozpusty i występku. Ale dzieło Blocha zyskało znaczną poczytność, przełożone zostało na język francuski i przez pewien

czas

uchodziło za znakomitą sumę wiedzy o niezwykłym pisarzu i jego epoce.

Albowiem historycy literatury długo nie zajmowali się Sade'm. Życiorys i krótką, pobieżną analizę jego dzieł ogłosił za czasów II Cesarstwa, ale w Brukseli i anonimowo, Pierre-Gustave Brunet (1866). Wybitny badacz literatury i obyczajów Octave Uzanne poprzedził krótkim szkicem nowe wydanie *Myśli o powieści Sade'a* (1878). Treść *Justyny i Julietty* zanalizował Alcide Bonneau (1882) w swoim zbiorze studiów poświęconych różnym curiosom literackim. Studium zatytułowane *Prawda o markizie de Sade* napisał Charles Henry (1887), ale do prawdy tej nie dotarł. Paul Ginisty napisał książkę o żonie pisarza, markizie Renée de Sade (1901), którą przedstawił jako męczennicę gnębiąną przez zbrodniarza i zбочeńca. W roku 1906 Henri d'Almeras spróbował nakreślić pierwszy udokumentowany portret literacki Sade'a jako człowieka i pisarza, co posunęło nieco naprzód wiedzę o tej postaci, chociaż nie zmieniło jeszcze ogólnych poglądów na jej temat.

Swojego rodzaju przełom w pojmowaniu twórczości markiza spowodował dopiero znakomity poeta francuski Guillaume Apollinaire. Świetny znawca literatury obyczajowej i erotycznej XVIII wieku, Apollinaire dostrzegł w dziełach Sade'a zjawiska nowatorskie i prekursorskie, wyprzedzające o cały wiek rozwój niektórych nurtów literackich, które zaczęły swoją ekspansję właśnie przed I wojną światową. W obszernym eseju, poprzedzającym wybór pism Sade'a (1909), Apollinaire sformułował znamienne wyznanie wiary: „Wydaje się, że nadejdzie godzina dla tych idei, które dojrzywały w niesławnej atmosferze rozmaitych biblio-' tecznych „piekieł”, i człowiek ten, który był niczym przez cały wiek XIX, może zapanować nad wiekiem XX”. Była to oczywiście przekorna demonstracja subiektywnych poglądów wybitnego poety, zirytowanego niezmiernie negatywnym stosunkiem opinii publicznej do człowieka, którego uważał za jednego z największych twórców w 4?óejąch literatury francuskiej — ale wyrażona w tych słowach myśl wzięta została nadspodziewanie poważnie zarówno przez coraz liczniejszą grupę entuzjastów twórczości Sade'a, jak i jego przeciwników, dopatrujących się w dziełach autora *Justyny* idei niezmiernie groźnych i zawsze aktualnych, zdolnych nawet po stu pięćdziesięciu latach wywierać negatywny wpływ na umysłowość czytelników.

Odtąd twórczość markiza de Sade staje się problemem poważnym, dyskutowanym przez specjalistów, budzącym nadspodziewanie wiele namiętności. Zaczynają mnożyć się dzieła poświęcone tej postaci. R. L. Doyon pisze zaraz po I* wojnie światowej poważne dzieło poświęcone wpływowi Sade'a na potomnych, aż do czasów Barbey'a d'Aureville (wyd. 1921). Powstaje pierwsza angielska monografia życia i twórczości pisarza, pióra C. R. Dawes'a (1927). Paul Bourdin w dobrym opracowaniu naukowym wydaje korespondencję markiza z rodziną i najbliższymi (1929). Niemiec Otto Fla- ke próbuje porównać Sade'a z Rétifem de la Bretonne, idzie jednak niefortunnie śladem swojego rodaka, Blocha-Dührena (1930). Pojawiają się nowe dzieła lekarzy, poświęcone badaniu życia i twórczości Sade'a z punktu widzenia medycyny i seksuologii, ale już nie obciążone XIX-wiecznym moralizatorstwem; są to przede wszystkim rozprawy doktorskie Salvator'a Sarfati (1930) i André Javelier'a (1937). Sade poczyną tracić cechy demonicznego zbrodniarza, a staje się po prostu człowiekiem, co prawda dość niezwykłym, ściganym za życia przez skutki własnych wybryków i niefortunnego zbiegu okoliczności, ale jednocześnie mającym wiele do powiedzenia i przedstawiającym w swych dziełach wcale ciekawy obraz mentalności swojej epoki.

Badaczem, który odkrył jednak w pełni Sade'a jako człowieka i pisarza, był wybitny lekarz, pisarz i publicysta francuski Maurice Heine (1884—1940), skądinąd w latach 1919—1922 działacz Francuskiej Partii Komunistycznej i jeden z redaktorów „L'Humanité”. Dotychczas zajmowano się Sade'm na podstawie analizy jego dzieł i niektórych opinii jego współczesnych. Heine pierwszy dostrzegł konieczność dokładnego naukowego zbadania

życia markiza i warunków, w jakich prowadził on swoją działalność pisarską. W latach 1926—1939 Heine przekopał się przez dziesiątki archiwów francuskich i zagranicznych, zebrał cały dostępny ówczesnie materiał dotyczący Sade'a, opublikował kilkanaście rozpraw naukowych dotyczących rozmaitych wydarzeń z życia Sade'a i różnych aspektów jego twórczości, czego uwieńczeniem była książka sumująca dorobek własnych badań pt. *Le Marquis de Sade et le roman noir* (1933).

Okres powojenny otworzył Pierre Klossowski, publikując głośną książkę, *Sade, mon prochain* (1947). Wkrótce potem przystąpił do pracy kontynuator dzieła Heine'go, wybitny poeta i badacz literatury awangardowej Gilbert Lely, któremu zawdzięczamy znakomite wydanie materiałów źródłowych do życia Sade'a i kalendarium jego twórczości (1952—1957). Dorobek naukowy Gilberta Lely stanowi fundament całej obecnej wiedzy o niezwykle młodym pisarzu; jest to właściwie ostatnie słowo nauki na ten temat; chociaż w ciągu następnych lat dorzucano pewne szczegóły do ustaleń Lely'ego, jego synteza jest niepodważalna, oparta bowiem nie tylko na doskonałej znajomości i analizie wszystkich odkrytych dotąd materiałów dotyczących Sade'a, ale również na świetnej znajomości epoki — realiów i stosunków społeczno-obyczajowych XVIII wieku.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych książki, rozprawy i artykuły, poświęcone dziełom markiza de Sade i jego niezwykle mu życiu, poczęły sypać się dosłownie tuzinami. We Francji podjęto kilka prac doktorskich, opartych na problematyce „sadologicznej”. Zagadnienie wpływu myśli i wizji artystycznej Sade'a na twórczość następnych pokoleń zaczęło coraz bardziej zaprzętać uwagę krytyków i historyków literatury, nie tylko we Francji. Duży rozgłos zyskały nowe biografie i monografie twórczości Sade'a: niemiecka, pióra Waltera Lennig'a (1965) i francuska, napisana przez J.J. Brochier'a *Le Marquis de Sade et la conquête de de VUnique* (1966). Cenne materiały do życia, twórczości i wpływu pisarza, na potomnych przyniósł zbiór wypowiedzi uczestników specjalnej sesji naukowej, poświęconej Sade'owi w Aix-en-Provence pt. *Le Marquis de Sade, sa vie, son oeuvre, son influence* (Paris 1967). Wiele cennych materiałów i interesujących rozważań na temat Sade'a i jego twórczości przyniósł numer monograficzny głośnego francuskiego miesięcznika literackiego „Europe” (nr 522, Octobre 1972), gdzie zamieszczono prace czternastu autorów.

Ten olbrzymi wzrost zainteresowania postacią i dziełami Sade'a — doprawdy niełatwy do wytłumaczenia

— ma jednak dla wiedzy o tej postaci niekoniecznie pozytywne skutki uboczne. Otóż Sade* jest w coraz większym zakresie przedmiotem zainteresowania również tych badaczy czy krytyków, którzy nie dysponują wystarczającym przygotowaniem do studiów nad tak złożonym zagadnieniem. Bez dokładnej znajomości epoki, w której żył i działał ów dziwny pisarz, nie sposób zbliżyć się do zrozumienia sensu jego twórczości. Tymczasem na temat idei Sade'a wypowiadają się coraz częściej autorzy, którzy wiek XVIII poznali jedynie z pism markiza i z monografii poświęconych tej postaci. Rodzi to oczywiście poważne niebezpieczeństwo zwichnięcia proporcji w ocenie historycznego znaczenia tego niezwykle, ale przecież ściśle uwarunkowanego przez swoją epokę zjawiska. Przesada w ocenie roli i wartości dzieła Sade'a zarówno w sensie negatywnym, jak czasami pozytywnym, traktowanie Sade'a jako Wyraziciela idei o znaczeniu ponadczasowym — jest głównym grzechem znacznej części badaczy zajmujących się tym zagadnieniem. Dopatrywanie się szczególnej niezwykłości w historii życia i w dziele . . . markiza jest oczywiście skutkiem słabej orientacji w realiach obyczajowych i problemach historii społecznej Francji XVIII wieku. Trudno się temu dziwić, skoro autorami niektórych, dość popularnych dzieł na temat Sade'a, są pisarze, którzy poza tym jednym zagadnieniem wieku XVIII w ogóle nie tknęli. Przykładem może być np. amerykański autor Geoffrey Gorer, mający w swoim dorobku prace poświęcone... tańcom afrykańskim, angielskiemu charakterowi

narodowemu, socjologicznej analizie społeczeństwa amerykańskiego, Himalajom itd., a wśród nich także dzieło pt. *The Life and Ideas of the Marquis de Sade* (1962), oparte całkowicie na młodzieńczej rozprawce z roku 1933, kiedy to — jak wyznaje — zwycistwo Hitlera w Niemczech i ekscesy band hitlerowskiej określane w prasie jako „sadystyczne”, zwróciły jego uwagę na pochodzenie tego terminu, dzięki czemu poświęcił nieco czasu i l'waei twórczości osławionego markiza!

Zainteresowanie twórczością i postacią Sade'a ujawniło się w Polsce po raz pierwszy w latach pięćdziesiątych. W roku 1957, z okazji toczącego się ówczesnie we Francji procesu wydawcy pism Sade'a, J. J. Pauvert'a, Zbigniew Irzyk ogłosił na łamach czasopisma „Współczesność” (kwiecień 1957) interesujący szkic pt. *Purytańska Francja, czyli niedole markiza de Sade*. Było to pierwsze w języku polskim wprowadzenie w życie i dzieła osławionego autora, tym cenniejsze, że oparte na doskonałej znajomości przedmiotu i prezentujące całe zagadnienie w sposób spokojny, trzeźwy i przejrzysty, w duchu wywodzącym się niejako z tradycji Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Niestety, ten nurt polskich zainteresowań Sade'm skończył się na pierwszej publikacji. Dopiero w dziesięć lat później ujawnili swoje zainteresowania ideami markiza Wojciech Karpiński (w artykule *Sade ukrzyżowany*, „Twórczość”, luty 1968) oraz Jacek Trznadel (w artykule *Filozof zamurowany*, „Twórczość”, grudzień 1970, stanowiącym jednocześnie wstęp do zamierzonej publikacji polskiego przekładu pierwszej wersji *Justyny — Niedoli cnoty*). Obie te publikacje są jednak przejawem zupełnie innego podejścia do „problemu Sade'a”. Mamy tu do czynienia z interpretacją filozoficzną dzieł markiza, posługującą się kategoriami i pojęciami właściwymi dopiero naszej epoce, przy zupełnie dowolnym pojmowaniu wypowiedzi zawartych w dziełach Sade'a i wkładaniu w nie treści zupełnie obcych epoce Oświecenia. Błędnym założeniem obu tych studiów jest próba rozpatrywania idei Sade'a w kategoriach ponadczasowych, pozahistorycznych, przy faktycznym abstrahowaniu od warunków społecznych i społecznej mentalności epoki, w której Sade tworzył. Skutkiem tego było zlekceważenie konkretnej treści pojęć, jakimi posługiwał się markiz (w większym stopniu u Karpińskiego, w mniejszym u Trznadla, który jest badaczem o wiele bardziej doświadczonym i lepiej obeznanym z problematyką XVIII stulecia niż autor rozprawki *Sade ukrzyżowany*), potraktowanie jego systemu myślowego jako struktury pustych nazw, pod które podkłada się dowolne desygnaty pojęciowe, odpowiadające subiektywnemu rozumieniu odpowiednich zagadnień przez współczesnych nam autorów. Pewnym wytłumaczeniem może być tutaj fakt, że obaj wzmiankowani autorzy nie ujawnili dotychczas swojego poważniejszego zainteresowania jakimikolwiek innymi — poza twórczością Sade'a — problemami XVIII wieku.

Rozprawka Jacka Trznadla ogłoszona została łącznie z dokonaniem przez Jerzego Lisowskiego przekładem fragmentu *Filozofii tu buduarze* — rozprawą filozoficzno-polityczną pt. *Francuzi, jeszcze jeden wysiłek...* („Twórczość”, grudzień 1970). Była to pierwsza prezentacja utworu Sade'a polskim czytelnikom. Niestety, wybór fragmentu okazał się bardzo niefortunny. Przedstawienie tej wypowiedzi — która stanowi przecież fragment większej całości i prezentowana jest w oryginale przez autora niejako „w cudzysłowie”, jako przejaw pewnego typu myślenia, niekoniecznie aprobowanego przez samego pisarza — jako wypowiedzi ideowo-postulatywnej samego Sade'a, stanowiącej kwintesencję całego jego systemu moralno-filozoficznego i jako najbardziej charakterystyczny rzekomo przejaw jego umysłowości, wprowadziło w błąd znaczną część czytelników, siłą rzeczy nie bardzo przecież zorientowanych w całości dzieł markiza. Drastyczna, prowokacyjna treść tego fragmentu wzburzyła szerokie koła intelektualne; niektóre środowiska katolickie wystąpiły na tej podstawie | protestem przeciwko wydawaniu w Polsce jakichkolwiek dzieł Sade'a. Było to oczywiście skutkiem nieporozumienia, ale nieporozumienia, którego łatwo było uniknąć, gdyby przedstawiono opinii publicznej najpierw inne dzieła osławionego pisarza,

bardziej typowe dla jego twórczości. Pewnego rodzaju „odtrutką” na niewłaściwe pojmowanie ogólnej wymowy dzieł i całej wizji artystycznej Sade’a było chyba ogłoszenie w roku 1971 przekładu dwóch najlepszych nowel pisarza, Eugénii de Franual oraz Flomlli i Couwala, wydanych nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Przekład Niedoli cnoty, na których publikację zdecydował się „Czytelnik” (1972), również przyczynił się do pewnego wyprostowania pojęć na temat twórczości Sade’a.

Trudno w tej chwili przewidzieć, kiedy ukażą się w Polsce przekłady dalszych dzieł Sade’a, ale wydaje się, że wraz z nadaniem temu zjawisku właściwej rangi historycznej, po stonowaniu rozmaitych kontrowersyjnych opinii na ten temat, publikacje niektórych dalszych utworów markiza będą mogły od czasu do czasu się ukazywać, nie budząc specjalnej sensacji — jak nie budzą już w większości krajów świata — traktowane po prostu jako jeden z dokumentów myśli ludzkiej z dość odległej przeszłości.

Nie jest to sprawa zupełnie łatwa, gdyż nawet we Francji czy Anglii trzeba było kilkudziesięciu lat, zanim pisma osławionego markiza znalazły się na rynku księgarskim w jawnej sprzedaży. Do roku 1939 dzieła Sade’a ukazywały się tylko potajemnie, jako publikacje spekulacyjne, wydawane przez nakładców wyspecjalizowanych w produkcji literatury pornograficznej, albo najwyżej w zamkniętej subskrypcji, jako utwory o specjalnym charakterze, przeznaczone dla wąskiego kręgu odbiorców. Niektóre tylko opowiadania publikowane były jawnie i sprzedawane otwarcie. Taki stan rzeczy utrudniał oczywiście studia nad Sade’em, którym po II wojnie światowej zaczęło interesować się coraz więcej pisarzy i naukowców. W roku 1947 wydawca paryski Jean-Jacques Pauvert (który w ciągu następnych lat położył znaczne zasługi w dziedzinie udostępnienia rzadkich utworów o specjalnej wartości literackiej czy bibliofilskiej) rozpoczął więc edycję pism wszystkich markiza de Sade, przeznaczając je dla czytelników niejako zawodowo zainteresowanych tego rodzaju twórczością. Nakład ograniczono do maksimum dwóch tysięcy egzemplarzy, książki ukazywały się w prostej i surowej szacie graficznej, bez żadnych ilustracji, mogących przyciągnąć uwagę osób niepowołanych.

Edycja dobiegała już końca, kiedy w roku 1955 wytoczono Pauvert’owi proces o „obrazę obyczajów”

1 opublikowanie dzieł jawnie obscenicznych. Rzeczą szczególną, wydawca oskarżony został z artykułu 125 ustawy z dnia 29 lipca 1939 roku, dotyczącej ochrony rodziny i popierania rozrodczości społeczeństwa francuskiego. Przedmiotem oskarżenia stały się cztery dzieła markiza de Sade: Nowa Justyna, Historia Julietty, Filozofia w buduarze i 120 dni Sodomy. Wszystkie te dzieła wydane zostały w nakładzie doprawdy niemałym: 475 egzemplarzy;

Proces rozpoczął się dnia 15 grudnia 1956 roku przed XVII Izbą Kamą sądu paryskiego i przybrał nieco humorystyczny charakter. Obserwatorzy postępowania sądowego rozumieli nonsens wytaczania procesu wydawcy dzieł pisarza, który zmarł przed półtora wiekiem, a którego twórczość przeszła wystarczającą próbę czasu i okazała się bynajmniej nie ulotną sensacją, ale przedmiotem poważnego zainteresowania badaczy rozwoju myśli ludzkiej. Rzecznik oskarżenia publicznego, pan Maynier, krygował się i pocił, zwracając audytorium uwagę na swój trud i niewdzięczne zadanie, bowiem precedensy historyczne (jak np. procesy Flauberta czy Baudelaire’a) pozwalały się spodziewać, że potomność nie będzie miała dlań większego uznania. Ze swej strony obrona nie szczędziła również silnych argumentów. Na sali sądowej padały wielkie słowa; stwierdzano, że Sade został już uznany przez znaczną część historyków literatury i krytyków za jednego z największych twórców w dziejach literatury francuskiej, a w tej sytuacji całe oskarżenie jest absurdem. Jako rzeczoznawcy i świadkowie obrony zeznawali Jean Paulhan i Georges Bataille, specjalne listy nadesłali Jean Cocteau i André Breton. „Sade jest filozofem i na swój sposób moralistą — napisał Cocteau. — Najmniejsza powieść kryminalna wstydlivej Ameryki jest bardziej szkodliwa niż najśmielsza ze stronic Sade’a”. Wszystkie oświadczenia specjalistów uznały jednomyślnie

bezpodstawność oskarżenia. obrońca Pauvert'a, słynny prawnik francuski Maurice Garçon, dał w swoich przemówieniach doskonały wykład całej historii prawodawstwa francuskiego, tłumiącego wolność druku pod pozorem walki z pornografią, wskazywał nonsens stosowania dawnych norm w zmienionych warunkach społecznych i obyczajowych. Pauvert bronił się w oparciu o dwa pewniki: po pierwsze, twórczość Sade'a ma wybitną wartość literacką i filozoficzną, po drugie, wydawał jego dzieła bynajmniej nie dla masowego czytelnika, ale dla odbiorców zainteresowanych

tą twórczością ze względów zawodowych. Prokurator dorzucił trzeci pewnik: że dzieła markiza de Sade, przynajmniej te objęte aktem oskarżenia, są bez wątpienia obsceniczne. Mecenas Garçon zgodził się na takie ustalenie, domagając się wszelako uniewinnienia swojego klienta. Powstała dość dziwna sytuacja: oskarżenie uznawało wybitną wartość literacką dzieł Sade'a, obrona godziła się na ich obsceniczny charakter. Z kompromisu tego wynikać miało — jak sądzono — uniewinnienie Pauvert'a.

Trybunał okazał się jednak wyższy ponad nacisk opinii publicznej. Pauvert został skazany (na niewielką grzywnę), a zabezpieczony nakład dzieł Sade'a miał ulec zniszczeniu. Wydawca apelował, ale w dwa lata później (12 marca 1958) sąd apelacyjny w zasadniczej części potwierdził wyrok pierwszej instancji⁸⁸.

Znaczenie tego wyroku nie polegało oczywiście na grzywnie ani nawet na groźbie zniszczenia zajętego nakładu. Wyrok miał znaczenie zasadnicze: cztery objęte nim utwory markiza de Sade były odtąd wyłączone od prawa publicznej sprzedaży na terenie Francji. Można je było publikować od tej chwili tylko w zamkniętej subskrypcji, dla wiadomego z góry odbiorcy, i bez żadnej publicznej reklamy. Nie byłoby to może tak kłopotliwe, gdyby nie fakt, że cztery inkryminowane dzieła Sade'a stanowiły zasadniczy zrąb jego twórczości, a powszechne zainteresowanie dziełami osławionego pisarza nieustannie się wzmagало.

Jak oczywiście było z góry do przewidzenia, skutki wyroku z dnia 12 marca 1958 roku nie trwały jednak długo i w ciągu następnych lat zostały w praktyce zupełnie unicestwione. Pauvert musiał początkowo wyłączyć z publicznej sprzedaży cztery potępione tytuły i ograniczył się do rozprowadzenia reszty dzieł Sade'a. Całość pism wydawano tylko w edycjach obejmujących dzieła wszystkie. Naukowo opracowane pełne wydanie wszystkich ocalałych pism Sade'a ukazało się po raz pierwszy w 15 tomach, w latach 1961—1962, w nakładzie 2000 egzemplarzy. Druga edycja zbiorowa ukazała się w 30 małych tomach w parę lat później. Wreszcie w latach 1966—1967 wyszła edycja trzecia w 8 sporych woluminach, opracowana przez grono

wybitnych badaczy literatury, historyków, krytyków i pisarzy. Odnaleziono w międzyczasie trochę rozproszonych pism Sade'a (przyczynił się do tego poważnie markiz Xavier de Sade, praprawnuk pisarza, pierwszy w rodzinie, który docenił znaczenie dzieła swego przodka i pokrewieństwo z nim uznał za tytuł do chwały).

Upływ czasu działał jednak nieuchronnie na korzyść twórczości Sade'a, a zasadnicza zmiana w upowszechnieniu jego pism nastąpiła wraz z przełomem w obyczajowości społecznej, jaki zaznaczył się w Europie zachodniej i w Ameryce północnej po roku 1970. We Francji wyroki sądowe z lat 1957—1958 nigdy nie zostały skasowane, ale po prostu w pewnym momencie przestały się w praktyce liczyć; nie powoływano się już na nie, nikt nie ścigał wydawców i księgarzy, którzy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaczęli upowszechniać dzieła markiza. Większość dzieł Sade'a, łącznie z Filozofią u) bu-duarze, 120 dniami Sodomy, Nową Justyną a ostatnio Historią Julietty, pojawiła się w księgarniach Paryża (raczej zresztą w tych wyspecjalizowanych w literaturze sensacyjnej i w różnego rodzaju sei-słiopacH), w osobnych, jawnie eksponowanych edycjach po-szczególnych tytułów, i to w wydaniach integralnych, bez żadnych skrótów czy opuszczeń. Jednocześnie dzieła Sade'a poczęły pojawiać się i krążyć swobodnie w przekładach na języki obce — w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech zachodnich, nie mówiąc już o krajach

skandynawskich; ostatnio nawet we Włoszech. I wtedy wystąpiło zjawisko szczególne: wraz z powszechnym udostępnieniem pism Sade'a zaczęło zmniejszać się powszechne zainteresowanie jego twórczością. Na dzieła Sade'a nikt już prawie nie rzuca się w krajach Europy zachodniej z namietnością, jakiej przykłady można było zaobserwować w czasach zdelegalizowania znacznej części jego twórczości. Sade staje się w pewnym sensie klasykiem, ze wszystkimi skutkami tej pozycji w społecznym odbiorze jego dzieła.

Markiz ma oczywiście nadal zaciekłych przeciwników, staroświeckich moralizatorów, którzy w publicznych wystąpieniach rozdzierają desperacko szaty z powodu publicznego prezentowania jego „haniebnej” i „demoralizującej” twórczości. W ostatnich czasach rzadziej atakuje się już pisma Sade'a, częściej natomiast próby scenicznej adaptacji jego dzieł (było już wiele inicjatyw tego rodzaju we Francji i niektórych innych krajach), a zwłaszcza przeróbek filmowych. Sprawa filmu Pasoliniego Salo czyli 120 dni Sodomy wywołała np. istną burzę protestów ze strony nielicznych, ale bardzo agresywnych przedstawicieli pruderii i obskurantyzmu we Francji, Anglii i we Włoszech. Filmowi niewiele to zaszkodziło, ale stało się znamienym signum epoki. Rozgłos ten nie ma oczywiście żadnego wpływu na postęp badań naukowych nad dziełem Sade'a, coraz intensywniej prowadzonych.

Rangi wybitnego pisarza nikt już chyba markizowi nie odbierze, ale trudno przewidzieć, jak długo utrzyma się moda na zainteresowanie jego twórczością zarówno wśród pisarzy i literaturoznawców, jak historyków filozofii i myśli społecznej, a w nie najmniejszym stopniu również historyków obyczajów i seksuologów. Na razie dzieło Sade'a jest przedmiotem wielostronnych studiów. Istotny sens myśli i dorobku artystycznego markiza rozumiany jest zresztą bardzo rozbieżnie. Jedni zwracają uwagę na charakterystyczny determinizm i naturalizm Sade'a, na jego koncepcję Natury jako wszechdominującego źródła inspiracji istot ludzkich do antyhumanizmu, postaw antyspołecznych i działań zbrodniczych. Inni akcentują przede wszystkim (zazwyczaj bardzo przesadnie) antimoralizm Sade'a i zagadnienie problematyki etycznej w jego dziełach, usiłując ustalić obiektywny sens moralny twórczości tego pisarza i sade'owski „ideał człowieka”. Z tego ostatniego nurtu zainteresowań dziełem markiza de Sade wywodzi się zresztą najwięcej nieporozumień. Bardzo niepoważnie brzmią już rozważania niektórych badaczy czy publicystów na temat Sade'a jako ciągle aktualnego i groźnego propagatora zła i zbrodni w kosmicznych niemal wymiarach, jako twórcy doktryny anty moralnej, którego myśl leży rzekomo u podstaw najbardziej, złowrogich światopoglądów, jakie powstały w ciągu ubiegłych lat stu. Sade pojmowany ahistorycznie, jako twórca

doktryny o takiej czy innej wymowie obiektywnej, ale o trwałości ponadczasowej — to zjawisko w zakresie badań nad twórczością autora Justyny najbardziej niezgodne z naukowym podejściem do tego problemu. Pytanie o moralną wymowę dzieł Sade'a — w aspekcie ich aktualnego, a nie historycznego znaczenia — po półtora wieku od śmierci pisarza jest pozbawione zupełnie sensu. Twórczość Sade'a nie ma w ogóle żadnego aktualnego znaczenia, podobnie jak nie ma również żadnego aktualnego znaczenia — aby pozostać w kręgu przykładów XVIII-wiecznych — twórczość Voltaire'a czy Jana Jakuba Rousseau, chociaż jedna i druga odegrała swojego czasu w rozwoju myśli ludzkiej olbrzymią rolę, co jest wystarczającą racją dla ciągłego zainteresowania obu tymi wielkimi pisarzami i myślicielami

i do zapewnienia im nieśmiertelności w pamięci społeczeństw europejskiego kręgu cywilizacyjnego. Zainteresowanie „współczesnym znaczeniem” idei Sade'a jest równie naiwne i bezpodstawne, jak byłoby badanie aktualnej wymowy pism Platona czy Arystotelesa z tej przyczyny, że obaj wielcy filozofowie starożytności byli głęboko przeświadczeni, iż znaczna część istot ludzkich musi nieuchronnie pozostawać przez całe życie w kondycji niewolniczej.

Wszystkie idee i wszystkie wizje artystyczne Sade'a muszą być rozumiane w kategoriach pojęć wieku Oświecenia i przykładanie do nich jakiegokolwiek innej miary dyskwalifikuje naukowo ewentualnego badacza. Jakiegokolwiek było znaczenie moralne pism Sade'a w XVIII wieku, dzisiaj są one dla nas tylko ciekawym

i bardzo charakterystycznym świadectwem istotnych zjawisk światopoglądowych i po części obyczajowych wieku Oświecenia, które skazano niegdyś — ze względów dziś już dla nas zupełnie nieaktualnych — na kompletne zapomnienie. Sade był oczywiście nie tylko dokumentatorem, ale i wybitnym pisarzem, co zapew* nia jego dziełom znacznie większą trwałość, niż gdyby okazały się one dzisiaj tylko ciężkimi rozprawami filozoficznymi, trudno dostępnymi dla współczesnego, XX-wiecznego czytelnika. To i tak wiele, jeśli zważyć, iż markiz pisał w czasach odległych od naszej epoki już o dwa stulecia.

Dzieła Sade'a nie są oczywiście czytankami służącymi moralnemu zbudowaniu. Przedstawiają najgorsze, najokrutniejsze (w pojęciu XVIII-wiecznym) strony natury ludzkiej i powinny docierać raczej tylko do czytelników, którzy pojmują ich genezę i historyczne uwarunkowanie. Ale nie ma potrzeby demonizowania pism Sade'a. Są to bowiem tylko interesujące i artystycznie wybitne dokumenty minionej dawno epoki —
i tylko jako takie powinny być dzisiaj analizowane
i budzić naszą ciekawość.